

IGOR NEWERLY

ZOSTAŁO
Z UCZTY BOGÓW

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1986

ZOSTAŁO Z UCZTY BOGÓW

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 420



ISBN 2-7168-0085-5

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

IGOR NEWERLY

ZOSTAŁO Z UCZTY BOGÓW

*Szczęśliwy, kto oglądał świat
W chwilach przemiany i przelomu:
Bogowie go do swego domu
Wzywali, by do uczy z nimi siadł.*

Fiodor Tiutczew
(przekład Juliana Tuwima)

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1986

ŚLADAMI ŻELAZNEGO ŻUBRA

Pojechaliśmy z Jarkiem na ten cmentarz. Kamienna płyta była oczyszczona i wokół rosły kwiatki, dbał o to czerstwy jeszcze Makar Kozak z pobliskiej ulicy Tropinka (była tu kiedyś zamiast ulicy ścieżyna przez zachwaszczone ugory). Zacząłem mówić z myślą: niechże Jarek wie co nieco o swym dziadku. W miarę jak rozpamiętywałem, wszystko zdawało się uchodzić w tłum skamielin dookoła, pomiędzy znaki z czasów carskich na pomnikach, i tchnęło niezmaconą dziwnością jak grób rosyjskiego oficera, nad którym stoją oto syn i wnuk, pisarze polscy.

Potem dziesięć kilometrów szosą asfaltową – za moich czasów była z tłucznią, czyli makadam – dziesięć kilometrów przez puszcę, po której tylko nazwa została, Puszcza Białowieska. Ano była tu puszcza, półtora tysiąca kilometrów kwadratowych kniei królewskiej, bory niebywałe, nietknięte siekierą, tylko monarcha mógł sobie pozwolić na taką perłę swej korony, na luksus utrzymania ostatniej w Europie najprawdziwszej pierwotnej puszczy, gdzie stały jeszcze święte dęby pogańskie, a cisza była głębinowa, denna cisza, i zielonkawosiny jak rozpylony grynszpan półmrok, i zapach próchnicy zetlałej na wieki przed milenium, gdzie rośliny, drzewa, zwierzęta żyły jak chciały i żubry chodziły swobodnie stadami prosto z prehistorii. Taka była puszcza mego dzieciństwa. Zniknęła z ostatnią dynastią. Niemcy za kajzera zaczęli, Poleszucy z okolicznych wiosek podchwycili i w te pędy także do lasu z siekierami, po nich nadleśnictwa państwowe i obce koncesje z piłami mechanicznymi, z tartakami, z Hajnówką całą, w końcu Niemcy za Hitlera, i chłopci, i partyzanci, wszyscy cięli las, tłukli zwierzyne,

aż granicą przecięto tę perłę na dwoje, tu Białowieża sowiecka, a tu Białowieża polska – taką sztuką puszcze tłuką na makadam, psiakrew, na makadam...

Szukaliśmy śladów dawnego czasu po drodze i potem na miejscu, w Zwierzyńcu. Nie było. Znak po dziadkowym Zwierzyńcu nie zostało. Był park – rośnie las, był pałacyk – stoi nowa, nawet zgrabna leśniczówka. Nikt nie wyrzał. Sarenka przyglądała się nam zza węgła, przechyliwszy z lekka główkę jak wszystkie sarenki, które miałem, a co roku przynoszono nam jakieś znalezione w lesie sarniátko. Karmiliśmy je ze smoczka, Helenka i ja, kłóciliśmy się, rywalizowaliśmy ze sobą o względy naszej pieszczołki. Dzień zaczynał się, gdy na korytarzu rozlegały się drobno kłaskające kroki, nasłuchiwaaliśmy, czy raciczki jej nie zgrzytną w poślizgu na parkiecie, bo wtedy z pewnością będziemy mieli dzień feralny. Wreszcie wchodziła, Boże miły, wchodziła między nasze łóżka i przechyliwszy łepkę zerknęła w prawo i w lewo, to była wielka chwila, wstrzymywaliśmy dech pod kołderkami, u kogo będzie dziś szukała ciepłej buteleczki mleka? Pod czyją poduszkę wetknie swój czarny, wilgotny, rozkoszny pyszczek?

Sarenka rosła z nami, miała później małe i szła z nimi w swe własne leśne życie, czasem okazywała się koziołkiem, jak Frycek, który wyrósł na kapitalnego rogowca o wspaniałych krzyżowych porostkach, ale tak się rozbrykał, że każdego bódł, pokaleczył nawet bożogrobską babę Genowefę, co to chodziła niby do grobu Zbawiciela i wracała z woreczkiem ziemi świętej, którą następnie przez całą zimę sprzedawała w Budach na szczypty, otóż tę babę, ledwo do nas przyszła, Frycek wyrznął z tyłu w krzyż i dziadek kazał go przepędzić za bramę. Wtedy właśnie wydarzyła się ta historia z żubrami.

Przyjechali Anglicy, jedna jedyna wycieczka, jaką pamiętam. Nie znano tu przecież żadnej turystyki. Puszcza Białowieńska, prywatny majątek cara, to były obszary całkowicie zamknięte, dostępne wyłącznie dla panującego i jego gości. Musieli to być nie byle jacy Anglicy, skoro uzyskali zgodę dworu na zwiedzanie puszczy. Dziadek dał im dwa powozy i jebra. Nie szukali długo, bo już kilometr od Zwierzyńca trafili na stado żubrów z Fryckiem, a trzeba wiedzieć, że po wygnaniu z rajy przyszedł do żubrów i chodził z nimi w charakterze czujki. Żubry na ten niezwykły dla nich widok tyłu ludzi ustawiły się w swój sztyk obronny, byki dookoła, krowy z cielakami w środku, i tak się przypatrywały spode łba pstrej i rozgadanej gromadce, a Frycek, który nieraz ludzi przewracał, doskoczył bliżej i jeden

Anglik zaczął się z nim mocować. Jegier próbował mu na migi wyperswadować, żeby dał spokój, bo to wyjątkowo złośliwy cap, ale tamten machnął ręką, co mu tam jakiś sarnik, on w Afryce polował na lwy, na nosorożce... Przygiął kark Frycka do ziemi, aż Frycek zabecztał, i wtenczas żubry ruszyły. Może by tylko postąpiły parę kroków, gdyby nie popłoch, nie paniczna ucieczka do powozów, wówczas żubry ruszyły żwawiej, panie w krzyk i jeszcze się zasłaniają letnimi, od słońca, parasolkami z czerwonego jedwabiu, więc byki w cwał i zaczęła się gonitwa. Pędzą, ziemia dudni, z daleka widać już palisadę Zwierzynca, i już bramę widać, ale co to? – brama zamknięta! Stangret Bolesław czapkę zdjął i przeżegnał się, tak mi tyle razy opowiadał, przeżegnałem się paniczu, bo to, widzę, koniec, przede mną płot, a z tyłu żubry, rozniosą nas na rogach i kopytach... Szczęściem Dmytruk, głupawy Dmytruk, którego babcia trzymała przez litość we dworze, stał akurat przy bramie, rozwarł wierzeje i zatrzasnął, miał rozum zatrzasnąć za powozami. Tylko dzięki niemu skończyło się na strachu, wszyscy zeszli szczęśliwie z powozów na roztrzęsionych nogach, ale jedną *lady* trzeba było wynosić, bo zemdląca.

A w ogóle, jeśli chodzi o żubry, których wówczas było dużo, podobno około ośmiuset sztuk, to byliśmy z nimi w dobrej komitywie i spotkawszy w lesie przyglądaliśmy się zza drzew, jak się pasą lub wędrują. Nie baliśmy się żubrów w stadzie, uciekaliśmy dopiero na widok samotnego byka, taki bowiem, co nie ma żony ani dzieci, którego żadne stado nie przyjmuje, taki wyrzutek chodzi zły, mówiono, uciekajcie, dzieci, bo się rzuci i na rogi weźmie. W krajobrazie mego dzieciństwa żubry były czymś tak codziennym i fascynującym jak neony, jak życie ulicy dla chłopca wielkiego miasta. Obecnością ich oddychał Zwierzyniec, pałac i chaty, mówiono o nich, przejmowano się nimi, gniewano, gdy dajmy na to Jednorogi wychodził na szosę w dzień targowy i stał sobie godzinami zatrzymując wszystkie wozy do Białowieży, albo gdy Lucyper rozwydrzył się nie do wytrzymania, zabijając trzeciego z kolei człowieka, istny ludobójca, słusznie go starszy pan, to znaczy dziadek, zastrzelił. Żubry budziły strach, podziw, zaciekawienie, czasem współczucie, niepodobna przecież nie litować się nad wiekowym bykiem, jak długo i ciężko umiera, przewraca się z boku na bok pod dębem i co westchnie, to się puszcza odezwie bliźniaczym głuchym pojęciem. Albo taka niepłodna żubrzyca, co nie mogąc się doczekać własnego maleństwa, uprowadza, biedna, jałoweczkę z babcinego stada... Mieszkały obok nas w tej samej puszczy, ich

sprawy i przeżycia nie były bez znaczenia dla nas, mieszkańców Zwierzyńca, pamiętam, jak długo i uporczywie wszyscy się zastanawiali, zgadywali, dlaczego żubry pociągnęły raptem pod Browsek? Co w tym jest takiego i ku czemu? Pamiętam dni walki z zarazą, a w rok później nastrój przygnębienia w całym osiedlu, gdy zdychały żubry kaukaskie... Dziadek w celach doświadczalnych, trzeba wiedzieć, zapoczątkował wymianę żubrów nizinnych i górskich, z Kaukazu przesiedlał do Białowieży i odwrotnie, złowione u nas wysyłał na Kaukaz.

Raz wziął mnie na takie łowy. Zajechaliśmy bryczką pod sam płot, pod taką jaśniutką, pachnącą świeżo ociosanym drewnem ścianę z grubych desek długości może stu kroków, a wysoką na dwa metry. Wdrapaliśmy się dość żwawo jak na nasz wiek (ja miałem osiem lat, a dziadek siedemdziesiąt) i wyjrawszy z góry zobaczyliśmy drugą taką samą ścianę płotu naprzeciwko, obie tworzyły zwężający się stopniowo korytarz, wylot zamykała wielka masywna skrzynia-klatka na kółkach, suwane jej drzwi były podniesione, tak że nie widziało się za nimi jegra, co stał na wierzchu klatki i trzymał przed sobą drzwi jak tarczę, jak nóż gilotyny. A z drugiej strony płotu, na którym staliśmy wszyscy – dziadek, ja, chłopci i jegrzy – na niewielkiej śródleśnej polance znajdowały się od wczoraj zwabione tu i zamknięte w ogrodzeniu żubry, małe stadko, siedem, może dziesięć sztuk. Już się zorientowały, że są zamknięte, widziały głowy ludzi czyhających na nich zza płotu, strwożone więc i czujne zbiły się do kupy i stały nieruchomo gotowe do ataku. Słońce stamtąd ślepiło, dziadek przesłonił dłonią oczy, lustrując całe stadko. Wszyscy patrzyli na niego, zdawało się, że i żubry widzą tylko jego, tego oto najstarszego w siwej kurtce z zielonym szamerunkiem, i to nasuwało pewne skojarzenia, nie bez uczucia dumy. Burmus żył, ile tylko może żubr, dawano mu, kiedy zdechł, 35 lat, dziadek ma dwa razy tyle, taki stary, ale jary, rumianolicy, z białą brodą jak święty Mikołaj, nawet ładniejszy, taki dumny z orlim nosem i ostrym strzeleckim spojrzeniem, z pewnością ładniejszy od świętego, tylko bez takiej słodkiej, wigilijnej dobroci, gdzie tam, słodyczy nie ma w sobie żadnej, ale mądry, ale najważniejszy, daj Boże każdemu takiego dziadka... Skinął, żubr uderza rogami o tylną ścianę, i znów trach, to jegier spuszcza drzwi. Cisza. Oszołomiony ciemnym pudłem żubr nie rusza się. Przez okienko, gdy zaglądam tam, po paru minutach, widzę nabiegłe krwią oczy zwierza, czuję gorący jego oddech i ostry, błotno-potny odór. – Ale nic mu nie zrobisz – błagam dziadka – nic mu nie zrobisz? Wypuścisz? – Uspokój się, jedzie

przecież na orzechy kaukaskie, na pomarańcze... – Po deskach pochylni wrolowano klatkę na platformę, konie bocząc się i chrapiąc szarpnęły i wišta-wio! Pod słońcem południa trochę zrzedział, schudł, ale się utrzymał w lasach subtropikalnych, potomstwo jego i innych żubrów białowieskich po dziś dzień łązi sobie w najlepsze po górach Gruzji i Dagestanu. A kaukaskie żubry wszystkie co do jednego w Puszczy Białowieskiej wyzdychały. Podobno zdechły prawidłowo, takie jest ponoć prawo przyrody, mówił wuj Stefan, mamy tu najlepszy dowód na to, że z dolin w góry można przesiedlać, co się tylko chce, i zwierzynę, i człowieka, a z gór w dolinę nie, jak to wiadomo chociażby z pieśni „Góralu, czy ci nie żal?” No właśnie, wnet z tęsknoty ginie.

Kiedy to się działo? A chyba rok po śmierci ojca i Tołstoja, w dziesiątym roku obaj zmarli, dwie żaloby były w domu, tak więc te łowy, właściwie odłowy, ostatnie odławianie ostatnich dzikich żubrów odbywało się w jedenastym, w 1911 roku... Z tamtego czasu, jak spojrzeć dokoła, nic nie zostało, ani budynków, ani płotu, ani studni, ani dawnych ścieżek, nawet las się zmienił. Takie same oto lasy jak w Puszczy Piskiej czy Boreckiej, na jeden model prowadzone w celu pozyskania drewna, taka sama mniej więcej leśniczówka...

Nieopodal ganku za ogródkiem warzywnym znaleźliśmy trochę kamieni po fundamentach. Podniosłem jedną grudkę. Tu ja się urodziłem, synu, powiedziałem Jarkowi, tu stał nasz dom. Spłonął w czasach pierwszej wojny. Wielkiego carskiego pałacu w Białowieży wcale mi nie żal, potworna eklektyka, szpeciła tylko okolicę. A ten pałacyk myśliwski był naprawdę ładny, z modrzewia, w takim jakimś leśno-żurowym stylu, w naturalnym ciepłym kolorze miodowym drewna pod pokostem, poprzecinany balkonami, galeryjkami, opuszony dzikim winem od dołu po gonciany siwy dach – fantazyjne domostwo, mówię ci, a swojskie przy tym, borowe, jakby tu rosło sobie i wyrosło razem ze strzelistymi świerkami dokoła, z kudłatymi dębami i całą dżunglą leszczyny.

Chodząc po tej zagrodzie, wciąż w obrębie starego, obwiezionego płotem lasu, trafiliśmy na żwirek występujący białą wysypką spod mchu, czyli że tutaj właśnie była wysypana żwirrem aleja od pałacyku do bramy białowieskiej, to znaczy do wuja Charczuna, druga aleja wiodła przez park do bramy w stronę Hajnówki, do ciotki Ani i wuja Stefana, a w rozwidleniu tych dróg stał wśród świerków żubr z lanego żelaza na granitowej płycie i postumencie, także z żelaza, w kształcie ogromnego

sarkofagu o dekoracyjnych ślimacznicach, spływających łagodnie z każdego rogu ku liściom akantu na dole. Na frontowej ścianie, zwróconej w stronę pałacyku, utrwalono ku wiekuiestej pamięci 6 i 7 października 1860 roku dni wielkich łowów cara Aleksandra II w Puszczy Białowieskiej. A na ścianie tylnej, tzn. od szosy, miało się wszystkich myśliwych i ich trofea. Wodząc palcem po wypukłych ośniedziałych literach, mogłeś wprawiać się w kunszt czytania na imionach książąt, prynców i księżniczek o dziwacznych i trudnych tytułach obok liczb ubitej przez nich zwierzyny. A cały postument był na wysokość wzrostu dwóch pędraków w wieku indiańskim, tak że gdy jeden stawał na drugiego, to sięgał ręką do kopyta żubra, powiedzmy ówczśnie, bizona, podciągał się pod ogon, wlażyć należało po ogonie, od zady, by potem przesunawszy się po grzbiecie do grzywy klepnąć gołymi piętami straszne czarne zwierzę po łopatkach i pędzić ponad świerkami, ponad szosę z bojowym, krew mrozącym okrzykiem achturhaj!

Przez wszystkie lata towarzyszył nam w Zwierzyńcu Żelazny Żubr. Każdego prawie dnia jeździliśmy na nim. Kiedy się było małym, wlażyło się nań dla samej przyjemności wdrapywania się i ryzyka nie bez pewnego dreszczu, czy się noga nie opnie na postumencie. Żubr nie nastawiał jeszcze rogów kontra, nie spoglądał w stronę domu z ową wyzywającą wzgardą, jakiej nabył później. W tym domu pachnącym żywicą i świerkiem (żywica bursztynowymi kroplami polśniewała na belkach sufitu, na deskach ściennej boazerii, a puszyste gałęzie choiny do wycierania nóg leżały zawsze na schodach i na każdym progu), w ciemnym, wielkim domu, gdzie cienie i głosy szły za tobą dłużej i bardziej znacząco niż na pokojach zamkowych, miało się jeszcze sporo miejsca do poznania i spenetrowania. Przede wszystkim podziemia, rozległe korytarze, trzy piwnice, jedne zamknięte, jak te na wino i ta na flagi, pochodnie, festony i inne galowe rekwizyty, a inne piwnice otwarte, zawałone rupieciami, kopalnie bezcennych rzeczy i odkryć. Następnie zakazane komnaty carskie, do których można było dostać się tylko wtedy, gdy je wietrzono i odkurzano. Spiżarnia babki, kapliczka boskich przysmaków – kiedy się tam szło od faski do faski, od słoika do słoika, to jakże trudno było ocknąć się z ekstazy słodkiego palucha i umknąć w porę. Gabinet dziadka – tu się brało lanie i dobre rady i tu się dopiero czuło mężczyzną, w tym zapachu cygar i skóry, między rzędem flint i sztucerów za szkłem a wiązką kordelasów i trąbek na ścianie, w obecności wielkich książ z obrazkami w najżywszych kolorach o wszyś-

ciutkich zwierzętach i ptakach, o każdym drzewie i każdej roślinie. Poza tym w gabinecie dziadka można było wywołać głosy ludzi i zwierząt, bo na biurku stało dębowe pudełko telefonu z korbką, i na półeczce leżały różne waby, wabiki, odzywające się rykiem jelenia albo popiskiwaniem sarny, albo zającem, który kniazi żałośnie z bólu i przerażenia... A na samym strychu spoczywały w kurzu i zapomnieniu pamiątki po zbójach leśnych – oszczepy, żelaza i strzelby, przeważnie swojskie, wsiowej roboty, każda z drewnianą metryczką na drucie, nazwisko kłusownika i numer sprawy. To między innymi gdzieś tam w kątku. Cały ogromny strych zalegały trofea myśliwskie, zwały rogów łośi, żubrów, jeleni, danieli i kozłów, dzicze kły, skóry żubrów, wilcze, rysie, borsucze – starczyłoby tego na wyposażenie kilku dobrych muzeów łowieckich. Zakradaliśmy się tam z moim druhem i rówieśnikiem, Bolkiem, synem Bolesława, stangreta. Przełaząc po belkach pułapu nad zamkniętymi na kłódkę drzwiami, braliśmy z tego skarbcza co trzeba do naszego wigwamu na dnie parowu między stawem a wędzarnią. To się działo już po paru latach, tyle trwała droga na strych, do pełnej sprawności rąk i nóg.

Spenetrowany po wielekroć do ostatniej komórki dom stawał się ciasny i nudny. Już się odkryło Amerykę i Old Shatterhanda, świat wielkiej przygody upajał i wabił, i żubr zerkał już w stronę domu z wyraźnym przekąsem. Na żubra szło się teraz jak po narkotyk ucieczki i pędu. Wystarczyło siedząc okraciem na potężnym karku unieść głowę i patrzeć na mknące po niebie obłoki, a wierzchołki świerków uciekały w tył, ziemia zaczynała falować do rytmu żelaznych kopyt w galopie, mąciło się w głowie od myśli goniących niemożliwe rzeczy, które raptem stawały się możliwe, i serce się tłukło za wolnym stepowym wołaniem: achturhaj, achturhaj... Choćbym teraz puścił Fiata po ostatnią kreskę tachometru, nie zaznam nigdy takiej łaski pędu, takiego stanu wyzwolenia.

Dom, jak powiedziałem, coraz bardziej stawał się ciasny i nudny, zachował jednak pewne, wciąż atrakcyjne enklawy, jak kuchnia i taras.

W kuchni zawsze coś się działo ciekawego, jak nie na stołach ciągnących się wzdłuż ścian, to przy piecach, a było ich dwa, chlebowy i zwykły, do gotowania, jak się nie piekło pod blachą czy na roznach, to się robiło wędliny albo sery, masło, marynaty, kiszonki, solonki, konfitury, nalewki, skubało się gęsi, perliczki, indyki. Raz, pamiętam, na pół oskubane indyki ocknęły się na stołach i wrzasnąwszy piekielnie skoczyły przez

okno. Jak się później okazało, leżały na podwórzu zalane w pestkę po zjedzeniu wyrzuconych ze spirytusu wiśni, a dziewczęta myślały, że indyki padły, i żeby choć pierze uratować, zaczęły je skubać... W kuchni zawsze był ruch i gwar. Rej wodził Paweł, który właściwie nie należał do babińca, należał do męskiej, dziadkowej służby, ale niewiele mając pracy przy dziadku pomagał babci i najczęściej gadał w kuchni wśród dziewcząt, przygadywał sobie każdą nową, młody i przystojny, brał je wszystkie po kolei, ale żadnej nie zrobił dziecka, chodził więc w glorii podziwu i zaufania. Opowieści jego, ucieszne bądź straszne, nosiły znamiona realizmu romantycznego i były fascynujące, jak dajmy na to o dwóch takich spod Prużan, co poszli w diabły – niby to wyjechali do Ameryki, a naprawdę oni, ci dwaj chytry bracia, zamieszkali w loszku na cmentarzu tuż przy brzeskim trakcie i stamtąd nocą wypadali w koźlich skórach, z rogami, w żelaznych rękawicach z nożowymi pazurami na trzy cale, którymi mordowali podróżnych; oczy im się jarzyły zielonym ogniem, do tegoż jeszcze jeden z braci huknął, a miał taki bas, że jak huknął, to nieraz koniom popręgi pękały i już każdy kupiec mdłał. Nabrali złota i wszelkiego majątku aż po pawlacz loszku, wtenczas jeden z braci kupił sobie młyn koło Browska, a drugi, co wszystko przepułał, tak że został mu ino bas, wkręcił się na diakona do perełuckiej cerkwi i tamuj teraz huczy *hospody pomituj*... Wiele chwil zasłuchania dał mi Paweł, wyświadczył też niejedną drobną przysługę i raz dotkliwie mnie skrzywdził, zarzynając na moich oczach różowego prosiaczka w sposób popisowy i na wesoło, jak gdyby zamiast rzeźnickiego noża miał smyczek i wodził nim do taktu rzeźwej piosenki – brzydziłem się i unikałem potem Pawła, mdliło mnie na wspomnienie tych konwulsji i charkotania i wiele lat musiało minąć, nim mogłem jeść prosiaka... Zgoła inny rodzaj narracji prezentowała Paraska, niania u nas w rodzinie od najmłodszych lat i pierwsza kuma bożogrobskiej baby Genowefy. Łakomczuch nie z tej ziemi, wyżywała się w mękach starców bożych po pustelniach. Twarzyczka jej, suszona ulęgałka, kraśniała z lekka i zmętniała oczka nabierały niemalże lubieżnego blasku przy żywotach świętych, których sens i rolę przy Panu widziała na obraz i podobieństwo własnej służby u swych państwa, a już posty czterdziesto i czterodniowe bez kropelki wody i inne głodne kawałki z pasjonatów to by łyżkami jadła. Opowieści jej, jak wszystkie twory dogmatycznego idealizmu, tchnęły błogością i nudą, zmuszały jednak do przelotnych refleksji na temat duszy, co to jest właściwie, para czy światełko? o tamtym świecie, jak

on wygląda naprawdę? i czy można zostać świętym na jakiś czas tylko, żeby nie stracić raju w niebie ani życia męskiego na ziemi?

Wszyscy oni, Paweł, Paraska i dziewczyny, byli traktowani przez babcię jak duże dzieci. Serio rozmawiała z Bolesławem i Żydem Torboczka i im wolno było przy niej siedzieć.

Bolesław zjawiał się w kuchni rzadko, należał do męskiej obsady, z jego relacji babcia dowiadywała się o bieżących sprawach dziadka, bo dziadek milczał, i co się dzieje u jegrów, w tych starych leśnych rodach Bałabońców, Sawickich, Kiczka-Jłów, Hryńczuków, jako że blacha i zagroda strażnika łowieckiego przechodziły z ojca na syna, dopływ świeżych kadr występował sporadycznie, zazwyczaj wówczas, gdy objawił się jakiś fenomenalny i nieuchwytny kłusownik, to się brało go na jegra. Jeśli wśród nich lub na wyższym szczeblu, w środowisku oberjegrów, zdarzały się spory, zatargi lub rozgrywki o karierę, Bolesław bezbłędnie oceniał sytuację i ewentualne wyniki z wprawą rutynowego kibica, sam nie miał ambicji i do niczego nie dążył. Wysoki, postawny, o czarnych sumiastych włosach i twarzy rzeźbionej zuchwale ostrymi bruzdami, smętnej w ostatecznym wyrazie, trzymał się z jakąś staroświecką dystynkcją. Nie zapominał, że jest stangretem, ale równie dobrze pamiętał, iż nie z chamów się wywodzi, tylko ze szlachty i w malowanej skrzyni ma pożółkłe rycerskie papiery.

A rudawy, pejzaty Torboczka, rozwożący na swej taratajce towary i wiadomości, byłby pociesznym zjawiskiem, gdyby się był nie wynurzał z żydowskiego świata, pełnego lęku i kontrowersji. Żydzi to bezecny naród, mówiła Paraska, Pana Jezusa wydali na męki; Paweł ukazywał tę samą bezecność w bardziej aktualnych aspektach, że nie piją, nie bawią się, nie myją, polować ani wojować nie potrafią, z kobietami żyją ledwo-ledwo i tylko myślą, jakby oszukać, tylko interes i sitwes idzie im do głowy, a wszystko dlatego, że kutaski mają obrzezane. Straszne. Ale czemu w takim razie babcia go lubi? Ufa mu, zaopatruje się we wszystko u niego na słowo, płacąc gotówką raz do roku po Bożym Narodzeniu, kiedy Torboczka wyjmuje swój postrzępiony, zwinięty w rulonik zeszyt. Torboczka siada przy niej, uprzednio podwinąwszy delikatnie chałat na znak, że w pełni docenia ten zaszczyt, bawi ją swymi opowiadaniem, a wie wszystko, co się dzieje od Prużan do Bielska, i po każdej opowieści przebieierając palcami w zmierzwionej bródce umie wyiskać odpowiednią sentencję, jest bystry i niezmordowany, moknie, marznie w koszu taratajki, chodzi w starej kapocie, a dzieci – to babcia podnosiła z uznaniem, wskazującym palcem

do góry – dzieci kształci w gimnazjum.

Pośrodku takiej oto kuchni z epoki wędlin domowych, przędli i różna, w głębokim fotelu królowała matka rodu, nasza na wół sparaliżowana babcia. Spódnica jej, spływająca kłoszowo na podłogę, ruszała się od kotów, które tam chodziły i mruczały, a dłoń na kolanie unosiła się i opadała nieustannie w rytmie pulsu, miało się wrażenie, iż unosi się podrzucona czymś i opada bewładnie jak zamszowa klapka. Mama mówiła, że to z nerwów, za dużo babcia myśli. Musiały to być niespokojne i ciężkie myśli, tak mi się wtedy zdawało i teraz, kiedy próbuję ją zrozumieć. Jedenaście porodów i poronień, trzy gospodarstwa i groby kilkorga dzieci miała za sobą i w sobie i jeszcze tę młodą emancypantkę z Welehradu, która wierzyła, że chce to móc, będzie miała życie wartkie i ładne wśród ciekawych ludzi i spraw, a niegłupia to była dziewczyna, wcale nie, dobrze sobie poczyniała w ruchu młodoczeskim, słuchano jej chętnie na zebraniach i jeszcze chętniej czytano, co pisała, masz talent, Františko, i umiesz sobie radzić, mówiła Karolcia, sławna później Karolina, przepowiadała piękną przyszłość. Ale poszła za miłością w lasy, zapadała w lasy morawskie, spalskie, białowieskie, coraz bardziej matka i żona, wzorowa, coraz mniej sama swoja na własne pragnienie, opadła w końcu pośród zwierzyńskich nocy i dni. Dzień jeszcze można jako tako przepędzić, ale noce... Noce w puszczy są wszystkie niedobre, i te zimowe, dmące śnieżną zamiecią, i jesienne, gdy rozognione jelenie ryczą dokoła, i te letnie w księżycowej, widmowej poświacie – wszystkie noce są straszne dla starej kobiety, którą dręczy niemoc i samotność. Jest sama jedna w pustych do końca ciemnościach, nie ma nikogo, jak gdyby nigdy nikogo nie miała i wszyscy, którymi wypełniała życie, byli snem, dwie córki, trzech synów, czternastu wnuków i mąż, piękny Józef, śpiący u siebie zdrowym, twardym snem, tęgi staruch, siedemdziesiąt lat, a wciąż mężczyzna, kobiety mają jeszcze z niego pociechę... Ano tak, chce to móc, moja ty Františko, bodaj by cię nigdy nie było, nie pytałabyś się natrętnie w języku młodości – *řekni, babičko, jak se to jmenuje? Neviš?* – Babcia nie wie. Chwytając się poręczy łóżka i krzesła sunie do apteczki w rogu i drżącą ręką leje do szklaneczki dereniówkę na dobranoc temu wszystkiemu, by nie myśleć, nie słyszeć szeptu Františki, jak się nazywa takie życie – *bublina, neco pekného jen na pohlad, babičko, planá řeč, marná naděje...*

W takim dramacie widzę ją teraz, gdy dawno spoczywa na cmentarzu wysoko nad Wołgą i miastem, w którym urodził się

Lenin. Nie sędę, by się mogła tym wzruszyć, zważywszy natomiast, ile w swej wędrówce zaznała obcego i dziwnego, można by powiedzieć, iż taki grób pasuje do jej życia, jest poniekąd w jej stylu. Ale w czasach, przy których jesteśmy, babcia z trudem wprawdzie, jednakże rządziła jeszcze domem, na noc do poduszki popijała, dziadek żył swoimi sprawami; gdy wracał, w domu robiło się ciszej i nieco trwożniej. Mama po zgonie ojca wciąż nie mogła przyjść do siebie i chociaż czyniła wszystko, co do niej należało, zajmowała się nami i pomagała babci w gospodarstwie, była przy tym wszystkim jakby nieobecna, a ja wymyślałam się na Żubra i dalej, niestety w coraz gorsze regiony.

Wagner, były oberjeger, znakomity myśliwy, oprowadzając wycieczki opowiadał nieraz o dziadku i, jak mi doniesiono, wspominał czasem mnie, że stary Newerly miał niemożliwego wnuka, który zerwał kabel telefoniczny od słupa do słupa, strzelał z rewolweru do bony, spuścił wodę ze stawu, uprowadził bydło dróżnika i tym podobne miał niepoczytalne wybryki, aż się wierzyć nie chce, że się uchował i nawet książki pisze. Drogi panie Wagner, tak chciałbym sprostować, prawda, robiłem to wszystko, nieprawdą natomiast jest, jakoby to była zabawa. Ja się nigdy niczym nie bawiłem, na tym polega moja wina i poniekąd nieszczęście. Uciąłem kabel, owszem, ale to nie był niepoczytalny wybryk, przeciwnie, jak najbardziej poczytalny, bo jeśli się chce mieć nie zabawkę, lecz prawdziwy łuk, i jeśli ktoś mądry, dajmy na to stangret Bolesław, zdradził tajemnicę łuku wieków średnich i już się go zrobiło według najlepszej receptury z dobrze wyparzonej buczyny, to trzeba mieć równie prawdziwe groty i strzały, a gdzie lepszy surowiec niż carski kabel telefoniczny, dwukrotnie grubszy kabel i bez porównania twardszy od dzisiejszych przewodów, na których bujają się jaskółki. Poza tym zważmy sprawiedliwie okoliczności łagodzące: po pierwsze czasy, kiedy to się działo, cholernie nudne, nieruchawe czasy, szczególnie dla młodzieży, po drugie miejsce, gdzie się to działo, dwór pośrodku puszczy czy też puszczańskie, zamknięte na głucho obejście, do którego świat docierał jednym tylko drutem, i, choćbyś nie wiem jak kręcił korbką, odezwie się Białowieża, i znowu Białowieża, i zawsze tylko Białowieża, taka łączność sama się prosi, zerwij mnie, ciachnij cączekami, nie wiadomo kiedy to się wyda, nie wiadomo kiedy będzie lanie... A co do stawu, to znowuż nie zabawa, ale ciężka do siódmego potu praca, cały tydzień kopaliśmy z Bolkiem rów odpływowy, by spuścić staw i podnieść z dna owe złote karpie, które babcia, kiedyś zapuściła, a których nikt potem nie widział... Bydło

stróżnika, dokładnie mówiąc dwie krowy, dwie świnki, pięć gęsi, żreback i kot, zgoda, ale gdyby pan, panie Wagner, słyszał wycie obdzieranego psa i odgłosy kija, którym go tłukł ten strażnik, aż zatłukł na śmierć, bo potrzebował psiej skóry, to by pan tak samo powiedział sobie, nie, taki drań nie może mieć żadnego stworzenia! I nie zaznałby pan spokoju, póki nie wprowadziłby wszystkiej jego żywiny z obejścia daleko na łąki śródleśnej wioski Budy, żeby dobrzy ludzie między sobą rozebrali to stadko. A do bony z rewolweru nie strzelałem, to przesada, myśmy tę zołzę tylko przywiązali do sosny nastraszywszy rewolwerem i poszliśmy, Włodek i ja, do lasu z czternastoma nabojami i to był najgłośniejszy nasz dzień, po którym mama załamała ręce, nie dam rady z tym chłopcem, powiedziała, nie wychowam go bez męskiej ręki... Ileż to razy marzyłem o podobnym spotkaniu, przyjeżdżam do Białowieży, wciskam się w tłumek turystów posuwających się za Wagnerem po muzeum, słucham, potem dopiero na stronie, niech pan daruje, drogi panie, ale to nie były dzikie zabawy, ja się nigdy niczym nie bawiłem, nie umiałem na niby, dotknięty byłem pasją autentyzmu. I oto teraz, gdy przyjechałem tu z synem, to się okazuje, że Wagner nie żyje, nie ma nikogo, kto byłby ciekaw wiedzieć, ile taki chłopak zawdzięcza owej pasji, a ile się nacierpi z tego powodu, że wciąż bierze serio to, co inni od dawna traktują na niby.

Skoro mówimy o tym, co w dzieciństwie rzutowało później w jakiejś mierze na dalsze lata, warto zatrzymać się i przy tarasie, o którym wspominałem już, że go lubiłem na równi z kuchnią, tylko jeśli w kuchni działały się ciekawe rzeczy w kręgu domowników i codziennych spraw, to ten narożny taras na pierwszym piętrze, osłonięty z obu stron dzikim winem jak altana, był miejscem szczególnych wydarzeń. Wydarzeń nie bez znaczenia dla mnie chociażby dlatego, że tu spotkali się niegdyś rodzice. W niedzielę i święta, o ile dzień nie wypadł zbyt chłodny, jadało się tu śniadanie i kolację, przyjmowało gości. Kiedy dziadek chciał sprawdzić, jak bije broń albo czy nie rozregulowała się luneta, to z tego tarasu strzelał do tarczy ustawionej w oddali przytępanej grubej sośnie. Podczas najjaśniejszych odwiedzin, gdy nie wolno nam było wychodzić z domu, z za tego wina na tarasie przyglądaliśmy się koronowanym gościom, którzy bez koron tam na ziemi wyglądali zwyczajnie, a niektórzy wprost kukielkowo, car taki mały i niezgrabny, a wielki książę, jego stryj, jeszcze bardziej tykowany, z jeszcze większą końską szczęką, istny kościej, kościany dziadek. To było okropne rozczarowanie, przeżycie

trwałej mocy, prysł bajeczny urok majestatu i na zawsze w spojrzeniu na panujących pozostało coś z tamtego tarasu. Następca tronu Aleksy, chłopak trochę młodszy ode mnie, budził litość, że daje się ubierać z dziewczynska w jedwabne szmatki i koronki jak zbita kremowa pianka, a przecież mógłby nosić mundur swego pułku, Piątego Pułku Grenadierów Kijowskich imienia cesarzewicza Aleksego, na miłość boską, ma swój pułk, dowódcy batalionów i kompanii meldują mu się na rozkazy, a on nigdzie ruszyć się nie może bez piastuna, ogromnego marynarza, który chodzi za nim krok w krok. Pojąć nie mogłem tej jego głupiej bieżaniny na ptasim podwórku, że on, cesarzewicz, czuje się szczęśliwy ganiając gęsi naszej babci! Ganiał niezdarne, pośliznął się na gówieńku i zdarł skórę z gołego kolana. Każdy normalny chłopak to by tylko roztań i pobiegł dalej, a jego piastun zaraz chwycił na ręce i co tchu poniósł do babci, babcia nie mogła zatamować krwi, przybył nadworny lejb-medyk, ale i on nie potrafił, więc czym prędzej do Petersburga, do świętego starca, o którym mama powiedziała coś do babci z grymasem obrzydzenia, w ogóle w rozmowach i gazetach tyle było szumu dokoła tego kolanka, całe imperium trzęsło się i ja już nie chciałem być carewiczem. A kiedy po paru latach dowiedziałem się, że zostałem zastrzelony w piwnicy na kolanach ojca wraz z całą rodziną, z lejb-medykiem i tym piastunem-marynarzem, to się wzdrygnąłem. Za co? Za winy rodziców?... Ależ dosyć nacierpiał się przez nich w okrutnej pałacowej niewoli, ze wstrętą chorobą na domiar, może tyle tylko użył sobie, że poganiał gęsi naszej babci. Kiedy się ma szesnaście lat i rewolucję w duszy jak wieszczy dzwon historii, jak objawienie święte, jakże trudna i bolesna, i osobista staje się rozterka, czy można zabić dziecko z czystego rachunku, jeśli wypadnie dodatkowo dla rewolucji? Racje polityczne akceptują taki mord, należało go popełnić dla zdławienia kontrrewolucji, dla zwycięstwa komunizmu, jesteś po prostu nieuświadomiony, sentymentalny i miękki inteligenckim mazgajstwem, tak mówią poważne racje, a serce wzdryga się i buntuje, że to nieludzkie, a przecież komunistyczne i ludzkie nigdy, za żadną cenę nie powinny kłócić się ze sobą.

Pierwsze doznanie pisarskie przeżyłem również na tym altanowym tarasie. W księżycowy wieczór wczesnej jesieni, gdy las tchnął już winnym zapachem tlenu i z głębi puszczy dochodziły wzbierające porykiwania stęsknionych byków, wymknął mi się pierwszy wierszyk i poparzył duszę, aż się rozpląkałem, a nie byłem rzewnym chłopcem, nie pamiętam, żebym kiedykolwiek

plakał w dzieciństwie. Od tego czasu zacząłem pisywać, raz wierszyk, bazgrałem całe bruliony, zawsze kryjąc się z tym moim intymnym zajęciem i bez myśli o celu, właściwie po to, by wywołać TO. Dużymi literami T i O szyfrowałem w mojej mowie ten nienormalny stan jak błogi rausz, dający dziwny, dobry smutek i lekkość niby snu, kiedy się lata wysoko nad ziemią, a ciała nie ma, może mnie w ogóle nie ma, a może jestem we wszystkim dokoła. A że podobne odświeżające uczucie rzadko nawiedza przy pisaniu, pisanie to cholernie żmudna praca, wymagająca hartu i dużej ambicji, której mi brak, toteż niewiele napisałem i dlatego między innymi tak późno przeszedłem z amatorstwa do warsztatu, do zawodu pisarza.

Szkoda, że tak rzadko miewałem TO, energia zbyt żywej natury szła, niestety, w pomysły i przedsięwzięcia obce kontemplacji, szkoda mamy, przeraziłem ją w końcu i wpędziłem w drugie małżeństwo. Dała mi męską opiekę w osobie ojczyma, kolegi ojca, oficera tegoż pułku, który tymczasem został przeniesiony z Samary do Jabłonny pod Warszawą. W Jabłonnice skończyło się dzieciństwo. Gdy po roku wróciłem stamtąd, nie byłem już dzieckiem ani normalnym chłopcem. Znałem ból ciała, cierpienia duszy i stałem tu w tym samym miejscu przed Żelaznym Żubrem, nie wiedząc, co począć z sobą, jak dalej? Nie zawiódł, poratował w nieszczęściu...

Nasza wycieczka miała osobliwy finał. Kiedyśmy tak od wspomnienia do wspomnienia szli śladami Żelaznego Żubra za tym moim rosyjskim dzieciństwem, z białej leśniczówki postawionej na fundamentach naszego domu wyszedł człowiek w leśnym mundurze i powiedział: „Pieroznikow jestem, ale Polak”. Tak się przedstawił. Słowa i ton pobrzmiwały dziwną, niewesołą chyba historią, aż się chciało z miejsca ją chwycić, ale miałem już rutynę, nie trzeba się spieszyć, przyjdzie pora, sam się otworzy... To się stało po paru godzinach i kieliszkach, w nocy po kolacji, gdy żona jego i sarenka poszły spać, opowiedział nam swe życie pisane ciętym losem z bezbłędną, okrutną finezją, wprost do druku, ażeśmy z Jarkiem spojrzeli na siebie przez stół, to warte zachodu i to ma swoją wymowę, ta historia człowieka, który urodził się i chował na pograniczu dwóch narodów, dwóch kultur, tak samo jak ja, tylko że Polska adoptując mnie była dla mnie łaskawsza... Gdy wróć do Warszawy, pomyślałem, koniecznie muszę mu przesłać „Leśne Morze”, w sam raz dla leśnika. Tymczasem on w chwili pożegnania podał mi właśnie „Leśne Morze” – niech się pan podpisze, będę miał pamiątkę... Miły panie Włodzimierzu, nie zdajesz pan sobie

sprawy z tego coś uczynił. Kiedy niespodziany czytelnik podaje autorowi jego książkę w miejscu urodzin i w obecności syna po starcie autorskim, to tym gestem właściwie zamyka krąg życia. Chce się już tylko, po raz pierwszy to uczułem, chce się spojrzeć na nie bez żalu i osobistych kontrowersji, śledzić z chłodnym zainteresowaniem, być może przeżywać jak każdą inną fikcję.

OSTATNIE DNI POMPEI

Wojna wybuchła za wcześnie, za wcześnie o dobrych parę lat, w osiemnastym roku byłaby dla nas na czasie, ale teraz to klęska, mówił z irytacją generał mieszając łyżeczką herbatę. W rozpalonej miedzi samowara jeszcze bardziej krągło odbija jego szpakowata, strzyżona na jeża głowa i twarz jeszcze bardziej krwista, jeż na raku, myślę siedząc z naszym jamniczkiem na kolanach obok mamy w tym samym miejscu, gdzie przed rokiem podziwiałem ją w ślubnej sukni i pierwszy wypilem szampana, nim wyszła do gości przesuających się w amfiladzie kremowych pokoi. Od wina i walca dostałem potem kręćka, jakiejś słodkiej zawiejki, sufit pięknymi stiukami krążył nade mną w łagodnych wirach, gwiezdny blask prószył z kryształowych żyrandoli na ściennie lustra w złocistych ramach festonowych, w ich głębi grały oszalałe świetliki. Różowawa mgiełka zdawała się unosić nad dźwiękami orkiestry, opalizowała falując nad tłumem weselnym, wyłaniały się z niego obce twarze, oczy, uśmiechy, obce a dobre, wszyscy się do mnie uśmiechali, bo to było wesele mojej mamy, mój szampański wielki dzień, rok temu zaledwie, trochę więcej niż rok i już...

Jesienna plucha szemrze w koronach drzew Ogrodu Saskiego tuż za szybą, z nowego soboru naprzeciwko biją dzwony na *molebien* za gwardię, gwardia odchodzi z Warszawy na front, Onufry Jewsiejewicz także powinien być w soborze ze wszystkim generałami, ale jest *dieżurnym gienierałom*, może zostać u siebie, to nasza wizyta pożegnalna, wyjeżdżamy w głąb Rosji, będziemy bieżącami, Jabłonna opuszczona, nasz pułk za lasami, za jeziorami, gdzieś tam w Prusach Wschodnich, generał

mówi, że to zbrodnia ratować Paryż, rzucając na Prusy najlepsze pułki, wyginą pierwszym ogniu i przyjdzie po nich rezerwowa zbieranina. Mówi głosem ściszym, znużonym, tylko łyżeczka podzwaniając o szklankę zdradza irytację na przedwczesną wojnę i na Matyldę Wilhelmownę, która została za granicą, niedobrze, to nawet bardzo niedobrze, gdy dyżurny generał w sztabie okręgu nadgranicznego ma za żonę Niemkę i wybuch wojny zastaje ją u krewnych w Niemczech, skąd nie wiadomo jak się wydostać do Warszawy, którędy? – neutralny Luksemburg zmiażdżony, Belgia zmiażdżona, armia niemiecka wali na Paryż, może zajmie i Szwajcarię, a my nie mamy żadnego sensownego kontrplanu ani organizacji, ani zaplecza, tylko modły, bohaterskie gesty i bałagan nie z tej ziemi, reforma armii nie ukończona, przemysł wojenny nie rozbudowany, co tam mówić, moja droga, długo będziemy wojować i ciężko, niech Pan Bóg ma nas w swojej opiece, jedźcie sobie lepiej do tej mordwińskiej Pienzy i oszczędzajcie każdą kopiejkę...

Jechaliśmy – ja, Lena, Olesia z Tanią w beciku i mama w żałobie po naszym dziadku, który zmarł w pierwszych dniach wojny, to było nie do wiary, taki mocny, nikt by mu nie dał siedemdziesięciu trzech lat, taki żywotny, dopiero co kupował sobie u Kozaków konia z siodłem, nagle rak, operacja w lecznicy warszawskiej i pogrzeb nie na rangę oberjegermajstra jego cesarskiej mości, jakiś zdławiony, roztagrniiony pogrzeb w zamęcie wielkiej wojny, strzelano akurat do czegoś w niebie nad Warszawą, ludzie chowali się po bramach i pod płóciennymi daszkami u witryn sklepowych, by nie wypatrzył ich niemiecki aeroplan, a ojczym przybył na cmentarz w ostatniej chwili w pełnym bojowym rynsztunku i wszyscy raz po raz zerkali to na trumnę z dziadkiem, to znów na niego, co spieszył na front nie zdążywszy wyprawić żony i dzieci w bezpieczne miejsce – jechaliśmy właśnie do jęgo, ojczyma, rodziców w Pienzie.

Pociągi szły niemalże normalnie, z niezmaconą jeszcze flegmą, dwa razy dzwonił dzwon na stacji, dwa razy gwizdał starszy konduktor, dopiero wówczas lokomotywa westchnąwszy ciężko parą zaczynała brać pod koła niezmierną rosyjską przestrzeń. Z łomotem, śpiewem, czasem z muzyką, leciały wojskowe transporty, ówczesnie mówiąc eszelony, ogłuszały na chwilę i znów się miało ciszę i spokój, i ubogą w kolory równinę, równinę bez końca. Byliśmy przeważnie sami w przedziale, kto zajrzał – tyle bagaży i dzieci, i kobieta w żałobie! – szukał sobie miejsca gdzie indziej. Mama z rzadka się odzywała, zamyślona, wyczerpana przeżyciami i pracą ostatnich dni, kiedy wszystko

się na nią zważyło, choroba i śmierć ojca, i zwinięcie domu, pakowanie, przewiezienie mebli i rzeczy z Jabłonny na przechowanie w Warszawie, i ta wojna, którą wypadnie przeżyć gdzieś daleko w obcych stronach, wojna długa i ciężka, jak zapowiedział Onufry Jewsiejewicz, a więc tak chyba będzie, ufała mu zawsze, słuchała jego rad, nie dlatego, że generał, ale że uczciwy i mądry, i taki bliski, że prawie rodzina. Dla mnie odwrotnie – wiarygodność ponurej prognozy przemawiała rangą generalską, tak przecież myślał, tak wróżył sam *dieżurnyj gienierał* (nie wiedziałem i do dziś nie wiem, co to właściwie znaczy, jaka to funkcja w sztabie), słowem obojeśmy z mamą, skażeni jego zwątpieniem, nie mogli się poddać upojnej euforii pierwszych dni wojny. Z okna pociągu jadąc do Pienzy widziałem trójkolorowe flagi i srebrne orły bizantyjskie na mijanych dworcach, żegnano odjeżdżające bataliony i pułki, śpiewano *kol sławien*, leciały w górę czapki – hura, niech żyje! – zaciskały się wzniesione pięści – nie damy! – orkiestry grały marszowe tramtadram, dobrze, myślałem sobie, dobrze, ale wy tego nie wiecie, jaka to będzie wojna, bałagan nie z tej ziemi, armia niegotowa, fabryki nie pobudowane i nasz sławny, nasz stary pułk, najstarszy pułk w armii, bo z XV wieku, idzie na pewną śmierć dla tych Francuzów, co nie potrafią obronić swej stolicy, a jak on zginie, to skąd weźmiecie drugi taki? – zżymałem się w duchu i nieufnym wzrokiem patrzyłem na te tłumy pijane patriotycznym uniesieniem i śpieszno dopijaną monopolową, szła przecież niebywała prohibicja, Rosja stawiała do boju na śmierć i życie, sposobiała się z modlitwą, ascetycznie, i car, kładąc rękę na gorzelnie, na *kabaki*, ślubował, nie zgrzeszymy więcej pić, nie będziemy pili aż do zwycięstwa, tak nam dopomóż Bóg... A co mnie to wszystko obchodzi, mówiłem sobie, ja na wojnę nie pójdę. Odwracałem się od okna do Leny i Olesi, przytulonych, rozszeptanych, jak najbliższe koleżanki, chociaż Lena miała osiem lat, a Olesia siedemnaście, dopiero co do nas przyjechała. Mama prosiła wuja Stefana o jakąś czystą, porządną dziewczynę do Tani i wuj jadąc na pogrzeb dziadka przywiózł z Hajnówki tę czyściutką, malutką nianię z kasztanowym warkoczem do pięt, z rozmytym na smagłych policzkach pomarańczowo–karminowym jak na koksach rumieńcem. Ukończyła szkółkę parafialną, lubiła czytać, ciekawa wszystkiego, co w książkach i na świecie, w lot chwyciła nowe słowo, nową robotę, nieznanne dotąd zwyczaje i pojęcia. Z białowieskiej wsi, jaką była podówczas Hajnówka, wyniosła mnóstwo piosenek, porzekadeł, historii, jej śpiewny głosik jasnej barwy działał

na mamę kojąco – mów, Olesiu, mów sobie, to mi nie przeszkadza – przymknąwszy powieki słuchała z leciuchnym uśmiechem, zdawało się, że słucha i Tania w beciku, chociaż co może zrozumieć taki smoczek w trzecim miesiącu? Wszyscyśmy od razu polubili Olesię, weszła do rodziny niby część składowa kółka, której właśnie brakowało, rosła z nami, była u nas do końca dni dziewczęcych i odeszła zostawiając po sobie bajkę, którą potem Lena opowiadała Tani, w gniazdku nad nami wykluła się oknówka, czarno-biała, prześliczna jaskółeczka, i tak dalej. To się stało później, w osiemnastym roku, a wówczas w sierpniu czternastego, kiedyśmy dopiero zaczęli naszą wędrówkę, ilekroć miałem dość tej niewczesnej wojny, odwracałem się od okna do Leny i Olesi i czas nam lekko leciał na pogaduszkach, zgadywankach, na opowieściach, gdzieśmy się nawzajem częstowali bez wyboru, czym się dało, dziwnym i strasznym, czymś śmiesznym, czymś z życia, wydarzeniem czy przygodą...

A do Pienzy, gdzieśmy się wyładowali wczesnym rankiem, wojna jeszcze nie dotarła. Na pustawym dworcu zalatywało skądś smacznie świeżym wypiekiem, ogarniała przytulność rzeczy stałych i nieśpiesznego rytmu, nawet parowozy zdawały się posapywać w słodkiej drzemocie, doprawdy nikt by się tu nie domyślił czasu wojny, gdyby nie wielki plakat w poczekalni – mocarny Kozak skacząc wysoko nad zgłiszczami nadziewał dobrodusznie na lancę Niemca wielkości królika, w pikelhau-bie, z wąsami jak czarne, sterczące do góry kątowniki, Niemczyk wierzgał w powietrzu nóżkami i z ust jego buchał dymnymi kółeczkami napis, po sylabie w każdym kółeczku: jam, kajzer Wilhelm, kat Belgii i Kalisza!

Nikt nas nie witał, staliśmy zbitą gromadką przed kopcem bagaży patrząc na obce, tak inne miasto, i to poczucie obcości pozostało, bo i po paru latach nie mogliśmy się przyzwyczać do Pienzy, tymczasem Symbirak dał się polubić i zostawił więcej dobrych wrażeń, choć mieszkaliśmy tam tylko dwa lata, myślę, że w czternastym roku byliśmy bardziej „zachodni”, przybyliśmy do Pienzy prosto z Warszawy, kontrast był zbyt wielki, zbyt świeże wspomnienia, dopiero tu, na tle szarzyzny i zastoju, widzieliśmy całe piękno i wdzięk Warszawy, jej schludność i klimat jakiejś rzeńskiej lekkości. A Pienza była przede wszystkim ciężka w sobie i bez żadnej gracji. To miasto dźwignąwszy się kopułą katedry spływało bezwładnie ze wzgórza ulicami z początku prostymi i głębokimi na dwa, trzy piętra, potem ulice wykrzywiały się, supłały w zaułki i rozpadały się na sady, płoty, parterowe i piętrowe drewniaki. Asfaltowe lub ceglane chodniki

miała tylko dzielnica pryncypalna, a i tam kołowy ruch był taki, że chłopcy mogli grać na jezdni w „kozny”, przepuszczając od czasu do czasu przejeżdżającą dorożkę. Tramwajów ani aut nie znano. Poza centrum miasta chodniki wyglądały jak kładki, były bowiem z desek na podłożonych okrągłakach. Na głównej ulicy, Moskiewskiej, znajdowało się trochę większych sklepów z wystawami, dwie apteki, iluzjon i fotograf, czyli salon. Na budowę teatru dopiero zbierano. Co jeszcze? – biblioteka publiczna, sad archijerejski, dwa klasztory, dwie czytelnie bezpłatne przy sklepach spółdzielców, sporo szkół parafialnych, seminarium duchowne, szkoła malarska, kilka gimnazjów męskich i żeńskich – słowem, pospolite miasto gubernialne, 70.000 mieszkańców, w tym zaledwie parę tysięcy robotników zatrudnionych w warsztatach kolejowych i drobnych zakładach przemysłowych na peryferiach, w osiedlach podmiejskich, miasto raczej handlowe, z przewagą kupców, urzędników i strasznych, prosto od Gorkiego, mieszczan. A królową ich, wykwitem pierwszej klasy, była nasza przyszywana babka, to znaczy matka ojczyzna, Anastazja Polikarpowna, panująca na parterze kamienicy generałowej Bondarenko przy ul. Sadowej.

Charakteru i poglądów Anastazji Polikarpowny nie kształtowały przeciwności losu ani wielkie namiętności, ani broń Boże nędza, młodość jej upłynęła pogodnie w urzędniczej rodzinie pod słonecznym niebem Besarabii, dokładnie w Kiszyniowie, taka już się urodziła i jeśli w niemowlęctwie nie kęsała piersi matki, to tylko dlatego, że maleństwo jeszcze nie wiedziało, jak to się robi, by mleko ciekło mimo kęsania, co później stało się programem i treścią życia. Ale gdyby tylko to i nic poza tym, to by sobie panowała w domu zadręczając męża i dwóch synów, zajmowałaby się dyskretnym podbieraniem interesantów i podprzedsiębiorców męża jakąś tam godziwą, drobną łapką, i w przystępach kostycznego humoru folgowalaby sobie w niewybrednie chamskich kawałach, powiedzmy, częstowała wynajętą do prania babę przede wszystkim śledziem i jeszcze raz śledziem, żeby potem biegała pod kran i nie mogła jeść do syta – otóż gdyby takie tylko hobby, byłaby Anastazja Polikarpowna zwykłą piekielnicą, nie zaś jędzą bizantyjską, jak ją przezwaliśmy później, po zetknięciu się z historią cesarstwa wschodnio-rzymskiego, gdy przymiotnik bizantyjski znaczył tyleż, co super, coś przepysznego, nadziemskiej niemalże wielkości i potęgi. A nasza Anastazja Polikarpowna naprawdę była super w swoim rodzaju. Okazałej budowy i pobożnego serca, oddawała się dobroczynności, jeśli zatem brała, to brała na

sieroty, na klasztor, na wdowy po poległych, i to nie zawsze wprost do ręki, nieraz radziła, złóż pan te 200 rubli na klasztor i pomódl się do św. Sergiusza z Radonieża, by wysłuchał twej prośby i tak się jakoś później składało, że Wieniamin Lwowicz, święta dusza, niczego się nie domyślając, robił z natchnienia żony to, o co prosił petent, a matka-igumena przysyłała cenne dary z pracowni klasztornej lub z majątku rolnego. A ileż diabelnej przemyślności, ileż kociej zręczności wykazywała przy igraniu z ludzkimi uczuciami, z zawiścią, strachem, nienawiścią, zwłaszcza z nienawiścią, jaką się nawzajem trapił kolegialny asesor Lubieznyj i asesor Gulajew. Powiedziałem, że panowała zdręczając męża i synów. To niezupełnie tak. Nie zdręczwała – ona ich wyniszczała, a oni, krzywdzeni i niszczeni, kochali ją i byli jej wdzięczni jak poganie swym bóstwom życiodajnym, jak chrześcijanie Opatrzności. Tego w żaden sposób pojąć nie mogłem i w tym między innymi widziałem jej bizantyjskość. Starszy syn, także oficer, popełnił samobójstwo, bo ona się nie zgodziła na jego małżeństwo z modystką, niech sobie wybije z głowy tę głupią, niestosowną miłość, te słowa wziął jak rozkaz, więc kulę w skroń, mało tego, jeszcze prosił o przebaczenie, tłumaczył się w ostatnim liście, że kocha je obie, matkę i tę modystkę, żadnej z nich nie może stracić... W salonie wisiał jego portret. W półmroku, bo okna tam były przestonięte, żeby gobeliny i dywany nie płowiały, patrzył z czarnych ram dziwnie bladą twarzą na ten nie przewietrzany pokój, na paradne meble w pokrowcach, zdejmowanych dwa razy do roku, patrzył z wysoka i dalekim, ledwo dostrzegalnym uśmiechem zdawał się kwitować ciszę opuszczenia, kurz, całą wystawną brzydotę, on, na zawsze młody i piękny, pierworodny Wieniamina Lwowicza, ta sama delikatna łagodność rysów i wyraz zamyślenia, może melancholii – serce mi się tłukło z żalu i oburzenia, człowieku, myślałem, coś ty mądrego zrobił, dla kogo? dla takiej jędzy?!

A Wieniamina Lwowicza ona także zniszczyła, tylko w inny sposób – zabijając artystę. Malarze są zawsze brudni i biedni, nie wyjdę za pana, tak go niegdyś odpaliła, i Wieniamin Lwowicz rzucił akademię sztuk pięknych, przeniósł się na architekturę, piął się dla niej, Anastazji Polikarpowny, potem razem z nią, po szczeblach urzędniczej kariery, gubiąc po trochu siebie, tak że na ostatnim szczeblu żył już sam wicmundur, co rano wkładał go schludnie uschnięty staruszek – nie mogłem się nadziwić tej metamorfozie – i wkrótce z bramy wychodził architekt gubernialny, rzeczywisty radca stanu tudzież kawaler orderów przynależnych do takiej rangi i wysługi lat. Czasami, w

owych z rzadka kradzionych chwilach, gdy zostawał w domu sam, radca stanu brał paletę, ruchami nałogowca rozcierał farby i zaczynał malować popatrując w okno, czy ulicą Sadową nie wraca już Anastazja Polikarpowna. Myślę, że i rysunku uczył mnie chyba z tej samej nostalgii za utraconą paletą, mógł wtedy poprawiać kartony niezdolnego ucznia, rysować i mówić o sztuce, mógł pokazywać własne młodzieńcze prace, szkice i portrety kolegów, patrz, to Wasia, teraz akademik, sława, powinieneś już wiedzieć, kto to taki Wasyli Iwanowicz Surikow... Był wzruszający i tragiczny jak babcia Newerly, podobieństwo ich losów i natury rzuciło się w oczy. Szkoda, że się nie spotkali. Snułem na ten temat fantazje, roiłem ich spotkanie, młodej Franciszki z Pragi i studenta Wieniamina z Petersburga, byłem pewny ich szczęścia, potem, w miarę upływu lat powziąłem niejake obawy, nie o to, jak by im się powodziło materialnie, nie, przy pomysłowości i zaradności babci biedy by nie zaznali, ale może zebrałoby się im w końcu na nudności z nadmiaru dobroci i braterstwa dusz, od jednakowych upodobań i życia dwojga artystów, może dla szczęścia Wieniamina potrzebna była właśnie Anastazja, jadowity utrwalać. Nigdy zresztą nie prosił o inną kobietę, nigdy się nie skarżył, a że nie został malarzem, trudno, życie chciało inaczej, wola boska, wcale nie Anastazji, nawet myśli o tym nie dopuszczał i kochał ją do zgonu, była dla niego całą urodą życia, w młodości i wówczas, gdy on był schludnie uschniętym staruszkim, a ona fenomenalnie zdrową, starą babą ciężkiej wagi. Czy była kiedyś piękna? Nie potrafię sobie tego wyobrazić, nie widziałem jej podobizn z panięskich lat. Kiedy się ubrała wychodząc na miasto albo, jeszcze lepiej, w owe dni galowe, gdy zdejmowano z mebli pokrowce i odsłaniano okna w salonie, który zappełniał się gośćmi, a przedpokój rzędami czarnych, lśniących kaloszy firmy „Prowodnik” z mosiężnymi inicjałami właścicieli w środku, wtedy i owszem, uczesana, upudrowana, w ciężkiej sukni z ciemnozielonego aksamitu, z koronkowym szalem na ramionach, wyglądała majestatycznie, bazyliissa z Pienzy. Ale na co dzień nie dbała o siebie i po domu chodziła kłapiąc papuciami, niechlujna, rozlazła, dosadnie mówiąca klabzdra.

Na dobrą sprawę powinienem tonować zło, zapiekle słowa, mimo wszystko coś Anastazji Polikarpownej zawdzięczam – pierwszy czarny płomień, pierwsze uczucie buntu i pogardy, co na równi z miłością dobrze nam robi w młodych latach. A wybuch, jaki nastąpił, pozostał wydarzeniem historycznym w życiu naszej rodziny, odtąd przestałem być dla mamy dzieckiem.

Zamieszkaliśmy, jak tego sobie życzył ojczym, u jego rodziców. Anastazja Polikarpowna jeszcze się nie dała poznać, z Wieniaminem Lwowiczem natomiast stosunki układały się jak najlepiej. Wyraźnie polubił mamę, a i do mnie powziął chyba sympatię, skoro podjął się przygotować mnie do egzaminu i rzeczywiście przez cztery miesiące uczył sumiennie, potem zaproponował lekcje rysunków. Po Nowym 1915 Roku zdałem egzamin do drugiej klasy drugiego gimnazjum męskiego przy ulicy Lekarskiej i od mego przybranego dziadka, Wieniamina Lwowicza, otrzymałem w nagrodę zegarek. Z Anastasją Polikarpowną coraz trudniej było wytrzymać, wytrzymywaliśmy jednak, tak że jeszcze na Sadowej obchodziliśmy w marcu moje urodziny, a w kwietniu to się stało.

Anastazja Polikarpowna znenawidziła mamę od pierwszego spojrzenia nienawiścią spontaniczną i czystą, bez wzajemności, zupełnie bezinteresownie. Nie mieliśmy żadnych spornych spraw czy interesów i nie byliśmy ciężarem. Pensja, jaką mama otrzymywała za ojczyma na froncie, całkowicie wystarczała na życie, poza tym przypadło coś po dziadku, tak że byliśmy niezależni materialnie, a za mieszkanie mama zaproponowała komorne, co zostało przez Anastazję Polikarpowną przyjęte. Było to, myślę, uczucie instynktowne i atawistyczne, nakazujące nienawidzić istoty innego gatunku. Wszystko ją w synowej drażniło, wszystko wytykała, a to, że ubiera się zbyt elegancko, a to, że nie umie domu prowadzić oszczędnie odkładając grosz do grosza, a to, że czas marnuje na czytanie (sama Anastazja Polikarpowna żadnych książek nie czytała), znajomości zawiera bez wyboru, dzieci rozpuszcza i tym podobne przytyki, a kiedy dobrała się i do Olesi, że chamka i kradnie, to mama to ucięła, niech Anastazja Polikarpowna da spokój i nie wtrąca się do naszego życia. To było dla niej nie do pojęcia. Nie była przyzwyczajona, nie znała opozycji. Wpadła w pasję, w nałóg ekscytowania się naszymi sprawami, podpatrywanie nas stało się jej obsesją. Pewnego dnia wykryła, że mama poszła do kościoła, bo była w Pienzie parafia katolicka i kościółek przy tejże ulicy, gdzie moje gimnazjum. Z miejsca wszczęła indagację, więc to ty, prawosławna, modlisz się w kościele? Wytłumacz się, wytłumacz, proszę ja ciebie! A mama nie chciała się tłumaczyć. Bo z czego i przed kim? Musiałaby powiedzieć, że jej ojciec przeszedł na prawosławie jedynie ze względu na karierę, a ona nie wyłamała się z tego akcesu rodziny ze względu na Mikołaja, którego właśnie pokochała, małżeństwo oficera z katoliczką nie było zakazane, było jednak źle widziane, że

jakkolwiek nie uchyla się od elementarnych praktyk prawosławnych, to jednak czasami, gdy całą duszą chce się pomodlić, idzie do kościoła; wprawdzie Bóg jest chyba wszędzie ten sam, ale nie wszędzie ma się tę gotowość duszy, te wzruszenia, co w tłumie takich samych uchodźców z rodzinnych stron, przy organach i dźwiękach pachnącej dzieciństwem łąciny... Naturalnie nic jej nie powiedziała (żeby skończyć z tą sprawą – zaraz po rewolucji mama wróciła, jak to się mówi, na łono Kościoła katolickiego). Milczenie mamy rozjątrzyło Anastazję Polikarpowną do tego stopnia, że straciła głowę, a nie było w jej zwyczaju unosić się i tracić panowanie nad sobą. Wsparta pod boki natarła z grymasem obrzydzenia, „Polaczka, Polaczka!”, wykrzykiwała, jakby przyłapała synową na jakiejś ohydzie, i już ostatnim tchem rzuciła jeszcze jedno, plugawe słowo. Wyrwałem taboret, na którym akurat siedziałem, to się działo w kuchni, kuchnię mieliśmy wspólną, chwyciłem oburącz taboret i cisnąłem z taką furją, jaka potem w życiu napadła mnie tylko raz, w latrynie kacetu przy ostatnim spotkaniu z kapo Hetmańczukiem. Taboret trzasnął o kredens o parę cali od głowy Anastazji Polikarpowny, ta przysiadła złapawszy się za czoło draśnięte odłupaną deszczyną, a ja już miałem w ręku tasak i jedno jedyne pragnienie: zarąbać jędrę! Mama rzuciła mi się na szyję osłaniając teściową, która wyskoczyła z kuchni i gdzieś tam w głębi mieszkania zwaliwszy się na otomanę wzywała pomocy.

W trzy dni potem wyprowadziliśmy się. Zamieszkaliśmy w jednym z trzech drewnianych domów zamykających rodową kupiecką posesję z pięknym owocowym sadem. Mieszkanie na pierwszym piętrze było słoneczne i duże, za duże nawet dla nas, jeden pokój mama postanowiła odnająć, pozostałe trzy miały nam w zupełności wystarczyć. Kuchnia, piwnica i drewnitnia znajdowały się na dole. Tania wyrosła z becika, ale jeszcze nie chodziła, Olesia także podrosła, zajmowała się Tanią, najchętniej by jednak gotowała, i mama mówiła, że co do tego to Olesia jest nadzwyczaj pojętna. Helenka uczyła się w domu, a ja w gimnazjum, dni stawały się coraz krótsze, cieplejsze i tak nam dobrze było nareszcie u siebie, tak pogodnie. A o tym, co zaszło, o tym moim wybuchu, nie padło ani słowo. Miałem tylko potem wrażenie, jakby mi się mama przyglądała. Raz wspomniała, że papa był porywczy, niestety, innym razem, że dziadzius nieboszczyk miewał przykrości z powodu swego wybuchowego charakteru – rozumiałem, że mówi to specjalnie.

Od czasu do czasu przychodziły od ojczyma oszczędne, kazonne, jak mówiła mama, listy. Dopiero gdy odwiedził nas

okaleczony podoficer naszego pułku, dowiedzieliśmy się, co się stało w Prusach Wschodnich, a stało się jota w jotę, jak wróżył Onufry Jewsiejewicz. W pogoni za rozbitą armią niemiecką pułk nasz zabrnął aż pod Iławę, tam właśnie ten podoficer stracił rękę. Pobiliśmy Szwabów, mówił, ale Rennenkampf nie pomógł nam i nie ścigał nieprzyjaciela, chociaż miał przy sobie Chana Nachiczewańskiego, pod którym było 20 pułków kawalerii, sieczka by z pierzchających Niemców leciała, gdyby rzucił był na nich taką masę konnicy, dwadzieścia pułków! A dlaczego nie rzucił, spytałem nieśmiało, tamten wzruszył ramionami, toć to Niemiec, a znowuż co on tam umie, kitajców rozstrzeliwać, kolejarzy wieszać, owszem, to on umiał, ten zdrajca... Mówił otwarcie, nie bał się, bo i co mu, kalece, mogli zrobić? Chciałem wiedzieć, skąd do generała kitajcy, skąd kolejarze, ale mama śpiesznie zweksłowała rozmowę na nasz pułk, gdzie on się znajdował, co przeszedł. Otóż jak zrelacjonował nam ten starszy *untier-oficer*, pułk szedł w składzie drugiej sąsiedniej armii, która pod dowództwem generała Samsonowa wdarła się głęboko w Prusy Wschodnie i nie doczekawszy się odsieczy, została otoczona, rozbita na miazgę, tak że tylko strzępy jej wyszły z kotła, poległy tam najlepsze formacje i kadry z Samsonowem na czele, który zastrzelił się, gdy go Niemcy brali do niewoli. A nasz pułk najbardziej ucierpiał, bo był najdalej wysunięty, przebiła się mała garsteczka ze sztandarem w kuchni polowej. Opowiadał różne epizody i wtedy między innymi dowiedziałem się, że zginął i jak zginął podporucznik Griniewicz, mój trener i wzór oficera. A ojczym podobno dobrze się spisał, jego karabiny maszynowe odzywały się gdzie trzeba i grały czyściutko jak na poligonie w Rembertowie.

Długo potem przeżywaliśmy tę klęskę, nie, jaką tam klęskę – zagładę pułku! Dla nas on umarł. W sztabach, w ewidencji nadal istniał Ósmy Pułk Strzelców Estlandzkich, bo istniał jego sztandar wyniesiony z Prus przez trzech oficerów i stu kilkudziesięciu żołnierzy, nowa piękna karta pułku w 436 roku jego historii, można wlewać nowe kadry, ale dla nas wszystko to wyglądało inaczej – spalono nam dom, pozostał plac, ten plac i nowy dom nas nie obchodzą. I pomyśleć, że gdyby nie ten podoficer, to byśmy nawet nie wiedzieli! Po ewakuacji z Jabłonny rodziny oficerów rozproszyły się po całej Rosji, mama korespondując z paniami Grening i Pietrowową wiedziała, że straciły mężów, że zginął jeszcze ten i ów, że walki były okropne, nie znaliśmy jednak całej prawdy. Potworne nieszczęście stało się raptem u naszego progę, dręczyło oczami wdów i sierot,

twarzami kolegów, jakby cała nasza Rota chłopców zbiegła się na apel poległych, na mszę żałobną po utraconych ojcach.

Napisałem do Oli przebywającej u dziadków na Kubaniu i to był zupełnie inny list, nie list, ale pierwsza bliska rozmowa, niby szept jak dawniej, kiedyśmy leżeli obok siebie na jednym łóżku w Szpitalu Ujazdowskim. Dotychczas informowałem pokrótce Olę o naszych sprawach domowych, o sobie, co robię, co czytam, za każdym razem nie bez lekkiego przymuszającego postanowienia: trzeba koniecznie odpisać Oli, albo: jutro po lekcjach odpiszę. Teraz siadałem do listu pod świeżym wrażeniem doznanej klęski i żałoby, musiałem się wywnętrzyć, niech się nie dziwi, że piszę tak chaotycznie, *sumburno*, to słowo, pamiętam, bardzo mi się wówczas podobało, a co do samego listu, to zapewne nie brakło w nim *sumburu*. Było to o naszym ordynansie Paszce, ognistym kurskim bałamucie, którego urokowi uległa Niemka guwernantka i który zdradził mi w łaźni tajemnicę poczęcia, o czym naturalnie Oli nie wspomniałem, tylko że nauczył mnie wielu pożytecznych rzeczy, dobry, uczynny, przepięknie gwizdał naśladowując słowika, a – jak wiadomo – u nich, w kurskiej guberni, są najcudniejsze na świecie słowiki, w ogóle życia było w nim za trzech, w głowie mi się nie mieści, że go nie ma, nie będzie, gdzie tam gnije... Był też przysadzisty, wąsaty Ukraińiec Kozaczenko, najlepszy podoficer ojczyzna, pierwszy strzelec na zawodach, wszystko umiał, nawet umiał robić biebutem, tą krzywą sieczną bronią, jaką żołnierze z kompanii karabinów maszynowych nosili u pasa, coś pośredniego między szablą a kindziałem. Kozaczenko właśnie zginął z biebutem w rękę. A podporucznik Griniewicz, o którym przecież mówiłem, ten, co przyniósł do pułku sport, ten mój trener i wzór oficera, kochany Griniewicz, stracił głowę w marszu generalskim, bo to był pierwszy atak na bagnety, dowódca kazał sprowadzić orkiestrę, by grała jak do tańca, by grała jak pod Połtawą i pod Lipskiem, a Niemcy wcale nie przyjęli ataku na bagnety, tylko bili z dalekosiężnych dział, kosili z kulomiotów, i właśnie Griniewiczowi pęd powietrza od ciężkiego pocisku urwał głowę, on jednak pędził przed kompanią wymachując szablą, możesz to sobie wyobrazić – biegnie człowiek bez głowy, krew tryska fontanną, a orkiestra dalej gra i gra, mnie się ciągle wydaje, że orkiestra rechocze i niedobrze mi się robi, bo może jeszcze ta głowa czuje swe ciało – mniej więcej w ten sposób, bezładnie wyrzucając zasłyszane okropności, dzieliłem się z Olą wielką, nieporadną skargą na zagładę naszego pułku i moim lękiem przed tajemnicą śmierci. To był pierwszy intymny list

z naszej korespondencji, w przyjaźni trwającej lata, aż do zgonu Oli.

Naturalnie wszystkiemu był winien Rennenkampf, ten łajdak, to było najzupełniej dla mnie jasne, niepokoił tylko kolejarze i kitajcy, o których wspominał nasz *untier*, że Rennenkampf ich wieszał i rozstrzeliwał – dlaczego, co oni takiego zrobili? Spytałem mamy, zbyła mnie jakimś wykrętem i ja się obraziłem, nie chcę ze mną mówić poważnie, trudno, ja i tak się dowiem. Wtedy mama powiedziała, ależ jeśli to ciebie aż tak interesuje, proszę bardzo, to żadna tajemnica, po prostu kiedyś tam, jeszcze przed twoim urodzeniem, wybuchło w Chinach powstanie bokserów... Zdziwiłem się, dlaczego bokserów? Nie wiem, tak nazywano chińskich powstańców, a Rennenkampfa posłano tam z wyprawą karną; potem po wojnie z Japonią wynikły zamieszki na kolei syberyjskiej i znów Rennenkampf robił tam porządek, tak że do tej pory był on znany właśnie tylko z tych dwóch akcji... I po pewnym czasie dodała, westchnąwszy, że i wtedy było niezadowolenie, padały podobne słowa, ale pod koniec wojny, po Port–Arturze, po Mukdenie, a teraz na początku wojny już się mówi, że nieudolność, że zdrada, strach pomyśleć, co może być dalej.

Co do mnie, to trzy wydarzenia, trzy przeżycia wybiły się nad wszystkie inne w pierwszym roku wojny – jęzda bizantyjska, zagłada pułku i „Potop”.

Ten film przeżyłem już w Warszawie, dokąd przyjechaliśmy na spotkanie z ojczymem. Ojczym przybył na dwa dni prosto z okopów nad Bzurą, gdzie dowodził batalionem, awansuję po trupach kolegów – odciął się na jakąś tam próbę pogratulowania mu nowej szarży. Schudł, zbrzydł, miał jeszcze bardziej odmierzone ruchy i spojrzenie kłujące jak szceć, niewiele opowiadał, w każdym razie przy mnie, pokazywał natomiast dużo zdjęć z okopów, w marszu, na postojach, migawki z wojny na gorąco, niektóre kapitalne, na przykład forsowanie rzeki pod ogniem, rozdęte chrapy i wywrócone gały tonącego konia na pierwszym planie, dalej kipiel z ludzkich ciał między łódkami i na łódkach, fontanny od pocisków artyleryjskich, rzęsista sypkość bąbelków od kul na wodzie, wszystko dokładnie, spokojnie, bez drgnienia ręki, zdawało mi się, że ojczym wlaź w aparat i chodził na trójnogu. Pamiętam jeszcze wybuch pocisku na ledwo widocznej w oddali wieży ciśnień, gdzie siedział niemiecki obserwator – ojczym sam go wykrył, wymierzył odległość i przekazał dowódcy baterii, uzgodniwszy co do sekundy salwę – Sergiuszu, jak mogłeś! – zachnęła się mama i jeszcze bardziej

potem trzymała się mnie, jakby się mną zastaniała. Byliśmy w paru domach i w firmie spedycyjnej Henryk Puławski i Sp., by zapłacić ratę za przechowywanie rzeczy i mebli z mieszkania w Jabłonnie, nawiasem mówiąc była to ostatnia rata, odcięci potem od Warszawy nie płaciliśmy wiele lat, mimo to stary kupiec, niech imię jego będzie pochwalone, trzymał nadal w magazynach i zwrócił nam w końcu cały dobytek, co dało zupełnie inną wersję naszym życiorysom. Nazajutrz spacerowaliśmy w Łazienkach, a po południu poszliśmy w Aleje do iluzjonu. Dawano „Potop” produkcji moskiewskiej wytwórni Chanżonkowa z Iwanem Mozzuchinem, wschodzącym gwiazdorem, w roli Kmicica. Być może tryumfalny pochód „Quo vadis” przez sale kinowe całego świata natchnął Chanżonkowa do sięgnięcia po kasowego Sienkiewicza, może wpłynęły na to sugestie rządowe, by rosyjska wytwórnia ukazała Polakom bohaterów uwielbianej trylogii, czyny rycerskie w czasach podobnych do przeżywanych, w czasach wojny i najazdu. Jeśli tak było, byłby to jeszcze jeden gest w stylu ostatnich carskich reweransów w stronę Polaków, w stylu mglistych obietnic aż do autonomii Królestwa Polskiego włącznie, wszystko niezdecydowane i mocno poniewczasie, tuż przed zajęciem przez Niemców Warszawy i Królestwa, które przyjęło ich bez entuzjazmu, cieszyć się nie było z czego, odszedł Moskał, przyszedł Szwab, świeże bestialstwa w Luksemburgu i Belgii podsycali zadawnioną germanofobię, ruiny i zgliszcza bezbronnego Kalisza, rozstrzelanego przez artylerię niemiecką nie wiadomo za co, budziły odrazę i gniew, cień tego odium padał i na Legiony, królewiaci do nich się nie kwapili, Żymierski mówił, że zamiast spodziewanej Dywizji Dzieci Warszawy zastał na placu werbunkowym tylko kilkuset ochotników, ledwo starczyło na batalion. To się działo w sierpniu 1915 roku, a miesiąc przedtem, w lipcu, byłem w iluzjonie. Pierwszy raz byłem w iluzjonie i nie miałem pojęcia, na co patrzę, nie znałem Sienkiewicza. Zaskoczył mnie z białego płótna, najechał raptem po ciemku całym zastępem rycerstwa w kurzawie pocisków i walk. Taper grał tętent kopyt i wycie wilków za saniami, to znów grał słowika za klasztornym murem i modlitwę cudnej dziewczyny, jej miłość do rotmistrza, co ją znieważył, co hulał w jej domu z kolegami *bezsłownie* po petersbursku, po gwardyjsku, a potem łkał fatalny i piękny jak anioł po przepiciu i spowiadał się przed siwiutkim księdzem, rozumiało się każde słowo, chociaż oni tylko poruszali ustami, słyszało się wszystko – taki to był iluzjon! – zdawało się słyszeć, jak śnieg skrzypi pod butami

Szwedów nadchodzących z niemiecka rytmicznie i groźnie, ciarki przebiegały po grzbiecie od zgrozy. Kiedy indziej znów rzewność brała albo szalona rycerska ochota, że tylko tupać i ryczeć bij–zabij! A gdy brzuchaty szlachcic o gębie na trzy garnce piwa, o jednym oku z bielmem, a drugim łypiącym nadmiernie, rzucił swą szablę pod nogi Rennenkampfowi z tamtych czasów, temu zdrajcy Radziwiłłowi, tak cisnął o parkiet, aż w pianinie jęknęło, uczułem, że wzruszenie rozsadza mi serce i pęcherz, jednak jeszcze się trzymałem, dopóki nie zaiskrzył się lont pod wielką kolubryną szwedzką, miotającą faskule na klasztor, ale gdy machina ta wyleciała w powietrze i ów rotmistrz stoczył się do rowu, wówczas trzasnęły wszystkie hamulce i zrobiło mi się mokro.

Nigdy później w żadnej palarni iluzji nie doznałem takiego odurzenia. Podczas następnych filmów, gdy wróciliśmy do Pienzy i ja już nałogowo bywałem w iluzjonie na Moskiewskiej, narkotyk działał wciąż, ale nie do takiej samozatruty w magii urzekających obrazów, już się rodziło jakie takie poczucie płótna, jednakże jeszcze się widziało, jak się chciało widzieć, toteż cudowne były pierwsze filmy. Dwa z nich najbardziej pamiętam. Jeden był o królu Albercie, którego wszyscyśmy kochali. Zdarzało się, że młodzież szkolna wstawiała, gdy na ekranie zjawiała się jego zgrabna sylwetka w zwykłym kepi, w polowym mundurze oficera piechoty na dnie okopów pierwszej linii, jakże inna od sylwetki carskiej, bo cara także nam pokazywano w pełnym polowym ekwipunku, i to nawet nie oficera, ale szeregowca, wyszedł z pałacowej rezydencji w Liwadii na Krymie i pomaszerował w góry po to ponoć, by wypróbować na sobie, czy nie za ciężki tornister, czy wygodne buty, wtedy nikt na sali nie wstał, widziano przebierańca, w Albercie Pierwszym natomiast widzieliśmy księcia z bajki, nasz ideał, nasze marzenia, był młody i piękny, był mężny i szlachetny, i walczył na równi z innymi Belgami o życie, o wolność swej małej, dzielnej ojczyzny. A „Demon” według Lermontowa, chyba kicz, jak mi się teraz zdaje, to nieważne, porwał przecież w zawrotne regiony. Oto znikł bies, plugawy stwór piekielny z chwostem i rogami capa i nad szczytami Kaukazu ukazał się wspaniały duch o skrzydłach archanioła. Nie poruszając nimi płynął gwiazdnym niebem sam w bezkresną wieczność, a muzyka, a dźwięczne słowa poematu pobrzmiewające skądś zza pianina jeszcze bardziej podnosiły demoniczną urodę tego ducha, co śmiał Boga krytykować i jego świat, co wątpił i kusił, a jeśli inny świat możliwy? – nie sposób było odżegnać się od niego

zwyczajnym znakiem krzyża i nie współczuć mu, bo to był duch tragiczny, chciał mimo wszystko modlić się i kochać.

Naturalnie przejąłem się Lermontowem, jak przedtem po filmowym „Potopie” wpadłem po uszy w Sienkiewicza, musiałem przeżyć do dna wszystkie jego powieści, na szczęście biblioteka gimnazjalna miała całego Sienkiewicza po rosyjsku, mogłem brać, Piotr Mikołajewicz dawał i czekał, aż się wyczerpią pokłady historyczne, wówczas podsunął „Bez dogmatu” z „Rodziną Połanieckich” na dobitkę, tu się poczułem oszukany, jakby po wielkanocnych mazurkach i szyneczkach poczęstowano mnie owsianką – to ma być Sienkiewicz?! A jakże, odparł Piotr Mikołajewicz, prawdziwy Sienkiewicz, tylko ten gorszy, późniejszy, mnie się też nie podoba, ale mam tu coś dla ciebie, rzecz także historyczna... I dał „Katedrę” – spodobało się – a widzisz, wiedziałem, no to masz „Nędzników” tegoż Hugo, nie, nie jest późniejszy... Tak kierował, w każdym razie starał się, rozmawiając o książkach, kierować naszą lekturą...

Kropotkin w swoich wspomnieniach rzucił gdzieś dygresję na temat wyjątkowej roli wykładowców literatury w szkolnictwie rosyjskim ubiegłego wieku, roli nieznaney gdzie indziej, mianowicie, wobec tego, iż wszystkie przedmioty wykładano w sposób hermetyczny, w oderwaniu od życia i bez powiązania między sobą, ktoś musiał łączyć i uogólniać nabytą wiedzę, budząc przez to pierwsze młode dążenia, pierwsze ideały i postanowienia. W carskiej Rosji zadanie to spełniał czy też mógł spełniać nauczyciel literatury. Kropotkin twierdził, że wśród wybitnych ludzi tego wieku, uczonych i artystów, nie zna nikogo, kto by pierwszego bodźca w swoim rozwoju nie zawdzięczał nauczycielowi literatury. Możliwe, w takim razie należałoby powiedzieć, że przetrwało to do rewolucji i nasz Piotr Mikołajewicz Gutorow był jednym z owych przewodników dobrej podniety, budzicieli, jak niegdyś mawiano.

Gutorow cieszył się ogólną sympatią, a od trzeciej klasy miał przydomek Dżentelmen. Pobiliśmy się na skwerku lermontowskim z chłopcami z pierwszego gimnazjum męskiego, najpierw na kule śnieżne, potem i na pięści, przechodzący akurat Gutorow rzucił się w sam wir walki z wyciągniętymi ramionami rozjemcy, ale trafił na chwilę największego rozjątrzenia, toteż oberwał, i to nawet dotkliwie. Nazajutrz nie przyszedł. Z powodu choroby, jak nam oznajmiono. I następnego dnia tak samo. Błady strach padł na klasę, dyrektor układa wilcze bilety, mówiono, pisze do *popieczitiela*, a może i do policji, chodźmy do Piotra Mikołajewicza, póki czas. Prosto z lekcji pięciu nas

poszło do niego w delegacji. Przyjął nas jak gdyby nigdy nic, spojrział uprzejmie dobrym okiem, bo drugie było pod klapką siennej powieki i na czole siał guz, zaprosił do gościnnego i tam wydukaliśmy nasz żal z powodu tego, co zaszło, żal i prośbę, żeby wymienić nazwiska tych, którzy mają być wyrzuceni, niech rodzice sami zabiorą ich z gimnazjum i umieszczą gdzie indziej, w ten sposób będą mogli się dalej uczyć. Zdumiał się, a może tylko zagrał zdumienie, ależ moi mili, co wy tu wygadujecie, przecież wszystko się odbyło prywatnie, poza gimnazjum, na neutralnym gruncie, po prostu starszy dżentelmen miał spotkanie z gromadką młodszych dżentelmenów i przegrał, fakt bolesny dla niego, ale to nikogo więcej nie obchodzi... Od tego czasu przylgnął do niego przydomek Dżentelmen. Jeśli dotąd był lubiany, to po tej historii żaden z profesorów nie cieszył się u nas takim autorytetem, jak właśnie on, pobity wychowawca.

Wygłądaliśmy jego wysokiej, masywnej postaci z szopą konopiastych włosów i niedopiętym kołnierzem tużurka, nadśluchiwalismy jego kroków na korytarzu, chodził lekko, z niemalże taneczną gracją, mimo wydatnego brzusia i usposobienie miał z lekka wyskokowe mimo nieco ociężałej dobroduszości. Z Dżentelmenem mogliśmy mówić swobodnie, okazji do takich rozmów nie brakowało przede wszystkim w bibliotece, którą prowadził, następnie w kółkach dramatycznym i literackim albo i u niego w mieszkaniu, bo zapraszał czasem niektórych do siebie, starał się zrozumieć, co by się komu przydało, dawał, co mógł, i dobrze nam życzył. Mówiono, że jest z nowej fali. Należałoby to ująć trochę inaczej. Tacy budziciele, wychowawcy z powołania, istnieli i dawniej w Rosji dziewiętnastego wieku, tylko że występowali z rzadkością diamentów czystej wody w obskurnych złożach magmowych. W ostatnim dziesięcioleciu przed rewolucją było ich więcej, było im lżej, z wyżyn heroizmu i poświęcenia schodzili między jako tako normalne warunki swego zawodu i dobry pedagog już nie zdumiewał tym, że istnieje. Widziano go i traktowano jak każdy inny talent.

Poza Dżentelmenem dobra była Niemka, nie pamiętam nazwiska, nie przypominam sobie zresztą, byśmy między sobą nazywali ją inaczej niż Junona, tak ją kiedyś wyrzeźbił jakiś legendarny maturzysta naszego gimnazjum, co byłby drugim Michałem Aniołem, ale zmarł i zostawił gimnazjum kłopot z pośmiertnym darem. Nie wypadało bowiem wystawić na widok publiczny nauczycielki w kształcie bogini, z drugiej znów strony jakże nie uszanować testamentu młodzieńca, którego talent miał zakomunikować światu istnienie drugiego gimnazjum

męskiego w Pienzie? Nie znam tu wszystkich kompromisów pomiędzy konwenansem a obowiązkiem moralnym, to się stało na długo przed nami, gdy ona była młodsza i nie miała tego wypadku z nogą, popiersie jej, przemieszczane dyskretnie z kąta w kąt, za naszych czasów stało w gabinecie przyrodniczym. Wśród wypchanych zwierząt i słoików z drobnymi gadami w spirytusie, na wprost szkieletu ludzkiego, jaśniała boską urodą opiekuńcza Junona Sospita, w zsuniętym jak czepek hełmie attyckim zdawała się czekać na poprawne zdanie niemieckie o kwiatach i świętach kwiatowych Erfurtu, o domku Goethego w Weimarze, bo nasza Junona była z Turynii. Starsza, wciąż jeszcze piękna pani utykając na nogę wchodziła do klasy z przyjaznym i pewnym siebie uśmiechem, po rosyjsku mówiła z obcym akcentem, ale swobodnie i zajmująco, ogromnie lubiliśmy i umieliśmy prowokować jej dygresje i dywagacje wśród lekcji. Dużo czytała, wiele krajów zwiedziła, wydając wszystkie oszczędności na coroczne podróże w czasie wakacji letnich. Jej wpływ natury estetycznej w siostrzycy emanacji był niewątpliwie ożywczy i cenny, żalowaliśmy, gdy w osiemnastym roku, po traktacie brzeskim, odjeżdżała do swej Turynii, a i ona miała łzy w oczach żegnając się z nami, z gimnazjum, w którym uczyła dwadzieścia lat, i raptem wszystko poszło w diabły, cała jej i nasza nauka, kwiaty Erfurtu i domek w Weimarze.

Doprawdy, jeśli spojrzeć na tę moją budę pienieżną z perspektywy lat, to byli tam nie najgorsi ludzie i nieźle uczyli, choćby jeszcze np. przyrodnik, co trzymał Junonę w gabinecie, udzielał nam przyrody sumiennie i ostro, bez jakichkolwiek kontaktów uczuciowych, wyżywał się za to w wychowaniu fizycznym. Był świetnym nauczycielem gimnastyki, w latach uniwersyteckich występował podobno jako zapaśnik w cyrku, zarabiając tym na życie i studia. Wszystko w nim zdawało się potwierdzać taką karierę, atletyczna budowa, sprężyste elastyczny krok, jakby miał w nogawkach lamparcie łapy, okrągła wygolona do różowej skóry głowa na byczym karku, tylko sposób mówienia i błyski ironii zza szkieł binokli w złotej oprawce zdradzały inteligenta... A ojciec Ioann – jakże inny od wszystkich nauczycieli i zupełnie nie w typie prawosławnego batuszki. AkaDEMik z jakąś tam wyższą teologią, przystojny, wysmukły, w dobrze skrojonej, jedwabnej sutannie, dbał o nasze dusze z dużą tolerancją i w gruncie rzeczy po świecku. W starszych klasach prowadził dysputy filozoficzne, od nas, młodszych, wymagał uczenia się na pamięć elementarnych tekstów

katechizmu i całą wymowę swej wybraźni skupiał na podtekście emocjonalnym. Stary i Nowy Testament w jego interpretacji stawał się wzruszającą baśnią, a gdy czegoś nie mogliśmy ani rusz pojąć albo gdyśmy się wzdrygali przed czymś zbyt już okrutnym, wówczas tłumaczył, iż to należy rozumieć w sposób przenośny – *inoskazatielno!* – tu dłoń swą białą i wiotką podnosił na wysokość ust, zatrzymując jak gdyby w półruchu błogosławienia i poufnym głosem zdradzał nam tajemniczy sens zaklęty w metaforze – cała ortodoksyjna kosmogonia i dzieje apostołskie nabierały w ten sposób żywotności poetyckiej przenośni i alegorii. Po rewolucji, słyszałem, ojciec Ioann zdjął sutannę i gdzieś pracował, ktoś nawet mówił, że widział go w mundurze Armii Czerwonej, ale w to już wierzyć mi się nie chce.

Naturalnie mieliśmy również nauczycieli złych i nie lubianych. Takim był historyk, który nigdy historii nie wykładał, po prostu zadawał z podręcznika stąd–dotąd i wymagał potem recytowania, a samą historię rozumiał zgodnie z owym podręcznikiem anegdotycznie, jako żywoty panujących. Łacinnik także był klasycznym belfrem starej daty, przy którym żyło się o suchym tekście bez jakiegokolwiek omasty, nic świeżego, nic lekkiego, same koniugacje, deklinacje i słówka na pamięć, skazani na tę zakutą, martwą mowę, rozumieliśmy barbarzyńców, dla czego zbuntowali się i rozwalili imperium rzymskie. Ale najbardziej obcy był nam Antypoda, matematyk, człowiek nijaki, lichy wie, zły czy dobry, nie powiedział nam żadnego słowa poza tym co musiał powiedzieć przy tablicy, nie spojrzał na nas, patrzył tylko w dół na podłogę, w stronę okna i na tablicę. Riabcew zaklinał się, że Antypoda żyje z francuską maskotką i wyjaśnił, jak działa ta maskotka, ale to bardzo wycieńcza i rzuca się na oczy, człowiek nie może potem znieść blasku oczu drugiego człowieka, uszy nam, pędrakom, płonęły od tego sekretu, jakkolwiek nie bardzośmy mu wierzyli, bo to był wielki świntuch ten Riabcew. Jednak doprawdy było coś nienaturalnego w jego chodzie, w tym, że chodził zgarbiony powłócząc nogami, a miał najwyżej czterdzieści lat, w jego ziemistej, drętwej twarzy, w całkowitej samotności – może był nie tyle zły, ile nieszczęśliwy, nie czuliśmy do niego nienawiści, ale baliśmy się go, skóra nam przy nim cierpła jak na widok jakiegoś straszliwego wynaturzenia albo prawdziwego antypody.

Dziwne, nigdy się specjalnie nie zastanawiałem nad moją starą szkołą. Odżegnaliśmy się od starego świata, otrząsnęliśmy proch jego z naszych stóp i ruszyliśmy nie oglądając się za siebie – wszystko, co za nami, było z gruntu złe i niegodne uwagi. Przez

długie lata wychowywano nas w przeświadczeniu, że dopiero to, co jest, co powstaje, jest całkowicie nowe i najwyższej dobroci. Wprawdzie potem okazało się, że nie takie znów nowe i nie całkiem dobre, ale ta pierwsza szkolna buda pozostawała wciąż w spokojnych, nie absorbujących regionach pamięci i nie nastroczała okazji, by spojrzeć w światło późniejszych doświadczeń. Nie chcę tu bronić ani potępiać w ogóle szkolnictwa za caratu, jest już dostatecznie potępione, po drugie w różnych okresach i dzielnicach różnie wyglądało, najgorzej chyba na ziemiach polskich. Po prostu dają zeznania ucznia gimnazjum tuż przed rewolucją w pospolitym mieście gubernialnym środkowej Rosji. Otóż w tym moim gimnazjum mieliśmy takich i siakich nauczycieli, a wśród nich trzech, których daj Boże każdej szkole. Zastaliśmy już wyraźne zmiany w metodach nauczania, zalecano bowiem poglądowność i zajęcia w gabinetach przyrodniczym, fizycznym, chemicznym, i od 1915 roku wprowadzono prace ręczne jako czynnik wychowawczy, w przyziemnych pierwszym gimnazjum męskim urządzono dobrze wyposażone warsztaty, mieliśmy do wyboru introligatorstwo, ślusarkę lub stolarkę, wszystkie trzy pracownie znakomicie prowadził szczęśliwie znalezione w obozie jenieckim specjalista Czech, w cywilu nauczyciel liceum zawodowego w Brnie. Respektowano już inicjatywę i samorządność uczniów, kółko dramatyczne parę razy w roku szkolnym dawało przedstawienia na scenie gimnazjum, mieliśmy kółko literackie, sekcję botaników i we wszystkich niemalże klasach wydawano pisemka odręczne, na maszynie lub na powielaczu, w naszej klasie ja się tym parłem wspólnie z Mincem bez żadnej cenzury prewencyjnej, co prawda po wydaniu pokazywaliśmy każdy numer, ale z własnej woli i tylko Dżentelmenowi. Na czterdziestu mniej więcej uczniów w klasie było dwóch Polaków, trzech Żydów, dwóch Tatarów i Ormianin – nie przypominam sobie żadnego wypadku lub scysji na tle narodowościowym. Zdarzył się natomiast wypadek, który dobrze świadczy o naszych pedagogach. Pewnego razu grupa kolegów przechodząc przez kaplicę gimnazjalną przystanęła przed obrazem Matki Boskiej pędzla nauczyciela rysunków, pokpiwano sobie z niego i jego aspiracji artystycznych, więc i tym razem padły uwagi krytyczne na temat ust czy uszu tej pani, co mu pozowała do obrazu, a pech chciał, że wśród tych chłopców był Rywkin i ten dorzucił swoje, i o tym dowiedzieli się rodzice jednego z uczniów, więc w tę pędy do dyrektora z piekielną rewelacją, że toleruje u siebie Żyda bluźniercę, znieważającego obraz święty w cerkwi. Nie wiem, w jaki

sposób dyrektor Kowalenko zatuszował tak tę sprawę, że skończyła się na wezwaniu Rywkina z rodzicami i przykładowym strofowaniu. Nawiasem mówiąc zaraz po rewolucji, gdy polowano na monarchistów i Kowalenko, który był monarchistą czy też uchodził za takiego, miał być wyrzucony, przeciwstawiło się temu grono nauczycieli i rodziców, między innymi stary Rywkin przypomiał zebranym tamtą sprawę, to była bomba, powiedział, gdyby jej dyrektor Kowalenko nie rozminował, to by szanowni obywatele zbierali składki na nieszczęśliwych Żydów i strach pomyśleć, co by się stało z moim synem. Mama także broniła Kowalenki jako dobrego pedagoga, rzeczywiście u Antypody nie wychodziłem z dwój, pod koniec roku ledwo podciągałem się na trójkę, a kiedy Kowalenko zaczął wykładać w zastępstwie Antypody, nabrałem chęci i zrozumiałem, miałem czwórki z matematyki.

Nie, to nie była już szkoła ogłupiania i przemocy. Nowe zewsząd szło na stare, drążyło z wolna drobnymi zmianami w nieustającym podskórnym nurcie ewolucji i w naszej budzie z czasów i w stylu Arkaczejewa utrzymała się tylko fasada, gruboziarniste szare tynki na ponurym i okazałym budynku ni to koszar, ni to pańskiej rezydencji, z wystawnym westybuliem i salą recepcyjną, z kratami w okienkach przy ziemi, wszystko z pierwszej połowy ubiegłego wieku według gustu jakiegoś generała, o którym krążyło podanie, że kiedy się rozgniewał na syna, to kazał mu obejść na klęczkach całą posesję, ten wykonał rozkaz swego ojca i generała, ale meldując mu o tym, cały jeszcze w błocie, zastrzelił się na jego oczach. Potem w gmachu tym było gimnazjum wojenne strasznej pamięci, zostały po nim dwie ławy, na których uczniom różgi dawano, i karcer, gdzieśmy jeszcze zdążyli posiedzieć, zamknięto nas bowiem w tej piwnicy za karę po pewnej awanturze, trzy godziny graliśmy tam w warcaby i poszliśmy do domu na obiad podbudowani dumą, że nieobce nam kraty ciemnicy.

Ten 1916 rok, ostatni rok epoki, przeżyłem w zamkniętym jeszcze układzie szkoła-dom, w normie wieku i temperamentu, były więc zabawy, przyjaźnie, tajemne przedsięwzięcia i zamyśły, były konie i wyprawa do Persji.

Odkąd sprowadził się na nasze podwórze weterynarz pułku dragonów, co dzień dwa wierzchowce stały przed gankiem sąsiadów z przeciwka i dragon czekał przy nich, aż wyjdzie córka lekarza, by podsadzić ją na siodło. Ta dziewczynka w moim wieku, Ludmiła, wcale nie była miła, lecz zarozumiała, zmanierowana i do tego jeszcze z piegami przez durszlak,

czasem wstręt czułem do siebie, że tak się jej podlizuję, przymi-
lam i wypracowania piszę za nią, wszystko przez te konie, żeby
dała pojeździć. Ma się rozumieć także musiałem sobie zjednać,
ale to się robi tytoniem, nie obłudą, zresztą coś mu się należało
za naukę i za to, że jeździmy trochę dalej za miasto. Ale oto
zwolnił się u nas pokój wynajmowany sublokatorom i dokto-
rowa poleciła mamie oficera z ich pułku. Był to rotmistrz Bek
Achmadarow, z początku zupełnie dziki, z dzikim śpiewem po
nocach, z gitarą dla „gimnazistek”, z biciem ordynansa po
pysku, gdy miał kaca, za co płacił potem, i ordynans zbierał
pyskowe na prezenty dla naszej Olesi, ale ona go nie chciała. Po
miesiącu mama miała dość tego wszystkiego, wymówiła i rzecz
dziwna, Bek Achmadarow pokajał się, prosił przyjąć na zgodę
skrzynię kachetyńskiego z jego winnicy i dalej robił to samo,
tylko z tłumikiem, ciche były śpiewy i gimnazistki, i pysk ordy-
nansa, czasami ni stąd, ni zowąd zjawiał się u nas trzeźwy,
odświeżony, z kwiatami dla mamy, ze słodyczami dla nas, i pijąc
bez miary, szklankę za szklanką, herbatę czarną i gorzką jak
jego wzrok, opowiadał nostalgicznie o swej winnicy na Kauka-
zie. To wszystko nieważne, ważne że miał konie, dwa konie, i
oba, szwadronowy i jego własny, wymagały codziennie prze-
biegu, swego skarogniadego Kumyka nie dałby nikomu na mały
kwadransik, ale na szwadronowej klaczy pozwolił mi jeździć
pod opieką swego stajennego, Tatara. Nie musiałem już wysilać
się na obłudę ani pisać wypracowań za kogoś, wolny od niemiłej
Ludmiły hasałem sobie kłusem i galopem po podmiejskich dro-
gach z potomkiem Czingis-chana u boku. Te przejażdżki trwały
dość długo, przez drugie półrocze i po przerwie wakacyjnej do
jesieni roku siedemnastego, kiedy Bek Achmadarow umknął na
Kumyku przed zemstą swych dragonów z ordynansem na czele,
a mnie została pewna umiejętność trzymania się w siodle, co się
przydało w dwudziestym roku nad Donem i później w sztabie
Kotowskiego.

Co do kolegów, miałem zupełną swobodę wyboru i nie
wyniosłem z domu żadnych uprzedzeń środowiskowych czy
narodowościowych, kolegowałem zatem z różnymi chłop-
cami, a najbliżej żyłem z Wincengerode i Mincem, którzy nie
znosili się wzajemnie i każdy z nich był kontrastowo inny, nie
rozumiał, jak mogę przyjaźnić się z tym drugim. Teodor Minc, z
inteligentnej żydowskiej rodziny uchodźców z Warszawy, chu-
dy i tykowaty, o hetyckim profilu, wypisz, wymaluj starosyryj-
ska głowa z ptasim dziobem, ogromnym i tępym jak tasak,
bodaj czy nie najlepszy uczeń w klasie, idealista z usposobienia,

górował nade mną czytaniem i wybitnie intelektualnymi zainteresowaniami. Lubiliśmy razem odrabiać lekcje, by potem pogadać, pobredzić o różnych różnościach i wspólnie wydawaliśmy co miesiąc nasze piśmko literackie w jednym kaligraficznym egzemplarzu, ilustrowanym przez popowicza Miłowa, był to talent malarski naszej klasy i natura wyjątkowej sumienności. A Wincengerode, prawnuk francuskiego rojalisty, co walczył z Napoleonem w szeregach armii rosyjskiej, Sieriożka Wincengerode, leń i mikrus niespożytej ruchliwości, zawsze coś kombinował, zamieniał się, zakładał, lubił karty, domino, palanta i świńskie kości, tak zwane kozny, grał na mandolinie, hodował psy, ganiał gołębie i miał duszę otwartą na przygodę. Z nim właśnie, wodząc palcem po mapie, odkryliśmy, iż Sura, nad którą leży Pienza, wpada do Wołgi, Wołga wpada do Morza Kaspijskiego, a tym morzem łagodnym, ciepłym i płytkim, trzymając się wybrzeży, można bez trudu dopłynąć do samej Persji – piękna wyprawa na całe wakacje letnie i pewna, byle się do niej przygotować jak należy, a na to mamy zimę i wiosnę. Postanowiliśmy, że on zdobędzie łódkę, a ja strzelbę z amunicją i sprzęt rybacki. Najtrudniej zdobyć broń, w sklepie łowieckim na Moskiewskiej z pewnością nam, uczniom, nie sprzedaliby, dowiedziałem się jednak, że jeśli wystać przekazem pocztowym 20 rubli bezpośrednio do fabryki broni myśliwskiej w Iżewsku, to stamtąd przyślą do domu jednolufkę śrutową typu bierdanki kaliber 28. Ale pieniądze, dwadzieścia rubli na flintę plus dziesięć rubli na amunicję i liczymy jeszcze dziesięć na wędkę i inne rybackie akcesoria, bagatela, razem 40 rubli – skąd wziąć taką kupę pieniędzy? Żadnych źródeł, tylko żołądek. Otrzymywałem od mamy pół rubla dziennie na gorące posiłki w gimnazjum, jeśli więc z nich zrezygnować, to po 80 dniach będzie ekwipunek. Sierioża nie bez walki dusznej, bo kochał papu, także ofiarował gorące pierożki, kielbaski i kotleciki na tę wyprawę, z tym że dopiero po świętach, w Święta Bożego Narodzenia musimy się wzmocnić, a po Nowym Roku zaczniemy pościć, przedtem jednak dopełniliśmy ślubowania pobratymstwa.

Przed wigilią poszliśmy za dnia na cmentarz, odszukaliśmy grób samobójcy, brzozy słupek bez krzyża z enigmatyczną tabliczką, że ten ktoś zmarł śmiercią tragiczną, módlmy się za niego, i zapamiętaliśmy drogę, by nie zbłądzić potem po nocy, ślubowanie miało się odbyć rzecz jasna tradycyjnie w godzinie szczytu, o północnych kurach. Trochę nam było nieswojo i głupio, wszystko trąciło Markiem Twainem, a jużesmy wyrosli z przygód Tomka Sawyera, ale to było tak ponętne, tak

romantyczne, ulegliśmy urokowi anachronicznej formy, ostatecznie, nie ma w tym nic śmiesznego, musimy przecież ślubować sobie przyjaźń i wierność braterską we wszystkim, co spotka nas na wielkim szlaku, braterstwo w każdej potrzebie i przygodzie, możemy to zrobić, jak nam się spodoba, choćby i według dawnego rytuału... I oto pewnego wieczoru podczas świąt wyszedłem z domu powiedziawszy, że idę na zabawę do Wincengerode, ten znowu powiedział u siebie, że idzie do mnie. Mieliśmy chodzić po mieście, potem posuwać się w stronę cmentarza, tak by znaleźć się tam przed północą, ale akurat chwycił siarczysty mróz, gwiazdy dygotały i mżyły kosmicznym chłodem, nie wytrzymałyśmy więcej niż pół godziny i ruszyliśmy z powrotem tą samą drogą obok banku państwowego, gdzie mieszkali rodzice Wincengerode i gdzie na rogu stał Muganow, czerwonicy, mordziasty *gorodowoj*, z wąsem w kształt ryżowej szczotki, z medalami i świstawką na piersi, stał jak słup ogłoszeniowy, filar czujnej władzy, właśnie kiedyśmy go mijali, szabla, którą wsadziłem pod podszewkę i której głowicę przytrzymywałem ręką przez sukno gimnazjalnego szynela, pamiątkowa szabla ojca z wojny japońskiej, przebiła podszewkę i wypadła na chodnik. Muganow doskoczył, skąd ta broń, wrzasnął, co wy tu robicie z bronią po nocy? Powiedziałem, że to papy szabla, a my idziemy na zabawę maskową, znał nas przecież, więc puścił, dobrze, zmykajcie, ale ja przyjdę i sprawdzę. A czort by go brał, zaklął Sieriożka, teraz wszystko się wyda. Szliśmy dalej naradzając się nad przekonywującym rozładowaniem sensacji, jaką była podówczas wizyta policjanta. Przy cmentarzu musieliśmy się schować za bramą, bo ze stróżówki ktoś wybiegł i wysypał węgle z samowaru. Potem już wszystko poszło gładko, odnaleźliśmy mogiłę samobójcy, cyrograf mieliśmy zawczasu sporządzony na mocnym papierze, pozostało tylko ucałować się i przeciąwszy sobie naskórek ostrzem szabli podpisać się własną krwią, cośmy sprawnie uczynili, tylko ja na skutek mrozu nie poczułem bólu i ciąłem za głęboko, do dziś mam na przegubie tę bliznę w kształcie krzyżyka, krew się lała i lała, Sieriożka dreptał koło mnie przewijając rękę chusteczką, ale zgrabiące palce nie bardzo były mu posłuszne, w pewnej chwili spojrzałem ponad pochyloną jego głowę i syknąłem. Wybacz, mruknął w przeświadczeniu, że sprawił mi ból, ale ja ścisnąłem go za palec – patrz, widzisz tam? Wtedy i on zobaczył. W mroku nad ośnieżonymi krzyżami unosiły się ogniki, przygasając, to znów rozjarzając się złowieszczo między nagrobkami sunęły w powietrzu wprost na nas, coś tam zgrzytnęło w ciemnościach, raz i drugi, jakieś

ptaszędła zdawały się kłaskać dziobami. Padliśmy w zaspę pod słupek samobójcy. A kłaskanie zbliżało się, zbliżało w pewnym rytmie, można już było rozpoznać – to śnieg skrzypiał pod nogami. Sieriożka poruszył się – uciekajmy! – ale zaraz klapnął z powrotem w zaspę. Leżeliśmy, nie oddychaliśmy, w gorącu byliśmy i w ogromnym strachu, dopóki trzech żołnierzy nie przeszło obok nas, dwóch z nich paliło, gryzącą i ciepłą machorkę chwytałyśmy w nozdrza podnosząc się i przytomniejąc. Przecież to nie duchy, szepnął Sieriożka, a jak nie duchy, to kto? Chyba dezterterzy, dużo ich teraz i wszędzie się kryją. Tak myślisz? – ożywił się Sieriożka. – No to muszę zobaczyć, nic strasznego – i zaczął skradać się w kierunku, dokąd tamci poszli, lekki był i zwinny, nie bał się dezterterów, co innego duchy... Wrócił po jakimś czasie i pociągnął mnie za sobą, chodźmy. Za bramą powiedział, siedzą przy piecyku w grobowcu Worobiowów, gieroje, dobrze się urządzili. Rzeczywiście, lepiej nie trzeba, kto by ich szukał w zimie na cmentarzu, a grobowiec wielki, na miarę kaplicy, i stary, zapomniany, spokojnie im tam, nie jak w okopach... A stróż na pewno jest w zmowie z nimi, rozpamiętywał Sieriożka, wciąż gadał i gestykulował nie mogąc przyjść do siebie po przygodzie, gdzie wszystko było jak na zamówienie – noc, cmentarz, krew i groza, duchy czy dezterterzy, mniejsza o to, ale mogli nas złapać, no przecież mogli – i tego wszystkiego nikomu, ale to absolutnie nikomu nie wolno wyjawić, bo wyśmieją, że dziecinne, że głupie, od dawna nie ma już pobratymstwa, i jeszcze powiedzą, że nieprawdziwe, żeśmy ściągnęli z Twaina, bo u niego też... Przytakiwałem, że owszem, u niego też gdzieś tam coś podobnego, ale najchętniej, gdybym tylko mógł wyzbyć się narzuconej sobie powściągliwości, tej z lekka nonszalanckiej powściągliwości, co ponoć świadczy o wybitnie męskim charakterze, to bym ucałował Sieriożkę po raz drugi i nie jak przy ślubowaniu, bo wtedy był pocałunek rytualny, a teraz chciałoby się zwyczajnie, z całego serca, przecież złąkł się okropnie, dygotał tak samo jak ja, ale wytrwał, został, prawdziwy pobratymiec.

A nowy, 1917 rok niedobrze się zaczął – od zawiadomienia o niewoli ojczyma, że jest w niemieckim obozie jenieckim. Wprawdzie nie kochaliśmy go, mówię to autorytatywnie jeśli chodzi o mnie, a co do mamy z dużym prawdopodobieństwem i moim osobistym przeświadczeniem, aleśmy go szanowali, dbał o nas, pod tym względem był bez zarzutu, mąż i ojczym pedantycznie poprawny, niepokoił się o niego, odkąd poszedł na wojnę, i to jego nieszczęście, że dostał się do niewoli, przejęło

nas współczuciem i naprawdę zmartwiło.

W ogóle rok zapowiadał się niewesoło. W lecie, gdy Brusilow ruszył z wielkim natarciem na Austrię, mówiono, że teraz już ta *łoskutnaja* monarchia nie wytrzyma i rozpadnie się, ale Niemcy ją podtrzymywali, natarcie słabło, słabło i w końcu ugrzęzło. Potem jeszcze się ludzono, że Anglicy i Francuzi wnet wykończą Germańca czołgami, które właśnie ukazały się na zachodnim froncie, coś niebywałego, jakieś stalowe, ziejące ogniem płazy, ale i te potwory nie ruszyły pozycji, front stał nadal pod Verdun i gdzie indziej, cały w okopach, zasiekach, blindażach, miliony ludzi zakopywały się krecim sposobem w ziemi, drążyły zakładając kontrminy pod miny, huraganowym ogniem artylerii walczono o punkty, które przechodziły z rąk do rąk i z mapy na mapę, i końca nie było tej makabrycznej punktacji. Czwarty rok już trwała wojna, coraz więcej wojska widziało się w mieście i coraz gorzej to wojsko wyglądało. Z ust do ust krążyły anegdoty, skandale i autentyczne historie o tym, jak dwór rządzi, powtarzano sobie pytanie, jakie rzucił carskim ministrom Milukow, ten dotychczas ugodowy przywódca konstytucyjnych demokratów: „głupota to, czy zdrada?”.

Głodu w Pienzie nie było, ale była drożyzna. Mama zaczęła się rozglądać za pracą zarobkową, przedtem chciała umieścić Lenę w instytucie cesarzowej Marii Fiodorowny i w tej sprawie pojechała do Petersburga. Wróciła z uzyskaną zgodą na przyjęcie Leny do instytutu, była też u brata papy, który miał kancelarię adwokacką, obrońca w procesach politycznych, dużo wiedział. Rozmawiali między innymi o zabójstwie Rasputina. W Pienzie wiedziano tylko, że nie żyje, ale kto go zgładził? Była zaskoczona usłyszawszy, że dokonali tego nie byle jacy spiskowcy, bo wielki książę Dymitr, książę Jusupow i sztandarowy monarchistów Puryszkiewicz – a więc tak już źle jest z carem, że najbliżsi z jego otoczenia mordują kreaturę, która nim rządzi? To idiota, odrzekł stryj, a u nas w stolicy niedobrze się dzieje, brak żywności, brak opału i ludzie się burzą.

Minęło parę tygodni, wszystko szło normalnym trybem, mama starała się o posadę w urzędzie miejskim, ja wytrwale ciułałem po pół rubla dziennie nie dojadając na rzecz Persji i poprawiłem się z matematyki, jako że dyrektor Kowalenko zastępował chorego Antypodę, słowem, zajęci swoimi sprawami jak większość ludzi nie widzieliśmy znaków historii, nawet wieczorem, gdy rozeszły się dziwne i nieprawdopodobne wprost słuchy, rozmawialiśmy o nich z mamą między innymi, i spaliśmy potem, i nic się nam nie śniło.

I nic nie przeczuwałem wychodząc nazajutrz jak zwykle do gimnazjum, szedłem sobie niespiesznie, do dzwonka było jeszcze dosyć czasu, a dzień wypadł piękny, jakim zima nieraz darzy Środkową Rosję, gdy słońce lśni na czystym niebie o trochę zmatowiałym błękitcie i skrzy się śnieg diamentowym pyłem, w powietrzu rześkim, w bezwietrznej ciszy każdy dźwięk żyje dłużej i jaśniejszą swoją barwą, a biały mróz odmienia drzewa w puchate, srebrne kwiaty, w zastygłe dymy i fontanny. Dopiero na rogu Sadowej odniosłem niejasne wrażenie czegoś niezwykłego, wydało mi się, że coś nie jest tu jak co dzień. Przystanąłem rozglądając się i zrozumiałem: znikł Muganow. Ten Muganow, co to zatrzymywał nas z powodu szabli w noc ślubowania i potem sprawił mi nie lada kłopot odwiedzinami w domu, stał tu zawsze, odkąd pamiętam Pienzę, stał niewzruszenie i dostojnie, jak godło, jak znak porządku, mordziasty, czujny *gorodowej* z szaszka w czarnej pochwie i świstawką na czerwonym sznurku. Wkomponowany między bank a róg Sadowej stanowił całość krajobrazu, brak jego był zaskakujący niemalże tak samo, jak gdyby zniknął raptem bank państwa albo wyrzუსzyła się ulica.

Zastanawiając się nad tym, co się stało z naszym stupajką, ruszyłem dalej, lecz i na następnym rogu nie było policjanta. To już przechodziło wszelkie pojęcie, nie mogli przecież wszyscy naraz spić się albo pochorować. Skręciłem do skweru, by skrócić sobie drogę do gimnazjum, i dziwne, nikogo tam nie spotkałem, a zawsze spotykałem, ludzie korzystali z tego skrótu przecinając skwer na ukos – tym razem było pusto i cicho na ścieżkach i wokół zanieśonego śniegiem klombu, gdzie porucznik Lermontow, z guberni pienzeńskiej, wznosił się spiżową twarzą drugiego z kolei wieszczu, zabitego w pojedynku z podłym światem.

U wylotu alei minęli mnie w szalonym pędzie Bielajew z Gilowem, wrzasnąwszy nad uchem – hurra, cara nie ma! – pomknęli co tchu na plac. A tam stał tłum, jakiego dotąd nigdy nie widziałem, żołnierze, uczniowie, kolejarze, straganiarze, robotnicy, urzędnicy, kobiety i dziewczynki, młodzi i starzy, wszyscy się stłoczyli przed białym domem gubernatora i stali nie poruszając się w jakimś urzeczeniu, milcząc słuchali człowieka w rozpiętym palcie. Przemawiał do nich z balkonu, a gdy skończył, wyrzucając ręce, jakby brał w ramiona ogrom czegoś – buchnął krzyk nie z tej ziemi. Poleciały w górę czapki i ludzie zaczęli się ścisnąć, całować, ale nie jak na Wielkanoc, z ową stateczną solennością – całowali się bez pamięci gdzie popadło i z kim popadło w żywiołowym opętańczym uniesieniu.

Jakiś staruszek wymknął się z oszalałego tłumu, czerwony, jeszcze z czapką w ręku, bardzo mu się widać spieszyło z nowiną, ale przystanął przede mną, zagapionym w to wszystko, oszołomionym, położył dłoń na tornistrze z cielecej skóry, zamrugał za szklami okularów zdmuchując z powiek łzę szczęścia i nagle odezwał się słowami Puszkina:

- Nu wot, synok, wzošla ona, zwiezda plenitielnowo szasztja...

ZWIEZDA PLENITIELNOWO SZCZASTJA...

Cieszyliśmy się, to znaczy mama się cieszyła, że car abdykował i nastaje republika, ja tę radość mamy i otoczenia przeżywałem pustym sercem, bez jakichkolwiek osobistych doznań czy rozrachunków z ostatnim samodzierncą. Car istniał gdzieś poza buszem moich spraw, daleki i nijaki władca, dotkąc mnie czymkolwiek nie zdążył, a zjednać sobie nie potrafił.

Wychowanie polityczne młodzieży miało płyciutki zasięg, prymitywne środki i aurę osowiałej nudy – namaszczonego banału w podręcznikach, kazanie od wielkiego dzwonu w kalendaryzowe dni rodziny carskiej, dużo strachu, trochę sydkiej przyręty dla łatwowiernych i posłusznych – bezmierna pycha panujących nie pozwalała na subtelniejszą obróbkę młodych dusz, nie wiedzano zresztą, jak to się robi. Wychowywano, właściwie tresowano według tradycyjnego modelu tylko w korpusach kadetów i w pewnych zakładach elitarnych, a i tam model nieraz się wymykał albo stawał sztorcem, pozostała młodzież szkolna rosła sobie w klimacie różnych wpływów i żywiła się różnaitą strawą duchową, nie przyjmując jedynie pożywki urzędowej.

W starszych klasach z reguły zaczynał się ferment. W miarę uświadomienia sobie otaczającej rzeczywistości kształtowały się postawy na nie albo i na zbuntowane anty, tak było i w Pienzie z naszą starszyzną, ale nas, młodsze klasy, tak zwanych *gołowastików* i pistoletów, rewolucja zastała w stanie całkowitej niewinności politycznej, spadła jak burza na marcowe zajęczki, w każdym razie jeśli co naprawdę przeżywałem i co było moim własnym, jak najbardziej autentycznym odczuwaniem, to przede wszystkim zdumienie. Kiedy Bielajew z Gilowem przemknęli

obok mnie wrzeszcząc nieprzytomnie hurra, cara nie ma! i staryszek z gołą głową, jakby wyszedł nie z tłumu, ale z cerkwi, wyszeptał, patrz, wschodzi oto gwiazda upojnego szczęścia – zostałem rażony tym cudem, kruchością rzeczy stałych, zdawało mi się, że i pałac gubernatora tak samo nagle i miękko zaraz oklapnie, roztopi się w lepką bryłę jak domek z wosku na patelni. To było nie do pojęcia. Przecież jeszcze w Jabłonnie obchodziło się jubileusz dynastii, trzechsetlecia domu Romanowych, jakie były uroczystości i parady! Majestatem i mocą tchnęły godła carskie i wszystkie dzwony były na następne trzydzieści lat, a tu chuch–dmuch i nie ma domu!

Dobrze, myślałem, Petersburg się wzburzył, ale żeby od jednego wstrząsu runęło całe imperium? Taki zdawało się monolit i raptem się rozsypał, nawet nie runął, po prostu rozsypał się, zetlał, nie było w nim nic litego, i nikt go nie poparł, i nikogo to próchno waląc się nie zabiło, co za szczęście, katastrofa bez ofiar! Ale w takim razie czym się taka mizerota trzymała tyle czasu, w jaki sposób gniotła wszystkich i wszystkim rządziła? – nie mogłem się temu nadziwić i wstydziłem się, że nie rozumiem, nie rozumiem dlatego, że mam dopiero czternaście lat. Ale kiedy zdobyłem się na pytania, to w oczach i słowach ludzi dojrzałych dostrzegłem także zdumienie i tę samą mniej więcej wizję. Nasz Dżentelmen wykręcił się przenośnią: zawsze przed świtem noc wydaje się ciemniejsza, a każdy rząd wygląda najmocniej w przededniu upadku. Podobały mi się te słowa, brzmiały ładnie, niczego jednak nie tłumaczyły. Ojciec Sieriożki, który mieszkał w gmachu banku państwowego i ponoć miał klucze od skarbcza, wyznał otwarcie, że on także nic a nic nie rozumie, partie rewolucyjne zostały rozgromione na początku wojny, nie słyszeliśmy, mówił, aby prowadziły jakąś żywszą działalność. Wuj Minca, mienszewik, wrócił i według niego wszyscy wybitniejsi rewolucjoniści znajdowali się na zesłaniu, w więzieniach albo przebywali za granicą, dopiero w marcu zaczęli powracać i włączać się w bieg wydarzeń. To mnie zbiło z tropu, bo jeśli w lutym nie było przywódców ani większości rewolucjonistów, to kto wtedy robił rewolucję?

– Motłoch – orzekł Achmadarow – motłoch wyczuł, że nikt go nie rozpędzi, nie zostało ani jednego wiernego carowi pułku.

– A dlaczego nie zostało nawet pułku?

– Chłopaku, toć nie ma już armii, to jeden wielki motłoch...

No i tak w kółko, motłoch, tłum, naród albo lud, jak to się komu widziało, inaczej mówiąc żywiol ruszył i zmiotł monarchię, czyli nic nowego dorośli nie powiedzieli, w dalszym ciągu

błądziłem wśród pytań dlaczego, skąd i w jaki sposób, choć znałem już przebieg dni lutowych, gazety o tym pisały. A gazet było wtenczas mnóstwo, mogłem czytać a czytać, ludzie zachłystywali się wolnym słowem, pławili w niezależnej prasie, kto chciał a miał na papier i druk, wydawał pismo, wychodziły więc pisma polityczne, społeczne, literackie, żołnierskie, robotnicze, ludowe, młodzieżowe, regionalne, elitarne, apolityczne, mistyczne i sprośne jak *Wieniera*, którą zaczął wydawać Szukszyn, bo miał trzy budki z kwasem i papierosami.

Otóż gazety, ile ich tam było, dość obszernie opisywały wydarzenia owych pięciu krytycznych dni lutowych w Petersburgu i wszystkie relacje przeróżnych gazet zgadzały się mniej więcej, widziałem jeden i ten sam bajeczny obraz.

Najpierw *chwostry*, jakich w Pienzie jeszcze nie znano – wszystko zaczęło się w ogonkach. Kobiety stojące w potwornych ogonkach przed sklepami burzą się i pomstują, przechodnie zatrzymują się, skupiają wokół kobiet, bo także są wygłodzeni i źli na cara, tworzą się tłumy. Tłumy rozbijają piekarnię i sklepy – na ulicę lecą szyby i bochenki chleba, tu i tam powstają wiece.

Policmajster grozi straszliwymi karami, na chybił trafił aresztuje socjalistów, jakich ma pod ręką w swej kartotece.

Robotnicy ogłaszają strajk i porzuciwszy fabryki nadciągają do śródmieścia z peryferii i osad podmiejskich.

Policja ustawia karabiny maszynowe na dachach domów, padają pierwsze strzały, wzywa się wojsko, ale żołnierze są zmęczeni wojną i zdemoralizowani, nie bardzo już słuchają swych oficerów i jeśli się czegoś naprawdę boją, to powrotu na front – wojsko łączy się z narodem i zdobywa twierdzę św. Piotra i Pawła, stolica jest w rękach ludu.

Car żąda odsieczy od naczelnego dowództwa, ale generałowie w głównej kwaterze z carskim stryjem włącznie odpisują mu, ustąp, najjaśniejszy panie, nie ma rady, musisz ustąpić.

Car abdykuje na rzecz syna, tego chłopaczka w krótkich spodenkach i bluzeczce z koronkowym kołnierzem, co się przewrócił na ptasim podwórku naszej babci i zdarł sobie skórę z kolana i tyle było szumu w imperium dokoła tego kolanka, z którego krew się lała i lała, nie dawała się wprost zatamować, taką miał popsutą krew, teraz nikt go nie chce, nie dlatego że chorowity i złego ojca syn, ale w ogóle nie chcą nikogo więcej na tronie, ani żadnego tam tronu.

Delegacje pułków, fabryk, stowarzyszeń społecznych i miast idą tłumnie pod Pałac Taurydzki, gdzie obraduje Duma, car

rozwiązał ją parę dni temu, ona jednak została w swym pałacu i obraduje, bo tak chcą, tego żądają wszystkie delegacje, niech rządzi parlament.

Niedobrze, najjaśniejszy panie, mówią dworacy, abdykuj jeszcze raz, bo będzie całkiem źle, i car abdykuje na rzecz młodszego brata, lecz wielki książę Michał nie chce wkładać korony i narażać głowy, starszy bracie, odpowiada, nie zezwalałeś mi na poślubienie ukochanej, bo nie była księżniczką, dość już nacierpieliśmy się z powodów dynastycznych, chcemy teraz żyć i kochać się jak wszyscy normalni ludzie.

Nie ma starego cara i nie ma nowego, rzecz straszna, jak mnie objaśnił Kazarkin, wszyscy generałowie, ministrowie, gubernatorowie, wszyscy urzędnicy od dyrektorów i radców stanu aż do ostatniego wójta, listonosza i stójkowego, z chwilą abdykacji ich imperatora, tracą wszelką moc, nie istnieją już i nikną jak promienie świetlne po zachodzie słońca, jest więc zamęt i trwoga, musi być przecież jakiś rząd, jakaś władza, ale komu ją dać, i kto się podejmie?

A w tym samym czasie i w tymże Pałacu Taurydzkim powstaje Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, rej tam wodzą socjaliści rewolucjoniści przy pomocy innych socjalistów i oni żądają od Dumy, by wyłoniła Rząd Tymczasowy, dopóki nie odbędą się wybory do Konstytuanty, a ta już ostatecznie rozstrzygnie, jaki ma być ustrój i rząd w Rosji.

I oto od marca istnieje Rząd Tymczasowy z kadetów, o których wiem już, że nie mają nic wspólnego z chłopcami w mundurkach kadeckich, to są poważni ludzie, konstytucyjni demokraci, po większej części kupcy, przemysłowcy, profesorem uniwersytetów i bardziej postępowi ziemianie, tak zwana liberalna burżuazja, która chce, by w Rosji było jak w Anglii albo jak we Francji.

A więc zwyciężyła rewolucja, rewolucja krótka i wspaniała jak majowa burza, nie było zniszczeń, nie było krwi, nie było mściwego pastwienia się nad pokonanym wrogiem, zwycięstwo chlubne i godne Rosji, bo lud rosyjski ma Boga w sercu i mistyczne treści, gdzie indziej pisano, że ma treści humanitarne, odwieczną muzykę tęsknotę za sprawiedliwością społeczną i poczucie ładu na skutek gminnej wspólnoty rolnej, wyczytałem też i takie wyjaśnienie, że rewolucja zwyciężyła zdecydowanie i bezkrawo dlatego, że robił ją świadomy proletariatus. To było nowe dla nas, w czwartej gimnazjalnej nie znaleźliśmy tego słowa, na jednej z pauz posprzeczaaliśmy się nawet o to, czy robotnicy i proletariatus to jedno i to samo? Niektórzy chłopcy twierdzili, że

robotnicy pochodzą ze wsi i do wsi chcą wrócić, ale nie mogą, choć pracują do upadłego, są umorusani, ciemni i niebezpieczni po wypłacie, kto nie wierzy, niech się przejdzie przez Słobódkę, a proletariatu to dziedziczni robotnicy, przeważnie w skórzanych fartuchach, bo pracują przy maszynach, przy piecach i metalu w wielkich fabrykach, dlatego w Pienzie nie ma proletariatu, spotkasz go w Petersburgu, w Moskwie i na Uralu. Proletariat gardzi chłopami i robotnikami, jest dumny ze swej pracy i klasy, a w święta idzie porządnie ubrany do proletariackich związków i partii, gdzie się uczy i wybiera przywódców. Minc uśmiechnął się na to z wyższością, miał w domu wuja z zesłania, który go uświadamiał, rozmowa z nim później rozbiła wprawdzie wyobrażenie o gatunkowo różnej naturze proletariatu i robotników, lecz pod względem emocjonalnym jeszcze bardziej podbudowała obraz młodego proletariusza w skórzanym fartuchu z młotem w ręku.

Życie, zamknięte dotąd domem, szkołą i chłopięcym penetrowaniem, rozwarło się na świat, wdzierały się niepojęte wydarzenia, sprawy i słowa, próbowałem je uchwycić, przyswoić z najlepszą wiarą i naiwnością w normie mojej czternastej wiosny i w aurze wiosny siedemnastego roku, którą wszyscy się upajali, kiedy wytrawni politycy snuli dziecięce sny w ogólnym idealizowaniu, w powszechnej euforii wyzwolenia, jakiej nie dane mi już było nigdy potem przeżyć. Wiosna czterdziestego piątego roku, kiedyśmy wychodzili z obozów, także oszałamiała wyzwoleniem, była jednak skażona, z obozów śmierci nie powraca się do życia bez skaży, byliśmy u kresu sił, dusze mieliśmy chore i czad palonej kości w nozdrzach, niejeden mijając niepochowane jeszcze zwłoki zmarłych odczuwał wyrzut tamtych, przeżyłeś, dlaczego właśnie ty? – wyrzut, rozterkę i lęk, jak dalej żyć z tym wszystkim, jak w poprzedni byt przenieść odmienioną moją osobowość, z którą muszę się oswoić i przecież wrócić do tych, którzy kochali, znali, pamiętają zupełnie innego człowieka... A wiosną siedemnastego roku była sama radość, obchodzona niczym nieskalane święto wyzwolenia, olśniewające zwycięstwo nowego życia bez walk i ofiar, bez terroru, bez rozpasania niskich instynktów – jak świat światem, mówiono, nie było jeszcze takiej rewolucji!

Co do owych instynktów i ofiar, to w Pienzie zdarzył się tylko jeden wypadek zemsty tłumu, w marcu chyba, bo dzień był słoneczny i parny, pamiętam zwały brudnego śniegu i szum potoków na ulicy, którą szedłem pod górę z malutką Tanią na spacer. Trzymając ją za rączkę, posuwałem się tam, dokąd

wszyscy spieszyli, na plac katedralny, dochodziły już stamtąd dźwięki orkiestry przygrywającej do uroczystości zaprzysiężenia garnizonu. Przysięgę na wierność rewolucji i defiladę wojsk miał odebrać dotychczasowy carski komendant miasta czy też dowódca okręgu wojskowego, generał Baum, Berg, Bem, nie mogę sobie przypomnieć, jakieś niemieckie nazwisko na B.

Kiedyśmy doszli do rogu ulicy, skąd otwierał się widok na plac, orkiestra przestała grać, rozległ się czyjś donośny, władczy głos, ktoś przemawiał, dolatywały odpryski zdań, coś o Rządzie Tymczasowym, który wzywa i o armii, która jednak musi dalej walczyć z Germańcem. Ludzie poruszali się niespokojnie – wyciągali głowy, wziąłem Tanię na ramiona, żeby jej czasem nie przewrócili w tłumie. Siedziała sobie wygodnie na moim karku przewiesiwszy nóżki, które przytrzymałem na piersi, od czasu do czasu wykrzykiwała co się dzieje na placu, bo ja widziałem tylko głowy i plecy przed sobą i *izwozcika* nad tłumem z prawej strony na postoju, siedział w swych sankach ze znużoną miną, nagle się poruszył, Tania zawołała, o, ten pan ucieka! – i w tejże chwili huknęły strzały. Tłum rzucił się do tyłu i byłby nas przewrócił, gdyby nie słup telegraficzny, uderzyłem o niego plecami, czapka zleciała mi z głowy. Tania wczepiła się w moje włosy, złapałem się oburącz słupa, a nikogo już nie było przede mną, tylko ten generał na B, którego raz koledzy pokazali mi na ulicy mówiąc, satrapa, znęca się nad żołnierzami. W rozpiętym szynelu zmykał co tchu, generalskie wyłogi majtały, ich czerwień biła w oczy żalostną jaskrawością, czymś jarmarcznym, biegł prosto na nas z rewolwerem w rękę. Ścigający go żołnierze, których był powstrzymał ostrzeliwując się przed chwilą, podnieśli karabiny, ale się zawahali mając nas na linii strzału, dzięki temu zdążył dopaść sań, dziesięć kroków ode mnie, widziałem go wyraźnie, ledwo łapał oddech, szary z przerażenia staruszek, zdołał tylko wycharkotać, ruszaj! Ale *izwozcik* nie mógł ruszyć, na defiladę nadciągała właśnie jakaś spóźniona i dobrze prezentująca się kompania, jej dowódca na widok obleganego w sankach generała rzucił komendę i kolumna stanęła jak wryta, błysnąwszy bagnetami na rozwścieczonych żołnierzach. Synęły się stamtąd wyzwicka i wyrzuty, a coś cie poszaleli, że na swoich z bronią? i kogo wy bronicie, tego skurwysyna?! Nastrozona szczecina bagnetów drgnęła, generał chciał wyskoczyć z sań, ale *izwozcik*, który oglądał się, obracał na koźle to do tych z bagnetami przed nim, to znów do tamtych wrzeszczących z tyłu, raptem uniósł się jak w strzemionach i ciął generała batem przez twarz, generał zwałił się i zaraz wyleciał

wyrzucony w górę, szmaciany Pietruszka z szarmankowego bałaganu, runął w żołnierską, sukienną masę. Stunożna masa dreptała teraz z pomrukiem, z chrobotem, wlokła, rozdrabniała zajadle, zewsząd zbiegali się żołnierze, cywile, kobiety i nad całym tym opętaniem świdrował dziecięcy krzyk Tani, oni go biją, powiedz, dlaczego oni go biją?! Zdjąłem ją z ramion, postawiłem, bo już byliśmy sami na rogu, wszystko kotłowało się coraz dalej od nas. Zacząłem szukać czapki, czapka na głowie, o tym tylko myślałem, to mi się wydawało najważniejsze, najpilniejsze. A kiedy w końcu znalazłem ją zdeptaną, podartą, z ułamanym skrzydełkiem srebrnego znaczka gimnazjalnego, kiedy otrzepywałem to coś, co przed kwadransem było czapką, ujrzałem Lilę Sołowjową z siódmej klasy gimnazjum żeńskiego, gwiazdę naszej sceny szkolnej, niezrównaną w heroinach z poetyckiej wizji, biegła ulicą wymachując tryumfalnie strzępem generalskiej podszewki, subtelna Lila Sołowjowa, nasz ideał, tęsknota nasza, uosobienie słodczy dziewczęcej i czaru, pędziła na złamanie karku z ustami wykrzywionymi dzikim, krwawym śmiechem, z oczami pijanej wampirzycy. Ale powiedz, szarpała mnie za rękaw Tania, powiedz, za co oni go biją? Nie miałem ochoty na rozmowę z Tanią, taki czteroletni szkrab, na co jej to wszystko, nie mogłem w ogóle mówić, ach, co ty pleciesz, powiedziałem, oni się tak tylko bawią, widziałś przecież, że go bujali...

Pierwszy raz widziałem mordowanie człowieka, dlatego tak pamiętam. I zatracenie się ludzi w niepoczytalnym i przemożnym tłumie, gdzie nikt już nie jest sobą. Ilekroć później na Wolnej Wszechnicy Polskiej Ludwik Krzywicki dosiadał swego konika, psychozy zbiorowej, bez której niepodobna zrozumieć dwudziestego wieku, jego masowych zamroczeń i klęsk, powtarzał to nam niemalże na każdym wykładzie i to wówczas, na początku lat trzydziestych, wydawało się przesadą, jakimś starczym przeczuleniem znakomitego socjologa, bo chociaż faszyzm już był, lecz hitleryzm dopiero się kształtował, a stalinizm rozwijał się w osłonie złudzeń, dymnej propagandy i dezinformacji, otóż ilekroć Krzywicki poruszał zjawisko masowej psychozy, zawsze wybiegało mi ono przed oczyma i nękało twarzą Lili Sołowjowej.

I jeszcze coś, nie warto by o tym wspominać, takie to błahe i zupełnie bez znaczenia, jeśli chodzi o historię tamtych dni, ale ja spisuję historię własną, rejestr pamiętnych momentów psychicznych. Otóż, gdy prasa podała opis deportacji cara, czytałem z aprobatą, dobrze mu tak, zsyłał, teraz sam jedzie na zesłanie,

czyli mniej więcej jakeśmy postanowili. Myśmy pierwsi zainteresowali się losem zdebronizowanego monarchy, co z nim zrobić, ściąć go, trzymać w więzieniu czy postać do pracy? Sądziliśmy go sądem jawnym, sprawiedliwym i powszechnym całej naszej czwartej klasy, każdy mógł go bronić, tylko że nikt nie chciał, trzeba było wylosować obrońców. W czasie rozprawy wyszły na jaw rzeczy straszne i ohydne, bylibyśmy go skazali na śmierć gdyby nie obawa, że w ten sposób możemy pokalać rewolucję, o której ciągle pisano i mówiono, że bezkrwawa, wspaniała i wielka na miarę Rosji, jej kultury, jej ofiarnej, ideowej inteligencji, rewolucja na miarę świadomości młodego proletariatu rosyjskiego i serca prostego ludu, który szuka Boga i prawdy na ziemi. Dobrze, powiedzieliśmy, darujemy Mikołajowi życie ze względu na brak charakteru i słaby rozwój umysłowy, niech idzie na zesłanie, niech się tam gryzie i wstydzi do końca swoich dni, natomiast cesarzową Alicję, tę czarownicę, należy trzymać w więzieniu aż się wojna skończy, wtedy odesłać z powrotem do Niemiec wraz z księżniczkami, jeśli do tego czasu nie powychodzą za mąż, a były carewicz może się uczyć jak każdy chłopiec, tylko pod innym nazwiskiem i w nieznanym mieście. Tu nasz wyrok różnił się od postanowienia rządu, bo jak wyczytałem, cała rodzina carska jechała na zesłanie, ostatecznie nie taka już wielka różnica, byłoby to przeszło bez wrażenia, gdyby w ostatniej chwili nie zjawił się emerytowany admirał Niłow. Dosłownie w ostatniej chwili, gdy car wsiadł już do wagonu, stary admirał zdołał przepchnąć się przez tłum konwojentów i gapiów i ze łzami w oczach przypadł do ręki swego monarchy. Znalazł się jednak monarchista, jeden jedyny, ale się objawił, dodano zjadliwie w komentarzu i coś tam jeszcze o lokajskiej mentalności. Wstyd było patrzeć na takie dogryzanie człowiekowi, który zawinił właściwie tylko przywoitością. Zrobiło się nieswojo. Zdażyłem już nabrać pogardy do monarchistów, dla ich nikczemności i głupoty za cara, kompletnej ich nędzy w dniach rewolucji, z poczuciem wyższości mogłem mówić o tych bądź co bądź dorosłych, dranie, durnie i tchórze, i oto jeden z nich robi rzecz imponującą, na którą nie każdy by się zdobył, zastanawiałem się, czy ja bym tak mógł? Przecisnąć się przez tłum szumiący gniewną kpiną albo milczący, co jeszcze gorzej, przejść przez takie miażdżące milczenie tłumu i na oczach wszystkich ucałować rękę swego pana i dobroczyńcy, jadało się przecież dawniej z tej ręki, może nawet mniej niż inni, to nieważne. Po prostu sprawą honoru jest pożegnać solennie swego cesarza, gdy idzie na wygnanie, wzgardzony bardziej niż

żebrak czy przestępca – nie, łatwiej zdawało mi się bronić i bodaj zginąć na jakiejś straconej placówce niż zrobić coś podobnego, prosty ludzki odruch na przekór wszystkim, pod gwizd i śmiechy wszystkich...

Zaraz po rewolucji na placu przed domem gubernatora wzniesiono rusztowanie z nieheblowanych, prosto spod piły desek i bali, mówiło się na nie trybuna, ale myśmy to przewali szafotem. Pierwszy przemawiał z niego komendant garnizonu, ten właśnie generał na B, co został rozszarpany przez tłum, jakeśmy to widzieli z Tanią, potem wchodził na szafot kto tylko chciał i dziwnie, od rana do wieczora, jak dzień cały, nie brakło tam chętnych. Zawsze ktoś przemawiał i zawsze łuskając pestki stali na dole słuchacze, głównie żołnierze. Takiej masy żołnierzy nie widziano dotąd, nie domyślano się nawet, rewolucja wypuściła ich z koszar, eszelonów, etapów i wielkich innych pojemników czasów wojny, wylegli raptem na ulice i snuli się wszędzie w rozchełstanych burych płaszczach, bezbronni i z bronią, solidarni, podrażnieni i wyglądający czegoś, miasto od nich burawiało i zatracalo się jak po najeździe albo przed zagładą. Co dzień po lekcjach, w drodze do domu, szuraliśmy przez syпки pokład łusek otaczających szafot, noga w tych łupinach grzęzła po kostkę, staliśmy w zbitym lub rozsypanym tłumku, zadzierając w górę głowy chwytałyśmy rzucane słowa, podziwialiśmy twarze i gesty oratorów, ich mowy, porywające i nudne, mętne, podniosłe i proste, biliśmy brawa, gwizdaliśmy łuskając słoneczniki wraz ze wszystkimi jak na każdym widowisku, samym sposobem wypluwania pestek wyrażało się podziw, aprobatę, protest, obojętność czy zachętę, ani przez myśl nam nie przeszło, że z szafotu przemawia rewolucja i że dla nas, *gotowastików*, nadchodzi oto pora inicjacji politycznej.

Na początku w dniach marcowych, wszystkie głosy były zgodne, brzmiały patetycznie i odświętnie. Z obnażonymi głowami jak ze stopni ołtarza starzy i młodzi witali rewolucję, mówili tak, że się wprost czuło jej wielkie, przyświecające wszystkim, pąsowożłote R. Potem rewolucja przemówiła heroicznie głosami bojowników o wolność, wyszli z zesłania, z więzienia, z katorgi, z mroków konspiracji i zaklinali na święte ideały braterstwa i równości, na pamięć poległych i umęczonych, byśmy strzegli zdobytych swobód i praw człowieka i obywatela, żeby się nie skończyło jak w dziewięćset piątym roku, gdy po zwycięstwie ludu wróciły jednak czarne czasy reakcji. Nie bardzośmy wiedzieli, co to właściwie jest reakcja, ale skoro była czarna, wołaliśmy ze wszystkimi precz i nigdy, w ogóle

trzymaliśmy z socjalistami, wkrótce jednak zobaczyliśmy, że nie można być socjalistą w ogóle, na rusztowanie wstępowali coraz to inni socjaliści, każdy wierzył tylko w swój socjalizm i nawoływał tylko do swej partii, należało zatem wybrać i zostać pewnym szczególnym socjalistą.

Największą popularnością cieszyli się u nas w klasie socjaliści rewolucjoniści, zresztą nie tylko u nas było ich najwięcej. Ta partia o najstarszych tradycjach rewolucyjnych, głośna echem niezliczonych aktów terrorystycznych, zamachów i powstań, wydawała się nam partią najbardziej zdecydowanych socjalistów, z rewolwerem i bronią walczących o ziemię dla chłopów, o wolność dla wszystkich. Minc czytał programy i skłaniał się ku socjalistom demokratom z tego ważniejszego odłamu, ku mieńszewikom, bo istnieli jeszcze, jak się okazało, i inni esdecy, zwani nie wiadomo dlaczego bolszewikami, chociaż było ich mniej. Ja rozczytywałem się wyłącznie w życiorysach i z początku sympatyzowałem z socjalistami rewolucjonistami, przemawiały do mnie nie tyle idee i racje, ile ludzie, ich czyny i charaktery, pod tym względem historia eserów wyglądała bardziej przystępnie i barwnie, sensacyjna lektura i co za ludzie! Kalajew na przykład, łagodny, subtelny, poeta z natury, w samotności odbierałby świat poprzez cierpienie i nieco mistycznie, a był w czołówce organizacji bojowej i zabił w końcu wielkiego księcia Sergiusza, gubernatora Moskwy, w biały dzień rzucił na ulicy bombę pod nogi i nie uciekł, nie bronił się, gdy go brali, ani potem na rozprawie, jawnie i otwarcie wykonałem wyrok partii, mówił, jestem teraz waszym jeńcem, panowie, mam nadzieję, że tak samo jawnie i otwarcie wykonacie swój wyrok nade mną – domagał się kary śmierci dla siebie, bo jak twierdził, człowiek może zabić człowieka, jeśli ten jest nikczemny i niebezpieczny, ale za to musi oddać własne życie, wtedy dopiero rachunek będzie wyrównany i czysty...

Czas jakiś żyłem pod urokiem Kalajewa, pragnąłem znaleźć się w jego partii, ale dowiedziałem się, że obok Kalajewa miała ona również Azefa, bohaterów i prowokatorów, poza tym w jeszcze większym stopniu niż esdecy była rozbita na odłamy eserów prawych, lewych i środkowych, trudno się było w tym połapać, więc zrezygnowałem i wkrótce zadurzyłem się w Kropotkinie. Tym razem fascynowały nie tylko szlachetność i heroizm, ale i umysł, ale i natura. Pomyśleć tylko, prymus korpusu paziów i paż cara, ksiązę z bardziej starożytnego rodu niż jego pan, Mikołaj Pierwszy, nie przyjmuje służby w gwardii, przekreśla świetnie zapowiadającą się karierę dworską i

wojskową, wybiera sobie pospolity pułk kozacki gdzieś na pograniczu Syberii i Chin, staje się podróżnikiem, uczonym, w końcu wygnańcem i apostołem anarchizmu na obczyźnie. Najzwyczajniej w świecie, naturalnym gestem, dość tego ciężaru, tej szpetoty, zrzucił z siebie i oddał wszystko pańskie, pozostał arystokratą ducha, księciem swej udzielnej osobowości. Nie uchybiał sobie, żył całą pełnią swej bogatej natury. Tchnęło to jakąś wielką sztuką życia, której wówczas w mgławicy wyobrażeń i przeczuć wieku dojrzewania mogłem najwyżej domyślać się niejasno, a którą po wielu, wielu latach ujrzałem ostro w zdaniu Montaigne'a – najwyższa to doskonałość i jakoby boska, umieć zażywać szczerze swego istnienia.

I tak na każdym kroku. Nie hasła, nie programy, ale impulsy czegoś, co potem przybierało na wyrazie, impulsy z czystego przeżycia, z samych nastrojów. Wyrwało się, powiedzmy, sztubackie westchnienie podziwu – ten to naprawdę miał swą wiarę! – szukało się potem czegoś podobnego u ludzi z książek i z otoczenia, czy słowa ich i czyny zgadzają się jak u Kropotkina, bo wiara to nie słowa, już się stopniowo dochodziło do tego, jakkolwiek autentyczna i znacząca cokolwiek wiara to styl życia, sposób postępowania, wszystko inne jest przystrojem, tak że kiedy pewnego razu, znowuż po wielu latach, gdy się było już studentem i wychowawcą w domu dziecka, Korczak rzucił mimochodem w rozmowie, ano, jak zważyć rzetelnie, te wszystkie wyznawane przez nas ideały i prawdy mają tylko taką wartość, jaką nadajemy im naszym życiem – coś trudnego z dziecięcej lektury zabrzmiało pełnym tekstem i było jak truizm oczywiste w ustach człowieka, który nie znał, nie potrafił niczego poza człowieczeństwem.

Słowem Kropotkin to ferment, jaki wzbudził, uczulenia, jakie zostawił. Bo z samego anarchizmu, jeśli co do mnie przemówiło, to raczej jego górne arcyłudzkie założenia, nie treści polityczne. Człowiek żyje tylko raz, jego więc wola, jak ma żyć i nie ma nic nad nim, ani narodu, ani państwa, ani społeczeństwa, i żadnych wieków przyszłych nad jego dzień dzisiejszy! To było całkiem proste i bliskie. Ale już stwierdzenie, że państwo bez względu na ustrój, na intencje i cechy rządzących, wszelkie państwo z natury swej było, jest i pozostanie tworem złym, żadna władza, żaden rząd nie powinny istnieć, nie, tego pojąć nie mogłem. Z ogromnym zdumieniem i rozterką, pamiętam, wpatrywałem się w tę wizję: jakże tak, zupełnie bez państwa i bez władzy? Nikt nie stoi na rogu ulicy, ani gdzieś tam w górze? Wszystko z nieprzymuszonej dobrej woli, świadomie, z ludzką

godnością? A co z tymi, co nie zechcą, albo z tymi, co nie mają godności? Próbowałem wyobrazić sobie nasze gimnazjum jako federację wolnych gmin szkolnych od klasy wstępnej do maturzystów – wychodził bałagan nie z tej ziemi. A kiedy pomyślałem o całej Pienzie rozbitej na mnóstwo arteli wytwórczych i usługowych, na niezawisłe zrzeszenia według zajęć, upodobań i dążeń, to strach mnie obleciał, że przecież złodzieje i bandyci także mogą się złączyć i założyć artel... Kropotkin nie dawał odpowiedzi na wątpliwości, a ci młodzi – bo anarchiści, których zdarzało się słyszeć z szafotu, byli przeważnie młodzi – w jeszcze mniejszym stopniu zdolni byli przekonać, tacy krzykliwi, niechlujni i zarozumiali, ten ich duch, na który ciągle się powoływali, którym wszystko załatwiali – *duch razruszajuszczyj, duch sozidajuszczyj!* – wyglądał histerycznie i podejrzanie, miałem wrażenie, że okropnie chce im się niszczyć do szczętu wszystko stare, ale co potem robić, nie wiedzą...

Natomiast socjaldemokraci, to znaczy mieńszewicy, innych esdeków w tych dniach wiosennych rewolucji nie oglądaliśmy jeszcze na rusztowaniu, najuczeńsi z socjalistów, jak się nam zdawało, ci wszystko wiedzieli, znali prawa historii i cały rozkład jazdy. Widziało się wyraźnie tor ze wszystkimi stacjami od Wspólnoty Pierwotnej do Socjalizmu, pociąg je mija każdą po kolei, wjeżdżamy teraz w Kapitalizm, cierpliwości, to nie jest przyjemny etap, ale nie ma rady, musimy przebyć, przeskakiwać nie wolno, to grozi katastrofą, możemy się tylko postarać, żebyśmy jechali najwygodniej i jak najprędzej szczęśliwie dojechali. Ten obraz wyglądał dość przekonująco, tchnął spokojnym optymizmem ludzi znających się na rzeczy, ale był bez polotu. Socjalista–rewolucjonista wysadzał dawniej pociągi, teraz dbał o chłopskie konie i na nich mknął, że aż ha! Anarchista koczował sobie po całej przyszłości i rozbijał namioty, jakie chciał i gdzie chciał. A esdek zajmował swój przedział z poszanowaniem przepisów, nie wychylać się, nie wyskakiwać w biegu, nie pociągać bez koniecznej potrzeby za rączkę hamulca, jechał świadomy, zorganizowany ku temu, co było jasne jak prawo Newtona i nieuniknione jak wyrok Przeznaczenia. Esdecy budzili we mnie respekt, ale słuchając ich uczonej mowy słabłem na fantazji i entuzjazmie, szaro mi się robiło i ciasno w ich przedziale, choć był dobrze urządzony, z oknem otwieranym na postojach.

Miałem jeszcze jedno źródło informacji politycznej. Była tendencyjna jak każda informacja polityczna, ale przystępna i przyjemna, jeden jedyny bowiem człowiek dorosły rozmawiał ze

mną chętnie i poważnie o polityce, Jewgienij Pietrowicz Kazarkin. Przybył do Pienzy z dalekiego, żeby nie powiedzieć wielkiego świata w drugim roku wojny, w dziewięćset piętnastym. Po tej mojej scysji z jędzą bizantyjską, kiedyśmy się od niej wyprowadzili, mama ze względu na ojczyzna starała się jednak utrzymać z nią jako tako poprawne stosunki. Pewnego wieczora na niedzielnej herbatce u niej dowiedzieliśmy się, że postanowiła odnajdąć nasze pokoje i będzie miała lokatora. Co to za człowiek, spytała mama. Anastazja Polikarpowna podnosząc trzema palcami do ust porcelanowy spodeczek z herbatą dmuchnęła wzgardliwie słowem: kupczyk. A więc ktoś półmuzycki w długiej kapocie i poskrzypujących butach z cholewami, strzyżony w skobku, z przedziałkiem lśniącym po oleju lnianym czy lampkowym, ktoś układnie chytry, skąpy i bogoboyny na co dzień, a nieokiełznany i dziki po pijanemu, tak go sobie wyobraziłem, takich tylko kupców widywałem w Pienzie, znałem ich zresztą raczej z utworów Ostrowskiego i Mielnikowa-Pieczerskiego. Tymczasem Jewgienij Pietrowicz Kazarkin, elegancki pan w sile wieku, wyglądał na młodego lekarza albo na dyplomatę średniej rangi, i tę jego inteligencję, nienaganność manier, ujmujący sposób bycia, nawet złote spinki u mankietów, całe to jego wynoszenie się ponad chamski stan Anastazja Polikarpowna byłaby może i darowała mu z upustkami żółci od czasu do czasu, ale nosił jedwabne skarpetki i batystową bieliznę, on, żona i siostrzenica ich, wszyscy pławili się w wykwintnej bieliźnie, w kosmetycznych wonnościach i mydłach i co drugi dzień chcieli wanny, podobnej rozpusty Anastazja Polikarpowna znieść nie mogła, tak że wkrótce po paru jadowitych ukłuciach nowi lokatorzy przenieśli się do własnego pięknego mieszkania przy ul. Moskiewskiej, przedtem jednak zdążyli poznać mamę, stąd zażyłość, potem przyjaźń obu domów.

Dla nas, dla wszystkich dokoła Kazarkin był zupełnie nową, nieznaną dotąd postacią kupca, zdumiewał całą swą niezwykłą, pozapienzeńską sylwetą, przede wszystkim wykształceniem. Kto to słyszał, żeby kupiec studiował handel, jak się studiuje prawo, medycynę lub matematykę! A ten ukończył Kommerceskij Institut, wyższą szkołę handlową, znał języki, znał Europę, do Pienzy przybył z Petersburga jako przedstawiciel wielkich firm, poza tym prowadził interesy na własną rękę, organizując, reorganizując przeróżne spółki i zakłady przemysłowe, głównie na potrzeby wojny, mówiono o nim negocjant, w pierw z przekąsem, potem z uznaniem, nasz negocjant Kazarkin był jednym z owych inżynierów czy oficerów sztabowych

wielkiego przemysłu, jednym z pierwszych w ostatniej formacji rosyjskiego kapitalizmu.

U Kazarkinów, w ich rosyjskim z kultury, obyczajów i kuchni domu, żyło się przyspieszonym europejskim tempem, zawsze był ruch, ktoś wyjeżdżał, ktoś przyjeżdżał, zawsze coś się tam działo, coś żywo omawiano, nowe przedsięwzięcie Jewgenija Pietrowicza, ostatnie wydarzenia polityczne i literackie – duch interesu, duch pieniądza unoszący się w tym domu był dobrze odczytany i miał aspiracje górnego pułapu.

Mama przyjaźniła się z panią Łarisą, a ja z Lizą, osieroconą jej siostrzenicą, którą bezdzietni Kazarkinowie wychowywali. Pewnego razu pomogła mi w zadaniu z algebry, od tego wieczora zaczęła się nasza przyjaźń, jeśli można tak to nazwać, jeśli jest ona możliwa między uczniem czwartej klasy a siedemnastoletnią maturzystką, teraz nie umiałbym już tego stosunku bliżej sprecyzować, w każdym razie lubiła mnie, jak się lubi pieska albo czyjeś dziecko, dobrze się czuła w roli dorosłej powiernicy chłopca, tak samo jak ona obciążonego nieśmiałością, egzaltacją i naiwnością, niekiedy sama się zwierzała, wówczas jej wyobraźnia, niepokoje, rozterki, jej brulion, bo i ona pisywała skrycie w brulionie, wszystko to łączyło wspólnie przeżyta dobrą chwilą i nie tak bardzo odbiegało od mego intymnego świata. Raz, kiedyśmy tak rozmawiali, Liza nagle umilkła, a ty masz ładne usta, zauważyła nie bez zdziwienia i delikatnie, niby sprawdzając rysunek, poprowadziła po nich paluszkami – całowałeś się już? Spiekłem raka i tylko głową ruszyłem na nie. Ujęła ją w obie dłonie, jak się bierze króliczka, i musnęła mnie zimnymi wargami. Przyjrzała się potem, nie bardzo widać zadowolona z wyrazu mej twarzy – nie, powiedziała, chcę żebyś pamiętał! – i pocałowała tak, że zrobiło mi się słodko i pałąco, jakby wiśnię z nalewki babuni roztarła na moich wargach. W domu stanąłem przed lustrem, usta wyglądały jak dotąd, zwyczajnie do mówienia, jedzenia i gwizdania, a jednak zdawały się nabrzmiewać bezwstydnie, całowane usta, patrząc na nie czułem ciepło i zapach Lizy i dreszcze na myśl, a więc już się zaczyna to, od czego mężczyźni tracą głowę, o czym wieszczą piśmą w nieśmiertelnych poematach i chłopcy na ścianach ubikacji. Liza w snach i marzeniach dręczyła mnie i upajała swą cygańską urodą, cudna Esmeralda albo księżniczka Tamara, dla której Demon byłby się wyrzekł całej samotnej wieczności i władzy nad światem. Pragnąłem, by znów mnie pocałowała, wybierając się do Kazarkinów, pucowałem się, szczotkowałem, myłem zęby, ale wszystko na nic – ten pocałunek już się nie powtórzył.

Nawiasem mówiąc, w jakiś czas potem odczułem istnienie brodawek. Do tej pory nie odczuwało się ich, z całego ciała wydawały się czymś najbardziej obojętnym i zbytecznym, takie dwa śmieszne i absurdałne na piersi chłopca pieprzyki, naraz zaczęły twardnieć, uczuły się na dotyk, nabrzmiwały. Przesztraszyłem się. Bo Riabcew opowiadał, a Riabcew znał się na sprawach płci jak nikt w klasie i on właśnie powiedział, że zdarza się też i trzecia płeć, nie on ani ona, tylko ono, i to ono jest do pępka mężczyzną, a powyżej pępka kobietą z piersiami jak u mamy. Teraz strach, że mogę zostać takim onym, stał się zmorą moich dni i nocy. Co chwila dotykałem piersi sprawdzając, czy aby nie rosną, a im bardziej dotykałem, tym wyraźniej czułem, że rosną. Wpadłem w ciężką depresję, nie wiedziałem, jak się skryć z moim wstydem i co w ogóle zrobić z sobą, utopić się czy powiesić? Szczęściem mama dostrzegła, że coś się ze mną dzieje niedobrego i wypytała zrzęcznie o wszystko. Dzięki niej oprzytomniałem. Po prostu rosnę, staję się mężczyzną, a to ciężkie przejście, powiedziała mama, będę gorączkował uczuciowo, przechodził rozdrażnienie, roztargnienie, apatię, muszę teraz na siebie uważać.

Mój tak zwany okres dojrzewania przypadł na lata rewolucji, rozwijał się wraz z nią i dom Kazarkinów brał niepośledni udział w tym dramatycznym procesie. Pocałunek Lizy wywołał w niedorostku pierwsze tchnienie erotyki, koleżeństwo i przyjaźń z Lizą poczęły wzbierać chłopięcą adoracją, Jewgienij Pietrowicz natomiast zainicjował zgoła inną, tak samo nieodwracalną przemianę. Jak już wspominałem, rozmawiał ze mną chętnie i poważnie, bo lubił młodzież, a nie miał dzieci, przypuszczam też, że przystępnie wyjaśniając rzeczy elementarne, pojęcia podstawowe, miał sposobność oglądania ich w całej znanej mu złożoności i w bezpośredniej konfrontacji z wywodami, z wnioskami, jakie mógł rozwijać w myśli i na głos. Niewątpliwie dał mi sporo, jeśli chodzi o poszerzenie widzenia, a mógłby, gdybym nie był taki odporny, mógłby mnie skrzywdzić deprawując wyobraźnię industrializacją, mechanizacją i postępowaniem technicznym, co w ostatecznym wyniku dewastuje i zanieczyszcza przyrodę i duszę – zło konieczne, które stało się kultem i zaciążyło później na życiu duchowym mojej generacji. Doprawdy nie wiem, w jakiej mierze szkodliwa jest dla młodzieży pornografia, ale statystyka, ale ekonomia?! Propagandowe fascynowanie wszystkich bez ustanku ekonomiką, na której się nie znają, nie mają tu nic do powiedzenia, nic nie znaczą, to szkoła oglupiania i wynudzonych, biednych, bez

życia, wyobrażeń.

Jewgienij Pietrowicz należał do kadetów i z pozycji tej partii witał rewolucję. Nareszcie, mówił, będziemy mieli państwo europejskie, będziemy mocarstwem, pierwszym mocarstwem świata. Bo Rosja to eldorado, często powtarzał ten zwrot, za każdym razem z tą samą żarliwą ekspresją. Rosja to eldorado, wszystkiego ma ponad wszelką miarę, nieprzebrane zasoby węgla, żelaza, złota, ropy i jakich tylko chcesz jeszcze kopalin i skarbów, ma najpiękniejsze lasy, miliony kilometrów kwadratowych lasu i bezkresne przestrzenie ziemi wymarzonej dla rolnictwa, czarnoziem jak kompost... To dlaczego, pytałem, dlaczego miewa głód? Nonsens. Rosja nie może głodować, bo jak się zdarzy nieurodzaj nad Wołgą, to obrodzi Ukraina, jak Ukrainę nawiedzi posucha, to Syberia pęcznieje zbożem, a każdy z tych spichlerzy może wyżywić całą Rosję i jeszcze zostanie na wywóz. Klęska głodu mój miły to klęska złego rządu, złej organizacji, złego transportu, głód mógł nękać tylko pewne regiony i tylko za rządów carskich, to się więcej nie powtórzy... A czy to prawda, że Mikołaj to czysty Niemiec i dlatego źle rządził? Owszem, od stu pięćdziesięciu lat rodzina carska nie ma w sobie kropli krwi rosyjskiej, to nie jest jeszcze czymś wyjątkowym ani najgorszym, podobną migrację dynastyczną znają również inne kraje, w Anglii na przykład panuje taka dynastia pochodzenia niemieckiego, nawet Jerzy Piąty i Mikołaj Drugi, kuźniewie, są tak podobni do siebie, że nie odróżnisz.

Ale w Anglii królowie obcego pochodzenia, bo z Hanoweru, zasymilowali się w końcu, podporządkowali tradycji angielskiej i władzy parlamentu, tymczasem carowie rządzili samowładnie i wzory pruskiej państwowości przenosili ślepo z azjatycką mentalnością, powstał organizm wyizolowany, zamknięty sam w sobie i dziwaczny, jakieś prusko-azjatyckie monstrum, które żyło własnym życiem, ponad narodem, ponad wszystkimi jego warstwami, nie licząc się z nikim, nie respektując niczego poza siłą, aż w tej izolacji, egoizmie i przemocy udusiło się na dobre.

To było przejrzyste i bardzo sugestywne, to się wprost widziało. Widziałem cara w futrzanym kołpaku tatarskim, a ciężka musiała to być czapa – *tiażela ty szapka Monomacha!* – kulił się i typał okiem spode łba, czy aby nie widzą, jaki z niego pomazaniec-przebieraniec, w szerokich szarawarach tureckich i butach z miękkiego safianu o spiczastych, szablasto zagiętych czubkach, na ramionach płaszcz gronostajowy, w rozchyleniu na piersi mundur gwardyjski i błękitna wstęga gwiazdy św. Andrzeja, po bokach tronu dwaj hieratyczni starcy, jak ich

sobie zapamiętałem z Białowieży, herzog oldenburski i minister dworu hrabia von Frederiks, dalej tłum pomniejszych herzogów i vonów, kamerjunkturów i frejlin, fligel-adiutantów, hofmajstrów i oberpolicmajstrów, wszyscy chylą się kornie i śpiewają: *sławnyj, dierżawnyj, nasz car prawosławnyj!* Nie myślą, nie dbają o eldorado, aż lud uderzył, gniew ludu jak piorun ich spalił i oto nie ma poddanych, są wolni obywatele, demokratyczny rząd stoi na straży ich praw, interesów i swobód, a kraj bogaci się, bogaci do najwyższej potęgi. A wiesz, co jest potęgą państwa, zapytał Jewgienij Pietrowicz, wiesz, co tworzy prawdziwą jego potęgę? Armia, powiedziałem bez namysłu. Nie, mój chłopcze, o potędze państwa stanowi jego ekonomika, wysylabizował dobitnie i widząc moje zdziwienie zarazem wytłumaczył nowe, dziwaczne słowo, ekonomika, to znaczy całe gospodarstwo narodowe, wszystkie jego stosunki i zdolności gospodarcze, rolnictwo, handel, transport i przemysł, przede wszystkim przemysł. Dziś o zwycięstwie decyduje technika i organizacja, gdybyśmy nawet mieli wodza na miarę Cezara i Napoleona, to wszystko jedno taki Cesarz Iwanowicz Napoleonow nie wygrałby z Niemcami za rządów carskich. Teraz co innego, Niemcy są już mocno wyczerpane i wygłodzone. Rosja natomiast przeżywa niebywały zryw patriotyczny, odrodzenie państwowe i ekonomiczne, Rosja musi wygrać, a wtedy, pomyśl tylko, jakie wtedy możliwości, jaka przyszłość!

Gdy Jewgienij Pietrowicz dochodził do przyszłości Rosji republikańskiej i zwycięskiej, a często powracał do tego mirażu, to nieraz zapominał, do kogo mówi, sypał cyframi, terminami z taką gestykulacją, jakby przemierzał z szafotu do tłumu na placu katedralnym, mógł dajmy na to zawołać – wskaźnik industrializacji w ostatnim dziesięcioleciu jest u nas wyższy niż kiedykolwiek w dziejach przemysłu amerykańskiego! Co to znaczy? To znaczy i znów coś nie bardzo zrozumiałego o tym, jakie będzie tempo industrializacji po wojnie, w warunkach swobodnego rozwoju i bez zagrożenia ze strony kapitału niemieckiego, to dopiero będzie tempo! – zreflektowawszy się wyjaśniał to i owo, z mgławicy niepojętych słów i rzeczy wyłaniało się rusztowanie prostej koncepcji, oto skończy się rewolucja, bo chłop dostanie ziemię, według takiej lub innej ustawy, ale dostanie, a kiedy będzie miał jej pod dostatkiem na wieczystą własność, to zaniecha buntów i zakrzętnie się dokoła swej zamożności jak niemiecki bauer, jak amerykański farmer, a robotnik będzie miał swe osiem godzin, ustawy ochronne, ubezpieczenia, spółdzielczość i meble na raty, nie zechce mu się

ryzykować tym wszystkim, najwyżej będzie walczył po angielsku, by urwać jeszcze jedną reformę z ogólnego dobrobytu. Porządne nowoczesne rolnictwo plus przemysł da w sumie dobrobyt, szczególnie wielki przemysł, potężne fabryki, huty i elektrownie pracujące na węglu kamiennym i na węglu białym, to znaczy z wykorzystaniem energii wodnej, na porohach dni-przańskich na przykład można zbudować taką hydrostację, że zaleje elektrycznością całą Ukrainę i Zagłębie Donieckie, prof. Szowhenow proponował to i ma się rozumieć genialny projekt utknął gdzieś w szufladach gnuśnych czynowników, jednakże wcześniej czy później sprawy państwa ujmą w swe ręce nie biurokraci ani deklamatorzy polityczni typu Kiereńskiego, ale ludzie praktyczni i przedsiębiorczy jak Kazarkin, fachowcy od administracji i ekonomiki, wtenczas rzecz jasna ziszczą się wszystkie piękne, dotychczas zaniedbane poczynania i projekty.

Nie powiem, żeby ta perspektywa mnie olśniła. Maszyny, ich szybkość, rytm i moc tysięcy koni mechanicznych nie poruszały serca ani wyobraźni, kochałem zwykłe konie i bliższe były mi prawdziwe lasy niż las kominów fabrycznych, a gdy spytałem, czy prędko taka ekonomika całkiem się spełni i Jewgienij Pietrowicz odrzekł prędko, teraz pójdzie galopem, dwadzieścia pięć lat wystarczy – to mnie aż zatkało. Boże, dwadzieścia pięć lat, wieczność cała! – i straciłem wszelką ochotę do ekonomiki. Ekonomiką na ogół ludzie się przejmują z niedostatku, z powodu tych czy innych mankamentów, a ja byłem syty i ubrany, niczego mi właściwie nie brakowało, jeśli chodzi o potrzeby materialne. Dopiero po paru latach, po wojnie domowej, gdy zwycięska rewolucja została bez wrogów sama jedna na placu boju wśród nędzy i ruin, w czasach głodu i zimna, przy mżeniu kaganka w jaskiniowo oblodzonym pokoju, gdzie żeliwny piecyk, jak się go rozjarzyło pod wieczór, stawał się cudem techniki, wtedy dopiero ekonomika nabrała urzekającej mocy i miraże Kazarkina z siedemnastego roku odżyły w całej ich urodzie, nie tylko dla mnie zresztą, wszystkim marzyły się dymy nad lasem kominów fabrycznych, maszyny, turbiny i jaki taki dobrobyt, kategorie ekonomiczne wdzierały się wszędzie, w każdą dziedzinę życia i myślenia. Kojarząc się z nowym ustrojem wydawały się nowe, odkrywcze i unosiły się nad krajem jak sny o potędze, jak zawołanie święte, komunizm to elektryfikacja plus władza rad, industrializacja przykazaniem Lenina... I jeszcze raz, później w Warszawie, już na początku lat trzydziestych, kiedy prof. Szowhenow, radca ministerstwa rolnictwa do

spraw melioracji, niegdyś inspektor dróg wodnych w Rosji, potem emigrant, rektor politechniki ukraińskiej w Brnie, a dla przyjaciół po prostu dieduszka Wania, pokazał mi zaproszenie inż. Aleksandrowa na uroczystość uruchomienia Dnieprostroju, którego on, Szowhenow był inicjatorem – znowuż jak żywy stanął mi przed oczyma Kazarkin i jego kadecki program.

Nie żyłem jednakże samą rewolucją, byłoby to czymś nie-normalnym w tym wieku. Historyczne wydarzenia, zagadnienia polityczne i gospodarcze, o których wciąż mówię, nie tłumili życia sztubackiego, przede wszystkim nie przeszkadzały jeszcze w nauce, jak to się stało wkrótce. Po dawnemu tą samą drogą i o teźże porze szło się do budy, był dzwonek, były stopnie i ci sami co przed rewolucją nauczali profesorowie, tylko że szło się do tego wszystkiego z większą chęcią, w gimnazjum zrobiło się swobodniej i cieplej. Dżentelmen, Junona i ojciec Ioann byli teraz w najlepszej formie, mówiąc po sportowemu, byli w czołówce, reszta profesorów dostrajała się do ich stylu nauczania i stosunku do uczniów; wszystkie dotychczasowe kółka i przedsięwzięcia nabrały rozmachu, powstawały nowe próby inicjatywy i samodzielności uczniów, tak że miało się pełne ręce roboty i różne atrakcje. Poza tym przybyło mi zajęcie wymagające wytrwałości i systematyczności, godzina ćwiczeń dziennie, nie wiadomo po co, dla głupiej przekory czy rywalizacji, w każdym razie bez tego bodźca, że to potrzebne, że to się opłaci.

Na którejś tam lekcji pod koniec roku szkolnego, spojrzawszy przez ramię siedzącego przede mną Minca, zobaczyłem w jego rękę niebieską książeczkę. Coś pilnie notował, spod pióra pomykały przedziwne znaki, jakieś zwijki, kółka, arabeski. Nie zdążyłem spytać, co to znaczy, jak został wyrwany do tablicy, wtedy odwróciłem zostawioną w ławce książeczkę i odkryłem stenografię, podręcznik dla samouków. To mnie nie tylko zaskoczyło, ale i ubodło. Lubiliśmy się przecież, przyjaźniliśmy się nie bez pewnej rywalizacji, co jeden umiał, to i drugi chciał tak samo, a tu on cichcem robi coś, o czym nie mam zielonego pojęcia, bo co to jest u czorta, myślałem, stenografia, nie od *stieny* chyba, na ścianie pisze każdy pędrak bez żadnego podręcznika. Ale skoro ukrył przede mną, to ja się pytać nie będę, niech się wywyższa, bez łaski, ja i tak się dowiem. Tego jeszcze dnia, prosto z lekcji, poszedłem do głównej w Pienzie księgarni i poprosiłem o stenografię. W drodze do domu, przerzuciwszy parę kartek wstępu, wiedziałem już, że stenografia to sztuka pisania z szybkością mowy, 120, nawet 130 słów na minutę, każdego mówcę można dogonić, choćby trajkotał jak opętany.

W czasach powszechnego postępu, czytałem, w dobie elektryczności, telegrafu i awiacji, ludzie wciąż się jeszcze mozolą tym samym mniej więcej barbarzyńskim pismem sprzed dwóch tysięcy lat, to wstyd, człowiek dwudziestego wieku powinien posługiwać się pismem lekkim jak piórko kolibra i lotnym jak myśl. Zrozumiałem. Żywe słowo teraz wiele znaczy, nastaly czasy trybunów, kaznodziei i proroków. Minc każdego mówcę, jaki mu się tylko spodoba, chce mieć w brulionie i chce być człowiekiem dwudziestego wieku, ano zobaczymy, kto tam będzie pierwszy.

Zabrałem się do stenografii, a nie była jak piórko kolibra, ciężka była i nudna, ćwiczyłem jednak codziennie do końca roku szkolnego, a podczas wakacji i w niepogody i kiedy zdarzył się pusty dzień, od jesieni znów systematycznie, tak że gdzieś w grudniu, w każdym razie przed przewrotem, bo w Pienzie październik wypadł w styczniu na samym początku osiemnastego roku, a mój wielki dzień nastął przed tym – kiedy Minc położył przed sobą na pulpicie wąskie paski papieru i trzy ostro otemperowane ołówki Faber n 2, jak zwykł czynić od pewnego czasu przed ważniejszym wykładem, to i ja wyłożyłem paski papieru i trzy ołówki, on zaczął notować historyka, ja także. Po historii spytałem najzwyczajszym tonem, starałem się by głos nie zdradził mego tryumfu ani aktorstwa, spytałem więc niby mimochodem, masz już skrót na jego niemniej jednak, on wciąż powtarza niemniej jednak i niemniej jednak, trzeba by zrobić specjalny znak. Błysk zdumienia i konsternacja, jakie dostrzegłem w oczach Minca, wystarczyły mi najzupełniej za całą moją żmudę i czekanie na taką właśnie chwilę – można by było zatem cisnąć już w kąt stenografię. Ale nie cisnąłem. Ćwiczyliśmy potem wspólnie, dyktując na przemian jeden drugiemu z wrażliwą stopniowo szybkością. Stenografia stawała się sztuką stosowaną i nader użyteczną – brakowało podręczników, wykładano coraz inaczej, nauczyciele coraz mniej wiedzieli, jak i czego mają nauczać, wymykały się niepowtarzalne improwizacje, szczególnie w starszych klasach, zapraszano nas tam na występy, za zwrotem papieru oczywiście, z dodaniem czegoś do zjedzenia, zarabialiśmy w ten sposób na chleb i szacunek powszedni, bo w całym gimnazjum było nas tylko dwóch takich z dwudziestego wieku. I gdzie indziej później, w Kijowie i w Warszawie, stenografia żywiła mnie dobrych parę lat, nielekki to był chleb, ale pożywny, z domieszką witamin – poprzez zjazdy i konferencje, przez rozprawy sądowe, prelekcje, wywiady poznawałem rozmaite dziedziny życia, zagadnienia i

ludzi, z jakimi być może nie spotkałbym się wcale, przydało mi się następnie to lotne pismo w czasie studiów i przy robieniu wszelkich notatek, a i dziś, gdy to piszę – piszę stenograficznie.

Jak Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści, na tej zasadzie puściła i moja stenografia, wyrosła rozłożyście, choć ja ją wtedy, mówię o lipcu siedemnastego roku, miałem za utrapienie, za dopust boży. Ilekroć sobie przypominałem, że muszę się jednak zajmować stenografią bodaj co drugi, co trzeci dzień, ale muszę, inaczej nie dogonię Minca, nie utrę mu nosa, myśl o tym psuła nastrój wakacji letnich, pierwszych wakacji poza domem, ciążyła bardziej niż gimnazjalny tornister z cielejącej skóry, a niosłem tam bieliznę na zmianę, dwa ręczniki, wełnianą fufajkę, ołów w kawałkach i foremkę na kule, woreczek śrutu, puszczykę prochu i różne myśliwskie akcesoria, bo niosłem też i strzelbę, tę wygłodowaną, z półrubłówek maminyh na gorące śniadania podczas dużej paury. Uzyskane na jesieni informacje okazały się ściśle, rzeczywiście natychmiast przysłano mi z Iżewska tę jednolufkę za zaliczeniem pocztowym, nie pytając o wiek, o pozwolenie, i oto miałem nie flower już, ale prawdziwą broń myśliwską, moją własną, moją pierwszą, widzę ją wciąż tak wyraźnie jak twarz Lizy. Była leciutka i kształtna o sylwetce sportowego sztucerka, miała suwany zamek karabinowy, angielską kolbę lakierowaną na zielono i zupełnie młodzieżowy kaliber 28. Mówiono mi później, że w magazynach zakładów Iżewskich została spora ilość luf do jednostrzałowych bierdanek wojskowych z ubiegłego wieku, po dwudziestu latach postanowiono upłynnić te buble, rozwiercono więc gwintowane lufy przerabiając je na tanie śrutówki najmniejszego kalibru. Możliwe. Możliwe również i to, że gdyby wystawić dziś taką bierdankę w sklepie myśliwskim u nas na Kruczej, to by się ludzie gapili. To w niczym nie zmienia przeszłości, była piękna, najpiękniejsza ze strzelb, jaką tylko mógł sobie wymarzyć czternastoletni traper i zabrać do puszczy, w danym wypadku na chutor rodziców Sieriożki. Ojciec jego, przestąpiwszy smugę cienia, zaczął sposobić się do przytulnej i dostatniej starości w niedalekim czasie, nabył więc pod Pienzą nieduży kawałek ziemi i tam się urządził w dniach wolnych od pracy w banku. Drewniany dom, mieszaniec willi z chatą, stał w zaroślach leszczyny między rzeczką a stawem, żadnej stałej komunikacji nie było, starzy dojeżdżali bankowym koniem, dzieci i młodszy goście szli pieszo starym traktem pocztowym, drogami polnymi, w końcu na przełaj przez łąki, razem osiem wiorst, na kilometry osiem i pół. Pierwszy raz przebyłem tę drogę z Sieriożką w maju, by

obejrzeć łódkę, którą mieliśmy płynąć, później po nieudanej naszej wyprawie do Persji, gdy jego rodzice zaprosili mnie na ferie letnie, poszedłem już sam z tą właśnie strzelbą, co mi została na otarcie też po Persji, i ten rozkoszny ciężar na ramieniu, piękny dzień lipcowy, przedsmak wczasów wiejskich i poczucie sprawności fizycznej, że mogę odbywać dalsze wędrowniki, wszystko nastrajało radośnie, byłoby wprost cudowne, gdyby od czasu do czasu, jak rzekłem, w perspektywie uroczych wakacji nie przesuwiał się hetycki profil Minca z jego stenografią.

Nie zdarzyło mi się nigdy przedtem przebywać dłużej poza domem, później w ogóle nie miałem już wakacji, dlatego może lato na chutorze u Wincengerode było piękne i jedyne, w każdym razie takim pozostało mi w pamięci. Ojciec Sieriożki nie miał w tym czasie urlopu, oboje rodzice przyjeżdżali z Pienzy w sobotę i w niedzielę wieczorem odjeżdżali, zostawaliśmy sami z kucharką, która trzy razy dziennie biła wałkiem w stary rondel na ganku wzywając nas do stołu. W izdebce nad stawem mieszkał jeszcze stróż, wielkie omszone starością chłopsko z tołstojowską brodą, lubiliśmy go, aleśmy mu nie ufali, bywał podstępny, trzymały się go głupie kawały. Raz dał mi strzelić ze swej kapiszonówki, a taki zaaplikował ładunek, że mało się nie wywróciłem. Innym razem całą noc siedzieliśmy na przemyku niedaleko domu czekając na wilka, który każdej nocy przechodził tamtędy, tak nam powiedział i ślad pokazał, czatowaliśmy do rana, aż stanął przed nami ten podstępny dziad, ziewnął, przeciągnął się, ano pięknie, powiedział, pięknie dziękuję paniczom, żeście postróżowali za mnie. Mimo to lubiliśmy go, znał się na wielu rzeczach, umiał opowiadać, słuchało się go z zapartym tchem nie zastanawiając się nad tym, łże czy prawdę mówi, potrafił dajmy na to kilka wieczorów fascynować nas opowieścią, jak w czasach pańszczyźnianych dziedzic przegrał go w karty oficerowi od rekruta, jak tam było na wojnie tureckiej i w niewoli u sułtana, a potem okazało się, że nigdy w wojsku nie służył.

Nikt nas nie pilnował, nie krępował, żyliśmy swobodnie zgodną trójką: ja, Sieriożka i jego siostra Kanna Maszka, bo tak mówiła na manną kaszę, kiedy była malutka, potem lubiła świadomie przekreślać wyrazy, a w drugiej gimnazjalnej wymyśliła pokręconą mowę sekretną, w ogóle była to pomysłowa dziewczynka, rok młodsza od nas, trzynastoletnia, niesamowicie chuda i zwinna, chodziła z nami na ryby i polowania. Naboje robiliśmy sami, miałem ich z rana zawsze dwanaście sztuk, tyle

bowiem miedzianych łusek przyniosłem z sobą z miasta, co wieczór myło się je po wystrzeleniu i nabijało. Proch braliśmy z nabożów karabinowych, tego nam żołnierze nie żalowali, z tym nie było kłopotu, gorzej ze śrutem; gdy go brakowało, siekaliśmy ołów na drobne skwareczki, a wszystko razem, proch i śrut, nie mając miarki sypaliśmy na wycucie, toteż moja bierdanka raz kopała jak rusznica, to znów strzykała nie zwawiej ani dalej niż leniwie żujący marynarz. Trafialiśmy z niej do butelki na parkanie, ale w żaden sposób do kaczki w locie, a właśnie zależało nam na kaczkach, przepadając za nimi wydreptaliśmy dwie przygody, jedną balladową, drugą fatalną, obie nie do zapomnienia, najważniejsze z całego lata, mianowicie żołnierz i krykuchy.

Żołnierz zjawił się wieczorem i odszedł nazajutrz, nie odezwał się, nie wiem nawet, czy spojrzał na mnie, a powiedział wszystko o sobie w siedemnastym roku. Ukazał się niepostrzeżenie jak zjawa, nie wiadomo, jak i skąd, bo przecież okrążyliśmy urwisko nad rzeczką z tamtej strony i nie było go, a kiedy obeszlśmy, to stał tam niby pomnik wysoko i nieruchomo, on i kobieta, czarne sylwety ich rysowały się ostro na tle płonącego zachodem nieba, obwiedzione oranżowym blaskiem, żołnierz z dubeltówką i zrolowanym kocem przez ramię, i kobieta w chustce z tobołkiem na plecach, oboje obcy w tych stronach, a jednak jakby wrośnięci w ten melancholijny, równinny krajobraz poprzecinany gdzieniegdzie kępami przyłasków. Ja ją skądś znam, powiedziała Kanna Maszka, Sieriożka wzruszył ramionami, a co nas oni obchodzą, jesteśmy na swojej ziemi. Przypomniały mu się widać słowa ojca, żebyśmy się nie włóczyli ze strzelbą po obcych terenach, bo możemy zapłacić karę. Jesteśmy na swojej ziemi, powtórzył, chodźmy. Ruszyliśmy dalej brzegiem rzeczki w porządku przyjętym na naszych podchodach, najpierw myśliwy, potem płochacz, na końcu aport, czyli Kanna Maszka. Tym razem ja byłem myśliwym, ledwie stanąłem przy szuwarach z bronią gotową do strzału i Sieriożka klasnąwszy w dłonie gwizdnął przeraźliwie, rozległ się łopot skrzydeł o wodę i wielki kaczor, rozkwakawszy się na miłą, uniósł ciężki kuper nad sitowiem, bierdanka gruchnęła na wiat, kaczor odkwaknął zjadliwie, wzbił się wysoko, był już mknącym meteorem, wtem żołnierz błysnął lufami spod pachy, zdawał się musnąć nimi od niechcienia, a kaczor wywinął młynka w powietrzu i chlusnął do rzeczki. Patrzyliśmy w osłupieniu. Żołnierz znów stał bez ruchu z dubeltówką na ramieniu, kaczor płynął z nurtem brzuchem do góry. Kobieta rzuciła

spódnicę i zbiegła do wody, było jej tam trochę powyżej kolan, wyłowila, w drodze powrotnej podniosła spódnicę i podążyła za żołnierzem, który tymczasem nie oglądając się na nią szedł przed siebie, lecz wkrótce przystanął, rozejrzał się, zmierzch już zapadł, a tu było wszystko co trzeba, woda, zarośla, suche miejsce, dobre miejsce na nocleg... Siadłszy w pewnym oddaleniu, przyglądaliśmy się, jak się urządzają, ona skubała ptaka, on zbierał chrust, łamał gałęzie na ognisko, rozpałał – pracowali nieśpiesznie a sprawnie nic nie mówiąc, rozumieli się bez słów.

Niedaleki odgłos rondla wezwał nas na kolację. Jedliśmy z roztargnieniem, myśleliśmy wciąż o nich, chociaż nic wielkiego nie zaszło, tylko tyle, że przyszli, pomyślałby kto, prosty żołnierz i jakaś kobieta! Kanna Maszka przypomniała sobie wreszcie, gdzie ją widziała, otóż w Pienzie widywała ją na ulicy, jak szła z koszykiem za swą panią, więc kucharka albo pokojówka. Po kolacji przysunęliśmy się jeszcze bliżej do nich. Nie mogli nas dostrzec w ciemnościach, my natomiast mieliśmy ich w świetle ogniska, można było nawet rozpoznać jakieś pudełko i buty przed rozwiązaniem tobołkiem, w którym gmerali szukając widocznie czegoś. Na drągu między widlastymi tykami wisiał kociołek, żołnierz siedział oparty o pień brzozy, bosymi stopami do ognia, ćmił papierosa, niekiedy długim kijem poprawiał żar, kobieta leżała na kocu z głową u niego na kolanach drzemając być może – czekali, aż się kaczor ugotuje. Dezerter, syknął Sieriożka, w gniewnej pogardzie tego syknienia było jednak coś z zawiści. Oni się kochają, szepnęła Kanna Maszka, jak gdyby to mogło usprawiedliwić zdradę ojczyzny, ucieczkę z frontu. Długo jeszcze wpatrywaliśmy się w ten świetlisty, trzaskający iskrami obraz – z dymem ogniska ciągnęło tęsknotą za takim życiem, gdzie nie ma żadnych rzeczy na zawsze ani dla czegoś, żadnego musu, tylko droga w szeroki świat i wolność, i miłość...

Nazajutrz przed śniadaniem jeszcze wybraliśmy się tam w nadziei, że może zechcą porozmawiać z nami, dowiemy się czegoś o nich, aleśmy się spóźnili. Oni zwinęli już koc i wyruszyli w drogę, posuwali się rażno i równo obok siebie, żołnierz może odrobinkę przed kobietą. Minęli nas bez słowa, bez spojrzenia w naszą stronę i poszli sobie połą ścieżką, potem przez błonia tym leciuchnym, muskającym ziemię krokiem, jakim chodzą, nie, jakim chodziły dawniej bosonogie dzieci wiejskie. Na południe ciągną, mruknął Sieriożka, jak gdyby odprowadzał wzrokiem lecące żórawie albo ptaki wędrownie.

To wszystko, migawka jakaś, a zapadła w duszę przejmującym obrazem -na zawsze. Gdybym był poetą, napisałbym

balladę o żołnierzu, co zamienił karabin na dubeltówkę. Dość miał wojny o cieśniny dardaneelskie, o Alzację i Lotaryngię, poszedł sobie w swoje strony, przybył do miasta sam jeden, a wyszedł z niewolnicą domową. Zrzucili z siebie wszystkie powinności i ruszyli z butami w tobołku na zimę, mieli niebo nad sobą w nocy i drogę dzień w dzień gdzieś na południe, może na Kubań albo w stepy besarabskie, kochali się, żywili upolowanym, snuli dostatnie plany gospodarskie, jak się urzędzą nareszcie we dwoje. Żaden patrol nie zażądał przepustki, żaden właściciel ziemski nie zapytał, jakim prawem polują i śpią na jego ziemi? Nigdy przedtem, ilu tylko było żołnierzy na świecie, nikomu tak się nie powiodło i nigdy potem to się nie powtórzyło. W żołnierskiej doli wszystkich czasów jeden jedyny raz tylko zdarzył się taki błysk swobody – siedemnasty rok, gdy nad Rosją wschodziła gwiazda upojnego szczęścia.

A z krykuchami tak było. Ojciec Sieriożki pokpiwając sobie z żalonych naszych polowań na kaczki powiedział pewnego razu, żebyśmy się lepiej zajęli jastrzębiem, co porywa kury, będzie z tego przynajmniej pożytek, bo jak go nie ubijemy, to strzelając do niego, wypłoszymy. Czatowaliśmy zatem na jastrzębia, godzinami przesiadując w ukryciu pod drzewem albo przy okienku na strychu, on jednak nie nadlatywał, lecz wystarczyło nam opuścić posterunek i oddalić się, jak ten zbój spadał z jasnego nieba i łapał coś z drobiu. Raz udało mi się strzelić do niego, wzbił się wyżej i odleciał. Sieriożka twierdził, że pierze poleciało i że jastrząb opadł w zarośla na granicy ich posesji. Poszliśmy tam wszyscy troje i szukaliśmy posuwając się dalej i dalej, a kiedy zarośla skończyły się, ujrzałem Sieriożkę leżącego brzuchem na ziemi, dramatycznymi ruchami rąk przywoływał nas, mnie i Kanną Maszkę, padnij, czołgaj się, takie były jego znaki, podczołgaliśmy się więc i wystawiliśmy głowy nad krawędzią stromej rozpadliny. Na dole pod nami leżał stawek, jakby glinianka, w zielonej mętnej wodzie telepało się całe stado krzyżówek. Bij, świszczącym szeptem jęknął mi w ucho Sieriożka, ja jednak zwlekałem pamiętając o tym, że strzelić mogę tylko raz, padnie tylko jedna kaczka, reszta odleci, to za mało, za mało po tylu pustych dniach podchodów, po tylu porażkach i kpinach z nas, czekałem zamierając z przejęcia, aż one zbiją się do kupy za jakimś smakowitym robaczkiem, wtedy wygarnąłem. Sieriożka podskoczył i tańcząc na jednej nodze, z drugiej ściągał nogawkę, Kanna Maszka zapomniawszy, że bądź co bądź jest dziewczynką, w te pędy także zrzuciła z siebie wszystko, buchnęli do sadzawki, wyłowili trzy ubite kaczki i

jedną trochę postrzeloną. Dobijać jej nie mieliśmy sumienia, zaraz zresztą nas samych dobiła świadomość tego, co się stało. Bo kiedyśmy ochłonawszy z podniecenia, rozejrzeli się, gdzie jesteście i dlaczego inne kaczki nie odlatują, to się okazało, że znajdujemy się na ziemi Fiłatowa, woźnego sądowego w stanie spoczynku i nieustającej piekielnej złośliwości, a nasza zdobycz to krykuchy, dzikie, ale oswojone kaczki myśliwskie, które on hodował na sprzedaż. Uciekajmy, powiedziała Kanna Maszka szczękając zębami po zimnej kąpieli, a może i ze strachu, uciekajmy, powiedziała łapiąc ubranie, on nas zasądzi do więzienia! Fiłatow, mimo że niedawno tu się osiedlił, zdążył nadokuczać wszystkim sąsiadom, prawował się o byle co, pieniacz nałogowy, nie darował żadnej świni, żadnej gęsi w szkodzie, zaraz zajmował i pisał pozew, a tu taka gratka, prawdziwa krzywda, święty Boże, co on z nami zrobi, truchleliśmy zmykając do domu. Będąc na ganku zobaczyliśmy daleko na wzgórzu, że Fiłatow już idzie, nie sam idzie, ale ze świadkami. Schowaliśmy się w leszczynie. Kucharka zaniósła ubite kaczki do spiżarni, a tę ranną wsadziła do pieca, chlebowy piec miała akurat pusty i zimny, niech tam trochę posiedzi, taka ładna kaczuszka, wydobrzeje, będzie się niosła, będzie miała małe. Fiłatowowi oznajmiła, że nikogo nie ma w domu, starsi państwo i młodszy, wszyscy są w mieście. Fiłatow już się zbierał do wyjścia, wtem ta kaczuszka w piecu kwaknęła, sprzykrzyło się jej siedzieć tam po ciemku czy też poznała głos swego pana, dość że kwaknęła, Fiłatow naturalnie do pieca i już miał w ręku dowód rzeczowy! Przy świadkach.

Reszta wakacji przepadła, nic już potem nie cieszyło, nic nie zajmowało. Kaczki upieczone z jabłkami, owszem, zjedliśmy, choć ciężko było strawić ich cenę – miały kosztować więcej niż całoroczne moje chesne w gimnazjum, tyle zażądał Fiłatow, mama ręce załamała, taka strata plus wstyd, plus udręka czekania na sprawę w sądzie. Nie wiem, jakby to się skończyło, gdyby nie Lenin. Obalił Rząd Tymczasowy w Piotrogradzie, znikły raptem wszystkie urzędy, wszystkie sądy, a chłopcy, dowiedziawszy się o władzy robotniczo-chłopskiej, natychmiast Fiłatowa do szczeru spalili. Łunę widziano aż w mieście, ognisty majak na skraju skrzęcej się śnieżnej pustyni, bo to się stało gdzieś w środku zimy. Niektórzy potem mówili, że już na jesieni wszystko jasno widzieli, mądrzy poniewczasie, to nie znaczy bym kwestionował możliwość istnienia naprawdę mądrych, co we wrześniu ujrzeli październik i dalsze dni kalendarzowe, może gdzieś oni byli, ale nie w Pienzie, w każdym razie myśmy takich

jasnowidzów nie spotkali.

Po wakacjach na chutorze miasto wydało mi się jakieś inne. Nieruchawa i dobrodusza z natury Pienza żyła teraz w zamęcie straszliwych wydarzeń i roznamiętnienia, i jeszcze bardziej burowiała żołnierskim sukнем. Prasa tchnęła przygnębieniem po załamaniu się ofensywy Brusilowa i oburzeniem na bolszewików za ich zbrojne wystąpienie w stolicy, tylko te dwa tematy przeplatając się na przemian wypełniały wszystkie szpalty, znajomi nasi przeżywali te same nastoje przygnębienia i oburzenia, to zdrada, twierdził Kazarkin, zbrojna demonstracja w warunkach absolutnej demokracji, potrząsanie bronią na poparcie agitacji, precz z wojną, niech żyje pokój, i to kiedy, w jakiej chwili? W chwili gdy ojczyzna mobilizuje wszystkie siły do ostatniej decydującej ofensywy, taka zdrada cuchnie niemieckim pieniądzem!

Dowiedziałem się, że w czasie wakacji, kiedyśmy się włączyli z bierdanką, Brusilow zdołał przerwać front niemiecki, niestety mógł to uczynić głównie bagnietami *udarnych* batalionów, fatalna koncepcja, jaka się zrodziła w sztabie na skutek rozkładu armii. Nie mając pewności, które oddziały ruszą, a które nie ruszą, wybrano co najlepszych, najbardziej zdyscyplinowanych żołnierzy i oficerów i uformowano bataliony szturmowe, by dały przykład, porwały za sobą pozostałe pułki. Owe bataliony śmierci rzeczywiście uderzyły, przedarły się i poległy. Nikt ich nie podtrzymał, w sąsiednich jednostkach nadal wiewczano, roztrząsano, pokój czy wojna, pomoc czy nie pomoc tym *udarnikom*, a Niemcy oprzytomnieli z porażki i jak natarli, to nie było już siły, by ich powstrzymać, armia pierzchła, dywizje zmykały jak oszalałe stada tratujące wszystko po drodze – to był pogrom, kompletny pogrom.

Rotmistrz Bek Achmadarow, nasz sublokator, powiedział, że żołnierz walczy bohatersko tylko wtedy, gdy się boi. Pomyślałem że jest wstrętny, to nieprawda, po prostu bredzi po pijanemu, pił teraz dużo i głośno nie licząc się z protestami mamy ani z danym kiedyś słowem oficerskim, że będzie się zachowywał przyzwoicie, ale tego dnia Bek Achmadarow pił niewiele i raczej refleksyjnie, a tak, *moj malczik* – mówił ponuro kiwając kudłatą czarną głową i gardłowy akcent kaukaski, ten sam, jaki później wyczułem u Stalina, przebijał się wyraźniej niż zazwyczaj – tak, *moj malczik*, żołnierz musi wiedzieć, że jeśli nie pójdzie do ataku, to zostanie rozstrzelany. Nie ma i nie będzie wojska bez strachu, to jest jasne dla każdego oficera, tylko adwokaci wierzą w słowa. Kiedy adwokat staje na czele armii, to

mu się zdaje, że może porwać do boju przemówieniami, pójdą w ogień dobrowolnie, będą umierać świadomie i zwycięsko dla republiki, dla świętej demokracji, dla niego, złotoustego adwokata Kiereńskiego! A bolszewicy, zakończył niespodzianie, to swołocz, wyjątkowo chytra swołocz, całe szczęście, że pacyfiści, nie utworzą, sukinsyny, armii.

Ma się rozumieć po tym, czego się nasłuchałem o bolszewikach, chciałem wreszcie zobaczyć te potwory, złe duchy rewolucji i oto znalazłem jednego u nas w kuchni. Olesia prasowała, a on siedział przy stole, w samym rogu, rozparty wygodnie i wodził oczami za żelazkiem w rękę Olesi. Nie poruszył się, nie odpowiedział mi, chociaż go pozdrowiłem wchodząc do kuchni, pod tym względem byłem dobrze wychowanym chłopcem, jak mnie mama od małego uczyła, gdziekolwiek przyjdiesz, masz się pierwszy przywitać, nawet jeśli to jest prosty żołnierz albo żebrak, a on, ten prosty żołnierz, ledwo skinął w odpowiedzi, raczej tylko mrugnął samymi rzęsami, które przede wszystkim widziało się na nijakiej jego twarzy, bo rzęsy miał białe. Był całkiem niepozorny, szczuplutki, nieduży, z rzadkimi włosami koloru wypłowiałej słomy, doprawdy nic szczególnego prócz wzroku, kłuł tym spojrzeniem, przesywał i cały tchnął spokojem, taką pewnością siebie, nie weźmiesz mnie ani zadziwisz. Powiedziałem, że mama prosi o kolację, dobrze, odrzekła Olesia, skończę tylko prasowanie. Mogłem już odejść, ale coś mnie powstrzymywało, może ten żołnierz, może przytulność kuchni, jeszcze bardziej czystutkiej, jakby nawet odświętnej, bez wczorajszego czasu, od wczoraj tu nie zaglądałem, mieszkaliśmy na parterze, a kuchnia była na dole i tam też, za przepierzeniem, sypiała Olesia. Spytałem, jak to zrobiła, że piec nie dymi? Wasyli Dmitrycz naprawił, wyjaśniła, wskazując oczami na gościa przy stole. To przecież zdun, wtrącił ordynans Beka Achmadarowa pucujący przy drugim stole ubranie rotmistrza, wyraźnie chciał przerwać milczenie, rozwodził się przypochlebnie, jaki to zdun z Wasyla Dmitrycza, lecz ci dwoje, przez których mam wrażenie był bojkotowany, nie dali się wciągnąć w rozmowę, wtenczas zagadnął mnie, czy nie potrzebuję prochu z naboju? Raz jeden kiedyś w nagłej potrzebie strzeleckiej zwróciłem się do niego, potem robiłem sobie wyrzuty, że jestem bez charakteru, zadają się z chamem, inaczej go w myśli nie nazywałem, jak właśnie cham, *prodażnaja duszonka, chołuj*, niepodobna przecież zwać człowiekiem takiego, co pozwala pracować sobie po pysku i potem bierze za to pyskowe, Olesia także nim gardziła, odrzucając wszystkie jego zaloty i prezenty.

Odrzekłem oschle, że nie potrzebuję. On jednak gadał, tym razem o mnie, do wiadomości tego Wasyla, co za myśliwy ze mnie, trzy kaczki jednym strzałem... A tak, wielki myśliwy, fuknęła Olesia, mamy teraz sprawę w sądzie, mówiłam wam, Wasyli Dmitryczu. Może będziecie co poradzili? Rada zawsze poradzi, zapewnił Wasyli i po chwili namysłu, ile wymagało zwiniecie i sklejenie śliną skrętu, oznajmił, dostaniesz bumagu, kaczki zostały odstrzelone dla chorych żołnierzy w szpitalu, kropka, pieczętka, rada delegatów żołnierskich miasta Pienzy, niech no ten burżuj z nami zacznie o te swoje kaczuszki, zrozumiano? Nie wiedziałem, kpi czy mówi serio, zrozumiano, powtórzyłem tym samym tonem.

– W takim razie w imieniu rannych żołnierzy pięknie dziękuję myśliwemu, myśliwy może pomaszerować do pokoju.

Co to za człowiek, spytałem mamy. Wzruszyła ramionami, bo ja wiem, jakiś zdun, jest w radzie żołnierskiej. Olesia mówi, że porządny i mądry, chociaż bolszewik. Doprawdy nie rozumiem, co ona w nim увидziała.

Wkrótce po tym pierwszym ujrzałem drugiego bolszewika, był zupełnie inny – masywny, brodaty i rozkrzyczany na szafocie, przy którym normalnie wracając z lekcji przystanęliśmy na chwilę, by posłuchać oratorów, jak patetycznie nazywano mówców. Nawiasem mówiąc dla nas, *gołowastików*, ten wyraz nie trącił łaciną i choć wiedzieliśmy, że pochodzi od *oratio*, wciąż brzmiał nam czysto po rosyjsku, kojarząc się natrętnie z czasownikiem *orat'*, krzyczeć, myślę, że lud odbierał to tak samo. Olesia na przykład opowiadając o tym, co widziała na placu, mówiła *wsie aratory arali*. Ale ten brodaty orator, przy którym przystanęliśmy, krzyczał w sposób niesamowity, bez ładu i składu, zachłystując się słowami, krzyczał jak opętany całą swą poniewierką, krzywdą i nienawiścią na zatracenie, do ostatniego tchu, i to trafiało do tłumu dokoła szafotu, tylko to było ważne i do głębi żołnierskie, co tamten wykrzykiwał, kończmy wojnę, bierzmy ziemię! I jeszcze wyżej, jeszcze groźniej – pokój chatom, wojna pałacom! Wymachując, wygrażając pięściami, mówił coś jeszcze, ale już się nie słyszało, cały plac rozbrzmiewał jednym wielkim głosem, kończyć wojnę, brać ziemię! – wtem na szafot wbiegł młodzieńki chorąży, miał może dwadzieścia lat i jeden rękaw pusty. Przechylił się przez barierę i coś zawołał, nie usłyszano go, nie chciano zresztą nikogo więcej słuchać, zawołał drugi raz, gdzie tam, zaginęło w ogólnej wrzawie, wtedy wyszarpnął z kieszeni pistolet, mały niklowany pistolecik i przyłożył sobie do skroni. W ciszy, jaka momentalnie

zapadła, wzbili się wibrujący chłopięcy dyszkant, czapki zdjąć! mówią polegli, mówi *udarnyj* batalion numer... jakiś tam numer powiedział i że wszyscy polegli, ojczyzna w niebezpieczeństwie. Niemcy idą i idą... E tam, do nas nie dojdą – na ten beztrosko kpiący odzew skądś z dna żołnierskiej masy chorąży odwrócił się gwałtownie, majtnąwszy skrzydłato pustym rękawem w powietrzu, i zaczął wymyślać od zdrajców, tchórzy i durniów, ten bolszewik – wrzeszczał wytykając lufą brodacza – ten bolszewik odrabia srebrniki, które dostał od kajzera, ale wy, wam nic z tego nie przyjdzie prócz hańby! Brodaty wyrwał mu z ręki pistolet i trzepnął na odlew – masz, paniczku! – byłby znów uderzył i chyba zbił na miazgę, ale zaszemrano, toć to inwalida, puść kalekę! Puścił i już nie wiedział, co z sobą począć na szafocie. Chorąży łkał trzymając się poręczy, krew mu z twarzy ciekła i łzy. Tłum patrzył chmurnie, robiło się ciężko, nieswojo, tu i tam zaczynali się rozchodzić.

Wzmagał się bezład i zamęt, na pozór jednak wszystko jeszcze szło jako tako tym samym trybem, lekcje odbywały się normalnie i u Kazarkinów co niedziela na proszonym obiedzie podawano kulebiak. Wśród stałych gości widywało się tam księgowego, nie pamiętam nazwiska, mniejsza o to, był dość aktywnym eserem w rewolucji piątego roku, parę lat potem spędził na zesłaniu w jakiejś wsi syberyjskiej, a po wybuchu wojny został przesiedlony do Pienzy pod dozór policji i Kazarkin zatrudnił go u siebie w charakterze księgowego. W siedemnastym roku, z chwilą obalenia caratu, nie zajmował się już księgą główną Kazarkina, urzędował gdzieś w łumie miejskiej, zachował jednak dawną zażyłość z domem byłego pryncypała, stary kawaler, trochę mruk, trochę dziwak, zbierał ikony i gwoździe ręcznej kowalskiej roboty, jedne i drugie reprezentowały w jego oczach lud rosyjski, kwintesencję rosyjskości. Kazarkin lubił z nim podyskutować, a dyskusje prowadził na sposób Sokratesa, zadając coraz to nowe i nowe podchwytliwe pytania, erotematycznie, jak powiedziałby pedagog, aż w końcu przypierał do muru przy socjalizmie, że skoro nie widzą na razie możliwości wprowadzenia w Rosji socjalizmu i proszą ich, kadetów, do Rządu Tymczasowego, to czemu, u licha, eserowskie sowiety dyktują rządowi z pozycji siły, toć to bałagan, dwa rządy, dwie władze w kraju. Albo w drugiej sprawie, w sprawie stosunku do wojny, bo tylko te dwie rzeczy najbardziej wszystkich podniecały i różniły, socjalizm i wojna, tak długo wypytywał i kluczył, dopóki nie stanęli przed alternatywą, trzeba było wybierać, albo iść za bolszewikami, precz z wojną, pokój

natychmiastowy, spontaniczny, żołnierze wszystkich armii łączcie się bratersko, albo walczyć w obronie republiki i dbać o mocną zdyscyplinowaną armię, tymczasem wy, mówił Jewgienij Pietrowicz, prowadzicie politykę, Bogu świeczka i diabłu ogarek, w ten sposób dogadzając komitetom żołnierskim wojny nie wygracie, a niewinność socjalistyczną wszystko jedno straciecie, bolszewicy zawsze będą bardziej socjalistyczni!

Mniejsza o to, jakie padały słowa i repliki, chodzi o istotę sporu, o stanowisko, a to pamiętam na równi z wrażeniem, że w tych dyskusjach Jewgienij Pietrowicz wiedział, czego chce, a jego oponenti nie bardzo. I pamiętam temperaturę tych dyskusji, nie zawsze co prawda bywaliśmy z mamą u Kazarkinów, nie każdej niedzieli, ale niewątpliwie w kwietniu–maju temperatura przy stole była w miarę ciepła, wtedy właściwie tylko się przekomarzano, pod koniec roku szkolnego już się gorączkowano, dochodziło do scysji, a po przerwie wakacyjnej, kiedy się znów znalazłem u Kazarkinów przy tradycyjnym kulebiaku – Jewgienij Pietrowicz nie posiadał się z oburzenia i gniewu na swego eks–księgowego, na jego partię i Kiereńskiego, że doprowadził kadeckich ministrów do ustąpienia, wyszli z gabinetu (gabinet wielki i mroczny jak w dumie miejskiej, wychodzą stamtąd brodacі kadeci, śmiertelnie obrażeni idą gęsiego i bez słowa kładą swe grube teki na stoliku przed woźnym). Odtrąciliście jedyną partię w kraju, mówił, właściwie krzyczał Jewgienij Pietrowicz, jedyną partię prawa i pewnej rutyny administracyjnej!

– Mielicie bojowników, agitatorów, męczenników, macie młodych idealistów i babcię rewolucji, ale czy macie gubernatorów, czy macie dobrych policmajstrów?

– Bez kpín, proszę, mówi pan o partii socjalistów–rewolucjonistów!

– Patrzcie, jak się obrażają, nieskazitelni, niepokalani! Na miłość boską, ciągle cytujecie historię wielkiej rewolucji francuskiej, no to musicie wiedzieć, co powiedział jeden z trybunów tej rewolucji, gdy go wiedli na gilotynę, to zdaje się Saint–Just westchnął – nikt nie może sądzić niewinnie! Możecie teraz utworzyć rząd bez burżuazji, legalny rząd socjalistyczny, stanowicie przecież decydującą większość w sowietach, proszę bardzo, bądźcie władzą, ale władzą z prawdziwego zdarzenia, albo piszcie sobie pamiętniki, może zdążycie przed gilotyną!

Gość jeszcze się hamując odpałił, że Jewgienij Pietrowicz, niestety, stacza się ku reakcji, gilotyna mu się marzy, Jewgienij Pietrowicz zastukał widelcem do rytmu odmierzanych słów, w

ten sposób rozumuje nie polityk, ale księgowy – tak właśnie wycedził, *buchgaltier!* – były księgowy zmiął w rękę serwetę, uklonił się sztywno pani domu, skonsternowanej, zrozpaczonej pani Łarysie, i bez słowa wyszedł jak minister z gabinetu.

Po paru dniach ukazało się, jakby wywołane ich głosami, widmo generała. Nie wiedziałem, kto kogo wtedy przy stole straszyl, ten eser czy Jewgienij Pietrowicz, może nawzajem się straszyl, jeden kontrrewolucją, a drugi jakobińską gilotyną, lecz teraz wszyscy byli przerażeni – generał Kornitow, głównodowodzący, wypowiedział posłuszeństwo Kiereńskiemu i pchnął wojska na stolicę. Prasa uderzyła na alarm – Bonaparte! Kiereński wzywał wszystkich, wszystkich, wszystkich do obrony rewolucji, ale nie miał wszystkich i tu się okazało, że mają siłę zbrojną, oddziały gwardii czerwonej. Bunt Kornitowa rychło zlikwidowano, niektórzy zaczęli wątpić, czy naprawdę był to bunt, tak czy owak widmo dyktatora rozwiało się i bolszewikom nie wymyślano już od zdrajców, od buntowników, byli obrońcami rewolucji i powszechnych wyborów do Konstytuanty, która miała rozstrzygnąć wszystkie spory i wyłonić prawowity rząd decydującej większości narodu.

Byłem w tym czasie zaabsorbowany pierwszą pracą społeczną z wyboru i pewnym paskudnym przeżyciem w związku z nią. W Pienzie istniały dwa sklepy spółdzielcze, powstały one z inicjatywy kilku socjalistów i głównie dzięki ich wysiłkom dawały sobie radę z konkurencją ze strony kupców i kramarzy. Otóż w gronie tych spółdzielców zrodziła się myśl założenia miejskiego klubu młodzieży szkolnej. Do grupy założycieli wciągnął mnie ojciec jednego z kolegów tuż po wakacjach. Przez kilka tygodni urządzaliśmy się, chłopcy i dziewczęta, w specjalnie wynajętym trzypokojowym mieszkaniu, nasze kółko przy tym rozszerzało się, żywało, potem odbyła się uroczystość otwarcia klubu, wybrano zarząd i pech chciał, że wygłoszono mnie na skarbnika. Pech, powiadam, bo próżność połączona wyborem wkrótce zwinęła się, a praca została. Zamiast bawić się ze wszystkimi albo wyżywać w którejś z sekcji musiałem przyjmować składki, kupować różne rzeczy i dbać, by w księżce rachunkowej wszystko się zgadzało, żadna przyjemność dla człowieka, który nie znosi skrętności i miewa dwóje z rachunków. W miarę rozwoju klubu rosły wpływy i wydatki, pudełko z wykaligrafowanym napisem „Kasa” zawierało nieraz 200 i 300 rubli, a rubel był jeszcze rublem, suma zawrotna dla sztubaka. Niekiedy zjawiał się ojciec tego kolegi i kontrolował, robił to wprawdzie taktownie, siądźmy sobie gdzieś w kątku, mówił,

może tobie poradzę, pomogę. Za rady, za pomoc byłem mu wdzięczny, lecz patrząc, jak skrupulatnie liczy i przegląda każdy papierek, wiedziałem, że to jest kontrola. I trzeba było takiej fatalności, że z kaukaskiego frontu przybył jeden ze zmobilizowanych współpracowników Wieniamina Lwowicza, ojca ojczyma, młody architekt, ryski Niemiec z pochodzenia, mimo wielu lat służby w Rosji wciąż źle mówiący po rosyjsku, był oficerem w saperach i wrócił niby na urlop, w rzeczywistości chciał z żoną i córeczką przedostać się do swej Rygi, niedawno zdobytej przez Niemców, musieli zatem mieć niezawodny sposób i dobre kontakty, żeby się tam dostać, likwidowali mieszkania, wyprzedawali się, między innymi sprzedali piękny aparat do wypalania w drzewie, za bezcen, za 10 rubli, byle zaraz. Ogromnie lubiłem robić w drzewie, a tu taka okazja, pokusa nie do wytrzymania. Wziąłem 10 rubli z owej „Kasy”, cóż, kiedy radości z posiadania tego aparatu starczyło zaledwie na drogę do domu, musiałem go schować przed mamą, bo by spytała, za jakie pieniądze kupiłem, a ja jej mogłem wszystko wyznać, tylko nie to, że ukradłem.

Naturalnie starałem się zwrócić czym prędzej, znów nie jadłem w gimnazjum, ale to niewiele dawało, pół rubla dziennie czyli dopiero za 20 dni byłbym uczciwym człowiekiem. Tymczasem każdego dnia mógł zjawić się mój doradca. Co wieczór na każde stuknięcie drzwi wejściowych w klubie zamierałem ze strachu, oto wchodzi, przyjaźnie bierze pod rękę, siądźmy sobie, skarbniku, pogadamy o naszych sprawach, może wspólnie wszystko sprawdzimy dla świętego spokoju... Liczy, liczy, twarz mu się zmienia, niedobrze, brak 10 rubli w kasie, co to jest, Goria? Wie już, co to jest, i koledzy wiedzą, i koleżanki, wszyscy patrzą z odrazą – *rastratczyk*, niech idzie precz, podły *rastratczyk*, niech go nikt nie zna, nie rozmawia z nim...

Dni mijały w takiej udręce, mój kontroler na szczęście nie przychodził, nie, nie zdążę pokryć defraudacji, nie wytrzymam dłużej. Siedziałem w domu osowiały, była niedziela, odwiedziłem Wieniamina Lwowicza, powiedziała mama, jest chory, będzie mu przyjemnie, on cię lubi... I wtedy przyszło olśnienie! – Wieniamin Lwowicz! Tak, lubił mnie, na święta Bożego Narodzenia zawsze dawał monetkę, złoty imperialik na osobiste wydatki, a i w roku szkolnym czasem coś podetknął w tajemnicy przed tą jędzą bizantyjską, przed swą Anastazją. Natychmiast poszedłem w nadziei, że może i teraz da.

Anastazja Polikarpowna wpuściła mnie do sypialni o zastłojanych roletach i zostawiła nas samych. Było ciemno i duszno,

niemalże po omacku usiadłem przy łóżku, spytałem, jak się czuje. Wieniamin Lwowicz odchrząpnął, to nie ma znaczenia. Słyszałem nierówny, ciężki oddech, po chwili odezwał się, dobrze, że przyszedłeś, poczytaj mi, co się tam dzieje w stolicy. Odsłoniwszy jedno okno zacząłem czytać świeżą gazetę wciąż z tym samym niepokojem, da czy nie da? – znowu wzywano wszystkich, wszystkich, wszystkich do obrony republiki i rewolucji, wielkie tytuły wołały, zamach stanu, ogień z pokładu „Aurory”! Pałac Zimowy zdobyty przez bolszewików!

– Przepadła Rosja, szepnął przytykając błoniste, ptasie powieki.

Zląkłem się, że się tym razem przejmie, zatonie w polityce, w nowym strasznym buncie, jakże wtedy prosić o głupie parę rubli, nie wypada... Oddałem czym prędzej pozdrowienia od mamy, przyjdzie później, musiała pójść do Kazarkina, żeby się naradzić, co robić, życie drożeje, jeśli tak dalej pójdzie, to będzie musiała rozejrzeć się za jakąś pracą, i co nowego w gimnazjum także powiedziałem, i już ostatnim tchem, że mam kłopoty i bardzo potrzebuję trzech rubli sześćdziesięciu kopiejek. Weź, odrzekł Wieniamin Lwowicz i wskazał skąd mam wziąć, z blaszanego pudełka na biurku. Przyniosłem z gabinetu podłużną, czarno lakierowaną szkatułę, otworzyłem, były tam same farby. Pod wieczkiem, wyjaśnił szeptem Wieniamin Lwowicz, odciągnij języczek. Odciągnąłem blaszkę na gumce i zza tej przegródki wysypały się papierki, tu była jego skrytka, gdzie chował przed Anastazją swe żalosne resztki na wstydlive malarskie potrzeby, nigdy by tu nie zajrzała brzydząc się farbami i wszystkimi jego, Wieniamina Lwowicza, brudnymi praktykami z malowaniem gołych drzew i dziewczek. Zacząłem odliczać, przerwał mi, weź wszystko, zaoponowałem, ależ to za dużo, trzy ruble sześćdziesiąt kopiejek wystarczy... Bierżże wszystko, powtórzył rozkazująco i po chwili westchnął, przepadło, czy ty nie widzisz? – zmieszałem się w przypiływie współczucia i wdzięczności całując dobrą, zimną rękę.

W bramie, wyszedłszy od niego po jakimś czasie, wyjąłem z kieszeni zwitek papierków i przeliczyłem – szesnaście rubli, cały rachunek w dłoni z nawiązką, z grubą bajeczną nawiązką. Byłbym zaraz wrócił do domu i wrzucił do „Kasy” moje manko, z dziką satysfakcją i ulgą zatrzasnąłbym obrzydłe pudło, zamknij się, przeklęta zmozo, już mi nic nie zrobisz! Ale intrygowały wyczytane wiadomości, co to za zamach, pewnie znowuż jakaś korniłowszczyzna, tylko z innej beczki, chciałem wiedzieć dokładnie, a któż mógł wyjaśnić lepiej niż Jewgienij Pietrowicz.

Było dopiero południe, pora ani na obiad ani na przyjęcie, w salonie Kazarkinów było jednak pełno ludzi, przyszli jak ja, żeby się czegoś dowiedzieć, wstrząśnięci, wystraszeni grozą, jaka powiała z Piotrogradu, lecz Jewgienij Pietrowicz promieniał dobrą myślą i optymizmem. Tłumaczył, że nie ma powodu do rozpacz, przeciwnie, lepiej że się to stało, przynajmniej sytuacja wyklaruje się do czysta. Ale Aurora! – jęknął któryś z gości. No i co że Aurora, obruszył się Jewgienij Pietrowicz, niech się pan otrząśnie z mitologii, to nie bogini dała salwę, żadna siła nie utrzyma bolszewików dłużej paru tygodni. A gdyby nawet! Lenin i Trocki staną przed Konstytuanta, myślicie, że Konstytuanta zaakceptuje taką zbrodnię, wolne żarty, panowie!

Tej nocy, kiedyśmy się już kładli spać, zapukano do nas. W drzwiach stanął Achmadarow zupełnie trzeźwy i jakby surowy w pełnym bojowym rynsztunku, przy szabli, z pistoletem w kaburze, papacha zamiast czapki dragońskiej, barani kawalerski kożuszek i ciepłe buty na filcu świadczyły, że wybiera się w daleką drogę. Brzęknął ostrogami w ukłonie przed mamą, madam, nie ma tu nic więcej dla mnie, proszę wybaczyć, madam, pewne niepokoje, żałuję bardzo i życzę dobrej nocy. Zbiegł po schodach na podwórze, gdzie ordynans trzymał trzy konie, Bek Achmadarow skoczył na swego kochanego Kumyka, piękny dagestańczyk zarżał tańcząc pod nim, ordynans siadł na srokacza i prowadząc luzaka, tę szwadronową klacz rotmistrza, na której wolno mi było czasem pojeździć, wyjechał za bramę, przed którą czekało ze dwudziestu jeźdźców. Bek Achmadarow machnął nahają, ruszyli z kopyta równymi czwórkami, znakomicie wyekwipowani, z jucznymi na końcu. Patrzyliśmy z mamą na ulicę, gdzie śnieg, pierwszy miękki śnieżek, zasypywał ich ślady. Nie dziwiliśmy się, że Achmadarow ucieka, ale że ordynans razem z nim! Nic mu tutaj nie zagrażało, a od Beka mógł odejść, nawet zemścić się mógł na nim, gdyby się był tylko poskarżył, ten go przecież bijał w chwilach kaca bądź złego humoru, co prawda płacił potem poklepując przyjaźnie, i mimo wszystko *chołuj* pocwałował za nim, wybrał drogę daleką i ciężką o tej porze, z nastaniem zimy, ryzykowną drogę przez kraj w stanie wrzenia i zamętu, nie wiadomo po co, do jakiegoś tam obcego mu Dagestanu – tego w żaden sposób nie mogliśmy pojąć. Może człowiek długo bity, bity i głaskany na przemian, dostaje w końcu takiego kręćka, że sierotą czuje się bez pana i żyje jego życiem, wyparzony, uświetniony, jakby przyjął ciało pańskie, duszę pańską.

Nazajutrz przybiegli dragoni i okropnie hałasowali szukając rotmistrza, jeden uspokoił mamę, żeby się nie denerwowała, nie zrobią nam żadnej krzywdy, chcą tylko skończyć z tym draniem.

Achmadarow był dziką naturą, pod tym względem mama miała wyrobione zdanie, zwierzę w nim ziewało zniewolone dobrym jadem, beczynnością i więzami rozmaitych nakazów, zakazów, konwencji, przedzierał się teraz przez kopne śniegi, przez wrogie wsie i chutory, walczył o swą skórę i zapewne czuł się sobą, wyzwoloną bestią. Lecz ci, co przyszedli po niego, także byli dzicy, zupełnie, ale to zupełnie niepodobni do bojowników z pieśni i legend rewolucyjnych, tacy sami rozbijali magazyny monopolowe w Piotrogradzie i w Pienzie, szli za bolszewikami, poszliby i za Chińczykami, za każdym, kto schlebia im i wszystko obiecuje, biedni ludzie, straszni ludzie, tacy właśnie kosili z karabinów maszynowych tyralierę dziewcząt przed Pałacem Zimowym. Ze wszystkich zasłyszanych okropności to najbardziej wstrząsnęło mamą, owe ochotniczki, które uformowały *udarnyj* batalion żeński, by bronić ojczyzny przed Niemcem, a poginęły od kul rodaków w obronie legalnego rządu. Nie mogły nie widzieć całej nieudolności i tragizmu tego rządu, któremu pozostały wierne tylko plutony młodzieży szkół wojskowych i one, kobiety w burchach szynelach. Być może idąc na pewną śmierć chciały po prostu przypomnieć mężczyznom słowa przysięgi i kilka innych słów, że nie są pustym dźwiękiem, w każdym razie one jedne ruszyły spod pałacu do kontrataku na bagnety, szaleństwo, szaleństwo świadome największej ofiary – mama poszła na mszę żałobną po nich. Mimo, że od dawna – gdzieś to już wyjaśniłem – nie chodziła do cerkwi, w chwilach rozterki i depresji szukała ukojenia w kościółku przy ul. Lekarskiej, tym razem poszła na specjalną panichidę do soboru, gdzie miano odprawić *wiecznuju pamiat'* dziewczętom tego batalionu. Tymczasem panichida ta zbiegła się z nowym wydarzeniem o jeszcze większej liczbie ofiar, po tygodniu walk poddała się Moskwa – modlono się w ogóle za dusze poległych w Piotrogradzie i Moskwie, tłum klęczał rozetkany, z modłów i jęków biła groza i rozpacz, coś z apokalipsy... Wróciła zgnębiona, na pół chora, pierwszy raz widziałem mamę w takim stanie, powiedz, pytała się, jakbym to ja był kimś dorosłym i mądrym, powiedz, skąd się to bierze, przecież tego nigdy nie było, ręka jej się trzęsła z zapalką nad papierosem – palić zaczęła od początku wojny – skąd w ludziach tyle zła i nienawiści, nie wiem, nie rozumiem, ja się boję, Goria, może być jeszcze gorzej...

W tych właśnie dniach spłonął chutor Fiłatowa, tu i ówdzie

nad dworami rozlewała się łuna pożaru, od Piotrogradu i Moskwy szła sztormowa fala niosąc coraz to nowe hasła, wydarzenia, imiona, nade wszystko Lenin i Trocki, Trocki i Lenin, dwa nazwiska rozbrzmiewały wszędzie, dwie postacie wyrastały olbrzymiejąc nad masami i sunęły nierozłącznie jak sztandary znak o splecionych inicjałach.

Śród powszechnego chaosu i rozpalonych namiętności jeśli coś jeszcze hamowało w jakiejś mierze, jeśli kazało czekać, i mimo wszystko ufać, to tylko świadomość, że nowy rząd jest także tymczasowy. W dekrete o powołaniu Rady Komisarzy Ludowych stało czarno na białym, że mają rządzić do chwili otwarcia Konstytuanty. W całym kraju odbywały się wybory do Konstytuanty według poprzednio uchwalonej, jak najbardziej demokratycznej ordynacji. Pienia na równi z pozostałą głęboką prowincją znalazła się na pozasowieckim, można by powiedzieć neutralnym obszarze, wciąż jeszcze miała emisariuszy rządu Kiereńskiego i dumę miejską, miała też i radę delegatów żołnierskich i robotniczych, tu i tam zasiadali eserzy, jak ten widywany u Kazarkina, i mieńszewicy jak wuj Minca, i bolszewicy, a więc tacy, jak brodaty orator na szafocie i ten cięty żołnierz u nas w kuchni, co tam przesiadywał u Olesi, a kadeci trzymali się jeszcze gdzieś we władzach miejskich. Jedna władza ścierała się z drugą, w jednej i drugiej kotłowało się, bolszewicy nacierali na eserów i mieńszewików.

W grudniu tuż przed wigilią według starego stylu, to znaczy w pierwszych dniach stycznia 1918 roku według nowego stylu (kalendarz gregoriański Rada Komisarzy Ludowych wprowadziła od 1 lutego tegoż roku) udałem się do filii banku państwa, gdzie pracował Wincengerode, ojciec Sieriożki. Pozwolił nam, mnie i Sieriożce, pisać na maszynie. Usiedliśmy w jednym z bocznych pokoików, ciemnej klitce, gdzie woźny dmuchał w samowar gotując herbatę dla personelu, i zabraliśmy się do przepisywania materiałów na użytek „Machaonu”. Nie wiem, kiedy i z jakiej racji kółko literackie naszego gimnazjum nazwano „Machaonem”, ktoś mi tłumaczył, że to motyl, barwisty motyl z rodziny paziowatych – myślę, że po prostu słówko skusiło, takie dziwne, z głębszą metaforą dla wtajemniczonych. Na jesieni zostałem dopuszczony do „Machaonu”, przyjąłem to nie bez tajonej dumy, zwłaszcza wobec Minca, w „Machaonie” bowiem wyżywali się literaci najstarszych klas, ósmej i siódmej, byłem najmłodszym jego członkiem, jedynym z piątej A, toteż zwalano na mnie wszelkie techniczne roboty.

Przechodziliśmy w tym kółku znamiennej ewolucję od

Leonida Andrejewa do Gorkiego–publicyisty. Na pierwszym zebraniu, w którym miałem zaszczyt uczestniczyć, omawiano, pamiętam, opowiadanie Andrejewa „Otchłań”, siedziałem jak na niemieckim kazaniu nie rozumiejąc pewnych słów i zwrotów wysokich kolegów, nie nadążając za ich penetracją w jaźń ludzką, zdawali się krążyć na kształt machaonów dokoła pyłka jakichś subtelnych kwiatów, krążyli dla samego ich zapachu, dla lotnego trzepotania skrzydełkami, tak, by nie dotknąć, broń Boże, nie poruszyć sedna, a mnie od tej „Otchłani” dusza cierpła, że też podobna obrzydliwość mogła się wydarzyć, student, niby to pięknoduch, niby to kochający tkliwie, lecz gdy dziewczynę zgwałcili, to i on skorzystał z ciała omdlełej, jak tamte fajdaki. Tak samo następnie przy innych utworach Andrejewa – Tolstoj mógł o nim powiedzieć, on mnie straszy, a ja się nie boję – ale mnie Andrejew przejmował lękiem, wiódł w jakiś mrok i bezsens straszny, dopiero „Opowieść o siedmiu powieszonych” zdołała olśnić, rozedrgać, zawładnąć, stała się potężnym doznaniem.

Potem, wobec tego, co się zaczęło dziać, Andrejew zbladł, rzeczywistość stawała się bardziej niesamowita i przejmująca, woleliśmy Gorkiego, jego gazeta *Nowaja Żizń* dawała obraz wydarzeń w tonacji zgodnej z naszymi odczuciami, jego artykuły publicystyczne omawialiśmy na zebraniach „Machaonu”, wyjątki z nich zamieszczano w piśmie. Gorki był nam bliski swym temperamentem, swą bezkompromisową postawą humanisty, polemizując z *Prawdą* atakował nie z pozycji politycznych, ale moralnych, w imię uczciwości i poszanowania człowieka, jego praw, jego wolności, demaskował demagogię, nawoływał do opamiętania się, tylko szaleńcy lub bezwstydni awanturnicy, pisał, mogą myśleć, że drogą przewrotu zaprowadzą socjalizm w kraju tak zacofanym w niebywałą aferę polityczną, która musi skończyć się anarchią, głodem i najczarniejszą reakcją.

Tak więc stukaliśmy w banku na maszynie, właściwie ja wystukiwałem jednym palcem jakiś tekst, być może właśnie Gorkiego, Sieriożka nie należący do „Machaonu” dyktował mi bezinteresownie, wtem za nami rozległ się głos – a wy co tu robicie? W drzwiach stanął żołnierz z karabinem. Piszemy, bąknąłem w strapieniu, piszemy zadanie klasowe, poprawił śpiesznie bardziej bystry Sieriożka. Wszystko jedno, chodźcie, zdecydował żołnierz i przepuścił nas do ogólnej sali, gdzie zwykle odbywały się wszystkie operacje bankowe. Przy okienkach kasowych siedzieli żołnierze, urzędnicy stali za nimi

stłoczeni przy szafie z aktami. Wzdłuż kontuaru przechadzał się ktoś młody i ważny w skórzanej kurtce. Starszawy wartownik u wejścia, z brodą na dłoniach złożonych na końcu lufy, jakby się drągiem podpierał, spoglądał dobrodusznie, nie bez rozbawienia w oczach, na niego, na wystraszoną gromadkę panów i pań czekał, wszyscy czekali na kogoś, zrozumiałem wkrótce, że na dyrektora banku.

W imieniu *gubispołkomu*... – zaczął młody w kurtce, ale dyrektor przerwał mu – przepraszam, nie zrozumiałem w czym? proszę powiedzieć po rosyjsku. Wtedy niezwykle plenipotent wymienił pełny tytuł mocodawcy, w imieniu gubernialnego komitetu wykonawczego rady delegatów robotniczych, włościańskich i żołnierskich oznajmiam przejęcie banku, nakazując wydanie kluczy od skarbcza.

Dyrektor chwilę namyślał się, proszę mu dać, zwrócił się do Wincengerode, i prawnuk francuskiego rojalisty, który niegdyś za Aleksandra schronił się w Rosji przed rewolucją i zemstą ludu, podał klucze przedstawicielowi władzy ludowej. Ten wsunął niedbale do kieszeni, w porządku, kto chce uczciwie pracować dla ludu, może tu nadal pracować. Nikt się nie poruszył, pełnomocnik *gubispołkomu* spróbował rozładować ciężką atmosferę – czy są jakieś pytania? Możemy porozmawiać. Milczeli, z nawyku patrzyli wyczekująco na dyrektora.

– A o czymże tu mówić, odrzekł dyrektor, nie pogubcie tylko kluczy, będziecie musieli przecież oddać za parę dni, gdy wam to każe Konstytuanta.

Mniej więcej tak samo znienacka, bez oporu, w klimacie bezwładności i umęczenia, odbyło się przejęcie wszystkich urzędów w Pienzie. A po kilku dniach runęła gromowa wieść – rozpędzono Konstytuante! – i zaraz po tym – masakra przed Pałacem Taurydzkim!

– Teraz się zacznie, oświadczył Jewgienij Pietrowicz, tego nam tylko brakowało, po wojnie z Niemcami wojna domowa!

– Ale dlaczego rozpędzili Konstytuante?

– A co mieli zrobić po przegranych wyborach? Jak się ma tylko czwartą część posłów, to nie można rządzić izbą poselską, przyszedł więc marynarz Żelezniakow z towarzyszymi i powiedział, poszli won!

Prawda pisała, że Rada Komisarzy Ludowych nie mogła tolerować reakcyjnego składu Konstytuanty, która stała się gniazdem kontrrewolucji, a Gorki, kiedy wreszcie nadeszła do Pienzy *Nowaja Żizń*, powiedział nam, że *Prawda* kłamie, burżuazja uzyskała w Konstytuancie znikomą ilość głosów, trzy

czwarte posłów stanowili socjaliści z bolszewikami włącznie, mimo to rozpędzono Konstytuante, tę jedyną od dawna oczekiwaną wyrazicielkę woli i nadziei ludu, a manifestację inteligencji, robotników i młodzieży w obronie Konstytuanty przywitano ogniem tak samo, jak to uczynił car trzynaście lat temu, gdy bezbronny tłum szedł do niego z petycją. To była mocna odpowiedź, ostatnia, jaką usłyszeliśmy z ust Gorkiego, *Nowaja Żizń* nie docierała już do Pienzy, zamknięto ją jak wszystkie inne gazety, do czytania zostały tylko *Izwiestia* i *Prawda*.

Zdawać by się mogło, że wielkie wydarzenia i przemiany Siedemnastego Roku były treścią mego życia, a to nieprawda, były w podtekście, ja dopiero teraz odbieram je w całej ekspresji. Własne, autentyczne rysy z tego roku, jego smak, odnajduję w małych rzeczach, na pozór małych, bo nie ma jednej miary na to, kiedy i dla kogo coś jest duże, zwykle albo całkiem nikłe. Powiedzmy koedukacja, chłopcy i dziewczęta razem w jednej klasie, takie to normalne obecnie, najzwyczajniejsze, ale wtedy była to bomba, oniemieliśmy, gdy Dżentelmen oznajmił, że z powodu przepełnienia w gimnazjach żeńskich dwie dziewczynki, które przybyły z głodującego Piotrogradu, zostały przyjęte do naszego gimnazjum i właśnie do naszej, piątej klasy, on, Dżentelmen, jest przekonany, że zrobimy wszystko, by czuły się jak najlepiej wśród dobrych kolegów. O niczym więcej nie mówiono w gimnazjum, czekano na tę rewolucję, bo to była rewolucja w świecie szkolnym, przewrót w dotychczasowej izolacji obojga płci. I oto przyszły, stanęły załęcznione w hallu. Dżentelmen poprowadził je obejmując opiekuńczo, zostałyby stratowane przez tłum trzystu chłopaków, teraz wielogłowa bestia onieśmielona obecnością pogromcy posuwała się za nim krok w krok po schodach na pierwsze piętro i przez długi korytarz aż do naszej klasy, gdzie siadły trzymając się kurczowo jedna drugiej, a w drzwiach jak z rury pod ciśnieniem pieniała się masa gapiów, krągłe strzyżone łepki rumianych pierwszaków i zawadiackie oblicza kogutków z klas średnich, i ocienione bladolicie twarze pryszczatych ósmaków.

Cały czas siedziały, sieroty, w ławce, w przerwach bały się wyjść na korytarz. Pędraków nęciły ich warkocze, podejść od tyłu, pociągnąć znienacka, a starsi pozwalali sobie na głupie żarty i umizgi, do tegoż jeszcze ubikacja była tylko jedna, krępowwały się wejść, a przecież musiały bodaj raz w ciągu dnia szkolnego. Poczulem, że nareszcie mam coś do powiedzenia, od dwóch tygodni byłem przewodniczącym komitetu klasowego, nie wiadomo po co i do czego, teraz mogłem stuknąć z urzędu w

katedrę, słuchajcie, musimy pomóc koleżankom, będziemy się nimi opiekowali na przemian, po dwóch każdego dnia – a gdzie tam! – powitali to żartami, nikt się nie zgłosił, propozycja utonęła w bałaganie.

Nazajutrz siadłem dla przykładu z jednym jeszcze kolegą przy dziewczętach, tłumaczyliśmy im, co się u nas przerabia, jakich mamy profesorów, na przerwach spacerowaliśmy z nimi w charakterze osłony, a co do ubikacji, tośmy się porozumieli, że wstydzić się tu nie ma czego, byłby to fałszywy wstyd, niech tylko szepną jedno słówko, a wyprosimy kolegów na chwilę. Istotnie, wyprosililiśmy, gdy jedna szepnęła, już. Wszyscy wyszli, tylko jeden się uparł, perswadowaliśmy mu, nie bądź świnia, wyjdź, on jednak stawiał się i kpił, a jeśli ja mam rozwolnienie? – taki pewniak, starszy o klasę, ale nas było dwóch, wyrzuciliśmy go na korytarz, tam doskoczyli jego koledzy, nas poparli nasi, wywiązała się walna bójka piątej klasy z szóstą, i od tego czasu, przez odniesione guzy, sińce, zadrapania, obie dziewczynki zostały zaadoptowane, wszyscy w gimnazjum wiedzieli, że z nimi stoi cała piąta klasa. Po tych pionierkach koedukacji przybyły inne dziewczęta. Rzecz traciła na sensacji, zwolna nawiązywało się normalne koleżeńskie współzycie, ale długo jeszcze na mieście i wśród rodziców uważano koedukację za bolszewicki wymysł o straszliwych skutkach, zaniedbywanie się młodzieży w nauce, upadek moralności, przedwczesne związki itd.

Albo inna sensacja, z machorką. Zjawił się ktoś z rady miejskiej i rzekł – obywatele! Spojrzeliśmy po sobie, czy aby nie kpi. Nigdy nie zwracano się do nas w ten sposób, a on tak właśnie powiedział – obywatele uczniowie, kto z was pali? Nikt się nie zgłosił. Mieliśmy w klasie paru repetentów w wieku szesnastu, siedemnastu lat i ci palili, ale i oni nie odezwali się na apel uznając to za podstęp. Bez obawy, obywatele uczniowie, zawołał nasz gość, mówię poważnie, kto pali, otrzyma dwie paczki machorki, po lekcjach przewodniczący komitetu klasowego może zgłosić się do rady miejskiej, ale lista ma być uczciwa i z pieczętką szkoły. Naturalnie cała klasa wpisała się na listę palących, bo to był pieniądz, za machorkę można było dostać na bazarze mąkę, kaszę, olej słonecznikowy i inne produkty. Wziąłem worek i jednego z repetentów na wszelki wypadek, był wielki i naprawdę palił, stanęliśmy w ogonku, w niesamowitym ogniu przewodniczących, i marzliśmy do wieczora, jeść się chciało, nie mieliśmy już w gimnazjum gorących podobiadków, nie jadłem od rana, pociągnij, zaproponował kolega, to dobrze robi na głód, zaciągnąłem się raz i drugi, rzeczywiście głód

w żołądku zaczął się i przycichł. Następnego razu znowu poczęstowali mnie, musiałem zrewanżować się, napocząłem jedną paczuszkę, pociągnąłem sobie przed radą i w szkole na dużej pauzie. Potem przestano wydawać uczniom machorkę, nie starczyło, ale ja zacząłem już palić i otdąd palę, można powiedzieć dzięki rewolucji.

W tym czasie mama poszła do pracy, nigdy dotąd nie pracowała zarobkowo, jak zresztą wszystkie kobiety spośród naszych znajomych. Poszła z musu, z poczuciem niepewności, czy potrafi, czy da sobie radę, ja przecież nic nie umiem, mówiła wybierając się do wydziału opieki społecznej. Ale tam się okazało, że potrafi, że umie więcej od innych, ba, na skutek nieuznawania przez inteligencję niepoczytalnej i chwilowej zdawało się władzy, bojkotowanej w pierwszym rządzie przez specjalistów, urosła na specjalistkę, przypomniała sobie bowiem wykłady i zajęcia w Austrii, dokąd dziadek ją wysłał, by wybić z głowy niestosowną miłość do mego ojca, chodziła na odczyty z dziedziny pedagogiki, interesowała się Froeblem, wychowaniem dziecka w *Kinderhortach* i pisywała coraz serdeczniej do swego Mikołaja, otóż ten przygodny bagaż z panieńskich lat bardzo jej się teraz przydał. Kierownik wydziału, który nie zaznał wiedzy poza szkołą podstawową i nigdy żadną instytucją nie kierował, odkrył w niej fachową siłę, pracowała w sekcji żłobków i domów sierot z satysfakcją, a dla kierownika i dla tych tam nad nim żywiła współczucie zaprawione ubolewaniem, chęci mają dobre, naprawdę chcieliby, ale nie wiedzą, jak, do tegoż jeszcze ani środków, ani ludzi.

Wracała o czwartej, po naszym obiedzie, wieczorami dokształcała się, z brulionem i książką na biurku, albo wychodziła na zebrania, domem zajmowała się Olesia. Robiła to znakomicie, sumienna, pracowita, bystra, nasza Olesia z Hajnówki, jednego niby gniazda z nami, prześliczna i malutka jak przed laty, na początku wojny, gdy wyruszyliśmy z Warszawy w daleką i niewesołą podróż, tylko ta mała była teraz dojrzałą dziewczyną, trapiły ją własne sprawy i dążenia, zdarzało się, że była zdenerwowana albo milczała, ona, tak pogodna z usposobienia, skłonna do żartów, do śpiewania. Ten zdun zadomowił się w kuchni. Pewnego razu, w związku z nim, doszło do scysji, Olesia uniosła się i w opryskliwy sposób odcięła się mamie, rzecz nie do uwierzenia, mama boleśnie to odczuła, jak gdyby tak ordynarnie zachowało się któreś z jej dzieci, ja albo Helenka. Na drugi dzień Olesia przeprosiła, nawet się ucałowała, ale to było już pożegnanie.

Olesia odchodzi, wyjaśniła mama, gdy zapytałem, czemu Olesia wyszła od niej zapłakana. A kiedy zawołałem, że to niemożliwe, Olesia tego nie zrobi, przypomniała, że Olesia ma dwudziesty pierwszy rok, jest człowiekiem dorosłym, chce i powinna mieć swój dom. Byłem zupełnie skonsternowany, w głowie kołowało pytanie, jakie mama kiedyś zadała sobie przy mnie – ale co ona w nim увидziała? Tylu przystojnych i atrakcyjnych adoratorów kręciło się przy niej, ordynans Achmadarowa nie wchodzi w rachubę, plugawa dusza, jednak zgrabny i sprytny w zalotach, lecz byli lepsi, chociażby jeden fryzjer z własnym salonem, jeden podoficer prowiantowy, a ona wybrała tego zduna, tego bolszewika, ponurego mizeraka o nijakiej twarzy, jakby się urodził w tłumie, człowieka bez przyszłości – dlaczego? Czyżby dlatego, że nie plótł obrzydliwie tłustych dowcipów jak inni, nie wypinał się na pokaz, ręce trzymał przy sobie i zwracał się do niej z szacunkiem, Aleksandro Ignatjewna... Widocznie i mama była myślami przy tym, bo się odezwała, ano mają oni chyba w sobie coś takiego, jakąś siłę magnetyczną, nawet Olesia poszła za nim, bolszewikiem, taka porządna, taka dobra...

UTYLIZATOR PIERWSZEGO SEKTORA - WYPRAWA PO SREBRNE RUNO

Wydaje mi się, że jakimś impulsem wytrącającym ze stanu biernej, niezaangażowanej bezpośrednio negacji był pierwszy strach. Strzelali z góry i strzelali z dołu, a ja byłem pośrodku nie wiedząc, co się właściwie dzieje i kto ma rację, bałem się tylko, że zabiją jak psa, który konał parę kroków ode mnie.

Pierwszy raz znalazłem się w ogniu, więc pamiętam ten dzień – 29 maja 1918 roku – data nie bez znaczenia w historii wojny domowej. W tym dniu nadeszła depesza Trockiego w sprawie legionu czeskiego – ultimatum dla Czechów, by złożyli broń, jeśli chcą kontynuować swą marszrutę do portów nad Oceanem Spokojnym, i rozkaz dla garnizonu miasta, zatrzymać, nie puścić dalej żadnego eszelonu czeskiego z wyposażeniem bojowym.

Dowiedzieliśmy się o tym po bitwie, a w przededniu jej chłopcy, którzy chodzili popatrzeć na Czechów przy dworcu, powiadali, że to piękne i wesołe wojsko, orkiestra i łaźnia w każdym pociągu, w ogóle jadą jak na paradę.

Nazajutrz wypadły akurat roboty ręczne. W dwóch salach przyziemia, gdzie mieściły się warsztaty: ślusarski, stolarski, introligatorski i szewski, nasz Czech jak zwykle dwoił się i troił w różnych wcieleniach rzemieślniczych, a że na robotach wolno było rozmawiać, byle nie głośno, to ma się rozumieć zagadywaliśmy go o ten legion i o Czechy, wtem przybiegł jego kolega, także z byłych jeńców, coś mu szeptnął, mistrz zrzucił fartuch, bywajcie, chłopcy, krzyknął unosząc nad głową dłonie splecione w pozdrowieniu ringowym, wysoki, śniady, o polśniewa-

jących włosach, jakby miał na głowie polewę z czarnej laki, w dobrze skrojonym garniturze i oficerkach, jakich nie widywano w Pienzie, a wszystko, garnitur i buty, sam sobie uszył, wszystko potrafił, człowiek zachodniej formacji, mówiono, inteligencja plus techniczna biegłość rąk, otóż zawołał do nas w drzwiach, bywajcie zdrowi, wracam do swoich! – i wybiegł za tamtym Czechem. Zostaliśmy sami nie rozumiejąc, co by to mogło znaczyć, a na pauzie, kiedyśmy wyszli z przyziemi, gdzieś daleko przy dworcu rozległy się pojedyncze strzały, zwały się potem w sypką strzelaninę. Zwolniono nas z lekcji, żebyśmy natychmiast najkrótszą drogą wracali do domu nie kręcąc się po mieście, co było niemożliwe, musieliśmy popatrzeć, posłuchać, bodaj otrzeć się trochę o prawdziwą wojnę i wtedy właśnie trafiłem między dwa ognie.

Byłbym się wysunął zza rogu i wyszedł na skrzyżowanie, gdyby nie rozdzierający, zdławiony raptem skowyt, wówczas padłem. To nie ptaszki skwirzyły w powietrzu i nie chrabąszcze plaskały o kamienie. Pies telepał się na bruku i charczał, mordą w czerwonej kałuży, strzelali z góry i z dołu, rynsztokowy rowek ledwie mnie krył, mogli zabić jak psa, w jego oczach stanęła mętna śmierć, obrzydliwe do mdłości zdechnięcie z flakami na bruku, dygotałem, nie chciałem do raju, modliłem się przywierając ciaśniej do ziemi, cuchnącej pomyjami, aż ogień ustał i z dołu zbliżył się tupot. Uniosłem głowę. Szybkim krokiem, pół biegnąc, posuwali się pod górę Czesi. Odetchnąłem, a więc już po bitwie, skoro tak idą w równych szeregach przez całą ulicę, bez krzyku, bez strzału, z karabinami na paskach i dowódcą na drewnianym chodniku krokami swoimi i trzcinką, chlastaną rytmicznie o cholewę, wybija tempo ich marszu. Dopiero gdy nad moją głową, od wylotu Sadowej, ocknął się i załomotał karabin maszynowy, oficer rzucił po czesku komendę, i oni, zerwawszy z ramion broń, przemknęli w furiackim ataku na bagnety, zdałem sobie sprawę z tej wyzywającej i straszliwej brawury. Jej ryzyko i grozę wyjaśnił stary *dwornik* nieco później, gdy stałem w tłumie gapiów nad pokłutym trupem przy karabinie maszynowym na rogu Sadowej, i on, ten dozorca, tłumaczył, że najstraszniejszy to właśnie taki atak w milczeniu i przepisowym ordynku, z hamowaną pasją, można przy tym dużo ludzi potracić, ale jak już dopadną wroga, to choćby została ich garstka, rozniosą wszystko na bagnetach i nikomu nie darują, on to wie, był na wojnie, i ci z czerwonej gwardii też chyba wiedzieli, dlatego nie wytrzymali tego milczenia i uciekli, ale młody, co tu leży, prosto widać z cywila, portki jeszcze

cywilne, wojskowych nie zdążył zafasować, cóż strzelał biedak do ostatka i do tegoż jeszcze nie umiał, tylko psa przypadkiem ubił...

Czesi przemaszerowali z orkiestrą przez miasto, pobyli trzy dni i pojechali dalej na wschód w kierunku Symbirska i Samary. Został wstyd po tym zwierzęcym strachu w rynsztoku i podziw dla męstwa Czechów i męstwa cekaemisty z czerwonej gwardii, bardziej może dla niego, zginął sam jeden na opuszczonym posterunku, bez towarzyszy, bez dowódcy, dowódców zresztą oni sami sobie wybierają, dyscyplina u nich trzyma się podobno na przekonaniu, na uświadomieniu, więc nie strach przed karą kazał mu zastąpić tego, co uciekł i walczyć do ostatka, tylko jakaś wiara, poczucie obowiązku i słusznie, bronił przecież swego miasta. Ale i Czesi mieli rację nie składając broni, była im potrzebna do wyzwolenia ojczyzny, a przedzierali się tam przez kraj ogarnięty wojną, szmat drogi Pienza-Samara-Ural-Syberia-Władywostok, tu czerwoni, tam biali, gdzie indziej zwyczajne bandy i watahy, pierwszy lepszy watażka wyrzuciłby bezbronnych z pociągu, dobre buty, koce, płaszcze, kuchnie polowe, wagony prowiantu to majątek - lep dla wszelkiej zbrodni i gwałtu - nie, w żaden sposób nie mogli oddać broni.

Wkrótce potem rozeszła się wiadomość, że legion czeski przemknął do białych i pomógł obalić sowiety na Syberii i w kraju nadwożańskim, widzicie, towarzyszu Trocki słusznie im nie ufał, powiedział propagandysta u nas w klubie, gdzie wciąż tkwiłem na nudnej funkcji skarbnika, pracując z pokutniczą rzetelnością po owej zażegnanej w ostatniej chwili defraudacji, której nikt się nie domyślał, przeciwnie chwalono mnie, stawiano za przykład, że taki obowiązkowy, taki wytrwały, uszy mi płonęły i piekły, wstyd pomyśleć, jak by o mnie mówiono, gdyby Wieniamin Lwowicz nie dał na pokrycie manka. Po tym upadku nie wychodziłem z twardej reguły sumienności i biczowałem się punktualnością, i wtedy siadłem punktualnie w godzinach dyżuru skarbnika przy stoliku pod oknem, gdy zjawił się propagandysta z koła młodzieży komunistycznej szkół średnich, protoplasty Komsomołu w Pienzie, tłumaczył, jak groźna wytworzyła się sytuacja, Niemcy zajęli Ukrainę, nad Donem, na Kubaniu i na Kaukazie rządy i wojska białych, a teraz Czesi odcięli Syberię i ziemie nadwożańskie, ostatnie spichlerze, głodem nam grożą, udusić nas chcą ci zdrajcy... Dlaczego zdrajcy?, odezwał się kierownik klubu, maturzysta, z grupy niezależnych, mówmy poważnie, bez wymyślania, Czesi walczyli z Niemcami i dalej chcą z nimi walczyć... Propagandysta obruszył się na

niego, żądając wyjaśnienia, ten wyjaśnił, wybuchł spór na miarę awantury – zmieniono potem kierownika, usunięto z klubu niezależnych, nie dajcie się zwodzić nacjonalistom i lamentującym inteligenckim *chlupikom*, pokój brzeski nie jest hańbą, to konieczna odsapka, za przykładem żołnierzy rosyjskich żołnierz niemiecki, francuski, angielski obróci broń przeciw imperialistom i nastanie rewolucja światowa.

Tymczasem drożyzna rosła, brakowało chleba i opału, Niemcy korzystając z odsapki na wschodzie całą siłę uderzenia skupiały na zachodnim froncie, żołnierz niemiecki maszerował posłusznie przez Ukrainę na Krym, poszedłby do Indii, byle dalej od piekła we Francji, robił wszystko według befełu, okupował, wywoził, trzymał fest, nic ich nie zawróci, mówiono, nigdy nie odejdą, będziemy kolonią pruską, i obawy te, jak mi się widzi teraz, nie były bezpodstawne: W kartonie po wedlowskiej bombonierce, gdzie przechowuję korespondencję rodziny Wilhelma II z jego ministrem dworu, hr Bergiem (przygodę, w jaki sposób dostało się to w moje ręce, opowiedziałem w „Archipelagu Ludzi Odzyskanych”), jeden z listów z koroną cesarską nad winiętą WILHELM, pisany w Sigmaringen, rodowym zamku Hohenzollernów, 7 stycznia 1918 roku, a więc w czasie rokowań brzeskich, zamaszystym odręcznym gotykiem wymienia obszary, jakie mają zostać po wojnie na zawsze pod panowaniem niemieckim, mianowicie – Finlandia, Estonia, Łotwa, Litwa, Polska, Ukraina i Krym.

Wszystkie te kraje odrywały się i uchodziły we własne dzieje, tak samo Gruzja, Armenia, Azerbejdżan. Sejm kaukaski ogłosił ich niepodległość, szczelina oddzielności pękła aż po krańce podbojów carskich w Azji Środkowej, władza sowiecka trzymała się już tylko w samej Rosji, a i tu się wykruszyła, wielka kra kołując zdawała się rozpadać na odłamy, niezawisły rząd Syberii w Omsku, Dyrektoriat w Ufie, Komucz w Samarze, rząd uralski w Jekaterynburgu, nawet w Jarosławiu, ledwo Sawinkow zawładnął miastem, proklamowano Republikę Jarosławską. I na to, co zostało przy sowietach, na ten skrawek z Moskwą pośrodku, nacierał cały zastęp generałów, Abramow (nie z rodziny ojca, rostowiczanin, dowódca 2 korpusu kozaków dońskich), Bielów, Dutow, Gajda i tak dalej do końca alfabetu, a najwięcej na K, Kaledin i Krasnow, dwóch atamanów i paru generałów, Kappel, Kutiepow, Kozłow i admirał jeden, ale jaki admirał, Kołczak, od Pacyfiku do Wołgi wódz naczelny, wielkorządca ziem wschodnich, jak Denikin na południu, jak Judenicz na zachodzie pod Piotrogradem. Wszyscy trzej posuwali

się zgodnie, koncentrycznie, a za nimi misje wojskowe angielska, francuska, japońska, amerykańska, nie zabrakło i Turków, przyszedli na Kaukaz, ani Polaków, wylądowali w Murmańsku, posępne ptactwo siadało w podskokach wykrakując bliski krach. Pierścień białych zaciskał się i dusił, a wewnątrz hulała anarchia. Przez Moskwę po zmroku nie można było przejść ani przejechać, nawet Lenina zatrzymano pewnego razu i zabrano mu auto, czarne flagi powiewały wokół Kremla urągając władzy komisarzy ludowych, uzbrojeni po zęby anarchiści pozajmowali najokazalsze rezydencje i pałace, robili i brali co chcieli, przyboczne oddziały strzelców łotewskich wybijały ich z tych gniazd, pierścień generałów zaciskał się w pętlę, a od wewnątrz rozsadało podziemie, wybuchały bunty, spiski, zdrady – zdrada dowódcy frontu wschodniego Murawiewa, powstanie eserów w stolicy, zabójstwo pośła niemieckiego, zabójstwo Wołodarskiego i szefa piotrogrodzkiej Czeka Drickiego, Dzierżyński ruszył z Łotyszami do Piotrogradu, tymczasem w Moskwie postrzelono Lenina – to był koniec, jak się zdawało, ostateczny krach, echa tych strzałów rozbrzmiewały podzwonnym wszystkim, co powstało z Lenina, czego Trocki już nie utrzyma...

Teraz nie potrwa długo, żaden cud nie zdoła uratować bolszewików. Ale cud się stał – cofające się, wykrwawione pułki czerwonych poderwały się nagle i szturmem wzięły Symbirsk – masz Iljiczu, swe miasto rodzinne za pierwszą twą ranę, a za drugą otrzymasz Samarę – tak mu z frontu oddepesowano, i to się stało momentem zwrotnym nie tylko w dziejach wojny domowej, coś we mnie także drgnęło. Bolszewicy nie byli sami, jak mi się dotąd zdawało, grupa spiskowców w znakomitej organizacji. Wszystkie autorytety utwierdzały mnie w tym przeświadczeniu, Gorki nazwał Październik niebywałą aferą polityczną, Kazarkin twierdził, że przewrót zrobiono na siłę z zaskoczeniem zjazdu rad, słowem obalenie Rządu Tymczasowego w Pałacu Zimowym wyglądało na tradycyjny przewrót pałacowy, przy którym jak w ostatniej scenie Borysa Godunowa na Placu Czerwonym „lud milczy w przerażeniu”.

Być może istotnie tak było w październiku tamtego roku, teraz jednak bolszewicy mieli jakieś poparcie ludu. Mijając dom *wojenkomatu* widzieliśmy i dziwiliśmy się, że idą do tej robotniczo-chłopskiej armii, którą Trocki zbiera i wystawia na coraz to nowe porażki, czyżby nie rozumieli, że idą na pewną zgubę? Ludzie wstępowali też i do partii, partia, mało znana dotąd w Pienzie, rosła w oczach, już i u nas w gimnazjum kilku najstarszych kolegów przystąpiło do młodzieży komunistycznej szkół

średnich – lada dzień do miasta wjechać miał ktoś na białym koniu i powywieszać ich, powystrzelać jak w Kazaniu, w Ufie, Symbirsku, pieniądze carskie i papiery szły w górę, czynownicy przyszywali z powrotem do wicmundurów odprute mosiężne guziki z dwugłowym orłem bizantyjskim, a oni, ci szaleńcy, nawracali się na komunizm, brali legitymację partyjną, czyli wyrok śmierci na siebie w dniu, gdy przyjedzie Kołczak.

To było zaskakujące, tego nikt nie przewidział. Jak gdyby wszystkie klęski i zamachy były rykoszetem w jakieś stare zapomniane stawidło, zastawki trzaskały i nurt ruszył pod sowiecki młyn. Kobieta przynosząca mleko i jajka mówiła o niepokoju na wsi, jużemy ziemię podzielili, a jak panowie wrócą, to odbiorą i jeszcze karać będą. Dozorca, człowiek porządku i niewzruszonej stateczności, obojętny w sprawach władzy, taka czy siaka, mówił, a ja zostanę przy miotle, obawiał się jednak białych, syna miał u czerwonych. Mama, która narzekała na prostactwo bolszewików, teraz, po roku pracy w opiece społecznej, przyznała im rozmach i dobre chęci. Co do nas, uczniów, to nie czuliśmy się źle w sowieckiej szkole, nauką nie przeciążano, korzystaliśmy z większej swobody zyskawszy niejakię prawa, komitety klasowe i delegata w radzie pedagogicznej, awans społeczny, można powiedzieć, zabiegano o nasze względy, czas jakiś dawano nawet machorkę, słowem przez ten rok wpojono nam pewne poczucie godności własnej i znaczenia. Poza tym nastroje polityczne, bo o jakichkolwiek sprecyzowanych poglądach i programach masy sztubackiej mówić niepodobna, otóż nastroje i sympatie nasze w dużej mierze podbite były różano-mglistym obrazem socjalizmu. Tymczasem socjalrewolucjoniści i socjaldemokraci, którzy tu i tam za Wołgą próbowali tworzyć regionalne rządy pod sztandarem Konstytuanty, nie zdołali w sposób kategoriyczny i powszechny udokumentować swej postawy obrońców demokracji i zdobyczy rewolucji, przekonać, że naprawdę tylko ich zwycięstwo ocali swobody obywatelskie, reformę rolną i wszystkie inne zapoczątkowane reformy ze szkolną włącznie, i byli bezbronni, nie posiadając własnej siły zbrojnej. Generałowie tolerowali ich do czasu, potem wyrzuciwszy chcieli samopas robić porządek i rąbać głowy czerwonej hydrze, a im mocniej rąbali, tym prędzej one odrastały.

Sens całej baśni, dlaczego tak się działo, uświadomiłem sobie nieco później, wówczas czułem tylko jak wielu, nadchodzi oto stary porządek i zemsta, czy się co zmienia na lepsze? Tu Czeka, tam Oswag, czerwony terror, terror białych... Nie mieli

przewagi moralnej i nic z objawienia, żadnej nowej wiary ani perspektywy, bodaj gestu w stylu wielkiej gry, nawet pieśni nowej nie mieli, chyba tylko *Ach, szaraban moj, amierikanka*, coś z szantanu, a bolszewicy śpiewali *Wstawaj, proklatjem zaklejmiennyj!* i to wtedy, w osiemnastym roku, robiło wrażenie, brzmiało czystym gniewem, ogromnie prostą, wzniosłą nutą, tej pieśni dzisiaj nie odtworzyć ani przeżyć jak w pierwszą rocznicę Października, gdy kusy, świeżo uformowany oddział szedł na front w niesfornej defiladzie przez plac katedralny, porywisty wiatr chłastał połami obszarpanych płaszczy, zaciął śnieżną kaszką w sztandary, w gołe głowy skupionych wokół szafotu komunistów ciskających pod nawisły pułap beznadziejnie chmurnego nieba słowa buntu i przysięgi *my nasz, my nowyj mir postroim!* i była w tym śpiewie taka moc, że się zdawało rewolucja zaczyna się od nowa.

I tydzień nie minął, jeszcze nie wszędzie zdjęto flagi, jak w Berlinie wybuchło powstanie, kajzer za przykładem cara abdykował, wojna ustała i na Zachodzie, w Niemczech, w tych praktycznych, pedantycznych, zdyscyplinowanych Niemczech, bużowała rewolucja! Nie uwierzyliśmy, bo powiedział to nam Rogozin, pierwszy błazen klasy, wywijając z przygwizdem hopaka na katedrze a w *Bierlinie wsio wpieryod obadiedyj priot narod!* Ale po lekcjach ujrzeliśmy miasto znów w czerwonych flagach, był wielki miting i żołnierz niemiecki na szafocie wołał radośnie „Lenin”, potrząsał groźnie pięściami i z tym samym uniesieniem obwieszczał „Liebknecht!”, żołnierze rosyjscy i towarzysze z *gubkomu* ściskali mu ręce, obejmowali się, orkiestra grała międzynarodówkę, śpiewali na braterstwo, na zwycięstwo oczywiste, zaczyna się rewolucja powszechna, stary świat się wali, zbudujemy nowy, lepszy świat!

Wkrótce potem ojczym wrócił z niewoli. Oflag miał na twarzy, skóra i kości, ale Niemców, ich pracowitość, organizację, schludność nadal podziwiał i o armii niemieckiej wyrażał się z jeszcze większym uznaniem, obiektywnie, jak inżynier o maszynie w innym przedsiębiorstwie, chciałby taką zmontować u siebie. Wrócił z Kozakiem orenburskim, który po dawnemu mówił do niego wasza wielmożność, w ogóle zachował postawę, zdrowie i urodę z pierwszego roku wojny, kiedy trafił do niewoli, chwacki Kozak z czarnym wąsem i czubem, milion razy powielany kiedyś na plakatach rządowych, tylko bez owej patriotycznej dzikości w oczach, łagodny, o zadumanym spojrzeniu i delikatnie zręcznym obejściu, przetrwał na robotach u bauera, mógłby się tam wżenić w gospodarstwo, mało brakowało,

wyznał mamie przy stole, a więc nie byli razem w obozie, poznali się gdzie indziej i jakieś inne, nie obozowe przeżycia, musiały związać ojczyma z tym prostym Kozakiem. Zupełnie nie w jego stylu. Zawsze dbał o żołnierza, rannego byliby wyniósł z pola walki, ale nie znał go poza służbą i nigdy nie zaprosił. Teraz wprawdzie jego tytułowanie waszą wielmożnością przyjmował jak należność i odpowiadał regulaminowym, stosownym dla szeregowca ty, jednakże zaraz po przyjeździe poszedł z nim razem do łaźni, przyjął i gościł u siebie traktując go na równi z sobą w stosunkach towarzyskich. To było nowe. Kozak wybierał się na swój chutor w stepach orenburskich, gdzie panował generał Dutow, sądziliśmy, właściwie mama tego się nie spodziewała, że ojczym także pojedzie do Orenburga, do Dutowa, rozwiązałoby to na razie sprawę, która ją dręczyła – krótko i poprawnie z sobą żyli, wojna rozdzieliła, a gdy się spotkali po latach, byli sobie całkiem obcy. Tymczasem ojczym pożegnał Kozaka na dworcu i został, a nazajutrz po niego przyszedli.

Pięciu ich przyszło, pułkowników i podpułkowników, jak się później dowiedziałem, najmłodszy rangą był kapitan, wszyscy brodaci, z tobołkami na plecach, jeden udawał ślepego, drugi chłopca, reszta grała szeregowców, powracających z niewoli w wyszarganych jenieckich płaszczach. Ledwo się zmieścili w małym pokoiku, gdzie sypiałem z ojczymem, bo dużą sypialnię zajmowały mama, Helenka i Tania, leżałem już w łóżku, ujrzawszy mnie, przystanęli. Ojczym, który ich wpuścił, zapewnił, możemy mówić swobodnie. A więc ruszamy, oznajmił jeden i coś jeszcze dodał ściszym głosem, natychmiast, Sierioża, niestety, musimy natychmiast, idziesz? Nie, ja zostaję, odrzekł ojczym. Ależ oni cię znajdą! – Sam się zgłoszę... Nie, wtedy będzie trudniej, już cię obstawią, uwierz, Sierioża, gra na zwłokę nic nie daje, ich nie przechytysz! Nie zrozumieliście, sprostował niedbale ojczym, potem zdałem sobie sprawę, jakiego hartu wymagały te słowa, ja nie gram, idę najlojalniej do Czerwonej Armii.

Nie od razu uwierzyli, poczęli jeden przez drugiego wyrzucać mu i perswadować, pienity się gromkie słowa, ojczyma, hańba, zmartwychwstanie, honor oficerski, i słowa pogardy, cóż to za armia, watahy prowadzone przez profanów, ojczym odburknął zmartwieńczo, już nas proszą do kadry. Ktoś się odezwał z cicha, niemalże błagalnie, opamiętaj się, toć to hołota i barbaria... Możliwe, tylko wolę barbarzyńców od próchna... Wyciągnął rękę, żegnajcie, mniejsza o sztandary, grunt to armia! Najbliżej stojący spojrzął z odrazą na wyciągniętą dłoń i zrobił w tył

zwrot, tak samo drugi i trzeci, wszyscy po kolei odwracali się i bez słowa odchodzili od niego, renegata. Zamknął za nimi i długo stał potem z papierosem przy oknie. Rozjarzający się chwilami ogień w głębi czarnej tafli wywoływał zjawę mrocznej twarzy, wąskie ramiona w mojej nocnej koszuli sterczały jeszcze bardziej kościście, wątłe ciało hartowane latami do twardej służby, utrzymywane nieustannie w formie, teraz oklapło, jakby uszedł z niego ten duch, o którym ciągle mi mówił, suworowski duch, co dawał mu siły, nadawał twarz i sens oddalając zarazem od niego chłodem samotności, zdawał się przebywać zawsze na jakimś punkcie dowodzenia. Stał przygarbiony, rozcharakteryzowany, taki oto sobie Siergiej Wieniaminowicz, cywil w negliżu, podobny do ojca, nieszczęśliwego Wieniamina Lwowicza. Zawstydzilem się, że podglądałem go w takim stanie i żał mi się zrobiło, biedny, trzy lata na froncie, dwa w obozie, a wrócił, to się okazało, że cała służba i wszystkie orderzy nic nie znaczą, najbliżsi koledzy, ci z okopów i ci z obozu, odwrócili się od niego, żona go nie chce, nic mu nie zostało, nawet koszulę na sobie ma pasierba, papa, wyszeptalem, upragnione, sieroce słowo wzbierało w gardle nieznanym ciepłem, musiałem je powiedzieć, nie martw się, papo, to nieprawda... Obrócił się uderzony nutą współczucia, w zamieszaniu i gniewie już–już miał się odciąć, ale się opanował.

– Mam nadzieję, że o tym, co tu słyszałeś, nigdy nikomu nie powiesz.

– Naturalnie nie powiem.

– Jestem tego pewien. A teraz śpijmy, dobranoc...

Był z powrotem sobą, znowuż na jakimś punkcie dowodzenia. Rozbierał się pedantycznie składając ubranie w kostkę, czego mnie od początku uczył w Jabłonnie i nie zdołał nauczyć. Odwróciłem się na drugi bok z goryczą zawodu, z piekącym upokorzeniem, że nazwałem go ojcem. Jak już raz zebrało mi się na czułość, to musiał zgasić, co za człowiek, maszyna nie człowiek, nic nie widzi, nie czuje poza armią, żyje tam jak zadonkiszotowany fanatyk w swym zakonie!

W Symbirsku, dokąd przenieśliśmy się tejże zimy, zostawiając Tanię z ojczymem, bo córkę zatrzymał przy sobie, poculiśmy się różnie pośród swoich u wuja Stefana. Miasto nam się spodobało, ładniejsze od Pienzy, strzeliste, przewiewne, tchnęło rzeźkością i nadzieją, polubiliśmy je wkrótce i jak się okazało, nie zawiedliśmy się na nim. I chyba sympatia, wytrzymawszy próbę czasu, kazała mi później wybrać Symbirsk na przyczółek dla akcji „Pamiętki z Celulozy”.

„Miasto było nie duże i nie małe – średniej wielkości miasto rosyjskie, budowane nie tyle przez kupiectwo, co przez szlachtę. Dlatego mniejsze tu były hale targowe i uboższe cerkwie niż w innych miastach gubernialnych na lewym brzegu Wołgi, ale okazalsze zimowe rezydencje ziemiaństwa, ładniejszy teatr i konserwatorium, więcej młodzieży, bo aż kilka gimnazjów i korpus kadetów.

Na starym Wieńcu, w tej dzielnicy na wysokiej górze, okolonej rzeczywiście wieńcem sadów, stała kanarkowa willa kupca Gołubcowa. Gdy kupiec uciekł z admirałem Kołczakiem, sąsiedzi podzielili się płótnem, dobierając się już do willi, ale zjawiała się pani Teresa i z polecenia ludowego komisariatu oświaty wywiesiła szyld w dwóch językach: Dom Dzieci Polskich – i po rosyjsku: *Polskij Dietskij Dom*.

Okna wychodziły na Wołgę, płynącą wysoko wodą do ostatniego przełomu w kredowych Górach Żegulowskich. Tamten brzeg, żółtawy i płaski, podcieniony gdzieś lasami, widziało się w lecie. A gdy przychodziła wiosna, odurzająca wiosna nadwożańska, która trwa tydzień i mija jak upojenie, wtedy nic się nie widziało prócz żywołu. Wołga rozlana na dwadzieścia pięć kilometrów pędziła z głuchym rykiem śtada żółtobiałej kry, niosła zielonkawę złomy lodu, chatupy i drzewa. Lada chwila, zdawało się, podmyje górę i miasto, kołując katedralną dzwonnica, popłynie jak kępa do Morza Kaspijskiego i dalej do samej Persji. Ludzie zbijali się wówczas w gromadki nad krawędzią Starego Wieńca, godzinami bez słowa patrzyli w dół na rzekę piękną i straszną.

Otóż ta willa z pierwszego rozdziału „Pamiętki”, wizyta pani Teresy u komisarza Tkaczowa, przyjaźń Hetmana Mechmadary i Jurka czyli moja, wszystko to z grubsza biorąc naprawdę było, tylko później. Zanim mama urządziła Dom Dzieci Polskich na Starym Wieńcu, pracowała w komisariacie oświaty i mieszkaliśmy u wuja Stefana w pokoju po babci Newerly, która zmarła tu wkrótce po tym, jak ją przywieziono z Białowieży, wuj mówił, że zmarła na ewakuację. I Włodka, którego tak pragnąłem odnaleźć, nie zastałem. Oddano mi jego wędki, siła na ptaki i hodowlę królików na podwórzu, wśród nich parę srebrzystych flamandów odznaczonych na wystawie wielkim medalem. Przynosząc im karmę myślałem o Włodku, czy żyje, i dokąd go teraz zagnano? Myślałem nie bez irytacji, po kiego licha w ogóle uciekali, on i Jarosław? Jarosław był uczniem ostatniej klasy realnej, dziewczęta zaczynały go interesować i on im przypadał do serca przebitego strzałą w albumie

lub wyróżnietego na ławce w skwerku pod pomnikiem Karamazina. Przystojny, dowcipny, pięknie tańczył, grał na gitarze, poza tym jeśli jakieś zagadnienia absorbowały go w tym czasie, to nie polityczne, ale matematyczne, zapowiadał się na dobrego matematyka. Słowem nie miał żadnego powodu do ucieczki, tylko nikt mu tego nie wytłumaczył, pech chciał, że akurat wuja nie było w Symbirsku, i Jarosław uległ ogólnej panice przed przyjściem czerwonych, że będą się mścili za biały terror, a nie znajdując białych ani burżuazji powetują sobie na inteligencji. W strachu przed tym tłum młodzieży szkolnej opuścił miasto z ostatnimi oddziałami Kołczaka i Jarosław razem z nimi, a był słabowity, delikatnej budowy, matka i siostry zamartwiały się, czy podoła trudom marszu, czy sam poza domem da sobie radę, więc Włodek, chociaż miał dopiero szesnaście lat, ale silny i zaradny, także poszedł, żeby się opiekować starszym bratem, czysty nonsens, czegoście się bali, głuptasy, Czeka nie walczy z gówniarzami, nieraz przygadywałem im przed klatką z medalowymi flamandami, nie wiedząc, że Jarosław zginął już gdzieś za Uralem, a Włodek brnie dalej w pochodzie generała Kappela, by wkrótce zostać tak samo mimo woli *krasnym komandiro*m i walczyć z Czeczeńcami na Kaukazie; spotkaliśmy się dopiero w Kijowie.

W czasie, o którym mówię, na przedwiośniu dziewiętnastego, musiałem już sympatyzować z czerwonymi, skoro zbiegłym do białych kuzynom wyrzucałem z pewną nutką wyższości, czegoście się zlekli głuptasy, Czeka nie walczy z gówniarzami, pamiętam oczy słuchających królików, półmrok szopy i jak mi się robiło nieswojo na myśl, że biali mogą jednak wrócić. To było przed ofensywą, decydującą ofensywą, która rozgromiła Kołczaka, jeszcze nie wyszła z Symbirska, żyło się niepewnością strefy przyfrontowej, może jutro przyjdą biali? Nie powiem, żebyśmy się ich bali, nic by nam chyba nie zrobili, bo i za co? – aleśmy wszyscy, wuj Stefan z rodziną, mama i ja, czuli do nich odrazę za okrucieństwa i obskurny program. Wprawdzie bolszewicy nie wyglądali łagodnie, w ich Czeka działały się, mówiono, także straszne rzeczy, ale myśmy tego w Pienzie nie widzieli, nie zetknęliśmy się bezpośrednio, tymczasem w Symbirsku, kiedyśmy tam przybyli, ziemia jeszcze nie obeschła na mogiłach pomordowanych, pełno było wdów i sierot po nich i świadków zajadłej mściwości starego porządku.

Te momenty, odraza z powodu okrucieństw i zawód, że chcą by było tak jak było, odtrącały od białych, w puste miejsce sączyła się sympatia dla bolszewików, dzicy bo dzicy, niepoczy-

talni i także okrutni, ale walczą o władzę robotników i chłopów, ale marzą im się niestworzone dzieje, chociaż kto wie, jeśli się dorobią inteligencji... Nieprzejednana do niedawna negacja poddawała się, napotkani bolszewicy, komrot, Hannibal, Ksenofontow, Warejkis, robili swoje, reszty dokonała wiosna dziewiętnastego roku, roku rwącego w przełomowe wydarzenia wśród straszliwych walk i wielkiej na wieki, na świat całej nadziei.

Komrota przysłano do wuja na kwaterę, pokazał papier i zajął pokój z oknem na ul. Lisiną, towarzysz komrot taki a taki, słowo było nowe, w rozmowach między nami w domu zastąpiło nazwisko. Nie było już ochotniczej, samorządnej w jakiejś mierze Gwardii Czerwonej, była RKKA czyli Robotniczo-Chłopska Czerwona Armia z powszechnego poboru, z dyscypliną jak należy, regulaminem i przysięgą. Dowódców już nie wybierano, byli mianowani, nie mieli naramienników ani stopni oficerskich jak porucznik, kapitan, pułkownik czy generał, nosili na kołnierzach romby według pełnionych funkcji dowódczych i tak też ich tytułowano – towarzysz komrot, kombat, kombryg (dowódca kompanii, batalionu, brygady). Wyglądali rozmaicie, różnych środowisk i kolei życia, nie cechowani jednym jakimś stylem, styl dawnej kadry oficerskiej odrzucono, nowy tworzył się dopiero. Nasz komrot w odróżnieniu od niektórych innych komandirów szablę i mundur nosił ze swobodną zażyłością, starszy *untier* za cara, zachował nawyki i postawę służbisty starej daty.

Obawiano się go u nas na początku, bo kiedy się przeprowadzał, to znaczy zjawił się późnym wieczorem z kocem i kuferkiem, był podchmielony i wodził dziko oczami za Musią. Musia miała wówczas dziewiętnaście lat i była ponoć kropka w kropkę ciocia Ania w młodości, tej samej dorodnej urody, z oczami o prześlicznym niebieskim poblasku i rumieńcem zdrowej wiejskiej dziewczyny. Kazano mi potem nie zostawiać Musi samej, ilekroć przyjdzie komrot, a nikogo w domu nie będzie. Ale on wychodził z rana, cały dzień szkolił zajadłe rekrutów swej kompanii i wracał wieczorem, niekiedy przychodził do nas na herbatę z własnym imbryczkiem i garścią cukru w kostkach dla wszystkich przy stole, pogawędził ze starszymi, popatrzył na Musię i ruszał do siebie.

Raz się zdarzyło, że wrócił przed obiadem i wstąpił do stołowego, gdzie Musia obierała kartofle, a ja czytałem korzystając z wolnego czasu, bo szkołę zamknięto z braku opału, u nas w domu także można było wytrzymać tylko w środkowym pokoju,

w stołowym, więc przyszedł, usiadł na bujanym fotelu niedawno pochowanej cioci Ani i próbował zagaić rozmowę, ale mu nie szło, Musia, najładniejsza z kuzynek, była nieśmiała i maskowała się wyniosłą oschłością. Żeby przerwać milczenie, zwrócił się do mnie, co czytam. O wojnie chłopskiej w Niemczech, odrzekłem znad grubego Kautskiego. Zdziwił się, nie słyszeliśmy, nic nam jeszcze nie doniesiono... Ale to było dawno, towarzyszu komrocie, to było w szesnastym wieku... W szesnastym? powtórzył i bujać się przestał wyężając wzrok, jakby chciał przebić gęstą mgłę, to chyba jeszcze przed Aleksandrem Pawłowiczem, przed Kutuzowem? Nie stało mu widać historii, jakiej liznął był w szkółce parafialnej, potem w szkole podoficerskiej, historii ojczystej do wojen z Napoleonem, dalej nie sięgnął, nie wiedział, nie mógł sobie wyobrazić, co się działo gdzie indziej i kiedy indziej. Ano, poczytaj, poproś, to może być ciekawe. Słuchał, powstanie wybuchło niebywałe, a przewodził mu Münzer, to komrot rozumiał, mieli swego Pugaczowa, ale wszystko inne? – obcy świat, słowa obce, feudalizm, reformacja, beneficia, patrycjat miejski, elektorzy sascy, anabaptyści – zniecierpliwiał się, e, powiedziałybyś lepiej swoimi słowami. Zacząłem opowiadać, ale przybiegł żołnierz po niego, musiał wyjść i nie było go parę dni. Wrócił ze sztabu zmordowany, jednakże zadowolony, wyspał się, gołąc się podśpiewywał, a kiedy przechodziłem, to przez uchylone drzwi zawołał do siebie i przy herbatce z wędzoną *wobłą* dokończyliśmy chłopską historię z szesnastego wieku, jak upadło powstanie. Nie zdążyli połączyć się z górnikami, odrzekł komrot, zdziwiłem się, słowo w słowo jak Kautsky, gdyby chłopci wraz z robotnikami utworzyli armię, to by ich powstanie nie upadło, szkoda, a nie zdarzyło się wtenczas, że komuniści zajęli jakiś kraj, jakieś miasto chociażby? A tak, zdarzyło się to raz w Monasterze... Doczytałem już „Poprzedników współczesnego socjalizmu”, mogłem więc mówić o Monasterze, jak baptyści utworzywszy gminę komunistyczną w stolicy Westfalii walczyli z wojskami biskupa, do którego należało to miasto, a na czele ich stał młody krawiec, Johann z Lejdy, byłem przejęty męstwem, braterstwem i męczeństwem tych sekciarzy, nie mogłem tylko darować, że prorok ich i generał przybrał zaraz tytuł króla, a swoich komendantów mianował herzogami, potępiałem go za to zdecydowanie i bez zastrzeżeń, komrot czynił to z uwzględnieniem okoliczności łagodzących, nie było wtenczas kompartii, mówić, dlatego Johann, Wańka po naszymu, rozwielił się, zrozum, każdy chce mieć *chołuja*, ja na przykład, kapitan teraz, można powie-

dzieć, jak się umorduję, to nieraz myślę sobie, mać twoja, dbam o wszystkich, a o mnie nikt, czy ordynans mi się nie należy? I niejednen znowuż pcha się na pucybuta, na kuchcika do mnie, zwykłego rotnego, a cóż dopiero wyżej! Czapajew taki sam starszy *untier*, a dowodzi dywizją, ma sztab i adiutantów, ma sławę, damulki różne i wojenspece podziwiają go, towarzyszu *komdiwie*, ach, towarzyszu *komdiwie*, z oczu im wprost wyziera generale, ach, *wasze prewoschoditielstwo!* Otóż proletariacka kompartia wszystkim równa i ona, uważasz, pilnuje, by z towarzyszy nie wyskakiwał Wańka herzog...

W domu już się go u nas nie obawiano. Zachowywał się przyzwoicie, z jakimś życzliwym politowaniem dla nas. Musi nie napastował, nie hałasował, nie pił, czasem tylko po tym, jak przychodził bardziej rozmowny i przesadnie grzeczny, poznało się, że gołnął sobie stopki obie, według porzekadła wuja. Rotmistrz Bek Achmadarow, sublokator nasz z Pienzy, ilekroć porównywałem go z komrotem, zdecydowanie tracił wobec bolszewickiego dowódcy tej samej rangi. Zaciekawiał mnie tym nowym światem, którego był reprezentantem, tą roztrzęsaną raz przez inż. Zdzitowieckiego zagadką, jaką duszę ma bolszewik, jeśli w ogóle ją ma?

W owym czasie, gdy zdarzało mi się myśleć o rzeczach metapsychicznych, widywałem już duszę raczej w cudzysłowie, taka dusza niepewna stanowczo do naszego komrota nie pasowała. Imponował mi poniekąd swą pewnością. Dużo wtedy czytałem, szkoła często stała dla braku opału bądź profesorów albo z powodu reorganizacji. Postanowiwszy hartować silną wolę i czytać tylko poważne dzieła, przesiadywałem w bibliotece miejskiej, brałem raz Darwina, raz Marksa, to znów Spinozę, Spinozę dla samego nazwiska, o którym w szkole nie słyszano, a które trąciło najgłębszą filozofią; znużony, skołowany całą jego geometryczną, jakże ciężką „Etyką”, sięgałem po „Trzech muszkieterów” i gnałem dumasowym gościńcem przygód, aż w głowie huczało, opamiętawszy się, wracałem skruszony do zadanej sobie żmudy nad przepastną filozofią spekulatywną, nad pochodzeniem gatunków lub akumulacją kapitału, mniejsza z tym, chodzi o to, że w bezładzie podobnego samokształcenia się odkrywałem coraz to inne dziedziny wiedzy, problemy, zjawiska i brał mnie niepokój, ileż to lat trzeba tak czytać, ilu mądrych słuchać i pytać, żeby coś w końcu zrozumieć i wiedzieć na pewno, tymczasem dla komrota mimo całej jego niewiedzy czy też raczej właśnie dzięki niej wszystko było proste i jasne. Nie owiało go jak mnie w owym dziewiętnastym

a w moim szesnastym roku tchnienie wszechświata i wieczności, od wirowania ziemi przez miliardy lat nie doznawał zawrotu głowy na myśl, jeśli Boga w tym nie ma, to co? Jaka siła, jaki sens, a może nic, takie sobie ewolucje od ameby do człowieka i z powrotem? Nie dręczyły go koszmary, że jest trzepoczącą się muszką w potwornej pajęczynie konieczności, albo jeszcze gorzej, tylko ziarenkiem czegoś nie do pojęcia, tej przyrody, w której Bóg rozplątał się i został, we wszystkim i nigdzie, *deus sive natura*, szeptał smutny mądry Żyd z Amsterdamu, szlifując swe szkieleka, ledwo dostrzegalny pyłek unosił się nad nimi, szkło pod ścierniwem szeleściło, szept drażył, tyleż ty znaczysz i możesz co pyłek, zrozum, gdyby kamień rzucony naszą ręką mógł myśleć, myślałby na pewno, że leci z własnej woli – nie, komrot z własnej woli należał do partii i podązał z nią prosto do komunizmu, nic poza tym nie obchodziło go, niegodne uwagi, wszystko bowiem albo było przed Październikiem, zostało więc anulowane jednostronnym dekretem komisarzy ludowych, albo dopiero miało być, miało być piękne i sprawiedliwe, o to się już partia postara!

W dniach rozterki mojej i mgławicy ta jego wiara urzekała w jakiejś mierze, chciałbym mieć taką siłę i pewność swego, niekiedy widziałem siebie takim, kiedy indziej znowuż podobna prostolinijna jasność myślenia niby mityczny stan łaski zaczynała irytować, patrzyłem na mego rozmówcę z ukosa, pod kątem jego prostactwa i zmyślałem w duchu sytuacje dramatyczne na uwikłanie, na rozszczepienie komrota, jakby się zachował, na przykład, gdyby partia kazała zrobić mu coś, a Czapa-jew nie był wtenczas monumentem, jaki po Furmanowie przez pół wieku kuto wszelkimi środkami masowego przekazu na wzór, na model historyczny, jednakże już wtedy Czapa-jew miał nazwisko, a i coś więcej jeszcze, bo pierwsze wypustki legendy, dla naszego komrota natomiast stanowił autorytet tejże rangi co partia. Autorytet nie w kategoriach hierarchii wojskowej z całym dystansem dowódcy dywizji do dowódcy kompanii, ale w kategoriach intymnych, środowiskowych i moralnych. W tym, jak się odzywał, jak mówił o nim, wyczuwało się dumę, taki oto jest Czapa-jew, dumę ciepłą, obejmującą swojaka, nasz Wasyli Iwanowicz! I nic z zawiści, że chociaż tak samo był podoficerem, te same miało się lata i krzyże bojowe za cara, i jednakowy staż w Gwardii Czerwonej, mimo to awansowało się za ledwie na komrota, nie, żadnej takiej rechetliwej nutki, wszystko, co mówił o swoim *komdiwie*, było czyste od samolubstwa, samochwalstwa, pobrzmiwało hierarchią wartości znaną pod Troją

i w pieśni kozackiej o atamanie. I ta ich wojna nie była z dwudziestego wieku, kiedy jeden mechanizm organizacji państwowej pracuje na wyniszczenie drugiego mechanizmu, a ludzie w tych i w tamtych okopach nie wiedzą po co cierpią, boją się i jednakowo nienawidzą generałów swoich i wojny. Tu czerwoni nie mogli istnieć obok białych, a biali póki żyją czerwoni, bili się z fanatyzmem wojen religijnych, walczyli po dawnemu na bagnety, na szable, z podjazdu, szturmem i nawałą konnicy, na bezmiernych przestrzeniach odbywały się wędrówki zbrojnego ludu, pochody, żeby się wymknąć albo zaskoczyć, jakies homeryckie pochody – czterdzieści dni przebijaliśmy się z Blücherem przez stepy i góry uralskie, a woroszyłowcy także samo ze Stepów Salskich do Wołgi, tylko że uchodzili z taborami i wielkim majątkiem, więc trwało jeszcze dłużej, dwa miesiące bojów, pięćset bitych wiorst, jak ci się to podoba?! – podobało mi się, ta wojna przypominała trochę „Ogniem i mieczem”, osobiste walory, odwaga, talent, rozum czy fantazja, nabierały szczególnego znaczenia... U nas każdy, kto potrafi, może zostać *komandarmem*, mówił komrot, patrz, kogo mamy – patrzyłem na żółtawę od machorki i smaru karabinowego palce zaginane przy każdym głośnym nazwisku i widziałem dość mieszaną kadrę; zawodowi rewolucjoniści bez wykształcenia wojskowego, jak Trocki, wódz naczelny, i Frunze, *komandarm*, oficerowie służby carskiej, jak pierwszy doradca przy Trockim, uczony pułkownik Kamieniew albo oficer gwardii z dziedziców, Tuchaczewski, także *komandarm*, a szczególnie dużo wybiło się z podoficerów, Blücher, Budionny, Czapajew, Gorodnikow... Słuchając komrota poddawałem mu się bezwiednie, byłbym uległ całkowicie, gdyby nie ta jego, nie powiedziałbym głupota, bo głupi nie był, czasem po jakimś zdaniu wyśmiewał mi się mądrzejszy od niektórych mądrych skądinąd znajomych, ale ta jego gotowość odpowiedzi na wszystko irytowała. Po Darwinie, Spinozie, Marksie, z których mało co zrozumiałem, zostało olśniewające zetknięcie się z myślą przedmiotową i odkrycie, że świat jest cholernie skomplikowany, a każda rzecz ma różne strony i antynomie, tymczasem ten tutaj, cokolwiek dać mu do rozwiązania, powiada, chwileczkę, mam na to klucz w plecaku, a gdybym zapomniał, to partia ma. To właśnie w chwili ocknienia się z komfortu myśli prostych, z ułudy rzeczy upragnionych, kazało mi patrzeć z ukosa w jego twarz, którą zdążyłem polubić, twarz ciężkiej roboty, kościstą, porowato bładą i zawsze lekko spoconą, jakby dopiero co wyszedł z łaźni parowej. Z odruchu przekory lubiłem w takich momentach, niby to zasłuchany,

zapędzać go po kryjomu w jakiś konflikt, żeby się rozdzielił i odezwał swą najczulszą, najprawdziwszą struną. Raz mi się udało. Kiedy Czapajew kazał aresztować samego towarzysza Warejkisa, dobrałem się bowiem i do takiego konfliktu, w żaden sposób nie mogłem sobie wyobrazić, że komrot biegnie z donosem na Czeka, widziałem natomiast wyraźnie, jak z naganem w rękę, z twarzą jeszcze bardziej bladą i spoconą, prowadzi jednak pełnomocnika komitetu centralnego na gauptwachtę dywizyjną w gmachu po korpusie kadetów...

Latem, gdy wakacje stały się pustym słowem, postanowiłem ulżyć mamie i pójść do pracy. Po uruchomieniu koronkowej siatki wywiadu i protekcji dostałem się do Wydziału Utylizacji w pomagnackim pałacyku, gdzie poza symboliczną pensją dawano dobry *pajok*, bo mąkę, krupy, olej słonecznikowy, czasem torebkę cukru. Naczelnik wydziału, obywatel Darjałow, człowiek zniewalającej inteligencji i uprzejmości, wicomte de Bragelonne z wyglądu i obejścia, usłyszawszy nazwisko osoby polecającej i że znam stenografię, z miejsca mianował mnie utylizatorem pierwszego sektora.

- Będziecie oficerem pokładowym, od porządku, bo ja na mostku kapitańskim muszę pilnować nawigacji.

- Nigdzie dotąd nie pracowałem, towarzyszu naczelniku, nie wiem, czy potrafię...

Żachnął się – tak nie wolno, to brzmi demobilizująco – i z łagodnym wyrzutem pouczył – towarzysza Lenina należy więcej czytać, kucharka potrafi kierować instytucją państwową, a wy nie?

Tak oto znalazłem się w ogromnej sali biurowej, zbudowanej kiedyś na bankiety i tańce. Pod rzeźbionym, wysokim na miarę katedralną sklepieniem fruwały gołębie, które tu się gnieździły gruchając w gipsowym listowiu i na ramionach bachantek i bogów. Mimo coniedzielných odstrzałów na rosół, jakich dokonywali z flowerku na przemian dozorca i zastępca naczelnika, ubytku w ptactwie nie odczuwało się dzięki stałej imigracji przez górne okienka o wybitych gdzieniegdzie szybach. Było cicho, przestronnie i dostojnie. Dwie korynckie kolumny, z prawa i z lewa, wspierały powagę mego urzędu, na jednej szylde w słowach obcych i enigmatycznych, jak to stawało się modne, obwieszczał *Utylizator Pierwogo Siektora* czyli ja, a na drugiej był sam sektor, czyli miasto Symbirsk upstrzone różnymi punktami magazynów i wesołym, zieloniutkim kierunkowskazem czynności utylizacyjnych, na domiar wszystkiego z tyłu za biurkiem, za biurkiem antycznym, ciemnym i wielkim jak katafalk,

wisała mapa guberni sybirskiej w kolorowych sektorach, ze słupkami użycia i inną statystyką. Słowa *tożugów* biegnące po kaptolach od kolumny do kolumny wołały jak antyfony, czerwien falującej draperii rwała oczy, z obrazów patrzyli towarzysze Lenin i Trocki, jeden z przymrużeniem, drugi sceptycznie. Petent, kiedy tu trafiał, co się na ogół rzadko zdarzało, musiał czapkę zdjąć – dzieciństwo mu się przypomniało i chram w dniu *Wozniesienja Christowa*, tylko chóru nie było.

Za tym katafalkiem między korynckimi kolumnami, niejako w cieniu akantu spod ich głowic, siedziałem sam jeden, pierwszy i ostateczny użyciel. Innych nie było. Dopiero na drugim końcu sali, pod dracną czy inną palmą egzotyczną w drewnianej donicy, tkwiła przy maszynie do pisania senna Serafina i coś lizała. Nieporadne, zacinające się postukiwanie dochodziło stamtąd niekiedy, zawsze natomiast przez palmowy woal widziało się, że liże coś słodkiego ze swego schowka na kalkę. Niedorozwinięta, pomyślałem, ale wkrótce musiałem zmienić zdanie słysząc, jak rezolutnie załatwia telefony modulując głos od wzgardliwej obojętności do niemalże intymnej tonacji. Towarzysza naczelnika nie ma, nie wiem, kiedy będzie – towarzysza Darjałowa nie ma, jest w magazynie numer trzy – niestety, Pawle Iwanowiczu, nie ma go w tej chwili, wstąpi do was jutro, ale bardzo prosił, żebyście byli tacy dobrzy i jeszcze dziś podpisali... Mogła też powiedzieć, nie ma, jest na inspekcji w Melekesie – po czym kręciła korbką i przekazywała co trzeba Darjałowowi, który w niespełną minutę prznosił się z powiatu mieleckiego do mieszkania w Czernym Pierieutku, dwie ulice od nas... Był jeszcze ponury i niechlujny chłop, coś wynosił, przynosił, hałda worków, skrzyń i zwojów piętrzyła się pod ścianym malowidłem pompejańskim, choć widziałem w ewidencji magazynu numer jeden, dwa i trzy. Nie witał się, nie żegnał, Darjałow ani Serafina nie wspominali mi o nim, ja znowuż nie spytałem, w ogóle nie zadawałem żadnych pytań, nie odzywałem się bez koniecznej potrzeby przytłoczony hierarchiczną ciszą wydziału i swą karierą z ucznia klasy szóstej na dysponenta pierwszego sektora. Brałem tego osobnika za stróża, dopóki nie usiadł przy biurku pod drzwiami do gabinetu szefa, druga osoba po nim, kto by przypuszczał, zastępca naczelnika, towarzysz Protasow; towarzysz partyjny. Zajął swe miejsce w sobotę pod koniec urzędowania, kiedy jak zwykle w soboty miała się odbyć konferencja międzyresortowa. Wychodząc z Serafiną spotkaliśmy wchodzących ekonomistów, wyglądali raczej na ekonomów, tacy zażywni, krwiści i zdecydowani,

jeden z nich, najzażywniejszy, rzucił okiem, że idę po schodach utykając i przywitał się. Okazało się, że to jest właśnie mój protektor, przyjaciel szwagra kolegi wuja Stefana, młynarz gubernialny, wszystkie młyny państwowe podlegały mu bezpośrednio. Łaskawe słowa, jakie rzucił mi rzucił przelotnie, zrobiły wrażenie na Serafinie, głos jej się zmienił w modulacji, suche drewno ozwało się ciepłą koleżeńską nutką, przy pożegnaniu powiedziała, żebym mówił do niej zwyczajnie Sima.

W pierwszym tygodniu liniowałem opasłą księgę na odpowiednie rubryki, z lewej strony numer porządkowy, data, co przybyło, skąd przybyło i uwagi, a z prawej strony numer porządkowy, data, co ubyło i uwagi. Księgowość ludowa powinna być prosta, oznajmił Darjałow przy inicjacji w moje obowiązki, gospodarz to znaczy robotnik czy chłop musi rozemnieć się w tym wszystkim od razu. Pionierskim piórem typu rondo napoczyznałem czyste karty dziewiczej księgi, której przede mną nie było, istniały same mapy, wskaźniki zamierzeń i dokumentacja rewolucyjnego oddania w *lozungach*. Ze stosu kwitów, protokołów i nie bardzo czytelnych notatek wybierałem potrzebne dane i przenosiłem je do księgi materiałowej pierwszego sektora wydziału utylizacji, starając się pojąć, co znaczy słowo utylizacja i czym się właściwie zajmuje nasz wydział. Według słownika, kiedy go przewertowałem pewnego wieczora w bibliotece, wypadało, że powinniśmy się zajmować wykorzystaniem, przerabianiem wszelkich odpadków i rupieci, jak makulatura, trociny, butelki, nadpsute zboże, złom żelazny, flagi i godła carskie, kopyta końskie i włos, ale poza tym przenosiłem do księgi kamienie młyńskie, pasy transmisyjne, meble, bieliznę, pierzyny po wrogach klasowych, instrumenty, chemikalia i wiele innych użytecznych rzeczy w dobrym stanie. Zdawało mi się, że płyniemy z powodzią, wyławiając co się da i że to stanowi nasze zadanie, ową nawigację, o której wspomniał był naczelnik w pierwszej rozmowie. A proces wykorzystania, przerabiania również nie zgadzał się ze słownikiem, kamienie młyńskie szły do mego protektora, ten odpalał mąkę, mąka zasilala wydawany *pajok*, pasy transmisyjne cięto na zelówki, zelówki darowywano odchodzącym na front czerwononarmiejcom, nadpsute zboże przekazywano do aptek z zaleceniem sumiennego pędzenia spirytusu lekarskiego... Dzięki zgodnej koordynacji placówek gospodarczych odbywały się zdumiewające metamorfozy, z kopyt końskich i włosia rodziły się żywe owieczki, bałajki wyjeżdżały na wieś i wracały osetkami masła śmietankowego roztapiając się następnie w domach dziecka i starców. Pod

koniec drugiego tygodnia wszystko zaczęło się przedstawiać na kształt układu planetarnego, że nasz wydział jest słońcem, a inne pomniejsze *gubchozy* krążą wokół niego. W sobotę wydało mi się zupełnie naturalne, że Protasow zajmuje swe miejsce przy biurku zastępcy naczelnika i ekonomiści schodzą się do nas na konferencję międzyresortową.

Nigdy nie przypuszczałem, że urzędowanie może być taką idyllą. Czas płynął na skrzydłach gołębi, gruchały roniąc białe kapki tu i tam, interesanci onieśmieleni atmosferą świątyni nie naprzykrzali się zbyt, zresztą Sima umiała załatwiać ich w paru słowach. Gdy staroświecki zegar szafkowy wydzwaniał dwunastą, parzyła prawdziwą herbatę, otrzymywałem pojemny kubek z kostką cukru, raźniej czułem się na ciele i w rubrykach, co przybyło, co ubyło i na jakiej podstawie.

Darjałow zajęty nawigacją unosił się nad nami jak duch poruszający, *spiritus movens*, o który zawadziłem, szukając w słowniku utylizacji. Kiedy się zjawił, palemką za Simą przebiegało leciuchne drżenie, zupełnie zrozumiałe dla mnie, był piękny, męzny i wytworny w każdym geście jak wicehrabia de Bragelonne, co do tego zgadzaliśmy się oboje, ona również знаła Dumasa. Pewnego razu liżąc ciążutkę domowej smażeniny podzieliła się wrażeniem – gdyby wicehrabia żył teraz, w roku dziewięćset dziewiętnastym, *incognito* naturalnie, to by się ukazał w takiej właśnie postaci, tak samo szykownie ubrany podług mody najwyższych sfer sowieckich, ciemnozielony frencz z czterema nakładanymi kieszeniami, jaśniejsze spodnie faliste, czarna miechowata teka, teka-sakwa zamykana na kluczyk i sznurowane do kolan buty z najlepszego *szewro* w kakowym kolorze.

W drzwiach zawsze przystawał na mgnienie i spiesznie ruszał przez salę krokiem pomykającym i prężnym, krokiem balansisty albo szermierza, i witał nas zwiewnie wdzięcznym ruchem dłoni. Byłbym wtenczas przysięgł, że znam go od dawna, gdzieś go już widziałem, widziałem ten chód, ten gest, nie mogłem jednak przypomnieć sobie, gdzie. Stosunek mój do niego oscylował między podziwem a obawą. Podziwiałem Darjałowa, jego fantazja, teatralność, grackość i manieri ukazywały naszej wyobraźni, mojej i Simy, postać z innej zgoła epoki, w bogato szamerowanym kaftanie, długich do kolan pończochach w kolorze pompadur i trzewikach z ozdobną sprzączką, kasztanowe pukle peruki spływały na ramiona, ze szpadą w ręku chylił się w dwornym pokłonie kreśląc strusim piórem kapelusza wyzwanie komuś na ubitą ziemię.

I mimo tego urzeczenia ciągle obawiałem się, że zrobi jakiś kawał albo coś wręcz niepoczytalnego, i że być może drwi sobie ze mnie. Już podczas pierwszej rozmowy nie podobało mi się, że nazywa mnie oficerem, a siebie kapitanem statku, podobną marynarską metaforyką kokietuje się pędraka, ale nie kandydata na pracownika, który nawiasem mówiąc czytuje Darwina i Spinozę. Zacząłem przyglądać mu się podejrzliwie, czy on aby nie bawi się w ten sposób z innymi, polectując, wykorzystując cudze pragnienia i mniemania o sobie? Sima czuje się przy nim damą, księżącą powiernicą, a jest do pilnowania telefonów. Protasow nadmuchany godnością zastępcy szefa targa worki i stróżuje, towarzysze mają go za bezpartyjnego towarzysza, bezpartyjni specjaliści za specjalistę, utylizuje wszystkich łącznie z Leninem, cytowanym przy każdej sposobności z głębokim namaszczeniem – czyżby drwił sobie i bimbał na wszystko? Zdradliwe refleksje przemykały się chyłkiem w czasie jego nieobecności i zostawiały potem osad zażenowania, był przecież zyczliwy i uprzejmy, dbał o nas, słuchając go wstydzilem się brzydkich myśli i ufałem mu znowu.

Tak właśnie było i z tym huraganem czy szkwałem od Wołgi, co się zerwał w czasie transportu konfitur z magazynu numer dwa na Starym Wieńcu, Darjałow opowiadał z niezrównaną plastyką, to się wprost widziało, błyskawice, zgięte w pałak drzewa, młynkujące w powietrzu płyty blachy dachowej i jak huragan uderzył w obie furmanki, oszalały koń tylnej furmanki wpadł na przednią, obie wywróciły się i runęły z wysokiego urwiska do Wołgi, z mroku doszło tylko rzenie tonącego konia, przedśmiertny jęk zwierzęcy, po czym wszystko utonęło w szumie ulewy... Położył na biurku przede mną protokół i wyraźnie zgnębiony odszedł do swego gabinetu. Przeniosłem z protokołu do książki materiałowej, co ubyło, wszystkie konfitury i konia, drugiego zdołano uratować, i zacząłem pisać w uwagach, jak ubyło. Słowa Darjałowa brzmiały mi jeszcze, urwisko na Starym Wieńcu kojarzyło się jak zwykle z „Urwiskiem” Gonczarowa, który urodził się tutaj w Symbirsku i krajobraz powieści szkicował ponoć z natury, a przyrodę w prozie gonczarowskiej wypracowywałem zawsze na piątkę, pisało mi się zatem lekko, świadectwo szefa i styl Gonczarowa uskrzydlały me pióro, wszystkie pozycje w pionie uwag do końca strony wypełniłem tą jedną natchnioną relacją. Darjałow nie zganiał, jak się obawiałem, przeciwnie, pochwalił.

– Tak właśnie każe pisać towarzysz Łunaczarski, prawdziwie i ładnie, można by to wydrukować w *Izwiestiach*.

Rękę położył mi na ramieniu, ale w oczach miał smutek.

- Żal mi was.

- Żal? To znaczy...

- Jesteście artystą, ciężko będzie wam w życiu, znam te cierpienia, bo ja, widzicie, także jestem artystą.

I przyniósł z gabinetu kilową puszkę z nierdzewnej blachy oblaną zielonym i karminowym lakierem w prześlicznym deseniu.

- Znalazłem potem na miejscu katastrofy. Należałoby zainwentaryzować, ale... Weźcie. Jakoś wytłumaczę się z tego przed towarzyszem Protasowem.

Puszka była po białych, a może i po cesarzowej, z tych jej darów dla frontu kaukaskiego, magazynowanych po miastach nadwożańskich, mniejsza z tym, była to konfitura na czystym cukrze i najwyższej jakości. Mama się ucieszyła, ale wspomniałem o huraganie, spytała, kiedy to się stało. Wymieniłem datę.

- To niemożliwe! Byłam wtedy na Starym Wieńcu, szukałam właśnie domu dla naszego nowego internatu, pamiętam ten dzień, owszem, deszcz lał, gdzieś nawet grzmiało, ale huragan? Nie, żadnego huraganu nie było.

Przyjrzała się puszcze, mój Boże, szepnęła, takie same są na bazarze!

Zaczęła wypytywać o różne szczegóły z pracy wydziału komentując z cicha „nie podoba mi się” albo „coś podobnego! To się źle skończy, to jakiś *szaromyżnik!*”, wreszcie oznajmiła, dosyć, nie pójdziesz tam więcej.

- Ależ mam, za tydzień otrzymamy *pajok*.

- Trudno, obejdziemy się.

- Jakże tak, nie zjawić się w pracy bez uprzedzenia, bez powodu, dlaczego?

- Daj spokój, napiszę, że jesteś chory.

- Przecież to nie gimnazjum. I co by tam o mnie pomyśleli po takim usprawiedliwieniu mamusi!

- Niech myślą, co im się podoba, a ty nie pójdziesz. Absolutnie nie!

Nieraz ustępowała, nie była matką panującą, mówiono i nie bez racji, że nazbyt jest dla mnie wyrozumiała, czasem jednak stawała się nieprzejednana, „absolutnie nie” znaczyło nie ma rady, trzeba się poddać.

Zostałem w domu. Czułem się fatalnie. W utylizacji byłem wolny od trosk i kłopotów domowych, pracowałem przecież, miałem azyl. Wyrzucono mnie przymusowo na niegościnnie łód, w bezpieczne i głodne wakacje, i znowu nacierać poczęły sprawy codzienności, sprawy kotła, do którego siadały wspólnie obie

nasze rodziny, kuzynki Lida, Musia, Wańdzia i nas troje, razem siedem osób, a pracowały tylko mama i Lida, wuj dopiero co zdał na sekretarza sądu ludowego i przeniósł się na wieś, bliżej żywności, ale nic jeszcze nie zdołał przysłać, tymczasem zarobki w „sowietkach” nadal spadały, a dokładać nie było już z czego, wyprzedaliśmy się do czysta. Należało czym prędzej jechać po srebro, tylko w tym skarbie był nasz ratunek, cóż, kiedy mama zajęta urządzaniem internatu nie mogła opuścić Symbirsk, nie wiadomo zresztą, czy w ogóle zdecydowałyby się na taką wyprawę, o Helence nie ma co mówić, za mała, a więc ja, nikt inny, tylko ja muszę to zrobić i chyba po kryjomu, mama nie puści mnie, nie da się przekonać, szkoda gadać, trzeba zwyczajnie pewnego dnia zniknąć i basta – żeby tylko znaleźć sposób dostania się do pociągu albo jeszcze lepiej jechać z kimś, kto ciągle jeździ, zna sposoby, tajemnice i obyczaje na kolei, jakiś *mieszcznik* albo inny *bradiaga*, z tych przyzwoitszych ma się rozumieć, co by pomógł w podróży i przy pilnowaniu worka ze srebrem, dałbym takiemu coś z tego worka...

Tak mniej więcej kombinowałem przy moim zamyśle, kiedy Musia zawołała do kuchni, przyniesiesz mi wreszcie te króliki czy nie, zobaczysz, sama z nimi skończę – wtenczas przyszło olśnienie, mrok zawitych hiperkombinacji rozdarła ognista i prosta synteza: króliki-Chalil!

Nie musiałem długo szukać Chalila, był jak zawsze na dworcu. Bez numeru na mosiężnej blasze, jednak wciąż monumentalny dla symbirskich peronów, jeszcze bardziej potrzebny niż dawniej – nie bagażowy, ale dyspozytor możliwości wyjazdowych, dobrodziej szarego człowieka.

– Chalilu, powiedziałem, zamienię flamandy na Pienzę.

Ucieszył się, dwa razy już po nie przychodził.

– A kiedy chcesz jechać?

– Wszystko mi jedno, kiedy się da, byle prędzej.

– Muszę się rozejrzeć. Przyjdę wieczorem.

– Nie chcę, żeby matka wiedziała. Wywołaj mnie z domu.

– W takim razie uważaj. Zaszczekam na ciebie.

Nie mogłem oddać sprawy w lepsze ręce. Chalil cieszył się powagą specjalisty i był słowny. Kiedy mówił „słowo tatarskie”, to brzmiało to jak przysięga. Właściwie z Tatarów pochodził do połowy, Rosjanin po kądzieli, ale po matce wziął tylko czystą gwarę północnorosyjską z twardo akcentowanym o, wygląd natomiast miał okrutnie mongolski, a jak spojrzeć od tyłu, to i tragarzski, bo taki małowosły krępak na krzywych nogach o nieprawdopodobnie szerokich barach. Na peronach

wystawał przed wojskiem i wrócił na peron po wojsku, z którego wywinął się trzema palcami lewej ręki, za co odpowiadał podobno przed sądem polowym, tylko udało mu się uniewinnić, w każdym razie powrócił na początku wojny kaleką zdolnym do swego zawodu i był znowu normalnym bagażowym, póki wszystko było normalne, dworzec, rozkład jazdy, pasażerowie i bagażowi.

Spodziewałem się go nasłuchując o zmierzchu, aż gdzieś dobrze już po zachodzie rozległo się beznamiętne i wyczekujące poszczekiwanie, jakim pies powiadamia drugiego psa o swej obecności. Na podwórzu jednak nie dojrzałem w zapadających ciemnościach żadnej sylwety za parkanem, dopiero po chwili zza słupa bliżej szopy ozwał się cichy szczeniący jazgocik, tak przymilny i przejmujący, że suka sąsiadów mało nie urwała się z drutu. Słyszałem, że potrafisz szczekać, ale żeby aż tak?! – Różne rzeczy potrafię, odparł Chalil przełaząc przez parkan, nie było w tych słowach jakiegokolwiek przechwałki, ot taka sobie informacja z wyjaśniającą sentencją, wszystkiego nauczysz się w potrzebie, *nužda skaczet, nužda plaszet, nužda piesenki pajot*.

Weszliśmy do szopy.

– A więc jutro możesz jechać. Eszelon sanitarny stoi u nas od kilku dni, jutro pójdzie.

– O której?

– Tego nikt nie wie, nawet zawiadowca. Może odjechać w południe, a może i w nocy, ale ciebie muszę załadować z rana, przed dziesiątą. Da się zrobić.

– A jak nie? Ja, widzisz, zostawię matce kartkę, że wyjechałem do wuja na wieś i już nie mogę potem wrócić z dworca do domu.

– Nie wrócisz, mówię przecież, sprawa załatwiona, obgadałem z sanitariuszami. A gdyby nawet coś przeszkodziło, to wtrynię cię do innego eszelonu, słowo tatarskie.

– No to flamandy są twoje, bierz sobie. Zaraz poświecę – gdzieś tu mamy latarkę.

– Nie trzeba.

Ruszył po ciemku w stronę klatki, jakby widział ją, jedną klatkę zamieszkałą wśród wielu pustych. Wszystkie Włódkowe króliki dawno żeśmy zjedli, została tylko ta para wielkich srebrzystych flamandów nagrodzonych na wystawie złotym medalem. Nieraz domagano się skończcze z nimi, zabij, a ja nie mogłem. Drobnostka zdawałoby się, nic łatwiejszego wziąć za tylne łapki i trzepnąć kijkiem poniżej słuchów, robiłem tak z innymi

królikami, a z tymi nie mogłem. Od pół roku przecież zdobywałem dla nich karmę w nadziei, że Włodek wróci, ucieszy się, to jego ulubieńczy, jego duma i słusznie, jeszcze się dotąd nie zdarzyło, żeby uczeń z piątej gimnazjalnej zwyciężył w konkurencji hodowców Symbirskaja i Samary. Staralem się, by zawsze miały świeżą karmę, świeżą wodę i czystą klatkę, wynosiłem na zieloną trawkę, ba, rozmawiałem z nimi niekiedy w szopie... Doprawdy lekko zrobiło mi się na sercu, że uniknęły rondla Musi, i oto zabiera je Chalil, rozmiłowany jak Włodek w królikach i ptaszkach.

Nazajutrz o umówionej godzinie zastałem Chalila na tej samej tragarskiej platformie bez przednich kół za budynkiem stacyjnym, między wagą a magazynem towarowym, w miejscu ustronnym i widokowym, sam osłonięty parkanem widział stąd zarówno perony, jak i placyk przed dworcem. Dał znak, żebym usiadł obok i czekał. Od czasu do czasu niespiesznie, niby to przechodząc zbliżeli się doń jacyś ludzie, rozmawiał z nimi półgłosem, odwracałem się wtedy dyskretnie, rozumiejąc że załatwia sprawy swych petentów. Musiał jednak mieć tu jakąś funkcję, gdzieś go chyba przypisano, narzędziowy kuferek kolejarzski leżał u jego stóp i zawiadowca mijając go rzucił parę słów służbowych, i jakiś maszynista pytał się o coś, w ogóle Chalil na zrujnowanym wózku bagażowym zdawał się sprawować obowiązki dyżurnego ruchu. Trwało to dość długo, dostatecznie, żeby się opatrzyć i znudzić, raptem wszystko poszło na łeb na szyję. Przybiegli dwaj młodzi sanitariusze z noszami, wyjęli spod koca coś dla Chalila, przyjęli coś od niego, jeden spytał patrząc na mnie, to ten? Chalil skinął głową, wtedy drugi dał mi czapkę z czerwoną gwiazdą, obrzucił krytycznym spojrzeniem, *malczonok, nie projdiot, nado niesti*, i położyli na nosze przykrywając kocem, tak że wystawała tylko czapka z gwiazdą.

Ponieśli na dworzec, dołączyli do innych sanitariuszy z noszami i przeszli przez punkt kontrolny nie okazując przepustki, wpadli na peron między rannych i zdrowych, w rozgórzkowanym tłum, w kołomęt szczytowej pory załadunku, przebiegli wzdłuż eszelonu i wepchnęli nosze w otwarte drzwi towarówki, wskazali siennik pod ścianą wagonu, kładź się, przed Pienią zbudzimy.

W tym wagonie obsługi sanitarnej odbyłem podróż jak na owe czasy luksusowo, luxtorpedą, można powiedzieć, kilkaset kilometrów w ciągu jednej nocy. Z rana byliśmy w Pienzie. Podziękowałem moim opiekunom za miejsce, za poczęstunek kaszą i prosto z dworca udałem się do Kazarkinów, którym

mama zostawiła na przechowanie srebro stołowe dziadka i nasze, łyżki, sztucce, patery, wazy, pucharki, jakieś medale, monety, ikony, oprawne w srebro rogi i kordelasy myśliwskie, statuetki i tym podobne rzeczy ciężkie, niepakowne a wciąż jeszcze cenne. Nie chciała i nie mogła zabrać tego z sobą w drogę trudną i niepewną, teraz ja się tym dręczyłem, jak to przewieść do Symbirsk? Z takim ciężarem na plecach niełatwo dopchać się do wagonu, poza tym przygodni towarzysze podróży mogą ukraść albo odebrać, a jak trafię na oddział zaporowy, to żołnierze rewidujący *mieszoczników* w poszukiwaniu mąki, zajrzą i do mego worka, zabiorą srebro na rzecz rewolucji. Lepiej byłoby nie przewozić, tylko sprzedać w Pienzie, ale jak znaleźć kupca od razu na wszystko, takiego kupca. co by nie bardzo wykorzystał? I co ja w końcu przywieżę do domu, funt albo dwa furty sowieckich pieniędzy, które w ręku topnieją jak lody i których chłopci nie chcą brać... Dopiero w wagonie zdałem sobie sprawę ze wszystkich trudności i niebezpieczeństw wyprawy po srebrne runo, do Kazarkinów szedłem już zupełnie zgnębiony żałując lekkomyślnej decyzji, przedsięwzięcie zapowiadało się beznadziejnie, najlepiej wyjdą na tym chyba tylko króliki, przynajmniej ocalały i trafiły w dobre ręce.

Ale znów mi się powiodło. Jewgienij Pietrowicz powiedział, że sam weźmie całe srebro i zapłaci najpewniejszą walutą, bo kaloszami i sacharyną. Kiedyś, przed upaństwowieniem przemysłu i handlu, Jewgienij Pietrowicz wśród wielu swoich agend miał również przedstawicielstwo petersburskiej spółki akcyjnej „Treugolnik”, kalosze musiały pochodzić z jakichś zameliniowanych pozostałości tej firmy, nowiutkie, fabrycznie przyprószone talkiem dla konserwacji gumy – dwadzieścia par kaloszy tak sławnej marki i trzy kartoniki sacharyny, jakie dostałem na dokładkę, wymieniane stopniowo i pokątnie na mąkę, mięso, tłuszcz, zabezpieczały nam wszystkim życie do syta co najmniej na rok. Poczulem się uszczęśliwiony, trafiła mi się wielka wygrana i do tegoż jeszcze przyszła Liza! Zdążyła wprawdzie poślubić amanta sceny miejskiej i sama już występowała w charakterze pierwszej naiwnej, ale się ucieszyła na mój widok, wycelowoła serdecznie i po dawnemu mówiła Gorińka–družok, i chciała być ze mną, nawet tego amanta, męża, wyprosiła, gdy zajrzał do pokoju, musiałem jej wszystko powiedzieć o sobie, opowiadając czułem znowu, jak mi ona szumi w głowie, Liza, cudna moja, moja Esmeralda albo księżniczka Tamara z boskiego Demona... Dowiedziawszy się o zawartej transakcji, zabrała się do szycia kamizelki z mnóstwem ceratowych kieszonek

na sacharynę, w ten sposób połowę majątku miałbym na sobie, a drugą połowę przy sobie, w worku, owinąwszy we dwa koce, żeby któryś w tłoku nie namacał kaloszy, mógłby rozpruć worek, a i mnie uszkodzić.

Przed wyjazdem wypróbowałem na tołkuczce siłę nabywczą sacharyny. Była dużej mocy. Za szczyptę dostałem żywność dla siebie na drogę i orzechy w miodzie dla Tani. Udałem się na Sadową. Tanię zobaczyłem w głębi podwórza. Siedziała nieruchomo z pluszowym misiem na gołych kolankach. Przez dziewczynkę z sąsiedniego podwórka zwabiłem ją do siebie. Nie wiem, co z nią wyprawiała Anastazja Polikarpowna, ale zrobiła potworka. Powolnie, jakby z wysiłkiem stawiając drobne kroczki, szło do mnie wychudzone i sterane, jakieś stare dziecko o drętwej sinawobladej twarzyczce. Szeroko rozwarłe oczy patrzyły na mnie bez wyrazu, oczy niewidomej, Boże, straciła wzrok, to przecież niemożliwe, żeby nie poznała mnie, swego brata i opiekuna! Ukląkłem wyciągając ręce, Taniu, zawołałem, to ja, przychodzę od mamy. Wtedy rzuciła się na szyję i zapłakała. Dusiło mnie jej kurczowe przyłgnięcie, jej spazmatyczne łkanie, zabierz do mamy, zabierz mnie do mamy! Płakałem wraz z nią nie zważając na dzieci i dozorcę, przyglądających się nam w milczeniu. Otarłem w końcu łzy i wziąłem Tanię za rączkę, chodź, pojedziesz do mamy. Siwobrody dozorca, ten sam, co przed rokiem u wylotu Sadowej tłumaczył ludziom przy zwłokach czerwonego cekaemisty, dlaczego Czechom udał się ich atak, otóż dozorca zastąpił nam drogę, nie wolno zabierać dziecka od ojca, powiedział stanowczo, choć nie bez współczucia.

– Ale to moja siostra! Widzicie przecież, źle jej tutaj.

– Potem, jak was złapią, będzie jeszcze gorzej.

– Chcecie mnie zatrzymać?

– *Boże upasi*, jaż tylko mówię, że nie wolno i że to się nie uda, Siergiej Wieniaminowicz jest na stanowisku, poruszy całą milicję, złapią was na pewno. Chodźcie lepiej do mnie, pogadamy spokojnie.

U siebie w stróżówce wyłożył wszystkie racje, dlaczego porwanie Tani nie ma sensu, trudno, trzeba się poddać, na razie jesteś jej bratem, prawil, a brat w tej sprawie nic nie znaczy, tylko matka, niech matka ją zabierze, przez sąd ma się rozumieć, sądy ludowe łatwo dają teraz rozwód i matkę považają bardziej od ojca... Przyznałem mu słuszność, Tania słuchając jego wywodów u mnie na kolanach zrozumiała tyle, że do mamy jechać nie można i znów wczepiła się we mnie paluszkami, nie, nie chce tu zostać! Musiałem ją uspokajać i pocieszać, trochę

cierpliwości, kochanie, to nie potrwa długo, mama cię zabierze, słowo daję, wrócisz do mamy. Rozmawialiśmy jeszcze, póki przez otwarte okno nie doleciał głos Anastazji Polikarpowny szukającej Tani na tamtym podwórzu, Tania znów zdrtwiała, z twarzą i oczami niewidomej. Dozorca westchnął, idź już, sam ją odprowadzę, powiem, że była u mnie. Uściskałem Tanię i wyszedłem z uczuciem dezercji, z duszą rozognioną nienawiścią. Królików, niewinnej pary flamandów nie mogłem zabić, ale tę jędzę bizantyjską byłbym zamordował bez wahania.

Jewgienij Pietrowicz odprowadził mnie na dworzec i zdał znajomym kolejarzom, dzięki nim wieczorem już dostałem się do wagonu, przeczekawszy w tłumie niecały dzień zaledwie. To było dopiero lekką suchą zaprawą, pogodnie melancholijnym preludium. W Kuzniecku wszystkich wyrzucono z wagonów i pociąg skierowano gdzie indziej. Po trzech dniach trwożnego napięcia, śledzenia, kombinowania, nieudanych prób, rozpacz i nadziei udało mi się wepchnąć w szczelinę drzwi, które się uchyliły za okazaniem garści soli z woreczka nabytego za srebrną papierośnicę, bo na linii Pienza-Syzrań aktualna była sól, nie sacharyna, dalej od Syzrani ku Wołdze aktualia kształtowały się odwrotnie. Zasnąłem pod błogi turkot kół, kołysany jednostajnie postępowym ruchem, z ręką na woreczku soli za pazuchą, worek kaloszy mając pod sobą.

Zbudził mnie straszny bezruch. Pociąg stał. Była noc. Gdzieś w oddali strzelano. Maszynista nie chce ryzykować, ostrożny, mówiono z uznaniem albo z przekąsem, zależnie od usposobienia. Niebo zbladło, strzały umilkły, ale maszynista nadal nie chciał ryzykować. Po paru godzinach zaczęto zbierać składkę na maszynistę i palacza, dawano według uznania i możliwości, pajdę chleba, gotowane jajka, kostki cukru, ktoś dał zupełnie nowy pasek, kto inny chusteczkę, odsypałem na szmatkę soli z woreczka, zasupałem i wrzuciłem do kosza, głupisz, zganiła mnie sąsiadka, szerokim gestem wyzybując się zwitka „sowiecik”.

Po południu pociąg ruszył. W Syzrani, gdzie miałem przeładunek, to znaczy pod znakiem zapytania, pojedę czy nie pojedę, przejadłem, przepuściłem na dobre rady cwaniaków resztę soli i nocowałem w kartoflach przy budce dróżnika. Na dworcu bałem się. Było już po żniwach, ze wschodu i południa nadciągała w stronę głodujących miast północy pierwsza fala *mieszczników*, oddział zaporowy przetrząsał worki, czy nie ma w nich świeżego ziarna i mąki. Leżąc przy warzywniaku dróżnika miałem możliwość przyjrzeć się manewrującym pociągom i wiedziałem już, że to właśnie mój tor. Istotnie pociąg zwolnił za budką,

przystanął na chwilę akurat przede mną, szarpnąłem najbliższe drzwi i ujrzałem mur jeszcze bardziej mądrych, stali ciasno jeden przy drugim, ten znienacka odsłonięty mur byłby runął na mnie, ale bali się krzyku i zamieszania, przeklinając wciągnęli czym prędzej do środka.

Jechaliśmy potem w zgodzie z konieczności, wszyscy w tym samym położeniu, na zajętych etatach. W miarę oddalania się od groźnej Syzrani w wagonie pogodniało, budziła się wesołość i apetyt, tu zażartowano, tam się posilano, wymykały się słowa i gesty ludzkie, ludziom zbierało się na dobroć, najgorsze mieli za sobą, żadnej pułapki już się nie spodziewali. I oto na bezimiennej stacyjce w czystym polu zagrział piorunowy rozkaz – wysiadać, obywateli!

Zaczęła się rewizja, jakiej Syzrań nie miała, z wagonów kłębami wywalał się wzburzony tłum, chmurni zaporowcy wchodzili do środka nie zważając na lamenty, na przekleństwa i robili swoje, rzeczy osobiste i dozwolone zostawiali na miejscu, mąkę, ziarno, krupy wagi powyżej 10 funtów od razu zabierali, z towarem wątpliwym ciągnęli do komisarza. Mój worek właśnie okazał się taki *somnitielnyj*, po co wiesz tyle kaloszy? na spekulację? Chodź do komisarza. Powiedziałem mu całą prawdę, tylko srebro zastąpiłem meblami, żeby nie zaliczył nas do wielkiej burżuazji, nasze meble w Pienizie musiałem wymienić na kalosze, towarzyszu komisarzu, z tego mamy się teraz utrzymać. Uśmiechnął się ocierając twarz rękawem brudnej, przepoconej koszuli, powziąłem doń antypatię za ten uśmiech spoconej ironii, za władczą postawę chłopca trochę tylko starszego ode mnie, lat chyba osiemnastu, później, w komsomole już, dowiedziałem się, że skończył dziewiętnaście.

– Z Symbirska, powiadacie? Uczeń?

– Tak, szkoła numer osiem, dawniejsze gimnazjum realne.

– Nazwisko matematyka?

– Jeżow.

– Wasi rodzice?

– Ojciec umarł, matka jest kierowniczką domu dzieci polskich.

– Gdzie to się mieści?

– Dokładnie nie wiem, przed moim wyjazdem urzędowała dopiero tam wszystko, gdzieś na Starym Wieńcu, drewniany dom w kanarkowym kolorze z dużym sadem nad samym urwiskiem.

– To willa Gołubcowa... Cóż, zostańcie przy waszych kaloszach, jeśli nic innego nie potraficie.

Żołnierzowi powiedział, niech jedzie, to nieszkodliwy kalosznik i poszedł dalej rozstrzygać sprawy wątpliwych przewozów. Gówniarz, rzuciłem mu w duchu za tę jego upokarzającą łaskę, nie bez tajonej zawiści, że ma pistolet i postawę prawdziwego dowódcy, taki gówniarz!

Do mego pociągu, kiedy się z nim uporali, już się nie dostałem. Następny przyszedł pod wieczór. Wypatroszony z ziarna i produktów żyznej ziemi saratowskiej, długo, długo buchał parą i piekielnym wrzaskiem, potem zniknął pod przybojem szturmującego tłumu, tych, co przybyli i tych, co przedtem czekali, ruszył w końcu starymi kołami, wypchany i oblepiony ludzkim mrowiem. Znowu zostałem z tymi, którzy się nie dostali. Kilku żołnierzy zbierało porozrzucaną zdobycz, kładli na kupę pod ścianą stacyjki, dwóch ważyło i liczyło podając liczby komisarzowi przez okno. Takiego połowu dawno chyba nie mieli, góra żywności. Siedziałem na zażużlonej ziemi na wprost komisarza.

– Kalosznik, zawołał, popracuj, to będziesz miał posadku.

Zapalił lampę, bo już się ściemniło, dał ołówek i zeszyt, żebym robił to co i on, liczyłem więc i zapisywałem do późna, potem jadłem z nimi, a potem jeszcze pomagałem w sortowaniu i pakowaniu, opatrzony pieczęcią na tekturowym szyldziku i wartownikiem w krytej przybudówce. Żołnierze z dowódcą poszli spać, zostało tylko dwóch wartowników, jeden przy wagonie z prowiantem, drugi na ławeczce przed stacją. Usiadłem obok, pierwszy raz czekając na pociąg spokojnie i ufnie, jakbym miał miejscówkę w kieszeni. Nikt nie wiedział, kiedy i co przybędzie, ale to mnie już nie obchodziło, byłem pewien, odjadę pierwszym pociągiem, jaki pójdzie w kierunku Symbirska, tak powiedział komisarz.

– Młodego macie komisarza, zagadnąłem wartownika.

– A to jak liczyć, odparł. Gdybyś pobył rok na froncie, i krew przelał, i walczył przeciw rodzonemu ojcu, może byś też był starszy o parę latek.

– Nie bardzo rozumiem.

– I nie trzeba. Pilnuj swych kaloszy.

Po parnej nocy nadszedł dzień upalny jak wczoraj, jak onegdaj. Spalone, żółkłe aż po horyzont pola ziały żarem, schroniłem się pod ocienioną ścianą i zasnąłem na worku. Zbudził mnie komisarz, szyny już dudniły, i żołnierze rozbiegali się wzdłuż toru na przyjęcie nieznanego składu. Był ubogi w *mieszoczników*, rewizja nie trwała długo. Pod koniec obchodu komisarz kazał w pewnym wagonie posunąć się i posadził mnie tam. Chciałem podziękować, przerwał, *posadka ciębie połağalas'*.

– A w Symbirsku pozdrów Jeżowa. Hannibal mu się kłania – zapamiętasz? – Hannibal z korpusu kadetów.

Ostatni etap, tak lekki z początku, najbardziej dał mi się we znaki. Byłem już zmordowany i nie miałem nic do jedzenia, ani na wymianę, nie mogłem przecież zdjąć bluzy i kamizelki i przy wszystkich wypruć potrzebną dozę sacharyny. Cierpiałem głód, skręcałem się jak kapitalizm od nadmiaru bogactwa. Ścisk i gorąco doskwierały wszystkim w wagonie, ale ja, obłożony ceratą, oblewałem się potem i strachem, każda strużka potu ściekająca po piersi i plecach przejmowała dreszczem trwogi, że może mimo całej staranności Lizy przeniknie to do ceratowych schowków i nasz majątek rozpuści się w słodką maź.

Słowem, nic nie jadłem w ciągu dwóch ostatnich dni, a w sumie droga powrotna z Pienzy do Symbirska, nieco dłuższa od trasy Warszawa–Poznań, a więc na pięć godzin normalnej jazdy, cała ta potworna droga trwała dziesięć dni. Chalil, gdy siadłem przy nim na złamanym wózku, cmoknął współczująco, no–no, nie wyglądasz na pasażera z kurierskiego... Dowiedziałem się, że mama mieszka już przy internacie. Chalil chciał pójść ze mną i zanieść worek, prosił tylko żebym zaczekał, musi zawagonować kobietę z dziećmi, to jednak przeciągało się, poszedłem sam. Czuję się niedobrze, w głowie mi się bełtało, odparzyny pality, często musiałem przysiąść, a droga była daleka, przez całe miasto, tak że dopiero po paru godzinach stanąłem w domu dziecka, oszołomiony przytulną czystością i dźwiękiem mowy polskiej wokoło. Mama z Helenką gdzieś wyszła, dzieci zaprowadziły mnie do jej pokoju.

Miewałem potem w życiu ciężkie i ryzykowne przeprawy, lecz jedną tylko, tę pierwszą, akceptuję bez zastrzeżeń i cieszę się, że zdobyłem się na nią, że trzymałem się przytomnie do końca. Odstawiłem worek z kaloszami za szafę, wysiliłem się jeszcze, by zdjąć kamizelkę i sprawdzić, czy sacharyna nie ucierpiała od potu, po czym nie pokalałem czystej pościeli, brudny i zawszony, ale zapadłem w sen na dywaniku przed łóżkiem mamy.

Podjadłszy sobie potem i odpocząwszy, popróżnowałem trochę i zapisałem się na kurs bibliotekarski. Zgodnie z ogłoszeniem w czytelni miał trwać trzy miesiące w godzinach wieczornych, był zatem dostępny zarówno dla uczącej się młodzieży, jak i dla pracujących. Wymagano ukończenia siedmiu klas szkoły średniej i siedemnastego roku życia, przyjęto mnie jednak, tak że byłem najmłodszym słuchaczem. Zapoznawałem się z kartoteką, z systemem klasyfikacji dziesiętnej Dewey, słu-

chając wykładów na temat kontaktu z czytelnikiem, o umiejętności rozmawiania z nim, o pracy oświatowej bibliotek przez odczyty, wystawy i dyskusje, rozumiałem, że bibliotekarz to nie magazynier ani subiekt od książek, ale pionier kultury, wychowawca czytelnika, być może nawet powiernik. Zapragnąłem dla siebie tej pięknej, ocienionej skromnością drogi życia, cichego azylu w zamęcie świata. Budowałem bibliotekę gdzieś za miastem, ale niezupełnie na wsi, bo wsi nie znałem, i trochę się jej bałem, a chciałem być z ludem, pożyteczny i szanowany, żeby nikt nie śmiał powiedzieć, pilnuj swoich kaloszy, jeśli nic innego nie widzisz, miałem więc u siebie w bibliotece nieco rozcieńczony lud, ze wsi i z miasta, rozmawialiśmy o książkach, o sprawach wyższych i osobistych, bo i z tym przychodzili do mnie, wieczorami czytałem albo pisałem w ciszy przepojonej obecnością szlachetnych myśli i piękna w płóciennych lub szagrynowych okładkach na półkach, czasem skończywszy prelekcję przechadzałem się ze słuchaczami po parku trochę jak Platon w gaju Akademosy. Poza tym był pies i była Ola. Z początku nie poznałem jej, nawiedzała mnie jakaś dziewczyna, raz przybywała do mnie, kierownika, na praktykę, innym razem zjawiała się po prostu żeby zmienić książkę, dopiero później zobaczyłem, że to Ola, moja narzeczona ze szpitala Ujazdowskiego, odnaleźliśmy się po tylu latach i mieliśmy przeżyć nie wiem co z tych rzeczy w sonetach i powieściach o dwojgu zakochanych, coś pięknego, ale wszystko pierzchnęło nagle, o niczym nie mogłem już myśleć, oprócz tego, że aresztowano całą utylizację, Darjałowa, Simę, Protasowa, mego protektora i wielu spośród uczestników sobotnich konferencji, mówiono o wykryciu fantastycznie zorganizowanej szajki złodziei i szkodników gospodarczych. Obawialiśmy się z mamą, że i mnie mogą zabrać, noc mieliśmy trwożne, byle dźwięk z podwórza lub z internatu budził nas, zdawało nam się, że już–już nadchodzi Czeka.

Po jakimś czasie, może po tygodniu, napięcie oczekiwania na Czeka zelżało, nie są tacy głupi ani okrutni, żeby aresztować chłopca, uspokajała siebie i mnie mama, zresztą to już chyba miesiąc, jak tam nie pracujesz... Zbliżający się początek roku szkolnego działał także rozpraszająco na mój niepokój, słowem, tego dnia wychodząc z biblioteki miejskiej, gdzie odbywały się zajęcia naszego kursu, nie myślałem o aferze w utylizacji, piękny, niemalże letni wieczór rozmarzał, szedłem do domu z duszą nastrojoną na rzewną nutę szarej godziny, wtem zawołano mnie z tyłu po imieniu, odwróciłem się, podszedł jakiś wojskowy – dobrze się składa, że was spotykam, chodźmy.

- Dokąd? spytałem odruchowo, choć serce skoczywszy do gardła wiedziało już, dokąd. Jeden towarzysz chce porozmawiać z wami, proszę za mną. Poszliśmy. Wstydiłem się, że prowadzi mnie jak bandytę i to mogą zobaczyć znajomi, ale i jemu, czeekiście, polującemu na grubą i niebezpieczną zwierzynę, zrobiło się widać nieswojo i głupio konwojować przez miasto ułomnego wyrostka, bo się odezwał „idźcie sobie zwyczajnie, myślę, że potraficie zachować się rozsądnie”, i pozostawał w tyle, w pewnym oddaleniu podążając za mną krokiem człowieka na spacerze, z papierosem w ustach, czasem wyprzedzał, kiedy nie wiedziałem, w którą stronę iść.

Spodziewałem się ujrzeć żelazną bramę, wysoki mur i celę gdzieś pod ziemią, tymczasem dom, który nas przyjął, niczym właściwie nie różnił się od innych, nieco tylko na uboczu i z dobrze utrzymanym ogrodzeniem, wartownik przy wejściu przepuścił nas bez słowa, weszliśmy na pierwsze piętro i potem w ślepy korytarzyk, tu mój Wergili powiedział, że mam czekać, towarzysz śledczy zawoła, i zostawił mnie w tym przedsiönku piekła.

Długo czekałem nasłuchując odgłosów z drugiego korytarza, gdzie coś się działo, tu było cicho i pusto, ścierpłem od stania, od ucisku myśli coraz cięższych, czarnych, nagle drzwi same się otworzyły i znajomy głos zawołał, proszę wejść! Ostąpiłem. Przy stoliku siedziała Sima. Sima sennie ssąca coś słodkiego, z tym samym kaszmirskim szalem po babce na ramionach, pod tą samą palemką, nawet palemka zwidziała mi się w pierwszej chwili zamiast tego, kto stał przy Simie i dyktował. Nie podnosząc głowy znad maszyny wyprostowała niepewny mój krok, do towarzysza śledczego prosto...

Były tam jeszcze jedne drzwi. Wszedłem. Ten pokoik, właściwie ciupkę, wypełniał tęgi człowiek w średnim wieku z ryżawą brodą, spotkawszy na ulicy wziąłbym go za byłego kupca albo diaka. Głos pasował do figury, barytonowy, nie bez dobroduszej barwy.

- Utylizator pierwszego sektora?

Przyznałem się, tak jest, utylizator...

- Siadajcie i weźcie się w garść. Wiem wszystko, a wezwałem dla porządku, więc spokojnie i prawdę, rozumiecie?

- Rozumiem.

- Powiedzcie, jak to się stało, że wy, dobry uczeń, dobry chłopak, syn kierowniczkii *dietdomu*, znaleźliście się wśród złodziei i spekulantów? W takim bagnie!

Nie miałem nic do ukrywania, zresztą skoro Sima tu pracuje

u niego, to on wie wszystko. Opowiadając, jak się dostałem do utylizacji i co tam robiłem, próbowałem odgadnąć, czy aby Sima nie naklepała na mnie? Ale co takiego mogła naklepać? On tymczasem otworzył moją księgę i przeczytał fatalny opis huraganu.

– To wasz ostatni zapis, owszem, ładny, w takim wyższym stylu... Dlaczego potem nagle przestaliście pracować?

Nie chciałem obciążać Darjałowa naszymi posądzeniami, bo to były na razie tylko posądzenia, ociągając się wyznałem jak mały chłopczyk, że mama zabroniła.

– Ano miała widać powody, dojdziemy i do tego... A czy zebranie z partyzantami towarzysza Blüchera długo trwało?

– Z partyzantami? Nie było takiego zebrania, w każdym razie ja nic o tym nie wiem.

– No jakże, oto wasz stenogram.

Spojrzałem na podsunięty dokument i zrobiło mi się wesoło.

– To nie mój stenogram, tego w ogóle nie pisał stenograf.

– A kto?

– Nie wiem, może pijany, a może dziecko się bawiło.

– Napiszcie coś stenograficznie, cokolwiek, jakiś wierszyk z pamięci.

– Puszkina może być?

– Może być Puszkina.

Napisałem *moj diadla samych czestnych prawil, kogda nie w szutku zaniemog...* i tak dalej do końca pierwszej strofy „Oniegina”.

– Rzeczywiście niepodobne, przyznał śledczy. A jednak podpisaliście!

Pokazał podziękowanie delegatów partyzanckich za buty i skórę na buty, pięć wierszy na maszynie, kupa podpisów i uwaga, że wszystkie dane w załączniku. A na ostatniej stronie załączonej bzdury z kresek, kropek, splotów, zawijasów można było odczytać tylko trzy słowa: sekretarz–stenograf i moje nazwisko.

– To nie mój podpis, słowo daję, ja tego nie podpisywałem!

– Podpiszcie się.

Porównał potem i odłożył znużonym ruchem.

– Tak właśnie przypuszczałem.

Zaklinałem się, że nie mam pojęcia o tych machinacjach, jestem niewinny, do głowy mi nie przychodziło, żeby towarzysz Darjałow... Przerwał:

– Nie towarzysz i nie Darjałow, ale Kulkin, Żorż Kulkin, cyrkowiec, sztuczki w cyrku pokazywał...

Wówczas, w świetle areny, wszystko stało się jasne – to dlatego czasami zdawało mi się, że go skądś znam! Że znam ten pomykający i prężny krok, krok balansisty, albo szermierza, ten zwiewnie wdzięczny ruch dłoni, jakim witał nas przystając na chwilę przy wejściu na salę biurową, człowiek areny.

– A tu odstawiał numer z utylizacją. Sektory po całej guberni, składnice, inspekcje, konferencje, statystyka, wszystko było, a jak trzeba, to Kulkin i huragan robił i partyzantów z frontu wywoływał, czyste sztuczki magiczne, wtem chuchdmuch i nic nie ma, kompletnie nic, sam smród!

Wypytywał jeszcze o jakichś ludzi, których nie znałem, o pudełko, które podobno stało na biurku Darjałowa, a w nim coś było, ale ja nie mogłem tego wyjaśnić. Spisał w końcu protokół, ja się podpisałem.

– Czy mogę o coś zapytać?

– Pytaj, odrzekł przechodząc na ty i ziewnął, to znaczy byliśmy po przesłuchaniu, starszy rozmawiał z chłopcem.

– Nie rozumiem, jak mogli oni robić to wszystko tak głupio i z takim nachalstwem? Nie pomyśleli, że to się musi wydać?

– A to już jego, Zorza, sposób, cyrkowe podejście. Przede wszystkim pewność siebie, potem dużo szumu i reklamy, wreszcie wrażenie. Sztukmistrz robi na efekt, na wrażenie wzrokowe... No, masz przepustkę i żebym cię więcej nie oglądał.

Karzący miecz rewolucji zatrzymał się nade mną i przepuścił. Do białego rana omawialiśmy z mamą ten cud, byłem w Czeka i wróciłem, to znaczy, nie jest ona siedliskiem krwiożerczych bestii jak rozpowiada Diakonowa i inni. Są tam ludzie, ten śledczy na przykład, potrafił wytropić najsprytniejszych złodziei i małwersantów, ale niewinnego nie skrzywdził. Tylko Sima sprawiała nam kłopot z osądem. Pracę agentki mimo całej awersji do podobnego zajęcia można byłoby darować ze względu na siłę wroga i że nie przebiera on w środkach, ale Sima tkwiła w utylizacji od początku, widziała, jak się zawiązuje szajka, mimo to nie doniosła w porę, pozwoliła rozwijać się i rozgałęziać, dlaczego?

Po paru latach na jednej z naszych nocnych biesiadek w cenzurze, kiedy opowiadano sobie różne historie i kawały, dowiedziałem się, że Simę trzymano w ścisłej izolacji na dole tego budynku, gdzie byłem na przesłuchaniu, w podręcznej celi, a wyprowadzano do sekretariatu śledczego przed przybyciem utylizatorów na badanie, miała tylko pisać na maszynie i powiedzieć każdemu dwa zdania „proszę wejść” i „do towarzysza śledczego prosto”. Tyle tylko, ale wszyscy oskarżeni,

minąwszy ją, załamywali się w panicznym strachu i sypali jeden drugiego, wszyscy prócz Darjałowa, jego w ogóle tam nie było, zdążył uciec przed aresztowaniem. Nie słyszałem o nim więcej, nie wiem, jak potem żył i skończył szef gubutylizacji Darjałow *alias* Kulkin, artysta cyrkowy, tylko nieraz odnajduję prekursorskie rysy jego afery w zaafelowanym naszym życiu. Był samoukiem, ale genialnym samoukiem. Wyczuł przyszłość i rzucił ziarno. Zasadnicze elementy metody Darjałowa zakwitły po latach – jego bezczelność, rozmach, fantazja oraz wszystkie efekty cyrkowe jak bombastyczne nazewnictwo, operatywność czystych pozorów, błaga statystyczna i mimikra na czerwonym podłożu pod całkowitą czerwień zlewającą się zupełnie z Leninem.

WUJ STEFAN, WAREJKIS, SUWOROW I PUSZKIN W 1919 ROKU

W willi Gołubcowa na Starym Wieńcu, potem w Śródmieściu, dokąd przeniesiono polski *dietdom*, w parterowej kamienicy z ciosowego granitu przeznaczonej na dostatnie i gęste gniazdo rodzinne, jakie ze znanstwem urządził był sobie marszałek szlachty sycylijskiej i poseł do Dumy, Motowilow, czuliśmy się poniekąd jak na wyspie z dala od trosk i spraw kontynentalnych. Wyżywienie nam się należało na równi ze wszystkimi w internacie. Wikt z kotła, nieurozmaicony i ubogi w tłuszcze, cukier i mięso, zasyczał jednak głód, stanowił podstawę naszego odżywiania się, mieliśmy przecież kalosze i sacharynę, wymieniając je na tłuszcze, cukier i mięso mogliśmy przez dłuższy czas uzupełniać otrzymywane racje i posiłki z ogólnej kuchni. Dzięki zabiegom mamy oraz pań i panów z patronatu, jak również na mocy rozdzielnika komisarza Tkaczowa, który potrzeby komuny szkolnej im. Karola Marksa i domu dzieci uchodźców polskich uwzględniał w pierwszej kolejności, żyło się tu lepiej aniżeli w innych internatach. Głód, chłód, zamęt z kontynentu rosyjskiego docierały na tę wyspę w postaci złągodzonej. Żar wojny domowej nie palił dusz, ale pełzał refleksami przytłumiony poczuciem odrębności, to nie nasze, nie powinniśmy się do tego mieszać, u siebie będziemy się spierali, co i jak sprawiedliwie urządzić – tymczasowość rozkładała w pewnej mierze życie wychowanków i ich rodzin, nostalgiczna nadzieja krzepiła, grunt to przetrwać, jeszcze trochę, a wrócimy do domu. W „Pamiętce”, gdzie są te nastroje kolonii

polskiej, nie ma wuja Stefana, byłby frapującym ochotnikiem na marginesie głównej akcji, wypadł z powieści, ale nie do pominięcia w zyciorysie.

Janek Sobieski ujrzawszy go powiedział – to pan. Królewski imiennik nie grzeszył bystrością, niczym specjalnie nie wyróżniał się spośród wychowanków naszego domu, chyba tylko swą skrzętnością, przyziemnym zmysłem praktycznym, terminując w aptece nie sięgał aspiracjami wyżej pomocnika prowizora, a jednak z miejsca dostrzegł, raczej wyczuł jakąś inność w sylwetce wuja, chociaż była to typowa dla tamtych lat sylwetka człowieka z tłumy, walonki, wyrudziały szynel żołnierski, małachaj na głowie i tłumoczek pod pachą, wuj przyszedł właśnie z Nowodewicza i niósł plony swego sekretarzowania na wsi, mizerny zasobik żywności, którą chciał podzielić się z nami nie wiedząc żeśmy się tymczasem wzbogacili, że sami możemy użyć mu teraz darów fortuny w postaci kaloszy i sacharyny. To pan, rzekł Janek tonem znawcy menażerii ludzkiej i rasy, słowa te zafrapowały mnie, zwróciły uwagę, że istotnie wuj jest do nikogo nie podobny, pod każdym względem inny. W najbardziej umasowionym, pospolitym i brzydkim ubiorze wygląda niepospolicie, jakoś schludnie i przyjemnie, nie bez swoistej elegancji, nawet taki Sobieski wyczuwa to i chwali się, patrzcie, wykrył wielkiego pana w przebraniu, zdemaskował jego pańskość! – a to wcale nie pańskość, tylko co innego, ale co?

Na dobrą sprawę bogini losu raz mu tylko sypnęła pełną garścią z rogu obfitości i szczęścia, raz jeden, przy pierwszym słupie milowym drogi, która wypadła w najgorszym okresie dla kariery Polaka w Królestwie Polskim, szczególnie dla niego, syna powstańca. Urodził się malarzem, a został łowczym, tej jego krzywdy nikt nie zauważył, zapewne i sam on nie od razu ją sobie uświadomił, bo czegoż się spodziewał, co zdobyć bez fachu, bez wykształcenia, po czterech klasach szkoły początkowej, z rodziny, która wszystko straciła w powstaniu, ojciec wuja Stefana długie lata kryć się musiał ze swą antycarską przeszłością i Bogu w końcu dziękował, znalazłszy schronienie na posiadzie woźnego sądu grodzkiego w Warszawie. A on, Stefan, w osiemnastym roku życia dostał się na praktykę leśną do majątku takiego magnata jak hrabia Berg, co więcej, niebawem hrabia go zauważył. Spodobał mu się ten miejski chłopak, w lesie już się orientował, sygnały na trąbce grał bezbłędnie, widać muzykalny, mówił po rosyjsku poprawnie, choć z akcentem polskim, był zręczny, układny, bez uniżoności, tylko wyglądał jak strach na tyczce, chudзина... Niech go pan dalej szkoli i odżywia nale-

życie, zadysponował hrabia na odjeźdny i dorzucił rządca parę rubli strawnego dla praktykanta. Po roku chłopak nabrał muskułów, zmężniał, wyprzystojniał, *nu, ja wiżu, on kuszajet s appetitom*, powiedział uśmiechnąwszy się hrabia. *Wasze sijatielstwo*, odrzekł rządca, *on nie kuszajet, on żriot!*

– To był człowiek, któremu wiele zawdzięczam, wyznał wuj opowiadając o Bergu, płakałem po jego śmierci.

Stracił nie tylko dobrego pana i opiekuna, u którego awansował z praktykanta na podłowczego, potem na łowczego, nie, poza stroną materialną zawdzięczał Bergowi jakiś dobroczynny wpływ, jakąś powiedzmy dodatnią katalizę w procesie wyzwania się ukrytych cech i możliwości. Według opowieści wuja Berg był arystokratą w najbardziej wysublimowanym tego słowa znaczeniu, człowiekiem ogromnej prostoty i życzliwym, z poczuciem odpowiedzialności za losy tych, którzy u niego pracowali. Nie znosił służalstwa ani strachu. Zawsze przebaczał, ilekroć ktoś sam się przyznał, rozstawał się natychmiast z tymi, którzy choć raz zełgali lub oszukali. Właśnie ten zarządca dóbr, u którego wuj z początku był na wikcie, został przyłapany na poważnych malwersacjach, Berg miał niezbite dowody, mógłby sądownie odebrać przywłaszczony sumy i wtrącić do więzienia, a jednak nie uczynił tego, po prostu odprawił, ma pan rodzinę, nie chcę kaleczyć dzieci hańbą ojca... A co do wyrozumiałości, to wuj doświadczył jej na sobie.

Pewnego razu, gdy był już łowczym, otrzymał z Petersburga klucz do piwnicy Berga w klubie myśliwskim wraz z poleceniem niezwłocznego dostarczenia starki numer takł a taki. Pojechał do Warszawy, pokazał intendentowi klubu list hrabiego, razem zeszli do piwnicy. Mury wyglądały tam jak plastry miodu, całe w komórkach, a w tych celkach pochyło stały omszone flachy, wszystkie ponumerowane, opatrzone szyldzikami, zdawało się, klejnoty w skarbcu albo białe kruki w księgozbiornicy. Intendent odszukał potrzebną butelkę, starł kurz i z cicha gwizdnął:

– Patrz pan, rok 1829, to warneńska starka!

Wuj nie wiedział, co to znaczy, ale intendent wiedział. W 1829 roku, po zwycięskim zakończeniu wojny z Turcją, na różne sposoby obchodzono i upamiętniano triumf oręża polskiego. Mikołaj I w manifestacyjnym reskrypcie polecił, by armaty zdobyte na Turkach pod Warną zostały przywiezione do Warszawy i wystawione na znak tego, że on, imperator wszechrosyjski i król polski, pomścił bohaterską śmierć swego młodzieńczego poprzednika na tronie Jagiellonów, Władysława Warneńczyka. A dziad tego Berga kazał swej gorzelni wypuścić

specjalną starkę, która zdobyła sobie uznanie znawców i po latach stała się legendą.

Armat tureckich spod Warny nie widziałem w Warszawie, ale starkę warneńską piłem, niech ją diabli piją, byłaby mnie zniszczyła, mało brakowało.

Intendent zwyczajem wszystkich majordomów nie mógł nie skosztować pańskiego, więc niby niechcący stuknął lekko szyjką o mur. Wuj jęknął z przerażenia, ale ten go uspokoił, nic się nie stało, są tu jeszcze trzy butelki z tegoż roku i tej samej numeracji, bierz pan tamtą zamiast tej i chodźmy stąd.

W mieszkaniu u siebie wprowadził do stołowego, spijałem trunki rozmaitych lat i piwnic, ale warneńskiej starki nie zaznałem, powiedział stawiając kieliszki, nie bądź pan dumny, pij, co się stało, nie odstanie, zresztą nic się nie stało i nikt się nie dowie... Majordomus asekurował się, przez wspólną degustację wciągał do współodpowiedzialności, wuj to widział i jak zwykle w podobnych sytuacjach czuł się speszony, wszelka nieuczciwość i nikczemność przejmowały go panicznym obrzydzeniem, obchodził rzeczy szpetne, przed bezczelnością usuwał się z niesmakiem, a tu bezczelność patrzyła spod siwych brwi tak naturalnie i niewinnie, że nie wiedziało się po prostu, jak zaoponować, by nie wypadło ordynarnie, ani głupio, ani z kazań ks. Wojtygi dla ubogich i niemoralnych – wypił na odczepne nie delektując się tym, co pije, byle zbyć. Sędziwy moczynos to zauważył, tak nie można, młody człowieku, staruszka ma sześćdziesiąt lat z okładem, trzeba delikatnie i *con amore*, taka wódula trafia się raz w życiu i to nie każdemu... Wypili po drugim, teraz cierpką smolistość trunku i jego bukiet wuj, owszem, rozeznał, ściśle mówiąc, podniebienie przyjęło to drętwo do wiadomości, gdy sam on trawił się rozpaczą, co będzie w Petersburgu, czym się wytłumaczyć przed Bergiem, jak spojrzeć mu w oczy? Po trzecim kieliszku rozpacz osiadła jak biały mróz, zrobiło się lżej na duszy, zapadło się w znieczulenie, w lodowaty spokój, tylko myśl żyła intensywnie, taka lotna i ostra, sama sobie, wolna od ściętego bezwładem ciała.

– Wypiłem trzy starki, resztę klubowy majordomus zabrał sobie, dobrze pamiętam, wypięm trzy kieliszki, więc nie byłem ani trochę wstawiony, możesz mi wierzyć, głowę miałem jasną, myślało mi się z przedziwną, olśniewającą jasnością, tylko nóg nie czułem. Klubowy powiedział, że to dowód tożsamości starki warneńskiej, ten paraliż, każdego kładzie, trwa pół godziny i mija bez śladu. Zawołał żonę i służącą, podniosły mnie i położyły na kozetce, żebym się przespał przed pociągiem.

W Petersburgu, wręczając starkę Bergowi wuj wyznał, że jedna butelka została stłuczona.

– Czy pan przynajmniej skosztował? – spytał żywo hrabia.

– Tak, *Wasze sijatielstwo*, spróbowałem tego, co zostało.

– Ile?

– Trzy kieliszki.

– No i co?

– Nie mogłem podnieść się, ani ruszyć z miejsca.

– Znakomicie! – zawołał Berg. – Ma pan teraz dwa tygodnie urlopu w stolicy, proszę niczego sobie nie żałować.

Wuj wyszedł od niego oszołomiony, z czekiem na pokrycie kosztów pobytu w Petersburgu i długo łamał sobie głowę zgadując, dlaczego zamiast kary spotkała go łaska i co hrabiego tak ucieszyło?

Otóż na jednym z intymnych przyjęć w Pałacu Zimowym któryś z wielkich książąt w trakcie omawiania trunków wyraził się powątpiewająco o starce warneńskiej, której walory i właściwości zdaniem jego coraz bardziej ubażniano w miarę jak znikąca ze stołów i piwnic. Berg poczuł się dotknięty, a że nie mógł zareplikować zwracając się bezpośrednio do członka rodziny panującej, zaproponował dość głośno sąsiadowi, że odda Browki za parę kroków, powiedzmy od stołu do ściany, po trzech kieliszkach starki jego dziada. Tamtem przyjął zakład i postawił swój majątek ziemski wartości równej Browkom. Ze względu na zakładające się osoby, zwłaszcza Berga, horrendalnego hazardzisty, jak ze względu na wysokość stawek, majątki te bowiem miały po parę tysięcy dziesięcin ziemi ornej i lasu, rzecz nabrała rozgłosu i stała się sensacją sezonową w Petersburgu.

Wuj dowiedział się o tym na mieście, kiedy rozeszła się wiadomość o wygranej Berga, co było poniekąd dodatkową sensacją, bo z reguły przegrywał. Nawiasem mówiąc niebawem stracił wygrany majątek, a po paru latach niemalże wszystko przepuścił przy zielonym stole i wycofał się. Odszedł, trzeba przyznać, z honorem. Pospłacał długi, uporządkował sprawy osobiste i resztki fortuny, zatroszczył się o losy bliskich mu pracowników. Wuję wezwał do siebie.

To był drugi jego pobyt w Petersburgu, ponowne fascynacje w Ermitażu, gdzie spędzał czas póki światło dzienne padało na płótna Rafaela, Leonarda, Rembrandta, na obrazy mistrzów, które stawały się takim przeżyciem, że starał się potem wywołać podobny stan upojnego uduchowienia, nieokreślonej tęsknoty i słodkiego smutku zarazem, czegoś nie do wysłowienia, jak

miłość i dusza, co jednak istnieje i opromienia, malował więc później w głuszy leśnej bez jakichkolwiek ambicji, bez nadziei nawet, że będzie to oglądane przez kogoś, ot, dla siebie, z potrzeby takiego przeżycia, z nałogu – brał pędzel czy węgiel jak się bierze chleb pański albo karty. Wychodził z Ermitażu o zmroku odurzony i szedł bez celu przez miasto mijając kanały, mosty, pałace i świątynie tej Wenecji Północy wzniesionej wśród bagien nadmorskich na pokładach kości chłopskich. Piotra gród, punkt przelotowy i szczyt kontrastów, gdzie zachód styka się ze wschodem, przepych z nędzą i artyzm z cyrkularzem, miejsce koronacji, przewrotów pałacowych i kaźni, stolica wykwintu i kultury, miasto natchnione, ujęte w zamki, twierdze, bastiony, miasto białych nocy i snów o potędze, granitowe, pełne tradycji pięknych i strasznych, widmowe...

Spędził tak parę dni nie przejmując się zbytnio tym, kiedy hrabia go przyjmie. Przyjął w końcu nader serdecznie, wyraził żal, że muszą się rozstać, niestety – wuj zbladł – hrabia spieszenie wyjaśnił, muszą rozstać się na jakiś czas, bo stary Newerly w Białowieży ma poważne kłopoty z organizacją wielkich łowów cesarskich w tym i przyszłym roku, prosi o pomocnika spośród jego służby łowieckiej. Berg mówił to tak przekonywająco i pogodnie, że wuj przyjął roczną odprawę pieniężną i list polecający w najlepszej wierze, niczego nie przeczuwając, z pewnym nawet zadowoleniem, podobne oddelegowanie na tereny łowieckie światowej sławy świadczyło o wyróżnieniu, o uznaniu ze strony Berga, z którym przecież rozstaje się tylko na czas jakiś. Pobawił jeszcze trochę w Petersburgu i ruszył do Białowieży. Tam doszła go wiadomość, że hrabia Berg zastrzelił się. A Newerly oznajmił, że pomocnika nie potrzebuje, nikomu tym głowy nie zawracał, spełniając jednak pośmiertną prośbę hr. Berga przyjmuje jego łowczego na oberjegra cesarskiej mości, co w tabeli oficerskiej odpowiada randze kapitana.

– Dziadek Newerly, świeć mu, Panie, dał mi się we znaki. Dużo wody w Narewce upłynęło, zanim nabrał do mnie przekonania, ale ostatecznie zaufał i chyba polubił, zmarł przecież z ręką w moich dłoniach, tak chciał...

Tu gdzież zyciorys wuja Stefana zarywa rykoszetem w moje dzieciństwo i ziemię świętą, Paraska mówiła, co się działo w Zwierzyńcu, kiedy on i ciocia Ania chcieli się pobrać, a dziadek zabraniał, nasz pan jak stanie przy swoim, to nie dostap, zuber – szeptala Paraska. Jej głowa, pieczone jabłuszko, dwa zębki spod zwiedłej wargi, żalosny kosmyk siwych włosów na czole, oczka ślimaczki zezujące na boki, wszystko u niej wyglądało

dziwacznie i u kresu zużycia, cała niania zdawała się istnieć na pamiątkę Zwierzyńca z tamtych czasów, kiedy mnie tam nie było, w ogóle jeszcze nie było. Jej słowa szeleściły czymś ukrytym i bardzo ciekawym, jakby stworzonko jakieś poruszało się pod kępą zeschniętego listowia – modliłam się wtenczas i czepeczek Anuli ze szczyptą ziemi świętej kładłam panu naszemu pod poduszkę... Tak samo potem mówiła, że i mojej matki czepeczek dziecięcy podtykała dziadkowi pod posłanie na zmiękczenie serca, na ulitowanie się, no i pomogło, oddał przecież oficerowi bez majątku, jak przedtem starszą córkę musiał wydać za swego oberjegra. Naturalnie można byłoby powiedzieć, że wszystkie dzieci dziadka, a miał ich pięcioro odchowanych i zdrowych, wszystkie bez wyjątku pozawierały małżeństwa wbrew jego woli i tych swoich mezaliansów nigdy potem nie żałowały, czy to się stało tak za twoją, Parasko, interwencją? Wszystkim im pierwsze trzewiczki, paputki radosne, kolorowe z ziemią świętą w środku dawałaś po kryjomu na drogę? – tak by można było zagadnąć starą i w jakiejś mierze powściągnąć, jednakże niżej tego nie robił. Pokpiwano sobie z Paraski, ale nie odbierano jej złudzeń co do zasług dla domu dawniej, ani co do niezastąpionej użyteczności w ostatnich latach, na dożywociu u wujostwa w Hajnówce, gdzie wynajdywała sobie zajęcia, czasem przydatne, czasem kłopotliwe dla otoczenia, myszkowała wyniuchując łąkocie i nalewki, raz się otruła w spiżarni łyknąwszy sobie zdrowo kwasu karbolowego zamiast wiśniówki, blagowała naiwnie, bezwiednie i modliła się za wszystkich znosząc panu Bogu grzechy i sekrety poszczególnych członków rodziny w takim jakimś wysublimowanym, niebiańskim plotkowaniu – trudno, nie była sługą, należała do rodziny, wyniańczyła dwie generacje, przeszła z nimi przez życie i zmarła wśród nich na wygnaniu, pochowano ją w Symbirsku obok babci Newerly i ciotki Ani, tak że doprawdy nie ma znaczenia, iż ziemię świętą brała od kумы Genowefy, która co parę lat odprawiała pielgrzymkę do Jeruzalem het na krańce powiatu Bielsk Podlaski, a może i dalej, w łomżyńskie, tam gdzieś podobno leżała Jeruzalem bożogrobskiej baby Genowefy, dokładnie ustalić nie sposób i nie potrzeba – święte były intencje Paraski, więc i jej ziemia w paputkach dziecięcych musiała być święta.

Jasny i przestronny dom, nie za duży wszakże na tak liczną rodzinę (wujostwo, sześcioro ich dzieci, dziadek Jan i Paraska), świadczył wyraźnie o różnicy w podobnych losach wuja Stefana i Wieniamina Lwowicza, ojca mego ojczyma. Obaj rozminęli się z powołaniem, ale inaczej, w innych warunkach i klimatach żyli

potem z niespełnionym pragnieniem, z krzywdą zadaną ich naturze. W mieszkaniu na Sadowej ostro odczuwałem atmosferę zastoju, ponurości i despotyzmu panującej tam Anastazji Polikarpowny, a w Hajnówce zawsze czułem się swobodnie i lekko. Mniejsza o nastroje i wrażenia, wystarczy szczegół oczywisty jak barwa, niezbity jak dokument – mansardka. Wieniamin Lwowicz, architekt gubernialny, kryć się musiał przed żoną ze swym zakazanym i wstydlwym nałogiem, a i wśród najbliższego otoczenia z kasty urzędniczej nie wiem czy miał kogoś, przed kim mógłby rozwinąć swe płótna, szkice i drę zące go wizje, nie do twarzy byłoby rzeczywistemu radcy stanu z paletą. A dla wuja Stefana przebudowano specjalnie podstryszek na mansardkę, żeby się tam spokojnie bawił w wolnych chwilach akwarelą i węglem. Jego hobby otoczone było w rodzinie szacunkiem i uznaniem, dzieci zaglądały na górkę, podziwiała, tu portret dziadka Jana, a tu żubra, tam głuszec tokuje, gdzie indziej widać brzoźki wczesną wiosną i dwie słonki, co ciągną nisko nad nimi w liliowej zadymce zmierzchu, szkoda, że nie słyhać, jak pochrapiują, a oto i dom, biały dworek wśród kwitnących jabłoni, na schodku przed oszkloną werandą siedzi Paraska z Wandzią na kolanach, żal mi się robi Paraski, co ona winna, że taka stareńka, i nie ma sił do Wandzi ani do radości, którą wszystko dokoła mieni się i żyje, słońce, kwiaty i kąpiące się w piasku wróbelki – pierwsze wzruszenia przed obrazami przeżyło się w tej mansardce, pamiętam do dziś. A dla wuja były to najmiłsze lata, pełnia życia – kochana żona, dobre dzieci, dom bez zbytku, ale i bez niedostatku, praca, którą zdołał polubić, zdrowa praca, cały czas w lesie na nogach, a w lesie zawsze coś się dzieje, pod wieczór jest się w mjarę utrudzonym, ma się apetyt i coś dla słuchaczy przy stole – bezczelnością byłoby chcieć czegoś więcej od życia, jeśli tylko dało i to na warunkach absolutnej pewności, niejako z gwarancją, że za pięć, za dziesięć, za dwadzieścia lat nic się nie zmieni, wszystko będzie jak jest, ta sama puszcza co przed wiekami i czwarty jej rewir od Hajnówki po Budy, 20.000 dziesięcin knień, gdzie oberjegier Seferyniak z jegrami będzie strzegł żubrów, jeleni, danieli, dzików i innej zwierzyny przed wilkami i kłusownikami, będzie ją dokarmiał i pilnie badał jej zwyczaje, wędrówki, ostoje, by spisać się jak najlepiej podczas wielkich łowów, będzie nadal kształcił dzieci w progimnazjum bielskim i w gimnazjum biało-stockim, malował i grywał na waltorni, robił niekiedy wypad do Zachęty i teatru w Warszawie, tak będzie się powtarzało z roku na rok obok kalendarza ministerstwa dworu, z czasem

tylko, gdy odpadną koszta utrzymania dzieci na stacjach w Bielsku i w Białymstoku, zacznie pomału budować sobie gdzieś domek na starość. Można nawet obliczyć, kiedy to nastąpi, jaką kwotą oszczędności będzie wówczas dysponował i to, że można obliczyć, że można swą egzystencję z góry przewidzieć z prawdopodobieństwem do jednej dziesiątej szczegółów, nadawało jej jakieś reglamentowane wymiary, zwyczajnie mówiąc bywało podówczas nudnawo i tęskno za czymś bardziej atrakcyjnym z niespodzianki albo jeszcze lepiej z własnego wyboru. Dopiero „w czasach przemiany i przełomu”, na owej „uczcie bogów”, kiedy utraciło się wszelką równowagę i pewność czegokolwiek, kiedy się istniało w trybie doraźnym, z chwili na chwilę, tylko tym, co teraz i zaraz, tamto poczucie bezpieczeństwa i stabilności, życie z konkretną perspektywą na pięć, na dziesięć, na dwadzieścia lat, nawiedzało w rozpamiętywaniach wrażeniem snu, jaki trudno byłoby odtworzyć i pojąć, bo z innej, dawno zgastej epoki.

A propos epoka. Na historię wuj patrzył okiem naturalisty i mówiąc epoka myślał chyba strefa. Dzieje człowieka widziały mu się nie w ruchu pionowo postępowym, wznoszenie się z epoki na epokę, ale pionowo, przechodzenie z jednej strefy do drugiej, gdzie zależnie od klimatu i otoczenia zmieniają się warunki życia, narzędzia, stroje i ustroje, ale człowiek w naturze swej pozostaje ten sam i co najmniej ten sam stosunek zła i dobra, piękna i ohydy utrzymuje się na świecie. Przeżył monarchię z resztkami feudalizmu, rewolucję antycarską, rewolucję socjalistyczną, kapitalizm w odrodzonej ojczyźnie, władzę sowiecką, z którą ponownie zetknął się na Wołyniu, gdzie go druga wojna zastała, wreszcie socjalizm Polski Ludowej – miał dosyć, bał się dalszego ciągu, każdy z tych ustrojów wydawał mu się krojony podług niebrzydkich fasonów, ale szyty z fele-rem albo i zgoła nie na ludzką miarę.

Nikomiu, kto się z nim zetknął, do głowy by nie przyszło, że to samouk, co więcej, że całe niemal życie spędził w lasach i tam nie mając żadnych bodźców poza głodem duszy wykultywował w sobie tę współczesność i ogładę towarzyską. W zacisznym dworku borowym przeżywał książkę za książką niespiesznie, z lubością i do dna, każdego napotkanego człowieka, każdą nową sprawę, nowe zjawisko penetrował z tubylną zachłannością, uczył się życia i fachu, a że najlepszą literaturę fachową miał niemiecką, nauczył się niemieckiego, delegowano go do Hagenbecka w Hamburgu i do Wiednia na światową wystawę łowiecką. To wszystko wygląda fantastycznie, na opak zwykłej

kolei rzeczy – przyszedł do puszczy chłopak miejski z kusiutką edukacją w zakresie paru klas elementarnych, a po latach wyszedł z lasu człowiek odcytany, w normie zainteresowań i potrzeb kulturalnych inteligenta, z uczuleniem estetycznym i swoistą filozofią, *arbiter bibendi* na wszystkich bibach, jakie pamiętam, czy to w pułtuskiej gospodzie pani Lewandowskiej, gdzie zbierała się śmietanka powiatu, czy u Wróbla na Mazowieckiej, w gronie pracowników dyrekcji generalnej lasów, ilekroć chciano dobrze zjeść, popić, pogadać i pobawić się ze smakiem, zawsze wybierano wuja Stefana na arbitra tych sympozjów.

Drugie, poza chłonnością inteligencji, co w nim zdumiewało w zestawieniu z życiorysem, to jego polszczyzna. Przez trzydzieści lat rosyjskiej służby państwowej żył wśród Rosjan, mówił, pisał, czytał po rosyjsku, rozmawiając po polsku tylko z żoną i z rodakami, gdy się spotkali, co nieczęsto się zdarzało, dzieci, uczące się poza domem w gimnazjach najbliższych miast, swobodnie wystawiały się po rosyjsku, dopiero w Symbirsku przed powrotem do kraju przeszły zdecydowanie na mowę ojca, otóż proszę sobie wyobrazić, po trzydziestu latach wyobcowania zachował nienaganną krystalicznie czystą polszczyznę. Żadne z jego dzieci ani wnuków, wychowanych w szkołach polskich po odzyskaniu niepodległości już tak pięknie nie mówiło.

Broniąc swego zdołał jednak oswoić się z Rosją, polubił jej kuchnię, literaturę i muzykę, miał przyjaciół Rosjan, w roku rewolucji dobrze im życzył, ale tego, co się potem zaczęło dziać, nie rozumiał, nie podzielał i chciał do domu. Powędrował przez całą Rosję centralną i Białoruś do Polski pod okupacją niemiecką, na zwiady, by urządziwszy się sprowadzić następnie rodzinę, i tu gdzieś niedaleko Białowieży zastał go Jedenasty Listopada. Ujrawszy na własne oczy flagę biało-czerwoną i żołnierzy polskich, ruszył z powrotem ku Wołdze, niosąc przez dwa kordony, sowiecki i ukraiński, wieść o zmartwychwstaniu, Niemców nie ma i nie ma Rosjan, Polska jest wolna i niepodległa, wracamy! W Symbirsku nie znalazł synów, trzeba było czekać aż się odnajdą, wkrótce żona zmarła, a tymczasem wojna rozszalała się na dobre i drogę do domu odcięła, linia walk czerwonych z białymi skakała jak w płasawicy i nie było sposobu, żeby ją ominąć i nie wpaść w ręce zielonych, nie uznających ani tych ani tamtych, pozostawało już tylko trwać do czasu, kiedy to się wszystko skończy i nie dać się zagłodzić. Za czyjąś dobrą radą przygotował się do egzaminu na sekretarza

sądu ludowego i wyjechał w kierunku zbożowym, do Nowodiewicza, bogatej wsi na prawym brzegu Wołgi, ale tam się okazało, że nie jest zdolny, nowa posada otwierała prastare możliwości zarobków z boku i na lewo, on jednak nie miał w sobie nic z tego mańkuctwa ani się kwapił nauczyć, jak to się robi, toteż i na wsi klepał biedę według tej samej normy żywnościowej co w Symbirsku.

Kiedy Janek Sobieski, zobaczywszy go, powiedział to pan, wuj Stefan właśnie wracał z chudym workiem produktów i sporym zasobem aktualii z życia wsi nadwołżańskiej, z taką znajomością życia chłopskiego, że kiedy stał się moim oponentem, jedynym oponentem, jakiego wówczas miałem, z jakim liczyć się musiałem, starałem się nie potykać z nim na wiejskim terenie, moje wywody wybrane z najlepszych broszur i artykułów na temat sojuszu biedniejszego włościaństwa z proletariatem albo o komunach rolnych nie wytrzymały naporu jego obserwacji i konkretów z Nowodiewicza. Nigdy mi nie przerywał, nie okazywał lekceważenia ani przewagi tytułem wieku, i doświadczenia, słuchał cierpliwie, miał tylko przykry zwyczaj zadawania żenująco prostych pytań pocierając przy tym nos złożonymi w muszlę dłońmi, słowa wydobywały się spod nich w brzmieniu kataralnym i cokolwiek złowieszczym.

– A ty robotnika widziałeś? – spytał raptem, gdy mówiłem o proletariacie, proletariusz podówczas znaczył dla mnie bohater, bohater w ogóle i nowszej historii w szczególności, sól ziemi, szczyt postawy moralnej, na jaki chciałem się wspinać z nizin mego inteligenckiego pochodzenia. Zrobiło mi się głupio. Dwa lata temu posprzeczałem się z chłopcami na dużej pauzie, że robotnik i proletariusz są to różni ludzie z różnych klas, teraz wiem, że to jedno i to samo, ale ponadto? Na dobrą sprawę poza nacytowanym i zasłyszonym nic o nim nie wiem, nie znam go, nie zetknąłem się z żadnym robotnikiem...

Gdy w komunizmie, przyszłości świata, zacząłem już orientować się tak pewnie i jasno jak mistycy średniowiecza w życiu pozagrobowym, wuj nie studził żaru moich wierzeń, rozumiejąc, że trochę tego objawienia, co mnie rozsadza, musi wyparować, słuchał, w końcu zamykał kłapę jakimś lekko zaskakującym zdaniem. Pewnego razu jednak nie wytrzymał, do licha, nie słyszałem jeszcze, żebyś się przejmował czymś innym, czymś pięknym na przykład, po prostu pięknym samym w sobie, czy to cię nie obchodzi? a może się wstydzisz, że bez idei! – skinął za siebie, gdzie za kozetką, na której siedział, biegły złożone ramy wielkiego na pół ściany Siemiradzkiego, znakomita kopia, jaka

z salonu Motowiłowa ocalała w domu dziecka, feeria barw i światłocienia wokół wazonu i dziewczyny równej piękności, być może nawet w tej samej cenie, patrycjusz wahał się, co wybrać, a ja miałem kłopot z tym obrazem, że patrzę, że to sprawia mi przyjemność, choć nie znajduję w nim żadnej głębszej myśli.

- A może i wtedy, gdy, jak twierdzisz, każdy otrzyma według potrzeb, a da według zdolności, ludzie nie będą lepsi niż za cara i tak samo będą *matierili*?

Z pewnością nie chciał mi tym specjalnie dokuczyć, po prostu nie znosił plugawej mowy, idiomatyczne zwroty po *matieri* były dlań objawem ubóstwa ducha i niedyspozycji moralnej, tak że mówiąc „będą *matierili*”, chciał chyba powiedzieć, będą pili, będą kradli i upadali się nie mniej niż za cara, ale ja to odczułem jako szczególną złośliwość i zawołałem, niech się wuj liczy ze słowami, kiedy mówimy o komunizmie! Mama na to trzasnęła dłonią w stół, tak że szklanki zabrzęczały i odezwała się do mnie w niesłychany sposób, jak nigdy dotąd:

- Gówniarz jesteś, wuj przychodzi, żeby odpocząć i porozmawiać spokojnie, a ty wszczynasz głupie polityczne dyskusje. Przed Witkiem, przed chłopcami możesz popisywać się swą mądrością z książki, ale nie tutaj! Żebym ja więcej tego nie słyszała!

Odtąd nigdy jużśmy z wukiem tematów politycznych nie poruszali.

Raz tylko wyrwały mu się reminiscencje z dawnych nadwożańskich dni. W Opolu, na swym jubileuszu osiemdziesięciolecia urodzin, unosząc pod światło któryś z rzędu kieliszek mrugnął do mnie figlarnie - pijemy jednak więcej niż za cara, co? Zgasiwszy zaraz niestosowny, chochlikowaty błysk, dodał pofnie i smętnie - a złodziejstwa i złości ludzkiej, a tej drapieżności po dwakroć więcej... W ściszym głosie nie wyczuwało się próżnego zadowolenia z wygranej, była skarga dobrego człowieka, który wolałby przegrać z mądrzejszym i sprawiedliwszym...

Jak już nadmieniałem, wuj Stefan wypadł z powieści i słuszenie, ale tutaj jest nie do pominięcia. Z życiorysu niepodobna wykreślić, stonować człowieka, który coś w nim znaczył, którego się kochało, o którym pisanie sprawia przyjemność. Nie mogę sobie tego odmawiać ze względów kompozycyjnych, z obawy, że ta postać rozsadzi i pogmatwa tok opowieści o latach 1918-21, nie wiem zresztą, jak długo będzie mi się chciało rozpamiętywać i dociekać, „tę zabawę trudną dał Bóg synom ludzkim, aby się nią trapili”, powiedział Salomon kończąc swój

pamiętnik, ale on był królem w Izraelu i trapił się na zlecenie Jedyne.

A więc późna jesień, może początek zimy 1919 roku. Dom Dzieci Polskich przeniesiono już ze Starego Wieńca do willi Motowiłowa. Wuj Stefan, po powrocie z Nowodewicza, odwiedza nas wieczorami. Dyskutuję z nim, szukam oponenta, szukam okazji do pomocowania się w dopiero co nabytym rynsztunku ideowym, to znaczy że jestem już w Komsomole. Ale dlaczego właściwie zostałem komsomolcem, jakie konkretne pobudki i przyczyny wpłynęły na to? Podłoże klasowe odpada. Nie zaznałem w dzieciństwie głodu, krzywd, poniżenia na skutek ubóstwa lub prześladowań. A może pewne cechy charakteru, jakieś predyspozycje psychiczne? I to nie. Nie miałem, całe moje życie świadczy o tym, nie mam temperamentu ani aspiracji działacza politycznego, zresztą wtenczas, w chaosie wojny domowej, jej zmiennych losów i straszliwych ofiar, kariera działacza politycznego, późniejszego kadrowca, zawodowego kierownika partyjnego nie istniała w świadomości nastolatków. Lektura? Ano sięgnąłem po Marksa, bo zaczęto o nim mówić, więc przez ciekawość, czy naprawdę taki niezgłębiony, wziąłem pierwszy tom „Kapitału”, zmęczył mnie i znudził, pociągał tylko styl. Z zainteresowaniem przeczytałem do końca „Poprzedników współczesnego socjalizmu” i chciałem wziąć coś jeszcze Kautskiego, powiedziano mi jednak, że bym się miał z nim na ostrożności, bo to renegat. Słowem nie otrzymałem solidniejszej podbudowy do obrazu świata w ujęciu marksistowskim. Przystępnych konspektów w rodzaju „Elementarza komunizmu” Bucharina nie było, „Elementarz” ukazał mi wszystko i wszystko uzasadnił znacznie później, tak, że daremnie usiłuję przypomnieć sobie, jaka lektura na to wpłynęła, przepadło, nie pamiętam, a to nasuwa w domniemaniu makulaturę. Z pewnością jakieś bezimienne broszurki, artykuły doraźnego użytku robiły swoje, jeśli chodzi o podbudowę emocjonalną, nie one jednak kształtowały – ale czemuż by nie? A co na ogół kształtuje poglądy i przekonania?

Naturalnie trzeba przyjąć i ten makulaturny wpływ tak samo jak wiece i zebrania. Chodziłem przecież na nie, pamiętam niektóre, nie znajduję jednak żadnego wspomnienia o wielkim decydującym doznaniu. Na wiecu z Trockim nie sposób było precyzyjnie się przez wejście, słyszało się tylko urwane słowa, tak że pozostał sam nastrój zespolenia się z tłumem w jego uniesieniu. Wielki wiec młodzieżowy w gmachu b. korpusu kadetów utkwiał w pamięci głównie dlatego, że występował

Ksenofontow, cudowne dziecko sibirskiego Komsomolu, które wyglądało mi na popowicza. W nazwiska sławnych mężów Grecji stroiły się najczęściej popowskie rodziny, protojeremem w Pienzie był Aristidow, a kapelanem naszego pułku Platonidow, do tegoż jeszcze Ksenofontow miał grzywę spadającą rudawą kaskadą na ramiona i grzmiący głos archidiakona, a wyglądał karzełkowato, wzrostu dziesięciolatka, chociaż był w moim wieku, w najbardziej patetycznych momentach musiał wspinać się na palcach, by wychyliwszy ponad mównicę niepomrotnie dużą, rozkudłaną głowę, wyrzucić jakieś szczególnie gromkie zdanie. A nie były to zdania na miarę Trockiego bądź Kiereńskiego. Zdawało się, że gdybym się wyżył nieśmiałości, mógłbym powiedzieć lepiej od niego i mocniej. To był, jak się później przekonałem, wcale porządny i diabelnie zdolny chłopak, ale wtedy niczym mi nie pomógł ani zaskoczył. Zaskakującym był sam fakt, że w sali wypełnionej po brzegi przemawia sztubak, mój rówieśnik, że my, młodzież, stanowimy widać masę, którą bolszewicy traktują serio i wzywają do pomocy. Na zebraniu pracowników oświatowych w bibliotece miejskiej przemawiał Josif Warejkis, Marat nadwożański (parabole i nawiązania do Wielkiej Rewolucji Francuskiej cieszyły się podówczas dużym wzięciem), ja na to zebranie poszedłem, bo ukończyłem już kurs bibliotekarzy i lada dzień mogłem znaleźć się wśród oświatowców. Spodziewałem się lwiej postaci i głosu, mowy żywiołowej, porywającej jak Niagara, w kolorycie mego wyobrażenia o Maracie, tymczasem szczupłutki Warejkis, bladolicy i garbonosy, o nierosyjskiej twarzy, w wysłużonym frenchu, półwojskowy z wyglądu, mówił na sposób Lenina niespiesznie i prosto powtarzając niekiedy kluczowe momenty, mówił poprawnie, bez akcentu łotewskiego, zbyt poprawnie, co nadawało jego słowom kształt pisany, jak gdyby dość żwawo czytał z kartki albo cytował z pamięci, i to wszystko nie było jak Niagara. Przeszło bez wrażenia poza jednym zdaniem „idealiści to dobrzy ludzie, tylko niekiedy robią rzeczy równe zbrodni”, a mówiło się o świeżo zdławionej w Niemczech rewolucji, o skrupałach moralnych Róży Luksemburg i Karola Liebknechta, którzy jakoby mogli opanować sytuację, gdyby w odpowiednim momencie zdecydowali się na przewrót zbrojny i na dyktaturę Spartakusa. Tej sentencji o niebezpiecznych idealistach nadużywano potem dziesiątki lat tak nagminnie i beczelnie, że brzmi już jak sygnał ostrzegawczy, uwaga, ktoś tu manipuluje wytrychem... Ale ja miałem szesnaście lat i pierwszy raz słyszałem to, wracając z zebrania nie mogłem wyzbyć się obawy, że

istotnie w walce rewolucyjnej naiwna szlachetność może wyrządzić niepowtarzalne straty.

Obawa ta łączyła się z pogardą Lenina dla pięknoduchów, dla owych niezdolnych do czynu, pogrążonych w pryncypiach, mędrkowaniu i biadoleniu inteligenckich *chlupików*, a to obiegowe, uskrzydłone przezeń wyżwisko miało podbudowę w dziełach literatury rosyjskiej, w obrazach, kształtujących wyobraźnię mas, jakże wiele tam odrażających portretów inteligentów, ludzi nijakich, bez woli i bez sensu istnienia, z lektury szkolnej wyniosło się przecież odrazę do Obłomowa i wszelkiej obłomowszczyzny. Wydaje mi się, że na pierwszej generacji komsomolców pochodzenia inteligenckiego zaciążył w jakiejś mierze kompleks niższości. Syn robotnika, syn chłopca pracował w Komsomole na swoim, walczył dla swojej klasy, a myśmy się zdzierali w komsomolskiej robocie, by nas, inteligenckie dzieci, te klasy adoptowały. Doprawdy nie wiem, o co bardziej nam wówczas chodziło, o komunizm czy rehabilitację godności własnej, żeśmy nie mazgaje ani kreatury od gadania tylko i czytania – pragnęliśmy czynów, i wielkiej, dobrze nabitej idei, i niczego żeśmy się tak nie obawiali jak powinowactwa z *chlupikiem-hamletykiem*.

Coś mi tu jednak nie wychodzi, może cała ta „zabawa trudna” jest z nawyku, z odruchu myśli przyuczonej na prawidłowościach, przyczynach, racjach i celach. Przebiegam w pamięci szukając motorów, segreguję bodźce, wpływy i doznania, by ująć w psychologiczny obraz rozpoznania, w syntezę przemian. Śmieszne rzeczy, gdyby mi się z tym powiodło, mój autorytet z lat młodości byłby unikalnym zabytkiem logiki i konsekwencji w krajobrazie epoki. W marcu 1917 roku nie było człowieka, który by widział możliwości i warunki dla natychmiastowej rewolucji socjalnej, partia, którą Lenin miał do tego natchnąć, liczyła w dniu jego przybycia do Szwajcarii zaledwie 5.000 członków, w październiku jednak dokonano przewrotu, a w następnym roku zaczęła się i po trzech latach zwyciężyła rewolucja socjalna. Mniejsza w tej chwili o to, czy się spełniła, w jakiejś mierze zrealizowała swe założenia programowe i nadzieje mas, chodzi o to, że ni stąd ni zowąd, w nieprzewidzianym przez historię czasie i miejscu, a więc poniekąd nieprawidłowo, powstał zupełnie inny, nieznaný dotąd ustrój, nie byle gdzie, w szóstej części globu. Najpoważniejsi ludzie, jakich znałem wówczas, Gorki i Kazarkin, zwalczały Lenina, każdy z innych pobudek, w imię innych założeń i celów, ale obaj byli jednomyślni w nieprzejednanej postawie antyleninowskiej i

ostrzegali mnie, nie słuchaj, chłopcze, tego głosu i nie idź za jego pokuszeniem... Sam Gorki jednak uległ niebawem Leninowi i znalazł się w niewoli u Stalina, w pojmaniu, jak się mówi u nas na Mazurach, Kazarkin budował wielki przemysł za Uralem w trzydziestych latach, potem pracował w handlu zagranicznym i został w Belgii przy własnym handlu chemikaliami, a ja, wbrew wszystkim ostrzeżeniom i uprzedzeniom, wstąpiłem mimo to do Komsomołu – dlaczego? Głównie dlatego, myślę, że pierwsi bolszewicy, z jakimi się zetknąłem, komrot, Hannibal, Warejkis, przypadkowo okazali się sympatyczni i pociągający, nawet ten czekista, który przesłuchał mnie w związku z aferą w Utylizacji, zrobił dobre wrażenie. Walka bolszewików, ich odwaga i radykalizm budziły podziw, program partii bolszewickiej rozwiązywał wszystko i dawał wszystko, żadna inna partia nie mogła swym programem przemówić tak mocno do wyobraźni i uczuć, nie mogła tworzyć podobnej wiary o charakterze psychozy zbiorowej, co ogarniając masy zdolna była prowadzić do najwyższych poświęceń i stanu ukrojonej, raz na zawsze zasilonej świadomości, bezmierna potęgą emocjonalna o dość ograniczonym ładunku intelektualnym, wszelkie bowiem wierzenia religijne czy polityczne, jak najprościej i najściślej chyba zdefiniował Bertrand Russell, są to w gruncie rzeczy „dogmatyczne poglądy na sprawy, o których nie wiemy nic pewnego”, przy czym zależny stosunek zdaje się tu układać w odwrotnych proporcjach – im mniej wiedzy, tym więcej pewności. Nigdy potem nie odczuwałem tej cudownej, absolutnej pewności w rozróżnieniu, co dobre, a co złe, nigdy nie widziałem tak jasno wszystkiego, co jest, i co będzie, jak w szesnastym i siedemnastym roku życia, kiedy byłem członkiem związku młodzieży komunistycznej, jakkolwiek najmniej wówczas wiedziałem o komunizmie. A nie należałem do najuboższych pod tym względem. Po wstąpieniu stwierdziłem ze zdumieniem, że nadażam, że wiem mniej więcej tyle co i moi rówieśnicy w Komsomole spośród gimnazjalistów, wkrótce musiałem dzielić się swą wiedzą z młodzieżą przedmieścia, a po pewnym czasie, przeczytawszy, co mi dano, prowadziłem pogadanki z żołnierzami w zastępstwie politruka batalionu do czasu, gdy ich skompletowano i wysłano na front.

Tylko bardzo nieliczni i najstarsi przyszli z solidniejszym bagażem ideologicznym, z przekonaniem w wyniku dobrego odczytania, dyskusji, poniekąd i na skutek osobistych doświadczeń, ale to byli najmocniejsi, o temperamentach przywódców. My, szara masa sztabaków, wskoczyliśmy w rewolucję bez obciążenia, wskoczyliśmy jak na tratwę, bo inni skakali, bo nurt

wzbierał i rwał, bo już się działy rzeczy zadziwiające i heroiczne, nie można było nie uwierzyć na słowo, trzymajcie się kursu, chłopaki, a staniecie na nieznanym lądzie!

Mówiąc my, mam na myśli uczniów szkół średnich. Było nas w Komsomole sporo, w Symbirsku uczniowie-komsomolcy z inteligentkich rodzin stanowili grupę wiodącą. Młodzież ze wsi jeszcze nie napłynęła, młodzieży robotniczej w pełnym tego słowa znaczeniu, proletariackiej, było niewiele, bo niewiele było proletariatu, miasto poza fabryką amunicji miało zaledwie kilkadziesiąt drobnych zakładów przemysłowych jak tartaki, młyny, gorzelnie, serownie, garbarnie, warsztaty mechaniczne, razem robotników mogło być dwa, z górą trzy tysiące na 65.000 mieszkańców, znacznie mniej aniżeli majstrów i czeladników rzemieślniczych, wyrobników, kramarzy, flisaków, rybaków i badylarzy na przedmieściach.

Z tym środowiskiem zetknąłem się przy drugim zadaniu komsomolskim. Pierwsze dano mi na próbę – załóż, jeśli potrafisz, komórkę u siebie. Założyłem w naszej szkole i w sąsiedniej, gdzie uczyła się Lena, jedną i drugą komórkę pielęgnowałem z zapałem, ale nie bez niedosytu. Wstępując do Komsomolu spodziewałem się znaleźć wśród młodzieży robotniczej i chłopskiej, w kontakcie z nią łatwiej wyżyłbym się jak mniemałem przywar inteligencika, prędzej wyrobiłbym sobie świadomość klasową i charakter prawdziwego komunisty aniżeli tkwiąc po dawnemu w tym samym szkolnym światku. Dlatego na drugie zadanie sam się naprosiłem. Chodziło o zorganizowanie biblioteki dla młodzieży na przedmieściu, z wieczorowym kursem czytania i pisania przy niej w ramach likwidacji analfabetyzmu, co się wtedy zaczynało robić na wielką skalę.

Wkrótce zorientowałem się, że ci chłopcy i dziewczęta, którzy przychodzą po książki, jak i ci, co uczą się liter i sylabizowania, nie mają nic wspólnego z proletariatem Marksa i Engelsa, są z tych dolnych, uciskanych i dobrze uleżałych warstw międzyklasowych, dokąd świadomość polityczna nie dotarła, dzieci rzemieślników, wyrobników, kramarzy, flisaków, rybaków i ogrodników, zbuntowane dzieci, obrzydły im przykazania, które kłamały, cerkiew, w której nie można się modlić, gmeranie w tym samym do siódmego potu, całe życia rodziców zahukane, pokręcone i zamknięte w opłotkach, kiedy więc doszło ich tchnienie innego świata, ruszyli na zwiady i oto są, pierwsi odważni, awangarda przedmieścia. Zdawało mi się, że to, o czym śniłem na kursach bibliotekarzy, zaczyna się spełniać. Mam już uczniów, kiedy kończę z nimi naukę czytania i

pisania, przychodzą czytelnicy, porozmawiają o książkach, coś wybiorą lub zamówią, a inni przychodzą, żeby tu poczytać, bo w domu nie mają warunków, niekiedy urządzamy wieczory klubowe, udał się odczyt „Pugaczow i Suworow w Symbirsku”, był też udany *subbotnik* – to wszystko będzie rozwijało się i rosło, książki, czytelnicy, imprezy, moja praca w pięknym kombinacie oświatowym, jakim stanie się nowa biblioteka. A nie byłem egoistą, pomyślałem o uczniach i przyjaciółkach, Irina i Szeringuszew zasługiwali na wyróżnienie, toteż mieliśmy pracować razem długie, długie lata, ale to się skończyło po czterech miesiącach, niestety, w związku z wyborami na konferencji miejskiej musiałem wrócić do śródmieścia. Coś jednak z tych marzeń zaczęło kiełkować w slobodzie na krańcach miasta. Byłem tam tylko sondą. Pierwsze próbki wykazały możliwość poważniejszej pracy, wówczas przysłano bardziej doświadczonych, zamiast punktu bibliotecznego z jedną szafą w jednym pokoju utworzono bibliotekę dzielnicową, powstała również organizacja komsomolska, a wśród założycieli byli Irina i Szeringuszew.

Po czterech miesiącach wróciłem jak z dalekiej podróży do poprzedniego trybu życia, dom, szkoła plus nowe obowiązki w komitecie miejskim. Byłem nie ten sam, poznałem smak tworzenia, przeżyłem stan napięcia i zapamiętywania się, poczułem ciężar odpowiedzialności i ryzyka, momenty typowe dla wczesnego Komsomołu. Komsomoł lat 1919–21 tym się różni od późniejszego i od pokrewnych organizacji młodzieżowych w krajach obozu socjalistycznego, że była to autentyczna placówka rewolucyjnej walki i pracy młodych, wychowanie polityczne, przysposobienie partyjne odbywało się drogą przyspieszoną i doświadczalną, w biegu niejako, od zadania do zadania. Jeśli była w tym metoda, to nie z koncepcji, ale z konieczności. W sytuacji, gdy półanalfabetom musiano powierzać odpowiedzialne stanowiska w nadziei, że instynkt klasowy i „smiekałka” pomogą im w trudnych momentach – komsomolec jako tako rozgarnięty, umiejący biegle czytać, pisać, rachować, ze znajomością wyrazów obcych i pewnych pojęć oderwanych, z młodzieńczą żarliwością rewolucyjną, był pilnie poszukiwany i natychmiast wciągany do kadr politycznych, wojskowych, administracyjnych. Uniknęliśmy wieku przejściowego, kilku tymczasowych lat czekania na pełne życie. Spotkał nas z miejsca awans na p.o. dorosłych – żadna inna partia takiego awansu młodzieży nie dawała i dać nie mogła. W życiu i w obliczu śmierci różnice wieku zacierały się, starsi i młodszy jednakowo

pracowali, dążyli, walczyli, ginęli na frontach i w niewoli, gdzie rozstrzeliwano i wieszano nie zważając na to, członek partii czy komsomolec, tak czy owak komunista. Dzielać ze starszymi towarzyszami trudy i troski rewolucji można było przeżyć jej patos i zarazem dominantę swego istnienia, to, z czym potem idzie się do końca – najintensywniejsze, najwspanialsze, niepowtarzalne. Oczywiście i cena za to wypadła wysoka. Jedni dali pół młodości, inni całą doszczętnie, wystarczy bowiem uprzytomnić sobie, że komsomolcy z czasów rewolucji nie znali żadnych rozrywek ani sportu ani wyzycia się w czymkolwiek, co przyjemne i właściwe nastolatkom, nie mieli życia osobistego, wstydzili się nawet myśleć o tym i z rewolucji wyszli ponad wiek starsi, zahartowani, jeśli chodzi o charakter i wolę, ale z zatrzymanym przez parę lat rozwojem intelektualnym.

Poza tym jeszcze różnica w zakresie samorządności i swobody życia organizacyjnego. Pod tym względem organizacje wczesnego Komsomołu korzystały z dużego zaufania partii, właśnie na samym początku, gdy wszystko było w stanie płynnym i groźnym, gdy było jednym wielkim eksperymentem, pozwalano młodzieży na większą samodzielność niż kiedykolwiek potem, dziwna rzecz, a może i nie – wojna i zagrożenie jednoczyły wszystkich towarzyszy bez względu na antagonizmy i różnice, antagonizmy i różnice istniały, ale nie było walk frakcyjnych, partia nie obawiała się swej młodzieży, jak to się stało ze Stalinem w 1923 roku, kiedy po dyskusji wewnątrzpartyjnej zląkł się fermentu w Komsomole, zmiądzzył, zduślił wszelką żywą myśl, gdzie była i nie była, i na gruzach organizacji młodzieżowej ustanowił dogmatyczny urząd nadzoru. W latach rewolucji natomiast stosunki partii z Komsomołem układały się swobodniej, w bardziej ludzkich kategoriach, można by to nazwać patronatem, przy czym patronowanie odbywało się zazwyczaj nie tyle instytucjonalnie przez komitety odpowiednich szczebli, ile personalnie przez pewnych towarzyszy. W Symbirsku, powiedzmy, komitet miejski Komsomołu działał w swoistym kontakcie z komitetem miejskim partii, ale rzeczywistym inspiratorem, doradcą i wychowawcą był towarzysz Warejkis. Wszyscyśmy go znali, wiedzieli, że z każdą sprawą można przyjść do niego, do *gubkomu* lub prywatnie do pokoju, gdzie mieszkał, nie będzie miał czasu, to wyprosi bez obrazy, umówi się na kiedy indziej, w każdym razie zaraz czy później, wysłucha i porozmawia. Przychodziło się nie tylko w związku z jakąś aktualną sytuacją lub potrzebą organizacyjną, ale i w sprawach osobistych, światopoglądowych, dyskusyjnych,

zdarzały się rozmowy znamienne dla tamtych lat i wiążące w zakresie dalszego postępowania.

- Josifie Michajłowiczu, cały ten szum dokoła *młodosowów* jest chyba niepotrzebny, to wprost dziecinne.

- I mnie się tak wydaje.

- To po co wałkować?

- Trudno, skoro wasze ceka puściło i dyskusja potoczyła się na łeb na szyję, to niech się wyczerpie.

- A co partia na to?

- Partia myśli, że nie należy prowadzić was za rączkę. Swój rozum macie.

- Ale to może chwycić! Młodzieżowe sowiety obok normalnych sowietów we wszystkich miastach, miasteczkach i wsiach, to znaczy my, młodzi, mamy głos, my najlepiej poradzimy w naszych sprawach, niech żyje samodzielność młodych, doprawdy to wszystko może chwycić. A jeśli *młodosowy* przejdą na zjeździe i zwyciężą?

- Nie szkodzi, sparzą się i zmądrzeją, a wszystko wypali się do dna, nie pójdzie spodem po komórkach, po grupkach...

Albo rozmowa o charakterze umowy, której dotrzymanie stało się w końcu - bo to się działo już w roku 1921 - stało się dla mnie sprawą osobistą, sprawą honoru w alternatywnym ujęciu dawniejszych dramatów, posłuszeństwo albo honor.

- Nie mamy przeciwników, Josifie Michajłowiczu, nie mamy się z kim bić.

- A wam, widzę, bardzo by się chciało.

- Może by i chciało, nie w tym rzecz. Bezpartyjna młodzież nie wdaje się z nami w dyskusje, bo się nas boi. Po domach toczą się rozmowy i spory, ale niech no przyjdzie ktoś z nas, zaraz milkną. W odosobnieniu, w tym domowym podziemiu, oni się zacietrzewiają i naprawdę staną się wrogami.

- Jak dobrze zrozumiałem, proponujecie swobodną dyskusję ideologiczną?

- Właśnie, zwołaliśmy miejską konferencję dyskusyjną młodzieży ze wszystkich szkół. Niech przyjdzie, kto chce, albo kogo wybiorą, nam bez różnicy, uczestników konferencji nie będziemy dobierać ani skreślać.

- Inaczej mówiąc, w warunkach dyktatury proletariatu chcecie drogą demokratyczną apelować, przekonywać i spierać się... A jak oni was pobiją?

- Josifie Michajłowiczu! Prawda po naszej stronie, czego się mamy bać? Poza tym wiecie, jakich mamy mówców!

- Owszem, mimo wszystko pomysł wasz nie wydaje mi się

dobry. Jest naiwny, możecie mi wierzyć, mam wiele lat walki politycznej za sobą. Ale gdybyście koniecznie chcieli...

- Bardzo, Josifie Michajłowiczu! Jesteśmy pewni tej drogi, zwyciężymy!

- Cóż, róbcie sobie ten wasz wiec czy parlament.

- Ale musimy im powiedzieć, że mogą mówić bez obawy wszystko, co myślą, niechby i najgorsze rzeczy, nic im się nie stanie... Czy możemy im to przyrzec?

- Możecie.

- A Czeką?

- Czeką nie wtrąci się. Jeśli nawet bezpartyjni was pobiją i popędzą do Czeki.

Z przywódcą gubernialnej organizacji partyjnej, z pełnomocnikiem komitetu centralnego, komsomolcy rozmawiali normalnie jak się mówi ze starszym, szanowanym towarzyszem. Jeśli chwilami odczuwali onieśmienie, to nie na skutek lęku, nie znali lęku przed partią i towarzyszami z kierownictwa, poczucie dystansu i wagę zdaniu mógł nadawać osobisty autorytet moralny. U starowierców Iriny takim od duszy, „duchownikiem” był sędziwy bednarz Pafnutij, dlatego może przed zerwaniem z domem, powziąwszy niejakie wątpliwości, czy ja naprawdę wszystko wiem, jak będzie w komunizmie, poszła z tym do samego Warejkisa – był prosty w obejściu i lubił porozmawiać, obchodzili go ludzie, chętnie, nie bez zacięcia zbieracza, badał ich intencje i racje, choćby to były intencje i racje analfabety albo zbuntowanej córki badylarza z sekty zabitej na głucho od wieku protopopa Awwakuma. Nie wiem, czy miał jakiś zawód przedtem, nim został zawodowym rewolucjonistą, ja bym go widział młodego w szkółce wiejskiej albo w szlifierni, pasowałyby tam te ruchy i aktualne, Wasiakin powiedziały, adekwatne słowa, szczupła zebrana sylweta, wzrok kłujący ostrością i nieco zmęczony, gorzkawy uśmiech. Pracował skromnie i przystępnie, cały sekretariat, przez który idąc doń przechodziło się, składał się z dwóch osób. Żył bez obstawy, owszem, przyznawał, że trzeba się mieć na baczności, wróg nie śpi (a to nie było wówczas zabawnym porzekadłem, wróg istotnie czuwał i działał), jednakże straty z otaczania się ochronnym murem wydawały mu się niewspółmiernie wielkie, do przyjęcia gdzieś wyżej, ale nie na jego szczeblu.

Wśród młodzieży, której patronował, miał rzecz jasna bardziej bliskich, bardziej obiecujących, wysuwał ich i sprawdzał na coraz odpowiedzialniejszych zadaniach i funkcjach, zawsze jednak dyskretnie, z uwzględnieniem opinii środowiska kom-

somolskiego. Mianowania za pomocą z góry ułożonych i narzucanych list nie znano wówczas, wybory, przynajmniej w zasięgu mego wzroku i doświadczenia, wyglądały autentycznie, zdarzały się kompletne niespodzianki, wyniki czystego przypadku, jak dajmy na to ze mną. Na konferencji miejskiej, gdzie milcząco, z onieśmieleniem adepta reprezentowałem obie moje komsomolskie komórki szkolne, Wasiakin, polemizując z kimś na temat atrakcyjnych metod walki z nacjonalistycznymi pozostałościami, powołał się na przykład naszej imprezy w slobodzie, gdzie licznie zgromadzona młodzież wygwizdała Suworowa odśpiewawszy następnie z zapalem międzynarodówkę ku czci Pugaczowa, a że nie wypadało wyznać, iż to on sam, Wasiakin, był inicjatorem konfrontacji generalissimusa z przywódcą powstania chłopskiego, całe autorstwo tego pomysłu przypisał mnie i ukazał na tle moich slobodzkich poczynań. Sala zareagowała pewnym zainteresowaniem, rozległy się głosy, a kto to taki, niech się pokaże! Podniosłem się nie wiedząc, ukłonić się czy odezwać, i to po zbyt już wygadanim, pewnym siebie Wasiakinie zrobiło wrażenie, poważny, do roboty, nie do gadania, mówiono, jak mi powtórzyła potem Tania, kiedyśmy wracali z konferencji i ja się nie mogłem nadziwić, że wybrali mnie, a nie Wasiakina. A w Komitecie przy podziale funkcji przypadła mi teka oświaty i propagandy, ogniście ruda z niedogarbowanej giemy, jedna z czterech tek, jakie sibirski Komsomoł otrzymał w darze od *gubkoży*, co mimo brzydoty prezentu było samo w sobie pięknym gestem ze strony miejscowego skórnictwa, bo teki nie ceratowe, nie brezentowe, ani tekturowe, lecz z prawdziwej skóry należały do rzadkości, widywano je pod pachą dopiero poważniejszych towarzyszy.

Najchętniej bym się zrzekł na rzecz Wasiakina, ten już by wiedział, jak się kieruje oświatą i propagandą, w każdym razie umiałby markować, że wie. Spodziewał się tego wyboru i pragnął, nie myślę jednak, żeby dla samego awansu, nie był karierowiczem, gdyby nim był, nie zrezygnowałby w późniejszych latach ze świetnie zapowiadającej się kariery żeniąc się z córką skazanego bucharinowca i przystępując do Piatakowa w beznadziejnym dla tej grupy czasie. To był z gruntu porządny i szczery chłopak dręczony podówczas, w dziewiętnastym roku, tym samym kompleksem pochodzenia inteligenckiego, cośmy wtedy obaj przeżywali na podobieństwo młodzieży pochodzenia żydowskiego z jej samopoczuciem i sytuacją u nas obecnie: Ja, bardziej obciążony, syn carskiego oficera i wnuk nadwornego oberjegiermajstra, z natury rzeczy nieśmiały, pisujący skrycie

rzewne wiersze i nedorzeczne historie, słabego jak mi się zda-
wało charakteru, przejęty powszechną pogardą, jaka zewsząd
biła z wyzwick inteligent-mięczak, inteligent-*chlupik*, chciał-
bym się otrząsnąć z tego wszystkiego, marzyła mi się rehabilita-
cja moralna, ja, człowiek silny i piękny, bojownik z awangardy
proletariatu! – on natomiast, gwałtowniejszy i rzutki, bez powią-
zań monarchistycznych, gnębiony jedynie przez własność kapita-
listyczną w postaci apteki ojca, pragnął czynami i zasługą
dowieść swej wartości i owa ryza gienza z mandatu wyborczego
pod pachą miała dlań wartość aktu adopcji przez komunisty-
czny ruch młodzieży robotniczej i chłopskiej. Mimo doznanej w
wyborach porażki nie odczuł w stosunku do mnie żadnej nie-
chęci ani zawiści, przyjaźniliśmy się nadal pomagając sobie
nawzajem jak za czasów pracy w slobodzie. Nie czytał chyba
więcej ode mnie, ale czytał systematycznie i według planu, nie
zdarzały mu się okresy upadku, mętne dni i noce w oparach
literatury romantyczno-przygodowej albo i wręcz sensacyjnej,
miał fenomenalną pamięć, dar słowa i niepospolity impet, który
brano niekiedy za nachalstwo tym bardziej, że tracił zarozu-
miałstwem, i to nieraz zrażało do niego jak wtenczas na konfe-
rencji miejskiej, gdy z podniesionym cytatem Lenina, zapędziw-
szy się głęboko w nacjonalizm, nie tylko gromił, ale i pouczał, a
tego ludzie nie lubią, szczególnie jeśli się czują swobodnie i
równy, słuchali więc niezyczliwym uchem, jak taki nedorozwinię-
ty fizycznie rówieśnik, cherubinek z wyglądu, podskakuje na
mównicy i mądry się i poniża ich obcymi słowami, których sens
nie wszyscy nawet towarzysze z partii, będący na sali, rozumieli.
Dlatego właśnie nie przeszedł w wyborach, a szkoda, krzywda
mu się stała, on bowiem wyszperał skądś tę wiadomość, że
wysłany przez Katarzynę Suworow w pościgu za Pugaczowem
złapał go w końcu i przywiózł do Symbirska, gdzie przekazał
hrabiemu Paninowi. To natchnęło mnie ową prelekcją-przypo-
wieścią, którą wszyscy pochwalili nie zorientowawszy się, że
wspiera mnie mocno wówczas podejrzany Dostojewski. Bo
zamiast Chrystusa z „Legandy o Wielkim Inkwizytorze” na
wiązce słomy w lochu leżał skuty Pugaczow i zardzewiałe drzwi
jęknęły w nocnej ciszy, gdy wszedł nie Torkwemada, ale gene-
rał-szef Suworow, jednakże ich spór, jego wymowa i całe
kuszenie, wszystko odbyło się jak przed wiekami w Sewilli,
tylko w sposób bardziej przystępny, z prymitywną bezpośred-
nością wieku mutacji i dojrzewiania, to znaczy, mówiąc po-
krótce, mniej więcej w ten sposób:

– Przegrałeś – rzuca ponuro nocny gość, przymykając drzwi

za sobą.

– To się jeszcze pokaże – odchrzypnął ktoś z legowiska.

– Przegrałeś i będziesz ćwiartowany – powtarza suchy staruszek w generalskim mundurze.

– Spokój mi się przed tym należy, wasze *prewoschoditielstwo*, chciałbym się wypaść.

Drobna, niemalże chłopięca dłoń, błysnąwszy sygnetem, unosi latarkę nad głową, mdławy blask pełga po ostronosej, czerstwo starzejącej się twarzy z zadziornym, siwym kosmykiem nad wysokim czołem i szczupła sylwetka, z grenadierska podciągnięta, fanagoryjska z wyłogów, majaczy w mroku niby jedna z tych spłaszczonych figurek ołowianych żołnierzyków, u których każda strona jest inna. Strona zwrócona do leżącego na ziemi brodacza w kozackim kubraku zdaje się polśniewać metalem, regulaminowo nieskazitelnym, odlana na medal.

– Wstać, gdy mówię z tobą... Baczność!

– No i po co z tym teraz, wasza miłość, toć i na was przyjdzie kiedyś taki czas...

Światło latarki, drgnąwszy lekko, zwolna opada, cienie unoszą się z dołu w górę, czyhają rozedrgane na niskiej powale nad głowami, postać u wejścia traci na połysku, matowieje i głos ma inny, jakby się odwróciła drugą stroną.

– Nic się nie zmieniłeś, Jemielko, choć brodą od tego czasu zarosłeś jak starorzecze szuwarami. Widziałem cię pod Kunersdorfem, setnie rąbałeś się z Prusakami, setnie, nie ma w tobie strachu. Przyglądałem się potem z daleka, jak poczynąłeś sobie z tą wojną mużycką, tak, jesteś sprytny i masz władzę nad prostym ludem.

– Za to będę ćwiartowany.

– A może i nie... Chciałbyś pożycić, co?

– I robak chce.

– Ale i robak swoje robi według przykazania Bożego.

– Dziwne są słowa waszej wielmożności i przyjście. Przecież nie dla zbawiania duszy, od tego jest pop, więc po co?

– Ucałuj rękę carycy, a będziesz atamanem wojska dońskiego. Będziesz jak ja, jej-Bogu, nawet wyższy rangą ode mnie. Klękniij, ucałuj, a dostaniesz trzydzieści pułków i ziemię od Azowa po sam Woroneż, i prawo życia i śmierci nad milionem dusz...

– Wszystko za jeden całus?

– Nie bluźnij! Z woli Najwyższego i z łaski monarszej dostać możesz szczęściem odkupienia wszystkich zbrodni twoich i bezeceństw. Taki cud przed tobą, odzyskać cześć żołnierską i

sławę w uczciwych bojach za ojczyznę, za carową.

- Myślałem, ojczyzna to my...

- Nie, to Ruś święta, matuszka nasza, jej gloria i potęga, jej carowie i pasterze prawosławia, i lud ciemny, bezrodny, i my, rody stare, z księgi szóstej, aksamitnej. Padnij przed carową i proś o przebaczenie.

- Za późno, za wiele win. Małżonkiem jej nazwałem się i carem, przebaczyć może, bo miłościwa, ale kołem potem łamać każe.

- To ci powiem, że udając się w pościg za tobą, rzecz całą przedstawiłem imperatrycy i poręczyłem.

- Za mnie?! A jeśli ja, będąc atamanem nad Donem, wam się urwę i zacznę od nowa?

- Nie urwiesz się, Jemielko, nie urwiesz, będę przy tobie i Tworogow będzie z tymi wszystkimi, co wydali ciebie w moje ręce. Wybieraj: albo jutro przekażę cię hrabiemu Paninowi i ten odstawi kajdaniarza pod wysoki pomost, albo pojedziesz za mną po buławę, na pokutę, na pożytek wielkiej, nienaruszalnej Rosji.

- Ale po kiego licha ta maskara? Jestem oto w kajdanach, dzwony biją na zwycięstwo, na wieczne wasze panowanie... Niechże wasza miłość oświeci mnie, ciemnego, żebym mógł zrozumieć i uwierzyć.

- Cóż, tak czy owak pozostanie to między nami... Myślisz, że to koniec. Szamerowane durnie w Sankt-Petersburgu tak samo myślą. A to dopiero początek Motłochu, kiedy raz już ruszy i poczuje swą siłę, nie da się utrzymać w korbach samym knutem ani nawet wiarą bożą. Poćwiartowany, byłbyś się rozmnażał i żył swą haniebną sławą i przykładem, a z buławą u stóp tronu staniesz się jego wsparciem od dołu i nadzieją chłopską.

Słowa zapadają w ciszę kamienną, powalony nie rusza się na posłaniu ze słomy.

- No i co żeś wybrał?

Z trudem, ruchem uczonego niedźwiedzia, skuty powstaje i brzęcząc łańcuchami chyli się w niskim pokłonie.

- Dziękuję, Aleksandrze Wasyljewiczu...

- A, zrozumiałeś nareszcie.

- Z duszy serca dziękuję, zdjąłeś ciężar, lżej mi teraz będzie na kole.

- Co ty bredzisz, atamanie!

- Oj nie, prześwietny, nie będę waszym atamanem, zostanę robakiem, co to, jak powiedziałeś, swoje robi i do reszty was stoczy!

Na takie motto życia, na testament Pugaczowa w stylu wieczszej legendy, należałoby odpowiedzieć czymś równie mocnym, w czym byłby cały Suworow, ale Suworow zaczął mi się plątać i tracić, i ja w żaden sposób nie mogłem mu podpowiedzieć. Wiedziałem o nim tyle, co wszyscy, pogromca Turków, Prusaków, Polaków, Francuzów i ostatnich oddziałów Pugaczowa, wielki wódz, a człowiek? Z życiorysu, propagandowego w gimnazjum za cara nie pozostało w pamięci żadnego znaku na to, że pasjonowało go cokolwiek poza sztuką zwyciężania, że umysł jego poza polem bitwy ogarniał jakieś inne układy i sprawy. Czytywał ponoć pilnie żywoty sławnych mężów i dzieła z zakresu wojskowości, ale czy był wrażliwy na dobro, na piękno, na wzlot duszy, albo grzech? Ożenił się w późnym wieku i tak jakby z musu, zadość czyniąc powinności, nie dawało się wprost wyobrazić, żeby kochał kogokolwiek. Nie grał, nie pił, nie znał rozrywek, jadał z kotła, sypiał w namiocie, z nastaniem dnia budził obóz pianiem kukuryku, żołnierza znał i umiał fascynować go sobą, wobec możliwych lubił zgrywać prostaka, wymykały mu się dziwaczne sztuczki i lotne, częstokroć tnące kogoś słowa, bo humor miał kostyczny. Jedyny w armii rosyjskiej generalissimus, nie było bowiem innego przed nim ani po nim (drugi pojawi się dopiero w barwach Armii Czerwonej z własnej nominacji) Aleksander Wasiljewicz, hrabia Rymniku, książę Italii, cały generalissimus Suworow wraz z tym anarchystycznym, nieużywanym od stu pięćdziesięciu lat tytułem był dla nas z gruntu obcy, należał do zburzonego raz na zawsze świata, w blasku gwiazd i krzyży na wąskiej piersi wyglądał ascetycznie, ponad wszystkie ludzkie rzeczy i nie do przeniknięcia poza mundur – sztandarowa postać z epoki samodzielnia i prawosławia. Ciężyło na nim odium mas i wszystkich partii rewolucyjnych, nawet o jego uczniu i podkomendnym, Kutuzowie, nie mówiło się, jakkolwiek bronił ojczyzny przed Napoleonem, zbyt świeże były okropności wojny imperialistycznej, tak zohydzono sobie słowa ojczyzna, naród, państwo i tak nienawidzono wszystkich generałów, że nawet generał-patriota, generał-obronca był obcy, był nie do przyjęcia, a cóż dopiero generalissimus! Wojny, w jakich brał udział, wszystkie prowadzono w interesie imperium carów, bitwy, w których zawsze zwyciężał, umacniały tylko panowanie Katarzyny i Pawła, a te zdobycze mocarstwowe, ani sama chwała oręża rosyjskiego, w żaden sposób nie mogły trafić do serc komunistów i ludu w dniach rewolucji socjalnej pod rytm i grzmot Internacjonau, tym bardziej jeśli oprócz chwały pamiętano

jeszcze rzeź ismailską i rzeź Pragi, stłumienie polskiej walki wyzwoleniczej i kajdany Pugaczowa.

Otóż taki Suworow, jak go widziałem w ocenach i nastrojach dziewięćset dziewiętnastego roku, zająknął mi się i nie dał odpowiedzi godnej wielkiej konfrontacji. Co ja się z nim nie nabiedziłem, by wydobyć gest na miarę Torkwemady, słowo niechby i okrutne, ale straszne swą mądrością, bodaj okruczeństwa wspaniałomyślności i czci dla pokonanego wroga, nie i nie, wymykał się z wyżyn ducha i poczynął sobie po swojemu, wychodził na przykład trzaskając drzwiami „a więc giń, przekłety kuku!”, na co Jemieljan odpowiadał dosłownie według znanej klechdy „ja tylko kruczek, wasze *prewoschoditielstwo*, prawdziwy kruk jeszcze szybuje i nadleci!”. I tak za każdym razem, generalissimus wychodził pokonany i zdemaskowany, mały człowiek, co by się nawet spodobało słuchaczom, czułem to, ale równie dobrze czułem, że dramat zarywa w agitkę i z Dostojewskiego zrobi się niebawem Demian Biednyj. Z niedokończoną legendą wypadło uchodzić w historię roku 1774, powiedzieć, tak i tak było naprawdę, a to ja sobie, wybaczenie, wymyśliłem, wydaje mi się, że ci dwaj mogli tak z sobą na ostatku porozmawiać. I potem wszystkiego, tej historii roku 1774 i tej mojej scenki w lochu, musiałem się nauczyć jak roli, by mówić nie zaglądając do kartki, tego by mi nie darowano, w dniach patosu i żywiołu nikt nie czytał tego, co miał do powiedzenia, obowiązywał żywy gest i głos, ludzie byli wyrozumiali, mów, człowieku, jak potrafisz, możesz i pobelkotać, byle z serca. Razem wzięwszy, pogadanka ta kosztowała mnie niemało trudu, ale się opłaciło. Rzecz całą odebrano prawidłowo zdrowym instynktem klasowym, wygwizdano Suworowa, między narodówką uczczono Pugaczowa, spór ich nawiasem mówiąc wywołał najwyższą reakcję, bo to było jakieś urozmaicenie, trochę fantazji, a klamerka na końcu spinająca dawne z obecnym, przypomnienie, że działo się to w naszym mieście, gdzie więziono Jemieljana Iwanowicza Pugaczowa i gdzie urodził się Włodzimierz Uljanow-Lenin, owo przypomnienie zabrzmiało znacząco, jak gdyby historia wybrała Symbirsk na wydarzenia szczególnej doniosłości i to przyjemnie musnęło miłośców lokalną słuchaczy. Powodzenie mojej imprezy utwierdziło Wasiakina w dalszym prowadzeniu kampanii wykorzeniania pozostałości nacjonalistycznych, tym razem rzucił się na podboje carskie i wystąpił w swej szkole z demaskowaniem chwalebnej do niedawna historii zdobycia Syberii, ostatni chan Kuczum wypadł wtenczas tragicznie, Jermaka zaś potraktowano, jako zwykłego

najmitę na służbie możnego rodu kupieckiego Strogonowów i przygwożdżono ciężkim słowem politycznym – konkwistador.

Nie zajmowałbym się tyle podobnymi epizodami, gdyby nie nabrały wartości znaków czasu minionego. Oglądając się na nie widzi się dopiero cały bezmiar przebytej drogi. Parę lat temu znalazłem się w dawnej stolicy wojska dońskiego, w Nowoczerkasku. Staliśmy niewielką grupą przed starym gigantycznym posągiem z wyrytą dedykacją: *Jermaku – doncy 1903 god.*

– A mocno go dziadkowie postawili – zauważył ktoś z miejscowych. – Dwa razy próbowano rzucić naszego Jermaka. Niemcy chcieli zwalić na złom, a przedtem także samo pierwsi towarzysze próbowali, w sześć par koni ciągnęli linami i nic. Stoi jak stał.

– Towarzysze? Kiedyż to było?

– W dziewiętnastym roku, zaraz po wypędzeniu białych.

Chciano na jego miejscu postawić Stieńkę Razina albo Engelsa, bo to nie wypada, mówili, żeby stał tu taki, tak go jakoś cudacznie nazywali, nie pamiętam, konmister, konkwistor...

– Konkwistador?

– Tak, tak, konkwistador! Mieli jeszcze ciasne, sekciarskie poglądy, wiecie, lewackie odchylenie...

W dziewiętnastym roku socjaliści wszelkich odcieni nie wyłączając mieńszewików–internacjonalistów mogli się jednak czuć Rosjanami, a bolszewicy nie mogli. Nie dlatego, żeby w ogniu wojny domowej uczucia narodowe im się do cna wypaliły, po prostu skoro przeciwnik szedł pod trójbarwnym sztandarem Rosji używając i nadużywając do całkowitej deprecjacji hasła miłości ojczyzny, musieli apelować do zgoła innych, świeższych i mocniejszych podniet, szczerze zresztą uważali patriotyzm za uczucie niższego rzędu aniżeli solidarność klasowa, aniżeli oddanie sprawie komunizmu, uniesienia patriotyczne szacowano bardziej przyziemnie, nie bez obawy, że jak im dać upust, potrafią osłabić, rozmazgać to, co stanowi o wielkości i sile bolszewizmu, jego proletariackość, jego radykalizm, nienawiść niemalże biologiczna do burżujów, klechów, generałów i braterstwo z walką wyzwolenczą ujarzmionych klas i narodów. W braterstwie widziano rękojmię zwycięstwa. Myśmy tylko pierwsi zaczęli, myślano, ale sami jedni długo nie wytrzymamy, bój się zaczął ostatni, albo kapitaliści nas albo my kapitalistów, razem obok siebie istnieć nie możemy. Gdyby ktoś wówczas zaczął mówić o pokojowym współistnieniu, to by takiego ugodowca wyrzucano z partii. Wszyscy, starzy i młodzi, byli maksymalistami, żadnych półśrodków, bić i niszczyć

parazytów, gdzie się da, nie czekać, odsiecz nadejdzie, już–już nadchodzi rewolucja, może jeszcze niezupełnie światowa, nie szkodzi, niechaj bodaj w skali europejskiej, wystarczy, by umocnić i wyzwoić z oblężenia nasz bastion, pierwszy kraj komunizmu.

W Komsomole wszystko to jak zwykle u młodych odczuwało się mocniej i prościej. Jeśli poważni towarzysze jak Warejkis wierzyli, iż w krótkim czasie da się przerobić epokę, to dla nas było to oczywiste, pobijemy białogwardystów, przepędzimy interwentów, wyda się odpowiednie dekrety i na wyzwolonej ziemi narodzi się nowe życie w sposób nieodwracalny i zwyczajny, od poniedziałku, powiedzmy, nastanie komunizm. Niektórzy ze starych i dalekowzrocznych bolszewików obawiali się dziedzictwa, znali siłę nawyku i urok rzeczy łatwych, rzeczy wygodnych w myśleniu i odczuwaniu, zwłaszcza urok absolutnie gładkiego rządzenia bez tarć, bez oporu gdziekolwiek, jakby się władza toczyła na uniwersalnych łożyskach w samej wazelinie. Lenin ostrzegał, uważajcie, towarzysze, żeby carski czynownik z jego samodurstwem, bezdusnością i egoizmem nie odrodził się w naszym aparacie sowieckim, żeby wielkomocarstwowa pycha rosyjska nie zaczęła bruździć w bratnim związku różnoplemiennych republik socjalistycznych. Do nas te obawy, te przestrogi nie docierały, zdawały się pōbrzmiewać kazaniem przesadnie czujnych pedagogów starszego pokolenia. Typy carskich czynowników zostały w naszych wypracowaniach szkolnych o bohaterach Gogoła, Sałtykowa–Szchedrina i Ostrowskiego, przeminęły bezpowrotnie wraz z innymi wytworami zgniłego ustroju jak szowinizm, nienawiść między narodami, wyzysk czy przemoc, są w ogóle nie do pomyślenia, chyba że zwycięży reakcja.

W Komsomole wyczuwało się niekiedy u Rosjan pewien szczególny stosunek, jakby zażenowanie wobec młodzieży mniejszości narodowych, coś jakby kompleks współwiny za krzywdy wyrządzone przez ojców w niedawnej przeszłości. Nie chciałbym generalizować, nie wszędzie to uczulenie objawiało się dostrzegalnie i tak samo, dość, że w jakiejś postaci istniało. Szeringuszew i Mielnikow, dajmy na to, znajdowali się w tym samym położeniu, wypędzeni z domów, obaj zaniedbani w nauce, Szeringuszew mając szesnaście lat dopiero na moich kursach nauczył się czytać i pisać. Mielnikow w 17 roku miał niewiele więcej, jeden i drugi sympatyczni, Mielnikow może, a przynajmniej dla mnie, bardziej pociągający, bo nie taki znów prosty i jednolity, łączyła nas z nimi ta sama zdawałoby się

przyjaźń i droga, a jednak, jak sobie dokładnie przypomnieć, w stosunku do Szeringuszewa było więcej ciepła i zaangażowania, więcej dla nas znaczył. Był Mordwinem, mordwińską nędzę i ciemnotę carat trzymał mocniej niż rosyjską, jeszcze dziad Szeringuszewa, zgwałcony na prawosławie, po cichu bił pokłony i żertwy kładł przed swym pogańskim bożkiem. Straszliwe, ponad normę rosyjską, poniżenie i męczeństwo jego rodziny, jego narodu, żyło w naszej świadomości i wyobraźni, mam na myśli naszą komunę, to znaczy kółko nocujących w komitecie miejskim Komsomołu. Bez wątpienia pomogliśmy Szeringuszewowi, ale i on nam wiele dał, był potrzebny, dzięki niemu zobaczyliśmy naocznie, co może komuna, bodaj ta nasza maleńka, a cóż dopiero w skali krajowej, zadziwił nas i wbijał w dumę, to przecież nie ten sam Szeringuszew, jak się wyciągnął wśród nas, wyzwolił, doprawdy zupełnie uświadomiony towarzysz!

Tak samo Rozen z rodziny uchodźców po ekscesach antysemitycznych w Pińsku czy Słonimiu, skądśis z Polesia, samouk, skorowidz marksizmu, szatan pracy organizacyjnej, i Agranowicz, kochany leń, roztropna dusza w stanie kontemplacji, z bajecznym zmysłem humoru o nieco melancholijnym zabarwieniu, nie powiem że byli faworyzowani, ale może by ich mniej lubiano, gdyby nie byli Żydami? Brzmi to absurdalnie i nie do wiary u nas po marcu, a jednak zdarzało się, sam przechodziłem takie uczulenie na Żyda, dodatnie, powiedzmy, wszystko jedno uczulenie nienormalne. Był starszy ode mnie, lat dziewiętnastu, krępy, dość przystojny, nosił się z komisarska, w skórzanej kurtce, pamiętam nawet, że i on posiadał zegarek, tylko nazwisko wyleciało z pamięci. Rabinowicz czy Rappaport, jakieś anegdotyczne nazwisko. Miał paskudny zwyczaj brania moich rzeczy w sposób tak naturalny, jak się bierze wodę ze wspólnej studni. Kuferek stał w rogu, niezamknięty ma się rozumieć, w dzień, w tym niby moim pokoju pracowałem, odbywały się mniejsze zebrania, a w nocy spaliśmy tu, aktywiści, pokotem na podłodze. Ilekroć wyjeżdżał na inspekcję w teren, brał czystą koszulę, po powrocie nie zawsze odkładał do kuferka, nieraz rzucał w kąt, a że to było na południu, w Ługańsku nad Dońcem, i lato dwudziestego roku wypadło wyjątkowo skwarne, koszula po podróży przez stopy i szyby węglowe wyglądała jak ścierka albo dobrze przepoczone onuce, trudno było doprać, piorąc wymyślałem mu w duchu od nachalnych typów, z wyjaśnieniem, co o nim sędzę. Mam trzy koszule, więc towarzysz może sobie wziąć, jeśli nie ma żadnej, ale ty? Jestem tylko

kierownikiem klubu, a ty jesteś kontrolerem inspekcji robotniczo-chłopskiej, ubranie i buty z przydziału i stołówkę przy komitecie – jakim prawem chodzisz bez koszuli? Bez koszuli, ale w kurtce komisarzkiej, no–no, z wierzchu frant, a od spodu bosiak! I żebyś draniu choćby dla przyzwoitości zapytał i żebyś potem wyprał swe brudy... Prałem go tarzając w mydlinach, nie zostawało suchej nitki, aż przychodziła refleksja, że to przecież Żyd, wtedy traciłem impet. Przypominało się, co tu na Ukrainie ludność żydowska wycierpiała, świeża była jeszcze pamięć o petlurowcach, machnowcach, denikińcach i szubrawcach bezimiennych, bez sztandaru, jeszcze mogły nie obeschły po rzeziach i pogromach, jeszcze rodziły albo chorowały zgwałcone kobiety, jego rodzina podobno także ucierpiała, stracił ojca, nie opowiada o tym, nie wiem, co przeżył, gdzie się chował, czym nasiąkał w dniach poniewierki, strachu i poniżenia, może to, co wydaje mi się bezczelnością, jest jakimś okrutnym przytępieniem na wszystko poza tym, że ma wykrywać nadużycia, szwindle i sabotaż, nie obchodzi go, co ja, co inni myślą o nim i jak go widzą prywatnie w Ługańsku, gdzie odpoczywa i odsypia, kiedy jednak wyrusza na inspekcję, musi mieć kurtkę zamiast munduru i koszulę pod nią, nie może przecież narażać władzy sowieckiej na drwiny, wyciąga więc koszulę z mego kuferka i nie upierze potem, bo taki się urodził, niechluj, albo się tego niechlujstwa nabawił w czasach poniewierki, pies go drapał, upiorę, ale niech no jeszcze raz...

Słyszałem już wtedy i dziś jeszcze zdarza się usłyszeć o zażydzeniu Komsomołu w latach rewolucji. Istotnie dużo młodzieży żydowskiej poszło wtedy do Komsomołu, ale nie z pobudek, o jakie nieraz ją się pomawia. Nie mniej, jeśli nie więcej poszło do związku młodzieży socjalistycznej, w każdym razie w 1924 roku, kiedy się znalazłem w więzieniach Kijowa i Charkowa, stanowiła tam ona zdecydowaną większość wśród aresztowanej młodzieży mienszewickiej. Mimo wszystkie różnice programowe i temperamentu w Komsomole i esdemesie istniało wspólne podłoże marksistowskie, śpiewano tę samą Międzynarodówkę i nie znano żadnych uprzedzeń narodowościowych. Nawiasem mówiąc, w latach wojny domowej między legalną a tamtą nielegalną organizacją młodzieżową nie było jeszcze nienawiści, raczej nie pozbawiona wzgardy litość, komsomolec litował się nad esdemowcem w sieci drobnomieszczańskich sądów i przesądów, ten zaś nad komsomolcem, że tak prymitywnie i błędnie odczytuje pisma dziadka Karola.

W moich odczuwaniach i wrażeniach dziewiętnasty rok

pozostał gdzieś obok kulminacyjnej kreski, do której doszły maśy ludowe w swym roznamiętnieniu i wierze, bolszewik daje *bolsze wsiech*, wszystką ziemię, wszystkie fabryki i całą władzę, czasowo, póki wojna, należy mu się komenda czyli dyktatura – partia i komsomoł przeżywały Internacjonął na co dzień w dosłownym brzmieniu. Potem zaczęły się odzywać inne tony. Gdybym był bardziej dojrzały, może uchwyciłbym je na samym początku, latem dwudziestego roku, gdy zaraz po tym, jak gruchnęło, Polacy zabrali Kijów, Piłsudski chce oderwać Ukrainę! – młodzież kozacka pociągnęła ochotniczo do Pierwszej Konnej towarzysza Budionnego. Stali tłumnie przed *wojenkomatem*, niektórzy po dawnemu z własnym koniem i szablą własną, chwaccy, hardzi i wysmukli w połowych bluzach ściągniętych pasem, niemalże dziewczęcy w talii, prawie wszyscy bez wąsów, ale już z lekka czubaci, tak się różnili od młodzieży chłopskiej, jak gdyby byli innej krwi plemiennej, innego gatunku, jak młode jastrzębie i kurczaki. Rozmawiając z nimi odkrywałem, że z „Elementarza komunizmu”, w zakresie którego byłem w Ługańsku etatowym wykładowcą, nie dotarli do ich świadomości rzeczy podstawowe, wybite najgrubszym drukiem dla najśłabszych w piśmie. Niektórzy mieli krewnych i swojaków u Wrangla. A jednak poderwali się w obronie władzy sowieckiej, ruszyli na Białopolaków jak na żadnego z białych generałów. W tym zrywie, w tym *podjomie* widziano wielki sukces, oto najoporniejsi przekonują się, mówiono, przechodzą na naszą stronę. Wymieniano nazwiska socjalistów z biernej opozycji lub nawet zaangażowanych we wrogię działalność po Październiku, gotowych teraz, w dniach zagrożenia, zawiesić wszystkie spory i bronić zdobyczy Października; wielu niezdecydowanych dotąd oficerów wstępuje do Armii Czerwonej, doświadczeni w bitwach wojny światowej dowódcy, jak Brusilow i Rudzki, zgłaszają się do współpracy w sztabie z Trockim i Tuchaczewskim, żeby odeprzeć najazd i rozpocząć marsz zwycięńczy na Zachód, na spotkanie z walczącym proletariatem Polski, Węgier i Niemiec... A sąsiad powiedział zwyczajnie, nie zastanowiłem się wówczas nad tym, zbyt młody, zbyt pewny swego, by słuchać, co myśli człowiek starych poglądów, były kierownik urzędu pocztowego. Żył na dobrowolnym wygnaniu, z ogrodu i krowy, co rano brałem u niego kwartę mleka, arbuz i jakieś warzywa. Powiedział ojczyzna przede wszystkim, i wrócił na urząd.

A z tą naszą młodzieńczą skwapliwością brania rzeczy dosłownie wpadało się oczywiście w krańcowości absurdalne bądź

śmieszne. Posłyszawszy co nieco o zadaniach sztuki proletariackiej, liznąwszy nowych kryteriów oceny dzieła literackiego zabraliśmy się w Symbirsku do przebadania lektury szkolnej i co się okazało?

– Borysie Walentinowiczu, oświadczyliśmy na lekcji, komórka komsomolska uważa, że powinniśmy przerwać przetwarzanie „Eugeniusza Oniegina”, w ogóle Puszkina należy zredukować do części postępowych. Prosimy nasz wniosek przedyskutować.

Profesor oniemiał, szkła mu spotniały, zaczął przecierać, wybaczenie, nie bardzo rozumiem...

– Ależ, Borysie Walentinowiczu, znamy nowe kryteria, sprawę stawiamy otwarcie – co decyduje o wartości utworu literackiego, treść czy forma?

– Treść poniekąd...

– Wiemy na pewno, że treść przede wszystkim! A jeśli tak, to „Eugeniusz Onegin” jest utworem bez wartości.

– Na miłość boską, dlaczego bez wartości? Chłopcy, co się z wami dzieje?!

– Przepraszam, doszliśmy do tego drogą szczegółowej analizy. Jaka jest treść poematu? Młody panicz nazwany wyraźnie nicponiem, proszę bardzo, strofa druga, wiersz pierwszy, jedzie do swych włości, ziewając na myśl o bogatym chorym wuju, oby go już diabli wzięli, w ostatnim wierszu pierwszej strofy. Co umie ten bohater? Ano nic właściwie, nie zna pracy, ani żadnego zawodu, ani żadnych poważniejszych zainteresowań, wszystkiego uczył się po trochu i byle jak, strofa piąta, owszem umie po francusku, umie tańczyć, skłonić się z wdziękiem i błysnąć w konwersacji i tak dalej jak każdy dobrze ułożony lew salonów. I żeby chociaż to królewskie zwierzę ukazano przynajmniej w sposób krytyczny, miażdżący, na tle potwornych stosunków społecznych, ale nie, opowiada się o nim z urzekającą lekkością i nie bez sympatii – gdzie? – proszę bardzo, strofa czterdziesta piąta, potem osiemnasta w czwartym rozdziale i czterdziesta ósma w szóstym – i to najbardziej nas irytuje, Borysie Walentinowiczu. Bo czym się zajmuje Onegin? Nudzi się! Znudzony życiem światowca w stolicy, próbuje rozerwać się na wsi, lecz mu się nie udaje, z nudów zawiera przyjaźń z sąsiadem, bawi się uczuciem dziewczątka z niebogatego dworu, kokietuje jej siostrę, zabija w pojedynku przyjaciela i mając już dosyć wszystkiego, z jeszcze większym niesmakiem i przesytem, wyjeżdża. Podróżuje. Nie wiemy nic o jego doznaniach w podróży ani o tym, czy przechodzi jakiś przełom. Po latach spotyka na balu

piękną damę, z trudem w tej księżnej, małżonce sławnego generała, rozpoznaje ową odtrąconą przez niego szlachcianeczkę z prowincji, Tatianę, i z miejsca zakochuje się w niej bez pamięci. Doprawdy nie mamy się czym przejmować ani wzruszać, to dla nas żaden bohater. Szkoda czasu. Chodźmy lepiej na *subbotnik* i wyładujmy wagon opału!

Nieuświadomiona większość, większość decydująca, piętnastu na trzech komsomolców, usilnie milczała w nieporadnej rozterce, streszczenie poematu niby się zgadzało, niby tak, ale wniosek?! Jedna z Maryś, bo mieliśmy w klasie dwie Polki, Sokołowska i Dekarton, obję Marysie i prześliczne, któraś z nich pierwsza wyrwała się z nastroju konsternacji, bzdura, zawołała, w ten sposób można wszystko spłycić, Goethego, i Byrona, i Mickiewicza!

– O Mickiewiczu nie mówimy, to wasza sprawa, szanujemy prawo każdego narodu do samostanowienia, prosimy trzymać się ściśle naszego wniosku.

Borys Walentinowicz, ochłonawszy z zaskoczenia, z uczucia straszliwej porażki pedagoga, poparł nas, rzecz dziwna, nawet musnął brzuścem wskazującego palca swój anachroniczny, krótko przystrzyżony z angielska wąsik – jak zawsze w chwilach zadowolenia bądź dobrej myśli.

– Naturalnie, skoro wniosek wpłynął, należy przedyskutować. Przed tym jednak wypada wysłuchać oskarżonego. Proponuję, żebyście jeszcze raz przeczytali uważnie „Oniegina” i wybrali, co się komu najbardziej podoba lub nie podoba. Tydzień na to wystarczy? A więc w przyszłym tygodniu po wysłuchaniu wybranych przez was fragmentów, rozpoczniemy dyskusję.

Dyskusji nie było. Wieczór, tak by należało nazwać tę lekcję, przyszło bowiem sporo koleżanek i kolegów z innych klas, wieczór puşkinowski przeciągnął się do późna (uczyliśmy się w godzinach popołudniowych), wycofaliśmy się pod osłoną późnej pory i już nie ponawialiśmy naszego wniosku. Borys Walentinowicz nie nalegał zbywając incydent taktownym milczeniem, raz tylko zagadnął mimochodem, Aleksander Siergiejewicz sam się obronił, prawda? Nie mogliśmy zaprzeczyć. Przygotowano się z niebывałym zapalem i starannością, recytowano nad wyraz dobrze, niektórzy, jak nam się zdawało, robili to specjalnie, by pognać nas apolitycznym pięknem, w każdym razie wypadło odświeżenie i do głębi wzruszające, w tym nastroju zaśłuchania, współbiesiady, współekstazy wniosek antypuşkinowski nie miał żadnych szans powodzenia, brzmiał bluźnierczo. Wycofa-

liśmy się jednak nie ze względów taktycznych, bylibyśmy się bronili do ostatka na straconych pozycjach jak bojowcy na barykadach Krasnej Presni, jak komunardzi w Paryżu, aleśmy się załamali, rozłożyli estetycznie i mając mocne kryteria czuli się niepewnie, zwyczajnie mówiąc, głupio.

Tak dziwne to wszystko, że aż dziwkie, więc przypomnę: nie było jeszcze najwyższych egzegetów literackich, ani dialektów literatury pięknej, ani żadnych mistrzów, nie było nawet Gorkiego, kłopotliwe milczenie panowało wokół jego nazwiska, pamiętano ańtybolszewicką postawę sprzed roku, zajadła polemikę z Leninem. Literatura proletariacka, literatura bohaterów i treści rewolucyjnych istniała w postulatach i kryteriach, które do nas docierały najczęściej w wycinkach i przekazach z trzeciej ręki. Znajdowaliśmy się na gołym ugorze, gdzie stały same tyki z tabliczkami, co i w jaki sposób ma tu wyrosnąć, a dokoła jak okiem sięgnąć rozciągały się bogate plantacje dawnych ogrodników. Ma się rozumieć schodziliśmy, głodni, z naszego ugoru w doliny pełne dojrzałych owoców i braliśmy co popadło. I gdyby tylko to, gdybyśmy zaspokajali głód witamin według naszych możliwości i smaku, nie byłoby większej szkody aniżeli zazwyczaj przy podobnych penetracjach wyrostków w sadach. Aleśmy penetrowali w niezwykłych warunkach. Przede wszystkim, awansowani nagle na p.o. dorosłych, na współtowarzyszy czasu wojny i rewolucji, myśmy naszego wieku nastolatków normalnie w pełni nie przeżyli, ani literatury młodzieżowej nie doczytali (to nie jest bez znaczenia, o niewyżytym lub stłumionym w życiu człowieka, generacji, narodu, o skutkach przynaglonej dojrzałości, rzeczywistej czy pozornej, pisało się i pisze, ja tego nie będę tu roztrząsał).

Bardziej dotkliwie wydają mi się skutki owej penetracji w mrokach niepewności, które owoce są zdrowe, a które zatrute? Ostrzeżenia przychodziły na ogół poniewczasie i jakże często niosły nowy zamęt ciężkiej antynomii pomiędzy odczuwanym a zawyrokowanym. Byłem w samym gąszczu Dostojewskiego, zafascynowany, zagubiony, gorączkujący, kiedy się dowiedziałem, że to utajony jad reakcji. Lubiłem Kiplinga, ufnie i rozkosznie czułem się z nim w dżungli wśród słońi, wilków i nieznanych zwierząt w rodzaju riki-tiki-tawi, wtem usłyszałem, uważaj, to piewca imperializmu angielskiego. Po takich wpadkach dręczy potem wstyd, że nie potrafisz odróżnić wilczej jagody od truskawki, i przygnębienie, bo przecież smakowało, a więc samemu sobie ufać nie można, a więc ja mam smak spaczony? Z proletariackich poetów najbardziej znani i pewni,

Majakowski i Demian Biednyj, poruszający w duszy patetyczne struny, działali podniecająco jak wspólny rytm, ale zbyt aktualni i jednoznaczni nie budzili niepokoju jak Sołogub, symbolista niestety, nie dawali takiego wzruszenia co Aleksander Błok, zwyczajny esteta podobno. Z przewiskiem esteta kojarzył się blady narcyz o wybrednym grymasie, ktoś nienaganny w każdym calu, irytująco pewny siebie na model pierwszego amanta sceny miejskiej w Pienzie, za którego wyszła za mąż Liza, moja Esmeralda. Tak było na początku, potem nic już nie bruździło, ani narcyz, ani ten amant, nic nie unosiło się nad wierszami, nawet myśl o Błoku. Strofy zdawały się istnieć bez autora gdzieś w odwiecznej doskonałości, on je tylko dojrzał w błysku jakiejś genialnej magnezji i utrwalił wiernie. Można to tak czy inaczej nazywać, przeżywać, nie sposób jednak odżegnać się od tego, asceci wieków średnich mogli przynajmniej bronić się zaklęciem świętym przed szatańskim urokiem antycznego świata, a tu czym i jak? To przecież poezja, czysta poezja ponad czasem historycznym, ponad podłożem socjalnym, wolna od wszelakich aspektów politycznych, co z tego, że nikłej treści, ale mocy wielkiej! Nie wiadomo dlaczego „Nieznaną” przeżywa się na kształt intymnego doznania nie do zapomnienia, a po „Rawennie”, gdzie „spiż dostojnej mowy łacińskiej śpiewa jak fanfara na nagrobkach starych” i po nocach pochylony nad omrocznym miastem cień Dantego z profilem orlim śni wciąż o Życiu Nowym, chodzi się potem z jakimś żalem w duszy po czymś bezpowrotnie utraconym, z niejasną a żrącą tęsknotą do czegoś, co nie jest znane osobiście i absolutnie nieprzydatne w walce o wyzwolenie proletariatu.

MAGISTER TROJGA DRUKÓW I MIŁOŚĆ

Wiara w autorytet i w zdrowy instynkt mas trwała spory czas powodując nieraz podobną rozterkę obok uczucia niepewności co do własnego sądu. Nawet po latach, gdy Gorki był powszechnie uznanym wieszczem literatury socjalistycznej, pisarzem najwyższej rangi wśród wszystkich autorytetów współczesnych, nie mogłem się wyzwolić z tego stanu przytłumienia i niepewności, krępowałem się wprost wyznać, że dla mnie tę rangę, te walory najlepszej prozy rosyjskiej ostatniego ćwierćwiecza reprezentuje nie Gorki, ale Bunin.

Mniejsza o literaturę, ostatecznie można nie przejmując się nią walczyć o komunizm, ale cały komunizm opalizował w mgławicy pojęć odcieniami baśni i domysłów. Tylko najbardziej zaawansowani zaczęli lekturę klasyków marksizmu, ja się zmęczyłem w połowie pierwszego tomu „Kapitału” i zrzuciłem ciężar ponad siły orientując się potem po omacku jak prawie wszyscy moi rówieśnicy podług gazet, broszur i głosów starszych towarzyszy. Dopiero w dwudziestym roku Bucharin wyprowadził nas z tego miszmaszu i dał do ręki „Elementarz komunizmu”, busolę i broń ideologiczną, z którą każdy czuł się pewnie i najciemniejszy widział jasno, co się działo od początku świata i dlaczego, na jakich trybach i sprężynach chodzi ten mechanizm, ta dialektyka, popychając do komunizmu, do zwycięstwa komunizmu w sposób nieunikniony, opisany przez Karola Marksa.

„Elementarz” drukowany w milionowych nakładach na drzewnym, upstrzonym zmiądzonymi drzazgami papierze pakunkowym, rozstawił nazwisko Bucharina po najdalsze doły

partyjne i komsomolskie z przyległościami, ktokolwiek bowiem chciał mieć przystępny a dokładny wykład teorii komunizmu, sięgał po Bucharina. W czasach, gdy Generalissimus i Wódz Narodów nie istniał dla nas, komsomolców, ani w świadomości mas, pracownik aparatu centralnego jakich wielu – Bucharin był gwiazdą pierwszej wielkości w konstelacji Iljicza, najwybitniejszy przy nim ekonomista i nauczyciel mas, autor książki czytanej powszechnie, noszonej przy sobie, w plecaku i na piersi. Za to dał później głowę w procesie sabotażystów, dywersantów, agentów imperialistycznych i – żeby było *pokriepcze* – morderców Gorkiego i jego syna.

Nie wiem, jak by się potoczyło moje życie, gdyby się ta książka nie ukazała albo gdybym nie opanował wszystkich jej druków, było ich bowiem trzy – najgrubszy dla najstarszych w piśmie, normalny dla biegle czytających i petit dla bardziej rozgarniętych. Otóż nie bez dumy stwierdziłem, że rozumiem, że chwytam wszystko w peticie – magister trojga druków, zauważył z goryczą wuj Stefan pewnego razu, gdy dzielił niepokój mamy o to, co z tego chłopca wyrośnie, taki się zrobił ostatnio zakuty fanatyk.

Przed wszystkim wątpię, czy ośmieliłbym się odezwać na apel Komitetu Centralnego Komsomołu wzywający ochotników do pracy na świeżo wyzwolonej Ukrainie, ale zaapelowano w chwili, gdy „Elementarz” umiałem na pamięć i czułem się pewnie na poziomie petitowym, zgłosiłem się więc mimo oporu mamy, uległem tylko jej namowom, by trochę zaczekać i pojechać w wagonie inż. Zdzitowieckiego i jego towarzyszy wybierających się właśnie do Moskwy na zjazd kolejarzy. Perspektywa wygodnej jazdy była zbyt potężna, pamiętałem piekielną podróż do Pienzy i z powrotem, do Moskwy wypadłoby jeszcze dłużej i gorzej, wolałem odłożyć wyjazd na tydzień i jeszcze na tydzień, w ten sposób doczekałem się przygody z własnym wagonem. Zjazd został odwołany w ostatniej chwili, kiedy wagon stał już na bocznicy i *ordier* na niego wypisano, mógłbyś pojechać, powiedział Zdzitowiecki, szkoda okazji, przynajmniej zawiózłbyś trochę żywności dla naszych krewnych, głodują okropnie, wiesz, jak jest teraz w stolicy... Pokazałem *ordier* Chalilowi, ten obejrzał, sprawdził numer na wagonie.

– W porządku. Jutro podstawimy, jedź sobie z Bogiem, towarzyszu agitpropie.

– Sam jeden w wagonie?

– Cóż, mogę się przejechać z tobą. Nie byłem w Moskwie.

– A delegaci?

- Delegaci też będą. Wszystko będzie *kak poługajetsia*, słowo tatarskie.

Rzeczywiście, kiedy nazajutrz przybyłem z kuferkiem na dworzec, ciepłuszka moja stała już w składzie i Chalil czekał na peronie przy otwartych drzwiach. Mordziasty, sążnisty w barach, w kawaleryjskim szynelu i sukiennym szyszaku na głowie wyglądał monumentalnie i przekonująco, drewniane pudro ogromnego kolta zwisało mu z biodra, dopiero przy okazji odkryłem, że trzyma tam tłustą, znakomicie przyrządzoną baraninę. Ale wtedy, na peronie, przystanąłem ze zdumienia tym bardziej, że tuż za nim w drzwiach wagonu, zwiesiwszy nogi, siedział w czapce kolejarskiej Michaił Iwanowicz Kalinin! Wprost nie do wiary, ta sama twarz, i szpakowata bródka w klin, i okulary w nikłowej oprawie... Z początku zobaczyłem tylko jednego, przysadzista postać Chalila zasłaniała resztę, później, gdy ruszyłem z miejsca, wyłonił się drugi, nieco mniejszy Kalinin, z bródką nie przetykaną siwym włóknem, i trzeci, najmłodszy – trzech przewodniczących rady najwyższej, trzech braci powroźników z ulicy Lisinej, znanych z widzenia, patrzyło na mnie dostojnie i przenikliwie jak ich sobowtór na Kremlu.

- Delegaci, przedstawił Chalil, papiery mają z pieczętką.

Jak się potem, przy rewizjach, przekonałem, była to przesadna ostrożność, żołnierze oddziałów zaporowych nie mieli czasu ani kwalifikacji na sprawdzanie dokumentów, ich czujność ekscytowały toboły i worki. Dwie zaplombowane skrzynie, co stały w wagonie, przeznaczone wyraźnym nadrukiem czarną farbą dla władz centralnych kolejnictwa budziły nie mniejszy respekt aniżeli Chalil i trzech podkalininowani powroźnicy. Gdyby okazali świadectwo ślubu babki lub kwit na opał, to by, mam wrażenie, tak samo zwrócono im papiery ledwo rzuciwszy na nie okiem dla porządku, jedynie mój kufer i moja autentyczna delegacja wyglądały niezupełnie *ubieditielno*, to ma się rozumieć oburzało, wywiązywały się utarczki słowne. Raz pociągnęli do komendanta, tam w sporze, co ważniejsze, moje papiery czy jego, komendanta, rozeznanie, doszło do egzaminu.

- W takim razie, żebym ci uwierzył, powiedz coś o komunie.

- Tego się nie da streścić w dwóch słowach, komuny istniały od dawna i różne.

- Ty się nie wykręcaj, jesteś od oświaty i propagandy albo nie jesteś?

- Jestem, tylko to musiałyby potrawać, a pociąg stoi.

- Niech stoi, mów. Chodźcie, chłopaki, na politgramotu.

Opowiadałem im w wartowni o komunach pierwotnych na

początku dziejów, o komunach sekt religijnych, jak w Monasterze za Münzera, o utopiach i tak dalej według Bucharina, a tymczasem baby pod nieobecność żołnierzy na torach wdarły się do wagonu, baby mocne z workami stukulowymi, banda zgrana w ciężkich rejsach odbywanych pomiędzy północną szerokością geograficzną głodu a południową dosytu, Chalil, były tragarz, runął pod ich naporem, trzech Kalininów rzuciły w kąta na plombowane skrzynie i zaczęły się urządzać po swojemu, tak że wróciwszy, zastałem kompletny matriarchat. Po niejakim czasie, kiedy się już rozlokowały i turkot kół działał mitygująco, zabrały się do nas, podbitych autochtonów, główna ich szturmakbaba przysunęła się do Chalila, trzepnęłam cię, wybacz, taka już jestem gorąca, zobaczysz w nocy. Inne podchwyciły ten ton przymilając się do braci, wyciągnięto samogon, wraz z kubkiem poszły w krąg kawały i aluzje tłuszciesze od puzdra Chalila po zjedzonej baraninie. Nigdzie nie czytałem, nie wyobrazałem sobie, że kobiety mogą być aż tak bezwstydne i zgłodniałe. Jedna tylko zachowywała się z rezerwą i ta mnie przywołała, żebym się jej trzymał, bo mogę pożałować, ona wie, drugi raz już jedzie z nimi. Istotnie w nocy zaczęły się dziać rzeczy, dla których orgia byłaby nazwą zbyt wykwintną. Kobiety brały mężczyzn, brańcy z początku chętnie szli na przygodną rozrywkę, potem bronili się, opadłszy w końcu z sił wili się w ich rękach, charczeli od przemocy i łaskotania, rażony taką inicjacją w sprawę seksu dygotałem przy piersi mojej opiekunki z obrzydzenia i wstydu i wzbierającego mimo wszystko pożądania. Ale o tej nocy może kiedy indziej, oddalam się od „Elementarza komunizmu” Bucharina w moim życiu.

Mieszocznice wysiadły przed Moskwą, bały się głównego dworca. Na moskiewskim peronie wynędziały Chalil pożegnał mnie z jakimś śpiesznym roztargnieniem, chciał czym prędzej znaleźć lekarza, on sam, szczęściarz, wyszedł bez szwanku, ale trzej bracia mieli trypra. W Komitecie Centralnym Komso-mołu, dokąd wszedłem z onieśmieleniem i czcią prowincjusza, odesłano mnie do towarzysza, którego nazwiska nie jestem już pewien, zdaje się, że Szacki, może syn albo krewny znanego pedagoga? nie wiem, lat dwudziestu, wysoki, przystojny szatyn o twarzy i obejściu inteligenta. Dopiero co wrócił z ryzykownej wyprawy przez dwa kordony daleko na Zachód, był jeszcze w pięknym konspiracyjnym przebraniu bogatego młodzieńca i siedząc na biurku z ożywieniem opowiadał towarzyszom z komitetu, jak się przedzierał na jakiś nielegalny zjazd młodzieży w obozie wroga. Dość sprawnie i przyjaźnie przebadał mnie,

czym się zajmowałem dotąd, co umiem i powiedział, że mam się udać do komitetu ukraińskiego w Charkowie, tam zadecydują, jak i gdzie mnie wykorzystają. Wypisano mi zaraz delegację i skierowanie do Trzeciego Domu Sowieatów na nocleg z wyżywieniem. Byłem zbudowany tym zetknięciem się z naszym Komitetem Centralnym. Mimo pozornego bałaganu w jego przyciasnych i brudnawych pokojach załatwiano sprawy szybko i zaradnie, czuło się tętno życia wielkiej organizacji. Podniosłego nastroju nie studził nawet obraz Moskwy, przeciwnie, obszarpane, wygłodzone i wciąż jeszcze w dniach kwietnia zmarznięte miasto zdawało się odpowiadać wyobrażeniom o surowej i heroicznej metropolii walczącego komunizmu, apełowało do mojej odwagi, wierności, poświęcenia. Dopiero pod koniec drugiego dnia obraz ten zamazano brudną łapą. Dogadawszy się z pewnym kolejarzem, wróciłem do domu po rzeczy i tu we wspólnym pokoju zobaczyłem, że przygodni towarzysze, delegaci z Kazachstanu, odjechali zabierając moją fufajkę, ręcznik i mydło, a zostawiając podarte na strzępy, śmierdzące onuce. Stałem jak opluty. Wczoraj siedząc tu na łóżku rozmawiali ze mną serdecznie, padały wielkie, tchnące ideą słowa, i patrzcie, jak się rozłożyli, pośliznęli, i do upadku nie potrzeba było złota ani kobiety – złakomili się na kawałek mydła, na mechata szmatkę, towarzysze! Bojownicy wolnego Kazachstanu!

Ogromnie się tym przejąłem. Przez całą drogę aż do dworca dźwigałem ciężkie zwątpienie – człowiek? może ludzie to w gruncie rzeczy ujarzmione zwierzęta? gdy mogą sobie pofolgować, zaspokajają popędy jak te rozbestwione kobiety nocą w naszym wagonie, a kiedy nikt nie widzi, nie krępuje, korzystają z okazji jak ci dwaj plugawi delegaci... Paroksyzm pierwszej melancholii minął na peronach. Trzeba było zdobywać miejsce w pociągu. Nie podstawiony jeszcze skład, odszukany na bocznym torze za radą i wskazówką kolejarza szturmowało już mnóstwo ludzi. Nie udało mi się przebić z korytarza dalej ubikacji, tak że w tym przytułku o wywalonych drzwiach i zabitym dyktą oknie odbyłem całą drogę. Gdy przez zwarty tłum przedzierał się do mnie mężczyzna, wstawałem z sedesu odsuwając się na bok, kobietom natomiast służyłem za parawan, jedna bywała najczęściej, młodziutka, zalękniona i okropnie wymizowana po przebytej w Moskwie ciężkiej operacji, jak się dowiedziałem później, zjawiała się niemalże co godzina, ze szczególnym namaszczeniem wypełniałem wówczas sobą otwór drzwiowy i skrzydłato rozpinając poły płaszcza osłaniałem ją aż do odwołania wyszeptanego ledwo dostępnym słowem po-

dzięki. Na peronie w Charkowie spotkał ją mąż, starszawy inżynier górniczy, przedstawiła mnie jemu i ten zrewanżował mi się potem, umieścił w wozie ciężarowym, który właśnie szedł ze sprzętem technicznym dla Zagłębia Donieckiego, a droga wiodła przez Ługańsk, główny ośrodek przemysłowy i rewolucyjny Zagłębia, miasto ślusarza, następnie *komandarma* Woroszyłowa, jak mnie objaśnili towarzysze w komitecie charkowskim przy wręczeniu skierowania do Ługańska.

Ługańska organizacja komsomolska była liczna i w odróżnieniu od Symbirskaja przeważała tu młodzież robotnicza z wielkich na miarę Cegielskiego zakładów metalurgicznych Hartmana i okolicznych osad górniczych. Żyła w tradycjach, w gorącym klimacie tego regionu. Tu powstał pierwszy na Ukrainie opór zbrojny okupacji niemieckiej, pierwszy bolszewicki oddział partyzancki pod dowództwem Woroszyłowa, stąd wyruszył legendarny pochód robotników, ich rodzin i taborów, przez trzy miesiące na przestrzeni pół tysiąca kilometrów trwał ten exodus, wyjście ludu z zagrożonej ziemi, odpierając ataki naskakującej nieustannie kawalerii białych, naprawiając zrywane przez nią tory i mosty uchodzili w kierunku Carycyna z bezcennym sprzętem technicznym Zagłębia. W walkach z okupacyjną armią niemiecką, z wojskami wynurzających się kolejno zza Donu generałów, Kaledina, Krasnowa, Denikina i Wrangla, brała udział młodzież starszych roczników, hartowała się, rosła i odchodziła do zadań wojskowych, partyjnych, administracyjnych, w organizacji dawał się odczuć brak wyrobionej starszyny i elementarnego uzbrojenia ideologicznego, pod tym tylko względem organizacja ługańska ustępowała symbirskiej – tam znano już „Elementarz komunizmu”, tu był on rewelacją, bodaj czy nie ja go pierwszy przywoziłem w kuferku. Miejski klub komsomolski, dla powagi nazwany centralnym, pomyślano jako ośrodek likwidacji analfabetyzmu politycznego i ja miałem udzielać początków.

To wielka cezura w moim życiorysie, lato dwudziestego roku, tyle zbiegło się naówczas wydarzeń i doświadczeń kształtujących i przeżyć intymnych, że bez nich – trudno oczywiście zgadywać – bez nich, wydaje mi się jednak, byłbym chyba innym człowiekiem. Wyruszyłem w nieznaną nie sprawdzony, na co mnie stać i w jakim zakresie samodzielności, jechałem z ogromnym pragnieniem uczestniczenia w dniach przemiany świata i przełomu, w owej „uczcie bogów” o jakiej marzył poeta. *Pendant*, powiedziałbym, do siedemnastej wiosny życia, gdyby nie to, że jej nie czułem. Ta kwietna, opiewana i opita pora, pora

dojrzwiania, wypadła dla mnie wyjątkowo paskudnie, kwiat zwarzony i czarny zamiast woni wydzielał miazmaty. Bajeczna prężność młodości, cudowna, prosta jedność wszystkiego we mnie przyszła, dopiero pod koniec lata, przedtem było nas dwóch: aktywista i Goria. Jeden żył w ruchu i działaniu wspólnie z mnóstwem towarzyszy, żył jak najbardziej czynnie, najnormalniej na pozór, drugi cierpiał w samotności tym dotkliwiej, że w tłumie, wyobcowany swą anomalią i obsesją, trawiony nimi ustawicznie, byłby niechybnie zgorzkniał i dostał w końcu jakiej skazy czy wżery na duszy, całe szczęście, że miał pełne ręce roboty i pokochał...

Masz dom, powiadają, pusty dom po zbiegłych burżujach... Od czego zacząć? Ano wynieść śmiecie, podremontować, pościągać graty skąd się da. Pierwsza satysfakcja, pierwsi towarzysze – dostrzegli, przyłączyli się, razem szorujemy, targamy, urządzamy się. Po tygodniu razem już pitrasiliśmy i śpimy pokotem na podłodze w jednym pokoju – aktywiści, komuna aktywistów, sąsiedzi krzywią się – dom noclegowy... Wreszcie zaczynamy zapisy na „Elementarz”. Pierwsza grupa od dziesiątej do dwunastej, druga grupa dla zaawansowanych, od piątej do siódmej. Czytamy, omawiamy rozdział za rozdziałem, na modłę szkolną zadaje wypracowania, okazuje się, że w pierwszej grupie pisanie przychodzi niektórym z trudem, a więc dodatkowo zajęcia z nimi. Na zakończenie żywa gazetka, jakieś aktualia dnia, dajmy na to, sytuacja na frontach albo sprawa, którą ktoś poruszy, być może zada tylko pytanie, w całym rozkładzie dnia to punkt najwyższy, ale i najbardziej kłopotliwy, nieraz mówię, nie wiem, zaczekajcie, muszę się dowiedzieć, i dziwne, widzę, że nic a nic w ich oczach nie tracę, przeciwnie... Czytelnia na tarasie, krokiet w ogródku za domem, warcaby i szachy w dawnym służbowym przy kuchni, a śpiewy i harmonia na piętrze, gdzie wszelki hałas uchodzi przez wybite okna i drzwi na miasto... Nie mam chwili odsapki i nie potrzebuję. Zmęczenie, konieczność odpoczynku poznam dopiero po paru latach pracy zarobkowej – co teraz robię, to potrzeba duszy, próba startu, pasja, wielka przygoda, wszystko tylko nie praca. W całym lecie widzę tylko jeden wieczór wolny, w normie wieku, przejażdżka łódką po jakiejś rzeczce przy księżycu, chyba po Ługani? wieczór zwierzeń nowo przybyłych, Sormowicza i Swietłany, dowiaduję się, że ona zostawiła chłopca w Charkowie, a on, do niedawna *bezprizorny*, nie ma rodziców, nie znał ich nigdy, podrzutek. Sormowicz, Swietłana, Tarasow, Klimczuk, Zadrożny, Mitia, Nadia i ten Rabinowicz czy Rappaport, tylu ich tkwi

w tym moim ługańskim lecie, jednych pamiętam z nazwiska, innych z imienia, niektórych tylko z twarzy, tłum młodych twarzy i jedna głowa siwa, jeden głos przestrogi, nie sięgajcie od razu po owoc, w półmroku między regałami stary towarzysz radzi, żebym się tak nie spieszył i poznał najpierw budzicieli z ubiegłego wieku, Herzena, Bielińskiego, Dobrolubowa, Czernyszewskiego. Spotkałem go w bibliotece miejskiej, przypierany pytaniami żywej gazetki zacząłem przychodzić tam po aktualny materiał i on mi to wytknął, po sztubacku szukacie w skryptach gotowych odpowiedzi i reguł – łatwej pożywki dla pamięci, a co z duszą? Pierwszy raz ktoś z partii zagadnął mnie o duszę, słowo wychodzące z użycia jak ten dziadek rewolucji z białą, drżąca głową. Musimy przecież powiedzieć, zaoponowałem, a on, że można dużo wiedzieć i wcale się nie zmienić ani urosnąć. Nie zetknąłem się z nim więcej i nie czytałem wtedy owych budzicieli, za radą jego mogłem pójść dopiero w spokojniejszych czasach, na pierwszym roku studiów w Kijowie, zrozumiałem wówczas jego niepokój, jego intencje i byłem mu wdzięczny.

Znów oddałem się od „Elementarza”. A więc przerabialiśmy go, jak to się działo w wielu miastach i klubach. Czas jakiś żyłem w kręgu spraw i zajęć klubowych, aż wyrwano mnie stamtąd do hali montażowej parowozów, żebym zastępując kogoś powiedział coś o kulturze i oświacie. Zacząłem od brasku wiosennego dnia nad Weimarem, znanym z opowiadań Junony na lekcjach niemieckiego, pierwszy poblask zza gór, domek Goethego, ostatnie słowa poety „światła, więcej światła”!, dalej nie pamiętam, co było, i to nieważne, w komitecie miejskim powiedzieli, idealistyczne podejście, ale możecie się wyrobić i wciągnęli na listę. W miarę jak towarzysze z organizacji partyjnej odchodzili na front, coraz częściej sięgano po nas, komsomolców. Pod koniec, w krytycznym momencie walk o Krym i na froncie polskim, kiedy niemalże do dna wybrano z miasta kadry, doszło do ostateczności – zostałem p.o. komisarzem oświaty, coś okropnego, lokomotywa w ruchu, koła łomocą, kołyszą ufność ludzi, mnóstwo ludzi za tobą, a przed oczyma rozkład jazdy i jakieś dźwignie, tryby, uchwyty, nie wiadomo, co do czego, rozpacz, nie mam pojęcia o kierowaniu. Papiery, akta to jeszcze, ale interesanci, ale rozmowy, konferencje z kierownikami szkół, z profesorami! Omawiając odgórne zalecenia w sprawach programu i metod nauczania, przedkładając plany na nowy rok szkolny, zdawali się pytać, a towarzysz komisarz do której szkoły raczyłby uczęszczać? Dzięki temu zawstydzeniu i obecności dwóch wytrawnych rze-

czoznawców, kierownika kancelarii i woźnego, komisarzyłem dwa tygodnie bez większych głupstw, aż nadeszło wezwanie SOS, przyjeżdżaj natychmiast do Pienzy!

Mniejsza o ten epizod, przeminął dla mnie bez śladu i poza Bucharinem, najbliższym żyłem z „Elementarzem” nie wtedy, ale przed tym, będąc na liście prelegentów i propagandystów wzywanych w trybie pogotowia tu i tam... Pani Helena, kapitalna leśniczyna spod Wałcza, gdzie polując mieszkałem na początku lat pięćdziesiątych, zagadnięta raz o to, czym się zajmowała przed zamążpójściem, odrzekła zamasyście stawiając patelnię z jelenią wątrobą – byłam rozpylaczem kultury w powiecie! – inaczej mówiąc, z torbą publikacji na ramie roweru pedałowala przez wioski i gromady, rozdawanym drukiem i żywym słowem uświadamiała zebranych co do znaczenia Dni Oświaty i Kultury, Oszczędności, akcji siewnej, kongresu pokoju, Dnia Nauczyciela, Górnika, Kobiety, Dziecka, Święta 1 Maja, 22 Lipca, 7 listopada i wszystkich innych dni kalendarzowych. Otóż w dwudziestym roku tak samo z braku bardziej powołanych my, chłopcy, rozpylaliśmy uświadomienie aktualnych spraw i wydarzeń, tylko że to się rozgrywało nie w anegdotycznych, ale w patetycznych kategoriach. W krajobrazie czasów potopu albo trzęsienia ziemi, w zamęcie nie zawsze do rozeznania, co się naprawdę zapada, a co się podnosi i staje. Można to było afirmować jako pierwszy dzień tworzenia albo przeklinać jako dzień ostateczny, ten z Apokalipsy, kochać lub nienawidzić, stawiać na czerwonych albo na białych, tylko w żaden sposób nie można było pedałować na odfajkowanie dni kalendarzowych. Kalendarza nie było. Pisano go właśnie ogniem, i wiarą, i gwałtem, świeże, najświeższe kartki roznosiliśmy, młodociani gońcy, po okolicy i tłumaczyliśmy doniesienia Historii. Nie było rowerów ani aut, żadnej stałej komunikacji. Korzystano z okazji, że ktoś tam jedzie z partii, z rady, z armii, a byli i tacy, co woleli chodzić, waganci z usposobienia. Mitiaga lekko robił 30 wiorst i lubił ten sposób komunikacji po apostołach i brodiagach. Kiedy wystarano się o konia, to i ja sobie przypomniałem naukę jazdy na szwadronowej klaczy Beka Achmadarowa. Jakikolwiek wypadł temat, zawsze przedtem przeczytałem coś tematycznie pokrewnego z „Elementarza komunizmu”, żeby znaleźć klucz, sposób rozumowania, albo dla ducha, jak się czyta katechizm. I wychodząc z klubu gdziekolwiek, na miasto czy dalej w teren, nigdy nie zostawiałem „Elementarza” w kuferku, żeby broń Boże nie zginął, ten Rappaport albo jak go tam Rabinowicz, sięgnąwszy po koszulę, mógłby wyciągnąć i

jeszcze by się natrzęsał, jeszcze by gromił, że oręza ideologicznego nie użyczam towarzyszom, ale chowam na spodzie pod bielizną, egoista, nędzny typ drobnomieszczańskiej mentalności itp., i już by przepadł mój Bucharin, a skąd wziąć drugi egzemplarz w Ługańsku?

Poza miastem i dalej od osad górników wcale nie było tak zgodnie i spokojnie, nie wszędzie znajdowało się kontakty, tu i tam trafiało się na opór, na wrogi wystąpienia, jeździliśmy jednak bez broni, taki był obyczaj czy styl, tym bardziej tego się trzymano, jeśli teren był niepewny albo i wręcz ryzykowny – wychodzić śmiało, z zupełnym zaufaniem i mówić zwyczajnie, nie różnić się wyglądem od miejscowej młodzieży, żadnej broni, ani nawet teki, tak że podczas podobnych wypadków najczęściej trzymałem „Elementarz” za pazuchą, pod bluzą ściągniętą rzemieniem, tak samo i w ten wieczór, w drodze powrotnej, gdy zaskoczyli mnie starzy z podkożaczanej wsi nad Dońcem. Śmiało mogli zabić po ciemku na pustym gościńcu, ale chyba nie chcieli obawiając się represji, widocznie sądzili, że wystarczy postraszyć, niech nikt do nas z miasta nie przyjeżdża, nie białomuci młodzieży, bili więc z osłoną, zarzuciwszy worek, i oględnie, tylko do utraty przytomności. Oprzytomniawszy, mogłem dźwignąć się i pierwsze, co dodało otuchy, to koń, konia nie zabrali, paś się spokojnie opodal. Najbardziej bolała rozbita głowa, żebra mniej i tylko przy głębokim oddechu. Dotknąwszy tego miejsca, namacałem przez bluzę „Elementarz”, jest, ocalał, współtowarzysz, przewodnik niezawodny, gdyby nie on, kto wie, może trzasłoby więcej żeber niż dwa... No i któryż to autor mógłby powiedzieć o sobie, że był na piersi czytelnika? Że osłaniał, ba, łagodził ciosy wroga, że strzeżono go jak żrenicy oka – nie było, w każdym razie wtedy, za bezimiennych lat Stalina, nie było drugiego takiego autora poza Bucharinem, i za to właśnie Bucharin dał później głowę.

Tyle o Bucharinie w moim życiu. Co prawda w związku z tym poznałem wkrótce Nadię, właściwie znałem ją z widzenia w klubie z drugiej grupy „Elementarza”: dorodna i zdolna dziewczyna, przychodziła nie zawsze regularnie i zaraz potem znikała. Dlaczego nie bierzesz udziału w życiu klubu, spytałem ją raz. Nie mam czasu, odrzekła tonem spracowanej kobiety... Ujrzawszy mnie, gdy stępa, trzymając się kurczowo siodła, mijałem jej chatę na przedmieściach Ługańska, wybiegła z ogrodu i zabrała do siebie, ale wszystkie konsekwencje tego odruchu jej serca, że pokochałem, że chciałem się żenić, nie miały nic wspólnego z „Elementarzem komunizmu”.

Pielęgnowała jak kazał felczer, a staruszek znalazł się na ranach z wojny tureckiej za Dunajem i z wojny japońskiej w Mandżurii, nic mu nie będzie, powiedział, wystarczy maść z przysypką i niech sobie poleży. Leżałem w białej, bielonej wapnem izbie Nadi, na łóżku Nadi, wśród jej rzeczy, robótek, książek, fotografii i pamiątek rodzinnych. W przyćmionym świetle dnia, jakie mżyło z mrocznej korony orzecha za oknem, w ukojonej ciszy można było do woli zgadywać podług tych przedmiotów i odtwarzać życie Nadi skracając sobie w ten sposób czas czekania na prężny i śpieszny plask bosych stóp w sionce, kiedy już przyjdzie z kozim mlekiem po udoju, albo z posiłkiem, albo tak sobie porozmawiać trochę. Rozumiałem teraz, dlaczego nieczęsto bywała w klubie i tylko na kursie, kto inny na jej miejscu w ogóle nie znalazłby na to czasu ani być może chęci. I dlatego sprawiała wrażenie bardziej dojrzałej, wrażenie nie osiemnastoletniej dziewczyny, ale młodej zaaferowanej własnymi sprawami kobiety. Jest gospodynią i żywicielką. Starszy brat poległ parę lat temu na kaukaskim froncie, drugiego brata biali zabili w ubiegłym roku, ojciec prowadzi gdzieś lokomotywę, nie wytrzymał w stanie spoczynku, gdy rewolucja w niebezpieczeństwie i kolej nie może nawalać, a maszynistów brak. Bratowa niedomaga, poza krzątaniem przy dwojgu małych dzieciach nie stać jej na żadną inną pracę, nikt zatem, tylko Nadia, musi to robić, by utrzymać ich i siebie z tego co się ma, ażeby wyżyć ze skrawka ziemi i drobnej hodowli trzeba się dobrze narobić i zwijać od rana do wieczora. Dopiero po zachodzie, gdy wszystko zapada w sen, ogród, sad, kozy, kury, gęsi, dwie świnki i bratowa z dziećmi w sąsiedniej izbie, Nadia myje nogi w sionce, pluska się i wychodzi rozplatając warkocze, *szabaszka*, oznajmia, Nadieżda Pietrowna rozpoczyna życie prywatne.

To już pod koniec, gdy było życie prywatne. Przedtem było rozmaicie. Pierwszego wieczora, po obrządzeniu wszystkiego, podeszła po cichutku w przekonaniu, że śpię, pochyliła się zupełnie jak mama, pomyślałem ciepło o wyrazie jej twarzy. Napotkawszy mój wzrok, cofnęła się i odezwała głosem raczej bagatelizującym, no i jak się czujesz, ofiario *kułackiej* *razprawy*? Dziękuję dobrze... W takim razie po opatrunku poczujesz się zupełnie dobrze, zobaczysz... Pod dotknięciem jej palców przymknąłem oczy, masz dobre ręce, powinnaś ludzi leczyć... Ona na to – zwijając bandażę – że nie myślała o medycynie, a w ogóle tak chce się uczyć, tylko nie wie czego, jak zwyciężymy i ojciec wróci, najchętniej poszłaby tam, gdzie podstawą, głównym przedmiotem jest matematyka.

- Matematyka? - spytałem. - Ty lubisz matematykę?!

- Ogromnie. W szkole pomagałam koleżankom nawet ze starszych klas, a teraz tak sobie czytam dla przyjemności, rozwiązuję. To piękne.

- Co, mianowicie?

- Ach, chociażby binom Newtona.

- Ależ to koniec algebry, zadanie maturalne! Na tym piekielnym binomie, słyszałem, najczęściej obcinają, ja do tego jeszcze nie doszedłem, a ty tak sama? Byłaś w gimnazjum? w której klasie?

- W piątej, trzy lata temu...

Podczas kolacji i potem, gdy robiła sobie posłanie na podłodze pod oknem, zdołałem powypywać i wydobyć sporo innych szczegółów z jej życia, nie podważały jednak w niczym zdumienia - Nadia i binom! - nie pomniejszały kontrastu - hoża, czarnobrewa, z wiejska wyglądająca dziewczyna i ta jej matematyka, ze wszystkich nauk najbardziej dla mnie obca, antypatyczna, kojarząca się zawsze z Antypodą. Czytuje stroniczki z algebry dla przyjemności, coś podobnego! A powieści, spytałem, a poezje? Owszem, odrzekła, ale to przecież same słowa. - Ty wolisz znaki? - naturalnie, tu się czuje rzeczy prawdziwe i wieczne...

Zasypiałem w przeczuciu czegoś dobrego jak obecność Nadi i niezwykłego jak sama Nadia, nieodgadniona, wielka niewiadoma.

Ale w miarę jak goiły się rany, wszystko we mnie wracało do normy, do nienormalnego stanu przedtem, mój kompleks, obsesja płci, wszystkie zmyry, że użyję Zegadłowicza, z tym tylko, że były groźniejsze od tych, co dręczyły Michała Srebrzempisnego, moje zmyry byłyby mnie w końcu zadusiły, w najlepszym razie puściłyby półżywego, wysawszy szpik młodości i owe niezbędne enzymy pobudzające radość życia. Obecność Nadi nie łagodziła, przeciwnie, zdawała się zmyry podniecać i doprowadzać do stanu największego rozwydrzenia, może nie tyle obecność Nadi, ile jej nieświadomość ich istnienia? Niczego się nie domyślała. Przy opatrunkach, przysypkach, nacieraniu weszła w rolę siostry panującej na sali i rządziła mną z apodyktycznym miłosierdziem. Gdybyś mnie mogła udźwignąć, myślałem wodząc za nią chmurnym okiem, to byś mnie lulała, albo karmiła ze spodeczka na kolanach i jeszcze bardziej czułabyś się istotą wyższą, życiodajną, jak każda samiczka... Coś niedobrego wybierała we mnie i truło. Nasze przeciągające się do późnej nocy rozmowy, wynurzenia, spory stawały się dla mnie dręczące. Nadia odwrotnie, czekała na nie, po skończonej pracy

dnia wchodziła oznajmiając od progu – *szabaszka*, otwieramy wieczór dyskusyjny! Była coraz bardziej sobą, naturalna w każdym odruchu, swobodna, swój siennik przysuwała bliżej i bliżej, aż znalazł się tuż przy mnie, żeby można było mówić nie wysilając głosu i nie niepokojąc śpiących za ścianką dzieci w bratową, jużesmy raz ich zbudzili, dlatego potem rozmawialiśmy z bliska półgłosem, co znowuż nie dawało spokoju, odzywało się bowiem kąśliwe powątpiewanie, czy spałabyś, Nadieźdo Pietrowno, tak smacznie i ufnie, gdyby zamiast mnie leżał tu kto inny, Sormowicz chociażby? Sormowicz wywoływał i roztaczał wizje seksu, był poniekąd medium seksu, spod jego koca wyłaniała się twarz rozognionej Swietłany i wszystkie tamte rzeczy.

Pewnego dnia po kolacji, gdy się położyłem, bo już wstawiałem w dzień, zajmowałem się czymkolwiek dla zabicia czasu, najczęściej przeglądałem książki Nadi, a i towarzysze mnie odwiedzali, wszyscy oprócz Sormowicza i Swietłany, co jeszcze nie mogli się przemóc, by spojrzeć mi w oczy po tym, jak zastałem ich w łóżku, otóż, gdy już leżałem w oczekiwaniu tego, co nastąpi – zgasi lampę, przysunie się ze swoim siennikiem, porozmawiamy, niech to wypadnie jak najlepiej, ostatni raz, jutro wrócę do klubu i tak się to skończy – Nadia zawołała, aleś się zagapił! Przyjrzała mi się długim taksującym spojrzeniem, specjalnie długim, na zaakcentowanie słów:

– Wiesz, Goria, kiedy tak leżysz, wyglądasz nawet interesująco, twarz uduchowiona, jakbyś marzył o niebieskich migdałach, a *szewielura* – zwichrzyła mi włosy – Zinowjew takiej nie ma!

Przymknąłem powieki. Nie z błogości jak przy pierwszym opatranku, ale z bólu. Zapiękło. Kiedy leżysz, powiedziała. Cóż, wyrwało się jej, nie mogła przecież powiedzieć, kiedy chodzisz... Palce jej zdawały się przebierać u mnie w zwojach mózgu, obecność jej nie tchnęła już ukojnym ciepłem, była wstrętna – rozwarły się drzwi i z wagonu znowu buchnęło zaduchem babiego ciała, ohyda zgrzanych, kłębiących się i rozbestwionych kobiet. Odwróciłem z lekka głowę nie będąc w stanie ukryć grymasu odrazy. Zauważyła.

– Nie wiedziałam, wybac... Mówiłeś, że mam dobre ręce.

Zdmuchnęła lampę i zaczęła ścielić sobie na dawnym miejscu pod oknem.

Milczałem w ciemnościach, nie znajdując słów ani sił, by się tłumaczyć. Bo i jak?

Musiabym powiedzieć, co przeszedłem w związku z kalectwem. Jak walczyłem z nim, jak je pokonałem. Potrafię oto chodzić wytrwale i daleko, jeżdżę na koniu, pływam, próbowa-

łem na Wóldze żeglować i jakoś mi poszło, jestem mocny i doprawdy cholernie wytrzymały, mogę pracować, mogę wiele jeszcze osiągnąć w sprawności fizycznej i w życiu, ale są rzeczy, z których jestem wyeliminowany. Trudno. Nigdy nie pobiegnę, nie zatańczę i nigdy nie będę kochany. Nie poznam kobiety. Nie w sensie wypisanym na ścianach ubikacji ani w sposób ukazany przez Kuprina w „Jamie”, mama mi ją podsunęła po tym, jak spostrzegła na prześcieradle plamy po polucji, przeczytaj, czas już, żebyś wiedział – ja z tej „Jamy” wyniosłem szok nie do zapomnienia i słowo, dane potem sobie i mamie, że nigdy nie będę u prostytutki! Nie, nie o to chodzi, ale o miłość, o życie erotyczne, w jakie wchodzi już moi rówieśnicy. Tania i Jasnyj kochają się, nie wiem, czy żyją z sobą, chyba jeszcze nie i to nieważne, ważne, iż nie mogą obejść się bez siebie, codziennie muszą się spotkać bodaj przelotnie, to on biegnie po Tanię, gdy ta wychodzi ze szkoły, to znów ona wpada do *gorkomu*, mają własne sprawy, własną mowę, są wśród nas i poza nami, dwoje rodaków w tłumie obcokrajowców, z jakąś cudowną ojczyzną w sercu. Taką miłością jak u nich, tą z poematów, żadna dziewczyna mnie nie obdarzy, szkoda marzyć, nie, nawet marzyć nie wolno, trzeba wyzbyć się wszelkiej myśli o tym, niech zostanie na zawsze wypalone i puste. I do niedawna byłem pod tym względem wypalony, zredukowany o całe to szczęście, ale byłem czysty. A teraz...

Ale mówiąc o tym, jaki jestem teraz, co się ze mną dzieje, musiałbym opowiedzieć o nocy w wagonie, kiedy osiem kobiet wyżywało się z czterema mężczyznami, właściwie siedem, ósma była inna, ta moja... Dlaczego była inna? spytałaby z pewnością Nadia i to, chyba tylko to, mógłbym jeszcze wytłumaczyć jej, widzisz, taka sobie zwyczajna i litościwa kobietka, z czystej litości szepnęła, żebym się jej trzymał i nie zadawał z tamtymi, zna je, drugi raz już jedzie z nimi, nic więcej nie zdradziła, bała się, z tą bandą *mieszocznic* musiała przecież jechać dalej, miały rutynę i sposoby, gdzie co na co wymienić i jak przewieźć, w stosunkach między nią a nimi wyczuwało się jednak pewien dystans, wołały na nią Aleksandra lub Leksandra, nie zaś familiarnie Szura... Mógłbym jeszcze dodać, że była miła, lat może trzydziestu, przyjemnie nam się gadało, dowiedziałem się, że pochodzi z Iwanowo Wozniesińska, zostawiła tam dziecko, które chwalić Boga zdrowo się chowa, bo pierwsze umarło, a męża, mówiła, ma dobrego, spokojny, porządny, dbały, tylko że słabowity, czy niedorajda, w każdym razie ona go nie puszcza na takie wyprawy, nic by nie zdobył, musieliby żyć o *pajkowym*

chlebie przymierając głodem, wiadomo, fabryczny *pajok* u nich w zakładach włókienniczych nie jest kategorii specjalnej jak w fabrykach broni i amunicji, dlatego ona jeździ wymieniając tekstylia na żywność... To wszystko mógłbym opowiedzieć Nadi, nasze rozmowy i jak nam zeszło do wieczora, ale dalej w żaden sposób. Gdyby jeszcze nie było piecyka! Byłbym tylko słyszał, wyczuwał, ale nie widział! Tymczasem one drzewa nie żałowały – gdy sobie podpiły i poczuły ochotę na ten swój sabat, to się zaczęły rozbierać, a noc wypadła chłodna, jak to na początku kwietnia, ze wszystkich szpar i otworów stareńkiej towarówki pęd pociągu smagał lodową dmuchawą i to im przeszkadzało, miały nas w swej mocy i były wolne tą nigdy nie spotykaną, absolutną, upajającą wolnością, gdzieś poza światem, na omroczonej, rozdygotanej, zmykającej spod kół przestrzemi, mogły robić co się chce, nic nie stało na przeszkodzie, tylko zimno, ładowały więc polanka ile wlezie do piecyka, aż stanął w tym miejscu słup ognistej blachy, w jego refleksach wyblyskiwały z półmroku nagie, rozpalone zdawało się do czerwoności ramiona, uda, piersi... Śpijmy, powiedziała Aleksandra, chcę się świnić, niech się świnią... Odwróciła się do nich plecami przygarnawszy mnie do siebie, że niby też leży w uścisku. Czas jakiś nic nie widziałem, ale kiedy się nieco odsunąłem, bo mi się zrobiło od niej gorąco, ujrzałem Chalila na tej herodowej babie, ich atamance, już zaczął. Nie trzeba go było prosić ani podniecać jak trzech kalininowatych braci powroźników, których jedna, obracając się zwolna, wabiła w postawie rozemdlonej bajadery, oczy im się śliniły na te wygibane obietnice, ale byli z bogobojnego domu, trzymali się, siedząc sztywnym rzędkiem, jeden przy drugim, odrętwiali, z twarzami osłupiałymi w umęczeniu *istukanów*, dopiero przy ruchu z propozycją nie do powtórzenia najstarszy rzucił się jak po zbawienie, wszystkie na to zaklaskały z triumfalnym rechotem i w okamgnieniu podzieliły się pozostałymi dwoma, a te, dla których nie starczyło na razie, przypomniały sobie, że jest przecież jeszcze jeden, ten młodziutki, dajmy chłopcykowi skosztować... Kurwa wasza mać! wrzasnęła na nich Aleksandra z taką wiązanką na dokładkę, że odskoczyły. Ja się do waszych nie dowalam, to się odczepcie od mojego... Otóż, gdybym nawet zdobył się na to, by opowiedzieć komuś to wszystko, nie Nadi oczywiście, ale komuś z chłopców, to wypadłaby po prostu relacja, sprośna relacja pozbawiona istotnej dla mnie treści, bo stanu, w jaki popadłem rażony tą ohydą, nie potrafiłbym oddać, a tego, co potem zaszło, wstydziłbym się komukolwiek wyznać.

Zdawało mi się, że zaraz coś się stanie, zwymiotuję albo przewrócę piecyk, żeby to się skończyło, albo uderzę, odtrącę Aleksandrę, ale nic nie uczyniłem, dygotałem przy niej z doznanego szoku, ze wstrętu i mimo wszystko z podniecenia. Ona to wyczuła przez ubranie, patrzcie, czego mu się zachciewa, za młodyś jeszcze, wystarczają ci całuski, niewinne pieszczotki... Być może, kiedy to mówiła i pogłaskała mnie, całując tylko, takie miała intencje, potem, myślę, mąż jej chyba przypomniał się albo kochanek, a i to co się działo wokoło musiało narkotyzować. Całować i pieścić zaczęła wcale nie niewinnie, odpowiadałem bezwiednie, jak gdyby zbudził się we mnie ktoś zupełnie nieznany, ktoś kto zna kobietę, tego się nie spodziewałem – musiałeś niegorzej dokazywać z dziewczętami – i odrzuciła bluzę i resztę skrupułów, jeśli je miała jeszcze, tak że w końcu, gdy światło dnia padło na wygasły dawno piecyk i na ciała leżących pokotem zmordowanych kobiet i mężczyzn, czułem się odrzuconą brudną szmatą, taką samą jak Chalil i trzej powroźnicy, nie, mówiłem sobie, jestem gorszą szmatą, oni się po prostu ześwinili, niewiele mając do stracenia, ale ja zgubiłem duszę, nie duszę – puste stare słowo! ale całą twarz, postawę, prawo do przykładu, miejsce w awangardzie. Mniejsza o niewinność, wcześniej czy później ją się traci, ale żeby utracić ją w sposób tak paskudny, wynaturzony i żaloszny! Żeby potem nie wiedzieć nawet, czy się jest już mężczyzną?! Bo przez co dochodzi się do męskości? Jeśli trzeba osiąść kobietę, mieć z nią stosunek, to nie, nie miałem, ale jeśli przez doznanie rozkoszy, to tak, przeżyłem ową rozkosz, na którą istnieje specjalne słowo, znałem je, nawiedzało mnie niekiedy przecuciem najwyższego upojenia, teraz nie mogłem sobie przypomnieć, mętniało mi w głowie, wszystko co było przed tym, było zamazane i obce jak po chloroformie w Szpitalu Ujazdowskim, gdy doktor pytał się, a jak ci na imię, pamiętasz? Twarz Aleksandry, tak czysta w błogim śnie, przejmowała zdumieniem i nienawiścią. Na szczęście wysiadła tegoż dnia z całą bandą. Jechaliśmy potem sami całą dobę. Na peron w Moskwie bracia zeszli z trudem i ruszyli pokracznie, jakby mieli w kroczu rozżarzone węgle, patrząc na nich dziękowałem w duchu Aleksandrze, uchroniła jednak, byłbym może także chory. Krótko tym się cieszyłem, zrozumiawszy niebawem, że nabawiłem się czegoś gorszego. W Komitecie Centralnym, kiedy towarzyszką odczytywała mi skierowanie do organizacji charkowskiej, przypomniałem sobie raptem tamto słowo – orgazm! – zalałem się czerwienią po uszy i myślałem już tylko o tym, by wynieść się

czym prędzej. I tak wszędzie gdziekolwiek byłem, szła za mną ta noc, upokarzała i dręczyła swą ohydą, napotkane dziewczęta i kobiety widziały mi się w jej refleksach – tyle udręki, wstydu i odrazy, że wolałbym już rzeźączkę, można się z tego wyleczyć i żyć, ale z taką skazą psychiczną?

Nie miałem nikogo, kto by pomógł, poradził bodaj z własnego doświadczenia. Spróbowałem raz wypytać oględnie Sormowicza. Wyglądał na takiego, co to przeżył. Ano przeżył dawno, kiedy miał dwanaście lat, z wychowawczynią w przytułku. Odtąd sypia z kim się nadarzy okazja. Mówił rzeczowo, bez żadnego skrępowania, jak się mówi o jedzeniu albo i pracy, o czymś najzupełniej normalnym, czego się nie da uniknąć, a co trzeba umieć, on umie i one to zaraz poznają... Po czym poznają? A bo ja wiem, odrzekł, spojrzę im w oczy, wezmę za rękę, już czują...

I na domiar wszystkiego – to także należałoby powiedzieć Nadi – musiałem jeszcze zastać u niego Swietłanę! Wyjeżdżając wczesnym rankiem z miasta namacałem w kieszeni nieoddany klucz od komórki zwanej magazynem, gdzieśmy trzymali narzędzia i farby, bez których Sormowicz nie mógłby malować, czego się właśnie podjął. Od niejakiego czasu nie sypiał w klubie, pojechałem więc do niego, pchnąłem drzwi i spod koca na łóżku wyskoczyły dwie głowy. Bąknąwszy przepraszam, położyłem klucz na stole i ruszyłem dalej. Przez całą drogę widziałem to i pojąć nie mogłem – Sormowicz i Swietłana? Inteligentna, prześliczna i zdawałoby się subtelna dziewczyna, zaangażowana w pracy ideologicznej, i ten kurdupel ledwo sięgający jej do ramienia, owszem, w gruncie rzeczy dobry mały, nie włóczy się już, nie kradnie, ale brudas, półanalfabeta, twarz wymoczka, usta sinawe, obwisłe, nie usta, ale fafle legawca, jak można całować takie fafle? A czy koniecznie muszą się przy tym całować? Sormowicz, cóż, nie dziwię mu się, taka okazja, ale ona! Kocha przecież innego, mówiła o nim z miłością i uwielbieniem, jest odważny i mądry, pracuje na szczeblu krajowym, pryncypialny, wystarczyłoby, żeby się odezwał wówczas, kiedy wyznaczano ją do Ługańska, a zostałyby z nim w Charkowie, ale on się nie odezwał w ich prywatnej sprawie i za to, mówiła, również go ceni i kocha, choć skazał na rozłąkę... I pomyśleć, że wierzyłem w eciepecie, jakie plotła, zbrukanym i upadłym czułem się wobec tak pięknej i czystej miłości! A zakochana Swietłana sypia tymczasem z przygodnym partnerem, najzupełniej normalnie, racjonalnie, dla zdrowia organizmu, dla dobrej sekrecji jakichś tam gruczołów, taka jest miłość, możliwe, ale

mnie ona mierzi, przyprawia o mdłości, jak pewne odory i wydzieliny! I to teraz, gdy wyznałem tobie wszystko, powinnaś, Nadia, zrozumieć, wybaczyć, że nawet twoja bliskość, takie sobie pogłaskanie wywołuje złe, odpychające odruchy...

Naturalnie nic z tego wszystkiego nie powiedziałem. Biłem się z myślami, jakby się tu wytłumaczyć, nie zasłużyła na przykrość. Kiedy więc usłyszałem szelest siennika, że się przewraca, że także nie śpi, to się odezwałem:

- Wybacz, ale to nie ma nic wspólnego z tobą. Po prostu nie lubię, jak mnie dotykacie.

- Co za my?

- No wy, dziewczyny, kobiety...

- A dużo nas znałeś?

- Dostyc, żeby się poznać.

- To śpij spokojnie, ja cię nie doruszę!

Wypadło jeszcze gorzej, nie do poprawienia. I to mnie tak wzburzyło, zdenerwowało, że musiałem, jak zwykle w podobnych chwilach, musiałem wyjść.

Na dworze gęsi gęgały. Przypomniał mi się Kapitol, Rzym, Wieczne Miasto. I gwiazdy ćmiły wiecznością. Patrząc na nie uspokajałem się zwolna, nikły robaczek świętojański, odbłyśkujący im mgnieniem swego życia, nadziei, udreki...

Kiedy wracałem, zroszony chłodem wieczności, przewróciłem po ciemku taboret. Podnosząc go usłyszałem dźwięk podobny do płaczu. Biała sylwetka Nadi w koszuli wystawała trochę ponad parapet okna, a więc podniosła się z posłania, coś jej dolega. Postąpiłem ku niej i zaraz rozpoznałem – siadłszy w kuchni trzęsie się, krztusi –

- ...mówi nie dotykajcie mnie kobiety... a potem susia...

Wieczność bluznęła śmiesznością. Pozostawało już tylko zniknąć na zawsze, odejść natychmiast, póki trwa jeszcze spazm śmiechu. Znaleźć bluzę mogłem od razu, wisiała na poręczu łóżka, włożenie jej wymagało jednak pewnego wysiłku i czasu, przy podnoszeniu ramion bowiem odzywał się ból w żebrach, schowałem ją pod pachę, by włożyć później na ulicy, sięgnąłem po „Elementarz komunizmu” na półce z książkami, dotknąwszy grzbietu, poznałbym go na ślepo, wtem usłyszałem stanowczy, ściszony niemalże do szeptu głos Nadi:

- Tak nie wolno. Jeśli teraz wyjdiesz, to już nie wracaj. Nie będę cię chciała. Nigdy!

- Pomyślałby kto, żeś mnie kiedyś chciała...

Odburknięcie wcale jej nie dotknęło, przeciwnie, sprawiło jak gdyby zadowolenie – taka dziwna i zaskakująca! – poznałem

po głosie, że uśmiecha się, rozjaśnia:

– Ależ ty głupi, Gorik!

Oszłamiająco zabrzmiało jej pieściwe zdrobnienie, przez dźwięk „u”, i miękko, z ukraińska wymówione imię – *nu i głuuu-pyj że ty, Horyk!*

Pociągnęła pod okno i tu, gdzie było trochę widniej od księżycy i gwiazd, zajrzała mi w oczy.

– Obejmij mnie.

Objąłem.

– Pocałuj.

Pocałowałem.

– Nie, wcale nie czuję, żebym była ci wstrętna... Więc co to było?

– Zawrót głowy, coś mnie naszło.

– Nie wykręcaj się. Widziałam! Miałaś taką minę, jakby żaba cię dotknęła...

Zrobiło mi się nieswojo, słyszałem już, że na mojej twarzy wszystko znać, taka czytelna, czyżby Nadia odczytała? Przeniknęła?

– ... i potem jeszcze bredzenie o kobietach, że dosyć ich znasz, że nie cierpisz... Kochałeś się nieszczęśliwie? A może kochasz kogoś?

– Nie, słowo daję, ani to ani tamto.

– Więc co ci jest, możesz powiedzieć? Odłóżcie Bucharina, towarzyszu kierowniku, i siądźcie przy mnie.

Milczeliśmy.

– Siedzimy jak przed podróżą.

– Właśnie – przytaknęła z zamyślenia Nadia i wzięła moje dłonie w swoje. – Musimy się szanować, Horyk. Wiesz, nie mogę jakoś zapomnieć. I rozmaite inne momenty przypominam sobie, i nie potrafię rozwiązać tego, jakby się wyrazić...

– Tego binomu Horyka.

– Przestań. Jeśli mnie to nie daje spokoju, to powinieneś powiedzieć.

– Naturalnie powiem, skoro tobie tak bardzo na tym zależy, ale to będzie wymuszone i ogromnie dla mnie męczące. A jest mi tak dobrze, Nadia, nie psuj tej chwili, zaczekaj.

– Oczywiście, kiedy sam będziesz chciał... Ale musisz mnie szanować – powtórzyła z uporem i z tą samą intonacją, jak gdyby unikała słowa „kochać”. Po paru dniach zrozumiałem, że te słowa zlewając się znaczeniowo stanowią dla niej jedno nierozdzielne pojęcie. Wyniosła to z domu. Rodzice jej bardzo kochali się i szanowali, zwracając się do siebie po imieniu i

otczestwu, co w pożyciu małżeńskim, w banalnej prozie dnia powszedniego rodziny trąciło staroświecką i nieco zabawną już solennością – skosztowałbyś jeszcze tej potrawy, Piotrze Wasyljewiczu – a i owszem, nienasytna ty moja, Marfo Iwanowno... I najstarszy brat, ten, co zginął na kaukaskim froncie, tak samo od początku, jak zaczął chodzić ze swoją narzeczoną, zawsze ją szanował. A młodszy nie zawsze, dopiero po drugim dziecku, żył z żoną coraz lepiej, z czasem byłiby może dorównali rodzicom pod względem zgody i wzajemnego zaufania, ale go biali zabili. Wyjaśniła mi to owej nocy, kiedyśmy przytuleni siedzieli na podłodze pod oknem, także wtedy nie zdawałem sobie sprawy z tego, że dla Nadi szanować znaczy nie tylko uznawać, cenić czyjąś godność, to słowo znaczy coś więcej, bo intymność i bliskość i jedność dwojga ludzi taką, kiedy nie ma między nimi i nie może być żadnych nieporozumień, ani wstydu ani jakiegokolwiek rzeczy utajonej. Zastanawiałem się, dlaczego dwa razy użyła tego słowa, z jakimś szczególnym naciskiem, i o czym znowu myśli, ona tymczasem strzeliła kapitalnym pytaniem:

– Czy generał Abramow to naprawdę twój stryj?

– Jaki znowu generał?

– A ten sam, wiesz, dowódca drugiego korpusu kozaków dońskich.

– Bzdury! Skąd ci to przyszło?

– Ktoś mówił, że to twój stryj.

– *Wot podleć!* – obruszyłem się. – Mój ojciec był tylko kapitanem i miał brata, socjalistę, obrońcę w procesach politycznych! Nie rozumiem, skąd się wzięła ta plotka i kto mnie tak załatwia?!

– Ciszej, dzieci pobudzisz... Wystarczy, że to nieprawdą.

– Tak? A dlaczego w takim razie zagadnęłaś mnie nagle o stryja i to w takiej chwili? Bo już się zakradło zwątpienie! Bratanek generała, pomyślałaś, *pieriebieżczyk*, przerzucił się do naszego obozu, czy można takiemu ufać?

– Nie, tak nie pomyślałam. Inaczej. Ci ludzie z burżuazji, z ziemiaństwa mają zupełnie inne życie, inne wychowanie, i zwyczaj, i maniery. Póki się nie upiją, to są opanowani, wytworni i damy całują w rękę. Są skryci, gracze nie mogą pozwolić sobie na szczerłość, a oni ciągle grają między sobą o majątki, o stanowiska i ordery. Jeśli Horyk, pomyślałam, pochodzi z tej klasy, to nie jego wina, że jest skryty i nieufny, tak go wychowano, by umiał być twardy i samotny, nie zdążyli tylko urobić na egoistę, dlatego taki pokręcony...

– I żał się zrobiło, chciałaś wyprostować, *pierewospitat'*?

- Po prostu podobałeś mi się i już. A te kręte domysły i kpinki zostaw, to mnie obraża. Kto inny dawno by zrozumiał. No, czy ja bym tak siedziała z kimś obcym, dół którego nic nie czuję? Za kogo ty mnie masz?

Dłoń jej, zaciśnięta na moim przegubie, puściła, zdawała się odrzucać, dłoń krzepka i gorąca, chciałem ją ucałować, wyrwała - nie wygłupiaj się, nie jesteś z generalskiej rodziny! - i pocałowała mnie w usta - tak trzeba, od serca!

- A kiedy - spytałem ochłonawszy nieco - kiedy poczułaś coś do mnie?

Okazało się, że już w klubie na pierwszych zajęciach wydałem się jej sympatyczny, potem to i owo we mnie podobało się - mniejsza z tym - zebrało się nam na wynurzenia, na wyznania, zacząłem opowiadać o sobie - to również nieważne - ale kiedy mówiłem o przełomie w związku ze wstąpieniem do Komsomolu, jak chciałem wyrwać się z mego środowiska, jak mnie gnębiło, że jestem synem oficera, a nie proletariuszem, to Nadia wtrąciła:

- A ja, czytając Czarską, chciałam być księżniczką Dżawachą. To było przed rewolucją, byłam mała i głupia, czułam się w gimnazjum obco wśród dziewczynek z zamożniejszych domów, córka maszynisty, co innego księżniczka, wszyscy ją kochają, zgadują życzenia, noszą na rękach!

Uniosę, powiedziałem sobie, mamę podnosiłem, Nadia jest lżejsza, trzy pudy z czymś, uradziłbym, gdyby nie te żebra! Zawahałem się, ale ona, taką zaskakująca, niepojęta, Binomka jakaś, spytała mnie właśnie, jak ją nazywam w myślach, tylko Nadia, czy inaczej, ona o mnie myśli Horyk, wtedy kłamka zapadła - muszę! Choćby mi żebra wylazły, uniosę ją zaraz i powiem, że jest kochana, czym jest dla mnie, że to miłość na śmierć i życie... Wstałem - co robisz? zawołała, poczuwszy, że biorę ją na ręce.

- Nazywam cię Binomka...

Tyle tylko zdołałem wymówić - w piersi trzasło coś, wybuchło takim bólem, że się zachwiałem - zdążyłem postawić ją na posłanie i osunąłem się, usłyszałem jeszcze, wariat! - potem zobaczyłem, że lampa pali się na stole, że Nadia cuci mnie i płacze.

- Binomka...

Cisnęła mokry ręcznik na podłogę - nie mów tak do mnie! nie chcę słyszeć tego słowa! - skoczyła po spódnicę, ręce jej latały z gniewu i zdenerwowania - *atlet! kupidończyk! moj mileńkij s fasonom!* - wymyślała mi ubierając się, by biec po felczera.

- Nie trzeba, Nadiu, nic mi nie jest.
- Nie wierzę, znów się popisujesz!
- Ależ naprawdę... Już przechodzi, przejdzie, ja to czuję.
- Pokaż.

Obejrzała pierś, delikatnie dotknęła żeber obmacując – nie widzę, żeby tu coś wyskoczyło... Toteż mówię, nie ma sensu fatygować staruszka w nocy...

Dała się w końcu przekonać i zgasiła lampę.

- Podobno śpię spokojnie – zakomunikowała układając się obok z tamtej niebojącej strony – myślę, że cię nie doruszę.

- Jużes mi to przyrzekła.

- Kiedy? Ach, wtenczas... Aleśmy mieli noc! Popatrz, już i dnieje – uniosła się w łokciu, by spojrzeć na świt, na moją twarz – to się nazywa pierwsza noc? Rozkosze, nie ma co! Jestem zupełnie połamana i śpiąca...

Podłożyłem ramię pod jej głowę.

- A wstać musisz wcześniej... Śpijmy.

- Czemu się uśmiechasz?

- Bo mi się coś przypomniało.

- A co? – spytała z wysiłkiem, oczy jej się zamykały.

- Ktoś tak do mnie powiedział – śpijmy.

- Dawno?

- Nie tak dawno, w drodze do Moskwy. Jechaliśmy fantastycznie, własnym wagonem, ja, Tatar jeden i trzech braci powroźników, a każdy z nich był wypisz, wymaluj towarzysz Kalinin...

Stało się. Musiałem sięgnąć dalej, byłem na wezbranym nurcie. Mówiłem z nieprzepartej serdecznej potrzeby, z jasną wyzwajającą pewnością, że mogę to wszystko tylko jej i właśnie teraz w tym momencie...

- ... a była wśród tych bab jedna inna, wołały na nią Aleksandra, taka sobie litościwa kobietka, rozumiesz?

Usłyszałem leciutkie posapywanie. Spała. Spała smacznie, zaróżowiona. Pyszne, czarne brwi, tak wyraziste w wymownej ruchliwości, spoczywały rozrzucone gdzieś między zdziwieniem a błogością. Ufny, ukojny rytm oddechu wzruszał – i zamykał słowa o tym, co się działo w upiornej *tieptuszce*, oddalała się, uchodziła w noc unosząc Aleksandrę i kogoś przy niej, kogoś obcego, z kim zerwałem, nie dręczył już mnie ani lękał, trudno było wprost uwierzyć, że się wyzwoliłem, że byłem czysty, zamiast wstrętu, wstydu i poniżenia czułem coś z ekstazy. To nie cuchnęło – pachniało! W lesie od nagrzanego słońcem żywicy dostaje się czasem takiego zawrotu głowy. Delikatnie, by nie zbudzić, wodziłem głodnymi wargami, chłonałem zapach jej

włosów i ciała, musiałem się jednak zdradzić – wachaj sobie, wachaj, wymamrotała, ja i tak czuję – i mocniej przywarła policzkiem do moich ust. Za oknem, za czarną wiechą orzecha na roziskrzonym niebie, wstawał cudowny dzień. Bojąc się poruszyć leżałem na wznak z głową kochanej na ramieniu, ból w piersi ustawał, a szczęście wzbierało.

Przebudziliśmy się późno. Wszystkie jej podopieczne czworonogi i skrzydlate upominały się o swoje, głosiły na całe podwórze o głodzie i zaniedbaniu.

Otworzyła oczy.

– Horyk...

– Dobry ranek, Nadiu.

– Jest ci lepiej? Jak się czujesz?

– Fatalnie. Słabnę, umrę bez ciebie, jak te twoje stworzenia, słyszysz?

W okno biły na alarm gęgania, beczenia i kwiki.

– *Ojej, kozy blejut, porosiata chriukajut. Nadieżda Pietrowna każetsa wlubitas'!*

Zerwała się z postania, ale prześcieradło owinęło się wokół jej stopy, majtała nim w powietrzu jak płachtą flagi, i choć minęło tyle czasu, sierpień 1920 – październik 1970, pięćdziesiąt lat i dwa miesiące, można zapomnieć, a człowiek pamięta tę stopę ze szmatą na skaleczonym dużym palcu, stary człowiek pamięta ten ranek pierwszej miłości, dni i noce owego sierpnia, przebiera w szczegółach, drobiazgach kochanych, szkatułkowych, stara się je odświeżyć, zapamiętuje się w nich nie zważając na to, że ktoś zobaczy i co sobie pomyśli, guzik mnie to obchodzi, ja mówię do siebie... Były potem kobiety bardziej kochane, były miłości bardziej znaczące w życiorysie, ale dla mnie, jakiego nikt nie zna, bo w sobie błędę, żadna nie była doznaniem tej miary, co ta pierwsza – odkryciem, wzlotem i uzdrowieniem!

Ma się rozumieć, jakżeśmy się już dostali do tego sadu, to musieliśmy potem skosztować z drzewa żywota, nic nam nie mówiło, że to owoc zakazany czy jakiś wstydlivy, braliśmy bezgrzesznie do syta, braliśmy swobodnie, bo przed tym była ta właśnie noc bardziej intymna i wiążąca, i był dzień jak gdyby po rozłące, dzień powrotu do odzyskanej zażyłości, oto znów jesteśmy razem, dwoje od dawna złączonych, tak żeśmy się czuli i nawet bawili w tym duchu.

Przyniosła kuferek. Domyśliła się, co knuję, że pójdę do klubu, wymknęła się więc niby po coś do sąsiadki i wróciła z moim kuferkim. Uniosła wieko, zaczęła wyklądać wszystko na

stole, jak gdyby zawsze dbała o całość i porządek moich rzeczy. Zmarszczyła brwi.

- Ja nie widzę koszul... Cóż to, nie masz ani jednej koszuli?

- No jakże, mam trzy.

- To gdzie one są?

- Jedna na mnie, widzisz, sama ją przecież uprałaś, drugą dałem Sormowiczowi, bo ta w której przyjechał z Niżnego całkiem sparciała i już się rozłaziła...

- Dobrze, dobrze, chcę wiedzieć, gdzie trzecia?

- Chyba Rappaport wziął, on, wiesz, jak potrzebuje, to u mnie pożyczca.

- Coś podobnego! Sormowicz, to jeszcze, ale Rappaport? Jakim prawem Rappaport bierze twoje rzeczy? Inspektor erkai! Człowiek na stanowisku, w kurtce, z teką, ze *specpajkom*, i nie stać go na pół arszyna płótna na grzbiet, pomyślałby kto, *takoj nacha!* - wykorzystuje twoją dobroć, twoją delikatność... Igorze Nikolajewiczu, masz odebrać koszulę!

- Ależ Nadieżdo Pietrowna, gołąbko moja - bąkam wchodząc w rolę pantoflarza i safandudy - jakże mógłbym tak nagle, tak niedelikatnie... Zaczekajmy trochę. On, jak zbrudzi, sam zawsze oddaje...

- Hospodi, to ja mam prać jego brudy! Ręce sobie urabiam, gotuję, sprzątam, piore, na nos padam ze zmęczenia, a ty mi jeszcze znosisz do domu cudze łachy! To ma być miłość! To jest mąż?!

- Co się tu dzieje? - woła zaglądając do nas bratowa. - Pokłóciliście się?

- Nie, uspokajam ją - my się tak ćwiczymy - i do Nadi. - A teraz odwrotnie, ty ulegasz... Od początku.

- Dobrze.

Przebiera jak przedtem w kufierku, tym razem ma ruchy wolniejsze i głos cichszy, jakby nieśmiały. - Ja nie widzę koszul...

Milczę nie znajdując jeszcze tonacji - mąż ma być stroną czynną, ma być górą, to nie znaczy tyran czy samolub, kocha ją, kocha mądrze, w szerszych pozamieszkańskich aspektach, ale jak to wyrazić?

- Zawsze milczysz, kiedy mówię prawdę - odzywa się podpowiadając mi Nadia.

- A co według ciebie jest prawdą?

- No, że wszystko rozdajesz i nie myślisz przy tym, czy nam starczy.

- Droga, nieoceniona Nadieżdo Pietrowna - podchwytuję

głosem wezbrany w przypiływie objawienia – miłość nasza nie mieści się w kuferku! Jest ponad wszystkie rzeczy, jakie mamy i jakich nie mamy, nie zna domu ani własności, nasza miłość pójdzie boso w świat szczęśliwy, siostra braterstwa, córka rewolucji!

– Tak, robisz rewolucję, a ja mam kozy doić i koszule prac – chlipnęła teatralnie – taka twoja miłość, taki mąż...

– Przepraszam w sprawie formalnej, nie dajesz mi dojść do słowa. Właśnie chciałem powiedzieć, że ty także! Nie praczka, nie kucharka, ale kobieta wyzwolona, towarzyszka walki, Nadieżda Krupska albo Kołtątaj! A ty w każdej wersji, jaką robimy, taką czy siaką, zawsze musisz być górą i wołasz, to jest mąż?! Tak nie można.

Bratowa w drzwicach wodzi za nami zdumionym wzrokiem.

– Czy to wszystko u was naprawdę czy na niby?

Nie wiem, jak jej wytłumaczyć, że chce się nam dzisiaj bziokować i śmiać. Czy można takim szczęściem świecić w oczy wypłowiałe od łez? Zmierzchem jest i przegraniem, schorowana wdowa z dwojgiem dzieci, niepodobna wywnętrzać się przed nią i nie trzeba, nie zrozumie nas, starucha, trzydzieści pięć lat, tyle co ja i Nadia mamy razem... Powtarzam tę samą co na początku odzywkę, ćwiczymy dla klubu, taką mamy rolę w spektaklu, ale Nadia podważa to i gmatwa:

– Najpierw pobierzemy się w komedyjce, a potem w Zagsie... Nie wierzysz? Myślałam, że widać, bucha z nas szalona registracja!

– A idźcie wy... Niech no ojciec wróci, będziecie wy mieli spektakl!

Postraszyla nas ojcem nie bez skutku, perspektywa konfrontacji z nim zaczęła niepokoić. Nie wtedy, bośmy się wtenczas rozeźmieli, ale później. Wracając do pracy w klubie, z wydziału oświaty, nieraz zatrzymywałem się przed furtką, zdjęty trwogą na myśl, że jest, że wypytuje Nadię i osądza, może przecież wrócić każdego dnia, zależnie od tego, kiedy nadarzy mu się sposobność wpaść do domu na parę dni. W całym naszym sierpniu widzę tylko jedną chmurkę na jasnym niebie, niepewność, jak on to wszystko przyjmie. Jeśli odczuwałem jakieś zagrożenie, to tylko ze strony Piotra Wasyljewicza. Nadia go kochała i liczyła się z jego zdaniem. Myślę, że nie tyle ze względu na bratową i jej dzieci, ale głównie dla niego nie poszła z domu jak większość ługańskiej młodzieży robotniczej – ten domek, ogród warzywny i sad to dorobek całego życia ojca, czterdzieści lat pracy maszynisty, setki tysięcy, może miliony wiorst przebytych

po to, by wejść nareszcie pod własny dach na skrawku ziemi, uprawianej miłośnicie z zawziętą gospodarnością chłopskiego syna, uchodźcy z biedniackiej zagrody, miał tu na stare lata krajobraz i klimat dzieciństwa, bez jego nędzy. Nadia dbała o to, by wszystko ocalić, utrzymać w stanie, w jakim ojciec zostawił żegnając się z budki wysłużonego jak on parowozu, odremontowanego w warsztatach ługańskich i zdatnego jeszcze do pracy dla rewolucji.

– Nadiu, co będzie, jak ojciec wróci? Nie boisz się?

– Ja się boję tylko szurów i wody, bo się raz topiłam... Myślę, że powie, ano zobaczymy, nie jesteś dzieckiem... Za bardzo mi ufa, on mnie przecenia.

Nawiasem mówiąc, gdybym był sam, albo inaczej, gdybym był tym samym co przed Nadią, może zdobyłbym się na bardziej stanowczą argumentację, broniąc się przed skierowaniem na urząd ponad moje kwalifikacje i wiek, na urząd nawet tymczasowo w zastępstwie nie do przyjęcia. Ale miałem Nadię i uskrzydłone poczucie możliwości. Nie jakiś tam miejski wydział oświaty, cały *Narkompros* objąłbym dla niej! Ma się rozumieć, ucieszyła się z początku, potem zaczęła się martwić i dzielić ze mną ciężkie dni, obojeśmy rozumieli, że na bezrybiu i rak ryba, i że przez ten urząd mamy mniej czasu dla siebie, a więcej zaafektowania i trosk o sprawy oświaty, o to, jak mi tam idzie. Słowem, jeśli chodzi o samolubne kalkulacje na zaimponowanie, to Nadia odpadła, ale Piotr Wasyljewicz został. W skrytości ducha liczyłem na to, że coś zyskam w jego oczach, poważne bądź co bądź stanowisko powinno w jakiejś mierze rehabilitować moje niedostateczne siedemnaście lat. Wyjeżdżając zostawiłem na stole tekę i parę urzędowych listów adresowanych do towarzysza komisarza, niech zobaczy, jeśli się zjawi podczas mojej nieobecności. Kuferka nie zabrałem. Żegnaliśmy się z Nadią w przeświadczeniu, że niebawem, najpóźniej za dwa tygodnie będę z powrotem.

W ostatniej chwili, kiedyśmy szli na dworzec, przyłączył się napotkany Sormowicz – a to i ja pójdę! – pobiegł, żeby komuś o tym powiedzieć, a może uzyskać zgodę na wyjazd, nie wiem, gdzie on się liczył i komu był potrzebny, absolutnie nieprzydatny w Ługańsku, obijał się i tęsknił za Niżnym, prawdopodobnie już się nosił z zamiarem powrotu, a że jechałem w tym samym kierunku, do Pienzy, przed jego miastem rodzinnym, to się poderwał i przyłączył, co mi tylko wyszło na dobre, nie mógłbym znaleźć bardziej zaradnego towarzysza podróży. Podróżował od małego, dosłownie, jak się wymknął z przytułku, to

się włóczył gnany głodem, strachem, nadzieją czy węchem, że gdzieś tam będzie bezpieczniej i do syta, zżył się z koleją jak z parą starych kapci i tym się szczycił, że nigdy nie miał biletu ani przepustki i nigdy jeszcze nie zapłacił gapowego. Dzięki niemu przemycaliśmy się szczęśliwie przez zapory i zatory podążając dość żwawo na północ.

Pewnego razu gdzieś między Woroneżem i Saratowem, kiedyśmy czarni od pyłu węglowego leżeli w zwalach koksu na platformie, opowiedział mi historię ich trójkąta – Kirył, Swietłana i on, Sormowicz. Najstarszy z nich trojga, Kirył, stypendysta seminarium duchownego, potem jeden z pierwszych komсомolców w Niżnym, temperament, jak mogłem wywnioskować, o zacięciu przywódcy: zaagitował, w pewnym sensie i wychował Swietłanę, córkę znanego, dobrze prosperującego lekarza. Swietłana z kolei odegrała tę samą rolę w nawróceniu jego, Sormowicza, który wówczas nie miał nazwiska ani stałego imienia, w imionach własnych i przydomkach z różnych lat i okolic sam się już gubił. Natknąwszy się na niego, śpiącego w altanie sadu przy willi ojca, zajęła się nim, *bezprizornym*, starała się odmienić, *pierewospitat'*, co niezupełnie jej się udało, uczyć się nie chciał, zachował niektóre nawyki i zamiłowania, ale włóczyć się przestał. Nabyte poczucie solidarności, które kazało mu zawsze trzymać się niezłomie z wychowankami przytułku przeciw personelowi albo z taką czy inną watahą *bezprizornych* przeciwko wszystkim i wszystkiemu poza nimi, teraz zostało przeniesione, nie bez pewnej sublimacji, na środowisko Swietłany i Kiryła. Zaczął pracować w zakładach metalurgicznych Sormowo, tam też przyjęto go do Komsomołu, a że nie miał nazwiska, nadano mu niejako w trybie adopcji zakładowej miano Sormowicz. Po tym jak Komitet Centralny przerzucił Kiryła na Ukrainę, Swietłana zgłosiła się do pracy w charkowskim Komsomole, a za nimi pociągnął i Sormowicz, chciałem wstąpić do Budionnego, mówił, nie wyjaśniając, dlaczego nic z tego nie wyszło i został mu się tylko sukienny hełm Pierwszej Konnej, w którym paradował wiedząc, jak pocieszenie wygląda, mały, mizernej kondycji, na kształt grzybka pod bohaterskim spiczastym szyszakiem z wielką gwiazdą czerwoną pośrodku, sam z siebie niekiedy pokpiwał, jednakże szczytnego nakrycia nie zdejmował z głowy... A więc Swietłana, nieco dalej Kirył, taki był rodowód jego przemian, układ wpływów. Cały trójkąt wiązała przyjaźń z oczywistą, uznaną bezwiednie hierarchią wartości ideowych, intelektualnych i moralnych. Sormowicz szanował i podziwiał Swietłanę i Kiryła, Swietłana – Kiryła.

Wszystko przejrzyste i zrozumiałe do Charkowa. W Charkowie Świętłana zaczęła żyć z Kiryłem, a w Ługańsku z nim, Sormowiczem.

– To są wasze sprawy, lepiej byś milczał – zirykowałem się w przypływie dezorientacji i niesmaku. – Nie rozumiem, po co mi to wszystko powiadasz.

– A żebyś nie myślał, że jest... – zatrzymał w ustach plugawe słowo, wyrzucił po chwili splunawszy. – Widziałem, coś pomyślał wychodząc od nas. Nie, ona nie jest taka.

– Słuchaj, o nic nie pytałem, sam zacząłeś. To ci powiem, że dla mnie taka dziewczyna, co niby kocha jednego, a sypia z drugim, nie jest przyzwoitą dziewczyną, a tym bardziej komsołką, towarzyszką.

– A co miała robić, kiedy ją rozdrażnił? Puścił od siebie, niech jedzie, niech pracuje i walczy, jak wszyscy, taki sprawiedliwy, a tego nie zauważył, egoista, że jest rozpalona, nieprzytomna, do niczego!

– Przecież żyli z sobą.

– On żył, nie ona! Jemu się zdawało, że jak sobie żywnął, to i ona. A właśnie że nie. One są inaczej urządzone, ja się na tym znam...

Słuchając go, kiedy tłumaczy, jak są urządzone, że każda jest inna i wymaga innego podejścia, musiałem przyznać, że jeśli na czymkolwiek on się zna, to właśnie na tym, dobry praktyk, dlatego chyba mimo brzydoty i moralnego umorusania ma jednak powodzenie. Trudno, poza poezją miłość ma jeszcze fizjologię i technikę, pomyślawszy o tym, uczułem niepokój, czy aby u mnie z Nadią nie było pod tym względem niezgody, niedosytu czy antynomii? Nie, żyliśmy rozkosznie i zgodnie, nie zdając sobie sprawy z istnienia techniki, niby dzikie dzieci natury, niby kochankowie z romansu przed kapitalizmem – szczęśliwym trafem dobraliśmy się, a możemy się niepostrzeżenie, sami o tym nie wiedząc, dopasowali, całe szczęście, inaczej diabli by wzięli poezję i byłby także dramat.

– ...a już taka kulturalna, delikatna, *nieżnyj cwiotczek*, można powiedzieć, to się sama nie rozpuści, do tegoż jeszcze ona się czuje przy nim mała i niewiele warta. Wielki człowiek, rozumiesz? Czy można baraszkować, jak się chce, z kimś wielkim, ze świętym na przykład albo z towarzyszem Dzierżyńskim? Co innego ze mną, nie ma się czego krępować, można przyjść, można odejść, ja się nie liczę, brodiaga, łachman, wierny pies...

Nie słowa, ale głos, gorycz i cierpienie w tym głosie, wszystko mi powiedziały.

– Nie przypuszczałem, że potrafisz kochać... Cemu żeś wyjechał?

– Uszarpałem się, też człowiek... A i dla niej lepiej. Czasem, kiedy całkiem osłabnie, to wpadnie do mnie jak do bürdelu, a potem znika, patrzeć na mnie nie może i sama się brzydzi... Ona się tym zadreczy.

Biedna, pomyślałem. Z odruchu serca, bez odrazy i bez przygany, mogłem uronić ten datek litości, byłem bogaty, bardzo bogaty...

Moja inicjacja erotyczna i przypadek Swietłany, obie te historie są zupełnie nietypowe dla komsomolców tamtych lat. Nietypowe! Też mi się powiedziało. Jak gdybyśmy dojrzewali i kochali nie jak młodzież wszystkich czasów, rozmaicie i niepowtarzalnie, ale w sposób możliwy do ujęcia w archetypy... Po prostu wśród komsomolców z okolicy mego rocznika nie spotkałem się z podobnym przebijaniem się pierwszej miłości przez kompleksy i obsesje jak moje ani z drugim takim dramatem rozdwojenia, poddawania się i samoudręki jak u Swietłany. Gdybym szukał tu jakiejś cechy wspólnej, czegoś dla nas specyficznego, to bym oględnie, wciąż w zakresie własnego widzenia, wskazał na jedną rzecz znamioną. Dojrzewaliśmy w międzyczasie moralnym, gdy powszechnie obowiązujące dotąd przykazania religijne, tradycje obyczajowe, konwencje środowiskowe były wyszydzane i obalane, a nowe normy moralne, normy–prawidła i prawidła–hamulce, istniały gdzieś w postulatach klasyków marksizmu, dostępne dla wtajemniczonych, którzy w sprawach seksu i miłości dawali mimochodem nie zawsze zgodne wypowiedzi. Po wtóre, korzystaliśmy z większej niż kiedykolwiek przedtem samodzielności i swobody w postępowaniu. Zdawałoby się, że wszystko to musi doprowadzić do owej rozwiązłości, o którą nieraz nas pomawiano, a której nie było, w każdym razie z nią nie zetknąłem się, poza jednym przypadkiem, bardzo zresztą wyolbrzymionym i krótkotrwałym, na samym początku istnienia w Symbirsku internatu–giganta przy pokazowej koedukacyjnej szkole średniej, tworzonej z wielkim rozmachem i pośpiechem, bez należytego doboru wychowanków i wychowawców. Poza tym nigdzie, przeciwnie. Współzycie chłopców i dziewcząt organizacji komsomolskiej zarówno w Symbirsku, jak i w Ługańsku cechowała przede wszystkim przyjaźń i – powiedziałbym – surowość obyczajów. Ogólnie biorąc, wydaje mi się, że erotyka odgrywała podówczas mniejszą rolę aniżeli w życiu młodzieży przed rewolucją albo chociażby u młodzieży obecnie.

SPUSTOSZENIE

W Pienzie przeżyłem z mamą ciężkie chwile. Miała sprawę rozwodową, potem walkę o dziecko. Ojczym nie chciał oddać Tani. Po zeznaniach świadków, po konfrontacji z teściową, sąd przyznał ją matce – odzyskała córkę przypłaciwszy to chorobą serca. Pierwszy raz zapadła na serce. Musiałem zająć się przewiezieniem jej i Tani do Symbirska. Dopiero tu, w Domu Dzieci Polskich, kiedy przyszła do siebie, mogłem oznajmić, że muszę wracać do Ługańska. Nie powiedziałem, że kocham, żyć nie mogę bez Nadi, ale że obowiązki komisarza wzywają mnie do natychmiastowego powrotu. To brzmiało, jak mniemałem, bardziej poważnie i przekonująco. Tymczasem mama zażądała kategorycznie, żebym najpierw skończył szkołę.

– Potem możesz zająć się polityką, albo czym tylko zechcesz. Nie byłem apodyktyczna, musisz to przyznać, nie narzucałam swego zdania, ale teraz absolutnie tak, masz siedzieć w domu i uczyć się aż do świadectwa szkoły średniej.

Wtedy wyznałem wszystko. Sięgnęła po papierosa. Nie pomogły perswazje, że doktor zabronił – musiała zapalić. Zaczęła wypytywać. Podążając wzrokiem za siwymi dymkami, które umiała układać w kółeczka i nizać prześlicznie, zastuchana, śledziła rozwój naszej miłości, sama jeszcze w stanie kochać i być kochaną, taka piękna, z lekko odrzuconą głową w złotej glorii puszystych włosów, o rysach omglonych wczesną jesienią, jaka była za oknem. Raz się uśmiechnęła, takim uśmiechem kobiety porozumiewają się czasem między sobą, wydało mi się, że widzę Nadię.

– Jeśli nie koloryzujesz, to trafiłeś na dobrą i mądrą dzie-

wczynę, twoje szczęście, Goria... Czy żyliście z sobą normalnie?

- Ma się rozumieć, mamo.

- No, to ja mogę zostać babcią... Co się tak gapisz, nie pomyślałeś o tym? - policzyła na palcach miesiące. - Wypadłoby to gdzieś w kwietniu, maju... Tatuś miałby lat osiemnaście, a babcia czterdzieści trzy, trochę za wcześnie, synku, ale nie wymawiam...

Humor jej się odmienił. Ożywiła się i przejęła inicjatywę. Tu nie ma co zwlekać, mówiła, wojna się kończy i rewolucja, a w czasach pokoju, nawet przy komunizmie, będą potrzebni ludzie wykształceni, Nadia powinna tu zaraz przyjechać. Pobierzecie się, będziecie mieszkali w małym pokoiczku obok i będziecie się uczyli, ty w swojej szkole, a Nadia u Jeżowa. To nie tylko znakomity matematyk, ale i świetny pedagog i człowiek dobry, jakże on się naszym Sławką zajmował, jak lubił. Doprawdy nikt tak Nadi nie przygotowuje do studiów z wyższej matematyki jak właśnie Jeżow...

W liście do Nadi to wszystko zostało przeze mnie przedstawione jeszcze bardziej ponętnie i nie do obalenia. Mama także napisała, dołączyła swoją fotkę z żartobliwie serdeczną dedykacją, żeby się Nadia przyjrzała, teściowa nie wygląda na jędzę... Wróciłem do budy i do pracy w Komitecie Miejskim Komсомоłu. Czas mijał, odpowiedzi nie było, może list nie doszedł, myśleliśmy, to się nieraz zdarza, napiszemy jeszcze raz. Minął tydzień i drugi - nic. Powiedziałem, że dłużej czekać nie mogę. Mama tym razem nie oponowała.

Był początek listopada, w Symbirsku zaczął prószyć pierwszy śnieżek, a w Ługańsku, gdzie wylądowałem po iluś tam dniach, inna szerokość geograficzna dawała się odczuć marcowym słońcem i pogodą. Podróż zeszła po dawnemu, kolej funkcjonowała tak samo, to znaczy ledwo-ledwo i nie wiadomo kiedy, zwiększyło się tylko ryzyko. W miarę zbliżania się do guberni tambowskiej robiło się trwoźnie jak w pasie przygranicznym, za którym leży obce, wrogie państwo. Tam nie ma sowietów, mówiono, inni twierdzili, że są sowiety, ale bez komunistów, chłopci sami się rządzą, wybierają swoich i tworzą republikę włościańską. Antonow w tych rozmowach urastał do legendarnej potęgi. Antonow, mówiono, zebrał wielką, świetnie uzbrojoną armię, nawet dwie armie, morszańską i sampurską, ludność im sprzyja, dlatego zwyciężają... W Symbirsku słyszałem o jakimś powstaniu kułackim gdzieś na tambowszczyźnie, siła i rozmach terytorialny tego ruchu ukazały mi się dopiero w czasie tej podróży, mimo to nadal wierzyłem, że to robota

kułaków, dziwiłem się tylko, skąd się ich tylu wzięło i jak się to stało, że opanowali całą gubernię... Pewnej nocy zbudziły mnie strzały i wrzaski. Ludzie wyskakiwali z wagonu i kryli się między kołami. Kto miał broń, kładł się w rowie za torem i strzelał z żołnierzami konwoju, paliłem jak wszyscy z prawa i z lewa, dopiero po jakimś czasie nie widząc nikogo w ciemnościach opanowałem się, uprzytomniwszy sobie, że wróg musiałby stanąć tuż-tuż przede mną, abym go mógł trafić z konstabla. W sybirskiej składnicy broni krótkiej nie było większej armaty jak ten muzealny pięciostrzałowy bębenkowiec, który ponoć należał niegdyś do uzbrojenia Królewskiej Konnej w Kanadzie, wybrałem go jednakże nie ze względu na imponujący kształt, ale żeby nie mieć kłopotów z amunicją, pasowały doń bowiem naboje karabinowe, były tylko nieco przydługie, obrzynając zatem łuski pod wymiar bębena i odlewając w glinie kule, byłem samowystarczalny, nie martwiłem się o ładunki jak niektórzy towarzysze z mauzerami i coltami. Pod względem akustycznym była to straszna broń, ten konstabl, grzmiał niczym haubica, gorzej z celnością, owszem trafiało się do pnia lub innego większego celu, na osiem, dziesięć kroków, nie dalej. Otóż przypomniawszy to sobie, odzywałem się już z rzadka, dla podtrzymania naszego ognia w rowie basową nutą, dopóki nie nadjechała lokomotywa z dwiema lorami żołnierzy, wtenczas oni przejęli walkę i poszli w pościg za napastnikami, a myśmy wrócili do wagonu, gdzie jęczała ciężko postrzelona kobieta. O świcie pociąg ruszył uwożąc żywych, rannych i zabitych.

Piotr Wasyljewicz przyjął mnie z oziębłą uprzejmością, Nadi nie ma, ale kuferek jest, proszę bardzo, powiedział, jak gdybym przyjechał po kuferek. Spytałem, kiedy wróci? Wzruszył ramionami, któż to wie, wyjechała do Moskwy.

- Czy otrzymała nasze listy?

- Przepraszam, czyje, mianowicie?

- Moje i mojej matki.

- Nie, żadnych listów... A w jakiej sprawie, jeśli wolno wiedzieć, pisaliście z mamaszą do mojej córki?

- Mieliśmy się przecież pobrać, czy Nadia nie mówiła?

- O was? A jakże. Toć tu żeście leżeli poranieni. Dużo mówiła i nawet z sympatią... Ale żeby się wybierała za męża? Pierwsze słyszę.

- W takim razie przepraszam. Niepotrzebnie przyjechałem.

Może poruszył go mój wygląd po ciężkiej podróży i wyraz twarzy, a może się połapał, że tak nie wypada, nie rozmawia się z gościem z dalekich stron stojąc pośrodku pokoju, z kuferkami

na podłodze między nim a sobą – poprosił, żebym usiadł i odпочał. Krzątając się przy szklankach i potem częstując herbatą z cukrem (w Symbirsku wciąż używaliśmy sacharyny z wyprawy po srebrne runo), chciał czymś zagadać przykre powitanie, nie pogodą, próbował więc aktualną sytuacją, oto rewolucja zwyciężyła na wszystkich frontach, nie ma białych ani interwentów, z Polakami zawarto zawieszenie broni, na Dalekim Wschodzie co prawda trzymają się jeszcze Japończycy, ale na nich jest już mocny bufor, prosowiecka Republika Demokratyczna od Wierchnieudińska po Ocean Wielki, inaczej mówiąc nastaje pokój, *pieredyszka*, demobilizacja, ludzie wracają do domów, jak on, Piotr Wasyljewicz, można spokojnie pracować i budować, a młodzież bierze się za naukę. Nadia na przykład, po to właśnie wyjechała do Moskwy, żeby się uczyć...

- To samo, Piotrze Wasyljewiczu, mówiła mi matka przed wyjazdem, słowo w słowo.

- Przyjemnie usłyszeć. A konkretnie co?

- Żebym najpierw skończył szkołę i żeby Nadia przyjechała do nas i uczyła się u profesora Jeżowa, to znakomity pedagog, Jeżow.

- Co tam Jeżow! Na Nadi poznał się sam...

Nazwisko nic mi nie mówiło, ale z tego, jak zostało wymienione, mogłem wywnioskować, że to nie byle kto, starałem się odgadnąć – uczoney? inżynier z Moskwy? a może wysoki towarzysz?

- Takiego talentu nie wolno marnować przy gęsiach i kozach. Tak powiedział – nie wolno! – powtórzył z wyrzutem, jak gdybym czytał na Nadi talent matematyczny.

- Właśnie przyjechałem po to... – zacząłem wyklądać nasz projekt, ale Piotr Wasyljewicz uciął:

- Nauka we dwoje to żadna nauka. Poza tym jakaż z was para? Nadia jest zupełnie inna i starsza...

- Jeden rok nie stanowi różnicy.

- Dla dziewczyny? Ho-ho, dziewczyna w osiemnastym roku to już cały człowiek, a siedemnastolatek, za pozwoleniem, pozostaje wciąż jeszcze niedorostkiem. Nadia znowuż nie jest taka postrzelona... No, czy ona by wyjechała, gdyby czuła do was coś więcej niż sympatię?

Jeśli chciał mnie tym zranić i zbić z tropu, to mu się udało.

- A gdzie ona teraz się uczy? Gdzie mieszka?

- Nie mam pojęcia. Jak się urządzi, to napisze.

Wiedziałem, że niczego od niego się nie dowiem. Trudno, ja mu się nie podobam, będzie nadal zwodził i kręcił broniąc

przyszłości córki przed niedorostkiem. Zacząłem żegnać się, nawet nie zaproponowałem, żebyśmy zostali na noc.

– Naturalnie, kiedy będę mógł, powiadomię, żeście tu byli... Szczęśliwej drogi. Ukłony dla pięknej mamasy.

– A skąd, Piotrze Wasyljewiczu, wiecie, że piękna?

Zmieszał się.

– Nadia mówiła...

Wriot, staryj chren, zakląłem w duchu, widział! Widział fotkę, miał w ręku pierwszy list! Ale czy Nadia go otrzymała? Pomyślałem o tym idąc na nocleg do klubu i już się nie mogłem wyzwolić z udręki i zamętu, długie dni i tygodnie później biłem się z tą myślą, czy otrzymała? Bo jeśli tak, to nieodpowiadanie na listy moje i mamy i wyjazd bez zostawienia dla mnie bodaj paru słów jest gestem zerwania. Ostentacyjne milczenie, jakies nawet mściwe milczenie – nie chcę cię więcej znać! Zerwanie w sposób brutalny i ostateczny, bez powodu, bez jakiegokolwiek winy z mojej strony? Zbyt okrutne i zupełnie nie w charakterze Nadi. W całej mojej miłości, rozpamiętywanej wciąż i wciąż, w naszym pożyciu nie widziałem żadnego symptomu czegoś niedobrego, obraz Nadi stał przed oczyma czysty bez najmniejszej skazy, tylko czymś całkowicie odmiennym i głęboko utajonym dałoby się wytłumaczyć podobne postępowanie – czyżbym był ślepy, jak wszyscy zakochani, ślepy i głuchy na prawdziwą naturę kobiety, na ową przewrotność, o której mówią powieści, przysłowia i życie, Wieniamin Lwowicz na przykład, człowiek przecież nie głupi, a do zgonu kochał i czcił swą Anastazję, tę jędzę bizantyjską... Nie, to niemożliwe, perswadowałem sobie i chwyciłem się innej wersji, Piotr Wasyljewicz przejął listy i zataił przed Nadią, trzy miesiące czekała, była zaniepokojona, dlaczego nie wracam, co mi się stało, czyżbym zapomniał o niej? Z pewnością różne snuła domysły, a tymczasem ktoś wpływowo, ktoś autorytatywny mówił, będziesz drugą Kowalewską, pojedziemy do Moskwy i ja tobie pomogę rozpocząć studia pod kierunkiem najlepszych profesorów, uczelnie czekają teraz na takich jak ty, na zdolną młodzież robotniczą... Być może ociągała się jeszcze oczekując lada dzień mego powrotu, ale ojciec przynaglał, decydujże się, Nadieżdo, taka okazja! i ten ktoś – uczony? inżynier? towarzysz na wysokim szczeblu? – nalegał... Może być interesujący i niestary – na myśl o tym zamierałem z trwogi i wiłem się z zazdrości – zdawało mi się, że każdy, ktokolwiek tylko ujrzy Nadię, musi ją pokochać... Rwałem się do niej i byłbym zaryzykował przebycie 1200 wiorst bez przepustki i bez delegacji, ale gdzie się zatrzymać w Moskwie, z czego żyć?

Nikogo tam nie miałem i pieniądze się skończyły, został tylko fundusz towarowy, para nowiutkich kaloszy i srebrny *podstakannik*, starczyłoby na drogę, ale nie na pobyt, na dłuższy pobyt w stolicy, musiałbym się ukrywać albo znaleźć sobie pracę i szukać Nadi, która nie wiadomo gdzie mieszka i gdzie się uczy, prawdopodobnie na jednym z *rabfaków*, kursów przygotowanych dla młodzieży robotniczej, jakie powstawały wówczas przy wyższych uczelniach.

Chciałem poradzić się Swietłany, która znała Moskwę, mieszkając tam czas jakiś. Ale Swietłany nie było, wróciła do Kiriły. I wtedy na ławce przed komitetem, gdy siedziałem bezradny i skołowany, przyszło zwątpienie, czy powinienem szukać jej w Moskwie i w ogóle gdziekolwiek? Jedno z dwojga: albo Piotr Wasyljewicz powiedział prawdę albo zełgał. Jeśli istotnie tak było, jak mówił, to Nadia nie chce mnie widzieć, odeszła bez słowa pożegnania, zamykając tym drzwi za sobą i wszystkie moje starania znalezienia jej byłyby żałosne i bezcelowe. A jeśli zełgał, to mógł również skłamać, że uczy się w Moskwie, tymczasem ona może się znajdować w Kijowie, Charkowie czy w Piotrogradzie. Tak czy owak musi wiedzieć, dlaczego przybyłem dopiero teraz i co mnie tu spotkało. Staruszek felczer, który mnie leczył, z pewnością doręczy, kiedy ona się zjawi w domu. Poproszę także, by napisał mi wszystko, czego się dowie o niej, przede wszystkim, gdzie mieszka.

Tak zrobiłem i załatwiwszy moją sprawę w komitecie, ruszyłem jak rta wygnanie w drogę powrotną.

Ten stan samopoczucia wygnança i nostalgii za utraconym można by pominąć wraz z całą zimą 1920–21 roku. Upłynęła bez żadnych istotnych momentów. W domu miałem tę samą przytulność, matka była dla mnie jeszcze bardziej dobra i bliska w cierpieniu, ona jedna wiedziała... W ławce szkolnej czułem się wyrośnięty i obcy, starałem się jednak w miarę możliwości nie opuszczać lekcji, uczyłem się dobrze i bez wysiłku dzięki wybitnie egzaminacyjnej pamięci, chłonnej i płytkiej, szybko przyswajałem sobie materiał w sposób przejrzysty z segregowaniem wiadomości według ich wagi i powiązań, ale równie szybko to wszystko później wyparowywało zostawiając osad pojęć zasadniczych. Uczyłem się z dobrej woli, świadectwo ukończenia szkoły mając niejako w kieszeni. Profesorowie starej daty popatrywali na mnie kosooko i nie bez bojaźni. Byłem przewodniczącym komórki komsomolskiej i pierwszym delegatem młodzieży w radzie pedagogicznej, jeszcze się nie przyzwyczaili, nie wiedzieli, co to za figura – podesłany przez partię? współkolega?

trybun klas szkolnych? W oczy schlebiali, obgadując i wykpiwając za plecami. Gdybym był ostatnim bęcwałem i nieukiem, to by wszystko robili do ściągaczek włącznie, za uszy by mnie ciągnęli przez próg maturalny. Zdawało im się, że jak się mnie pozbędą, to drugiej zakały nie będzie, naiwni, raz im powiedziałem, może jeszcze wspominać będziecie nienajgorszym słowem, obywatele pedagogzy... Tylko dwaj, Borys Walentinowicz i Jeżow, traktowali mnie normalnie jako ucznia, cenilem ich i szanowałem.

W Komsomole wśród zwykłych zajęć, obowiązków i zadań aktualnych jedna akcja była całkowicie nowa i niezwykła – spotkania z młodzieżą „niezależną” na międzyszkolnych wiecach dyskusyjnych. Po raz pierwszy mogliśmy się ścierać w sposób jawny i honorowy na legalnej arenie polemicznej. Wypełniona po brzegi sala kolumnowa byłego gimnazjum szlacheckiego sprawiała wrażenie parlamentu albo wolnej trybuny, czegoś nie z tej ziemi ani z tego czasu. Oponenti, uczniowie ostatnich i przedostatnich klas szkoły średniej, występowali swobodnie, mając nasze słowo, że cokolwiek by powiedzieli, nie poniosą żadnych konsekwencji. Nie byli zvarci jak my, nie posiadali swego vademecum na wzór „Elementarza komunizmu”, w ich poglądach, w krytyce i postulatach pobrzmiwały dość chaotycznie rozmaite założenia programowe starszej generacji od liberałów do socjalistów, z przewagą tych ostatnich, najczęściej mieńszewików i eserów. Byli inteligentni i odcytani, niektórzy z nich, przestudiowawszy „Elementarz” i zasięgnąwszy zdania konsultantów z grona rodziny i znajomych, porobili sobie „kontry” na marginesie pewnych twierdzeń, myśmy natomiast źródła ich inspiracji nie znali, nie wiedzieliśmy, czym strzelą i do czego. Na ogół biorąc taktyka obu stron sprowadzała się do ściągnięcia przeciwnika z jego terenu na własny. Na nasze ciosy, miażdżące ustrój carski i kapitalistyczny, odpowiadali uskokiem, że kapitalizmu nie znają, a carat jest im równie nienawistny, wolą mówić o tym, co jest, co widzą i odczuwają, tłumaczenie tymczasowych mankamentów koniecznością dyktatury proletariatu jakoś do nich nie trafiało i budującą wizję komunizmu przyszłości odbierali jak ażeiści życie pozagrobowe. Mniejsza z tym, chodzi nie o ten odwieczny w gruncie rzeczy spór, ale o mnie, piszę o sobie. A więc mówili konkretnie i przyziemnie, liberalnie i humanistycznie, socjalistycznie i patriotycznie, jeden mówił o pierwiastku bożym w człowieku, o człowieczeństwie i dobroci, kiedy indziej powiedziałbym, bred mistyczny, wtenczas jednak czułem – i to tylko

istotne – czułem w nim coś bliskiego i widziałem oto, jak ludzie w warunkach dyskryminacji i milczenia zyskują na sympatii, jak stare, wystużone, zdawało się słowa i hasła nabierają nowej mocy (w 1923 roku stenografując w sali opery kijowskiej pojedynek polemiczny protojereja Żukowskiego z Kantorowiczem na temat „Bóg albo nauka”, ujrzałem tego mistyka obok Żukowskiego. Podobno został później aresztowany wraz z nim).

Lubiłem *subbotniki*. Tej zimy, ostatniej zimy „komunizmu wojennego”, gdy *razrucha* weszła w szczytowe stadium rozkładu i nędzy, mieliśmy ich wiele. Przy odśnieżaniu ulicy, przy wyładunku z wagonów opału dla szkół pracowało się wesoło z zawziętością rywalizacji, która grupa zrobi więcej i prędzej? która zwycięży? – namiastka sportu podbudowana satysfakcją oczywistą i wymierną w sążniach i zwalach – po takiej sobocie czułem się rześko, mniej myślałem o Nadi, jak gdyby przygnębienie z powodu utraty jej dawało się trochę rozruszać i wypocić.

Lubiłem noce w *gorkomie*, należałem do komuny, bardziej niż kiedykolwiek pragnąłem przyjaźni, spójni i tych wspólnych rozmów–majaceń, rozmów–dociekań. Komunę utworzyły zbuntowane dzieci. Pierwsza przyszła do Komitetu Miejskiego Komсомоłu Irina, nie miała dokąd pójść po zerwaniu z fanatyczną rodziną sekciarzy starowierców, przyszła na noc i została. Po niej przyszli inni bezdomni z powodów ideologicznych, Szeringuszew, uchodźca z zabitego mordwińskiego świata, Mielnikow, syn robotnika, ale robotnika o zdecydowanie antykomunistycznych poglądach i długim stażu w partii socjalistów–rewolucjonistów, wreszcie po dramatycznej scysji z ojcem przeniósł się tutaj i Wasiakin. Zżyli się, polubili i nie chcieli do internatu, jak im proponowano. Formalnie pozwolenia na nocowanie w *gorkomie* nie dano im, ale i nie zabroniono. Nikomu to nie przeszkadzało. Wychodząc z rana do szkół lub do pracy zostawiali lokal posprzątany i w nocy obecność ich powstrzymywała sąsiadów, którzy dla braku opału ogołocili pusty piętrowy domek z drewnianego oszalowania, z okiennic i drzwi, nie mówiąc już o płocie. Tak więc mieszkali tymczasowo, nazywano ich nocnymi ptakami, komuną puszczyków, później po prostu komuną *gorkomu*. Obiady jadalі w stołówce partyjnej, a śniadania i kolacje robiła Irina z produktów *pajkowych* i okazyjnych, bo wszystko, co się udawało im zdobyć i co wieczorami, przychodząc do nich, przynosiliśmy z sobą, szło do wspólnego garnka. Było nas kilku, komunistów nadzwyczajnych, dochodzących.

Jeśli rozmowy przeciągały się do późnej pory, zostawialiśmy na noc. Z oblodzonej komórki wydostawano żelazne łóżko Iriny, siennik Wasiakina i nosze sanitarne, których drążki opierano na krzesłach i taboretach, w ten sposób urządzały się Mielnikow i Szeringuszew, myśmy spali na stołach. Zasypialiśmy w ciepłe, przy pełzających odbłaskach na ścianach i suficie, póki żar był w piecyku, budziliśmy się skostniali niczym mrożonki, trzeba było na rozgrzewkę zakrzętnąć się żwawo dokoła ognia i wody, chłopcy myli się prosto z lodu, dla dziewcząt dogrzewano. Mówiąc przedtem w nawiasie, że współżycie chłopców i dziewcząt u nas cechowała surowość obyczajów, chciałem przez ten przestarzały nieco zwrot powiedzieć, iż było normalnie, w atmosferze założeń ideowych i przyjaźni, wykluczających styl ordynarnej męskości, jak umizgi, dwuznaczne aluzje, ekscytowanie się w erotycznej minoderii. Sympatie i animozje, konflikty i miłości kryły w sobie jeszcze sporo czegoś z epizodu i mutacji wieku nastolatków, ale miało się przecucie dojrzewających przeżyć autentycznych i pragnienie, by były wielkie, by były piękne, szanowano je, gdy się komuś spełniały. Tania, najładniejsza, najbardziej lubiana spośród towarzyszek organizacji sibirskiej, przyciągała niejedne oczy i budziła niejedną tajoną tęsknotę, jednakże ani wtedy, gdy żył Jasnyj (nazwisko czy pseudonim, w każdym razie trudno o bardziej trafne imię dla tego chłopca), ani później, gdy zginął na polskim froncie i Tanię okryło milczenie ludzkiego współczucia i niewymownej serdeczności, nikt nie próbował rywalizować z Jasnym, żywym czy umarłym, nie śmiałyby godzić na pamięć miłości, która rosta między nimi, fascynowała nas i chyba była nam wszystkim potrzebna. A w komunie *gorkomu* wszyscy wiedzieli, że Mielnikow skrycie kocha Irinę – nie przypominam sobie, by ktokolwiek zdradził się z tym, że wie, a już tym bardziej, żeby się wyrwał z jakimś żartem lub aluzją na ten temat. Tylko Irina zdawała się niczego nie domyślać, zauważyłem jednak, że w stosunku do Mielnikowa jest mniej swobodna, niekiedy wręcz niesprawiedliwa, musiała w końcu spostrzec i to ją krępuje, w ten sposób tłumaczyłem sobie jej zachowanie się obojętnością, którą się broni przed niepożądanym uczuciem. Znacznie później, gdy już nie żyła, zaświtał mi zupełnie inny domysł. Przypomniałem sobie pewien wieczór, siedzieliśmy dokoła piecyka w półmroku, bo nafty zabrakło, rozmawialiśmy o przyszłości, tym razem osobiście i konkretnie, Szeringuszew chciał uczyć w mordwińskiej szkole, Mielnikowa pociągało życie marynarza, Wasiakina nauki polityczne, nasz gość Hannibal wybierał się

do Moskwy studiować języki wschodnie, w pierwszym rzędzie chiński, ja byłem niezdecydowany i milczałem, a Irina powiedziała, że po ukończeniu kursów ideologicznych wyjedzie za Ural, gdzie sporo starowierców, całe wsie i tam, mówiła, będziemy mieli największy opór. Są najbardziej fanatyczni ze wszystkich wierzących i nieprzejednani, od wieków nieprzejednani, odporni na nowe i obce. Palono ich niegdyś w domach gdy się zamykali przed nastanym wojskiem, zdarzało się, że i sami się palili gromadnie. Chronili się w nieprzebranych lasach, uchodzili na Syberię, na wybrzeża i wyspy Morza Białego, unosząc swą wiarę i obyczaj. Starych sekciarzy nie da się przekonać, ale do młodych można jeszcze przemówić, jeśli się wie, jak – ona wie, zna ich naturę, sama przeszła proces wyzwolenia. Opowiadała o swej rodzinie rzeczy dziwne, trudne do zrozumienia, między innymi o ciotce, która ze strachu przed ziemską miłością uciekła do *skitu*. Gdyby narzeczony, wybrany potem przez rodziców bez jej zgody, był wstrętny, może z potrzeby męczeństwa przyjąłaby pożycie małżeńskie na pokutę jako swą drogę pasyjną, ale był miły, spodobał się, bała się, że przestoni jej Oblubieńca niebiańskiego, uciekła więc do *skitu* i tam, w tej leśnej pustelni, dotąd żyje wśród siostr w Chrystusie, głupia *izuwierka*. Mówiła o niej z jakąś szczególną zajadłością, i ja to sobie przypominałem potem, kiedy będąc w Kijowie dowiedziałem się, że Irinę zamordowano gdzieś za Uralem. Nie tyle sama ta historia, ile akcenty sprawy osobistej albo sporu plemiennego i pewne szczegóły z postępowania Iriny nasunęły wątplenie, czy naprawdę Mielnikow był jej obojętny? A jeśli naturę wzięła po tamtej *izuwierce*? Może była maksymalistką, jedną z tych ekstatycznych istot, których wiara domaga się najwyższej ofiary, a miłość męczeństwa? Jej ateizm jest tu bez znaczenia, Boga można się wyrzec lub zmienić, ale siebie?

A po tym wieczorze u nas, kiedyśmy wyszli na ulicę, spytałem Hannibala, dlaczego się rozmyślił? Spotkaliśmy się przed paroma dniami w szkole, gdzie szukając prof. Jeżowa natknął się na mnie. Nie poznałem go – ten Hannibal, z jakim rozstałem się przed dwoma laty na bezimiennej stacyjce w polu, komendant oddziału zaporowego, miał jeszcze coś z wyrostka i coś z elewa sybirskiego korpusu kadetów. A ten tu, z wąsem, w kawaleryjskim szynelu z trzema rombami dowódcy szwadronu, wyglądał marsowato i szaro, nie na dwadzieścia jeden, ale na trzydzieści lat. Okazało się, że przyjechał na krótki urlop do matki, cały czas był na frontach, na froncie wschodnim w stepach orenburskich i na południowym przy zdobywaniu Krymu,

a ostatnio w akcji na tambowszczyźnie – poprosiłem by wstąpił do nas i opowiedział, otrzymalibyśmy pełną relację z pierwszej ręki, co się tam dzieje. Obiecał przyjść któregoś wieczora i rzeczywiście przyszedł, ale słuchając wynurzeń na temat przyszłości, jaką kto widział przed sobą, wmieszał się w nasze plany na przeszłość, dołożył swoje i końcu nie ukazał nam owej prawdy o kułackim powstaniu, której spodziewałem się po nim – dlaczego? – o to go właśnie zagadnąłem na ulicy.

– Jesteście jeszcze bardzo naiwni, a Irina... – gest towarzyszący niedomówieniu i głos mogły wyrażać zarówno politowanie jak i podziw – są tacy, wiesz, zdolni raczej ginąć dla rewolucji, aniżeli pojąć, jak się ją robi.

Poczułem się doknięty, należało mu odpowiedzieć za nas i za Irinę, bo chyba ją miał przede wszystkim na myśli.

– Możemy i naiwni, nam to jeszcze ujdzie, odrzekłem, ale jeśli ktoś, kto jest już w partii, *komsek* z takim stażem bojowym, snuje mirażę chińskie, to jak to nazwać?

– No, ja bym to nazwał realistycznym podejściem, jakąś próbą opracowania własnego życiorysu dla konkretnej perspektywy historycznej, ale nie wiem, czy ty się orientujesz... Co sądzisz o Ruchu Czwartego Maja?

– Czwartego Maja?

– Widzę, że nie bardzo wiesz, o co chodzi. Szkoda. Od tego układu stosunków i sił u nas, w nowej naszej sytuacji, i tam, na wschodzie, na styku Europy i Azji, zależą losy świata.

Nowa sytuacja, jaka zaistniała dla nas, mówił, polega na odwróconym kierunku inspiracji rewolucyjnej i pomocy. Październik miał przyspieszyć rewolucję jeśli nie światową, to w każdym razie europejską, wierzyliśmy niezłomnie, że stamtąd nadejdzie odsiecz. Tymczasem kapitalizm na Zachodzie znalazł w sobie dość sił żywotnych na opanowanie wzburzenia po wojnie światowej, polikwidował republiki sowieckie w Niemczech i na Węgrzech i wystąpił przeciwko nam z interwencją zbrojną. Mimo to rewolucja październikowa zwyciężyła, wbrew doktrynie zwyciężyła rewolucja socjalna w jednym kraju, i teraz od nas, od Kraju Rad, w miarę jak będziemy się umacniali, ludy walczące o wyzwolenie będą oczekiwały pomocy. Nie wydaje się prawdopodobnym by świat kapitalistyczny runął nagle na skutek rewolucji w wielu krajach jednocześnie, raczej będzie pękał stopniowo, raz tu, raz tam, na swych najsłabszych spojeniach – gdzie? – ano tam, gdzie jak u nas, stare, na pół feudalne stosunki przeżyły się i zaogniły, a nowoczesny kapitalizm jeszcze się nie rozwinął w pełni i nie okrzepł... Antyimperialistyczny Ruch

Czwartego Maja, co to przed dwoma laty był ruchem studentów i młodej inteligencji chińskiej, ogarnął teraz milionowe masy, Chiny się zbudziły i stają do walki, wkrótce wytworzy się sytuacja rewolucyjna i wtedy będą potrzebni doświadczeni korepetytorzy.

- I ty - spytałem Hannibala po tym wykładzie - szykujesz się do takich korepetycji w Chinach?

- Mam szansę. Naturalnie, jeśli do tych moich trzech frontowych lat dołożę jeszcze akademię sztabu generalnego i znajomość chińskiego.

- To znaczy kucie jeszcze parę lat. Jakies tam strategie, taktyki itp. można chyba wytrzymać, ale język, ale pismo chińskie?!

- A w garnizonie lepiej? Ja się nie nadaję do służby garnizony, ani do kariery w koszarach, dywizję oddam za pluton w ogniu.

- Słuchaj, a może ty zwyczajnie nudzisz się teraz? Nie potrafisz żyć w stanie pokoju i szukasz po prostu okazji, żeby się wyrwać tam, gdzie walka, ryzyko i przygody?

Myślałem, że drasnąłem go niechcący, przygoda była słowem przestarzałym i pustym o wzgardliwie pejoratywnym wydźwięku.

- Możliwe - odezwał się po chwili skupienia - ale to moja rzecz. Chcę służyć sprawie kominternu, i gdzieś na terenach niezbadanych, wśród walk o wyzwolenie, w trudnej sytuacji czy w ryzykownej akcji, wiem, będę dobry do tego...

Czy i w jakiej mierze udało mu się to urzeczywistnić? Nie słyszałem. Ale po wielu, wielu latach spotkaliśmy się pewnej księżycowej nocy na przełęczy Czang-paj-szania w Szu-hai („Leśne Morze”, rozdział „Noc św. Pawła”). Z ocienionej głębi przełęczy wyszła w poświatę i przystanęła karawana - kilkunastu zbrojnych z workami na plecach, w waciakach i chustkach na głowach, dwa muły i nosze z rannym. Ktoś pochylił się nad nim - jak się czujecie, towarzyszu Bagorny? Ranny uniósł głowę, i ja w tej postarzałej twarzy rozpoznałem dawno zapomniane rysy. To był Hannibal. Niestety, wykryłem to już poniewczasie. Zbyt wiele osób i spraw zostało wplątanych w tajemnicę pułkownika Bagornego, kim był w istocie, jaką miał drogę i misję, ujawnienie nowych szczegółów groziło katastrofą, tak że odkrytą prawdę jego tożsamości musiałem zatrzymać dla siebie, dzięki czemu w dalszych kontaktach zażyłość nasza nabrała cech ambiwalentnych, ułatwiając i krępując jednocześnie. Nie wygasła sympatia z lat młodości, kiedy go podziwiałem i w skrytości zazdrościłem mu tej perspektywy,

którą już wtedy, w Symbirsku, umiał dojrzeć i dla której przygotowywał się pracą wielu lat. Ale jako autorowi nie wolno mi było zdradzić się ze swą słabością i kreować go bezkrytycznie na bohatera. Hannibal pseudo Bagorny zbyt dobrze wiedział już, jak się robi rewolucję, znał nie tylko jej epos, ale i mroki wywiadu, stalinowski proces Srebrogłowego – czy miałem mu przeszkodzić, gdy na oczach towarzyszy znużonym ruchem, odrzuciwszy niedopałek papierosa, przytknął lufę pistoletu do swej skroni? Postąpiłem fatalnie pozwalając mu nacisnąć spust, a potem ratując na skutek osobistych, nieautorskich reakcji, bo z odruchu współczucia, na wspomnienie dawnych lat, z jakiegoś poczucia współwzięci, należał przecież do tejże tragicznej generacji. I ostatecznie kto tu zawinił, kto poniósł klęskę? Zdawało mi się, że świat jest taki, jakim go widzi. Z pozycji tego naiwnego realizmu rozumował prawidłowo, działał uczciwie w zgodzie z historią i własną naturą. Był w porządku. To historia zachowała się skandalicznie wywracając wszystkie wyobrażenia w sposób niepoczytalny w poprzek i na opak, aż stało się niepewnym, czy w ogóle ona istnieje w kategoriach sensu i prawdziwości.

A powracając do naszej *gorkomuny*, pamiętam, że Hannibal spędził z nami jeszcze jeden wieczór. Widocznie mimo całego naszego niedowarzenia wieczory te miały i dla niego jakiś urok. Nie było żadnego skrępowania ani porządku. Nigdy nie wiedzieliśmy, kto z czym przyjdzie i co z tego wyniknie, tak sobie pogadamy o tym i owym, czy zaczniemy coś roztrząsać i każdy będzie myślał na głos, nie bardzo pewny swego, a może w przypływie wesołości i fantazji przebałaganimy cały wieczór, wszystko zależało od nastroju, w każdym razie dobrze nam było u siebie, nawet milczenie w tym niesamowicie zadymionym machorką pokoju, przy lampie naftowej ćmiącej niby latarnia we mgle, albo kiedy nafty brakło i siedzieliśmy w półmroku przy pobrzasku od piecyka, nawet współmilczenie było dobre jak przy ognisku w lesie.

Zyliśmy w oczekiwaniu wielkich dni i ostatecznych przeobrażeń. Kończył się czas wojny i terroru, stan tymczasowości wszelkiej prowizorki, teraz, myśleliśmy, można spokojnie, gruntownie i ściśle podług idei. Spodziewaliśmy się czegoś na miarę Października, Rada Komisarzy Ludowych wyda dekret i od dnia tego a tego, zamiast wojennego wprowadzi czysty komunizm. Może nie od razu całkiem czysty, póki istnieje wrogie otoczenie musi u nas istnieć armia i mocne państwo, poza tym będzie już komunizm, to znaczy dobrobyt, wolność, kultura,

własność społeczna i nie wilczy, ale przyjazny stosunek człowieka do człowieka, i to znacznie oddziaływać na sąsiednie kraje, ludzie zapragną tam takiego życia i w miarę jak pod naporem mas kapitalizm dokoła będzie się wykruszał i upadał, państwo nasze będzie przekazywało swe funkcje samemu społeczeństwu komunistycznemu. W tej bliskiej i bezspornej perspektywie interesowały nas właściwie poszczególne niejasne fragmenty i ich konkretne kształty próbowaliśmy odgadnąć. Powiedzmy, pieniądze. Oczywiście znikną, już są w pogardzie, każdy jest milionerem, a nie zawsze może kupić buty, wkrótce zarobki pójdą w miliardy i ruble stracą jakąkolwiek wartość, tym lepiej, ludzie bez żalu rozstaną się z pieniędzem, z tą odwieczną plagą, narzędziem-wyzysku, źródłem chciwości i upodlenia – jedynym miernikiem wartości stanie się praca, ale jak to się zrobi? Za pomocą bonów, jeden bon równa się godzinie pracy? Owszem, mówiono, tylko praca pracy nie równa, godzina tragarza to nie to samo co godzina uczonego lub poety. Ja wysunąłem przypuszczenie, że być może będą bony pracy fizycznej, pracy umysłowej i pracy twórczej. Wasiakin natomiast kwestionował pryncypialnie system bonowy, bo wszelkie bony, takie czy siakie, można gromadzić, sprzedawać, kupować itd., czyli utrzymywałyby się w nieco tylko złagodzonej formie stosunki kapitalistyczne, dlatego sądził, że sprawa zostanie załatwiona w sposób bardziej radykalny i prościej, mianowicie, wszyscy będziemy zrzeszeni w komunach, cała ludność, i moja komuna będzie dbała o to, żebym dawał z siebie, co mogę, a otrzymywał wszystko, czego potrzebuję... Nikt z nas nie widział komuny, nie znał się na ekonomice i nie był krępowany zmysłem rzeczywistości ani doświadczeniem w zakresie wielkich liczb i procesów masowych, wyobraźnia pracowała w idealnej próżni, komuny przedstawiały nam się na wzór dotychczasowych *artieli* rzemieślniczych o stosunkach podobnych do tych, jakie panowały wśród nas w maleńkim gronie komunardów – komuny rolne i przemysłowe gospodarujące swobodnie i skrętnie w wielkiej kooperacji idącej wzwyż i wszcz. Czasem dostrzegaliśmy tu jakiś mankament i znak zapytania, na przykład, a jeśli powstaną komuny bogate i biedne? Jednym przypadkiem czarnoziem, a drugim piaski i bagna, winnice na Krymie albo tundra, będą fabryki produkujące potrzebne, ale pracochłonne i mało płatne wyroby, i fabryki, gdzie przy szczęśliwym towarze będzie się świetnie zarabiało – jak wyrównać takie niesprawiedliwości? Mnóstwo podobnych zagadek przyszłości fascynowało wyobraźnię, powiedzmy, rodzina, czy się utrzyma przy komunizmie?

Jak będzie wyglądała miłość? Ile czasu wolno będzie pozostawać na kierowniczym stanowisku, a potem z powrotem do swej komuny, żeby się nie oderwać od mas – pięć, dziesięć lat? Znamienny dla tych nastrojów i wyobrażeń był drugi wieczór z Hannibalem...

(Utknąłem w tym miejscu i nie pisałem dwa lata. Depresja czy inna chandra i ostatecznie coraz mniej nadziei, że to się ukaże w druku. Teraz na Mazurach, w tym moim leśnym azylu, spróbuję wziąć się w garść i mimo wszystko skończyć. Ale ten przerwany wątek o naszych wyobrażeniach i oczekiwaniach przyszłości niech zostanie jak jest w krainie milczenia, bo to nieważne, co się tam śniło pięknego, przebudzenie było straszne).

Pewnego razu, po wieczorze u nas w *gorkomie* wstąpiłem do cenzury. To było po drodze. Pracowało tam na etatach cenzorów trzech komsomolców w moim wieku, z ostatniej klasy szkolnej, w czasie nocnych dyżurów niewiele mieli roboty, można było pogadać na temat ostatnich wiadomości. Otóż jeden z nich ostrzegł, wycofaj się z tego wiecowania, jeśli nie chcesz siedzieć razem z nimi... Miał kontakty z Czeka, domyśliłem się, że korzystając z nieobecności w Symbirsku Warejkisa, postanowiono przytknąć naszych oponentów, i to może nastąpić lada dzień, być może jutro.

Nie zastanawiając się nad tym, jak postąpią inni towarzysze, którzy dali słowo „niezależnym”, że nic im się nie stanie, wprost z cenzury poszedłem do Dobrowolskiego – z nim ja rozmawiałem i jeśli go natychmiast nie uprzedzę, to będę prowokatorem, ta myśl dręczyła mnie całą drogę. Dobrowolski jeszcze nie spał, przybladł ujrzawszy mnie u siebie o północy i zaczął się tłumaczyć, że właśnie przerabia z kolegą coś, z czego mogą wyrwać na egzaminie maturalnym, obaj byli wystraszeni i zbyt śpiesznie, bezmyślnie zgarniali papiery ze stołu. Powiedziałem, że za nic już nie ręcę i radzę zaprzestać dyskusji.

Może to poskutkowało, a może alarm był fałszywy, skończyło się szczęśliwie, bez aresztowań, nikt nie ucierpiał i dwa miesiące po tym rodzina Dobrowolskich wyjechała do Polski tym samym transportem, w którym zegnaliśmy wuja Stefana. Mówił mi później, że słyszał, jakoby Dobrowolski, któremu nie uznano ukończenia szkoły sowieckiej, musiał zdawać maturę w Warszawie, obciął się i popełnił, czy też próbował popełnić samobójstwo. Nie w tym rzecz. Szukam w pamięci momentu, od którego zaczął się ferment niepokoju i niezgody. Wydaje mi się, że był nim ten błahy na pozór incydent. Nie mogłem zapomnieć, jak oni patrzyli na mnie, gdy nagle zjawiłem się u nich w nocy,

patrzyli właściwie ponad moją głowę na uchylone drzwi, w mrok za mną, skąd spodziewali się czekistów, w ich oczach, moich przecież kolegów, czytałem strach i pogardę. Naturalnie dziękowali mi potem, zawstydzeni jak gdyby tym, że przed chwilą widzieli we mnie łapacza i zamordystę, ale ja przeżyłem to posądzenie, przeżyłem obrzydliwe samopoczucie w sytuacji przemocy wobec ofiary. Wracałem od nich zdając sobie sprawę z tego, że wyламаłem się z dyscypliny, dopuściłem się samowoli, za którą powinno się wyrzucić z organizacji, i nie czułem wyrzutów sumienia ani żalu do kolegów, raczej gorycz, że też komuni- sta, nawet gdy przychodzi jak przyjaciel, wzbudza przede wszystkim strach. Jak długo tak będzie? Noce w mieście są wciąż niespokojne, mimo tryumfu rewolucji, mimo pokoju, robota Czeka nie kurczy się, przeciwnie... Dlaczego?

Pod koniec roku szkolnego poszedłem do Hannibala, żeby się z nim pożegnać, bo wyjeżdżał. Chciałem przy sposobności prosić o pomoc w odszukaniu Nadi, może będąc w Moskwie znajdzie trochę czasu i jakiś sposób na to? Nie zostaliśmy jednak sami, matka jego podała herbatę i zabrała się do szycia (za cara otrzymywała rentę wdowią, a Hannibal, syn oficera, poległego w Mandżurii wychowywał się w sibirskim korpusie kadetów, tak że nie mógł „walczyć przeciw ojcu”, jak powiedział mi w dziewiętnastym roku żołnierz oddziału zaporowego, głośny bia- łogwardzista mógł być tylko jakimś krewnym albo po prostu imiennikiem Hannibala, którego nazwisko należało przecież do najpospolitszych). Krępowalem się przy obcej, starszej pani mówić o moich sprawach intymnych, tymczasem rozmowa zesłała na Kronsztadt, o którym wszędzie żywo rozprawiano komentując rozmaite pogłoski i urzędowe komunikaty w zwią- zku ze stłumieniem buntu marynarzy floty bałtyckiej, a ja miałem trochę wiadomości z pierwszej ręki, od człowieka, który zdo- bywał twierdzę kronsztacką i wrócił do Symbirsk na kursy *krasných komandirów*, znałem go dobrze, nim wstąpił do szkoły wojskowej, był u nas w domu dziecka dozorcą, rozgarnięty i szczerzy chłopak ze wsi, tym razem nie bardzo chciał mówić, co nieco jednakże udało się z niego wydobyć i to zaniepokoiło mnie ogromnie – na krążownikach i torpedowcach, na fortach i bastionach powiewały flagi czerwone z sierpem i młotem, pod tym sztandarem walczyli i umierając wołali, niech żyją sowiety!

– Ale bez komunistów – poprawił znacząco Hannibal.

– A czy to coś okropnego, sowiety bez nas! Grunt to sowiety, ich wola i władza, i nigdzie nie jest powiedziane, że koniecznie muszą być wybierani przede wszystkim komuniści, doprawdy,

nie widzę w Kronsztadzie kontrrewolucji. Dlaczego więc rozprawiono się z nimi tak okrutnie? Komu jak komu, ale im należało się coś od rewolucji. Zrobili Październik, najwierniejsi z wiernych, gdzie było najgroźniej, najciężej, tam oni uderzali, marynarze...

– Weź się w garść, zaczynasz *chlupić* – przerwał Hannibal. Muszę z tobą pomówić. Jeśli nie rozumiesz, to nie wstępuj do partii, odejź póki czas w tłum inteligenckich hamletyków.

Z pewnością chciał mi pomóc, nieobce mu były ludzkie uczucia, przechodził kiedyś podobną rozterkę wytrąsając zboże ze wsi podług wyznaczonych kontyngentów i żywność z wagonów wśród lamentu kobiet, przeklinany przez zrozpaczonych ludzi, świadomy ich krzywdy, subiektywnej krzywdy, prosił się z powrotem na front, odmówili, trzy miesiące jeszcze musiał komisarzyć w oddziale zaporowym, musiał być okrutny i nie żałuje tego, dzięki okrucieństwu w tym okresie wyżyły obie stolice, Moskwa i Piotrogród i fabryki jako tako pracowały i armia miała co jeść. Zwyciężyliśmy. Ważne są wyniki kampanii, nie epizody. Epizody mogą być tragiczne, straszne lub żenujące, tym się nie wolno zrażać ani demobilizować. Chciałeś wiedzieć, mówił, jak było na tambowszczyźnie, to ci powiem, to było autentyczne chłopskie powstanie, tak jest, chłopskie, nie kułackie. Walczono o własne klasowe interesy, konkretnie, żeby wieś rządziła się sama i żeby każdy gospodarz swobodnie na swym zagonie, dużym czy małym, bez różnicy, sam rozporządzał tym, co wypracuje. Subiektywnie i egoistycznie mieli słuszość wysuwając takie żądania i mieli powody do niezadowolenia, do nieufności manifestowanej tym samym hasłem, sowiety bez komunistów! Ale gdyby zaczęli tam rządzić bez nas, to by rewolucję i wszystkie nadzieje przyszłości oddali za wolny bazar, za rubla więcej na pudzie ziarna, za gminną gorzelnię i jakieś tam inne doraźne korzyści. Na to w żaden sposób nie mogliśmy pozwolić. Walka była długa i zjadła, w końcu udało się ich złamać, nie bez podstępu zresztą, odegrano niebywałą sztukę kostiumową z udziałem dwóch pułków kawalerii i towarzyszy Kotowski wystąpił ze swą brygadą w roli atamana Frołowa, przybyłego jakoby na odsiecz powstańcom... A teraz po likwidacji powstania – może czytałeś w *Prawdzie*? – towarzyszy Lenin przyjął na Kremlu chłopów z tambowszczyzny i przyrzekł zniesienie kontyngentów, zamiast tego będzie podatek rolny. Tambowscy chłopci pierwsi skorzystali z tej reformy, jaką teraz wprowadza się w całym kraju. Wieś będzie miała lepiej.

– Tak, ale ci, co się przyczynili do tego, nie żyją...

- Naszych także nie mało poległo. Uniknęliśmy jednak po stokroć większych ofiar i zniszczeń, czegoś na miarę apokalipsy, niewiele brakowało, a rozpętałaby się wojna chłopska... Zrozum, tylko partii wolno coś zmieniać, bo reformując ogarnia całą sytuację i całą drogę od dziś do komunizmu, i ma wycucie granicy ustępstwa czy kompromisu. Musimy wierzyć w mądrość partii, w zbiorową wolę najbardziej doświadczonych, wypróbowanych towarzyszy. Masy to żywioł, siła wielka, ale niestała i ślepa siła, wszystko może zburzyć, a nic sama nie stworzy. Gdyby w Październiku partia nie kierowała ruchem wzburzonych mas, to by nie było Października, tym bardziej teraz nie możemy zdać się na żywioł, zbyt wiele mamy do stracenia. Dlatego, Igorku, wszelki opór, każdą próbę usamodzielnienia się należy przede wszystkim stłumić, a potem przejąć i realizować co sensowne...

W ten sposób mniej więcej – na ile potrafię to dziś odtworzyć – starał się przekonać mnie i umocnić. Widziałem dobre intencje i uzasadnione racje w tym, co mówił, a jednak wyszedłem od niego z jeszcze większym niepokojem i spierałem się potem w myślach, wysuwając znalezione poniewczasie kontrargumenty, na przykład, dlaczego stanowisko klasowe robotników jest w pełni uznane, a chłopów nie? Jedni i drudzy to klasy pracujące, sam lud, sól ziemi. Robotników wraz z rodzinami jest podobno osiem procent, powiedzmy nawet dziesięć, założymy, iż wszyscy oni, ich żony i dzieci, wszyscy bez wyjątku są jednomyślni, wypada, że jedna dziesiąta decyduje za całą ludność – czy to aby sprawiedliwie? Naturalnie ważne są wyniki kampanii, nie epizody, ale coś tu nie w porządku, skoro tyle tragicznych epizodów i mnóstwo ludzi umiera epizodycznie. A każdy przecież żyje tylko raz!... Tego rodzaju repliki–pytania, repliki–wołania, na jakie tylko mogłem się zdobyć dla braku sprecyzowanej, przeciwstawnej Hannibalowi koncepcji, płynęły właściwie z potrzeby uzasadnienia, że nie jestem chlupikiem, rzeczy, które mnie dręczą, a w których się gubię, dręczyć powinny jego i wszystkich komunistów, bo to są sprawy sumienia i słuszności.

Chciałem wierzyć, że partia, jednomyślna i zwarta awangarda proletariatu zwyciężająca dotąd zawsze, poradzi sobie i z tymi strasznymi epizodami. Ale w tym okresie poczęły docierać do Symbirska wiadomości z Moskwy o wewnątrzpartyjnych sporach i frakcjach. Robotnicza Opozycja, powstała pod przewodnictwem starych zasłużonych bolszewików jak Kołtają, Miedwiediew i Szlapnikow, zwątpiła o dogmacie – kierownicza rola partii! – nie partia, twierdzili ci towarzysze, ale związki

zawodowe powinny reprezentować interesy klasy robotniczej i sprawować jej kontrolę nad państwem. Obok nich stał w podobnej opozycji Bucharin ze zwolennikami, osobno, ale również anty występował Trocki. Trudno było rozemnieć się dokładnie w tym, co dzieli a co łączy poszczególne frakcje. Kto, jak Wasiakin, śledził uważnie owe spory i rozmawiał na ten temat ze starszymi towarzyszami, referował aktualne wydarzenia w gronie rówieśników, dyskutowano, wypowiedziano się za i przeciw, tak że partyjny ferment zaczął się rozchodzić po komitetach i komórkach komsomolskich. Nadszedł kryzys, sam tytuł wypowiedzi Lenina „Kryzys partii” stwierdzał to autorytatywnie. Monolit pękał w oczach, nie można już było wierzyć w nieomylną mądrość partii, tych mądrości miała ona kilka i wiarygodność każdej z nich poświadczały nazwiska wielkiej wagi. Niepodobna przypuszczać, że coś jest lekkomyślne, antypartyjne lub reakcyjne, jeśli to proponuje Bucharin, nasz autorytet i nauczyciel, albo Trocki, drugi obok Lenina wódz rewolucji.

I na domiar wszystkiego przyszedł NEP. Nie prawdziwy komunizm zamiast komunizmu wojennego, jak spodziewaliśmy się, ale Nowa Polityka Ekonomiczna, wolny bazar, *czastnik* w swym sklepiu i w wytwórni prywatnej, koncesje dla dopiero co wygnanych kapitalistów, rodzimych i zagranicznych, koncesje-amnestie, uznanie kapitału, siły twórczej i nieodzownej na danym etapie... Tyle heroizmu i ofiar rewolucji dla takiej kapitulacji? Żeby Chalil mógł otworzyć na wprost dworca swój „Tatarskij pogriebok” z szaszłykiem, bisz-barmakiem, pilawem i z kumysem na razie, bo wkrótce będą wina i wódki z monopolu sowieckiego i *czastnik z rwaczem*, bohaterowie NEP-u, hulać będą u Chalila.

Może wytrzymałibyśmy jeszcze jakiś ciężki epizod podążając w tym samym kierunku, ale zatrzymani gwałtownie na tak ostrym wirażu, mówiąc za Trockim, ostrzegającym „ostrożnie na wirażach” – wypadliśmy. Cała komórka szkolna załamała się i rozpadła. Po paru dość chaotycznych zebraniach w atmosferze przynębienia i dezorientacji postanowiono, przy jednym głosie sprzeciwu, wystąpić z Komsomołu. Chcieliśmy to poważnie umotywować, ale nie wyszło. O wystąpieniu zdecydowały nie żadne nowo odkryte kryteria, nie założenia jakiegoś innego programu, ale nastroje i odczuwania, po prostu straciliśmy wiarę i zapał. Przy każdej próbie sprecyzowania, z czym się nie zgadzamy, czego pragniemy, ktoś sobie przypominał, że tak argumentują mienszewicy, a tak eserzy, a to znów jest w stylu

kadetów. Niektórzy obawiali się konsekwencji, posądzenia o akcję polityczną w kontakcie z podziemiem mieńszewickim czy eserowskim, wtenczas sprawę przejmie Czerezwyczajka. Lepiej będzie, mówiono, jeśli to wypadnie niepoważnie i zostanie zlekceważone jako głupi wybryk zbitych z pantałyku gówniarzy. Zebraliśmy się do sporządzenia takiego kamuflażu, wszyscy przy stole, dyktując jeden przez drugiego, wyglądało to jak pisanie przez zaporozców listu do sułtana na obrazie Repina. Zebrano legitymacje, ja prócz tego zwróciłem to, co otrzymałem z Komsomołu – ryżą tekę, *małachaj*, buty i konstabla.

To się zbiegło z maturą, zdałem egzaminy i otrzymałem świadectwo ukończenia szkoły średniej. Podniosły moment przeszedł bez wrażenia jak wygrana na loterii po wyroku dożywocia albo uzyskanie pełnoletności w dniach klęski i ruiny.

Możesz sobie napytać kłopotów, powiedziała mama, musimy wyjechać, w konsulacie polskim w Kijowie wyrobimy papiery na powrót do Polski. Wszystko mi jedno, odrzekłem. Byłem przegrany, spustoszony, sam w zamęcie świata, bez towarzyszy wspólnej drogi, bez planów osobistych, czym się zając, jak żyć, i już bez nadziei odzyskania Nadi.

PROSTA DROGA

*Droga ze szkoły wyższej do więzienia
- droga prosta i najpewniejsza...
(z więziennej pieśni studenckiej
lat dwudziestych)*

Kontrolowany głód podobno dobrze robi i jest obecnie w modzie, ja się na tym nie znam, wpadałem w głód jak w poślizg z dreszczem trwogi, bezradny, szukający sposobu ocalenia. Poza epizodami głodowymi w latach rewolucji miałem trzy okresy gruntownego głodu, kijowski, warszawski i okupacyjno-obozowy, dosyć, by potem nie odchudzać się i nie psuć sobie apetytu uważaniem na kalorie.

Z doznań tych wyniosłem przeświadczenie, że każdy autentyczny głód coś jednak daje i każdy ma inny smak. W obozach hitlerowskich poszerzał wiedzę o człowieku ukazując go we wszystkich aspektach i możliwościach na granicy życia, na przedpolach zagłady, odymionych paloną kością ludzką, tam się odchudzało w sposób radykalny, oczyszczający do ostateczności – 15 kwietnia 1945 roku zostało mnie całego 38 kilogramów, skóra, trochę ścięgien i żył na grzbiecie. Ale ten głód był powinnością i miał swoją godność. Co innego w Warszawie podczas bezrobocia i bezdomności w 1926 roku, głód wtedy trwał zaledwie trzy miesiące i nie wyniszczał organizmu tak totalnie, nadarzały się okazje zaspokojenia go lub oszukania – po stokroć bardziej dokuczał psychicznie. Na wystawie dobrobytu i powodzenia, jaką zewsząd bije w oczy wielkie miasto, w tłumie ludzi sytych, głodny człowiek, jeśli jest młodym, zdrowym

i ambitnym, zaczyna odczuwać wstyd i poniżenie i w przystępach lęku myśli, jestem chyba pechowcem, niedojdą, miernotą z tych najmierniejszych, na szmelc... Ludzie tak samo bezdomni i głodni ustrzegli przed tym kompleksem, dzielili się dobrą radą, noclegiem czy strawą, dzięki nim wyprostowałem się i poznałem Warszawę, stała się moim miastem, na zawsze moim (szczegóły w „Żywym wiązaniu”). A w Kijowie przez cały pierwszy rok naszego pobytu tam, zarazem pierwszy rok NEP-u, głodowaliśmy normalnie, bez poczucia powinności, ale bez poniżenia, przeżywając to na równi z innymi jak klęskę żywiołową, były to czasy straszliwej posuchy, nieurodzaju i nędzy po wojnie domowej.

Nie pamiętam przy jakiej okazji dziadek dostał ten zegarek, po wielkich łowach upamiętnionych postawieniem Żelaznego Żubra przed pałacykiem fmyśliwskim w Zwierzyńcu czy po tym, gdy Aleksander III poszedł z dziadkiem samowtór do Puszczy i tam na leśnym dukcie ramieniem monarszym wyszarpnąć raczył wóz chłopski z błota (*mirotworiec*, Pokój Czyniący Imperator, był przede wszystkim osiłkiem), mniejsza o to, zegarek był złoty z brylantami w oczach i szponach dwugłowego orła na wieczku, i uratował nas w ostatniej chwili przed wyrzuceniem z przydworcowej *gostinicy* w Kijowie. Nic więcej nie mieliśmy już do sprzedania. Zapłaciwszy odstępnę, dostaliśmy się do *żytkopu* przy ul. Timofiejewskiej pod ósmym, gdzie od frontu straszyla brzydka kamieniczka, a w głębi posesji, za wąskim brukowanym podwórkiem, na rozległym terenie parkowym wśród starych, rozłożystych drzew stały porozrzucane nad jarem drewniane parterowe domki. Do jednego z tych domków wnieśliśmy nasze toboły, walizy i odzyskane nadzieje. Tanię, najmłodszą, najbardziej cieszyło położenie, miejsce prześliczne – *sowsjem kak na daczę!* Lena okiem piętnastoletniej gospochy szacowała samo mieszkanie, że słoneczne, owszem, ustawne i duże, trzy pokoje... Nie mamy co ustawiać, córuchno, powiedziała mama, a jeden pokój trzeba będzie koniecznie odnająć... Zamieszkał u nas Matusiewicz, bas opery kijowskiej, z matką, nawiasem mówiąc kolega szkolny Jarosława Iwaszkiewicza. Przez rok biedowaliśmy przy jego ariach i niejako podług nich. Najgorzej nam się wiodło za „Aidy”, mama, by nas wyżywić, chwytiała się przeróżnych zajęć, grobowy głos Radamesa zdawał się zapezsać, zauroczać; przy wynurzeniach Generała *Oniegin, ja skrywat' nie stanu...* nastąpił przełom, czuło się ulgę, mama pracowała w komisariacie oświaty i ja zacząłem zarabiać piórem stenografa, a już po Cyruliku Sewilskim mogliśmy się obejść

bez lokatora i opery za ścianą.

Niedawno, będąc przejazdem w Kijowie, zjrzałem tam w odległą i przejmującą historię naszej rodziny. Staroświeckie chałupki przetrwały wojnę i nie bardzo się zmieniły po pięćdziesięciu latach. Nasz domek, pociągnięty niegdyś stalowo szarą farbą, jaką zwykle maluje się statki rzeczne, wyglądał jeszcze bardziej szaro i rzecznie, zakotwiczony jak gdyby na krawędzi parowu nad falującą powierzchnią listowia w dole, słusznie nazywaliśmy go barką. Na tej barce przebyliśmy morze, słowo daję, dzielna i zwarta załoga. Przeżyliśmy głodny rok posuchy, gdy z ziemi spalonej na węgiel, głównie z za Wołgi, uchodziły milionowe tłumy zdesperowanych, wyniszczonych ludzi podążających jak się dało, koleją, wozami i pieszo, w zasobniejsze strony za odrobiną chleba, po głuchych powiatach grasowały jeszcze bandy posiadające swe ostępy i kontrolowane rewiry, a po miastach mnożyły się rozboje. Miewaliśmy noce trwożnego pogotowia, gdzieś w pobliżu rozlegały się strzały, gdzieś do jakiegoś domu już się dobierano. Jeszcze w następnym roku, gdy wybrano mnie przewodniczącym tego *żyłkopolu*, bo zmarł stary *predsiedatiel*, zacny pijacek, i nikomu nie chciało się użerać z sąsiadami o składki na remont dachów, na blachę, na pokost i pilnować ładu za trzy grosze, szukano głupiego, zdarzały się nocne warty z dozorcą, rozległy teren, niemalże leśny i otwarty na cztery ulice, zdawał się zapraszać rycerzy łomu i kastetu, czuwaliśmy z wilczurem i naganem, przechowywanym na wspólną odpowiedzialność, bandyci byli groźniejsi od ewentualnej kary za nielegalne posiadanie broni.

NEP zakwitał i rzucał się w oczy czerwońcami, bankami, wyszynkiem, sensacją wznowienia Kontraktów Kijowskich, w kamieniczce od frontu starzy Żydzi handlowali, młodzi emancypowali się, w domkach na tyłach posesji gnieździły się warsztaty szewski, krawiecki, szklarski, fabryczka farb i lakierów, mydlarnia, wytwórnia zapalniczek, za ostatnim domkiem samowystarczalny i zwalisty jak Bulba z Zaporozża filolog ukraiński miał warzywniak i króliki. A obok powstały państwowe zakłady fabryczne, rozlegały się nawoływania, uczmy się produkować, uczmy się handlować! – w umysłach i pracach koncepcyjnych rodziły się wizje wielkiego przemysłu sowieckiego, młodzież robotnicza i chłopska szła na *rabfaki*, mniej umiała, niedouczona, ale była bardziej zawzięta i karna, z kultem nauki. Nasz matematyk, prof. Delone, wyżywał się z nią w studenckim kółku lotniczym uwodząc dusze urokiem awiacji, siwy fantasta, zajmował się samolotami, gdy rower był luksusem. W rozlewające się

starorzecze wlewał się skądś z góry ostry nurt i nad spiętrzeniem unosiły się opary. Były znaki i głosy, niejedna Matka Boża ronila łzy z ikony, cuda się działy w Dolinie Gróbów i nieprzebrane tłumy podziwiały w Kijowie cud oczywisty na cerkiewnej kopule, co się sama przez się ozłociła w ciągu jednej doby – wieczorem jeszcze pokryta wiatrową brudną śnieżką, rozbliła nad ranem blaskiem szczerego dukatu – zdumiewano się, czekano na komisję ekspertów z Moskwy. Antyreligijna propaganda nabrała szczególnego rozmachu i wulgaryzacji, wśród inteligencji wzmożły się poszukiwania sensu wszystkiego, otuchy, źródeł życia duchowego w nowym, spoza ortodoksji, chrześcijaństwie, otwarte zebrania tołstojowców cieszyły się sporą frekwencją i wokół ojca Żukowskiego skupiali się adepci filozofii chrześcijańskiej, wyznawcy prymatu absolutnych prawd moralnych. Tak samo gdzieniegdzie – w zapatrywaniach i wnioskach politycznych czy ekonomicznych po rewolucji, w propozycjach literackich czy teatralnych – nigdzie w czasach NEP-u sytuacja nie była całkowicie opanowana, wszędzie czegoś szukano, coś prostowano, nie zawsze z odgórnym uzgodnieniem, tymczasowość i połowiczność reform zmuszały do zastanawiania się, jak będzie dalej, w rozmowach, niekiedy i w publicznych wystąpieniach, wyczuwało się wysiłek rozumowania po swojemu, niezaplanowane rozluźnienie, i to w gazetce GPU *Niedremluszczeje Oko* zostało w porę dostrzeżone z groźnym mimo poetyckiej formy memento:

*Zaczem unynje i triewoga
K czemu somnienje i toska,
Kogda gorit spokojno, strogo.
Krowawyj wienziel WeCzeKa.*

W klimacie przełomowych i mglistych dni wypadła inauguracja roku akademickiego na wydziale prawa KINCH-u (*Kijewskij Institut Narodnowo Choziajstwa*, przedtem *Kommerczeskij Institut*). Witano nas, przyszłych ekonomistów i prawników sowieckich, perspektywą wielkich zadań, potem żegnali nas absolwenci Instytutu poprzedniej formacji przekazując pałeczkę, owe szczytne tradycje studenckie z walk o postęp, wolność, demokrację i niezależność nauki, najradzykalniej przemawiał ktoś z Polaków, mogli sobie na to pozwolić wyjeżdżając do Polski. Zaintonowano Gaudeamus, maturzyści sowieckich szkół średnich, jak ja, słyszeli o takim hymnie, pamiętali z literatury, że tak samo śpiewano na wiecach studenckich, na wieczorkach,

i nie znając słów podchwycili samą melodię, ale pierwszorzędnicy z *rabfaków* wcale tej pieśni nie znali i na dźwięk obcej mowy poczęli szemrać i gwizdać „precz z reakcją!”.

Zapisałem się na prawo, bo nie wiedziałem, za co się brać, a to było blisko i nic nie kosztowało. Chodziłem na wykłady stenografując dla wprawy, by nabrać biegłości bodaj do setki słów na minutę, z czym można byłoby rozpocząć już praktykę zawodową, słuchając wykładowców, nawet o ustalonym nazwisku i dorobku naukowym, miało się wrażenie, iż z całej erudycji, dzięki której jeszcze się ich trzyma tutaj, starają się wybrać rzeczy najnudniejsze i bezsporne, balast nie do podważenia. Być może później, gdy dyscypliny kontrowersyjne, jak ekonomia polityczna, historia doktryn, teoria państwa i prawa, zostały naświetlone jednoznacznie, niektórzy z tych uczonych odzyskali pewność siebie i lotność, ale wówczas zazdrościłem matematykom profesora Delone. Myśmy takiej indywidualności nie mieli. Matematykę, która mnie na szczęście nie obowiązywała odwiedziłem w nadziei, że może rozejrzawszy się po sali ujrzę gdzieś Nadię, potem przychodziłem, by popatrzeć, nie mówię posłuchać Delone, bo nic a nic nie rozumiałem z tego, co mówił i co kreślił na tablicy. Robił to z niebywałą żywością i gracją, tańcząc przed tablicą, w szybkim postukiwaniu kredki słyszało się wprost kastaniety, to był balet, warto było popatrzeć, a kiedy się odwracał do sali z gestem wskazującym, z gestem artysty zrywającym zasłonę ze swego dzieła, czułem, jak ślepiec, że wszyscy widzą coś wspaniałego, jakieś piękno (rzeczy prawdziwe i wieczne, mawiała Nadia). Różowa czerstwość twarzy o zmiennym wyrazie, drobna, szczupła sylwetka, zwinne ruchy już na pierwszy rzut oka sprawiały przyjemne wrażenie. Mówił z ogromnym przejściem. Sugestywnie, wybiegając w zaskakujące metafory, w dykteryjki, wspomnienia, raz urwał w pół słowa, by powitać spóźnioną słuchaczkę i z lekkim reweransem odprowadzić na wolne miejsce, po czym z punktu podjął przerwany wątek, sadząc przez jakieś płotki wyższej matematyki – zdawało mi się, że gdybym dotknął jego włosków, to by z tej naładowanej srebrnej głowy sypnęły się iskry. Widziałem w nim uosobienie pasji twórczej, urzekający program życia – dlatego właśnie nic nie rozumiejąc siedziałem niekiedy na jego wykładach – miałem nareszcie przed sobą uczonego z prawdziwego zdarzenia, fascynującą osobowość, człowieka wiedzy i natchnienia, dzięki matematyce tworzy coś w mechanice i awiacji, i to coś zostanie po nim niezależnie od tego, jak się wszystko wokoło ułoży i kto w końcu zwycięży, Lenin, Trocki czy Bucharin (Stalina w ogóle

nikt nie brał wtedy pod uwagę). Pewnego wieczoru zauważyłem Delone w grupie słuchaczy przed instytutem na Bulwarze Bibikowa, może wówczas już Szewczenki. Przystanąłem, bo rozmawiano o Majakowskim, o poezji w ogóle, nadarzyła się sposobność, mógłbym zamienić parę słów, ale gdzieś w ciemnościach rozległ się krzyk kobiety i Delone pomknął z gołymi piąstkami na bandytów, dopiero po chwili wszyscy, oprzytomniawszy, w te pędy za nim – sześćdziesięcioletni profesor wykazał się szybszym refleksem niż uczniowie, w każdym razie wrażliwością i odwagą wieku młodzieńczego.

Gdzieś w środku roku wprowadzono na salę wykładową gościa zdecydowanej postawy w średnim wieku i w wojskowej bluzie z nakładanymi kieszeniami, wyłożył dość płynnie i rzeczowo teorię wartości podług „Kapitału”, po czym dziekan, poszeptawszy z asystą, oznajmił, że był to wykład habilitacyjny kolegi Kantorowicza *pro venia docendi* marksizmu. Otóż ten docent z awansu partyjnego, o którym nie wiedzieliśmy, czym się zajmował przedtem i czy wydał jakieś dzieła przedmiotowe, wkrótce zyskał uznanie poziomem swych prelekcji, wyczuwało się w nim żarliwość i pewność siebie człowieka głębokich przekonań, erudycji służebnej, wspierającej światopogląd, był wymagający, ale życzliwy i bezpośredni, chętnie rozmawiał z nami po wykładzie, niektórych zapraszał do mieszkania, właściwie pokoju, marksizm w jego interpretacji nabierał walorów uniwersalnej metody badawczej i nie odstraszał dogmatyzmem. Po wydaleniu mnie z instytutu Kantorowicz pragnął mi chyba pomóc, bo prosił, żebym wstąpił do niego i wszystko opowiedział – dotknięty do żywego niesprawiedliwością, nie skorzystałem z tego, nie chciałem protekcji. W późniejszym okresie wydalono i Kantorowicza, miał podobno ciężkie przejścia, nie znam całej historii, ale to, co słyszałem, nie pomniejszyło mej sympatii i szacunku dla niego.

Pierwszym zarobkiem, jaki przyniosłem do domu, był żołnierski *pajok* za stenografowanie cyklu wykładów w podchorążówce saperów, ciężka praca i także do niej droga zimą przez śniegi w drugi koniec Kijowa, właściwie za miasto, w lekkim paletku i butach bez zelówek. Ale te racje żywnościowe podtrzymały nas na ciele i duchu. Potem długo nic się nie trafiało z honorariów w naturze, a te sporadyczne zarobki w pieniądzu (przed emisją czerwonońców) miały wartość raczej moralną. Szło mi jak z kamienia, byłem sam bez znajomości miasta, poza środowiskiem zawodowym, głaz narzutowy, głaz zbędny. Pewnego razu, gdzieś już w początkach wiosny, przeczytawszy

na słupie ogłoszeniowym o kursach stenografii Piotra Krasilnikowa, udałem się pod wskazany adres, żeby się czegoś dowiedzieć o stenografach, może mają jakieś biuro, jakiś związek? Okazało się, że nie, nigdzie nie są zrzeszeni, każdy sobie gdzieś tam skrobie, a najlepszym, najbardziej ruchliwym stenografem jest Aleksy Gersztanski, poinformował mnie Krasilnikow, suchy, dobrze zbudowany brunet po czterdziestce o smagłej, skamieniałej i porytej bruzdami twarzy—maski wojownika abisyńskiego albo mnicha z Tybetu, wyszedłem pod wrażeniem dziwnie skupionego, mrocznego światła z głębi zapadniętych oczodołów nie wiedząc jeszcze, że te oczy hipnotyzują, każą widzieć rzeczy nieistniejące, niekiedy ponoć uzdrawiają.

Dzięki Krasilnikowowi nawiązałem kontakt, później zażyłość, z Gersztanskim, stenografem parlamentarnym starej daty, jeszcze z Dumy Państwowej, miał ustaloną reputację i wyrobioną praktykę — o znaczeniu zjazdu, uroczystości, wystąpienia publicznego mówiło samo ukazanie się tej męskiej miniaturowej, nie bez wdzięku zresztą, to świadczyło o wydarzeniu, gdy w szatni, wśród byle jak odzianych towarzyszy delegatów i dostojników, przesuwając się błyskając binoklami na sznureczku małego pana, zamyślony jak lekarz, *utoczniony*, z czarną muszką pod sztywnym białym kołnierzykiem, w filcowym kapeluszu o szerokim rondzie i paltociku z Petersburga. Na ogół dla wielu, jak Kuzniecowa, Frydman, Grynberg, jak i inni studenci, jak Bojko, zawodnik i trener pływacki, stenografia stanowiła zajęcie tymczasowe i uboczne, nawet Krasilnikow prowadził swój instytut stenografii właściwie ze względu na rodzinę, której musiał pomagać, sam, stary kawaler i joga, zadowolony się garścią ziarna z odrobiną owoców, byle żyć w świecie doznań i ćwiczeń metapsychicznych. Gersztanski natomiast reprezentował stan dożywotni stenografa zawodowego, wysoką klasę biegłości w tym zawodzie i jego etykę, był wyznawcą, ideologiem stenografii, lotnego pisma wieku rewolucji, awiacji, wzmożonego tempa życia. Cieszyłem się, że mogę pracować z takim mistrzem, czas jakiś pisaliśmy we dwójkę, z początku on wyniuchiwał możliwości zarobkowe dzieląc się ze mną, potem i ja nabrałem niucha w myszkowaniu za tym, gdzie się szykuje jaka gadana impreza, pozawierałem znajomości, tak że pracy mieliśmy pod dostatkiem, ale obrzydła nam ta gonitwa, zaczęliśmy się szanować, zachciało się nam wygody i telefonów, niech do nas dzwonią, niech nas proszą — zakrzętnęliśmy się dokoła sprawy zjednoczenia, stabilizacji i statusu zawodowego, w związku pracowników oświaty utworzono sekcję stenografów

i biuro obsługi, Gersztanskiego na walnym zebraniu wybrano przewodniczącym, a mnie wice.

W „Żywym wiązaniu” powiedziałem, ile zawdzięczam stenografii. Przypominając sobie wrażenia i wiadomości wyniesione z przeróżnych środowisk, z procesów sądowych, uroczystości, konfliktów społecznych dałem obraz Warszawy roku 1926. Na podstawie wspomnień z praktyki stenograficznej w Kijowie w latach 1922–23 mógłbym skreślić fragment powieści historycznej, nie chodzi jednak o powieść, muszę się skupić na momentach, na wydarzeniach istotnych dla mnie.

We wczesnym okresie mej stenografii takim wydarzeniem było otwarcie Kontraktów Kijowskich. Ujrzałem wtedy wielkich kupców i przemysłowców zza żelaznej kurtyny, owych interwentów z plakatowych karykatur, nie mieli wysuniętych szczęk ani siekaczy w kształcie wilczej piły i nie tonęli w zwalach tłuszczu, wyglądali układnie, dystygowanie, z okazji wznowienia Kontraktów życzyli państwu sowieckiemu wszelkiej pomyślności (stenografowałem i mowę polską, jakkolwiek nie byłem do tego zobowiązany, ale dostojny pan mówił wolno, z namaszczeniem, spróbowałem, mama potem śmiejąc się poprawiała). Na bankiecie krępowałem się jeść przy nich, byłem piekielnie głodny, a oni rozmawiali i przyglądali się pobierając sobie na talerze od niechcienia próbki tego i owego z cudów, jakie stworzył kucharz carski (jeśli wierzyć wszystkim podobnym zapewnieniom w Rosji i za granicą, to kucharzy car musiał mieć co najmniej batalion). Dopiero rozejrzawszy się wokół, jak wszyscy sobie używają, nawet ci z *gubkomu*, nawet z centrum, zabrałem się do tych wspaniałości gotowanych, pieczonych, mrożonych, poustawianych dekoracyjnie na stołach i wciąż podawanych, jakieś rozkoszne frykasy mięsne, rybne, z drobiu, kawior, torty, ananasy... Pić nie piłem, bo mnie do tego jeszcze nie ciągnęło, a i do domu było daleko, pamiętam, wypilem tylko jeden kieliszek, gdy podchmielony Jakir klepnął mnie w przypiływie uniesienia, sławny dowódca przestawnej 45-tej dywizji – *nu wot, pacan, za buduszczeje!* – wychyliłem, było żółte i palące, jeszcze bardziej chciało się jeść... Wyszedłem nażarty i poniżony unosząc kawał pasztetu w kieszeni. Za kordonem milicji tłum się gapił na rzęsiście oświetlone okna, chłonał dźwięki orkiestry, odgłosy i aromaty kuchni bankietowej. Przepchnąłem się szczęśliwie, nikt nie zaczepił, nie zażebrał, tylko po jakimś czasie spostrzegłem za sobą parę bliźnięt, byłem przekonany, że bliźnięta, tak wyglądały, sunęły za mną bez słowa krok w krok jak lunacy, jak odurzone małe mucki.

Teraz wiem, zwietrzyły pasztet, kromkę świeżego chleba wyczuwaliśmy na Majdanku z odległości kilku metrów, a pasztet przecież mocniej pachnie, i one także miały wyostrome głodem, do tegoż jeszcze dziecinne, chłonne noski, jestem pewien, że wyczuły. Ale wtenczas, na pustym o tak późnej godzinie Kreszczatiku, bliźniacze głodomorki podążające za mną somnambulicznie i właśnie nieco z prawa, gdzie był pasztet, wydały mi się czymś niesamowitym, nie mogłem uciec przed nimi ani prześcignąć ich, chwyciły mnie spazmy obrzydzenia i boleści z przerażenia się, musiałem im dać. Stały na wprost siebie, chłopiec i dziewczynka, twarz w twarz i patrząc sobie w oczy lizali pasztet po kolei, raz on, raz ona, bezwiednie jak we śnie. Zdjęło mnie przerażenie – gdy skończą, to się przebudzą i umrą stojąc, z otwartym pyszczkiem śniętej rybki. Zwymiotowałem cały bankiet.

W późniejszych moich czasach średnich, już po chudych dniach, ale jeszcze przed pełnią *prosperity*, dużym wydarzeniem stał się dwudniowy pojedynek dyskusyjny wokół kategorycznie postawionej alternatywy – Bóg czy nauka? Żadna impreza w mieście nie mogła dotąd liczyć na taki sukces, żeby tłumy, którym już w żaden sposób nie udało się wtłoczyć na salę, stały na placu przed gmachem opery i przejmowały się tym, co się tam dzieje, kto zwycięża? Trudno przypuszczać, by aż tylu znalazło się niezdecydowanych, biernych i naiwnych kibiców, że dopiero wynik meczu miałby ostatecznie przekonać o istnieniu lub nieistnieniu Boga. Po prostu w dotychczasowej wulgarnej kampanii antyreligijnej, przybierającej częstokroć formy odrażające, po raz pierwszy obok religii postawiono nie wykrzyknik, ale znak zapytania – nauka czy religia? – zamiast nagonki ujrzano dylemat, który miano roztrząsać we wszystkich aspektach bezstronnie na widowni sporu publicznego, nazwiska dyskutantów mówiły za siebie, widziano zwolenników dobrej klasy, walka zapowiadała się ostra. Myślę, że nie tyle temat sporu, ile to, że uznano spór i dozwolono, było tu sensacją. Dyskusję, z miejsca zagorzałą, cały czas prowadzono namiętnie, unikając jednak brzydkich chwytów, wymyślań czy napaści osobistych, starano się zachować w zmaganiach celność argumentów i wagę materiału dowodowego. Głównym rzecznikiem światopoglądu materialistycznego i racjonalizmu był Kantorowicz, obok niego występowało kilku profesorów, między innymi Delone. Oponował tylko Żukowski. Dialog ich toczył się po bezmiernych obszarach wiedzy i doświadczeń ludzkich, wdawał się w podstawowe zagadnienia teorii poznania i filozofii, to znów płynął obfitą masą rzeczy oczywistych, wydarzeń, przykładów, świadectw

rozmaitych autorytetów za i przeciw. Podążając za nimi przy stoliku stenografa, byłem całkowicie po stronie Kantorowicza i Delone, wzbierało jednak uczucie sympatii i podziwu dla Żukowskiego. To nie był ciemny popik, z nawyku i niewiedzy wierzący w Boga i w ciało Chrystusowe w prosiłce, upieczonej przez popadnię. Podejmował każdą proponowaną płaszczyznę rozważań, Kantorowiczowi cytował mało znanego Marksa z jakichś tam listów, z Delone rozmawiał za pomocą kredki, wypisując na tablicy wzór matematyczny, wychwytywał mankamenty wiedzy współczesnej, jej wątpliwości i niedostateczność, i bronił prawa do wiary, do poszanowania swego widzenia świata, swego życia duchowego. A miał dar oddziaływania, i głos proroka, i gorejące oczy na uduchowionej, ascetycznej pięknej twarzy, i stał sam jeden wobec ciężkozbrojnych przeciwników, faworytów władzy absolutnej – mógł wygrać tylko moralnie. Niejeden ateista spoglądając jak ja z podziwem na tego mistyka, odczuwał niepokój o niego, żeby tylko GPU nie wzięło go potem... Podobno Żukowski modlił się całą noc i żegnając się z uczniami przepowiedział swój los – nie płacicie po mnie, drodzy moi, Chrystusa także wzywano na dyskusję i nie mogąc przekonać go ani pokonać, ukrzyżowano...

W szczytowym okresie mej kariery stenografa najbardziej pamiętnym epizodem zapisała się gubernialna konferencja partyjna 1923 roku. Już przed otwarciem konferencji wiedzieliśmy, że coś się tam rozegra ważnego dla partii. Zażądano protokola, za którego przewodniczący i wiceprzewodniczący biura stenografów odpowiadają personalnie, będzie notował na specjalnych arkuszach ostemplowanych pieczętą *gubkomu*. Gersztanski powiedział, jeśli mamy odpowiadać za kogoś, to lepiej chodźmy sami, ja i ty... Nie, odrzekłem, ja nie pójdę... Nieraz już stenografowałem obrady partyjne, ale tym wołałbym nie używać na przykładkę mojego pióra, powodów do absencji miałem kilka, z których najważniejszego, że jestem w nielegalnym kółku młodzieży socjaldemokratycznej, nikomu wyjawić nie mogłem. Przesłany z CK Ukrainy Warejkis, kiedy mu podałem nazwisko stenografa, spytał:

- A czemu ty nie piszesz?
- Josifie Michajłowiczu, konferencja ma być tajna, w razie jakiego przecieku, mogą przede wszystkim mnie posądzić o to.
- Dlaczego właśnie ciebie?
- No, bo wydalono mnie z instytutu jako element politycznie niepewny, a przedtem wystąpiłem przeciw z Komsomołu...

Zdziwił się. Pamiętał mnie z Symbirska, ale tego fragmentu

mego życiorysu nie znał.

- Ano mów, jak to się stało? Dlaczego wystąpiłeś?

Opowiedziałem. To go nie przekonało, zresztą nie miał czasu na zagłębienie się w motywy mojej rezygnacji, wydała mu się krokiem nie dość przemyślanym, raczej poślizgnięciem się, jakąś młodzieńczą porywcznością w chwili depresji i przewrażliwienia – oto, wygłupiłeś się, potem porozmawiamy, teraz pisz, ja ci ufam...

Takie zaufanie obowiązywało. Zrobiłem cały stenogram i nic z niego, przynajmniej przeze mnie, nie przeciekło. Spisując teraz ogólne wrażenia i wnioski z owej dramatycznej rozgrywki, myślę o Warejkisie, odegrał niepoślednią rolę w stłumieniu opozycji, popierał Stalina w najlepszej wierze, którą przyplacił życiem.

Nie znam dokładnie przebiegu podobnych zjazdów i konferencji partyjnych, jakie odbywały się podówczas w całym kraju. Jeśli w większości organizacji było z grubsza biorąc jak w Kijowie, to rok 1923 zdecydował o tym, co się później stało. Opozycja mogła zwyciężyć i nadać wydarzeniom inny bieg, inny klimat. Kilka momentów przemawia za tym. Na czele opozycji stali starzy towarzysze o wielkim autorytecie i wkładzie osobistym w zwycięstwo rewolucji, zbyt świeża była pamięć o tym. W trzecim, ciężkim roku nowej polityki ekonomicznej, a pierwszym roku bez Lenina, który właśnie zachorował i przebywał bezwładny w Gorkach, wzmógł się w partii ferment i niepokój, istniała autentyczna różnica w poglądach, istniały pojęcia odróżniające poszczególne grupy, znaki diakrytyczne, używane z twardą lub rozmiękczoną pryncypialnością. Wreszcie moment natury technicznej o nie byle jakim znaczeniu – nie doszło się jeszcze do precyzji w montowaniu aparatu partyjnego i reprezentacji partii, skład delegatów nie zawsze dawało się dobrać z własnego klucza dla zapewnienia sobie całkowitej jedynomyślności. Opozycja miała szansę zwycięstwa. Stenografując, nie rozumiałem, dlaczego nie atakuje frontalnie, czemu unika generalnej krytyki i nie występuje z pełnym własnym programem? Broniła głównie wewnątrzpartyjnej demokracji zyskując tym poparcie „dołów” i to ją w końcu zgubiło, że proponowała tylko to i nie wyszła poza obronę. Przeciwnicy z kierownictwa nie kwestionowali samej zasady wewnątrzpartyjnej demokracji, domagali się jednak jej uściślenia, ustalenia granic, gdzie się kończy platforma, a zaczyna frakcja. Teoretyzowanie na ten temat wypełniło cały pierwszy dzień obrad, a w drugim zaczęto te pojęcia konkretyzować i zapędzać opozycję w kozi róg, po

takiej mniej więcej pochylni – zaczyna się od zwątpienia, od niewiary w słuszność generalnej linii partii, to się może zdarzyć i nie jest czymś występny, gdy się przestrzega dyscypliny partyjnej, a odmienne zdanie wypowiada się na zebraniach partyjnych. I platformy dyskusyjne są dopuszczalne pod warunkiem, że aktualne sądy łączące towarzyszy wspólnej platformy nie osłabiają więzi ich z organizacją macierzystą, ich poczucia solidarności z całą partią. Ale jeśli niektórzy towarzysze zbierają się po prywatnych mieszkaniach, obradują konspiracyjnie i rozpowszechniają swe poglądy w sposób konspiracyjny, to chcielibyśmy wiedzieć, czy siedzą oni na platformie, czy we frakcji?

– Ale o czym wy mówicie, towarzyszu?

– Mówię o zebraniu u was w waszym mieszkaniu we środę 2-go czerwca o godzinie 18-tej. Zaprosiliście jedenastu towarzyszy. Możemy podać nazwiska. Padły tam następujące słowa...

Kreślę je przykładowo, taki sobie schemat, szkic orientacyjny. Nie mam stenogramu, nie mogę cytować z pamięci tego, co zostało powiedziane pół wieku temu, pamiętam ogólny przebieg konferencji, jej atmosferę i niektóre momenty, jak ten jakiś bardzo dokładny wyciąg z inwigilacji, grobową ciszę potem na sali i krzyk:

– Toście kazali nas śledzić!

– A tak, kazaliśmy. Bo to, co robiliście i robicie jest działalnością frakcyjną, antypartyjną, obliczoną na rozbięcie naszej jedności i siły!

Od tej chwili los opozycji został przesądzony. Powiało piwnicznym chłodem z ul. Jekatierinińskiej, siedziby GPU, i do niezdecydowanych, do wahających się przemówiła postać towarzysza Stalina, gwaranta jedności i siły partii. Nikt się oczywiście nie domyślał istnienia testamentu Lenina, w którym wystawił on złą notę Stalinowi i ostrzegał partię przed nim, przypomniano sobie natomiast, że zawsze stał przy Włodzimierzu Iljiczu, kiedy inni nieraz zachowywali się chwiejnie, niedawno jeszcze wspierał go w zmaganiach z Trockim i z Bucharinem, wierny uczeń, najbliższy *soratinik*, najgodniejszy chyba następca i kontynuator dzieła Iljicza. Widziałem, jak się rodzi mit. W groźnej chwili wśród wzburzonych fal oczom niezdecydowanych dotąd aktywistów i szarej masy partyjnej ukazał się wytrawny, świadomy kursu sternik. Na czoło wysuwał się nie żaden z wodzów rewolucji lub sławnych komandarmów, nie któryś z owych leninowskich lwów, ale jakiś, dla mnie przynajmniej i dla całej myśli, ludności, jakiś Stalin. Miałem wrażenie, iż wielu z tych na samej górze zachowuje się wobec niego

neutralnie albo mu sprzyja, widziało się przecież, jak sam Frunze go popierał – dlaczego? Zagadnąłem o to jednego z przywódców opozycji kijowskiej, kiedyśmy się spotkali po roku i sytuacji nastrojała do refleksji. Jechaliśmy na jednym poniekąd wózku, ja do Odessy pod nadzór GPU, a on, stary bolszewik wracał do Turkiestanu, gdzie był na zesłaniu za cara. Powiedział, że jeszcze w osiemnastym roku Stalina w gronie lwów nazywano między sobą *iszakiem*, pewnie teraz, mówił, zaniechali tego przydomku, jednakże nie całkiem chyba wyzbyli się poczucia swej wyższości i przewagi, uparty, solidny, nietlotny Dżugaszwili wciąż wydaje się im niegroźny, czasem nawet potrzebny, jako bufor między nimi, ale on, ten stary bolszewik, zna Stalina i wcale by się nie zdziwił, gdyby *iszak* pożarł lwy. To była relacja z Olimpu, której wiarygodności nie mogłem sprawdzić, tak wysoko mój wzrok nie sięgał. W każdym razie ci towarzysze na szczeblu gubernialnym, których znałem, Warejkis, Gamarnik, Jakir, widzieli w Stalinie pewną przyszłość, stabilizację, opokę i wspomagali go w walce z opozycją. Zginęli wszyscy w 1937 roku – w bratniej mogile dawnej rosyjskiej partii komunistycznej bolszewików i towarzyszy z Trzeciej Międzynarodówki.

Pewnego dnia do naszego biura przybył po stenografa wąsaty kawalerzysta z pismem od Kotowskiego. Zamierzano wydać historię korpusu, stenograf rozjeżdżając po miasteczkach i wsiach nad granicą, miał spisywać wspomnienia weteranów, praca zapowiadała się na parę miesięcy i nie znalazła chętnych. Ja się podjąłem ze względu na osobę dowódcy.

Tu muszę nieco przypomnieć i wyjaśnić. Wyżsi dowódcy rewolucji, gdy szczęście dopisało i talent, robili zawrotne kariery w krótkim czasie, zdarzało się, że z dowódcy plutonu na dowódcę pułku w ciągu roku, a pochodzili z różnych warstw i formacji. Głównych rodowodów kadry dowódczej było trzy. Najstarszy podkład to pierwsi dowódcy oddziałów partyzantkich i Czerwonej Gwardii, wybrani przez towarzyszy lub uznani automatycznie, gdy sami swój oddział czy drużynę tworzyli, wyruszali do walki w warunkach chaosu i potem sprawdzali się w utarczkach, fortelach, bojach, w pochodach niekiedy na miarę homerycką i jak nie zginęli, to wchodzili potem w skład regularnej Armii Czerwonej. Z tej formacji, w której znalazło się sporo byłych podoficerów ze stażem bojowym wojny 1914–17, wyszli Blücher, Budionny, Czapajew, Gorodnikow, Kikwidze, Kowtiuch, Szczors i inni bohaterowie legend i pieśni, czasem powieści i filmów, jak Budionny, Czapajew i Kowtiuch („Żelazny

potok’’). Druga formacja to kadrowi oficerowie, tysiące ich zasiliło Armię Czerwoną. Mniej fascynowali wyobraźnię mas, bez nich jednak nie byłoby armii – wnieśli rutynę z wykształceniem zawodowym i znajomość współczesnej sztuki wojennej. Najbardziej reprezentatywny dla komandarmów o tym rodowodzie jest Kamieniew, b. pułkownik sztabu generalnego, głównodowodzący Armią Czerwoną od 1919 do 1924 roku, o jego roli i zasługach dostatecznie mówi fakt pochowania na Placu Czerwonym w Moskwie, albo Tuchaczewski, oficer gwardii ze szlacheckiej rodziny, komandarm w wieku lat 26, następnie dowódca Frontu Zachodniego w kampanii polsko-sowieckiej 1920 roku, marszałek Związku Sowieckiego zgładzony w 1937 roku, albo Jegorow, były podpułkownik, komandarm pod Carycynem, gdzie rzekomo zwyciężał Stalin, dowódca Frontu Południowo-Zachodniego w kampanii dwudziestego roku, marszałek, szef sztabu Armii Czerwonej. I wreszcie rodowód trzeci – z partii, komisarz polityczny w ogniu walk przekształca się w dowódcę. Inteligencja partyjna dała armii kilka talentów dużej miary, przede wszystkim rzuca się tu w oczy Frunze ze starej grupy zawodowych rewolucjonistów–bolszewików, pogromca Kołczaka i Wrangla, jeden z najwybitniejszych wodzów rewolucji i organizatorów sił zbrojnych Związku Sowieckiego, a z młodszej generacji – Jakir, były student–technolog, w 1918 roku utworzył w Kiszynowie, rodzinnym mieście, oddział Gwardii Czerwonej, był potem dowódcą batalionu ochotników chińskich, dowódcą 45-tej dywizji i grupy wojsk w dwudziestym roku, za moich czasów szef kijowskiego okręgu wojskowego, nagrodzony trzema orderami Czerwonego Sztandaru i szablą honorową, zginął na stanowisku dowódcy wojsk Ukrainy w 1937 roku.

Na tle tych rodowodów Kotowski rysuje się postacią nietypową, sam w sobie. Z wykształcenia i pochodzenia ani inteligent, ani proletariusz, dwie klasy szkółki ludowej i szkoła rolnicza, syn mechanika gorzelni, po którym ponoć wziął swą fenomenalną siłę, tak że już w latach szkolnych nikt z okolicy bić się z nim nie chciał. W wojsku carskim nie służył, powołany w 1905 roku zbiegł z pułku w swe strony i tam, w Besarabii, rozpoczął nabywanie kwalifikacji dowódcy w żywiołowym ruchu przeciw dziedzicom, potykał się z żandarmami, z wojskiem, grabił mienie pańskie i rozdawał chłopom, łapano go, uciekał, i znów straszył dwory, nawet z Syberii, z katorgi uciekł z powrotem do Besarabii, trzy lata go tutaj ścigali i wzięli dopiero ciężko rannego po krwawej walce. Sąd wojenny w

Odessie skazał go na powieszenie, ale Brusilow, ówczesny dowódca frontu, zamienił szubienicę na dożywotnią katorgę. Tymczasem nadeszła rewolucyjna wiosna siedemnastego roku – Kotowski zjawia się w Odessie. Słyszałem, jakoby prosto z więzienia udał się do teatru, by w przerwie spektaklu, potrząsając łańcuchami, obwieścić licytację: „Kajdany Kotowskiego, dziesięć tysięcy rubli, kto daje więcej?” – jakaś ogromnie przejęta rewolucją milionerka kupiła na pamiątkę za ciężkie pieniądze i Kotowski zdobył kapitał zakładowy na formowanie oddziału. Wierzono, że tak być mogło, bo to w stylu Kotowskiego. Faktem jest, że ścierał się z Rumunami, z Petlurą, z białymi, gdzie się dało i jak się dało, w polu na czele oddziału, z zasadzki, w podziemiu kierując drużyną bojowców, nie różnił się pod tym względem od wielu innych towarzyszy, z tym tylko, że kiedyś już walczył w ten sposób i na własną rękę. Nie wiadomo, jakie książki i programy, jakie wpływy kształtowały świadomość polityczną tego buntownika i terrorysty w młodości, do partii komunistycznej wstąpił mając lat trzydzieści, w 1920 roku, jakkolwiek współpracował z nią przedtem od dwóch lat. Sam się podobno uważał za anarchistę. Bolszewicy odpowiadali mu swym temperamentem i ekstremizmem, przyłgnął do nich. Tak samo z opóźnieniem w wieku dojrzałym, pod czterdziestkę, rozpoczął służbę w regularnej armii, u Jakira w 45-tej dywizji, dla której podówczas w 1919 roku, w dniach formowania się pasowałyby raczej trójka w numeracji – 3 brygady piechoty po 3 pułki w każdej, 3 baterie, 3 szwadrony kawalerii i trzech obiecujących młodzieńców na czele tej maszyny, dwóch byłych studentów i jeden byłby porucznik, wszyscy z Besarabii, ziomkowie, bliscy Kotowskiemu swą odwagą, fantazją i zapałem. Został dowódcą brygady strzeleckiej, przedarł się z nią do Żytomierza, by stamtąd uderzyć na białych pod Kijowem, po pięciu miesiącach pochodów i walk utworzył przy 45-tej dywizji brygadę kawalerii, zdobył Odessę i Tyraspol, z Budionnym szedł zagonem w głąb Polski, w lasach tambowskich odegrał atamana Frołowa i tym fortem wygubił pułki Matiuchina, osaczył i zniszczył oddział dywersyjny Tiutiunnika na Ukrainie – rosła jego sława i siła, z brygady rozwinęła się dywizja, z dywizji korpus – wyrósł na generała broni, na bohatera wojny domowej, ale jak gdyby z dawno minionej, stepowej formacji watażków chłopskich i kozackich.

Oto dlaczego podjąłem się dość kłopotliwej pracy gdzieś na prowincji bez widoków na jakieś specjalnie dobre wynagrodzenie. Chciałem poznać Kotowskiego. W pierwszym miesiącu, w

Hajsyniu, Winnicy, Humaniu i innych miasteczkach, poznałem kotowców, dziarskich kawalerzystów, odzianych w polskie, stalowe siwe sukno, podobne w odcieniu do umundurowania naszych lotników obecnie. Nigdzie indziej nie widziałem tak dobrze ubranych żołnierzy i tyłu wąsatych, sumiasty wąs na wygolonej twarzy był jakby godłem, odznaką honorową korpusu. Nie wiem skąd to poszło. W każdym razie nie z góry, bo ani Kotowski, ani dowódca 9-tej Krymskiej dywizji Wołosatow, ani Kriworuczka, dowódca 3-ej besarabskiej, wąsów nie pielęgnowali.

Korpus był świeży, w pierwszym roku istnienia, brano go w kluby, trenowano i to się rzucało w oczy – wszyscy się uczyli. W koszarach i stajniach, na placach, na strzelnicy starzy kotowcy ćwiczyli poborowych, a tych starych bojców przeciągano przez szkołę podstawową. Po pułkach i brygadach odbywały się wykłady i zajęcia taktyczne dla średniego *komsostawu*. Spiesznie wypełniano luki. Od góry do dołu. Sam Kotowski (bez szkoły wojskowej) i Kriworuczka (były wachmistrz ułanów), i Wołosatow (starszy untier w wojnie światowej, to chyba sierżant po polsku) – mimo tylu zwycięstw i orderów i tak wysokiej rangi – siedzieli zimą w Moskwie na kursach doszkalania wyższych dowódców przy akademii sztabu RKKA.

W 1923 roku, w drugim roku pokoju, gdy rozwiało się widmo głodu, zniknęły wszystkie większe bandy i na umęczonej Ukrainie, na pięknej, żyznej ziemi życie wracało do jakiejś normy, i pod strzechami białych chat w cieniu topoli i cyprysów, w uroczych, opatulonych sadami miasteczkach jak Winnica ludzie przychodzili do siebie po przeżytych – u Kotowskiego stara wiara, co żyła wojną sześć czy siedem lat, jeszcze się aklimatyzowała. Większość przechodziła to na podobieństwo rekonwalescentów albo powracających z długiej wędrówki, spieszyli nacieszyć się domem, żenili się, kochali, jeszcze zajmowały ich i bawiły rozmaite miłe błahostki stabilnej codzienności, a w przyszłość spoglądali z ufnością spodziewając się rychłych awansów w uznaniu zasług. Ale byli tacy, których brała nuda takiej egzystencji, pewnej jak kalendarz, a znanej jak regulamin służby garnizonowej, narkotyk wojny działał i śniły im się tamte bujne czasy. Kiedy się rozmawiało z prostą starszyzną na szczepku plutonu, nierzadko ktoś się pytał: *a skażi ka, towariszcz, wojna to budiet? Pojdiom na Gamburg?* Usłyszał czy przeczytał o jakimś strajku w Niemczech, o jakimś odrochu rewolucyjnym, już się rozglądał, czy aby czerwony Hamburg, germańska Odessa–mama, nie potrzebuje odsieczy? Pomogliby,

pogonili niemieckich generałów, fabrykantów i dziedziców jak swoich ganiałi, aż do końca, by napoić konia, w napoleońskiej, bardzo bystrej rzece, gdzie na wyspie stoi jego wieża. Raz wtrąciłem, że może Zachód sam sobie poradzi, to się zdziwili – bez nas?! Przypomniałem, nie u nas, ale u nich zrodziła się nauka Marksa i Engelsa, była wielka rewolucja francuska i Wiosna Ludów, i była Komuna Paryska... Nie dało się przekonać – ano właśnie, było i nic z tego nie wyszło, teraz muszą po naszymu z nami... Komunizm znali tylko wojenny, w stanie wojny, innego wyobrazić sobie nie mogli. Tak samo z rosyjska, na obraz i podobieństwo własnych doznań, widzieli przyszlą wojnę na Zachodzie i sam Zachód. Coś z tych nastrojów i wyobrażeń dawało się czasem zauważyć i nieco wyżej, u średniej szarzy. W zapiskach, jakie dla pamięci zrobiłem wkrótce potem, znajduję notatkę:

Komsek Johansen der Dritte (Iwanow Trzeci), scena na placu. Zacharczenko świetnie rąbał się z machnowcami i z Petlurą, a glinianego manekina nie potrafił ściąć przepisowo, Iwanow bestia go za to po niemiecku – *politkom* mówi, że ten *komsek* (mały, na pałakowatych nogach, czubiasty, wypalona plamka na policzku) wierzy w rychłą wojnę z białogermancem, więc uczy się podług samouczka Olendorfa i dla wprawy zwraca się niekiedy do *bojców* swego szwadronu po niemiecku (stąd przydomek): zdania prawidłowe, tylko tak wymawiane, jakby były czytane z tekstu pisanego rosyjskimi literami.

Spotkanie przy mogile. – Oddział dywersyjny Tiutiunnika przekroczył granicę z terytorium Polski. Ilu ich było? Różne podawano liczby, 800 i 1000 i 1500. Świetnie uzbrojeni, pewni tego, że jak tylko się zjawią, wybuchnie powstanie, przyszli z członkami rządu ukraińskiego i ze skrzynią świeżo wydrukowanych własnych pieniędzy. Walka była zajadła. W pierwszym starciu młody *komsek* stracił głowę i stchórzył, rozstrzelano go na miejscu (prosili tego nie notować, bo to wstyd dla pułku). Osaczono ich w końcu i rozgromiono. Resztki tiutiunnikowców rozstrzeliwano w lesie niedaleko st. Tietierew. Dowódca oddziału egzekucyjnego poznał wśród skazańców brata. Nie mógł nie wykonać rozkazu, ale i brata zabić nie mógł, przeskoczywszy jamę mogilną, objął go i dał komendę pał! Żołnierze odciągnęli obydwoh złączonych w uścisku. W sprawę wdał się Kotowski. Przesłuchawszy jednego i drugiego, spytał tiutiunnikowca, czy daje słowo, że będzie wiernie służyć? Ten dał, a brat poręczył za niego. Kotowski obronił przed czekistami i wziął do siebie. Jest w pułku, dobry chłopak, chcieli mi go pokazać. O Kotowskim

mówili, Grigorij Iwanowicz słowu wierzy i sam jak co powie, to stal.

Papierośnica. – W sadku obok stołówki *komsostawu* dwóch komandirów piło piwo pod kasztanem (w pułku euforia, dużo tego przywieźli, upał i browar ruszył!). Dziwnie melancholijnie popijali, jeden starszawy i gruby, drugi młodszy i smagły, pół tuzina pustych butelek stało na stoliku, R. zwrócił uwagę na otwartą papierośnicę, co leżała między nimi. Jego opowiadanie:

– W dziewiętnastym roku, kiedyśmy przyparli białych do Dniestru i zaczęli rozbierać, bośmy byli okropnie obłachmani, towarzyszu S. dostał się wspaniały łup na szykownym podpułkowniku. Gdy wciągał spodnie, wypadła srebrna papierośnica, grawerowana, takiego cacka S. nie widział, a cenił dzieła sztuki, wsunął więc antyk z powrotem do kieszeni, podpułkownik oprzytomniał i nuże błagać, towarzyszu, grabcie sobie, wszystko bierzcie, nie oponuję, tylko papierośnicę zostawcie, pamiątka z pułku, koledzy na pożegnanie podarowali, widzicie, są ich imiona, podpisy... A S., ten oto szczupły, śniady jak Cygan odesiak, człowiek bywały, z ogładą, trzeba wam wiedzieć, powieści historyczne czytuje, ma język i sznyt, sir, powiedział, zapinając guziki przy rozporku, słowo grabić jest tu zupełnie nie na miejscu, moja mama była idealistką, idę na jawną stratę przy wymianie – bezcenne pańskie życie w zamian za ten drobiażdżek – czy zgoda? Minął rok czy dwa, skończyła się wojna, wysłano S. do *czusnabarmu* w Charkowie z jakimiś sprawami zaopatrzenia. Wchodzi do gabinetu naczelnika wydziału i kogo widzi? Za biurkiem siedzi jego łupny podpułkownik. S., jak gdyby nigdy nic melduje się ze sprawą. A ten z miejsca!

– Papierośnicę macie przy sobie?

– Tak jest, mam.

– Proszę na stół.

Położył. Towarzysz naczelnik obejrzał, postukał:

– Mój tata, proszę ja was, był także niepraktyczny. Chcecie, wymienię waszą reputację ideowego komunisty za ten stareńki przedmiocik?

Po jakimś czasie przeniesiono go z intendentury do służby liniowej. Znaleźli się w jednym pułku, zaprzyjaźnili. Mają co wspominać, mają za czym tęsknić...

Cała ta różnorodna masa ochotników i poborowych, dawnych czerwonogwardzistów i żołnierzy armii carskiej, komunistów i ułaskawionych wrogów docierała się, macerowała w korpusie pod ciśnieniem indywidualności dowódcy. Bali się go i wielbili. Kult jednostki – nie ten, w jaki zapędzono i ujęto

później cały kraj – samorzutny kult jednostki widziałem tu w postaci naturalnej, z metryką pradawnego pochodzenia. To był korpus Kotowskiego i oni byli kotowcami. Miewałem wrażenie, że oglądam jakiś relikwiarz historii, coś ze stosunków łączących przed wiekami wodza i jego wojów. Nie do pomyślenia, by w jakiegokolwiek armii europejskiej żołnierz szukający sprawiedliwości poszedł prosto do domu swego generała i tam się rozgościł czekając na niego, a u Kotowskiego taki relikwiarz leżał w kuchni na ławie. Kotowska skarżyła się:

– Ja mu mówię, Grigorija Iwanowicza nie ma i nie wiadomo kiedy będzie, a on mi na to, nie szkodzi, ja zaczekam, a ty *choziajka*, nie obawiaj się, twój mnie zna, na jednym koniu żeśmy z Białej Cerkwi uciekali... No i został, drzewa narąbał, w ogrodzie porobił, teraz, widzicie, buty zzuł, odpoczywa sobie, czeka, toć to czysty bałagan, on się tu u mnie ukrywa przed swym plutonowym!

W podobnych scenkach i historiach niewiele znajdowałem z anonimowego układu generał broni – żołnierze, sporo natomiast dawnego stosunku wolnicy kozackiej do swego atamana – *komkor* Kotowski był ich Grigorijem Iwanowiczem, dowódcą nie z nominacji, ale z wiary i urzeczenia, imponował im i fascynował, przejmowano jego styl pracy, inicjatywę, zawziętość, mimo ryzyka, jakie kryje w sobie każde szczerze przedsięwzięcie na własną odpowiedzialność, naśladowano jego sposób bycia, cechy osobiste i zamiłowania, niekiedy wyglądało to jak u młodzieży. W korpusie dajmy na to namiętnie uprawiano sport i gimnastykę, nocując po kwaterach widywałem z rana moich gospodarzy robiących przysiady, wymachy, wygibasy podług podręcznika Millera i pod wpływem Kotowskiego. Kotowski był entuzjastą fizykury, sam atleta, wzbudzał podziw swą siłą i sprawnością fizyczną, nikt mu podobno w korpusie nie mógł dorównać, jeden tylko *naczdziw* Kriworuczka, opowiadano sobie niestworzone rzeczy o ich wyczynach, raz jakoby poszli na stację w Winnicy i tam się mocowali z szynami kolejowymi, zawiadowca potem skarżył się, że mu zapasowe szyny powyginali!

Pod względem politycznym przeżywano wówczas okres przejściowy, okres przejściowego ocieplenia między stadiami, interstacjalny. W komendach i klubach zdejmowano już portrety Trockiego, pierwszego komisarza spraw wojskowych, Stalina jeszcze nie wieszano, ze ścian patrzył jedynie Lenin. W samopoczuciu kadry dowódczej przebijała większa pewność siebie, swej pozycji i zobojętnienia na sprawy polityczne. Róż-

nice rodowodów ideologicznych, środowiskowych, wojennych zacierały się we wspólnej pracy i służbie, wszyscy tak czy owak, dłużej czy krócej walczyli dla rewolucji, na frontach wykazali swą wartość i wierność, zdawało się im, że mają porządnie wypełnione karty ewidencyjne i należną, pewną przyszłość. Komisarz dywizji Rusow mówił o kryzysie pracy politycznej, trudniej i nudniej już się pracuje, nie ma wielkich wydarzeń, nie ma groźnych wrogów, mętniactwo mieńszewickie i inna demokratyczna drobnica gdzie się wprawdzie telepie, ale poza armią, i jako temat nie na miarę armii, do walk wewnątrzpartyjnych jakoś nie wypada wciągać bezpartyjnych, zwłaszcza w wojsku, zastój, kryzys, nudnawo, stara kadra wymiguje się od zebrań i szkolenia ideologicznego, a masę poborową wciąż na popów szczuć to się sprzykrzyło... Mimo poważnego stażu był młody, przeżywał jeszcze, że nie odczuwa satysfakcji z tego, co robi, że traci współpracowników, niejeden bowiem woli przekwalifikować się i przejść z aparatu politycznego do kadrowej służby w pułku. Niepokoiły go również pewne odradzające się postawy i maniery w starym stylu, kiedy, na przykład, towarzyszy zaczyna naśladować swego rotmistrza z carskiej armii i na ćwiczenia przyjeżdża w rękawiczkach! Albo kiedy rozwodzi się z żoną, bo mu teraz prosta wiejska kobieta nie pasuje. Albo kiedy wybiera z miasteczka co ładniejsze Żydóweczki, a dużo jest tu ładnych, trafiają się cudeńka takiej urody, że naprawdę można dostać zawrotu głowy i to byłoby w porządku, ale jeśli ktoś, kto jest *komandirem* robotniczo-chłopskiej Czerwonej Armii, donżuani się na prawo i na lewo, a żenić się z żadną nie chce, to to nie jest w porządku z moralnością komunistyczną i tego tolerować niepodobna.

– Spróbujcie wy jednak pomówić z nim na ten temat! Towarzyszu komisarzu, odpowie, ja mam innych szefów nad sobą, a was proszę, pilnujcie swego, kiedy wykryjecie sabotaż albo kontrrewolucję, postawicie mnie przed trybunałem, tymczasem zaś wara od moich spraw prywatnych! *A towarzyszc bojewoj* nie będzie się sprzeczał, powie łagodnie – *bros', komisar, nie to ja tiebia na lekkom katiere paszlu k izwiestnoj materi...*

Znamienną dla tego okresu wydaje mi się jedna rozmowa. To było w domu Wołosatowa, gdzie mieszkałem czas jakiś i tamże pracowałem, do mego pokoju bowiem wzywano kawalerzystów 9-tej Krymskiej dywizji, którą przed dwoma laty dowodził Kotowski. Wołosatow pragnął stworzyć najlepsze warunki kontaktu z weteranami i sądził, że wzywani pojedynczo do jego prywatnego mieszkania, sam na sam ze stenografem,

przy piwie i papierosach, ludzie będą gadali swobodnie, może nawet intymnie. Przeważnie jednak, mimo piwa i papierosów, czuli się jak na badaniu i mówili oględnie w stylu raportowym, niektórzy natomiast, ośmieleni nieobecnością innych uczestników opowiadanych wydarzeń, popuszczali wodze fantazji, tak że miałem przyjemność poznać kilku kapitalnych blagierów, zostały po nich dokumenty literackie, twory czystego talentu. Zaniechano potem tego intymnego sposobu zbierania materiału, zacząłem rozjeżdżać po pułkach i szwadronach na wieczory wspomnień po świetlicach i tam lepiej mi poszło, jednakże teka 9-tej Krymskiej dywizji wypada w końcu nie tak okazała jak 3-ej Besarabskiej, teka besarabów była grubsza, Wołosatow, dotknięty takim uszczupleniem jego dywizji (obie rywalizowały ze sobą na każdym polu), odszukał mnie po ukończeniu prac w Kijowie, żądając ponownego wyjazdu i uzupełnienia teki wspomnień krymców do co najmniej besarabskiej objętości i to było ostatnim chyba jego życzeniem, zginął przecież zaraz po naszej rozmowie, ale o tym później – nie jego przedśmiertną rozmowę ze mną miałem tu przytoczyć, ale tę sprzed pół roku u niego w domu przy obiedzie. Wołosatow i bliski jego współpracownik, jeśli mnie pamięć nie zwodzi, naczelnik sztabu, w każdym razie były oficer, wdali się w charakterystykę niedawnych przeciwników i dość już beznamiętnie, fachowo, w kategoriach rzemiosła, omawiali wady i zalety białych generałów jako dowódców. Najlepszą notę dali Kornifowowi.

– Szkoda, że rozpuścił kontrrewolucję – zauważył Wołosatow – mógł być z nami jak Brusilow.

– Bo ja wiem – odrzekł rozmówca – może w siedemnastym roku on nie myślał o kontrrewolucji, tylko się buntował?

– Co za różnica?

– A jest różnica... Proszę sobie wyobrazić, wojna, Polacy nacierają na Hajsyń od zachodu i z południa, sytuacja krytyczna, jako dowódca na tym przyczółku hajsyńskim robi pan, Michaile Wasiljewiczu, wszystko, by się utrzymać, tymczasem w dywizji wzmaga się anarchia i rozlegają żądania, oddajcie broń, towarzyszu Wołosatow i walczcie aż do zwycięstwa!

– Jak to, miałbym oddać broń i walczyć? – powtórzył Wołosatow bagrowiejac pod okładem – podczas upałów odezwała się samborska kontuzja, chodził z okładem na głowie i w tym białym zawoju, poczerwieniły z oburzenia, wyglądał jak rozgniewany szejk. – Bzdury, ja bym takich anarchistów na miejscu rozstrzelał!

– Ano zapomniało się widać, jak było – uśmiechnął się

sztabowiec. – A tak przecież było. Przypomnijcie sobie rozkaz rady delegatów żołnierskich – dowództwa nie słuchać, żadnych rozkazów bez akceptacji rad żołnierskich nie wykonywać, oficerowie mają oddać broń itp. A Niemcy parli na Piotrogród i Kornilow był głównodowodzącym, odpowiedzialnym za losy ojczyzny. Dlatego, myślę, on się wtedy zbuntował przeciw anarchii w armii, a kontrrewolucję rozpoczął dopiero po roku i gdzie indziej, na południu.

Mniejsza o to, co odpowiedział Wołosatow i nie chodzi o jego zakłopotanie, zmieszanie generała, który przeszedł od szeregowca wszystkie stopnie awansu, doświadczenia i odpowiedzialności, i nagle uświadomił sobie, w aspekcie ściśle wojskowym, zarówno cały nonsens żądań masy żołnierskiej, jak i tragedię wodza naczelnego w pierwszym roku rewolucji – ważne i znamienne jest tylko to, że oni tak rzeczowo, obiektywnie i szczerze rozmawiali nie krępując się obecnością jakiegoś obcego, młodego cywila. W ten sposób nie mogli mówić ani parę lat temu, w atmosferze roznamiętnienia wojny domowej, ani potem, w epoce totalnego terroru, gdy marszałkowie nie byli pewni życia, a dowódcy znikali po byle jakim donosie.

Wkrótce po tym rozstałem się nie bez żalu z gościnnym domem Wołosatowa. Podobał mi się, prosty i życzliwy, nieco zamknięty w sobie, bez absolutnie żadnej zarozumiałości, świadomy braków w swym wykształceniu. Bohater naszych czasów, wiejski chłopak w wojsku carskim, doznania, trudy, przygody wojny światowej, rewolucji, wojny domowej, przemiany wokół i w nim samym, wszystko to wtenczas atakowało wyobraźnię, było tematem świeżym i ponętym. Dużo pracował nad sobą w domu, gdzie czuło się rękę i obecność młodej, inteligentnej kobiety, dyskretną obecność, nie lubiła pokazywać się ani odgrywać jakiejkolwiek roli w jego środowisku. Miłość Wołosatowa do żony była przedmiotem dobroduszných przekomarzań, Kotowski, pamiętam, zagadnął go, czy chociaż grywa mu ona wieczorami na pianinie, które jej kupił i jeszcze się z długów nie wyłabudał?

To było przy pierwszym spotkaniu z Kotowskim, Wołosatow mnie do niego przywiózł, prawie nagi *komkor* wyglądał jak mistrz areny po odniesionym tryumfie w gronie kibiców, wszyscy bowiem dowódcy, których zaprosił na przyjęcie z okazji wizyty kupców polskich, przybyli w pełnej gali, a on pozostał w kąpielówkach, widziało się cały bojowy życiorys w bliznach i szramach na fantastycznie umięśnionym ciele tego czterdziestodwuletniego atlety. Pożartował z Wołosatowem

o tym pianinie i na temat pary jego jabłkowitych siwków, skąd i jak wykombinował takie konie? i jednym ciągiem, bez znaków przestankowych, przeskoczył raptem do mnie, jak mi idzie? Pytanie było całkiem naturalne i szacujące spojrzenie również, poczułem się jednak nieswojo, jak gdyby mnie przyparł i zajrzał do środka. Może istotnie miał on ten szczególny wzrok, a może tylko tak mi się wydało pod wpływem opowieści, jakich nasłuchałem się o jego intuicji, dzięki której celował w rozpoznawaniu ludzi z przyrzutu, rzut oka, pierwsze wrażenie i już, chybiał rzadko, i ta zdolność natychmiastowej trafnej oceny nieraz ratowała go w czasach, kiedy był tropiony i tropiący, napadając na dwory albo przedzierając się przez całą Rosję po ucieczce z katorgi do swej Ganczepty w Besarabii albo kierując konspiracyjną drużyną bojową w Odessie, gdzie się ukazywał w coraz to innym wcieleniu, jako kułak z chutora jadący stępa po sprawunki swą kałamaszką, to znów jako podchmielony szyper czarnomorski z kolczykiem w uchu lub malarz pokojowy dźwigający farby i drabinę, makler giełdowy, Kozak czy zapaśnik jarmarczny – każdy napotkany człowiek mógł się wtenczas przydać albo i zgubić, niewątpliwie te lata życia w charakterze zwierzyny i myśliwego zarazem musiały rozwinąć w nim ów węż psychologiczny i dar błyskawicznego refleksu, zdawałem sobie z tego sprawę, więc gdy spytał, jak tam z waszą pracą, towarzyszu stenografie? – musiałem zdobyć się na pewien wysiłek, by się wyzwolić z onieśmienia przed jego wzrokiem i legendą. Powiedziałem, jak mi idzie w poszczególnych jednostkach, bo przedtem, kiedyśmy rozmawiali sam na sam, to było mniej ciekawych opowiadań i trochę blagi...

– Kuźmę Kriuczkowa* rąbali? – zagadnął żywo Kotowski.

– Wiele razy i w różny sposób.

– Wiem, wiem... W dziewiętnastym roku to było, bratku, pod Carycynem – odezwał się nagle Kotowski głosem i stylem jednego z moich rozmówców z Hajsynia. – Jak zaśpiewali dowódcy do ataku, jak poszliśmy w cwał, patrząc, za Czarnym Jarem u denikińców rotmistrz jeden harcuje, koń pod nim smok! a sam ryży, bary takie, w ręku szabla złota, carski

* Kuźma Kriuczkow, o którym mowa, Kozak doński, w pierwszych dniach wojny 1914 roku, natknąwszy się na podjazd nieprzyjacielski ponadziewał ponoć na lancę i porąbał jedenastu, czy iluś tam kawalerzystów niemieckich, bohater wojennej propagandy nacjonalistycznej, odznaczony orderami, awansowany – w latach rewolucji walczył po stronie białych.

podarek... On do mnie, ja do niego, módl się Kuźma, do swego Mikołaja, krzyczę, za oficerskie naramienniki giniesz! Czekaj, po czymżeś poznał, że to Kriuczkow? A po zapalkach, tyle czasu tośmy w okopach za cara oglądali go na pudełkach i Kuźmą, można powiedzieć, skręty przypalali, a jakże, pamiętasz...

Parodiował znakomicie, musiał znać tego blagiera, co zarąbał Kuźmę nad Czarnym Jarem w dziewiętnastym roku, bo drugi uczynił to w dwudziestym pod Iziumem, gdzie brygada goniła nie denikinowców, ale machnowców, zetknął się z Kuźmą na patrolu, ściął go po strasliwej walce i głowę oddał do miejscowego *part-komu*, tam też można ją dziś oglądać w spirytusie, kto inny znów dopadł Kuźmę na polskim froncie wśród bałachowców...

- Myślicie, że łże? To by jeszcze, któż by łgał jak nie Kozak... Ale nie, on wierzy, że ten, kogo zarąbał, to był Kriuczkow i w żaden sposób nie da sobie wybić tego z głowy. To cała jego duma i chwała i choć sam wart jest nieraz dwóch Kriuczkowych, ale tym się puszy - Kuźmę ściął! Skąd się to bierze, powiedzcie? Dlaczego?

Ktoś spróbował znaleźć wytłumaczenie w nienawiści klasowej, nienawidzą Kuźmy, bo się zoficerzył i został białogwardzistą. Wydało się to mało prawdopodobnym, wielu prostych Kozaków walczyło w szeregach białogwardzistów. Raczej co innego, może Kuźma stał się uosobieniem dawnych umiejętności i walorów kozackich, takiego jeźdźca i mistrza szabli pokonać w pojedynkę to jest coś! i to właśnie podbija ambicje i fantazje...

Kotowskiemu przypomniano - Grigoriju Iwanowiczu, tam czekają...>

- Musimy iść, konferencja z kupcami polskimi, o waszej pracy, towarzyszu stenografie, porozmawiamy jutro z rana.

Zostałem w stołowym, w przyjemnym po skwarnej drodze chłodku i zielonkawym półcieniu od drzew sadu za oknami. Rozmawiając z Kotowską, doglądając ostatnich przygotowań do przyjęcia gości po konferencji, widziałem na oszklonej werandzie kilku panów z Polski i wojskowych z *Chozupra*. Czekali na Kotowskiego. Sądziłem, że się ubiera. Obecność kupców zagranicznych nie zdziwiła mnie. Miałem możliwość zetknąć się z działalnością gospodarczą Kotowskiego, z jej inwencją i rozmachem, zakładał warsztaty kowalskie, rymarskie, krawieckie, majątki rolne, stadniny, sklepy spółdzielcze itp. Centrala handlowa korpusu uzyskała prawo bezpośredniego handlu z Polską, tuż przez granicę, weterynarz pułkowy zapewniał, że Grigorij Iwanowicz ma czym płacić, z trofeów wojennych uzbierał fundusz złoty korpusu, nie wiem, sprawdzić nie mogłem, krępowiałem się dotknąć w rozmowach tak delikatnej materii, ale ten handel bezpośredni, z pominięciem całej

biurokratycznej *wołokty*, zapewne był ponętny dla obydwóch stron. Pierwsza partia sukna, w które odziano korpus, wypadła dobrej jakości, w następnych jednak ujawniły się buble i Kotowski miał o to pretensje. Mówiono, że jako odszkodowanie za poniesione straty kazał zasekwestrować w Szepietówce przysłany ostatnio wagon towaru, a o dalszych stosunkach handlowych właśnie chciał się rozmówić. Spodziewałem się ujrzeć go w mundurze, być może z jakimś orderem, przypiętym na zaakcentowanie oficjalnego charakteru rozmowy wyższego dowódcy, który w sposób jasny i zdecydowany załatwia nieprzyjemną sprawę. On tymczasem ukazał się w tej samej domowej kreacji – w kąpielówkach. Nie zważając na konsternację gości przywitał się kordialnie z każdym z osobna i to był chyba mocny uścisk dłoni, sądząc po pewnych ich odruchach. Z dobrodusznym, powściągliwym wyrazem twarzy gościnnego gospodarza, podejmującego w tym swoim wiejskim zaciszu dobrych znajomych, rozpoczął przemowę, do stołowego docierały tylko niektóre głośniejsze słowa, sens wszystkiego odbierało się jak na niemym obrazie – to zagaja w sposób miły i nijaki, przechodzi teraz do meritum sprawy, stawia warunki, kupcy poważnieją, zamieniając między sobą porozumiewawcze spojrzenia i szept, a ten jego gest znaczy chyba albo-albo, decydując się, panowie, bo jak nie, to będę handlował z innymi...

Warunki zostały widać przyjęte, wieczorem odbył się bankiet w atmosferze wzajemnego zrozumienia i przyjaźni, jak się mówi w sprawozdaniach z przyjęć dyplomatycznych. Pięknie zastawione stoły, wybór dań i win, mieszane towarzystwo ludzi z innych światów, rade sposobności, że może przyjrzeć się sobie z bliska, sprawna obsługa wytresowanych na kelnerów żołnierzy i sam gospodarz ubrany tym razem jak przystało na tak podniosłą chwilę, ujmujący łącznie rosyjską gościnnością, bawiący wspominkami starego żołnierza o epizodach kampanii dwudziestego roku, nie bez uznania dla przeciwnika, między innymi, jak się stał pewnego razu z polskim ułanem, szablistą wysokiej klasy – słowem, wszystko nastrajało pogodnie, swobodnie, tolerancyjnie i biesiadka toczyła się przyjemnie, z pożytkiem dla zacieśnienia dobrych stosunków sąsiedzkich... Nie mogłem zrozumieć Kotowskiego. Władczy i nieraz ekscentryczny, nie był wszakże samodurem, umiał walczyć, umiał grać, jeśli się zatem zdobył na ekstrawagancję, to w jakim celu? Ze względów pryncypialnych, na znak pogardy dla konwenansów? Skwar, trzydzieści stopni w cieniu, chodzi więc po domu i sadzie bez ubrania, rzecz naturalna, podkomendni i towarzysze

broni nie widzą w tym żadnego braku poszanowania dla siebie, przeciwnie, dowód zażyłości i zaliczenia ich do grona swoich, do kręgu domowników, ale goście, kupcy z obcego kraju... Musiał zdawać sobie sprawę z wrażenia, jakie to robi na nich.

– Michaile Wasyljewiczu – zwróciłem się do Wołosatowa wśród gwaru i zgłębku przy stole – dlaczego towarzyszył *komkor* tak ich przyjął?

– To znaczy jak?

– No, przedtem na werandzie... Przecież mógł im powiedzieć to samo na oficjalnym przyjęciu w sztabie.

– Widocznie miał powody, wołał, żeby się to odbyło nieoficjalnie.

– Ale czemu wyszedł półnago? Żeby zaskoczyć?

– Możliwe. Atakować z zaskoczenia Grigorij Iwanowicz bardzo lubi... – I czasem, wiecie, nie zaszkodzi utrzcć komuś nosa, wytrącić z pewności siebie... Dlatego pewien seminarzysta na obiedzie u archimandryty – znacie to?

– Nie słyszałem.

Otóż, jak się dowiedziałem przy deserze, archimandryta, wruszony pięknym basem z chóru seminarium duchownego, zaprosił go do siebie na obiad w niedzielę, kazał posadzić sierotę wśród dostojnych gości polecając troskliwości ojca-ekonoma i żeby nie zapomniał potem przepytać młodzieńca, jak mu smakowało. Ten spytał a seminarzystę, wcinając niebiańskie przysmaki ze stołu władzyki, *wo pierwych, gawno*, odrzekł z godnością, *a wo wtorych, sliszkom mało*.

Nazajutrz Kotowski zabrał się do przeglądania opowiadań, jakie zdążyłem zastenografować i przepisać na maszynie. Czytając rzucał uwagi co do wartości poszczególnych relacji, w jakim stopniu są prawdziwe czy interesujące, czego tu brak, może by to uzupełnić tym i owym itp. Widziało się, że zależy mu na pełnej i zajmującej historii korpusu, właściwie brygad i dywizji, którymi przedtem dowodził i z których już po wojnie uformowano drugi korpus konny, byłaby to więc historia tych jednostek, walk i epizodów wojennych z lat 1919–21 w opowieściach dowódców i żołnierzy. Był inicjatorem zebrania tych materiałów, które zamierzał następnie opublikować. Przynaglał mnie do pracy, żebym zdążył na święto korpusu, udzielał wskazówek z kim i w którym szwadronie należałoby porozmawiać, sam jednak wyłączył się z grona narratorów książki pamiątkowej i opowiadać nie chciał.

Zgodnie z otrzymanymi instrukcjami i marszrutą jeździłem po wsiach, miasteczkach i byłych dworach pańskich, gdzie stacjonowały jednostki korpusu, bryczką, przy przerzutach z jednej

bazy wypadowej do drugiej, i konno w promieniu kilkunastu kilometrów od bazy, jako że konie i przewodnika zawsze można było dostać. Towarzyszył mi zazwyczaj ktoś z kadry polityczno-oświatowej. Nocowałem gdzie się dało, po prywatnych kwaterach, w klubie albo u dowódców, kiedy zatrzymywali u siebie. Na ogół przyjmowano gościnnie zapraszając na posiłki do stołówki lub kantyny, tak że z diet dziennych zaczęły się zbierać nie przewidziane w Kijowie oszczędności. Z rana starałem się za świeżej pamięci odcyfrować wczorajsze stenogramy poprawiając trudniejsze pod względem czytelności miejsca, by kiedyś tam później dyktować maszynistce bez kłopotliwych pauz i zająknięć. Po obiedzie jechałem na wieczór wspomnień albo spędzałem czas w jednostce wśród znajomych. Na wieczorach bywało różnie, czasem irytująco nudnie, gdy notowało się śmiecie bądź służbowo drętą mowę, czasem wszakże coś się odkrywało i przeżywało na miarę doznań, jakie miewa historyk, albo zbieracz osobliwości. W sumie praca ta przypadła mi do gustu, niosła zmienność wrażeń i egzotykę nieznanego środowiska, i jakąś uchwyconą w przelocie przemijania chwilę, coś, co się zdarzyło i już się nie powtórzy, a byłem łapczywy na nieznanne, na niepowtarzalne i miałem dwadzieścia lat.

Pewnego razu znalazłem się wśród aktorów owej niesamowitej maskarady z lasów tambowskich, o której napomknął był kiedyś Hannibal w rozmowie ze mną w Symbirsku umacniając mnie ideologicznie na przykładach drastycznych a koniecznych, co jednak wywarło skutek wręcz przeciwny zamierzonemu. Słyszałem potem co nieco o tej akcji, ale dopiero tam, w dawnej siedzibie Sobańskich, w jednej z sal przeznaczonych na czytelną brygady, gdzie zebrali się uczestnicy legendarnych wydarzeń, mogłem dowiedzieć się dokładnie, jak było. Siedzieliśmy wieczorem przy jednej świecy w rozłożystym lichtarzu z rogów jelenich. W absydalnym kącie przed nami jarzyła się czerwona lampadka przed antyreligijną ikoną, z pozłoty szat liturgicznych wyglądały fotografie Bucharina i Preobrażeńskiego, w zastępstwie wyjętych głów apostoelskich, z haftem zdobnych liter na stułach – św. Cyryl i Metody SSSR. Na omroczonym już sklepieniu kłębiły się niewyraźne fragmenty ciał i urody antycznego świata, techniką freskową, przez otwarte okna słyszało się niekiedy rżenie koni w stajniach i śmiech dziewcząt w głębi parku. *Bibliotekar' s dziewoczkami krutit*, zauważył Kostik, plutonowy w moim wieku, jeden z najstarszych stażem, od piętnastego roku życia w brygadzie. Kostik opowiadał, był solistą, inni swą milczącą obecnością potwierdzali

prawdę jego słów dopomagając z rzadka jakimś przypomnieniem lub uzupełnieniem, można to opuścić dla klarowności opowieści, którą – zaglądając do notatek z 1925 roku – tak bym odtworzył:

– Wyładowaliśmy się na st. Morszańsk w guberni pienzeńskiej i w szyku pochodowym ruszyliśmy na południe. Towarzysz Tuchaczewski zdążył już wtenczas pobić pierwszą armię powstańczą Antonowa w guberni saratowskiej, dokąd przerzuciło się powstanie z tambowszczyzny, sam Antonow gdzieś przepadł, ranny czy zabity, ale pod Tambowem zostały najlepsze jego pułki, gwardia, można powiedzieć, i nasza brygada szła na nich. Z Grigorijem Iwanowiczem był tow. Kriworuczka i Ego.

– Kto to taki?

– Eser jeden, naczelnik sztabu Antonowa. Towarzysze czełkiści wzięli go na konspiracyjnym zjeździe w Moskwie i spytali jak woli, z nami czy pod murek? Wołał z nami. A tow. Kotowski, dowiedziawszy się o tym, zaczął prosić, dajcie mi go, Ego mi się przyda, jeszcze nie wiedział, do czego, tylko tak przypuszczał, że się przyda i chciał go mieć przy sobie na wszelki wypadek, więc mu Ego dali (czytałem później, że nazywał się inaczej, podobno Jektow, mniejsza z tym, zostawiam nazwisko czy pseudo wymienione przez Kostika). Otóż raz, kiedy Grigorij Iwanowicz wypytywał o to, co się działo u Antonowa, to Ego przypomniał sobie jeszcze, jak Antonow rozповідаł o atamanie kozackim Frołowie, że walczy na ziemiach wojska dońskiego i przebija się do nich, a gdy się połączą, to razem pójdą spod Tambowa na Moskwę, wszyscy w to wierzyli, może jeszcze wierzą, tylko on, Ego, wie, że to pusta propaganda... Ma się rozumieć o tej ich rozmowie ani o tym, jaki powstał plan w głowie Grigorija Iwanowicza, nikt u nas w brygadzie nie domyślał się. Cały czas byłem przy Grigoriju Iwanowiczu i też nie miałem o tym pojęcia, szliśmy normalnie jak kotowcy, zdziwiłem się, gdy w nocy zostawił niewielki oddział, żeby udawał całą brygadę, a nam wszystkim kazał uchodzić małymi grupkami w zupełnie inną stronę, na wschód. Przekradaliśmy się tak parę nocy nie wiadomo po co i dokąd, zdawało się już, że staniemy w końcu nad Wołgą. Dopiero kiedy się wszystkie grupy zeszyły, to się sprawa wyjaśniła – tow. Kotowski powiedział, że go nie ma, nie istnieje, a jest ataman Frołow i niech każdy z nas pamięta, kim teraz jest, Kozakiem dońskim! Nie musiał powtarzać tego dwa razy, brygadę miał zgraną i nie wątpiącą. Towarzysze ze stanic, co służyli w pułkach dońskich, zaczęli nas uczyć kozackiej manieri i obyczajów, jak mamy się trzymać, z ekwipunku

wycofano to i owo, trochę zmieniono, słowem wyszliśmy z tych lasów frołowcami i zawróciwszy z powrotem w stronę Tambowa uderzyliśmy na swoich, na naszą piechotę. Rzecz jasna, tak się zrobiło, żeby ofiar było najmniej, a szumu dużo, w ten sposób idąc wiorst sto, dotarliśmy do stolicy powstańców, Kobylenki. Miał tam być Matiuchin i główne ich siły, ta gwardia, ale wieś była cicha i pusta, bez chłopów, wszyscy co do jednego odeszli, zostały same dzieci, baby i starych trochę. Niby się nami, atamańcami, ucieszyli, jednak przyglądali się nie bardzo pewni swego szczęścia, a i myśmy się czuli niepewnie w samym gąszczu wroga, w paszczy. Jakieś głupstwo, jedno nieostrożne słowo mogło nas zdradzić, do tegoż jeszcze Orlik okulał, a mocno lubiano w brygadzie konia Grigorija Iwanowicza, dla niektórych, z tych zacofanych, wierzących jeszcze w zabobony, był to wieszcy koń, więc jak okulał, to zaczęli szeptać, że zły znak... Mieliśmy paskudną noc, mało kto spał. O świcie czujki zatrzymały dziewczynkę, jak biegła z mlekiem do lasu, rozplakała się i przyznała, że bratu niosła. Wtenczas Grigorij Iwanowicz wezwał mnie do siebie i kazał oddać list do rąk własnych Matiuchina, ta dziewczynka zaprowadzi. Potem długo jeszcze on i Ego szkolili mnie, co mam powiedzieć, jak się zachowywać, z kim mogę się spotkać i jakie tam u nich porządki... Ano, posadziłem małą na siodło przed sobą i jadę, jadę, jak pokazuje, tędy, wujku, na prawo wujku, teraz wądołem i tą ścieżką pod górę wujaszku... Aż mnie okrzyknęto:

– Stój! Dokąd?

– Do pułkownika Matiuchina od atamana Frołowa!

Wyjeżdża zza drzewa konny chłop w łapciach, za plecami pika z kosa na drzewcu, a w rękę *obriet*. Gwizdnał. Podjechało jeszcze dwóch, rozbroili i powiedli przez las. A cały las, musicie wiedzieć, rozbity był u nich na rewiry, w każdym rewirze taka warta stała u drzew ze słomianymi słupami w koronach i od tych słupów sygnałowych w razie podpalenia dym szedł różny, mały i wielki, czarny i biały, tak że w ciągu pół godziny mogli dymnąć depeszę, jaką tylko chcieli, na cały powiat. W ogóle w guberni tambowskiej panowała świetna organizacja, gmina dajmy na to wystawiała i ekwipowała kompanię, powiat zbroił pułk albo i dwa, a pozostali chłopci nieregularnie wspomagali swe wojsko chlebem, mięsem i wiadomościami o nas... Tak oto po niedługim kołowaniu w tym lesie przyprowadzili mnie do sztabu. Chutor nie chutor, a może była tam dawniej leśniczówka. Wepchnęli do chaty, patrzę, zwykła chata, tylko dywany na ścianach, na stołach papiery i mapy, a przy nich Matiuchin, jak

mi go Ego opisał, potężny, i głos jak dzwon:

– Mów sukinsynie!

– Melduję się waszej wielmożności, panie pułkowniku, z listem od atamana Frołowa.

Jak się nie zerwie, jak nie złapie mnie za ramię:

– Od Frołowa? To dawajże, mać twoja, dawaj!

A zaczął czytać, to aż mu ręka z listem, widzę, lekko drgnęła.

– Piotrze Daniłowiczu, proszę spojrzeć, pismo Ego...

Podszedł do Matiuchina ten drugi, co był w chacie, młodszy i czarniawy, rotmistrz, podobno nawet książe jakiś, tak mówiono i kobieta, co jeszcze tam siedziała na ławce, jego żona, wstała i także zaczęła czytać...

– Siadaj, Gawryło, mówią, gościem będziesz.

– Pokorne dzięki waszym wielmożnościom, ja postoję.

– Siadaj, kiedy sadzają, subordynację zostaw na potem...

Musiałem usiąść. Rotmistrzowa jajecznicę na kielbasie usmażywszy zaczęła częstować z patelni i wszystkim innym ze stołu, taka cicha, delikatna i drobniutka niczym dziewczynka, z którą przyjechałem do nich, tylko trochę wyższa, od jej dobroci i spojrzenia, jakby znała mnie od małego i żałowała, zrobiło mi się chaotycznie na duszy, w ogóle przez nią nazajutrz i później przeżyłem paskudne chwile, co tu ukrywać, chciałem jej, tej niby księżny, rzecz naturalna, miałem już siedemnaście lat, ale nie mogłem się na to zdobyć, cały czas czuła do mnie zaufanie, nie mogłem, dostała się innemu... To nie do historii, tak mi się przypomniło, szczegółek bez znaczenia dla akcji, piszcie, że nakarmili i przepuściwszy po szklaneczce samogonu powiedzieli, mów, Gawryło. Wtenczas usta otarłszy i spojrzawszy na obraz w rogu przeżegnałem się, za posiłek ich wielmożnościom podziękowałem – wszystko jak mnie pouczono – i zacząłem opowiadać, jakeśmy się od górnodońskich stanic przedzierali, gdzie nas czerwoni trzepali, gdzie my ich i jak przed dwoma dniami pobiliśmy u lasu bezsonowskiego brygadę Kotowskiego. Po twarzach i po pewnych słowach poznałem, że to, na co liczył Grigorij Iwanowicz, sprawdziło się – słyszeli oni o nas. Bo kiedyśmy niby tó uderzyli na swoich, to chłopci Matiuchinowi zaraz donieśli, że przyszli jacyś frołowcy i czerwonych biją.

Po południu zebrał Matiuchin swą brygadę i ruszyliśmy na spotkanie. Podczas marszu wypatrzyłem, policzyłem: było ich około ośmiuset, oddział doborowy, sporo oficerów, a wśród zeregowych bandytów po większej części starzy Kozacy i żołnierze z wojny, frontowi, konie dobre i ekwipunek z pełnym uzbrojeniem.

Niedaleko wsi Matiuchin zatrzymał się, kazał mi powiadomić atamana, że czeka na niego i na Ego.

Pojechałem. Tow. Kotowski był widać niespokojny, chodził po izbie tam i z powrotem, a gdy się do mnie odezwał, to się trochę jękał, zawsze tak z nim, gdy się denerwuje.

– No, jak? Opowiadaj!

Zameldowałem wykonanie rozkazu, wszystko, co mnie spotkało, co zauważyłem i że tam pod lasem czekają, dalej jechać nie chcą.

Postał Grigorij Iwanowicz przy oknie, palcami w szybę pobębnił, a kiedy się do nas odwrócił, to jakby ścierpł na twarzy.

– Cóż, powiedział do Ego, jedźmy, odmówić nie możemy.

A tow. Kriworuczka drogę mu zastępuje, krzyczy:

– Nie puszczaj cię samego! Zabijają!

– Milczeć! Do mego powrotu kompułku Kriworuczka obejmie komendę nad brygadą! Jeśli nie wrócę – przebijać się na Bezsonowo!

I pojechaliśmy we trójkę, oni dwaj koń w koń obok siebie, a ja za nimi. Widzę, przechyla się Grigorij Iwanowicz w siodle i do Ego:

– Odejdiesz na bok, czy mrugniesz do kogoś, czy słówko rzucisz – pierwszą kulą rozwalę!

– Niepotrzebnie ostrzegacie, towarzyszu Kotowski. Ja już w Moskwie wiedziałem, na co idę – mówiąc to uśmiechnął się Ego takim nieprzyjemnym, przegrany uśmiezkim, jak pobity.

Ledwo Matiuchin dojrzał Ego, ruszył na spotkanie, objęli się, wycałowali, byli przecież przyjaciółmi, po czym z Grigoriem Iwanowiczem, Frołowem niby to, serdecznie się przywitali, porozmawiali i razem pociągnęli do Kobyleńki, z całym wojskiem bandyckim, ma się rozumieć. A we wsi nasi hurra krzyknęli, baby, dzieci z chat powybiegały na powitanie swoich i zaczęło się bratanie, i dzwony biły na alleluja.

Połowę wsi zajęli matiuchińcy, myśmy rozkwaterowali się w drugim końcu. Jeszcze przed ich przybyciem poukrywaliśmy głębszych w stajniach i stodołach przy koniach, na wieś bratać się wyszli towarzysze mądrzejsi i wypróbowani, przede wszystkim z Kozaków, pili, jedli, bawili się z bandytami, ale każdy swą rolę znał i rozkaz pamiętał – o jedenastej wszyscy mają być na wyznaczonych stanowiskach w pełnej gotowości do alarmu.

– Trochę przesoliłeś, nie wszyscy pamiętali – wtrącił prostując szpakowaty kotowiec z blizną nad brwią. – Włodaczek barszcz zmarnował ugotowawszy na bandycie.

Przy stole roześmiano się, podwracano do Włodaczka,

bohatera jakiejś głośnej historii, ten spuścił oczy z robioną skromnością i zażenowaniem.

– Barszcz, na bandycie? Jakże to było, towarzyszu Włodaczek?

Włodaczek, były kapral w wojsku polskim, Czech z pochodzenia, wychylił przez stłoczone ramiona i głowy krągłą, strzyżoną na jeża makówkę, wyeksponował w blasku świecy ostry, garbaty nos i źle ustawione, uciekające na boki oczy, chytrawy uśmiezek w szparce wąskich warg, ryżą bródkę w klin, twarz kondotiera hiszpańskiego albo fauna nad niedopitym dzbanem wśród zwierzęco-ludzkiej melancholii.

– Nie moja wina, *towariszcz*, papacha winna, obierałem kartofel. *Smotrim, idjot zatraceny bandit...*

– A dajże spokój – zniecierpliwiał się szpakowaty – lepiej już ja za ciebie... Rzecz w tym, towarzyszu, żeśmy się go obawiali...

Obawiali się Włodaczka, mówił, nie dlatego, żeby był głupi albo mało co wart. Nie, co do sprytu, to nie można mu tego odmówić, sprytny jest za dwóch i w szabli dobry, a jeszcze lepszy z niego strzelec – wyborowy strzelec (futerkowy! – wścibił któryś ze słuchaczy słówko widać wiele mówiące, bo się znów roześmiano). To też prawda, poluje na kozuszkę, *małachaje* i wszelkie futerka, takie ma zamiłowanie. A obawiano się go, bo mowę ma on popsutą, pomieszał mu się język rosyjski z polskim, a polski z czeskim, inny już by się nauczył, a ten nie, taki jakiś całkiem niezdolny. I do tego jeszcze wygląd – w żaden sposób nie ujdzie za Kozaka dońskiego. Schowano go więc między stodołą a drewnią, przy kotle, żeby gotował tam dla szwadronu, i jeden miał uważać, czy nie idzie ktoś z matiuchińców, ale przegapił, a może odszedł na chwilę, słowem nie wiadomo kiedy i skąd wziął się przy Włodaczku leśny galant w generalskiej papasze z szarych karakułów. Chciał popalić, pogadać z braćmi atamańcami, Włodaczek jednak nie odzywał się, był niemy, jak mu przykazano i gość już się zabierał do odejścia, wtenczas Włodaczek zagadał. Ze strachu, przez pazerność, że ta papacha odejdzie i przepadnie, zagadał tą swoją cudaczną mową. Leśny mu się przyjrzał, a ty z której stancji, spytał, może z berdyczowskiej? – Włodaczek zląkł się, co będzie, jeśli bańdziura wróci do swoich i powie, że znalazł Żyda wśród dońców, więc nużę częstować go barszczem i gdy się tamten nachylił, to go chochlą w łeb, za portki i do kotła.

– *Ano, ano, za prdel i w kotjo!* – potwierdził żywo Włodaczek.

– Towarzysze, tak nie można – odezwał się Kostik urażony tym, że chór przeszkadza soliście – nie róbcie bałaganu, każdy potem swoje powie.

Umilkli i Kostik podjął przerwany wątek opowieści.

– Wieczorem w izbie tow. Kotowskiego zaczęli się schodzić na naradę nasi i ich dowódcy. Gdy wchodził ktoś od nich, to nasz wstawał i ustępował miejsca gościowi, tak że wszyscy oni znaleźli się na ławkach przy ścianach. Pierwszy wystąpił Ego z referatem politycznym o sytuacji republiki sowieckiej i o zjeździe eserów w Moskwie, po nim zabrał głos nasz *politkom*, jako przedstawiciel CK eserów, mówił o sytuacji wojskowej, rozmieszczeniu i siłach Armii Czerwonej i o planach *rewwojensowietu*, wszystko dokładnie, prawdziwie i bez obawy, z tej izby przecież nikt z nich nie mógł wyjść żywym. Oficerowie Matiuchina powyciągali mapy, zaczęli ujawniać swe plany i siły, wywiązał się spór, czy połączonymi siłami rozszerzyć partyzantkę na sąsiednie gubernie czy też utworzyć front regularny? Matiuchin był za otwartą walką, Grigorij Iwanowicz poparł go i Matiuchin zawołał, rozszerzymy ogień na całą Rosję i w tym ogniu złączymy się na śmierć i życie, daj rękę, atamanie! I tow. Kotowski dał mu rękę, a nasi towarzysze tymczasem uzgadniali między sobą po cichu, kto kogo wybiera sobie za cel, żeby nie strzelało kilku do jednego, pierwsza salwa miała od razu wszystkich załatwić. Stało się jednak inaczej. Pod koniec narady Grigorij Iwanowicz wstał do podsumowania. Powiedział wolno, uroczyście, tak oto, panie pułkowniku, łączymy się na śmierć i życie, po czym nagle odwrócił się i huknął – w imieniu *rewwojensowietu* republiki, rozstrzelać tę bandę! W teże chwili jednak Matiuchin zbił lampę ze stołu i krzyknął do swoich, żeby się rozbiegali do ścian! W ten sposób salwa nie wypadła dobrze i zaczęło się to, od czego *politkom* osiwiiał. Wszyscy się pomieszali, nikt nic nie widział, każdy macał lufą po ciemku i jak trafiał na miękkie, to czym prędzej naciskał spust, bo tamten naciśnie, a swój czy wróg, nie wiadomo. Nie było żadnego znaku do rozpoznania i nie można było uciec z tej pułapki, bo tak się umówili i tow. Kotowski dał rozkaz warcie przy chacie – kto wybiegnie, kładź go trupem na miejscu, bo to matiuchiniec.

– I jakże się skończyło?

– A wszystkich ich tam wreszcie powybijali.

– I Matiuchina?

– A wiecie, że nie – ożywił się Kostik. – Siedem kul dostał, żywotny gad, jednak wybił okno i wyskoczył. Dopiero za dnia natrafiono nań w ogrodzie, jeszcze się nie dawał, musieli go dobić.

– A brygada Matiuchina?

– No, z tym już poszło gładko. Był rozkaz, o jedenastej czekać w pogotowiu. Jak tylko rozlegną się strzały w chacie, pierwszy pułk

zachodzi wieś od pola, a drugi wyparza bandytów z chat, tak że jednych tam porąbano, postrzelono, a resztę na polach. Kobylenka przy tym przepadła, poszła z dymem.

Urwał na chwilę, omiół wzrokiem twarz słuchaczy – czy nie tak było? – i dokończył głosem znużonym:

– W ten sposób główne siły powstańców zostały rozbite, dowódcy ich padli i wszystkie plany znalazły się u nas w sztabie. Powstanie zaczęło wygasać. Były jeszcze potyczki i drobne bunty, ale nas już zlurowano, pracę przejęli towarzysze czekieści.

– Czy Ego także wtedy pracował?

– Ego? Nie, z nim była inna historia. Nad ranem, gdy brano Grigorija Iwanowicza na nosze, bo był ranny i tow. Kriworuczka tak samo, przywołał on do siebie Ego i mówi, nic żeś ty w Moskwie nie wiedział, na co idziesz, mam cię teraz rozwalić... Ego zbladł, ale Grigorij Iwanowicz uspokoił go, miałeś mnie w rękę i mogłeś wydać, gdybyś tylko chciał, nie wiem, czemu tego nie zrobiłeś, fakt, że nie wydałeś... I do towarzysza *politkoma* zwrócił się, żeby dał Ego przepustkę i dobre świadectwo... Teraz Ego pracuje w centrum na froncie gospodarczym, komisarz do spraw kooperacji...

Późną jesienią, gdzieś chyba w listopadzie, skończywszy dyktowanie maszynistce, doręczyłem Kotowskiemu cały materiał w stanie surowym. Wybrać do druku, ułożyć i odredagować miał kto inny. Otrzymane przy wypłacie honorarium według stawek sekcji stenografów plus zaoszczędzone diety wszystko razem dało pokaźną sumę czerwońców, poza tym Wołosatow przy pożegnaniu podarował kupon sukna polskiego, z którego uszyłem sobie garnitur, pierwszy garnitur u krawca na miarę. W ogóle materialnie powodziło mi się wówczas coraz lepiej, ale już pracowałem nad tym, by ten dobrobyt zniszczyć (i tak przez całe życie, doprawdy wydaje mi się, jak gdyby było nas dwóch).

Pewnego ranka, gdy wróciłem po nocy przegadanej w gronie towarzyszy, a mama z Lenką i Tanią była w domu dziecka w Darnicy, dozorca powiedział, że wczoraj wieczorem dopytywali się o mnie dwaj wojskowi. Nie było to w stylu GPU, ale jeden z naszej grupy został właśnie aresztowany, pomyślałem, że dobierają się chyba do mnie i postanowiłem na czas jakiś wynieść się z domu. Krasilnikow, któremu mogłem powiedzieć, czego się obawiam, zaproponował kozetkę i azyl u niego. Mieszkał sam, nigdzie nie wychodził i nikogo nie przyjmował, uczniowie, przychodzący po południu na lekcje stenografii, szli z ciemnego korytarza, obok zamkniętych drzwi jego pokoju, prosto na salkę wykładową. Zostałem w jednej ciupce, dwa kroki na

cztery od okna na wprost gmachu opery do białych drzwi na korytarz, wyeliminowany, wtrącony jak obce ciało w samotność i niepojętność człowieka innej rzeczywistości, innego bytu. Wstawał o świcie i robił gimnastykę, nagi z czymś w rodzaju opaski na biodrach, wychudzony i muskularny, można było na nim jak na modelu anatomicznym przerabiać poglądowo naukę o kościach, ścięgnach i włóknach mięśni. Po gimnastyce fizycznej i oddechowej przechodził do ćwiczeń mentalnych. Stał tak długo, uniósłszy ramiona i nieco podany do przodu niczym ptak rażony nagłą śmiercią i zastygły w ruchu zrywania się ze skalnej krawędzi. Pierwszego rana bałem się poruszyć na kozetce, by nie zbudzić go z transu, później przekonałem się, że mnie nie widzi, nie słyszy, wychodziłem do kuchni, myłem się, szykowałem śniadanie zaglądając do pokoju, on wciąż stał, obecny tylko ciałem, wpatrzony w róg pokoju z intensywnie mżącym lśnieniem życia spod na pół przymkniętych powiek. Zwolna wracał potem z nieobecności podobnej do głębokiego omdlenia i był znów normalnym Piotrem Krasilnikowem w przyziemnym materialnym świecie. Z produktów, jakie zamawiał u sąsiadki, brał zwykle tylko trochę jarzyn i kromkę chleba zostawiając resztę dla mnie, pitrasilem więc sobie na prymusie, on pijał mleko, wodę i wodę z suszonymi owocami, mięsa nie jadał. Jak mi się zdaje, lubił mnie i litował się nade mną, pogrążonym bez reszty wszystkimi pięcioma zmysłami i wątlą zadufaną myślą w marnościach trójwymiarowego żywiołu, próbował z tego wyzwolić i obudzić do życia w sferze ducha i wieczystych prawd, nie dawałem się jednak unieść, materia i młodość trzymały. Zadziwiający. Człowiek poważny, dwukrotnie starszy ode mnie, inteligenty, zasługujący na zaufanie, mówił i demonstrował fantastyczne rzeczy, a ja z natury przecież ciekawski, chłonny i raczej łatwowierny, wcale się tym nie zainteresowałem, niezwykle bądź co bądź wywody i sugestie zdawały się do mnie nie docierać, zostały po nich w pamięci zaledwie jakieś słowa lub zdania – tak mi to wszystko było obce czy nie w porę.

W tych dniach osamotnienia i bezczynności dużo myślałem o Tamarze, spodziewałem się listu od niej, wiedziała, gdzie jestem i dlaczego. Nasza przyjaźń, zadzierzgnięta na seminarium ekonomii politycznej, przeradzała się w bardziej intymne i niepokojące uczucie. Nie umiałbym powiedzieć, co mnie pociągało w Tamarze, w każdym razie nie jakieś odbicie Nadi, była jej zaprzeczeniem, zamknięta, małowówna, refleksyjna i ładna zupełnie inaczej, urodą jasnej przeświechtonej blondynki, uduchowionej nieco anhelicznie przez anemię albo przez gruźlicę,

przez utajone jakieś cierpienie, którego doszukać się nie mogłem niestety, a chciałbym koić. W domu wyglądała jak nie z tej rodziny, wprost nie do uwierzenia, że ta korpulentna, wylewna i pocziwa Ormianka jest jej matką, a bratem ognisty krępy brunet, impetyk w jedzeniu, atrakcjach życia i w pracy, którą się pasjonował, młody inżynier. Nie wiem też, czym zyskałem sobie sympatię Tamary. Nigdy mnie nie idealizowała, przyglądała mi się raczej krytycznie, a raz dotknęła do żywego. Po czystce w instytucie, kiedy każdego słuchacza wzywano po kolei na rozmowę z komisją, znalazłem się wreszcie na liście wydalonych. Prosto z instytutu poszedłem do Tamary. To było do przewidzenia, powiedziała, ostrzegałam, żebyś nie gadał o tych wszystkich wątpliwościach i powodach, dlaczego wystąpiłeś z Komсомоłu... A więc miałem kłamać? – zawołałem wzburzony. – Kłamać, zatajać coś, co było uczciwe, czego się wcale nie wstydzę! Wzruszyła ramionami, jeśli już się angażujesz politycznie, to musisz być przebiegły, szczerość zostaw dla bliskich i dla uczciwych. Ten twój gest nie był wart utraty wykształcenia, głupi gest... Rozstaliśmy się pogniewani, myślałem na zawsze. Tymczasem wkrótce po tym zadzwoniła do biura stenografów, że ma dwa bilety do teatru, poszliśmy, pierwszy raz wtedy przytuliła się do mnie wsunawszy rękę pod ramię, w ogóle stała się i miłsza i serdeczniejsza, jakkolwiek nie zmieniła zdania o tym moim geście, ani poglądu na politykę jako dziedzinę walki bezwzględnej i podstępnej, gdzie wszelkie środki są dobre, dlatego najporządniejsi ludzie w działalności politycznej deprawują się i okrutnieją. Nie podzielała moich zapatrywań i nadziei, wyczuwało się jej pragnienie, żebym się nie zajmował przegraną sprawą. Dałem do przeczytania nasz socjalistyczny, wydany na powielaczu, biuletyn. Zwróciła z recenzją współczującą – chaotycznie, teoretycznie i w dobrym stylu, ale nie dla mas, nie wydaje mi się, abyście znali robotników i chłopów i żeby ich było dużo wśród was. Wprawiła mnie w zakłopotanie, bo ja nie znałem żadnego. Oczywiście to jeszcze nie świadczyło o tym, że ich w ogóle u nas nie ma – w warunkach pracy nielegalnej, gdy organizacja jest rozbita na małe zakonspirowane grupy, niepodobna rozeznaczyć się w ilości i składzie członków, jednakże uwaga Tamary obok faktu, że ja osobiście nie spotkałem w gronie młodzieży socjalistycznej nikogo z fabryki lub ze wsi, nasuwała niepokojące refleksje na temat naszego oderwania się od mas i typowo inteligenckiej izolacji. Uczyla się Tamara znakomicie i obojętnie, ani ekonomia ani prawo nie były jej powołaniem, być może powinna była studiować psychologię albo

historię sztuki, ale tych przedmiotów chyba wtenczas nie wykładano, wzięła się za to, co było do wzięcia, gdzieś już pracowała, nie pamiętam gdzie, z pewnością tak samo sumiennie i celująco, nauka i praca stanowiły trawę utrzymującą na powierzchni i zarazem odgradzącą od obcego żywiołu, dzięki temu odseparowaniu się na skrawku niezależności mogła ratować siebie, być sobą. Chodziliśmy do teatru i na filmy, nie opuszczałem imprez artystycznych i dyskusyjnych, jakie organizowałem w związku zawodowych pracowników oświaty, bawiła się potem parodiując moje wystąpienia, bywałem u niej w domu, matka przyjmowała mnie ciepło częstując kaukaskimi specjami, miewaliśmy z Tamarą długie wieczory we dwoje, wynurzenia, sprzeczki, współodczuwania, strofy Błoka, Szaginionian, Achmatowej i czasem moje własne, była już pewna intymność i przywiązanie, nie było jeszcze słowa wyznania ani pieszczoty.

Wszystko to, jak dotąd, układało się między nami, a co i jak mogło być, całą Tamarę, rozpamiętywałem w dniach izolacji i beczynności u Krasilnikowa. Spodziewałem się, że teraz, kiedy się znalazłem w tarapatkach, zdradzi prawdziwe swe uczucie. Z pierwszych zdań, z tonu już bym wyczuł, co chce mi powiedzieć, tak czy owak, skończyłyby się udręka niepewności. Nie mogłem doczekać się listu, bodaj karteczki od Tamary, i oto przy wieczornej herbatce Krasilnikow, przeprosiwszy, że byłby zupełnie zapomniany, nosi to przecież od rana w kieszeni, podał mi list, poznałem od razu pismo, pisała Tamara i właśnie tak, jak pragnąłem, właśnie to, na co czekałem. Uszczęśliwiony, w stanie euforii, chłonałem kochane, wymarzone słowa, wtem poczułem się nieswojo. Wzrok gospodarza spoczywał na mnie, dziwnie wytężony zdawał się pracować mrocznym strumienistym światłem. W odruchu zamieszania sięgnąłem po herbatę.

- Coś, widzę, przyjemnego? - zagadnął Krasilnikow od okna, gdzie nie wiadomo kiedy się znalazł i po co.

- A tak, nawet bardzo...

Wziąłem list, by jeszcze raz przeczytać, ale listu nie było, słów nie było - trzymałem w ręku czystą kartkę papieru.

Zrozumiałem. Wczoraj przekonywał mnie, że można przekazać własne myśli, a cudze można czytać i odmieniać - nie wierzyłem - dziś udowodnił to doświadczalnie, zrobił ze mnie królika. Byłem oburzony.

- Piotrze Iwanowiczu - powiedziałem siląc się na opanowanie - takich jak pan właściwie należałoby trzymać pod dozorem!

- A to czemu?

- No bo jeśli mógł pan zrobić ze mną taką sztuczkę, to może pan przyjść do banku i przedłożyć czysty papier, kasjer przeczyta, wyda okazicielowi sto tysięcy czerwieńców i pieczęć zobaczy i podpis dyrektora banku. Wyda, a potem będzie siedział.

- Tak, tylko jeden ranek moich kontemplacji cenię sobie bardziej aniżeli skarby wszystkich banków. A ten, kto chciałby w ten sposób zrobić bank, nie będzie mógł, nigdy nie osiągnie stanu podobnej możliwości.

Tłumaczył, że każda myśl wraca do nas, dobra umacnia, nikczemna osłabia, mówił też o tym, jakiej higieny wymaga nasz umysł i duch, o predyspozycjach potrzebnych do uzyskania nieprzeciętnej mocy, o wyrzeczeniach i ćwiczeniach wielu lat - to było obojętne, poniekąd irytujące, jak uzasadnienie prawne dokonanej krzywdy albo gwałtu, czułem się fatalnie, zniewolony, oszukany i przejrzały w intymnych moich sprawach. Bardziej niż wyjaśnienie tajemnicy zjawisk metapsychicznych absorbowano mnie to, czy kazał mi tylko ujrzeć wszystko, czego pragnąłem, nie znając treści owych pragnień, czy też odczytawszy moje myśli podyktował list Tamary z całą swobodą intruza i mistyfikatora?

W tym stanie oburzenia i lęku mógłbym go zniecierliwić, on to wyczuł i więcej nie próbował przekonywać mnie drogą eksperymentów na mnie. Raz tylko, kiedyśmy dyskutowali na temat jasnowidzenia, powiedział, że dziś czuje się na siłach i potrafi skupić się. Otworzyłem okno, jak mi to zaproponował, i wychyliwszy się obserwowałem ruch uliczny, on natomiast, stojąc obok drzwi w końcu pokoiku, widział jedynie górną część gmachu i dach opery kijowskiej po drugiej stronie ulicy. Przytłumiony jak gdyby z dużego oddalenia głos Krasilnikowa zapowiedział ukazanie się kobiety tak i tak ubranej z paczuszką w ręku. Rzeczywiście ujrzałem ją po chwili w tłumie pracowników wychodzących z zamykanych o tej godzinie dyrekcji kolei południowo-zachodniej, biała, owinięta w papier paczuszka zwiślała na sznureczku z przegubu jej ręki, nie spożyte chyba śniadanie, może kanapki... Przejedzie jezdnią w stronę opery, powiedział Krasilnikow. Zrobiła to jak pod dyktando. Będzie chciała przeczytać plakat na słupie ogłoszeniowym i potknie się przy krawężniku... Kiedy i to się spełniło, Krasilnikow spytał, czy ma dalej mówić o tej pani, a może o czymś, co zajdzie na ulicy? Podziękowałem, dalszy seans był zbyteczny - gdyby opera, po słowach uwaga, zaraz się zwali, istotnie drgnęła i rozsypała się w gruzy, to bym nie doznał większego oszołomienia i zamętu. Na moich oczach człowiek wymknął się z czasu tera-

źniejszego i wskazał rzeczy przyszłe, rzeczy wprawdzie blahe i na krótko, na minutę przed tym, nim zaistniały, to nie ma znaczenia, co ujrzał i jak daleko, na minutę czy na tysiąc lat naprzód – Krasilnikow czymś – myślą, duchem, szóstym, siódmym zmysłem? – widział coś na ulicy, czego w żaden sposób ze swego miejsca w pokoju nie mógł widzieć wzrokiem i mówił o tym z wyprzedzeniem, że za chwilę ukaże się taka i taka kobieta, zaraz stanie się to i to! Cały mój światopogląd materialistyczny podważony u podstaw zdawał się chwiać i pękać na spojeniach, groziła katastrofa, wtedy co – porzucić wszystkie dotychczasowe pojęcia i pewniki? Z widnej, sprawdzalnej konstrukcji przedmiotowej uchodzić w mroki mistyki, w niepojęty wymiar i byt, gdzie duch obcuje z wiecznością i wszechświatem? Wzdrygałem się przed tym i broniłem – a może nie było tu jasnowidzenia? Mógł przecież znać tę kobietę i umówić się z nią. Mógł również zahipnotyzować mnie i zrobić sztuczkę, jak wtedy z listem Tamary. Najprościej byłoby uznać to za sprawkę szarlatańską, ale właśnie myśl „Krasilnikow–szarlatan” przychodziła najtrudniej. Wstydziłem się tych posądzeń i odganiałem je, wówczas wracały mroki jasnowidzenia z całą metafizyczną abrakadabrami.

Krasilnikow z pewnością przejrzał, co się ze mną dzieje i dał spokój w przeświadczeniu, że tymczasem czy też w ogóle nie nadaję się na adepta. W każdym razie zaprzestał eksperymentów i rozmów na temat nauk tajemnych. Jasnowidzenie zamknął uwagą, osobiście traktuje je marginesowo, niejako ubocznie, nie pamiętam już dlaczego, dla braku mocniejszych predyspozycji w tej dziedzinie, a może dlatego, że skupia się na rzeczach bardziej pożytecznych i przekonywujących. Na czym mianowicie, dowiedziałem się pewnego wieczora, gdy wrócił w takim stanie, jak by się upił do nieprzytomności albo dostał zawału. Nie mógł mówić, ledwo się dowlókl do postania i zasnął natychmiast. Zbudził się późno, wciąż jeszcze kompletnie wyczerpany, dopiero gdzieś około południa wstał do ćwiczeń fizycznych, oddechowych i mentalnych. Jak się okazało, w ubiegłym roku zaproponował profesorowi kliniki uniwersyteckiej zademonstrowanie leczenia własną metodą metapsychiczną, po długich perswazjach i naleganiach profesor zgodził się na to z dużym sceptycyzmem. Potem asystując przy seansach zainteresował się i zaczął badać. Nie wiem, na czym polega ta metoda i w jakich wypadkach była stosowana. Widziałem tylko, jak Krasilnikow wyglądał po niej. Twierdził, że potrafi uzdrowić pewne natury z pewnych chorób, może to jednak robić

rzadko i bez rozgłosu. Gdyby się to rozniosło po mieście, tłumy chorych zaczęłyby go oblegać, wykończyłyby się wkrótce fizycznie, albo też musiałby, oszczędzając się, markować i oszukiwać, a najpewniej, zanim by doszło do tego, zostałby skazany za brawurną praktykę lekarską.

Załużę, że nie skorzystałem ze sposobności poważnej konfrontacji, rzadkiej sposobności wejrzenia w tę dziedzinę zjawisk i doznań mając tu dobrego i uczciwego konsultanta. Odszedłem z uczuciem zdumienia, niepokoju i ulgi. Na Timofijewskiej, odkąd mama przyjechała z Darnicy, nikt się o mnie nie dowiadywał, nie przychodził. Dozorca nie zauważył żadnych oznak inwigilacji. Wróciłem do domu i po dwóch dniach przed wieczorem zjawił się po mnie umundurowany gość, ale nie z GPU, tylko do Wołosatowa. Wszystko okazało się fałszywym alarmem. To Wołosatow poszukując mnie wypłoszył z domu przed dwoma tygodniami, a teraz będąc przejazdem w Kijowie wzywał natychmiast do siebie.

Był już wieczór, kiedyśmy przyszli, ja z żołnierzem, Wołosatow gdzieś się wybierał, ale został w mieszkaniu, mogło być jego drugim kijowskim mieszkaniem lub odstąpionym przez kogoś na czas pobytu w Kijowie, w każdym razie mieszkał sam z żoną, która po przywitaniu się wyszła do drugiego pokoju. Jak już wspomniałem, Wołosatow poczuł się dotknięty i zaniepokojony, kiedy się dowiedział, że teka jego Krymskiej dywizji zawiera ileś tam stron maszynopisu mniej aniżeli teka dywizji Besarabskiej. Dlaczego mniej? – wołał z takim zdumieniem i pretensją, jakby chodziło o brak koni w dywizji albo o nieudane manewry. Tłumaczyłem się, że stenografowałem wszystko, a że wypadło mniej, to nic nie znaczy, liczy się nie ilość, ale jakość, po selekcji i zakwalifikowaniu do druku może się okazać, że wspomnienia krymców górują nad besarabcami. Nie dał się przekonać i nie chciał ryzykować. Żądał, abym zaraz wrócił do dywizji i uzupełnił tekę wspomnień. Było to dla mnie zupełnie nie na czasie, nawet niebezpieczne, widziałem jednakże, jak się tym przejmuję, i że w jego rywalizacji z Kriworuczka ta sprawa nie jest bez znaczenia, i miałem na sobie nowy garnitur z kuponu, który podarował mi w dniu ukończenia pracy w dywizji. Zgodziłem się. Wyszliśmy razem na ulicę i pożegnaliśmy się z tym, że z rana otrzymam wszystkie papiery, koniecznie chciał załatwić sprawę formalnie przed wyjazdem do Moskwy na zimowy kurs doskonalenia wyższego dowództwa przy akademii sztabu RKKA.

Nazajutrz otworzyła mi dziewczyna, której wczoraj tu nie widziałem. Była blada i jakaś dziwna, wpatrując się we mnie

osłupiałym wzrokiem zdawała się nie słyszeć, co do niej mówię. Towarzysz Wołosatow umówił się ze mną, powtórzyłem, czeka na mnie... Zasłoniła twarz dłonią i chlipnęła. Z głębi mieszkania wyrzała żona Wołosatowa – zamknijże, na miłość boską, nikogo nie chcę widzieć, nikogo!

Odwrociwszy się od zatrzaśniętych drzwi zobaczyłem wystawione na klatkę schodową głowy z sąsiedniego mieszkania i przechylonych przez poręcz lokatorów z górnego piętra. Wszyscy patrzyli na mnie w milczeniu.

– Nie rozumiem, powiedziałem, żeby coś powiedzieć, umówił się...

– A kto się z panem umówił? – zapytał ktoś z sąsiadów.

– Towarzysz Wołosatow.

– Przecież on nie żyje.

– Ależ rozmawiałem z nim wieczorem!

– Możliwe, a w nocy go zabili.

Otóż Wołosatow po rozstaniu się ze mną odwiedził *kawkazkiej pogriebok*, restauracyjkę prywatną, jakich sporo było w latach NEP-u. Umówił się tam z przyjaciółmi na pożegnalną bibkę. Przy płaceniu rachunku dostrzeżono jego suty portfel z czerwocami, mógł mieć przy sobie całą paromiesięczną odprawę, wypłaconą mu przed wyjazdem na kurs. Napadnięto na nich w ciemnościach, gdy pojedynczo, stromymi schodkami wychodzili na górę z tej piwnicy. Wołosatow został zastrzelony na miejscu.

Byłem wstrząśnięty tą nagłą i złośliwą śmiercią – osiem lat wojował, przeżył kampanie i bitwy, wyszedł z ognia, by zginąć od kuli bandyty! W pierwszym odruchu pomyślałem, nie żyje, tym bardziej muszę spełnić ostatnią jego wolę. Należało zgłosić się do sztabu i przekonać o konieczności wysłania mnie do 9-tej Krymskiej dywizji, bo takie było życzenie Michaiła Wasyljewicza, na co nie mam, niestety, żadnego dowodu, na piśmie ani świadków, chciałbym wykonać tę pracę dla dobra sprawy, bynajmniej nie ze względów zarobkowych itp., wszystko razem dość kłopotliwe i zenujące. Nie to jednak było momentem najważniejszym, uprzytomniłem sobie bowiem sytuację, w jakiej się znajdowałem. Już pół roku temu przyjęcie pracy w wojsku było z mej strony lekkomyślnością, ale wszyscy wówczas zachowywali się lekkomyślnie, naturalnie liczone się z ewentualnością represji, nie odczuwano jednak bezpośredniego bliskiego zagrożenia. Co innego teraz, gdy w całym kraju rozpoczęto akcję radykalnej likwidacji wszystkich grup mieńszewickich i już spadły pierwsze ciosy na naszych towarzyszy w Kijowie.

Jeśli mnie wezmą tutaj, to będę odpowiadał za udział w nielegalnej działalności politycznej, to znaczy, prawdę mówiąc, czytanie i rozpowszechnianie literatury socjaldemokratycznej, dyskusje i zebrania w ścisłym gronie, i nic ponadto. Ale jeśli przychwyć gdzieś w jednostce wojskowej nad granicą, to mogą jeszcze wręczyć szpiegostwo, a wtedy jak udowodnić, że osobiście nie znam żadnego obcego mocarstwa i że w stosach moich papierzysek, zapisanych nieczytelnym, zagadkowym pismem, nie zaszyfrowałem tajemnic wojskowych... Zdawałem sobie z tego sprawę podczas rozmowy w Wołosatowem, zgodziłem się ze względu na niego i w nadziei, że w razie czego poświadczy, że to on, Wołosatow, odszukał mnie i zażądał dodatkowej pracy w podległej mu dywizji – nie mając bodaj takiego zabezpieczenia w jego osobie, szaleństwem byłoby obecnie, będąc zagrożonym, włożyć między tryby wojskowe. Całe szczęście, że tak pomyślałem i nie wlażłem.

A co do Kotowskiego, to dwa lata potem, w 1925 roku, przeczytałem w prasie warszawskiej, że na Ukrainie intendent zastrzelił swego szefa, Grigorija Kotowskiego, dowódcę drugiego korpusu konnego. Nie znalazłem żadnych dodatkowych informacji o tym bądź co bądź sensacyjnym wydarzeniu. W oficjalnych życiorysach Kotowskiego, jakie miałem możliwość przejrzeć, podaje się tylko, że „został 6 sierpnia 1925 roku zdradziecko zamordowany w sowchozie Czebanka pod Odessą”. Bez wyjaśnienia przez kogo, z jakich pobudek i w jakich okolicznościach. Dziwna powściągliwość relacji o zgonie człowieka, którego uczczono pomnikami, muzeami i trzy miasta nazwano jego imieniem. Domysły i sugestie, jakie się zrodziły w związku z tą powściągliwością wydają mi się antycypacją późniejszej rzeczywistości, zwłaszcza z końca lat trzydziestych. Rzecz jasna, dowódcy typu Kotowskiego są niebezpieczni dla każdego autokraty, szczególnie jeśli się stają legendą, wiarą, urzeczeniem i to jest dla mnie pewne, że gdyby Grigorij Iwanowicz kazał trąbić wsiadanego, to cały korpus ruszyłby za nim, obojętne, przeciw komu i po co. Nie sądzę wszakże, by podobna sytuacja konfliktowa mogła dojrzeć lub tylko straszyć już w 1925 roku.

Drogę z Komsomołu do ZMSD widzę dość wyraźnie, jeśli chodzi o to, jak się tam znalazłem, w żaden sposób natomiast nie mogę uchwycić momentu wstąpienia. Ma się rozumieć w warunkach konspiracji przechodziło się to bez rytuału przyjmowania, bez podniosłej chwili wręczenia legitymacji itp., po

prostu ktoś z organizacji musiał ze mną rozmawiać, tego rodzaju poufna i decydująca rozmowa mogła się również odbyć w gronie kilku przyjaciół na jakimś zebranku, które stało się cezurą w życiorysie i po którym zdałem sobie sprawę, że jestem w związku młodzieży socjaldemokratycznej, przyjmuję wszystkie wynikające z tego kroku obowiązki, zadania i konsekwencje. Nic a nic takiego nie przypominam sobie, jakby tego wcale nie było. Zapaść pamięci? A może rzeczywiście nie było?

Zaczął się jesienią na pierwszym roku studiów, obok instytutu, pod Katedrą św. Włodzimierza. W tłumie nowych kolegów zawierałem znajomości i bliższe kontakty mając przeświadczenie, że to się odbywa samo przez się w sposób naturalny i cudowny – jak prędko pewne natury i temperamenty, wiedzione owym szóstym zmysłem, odnajdują się i dobierają! Tak mi się przynajmniej zdawało, wówczas, kiedy po pewnym czasie rozejrzałem się wokół siebie, jakich mam kolegów. Teraz, z oddalenia, widzę pewne momenty selekcji i uwarunkowania. Unikałem przecież kujonów i kolegów praktycznych, schludnie-nudnie umeblowanych myślowo raz na zawsze. Brak nałogów i troski materialne odcinały od ogarków, których niewielka paczka u nas na pierwszym, drugim roku wypalała się niechlujnie w *bieższabasnoj żizni*. Stosunki bliższej zażyłości z komsomolcami wydawały się krępujące, musiałbym ukrywać przeszłość albo tłumaczyć się uzasadniając wystąpienie z Komsomołu, spotkałbym się z potępieniem, być może z próbą wyprowadzenia mnie z błędów faktycznych i pobłędzeń ideologicznych, w jakiejś mierze zresztą irytowali mnie przypominając mi własną podobiznę sprzed roku. Najlepiej czułem się wśród pomyślników KINCh-u, studentów nietypowych dla tej uczelni, co się dostali między prawo a ekonomię, jak ja, przez pomyłkę, z przypadku czy też dla braku możliwości studiowania gdzie indziej. Natury artystyczne albo nieskrystalizowane, rozstrzelone, bez szczególnych predyspozycji bądź zainteresowań w jakiejś jednej dziedzinie, niewyżyte temperamenty polityczne i po prostu oryginalne. W tak różnorodnej gromadce tylko to łączyło, że wszyscy byli niecierpliwi, niepokorni i spragnieni swobody, swobodnych penetracji i wypowiedzi przede wszystkim. Dzięki tej wspólnej właściwości rychło poodnajdywali się, podobierali rozmawiając grupkami na korytarzach i w salach instytutu, a że nastąpiła piękna słoneczna jesień, złota jesień kijowska, to się wkrótce przenieśli w bardziej dogodne miejsce, na zieloną trawkę, między zaciszne załomy murów pobliskiej katedry pod wezwaniem św. Włodzimierza. Ilekroć zdarzało się okno w roz-

kładzie zajęć, a czasem i przed wykładami lub po nich, zbierała się tam grupka pierwszoroczników z KINCh-u i bredziła w tym azylu z pryncypialnością, z pewnością nastolatków o wszystkich problemach swej generacji i epoki, przekomarzała się, dowcipkowała pośpiewując niekiedy – *a Władimir swiatoj s kołokolni bolszoi na nich gladiuczy ułybajetsia...* Tylko słowom tej starej piosenki studenckiej nie towarzyszył jak niegdyś dźwięk kielichów – panowała abstynencja. Poza garstką ogarków nikt w środowisku studenckim nie pił.

Zima mocno rozluźniła nasze kontakty. Spotykaliśmy się już tylko na wykładach, a do instytutu uczęszczałem nieregularnie, bardziej zaabsorbowany tym, jak by gdzieś zarobić i wyżyć, były to czasy owej klęski głodowej, o której mówiłem i początki mojej pracy stenografa. Tak zwane życie towarzyskie ustało. Żyło się na modłę borsuczą wyszukując pożywienie i śpiąc w ciemnych, zimnych norach mieszkalnych, gdzie zebranie się wymagało tyleż hartu, co skok do lodowatej wody. Żeby przyjść do kogoś bez potrzeby, żeby zaprosić do siebie, na to mogli pozwolić sobie tylko nieliczni. Nie zawsze można było poczęstować szklanką wrzątku zabarwioną czymś, co się zwało anachronicznie herbatą. Szczapka drewna, grudka węgla nabierały wartości bezcennych darów życiodajnych.

Ale gdy słońce przygrzało i zazieleniła się trawka, *Władimir swiatoj z kołokolni bolszoi* mógłby znów się uśmiechnąć widząc u swych stóp tę samą zbłąkaną bezbożną gromadkę. Tylko mniej przekomarzano się i śpiewano, więcej dyskutowano z wyraźnym zwężeniem problematyki. Po ciężko przebytej zimie wzmogło się uczulenie na sprawy polityczne, na aktualia i mankamenty rzeczywistości, dlatego tak jest, jak długo to potrwa i ku czemu zmierza, co robić, czy w ogóle można zrobić cokolwiek itp. Zamiast beładnej gadaniny wiodło się teraz rozmowy na określony temat w sposób uporządkowany, niektóre dyskusje przybierały charakter kluczowy, pociągając za sobą następne i powodując krystalizację stanowisk, na przykład, czy była rewolucja październikowa? Ktoś rzucił zdanie, rewolucja jest tylko gwałtownie przyspieszoną ewolucją, kto inny zakwestionował, spróbowano spojrzeć na siedemnasty rok w świetle tego twierdzenia. Pasowało jak ułał do tego, carat musiał runąć jeśli nie w lutym, to w listopadzie, nie w siedemnastym, to w osiemnastym roku czy trochę później, mądrzejszy rząd i sprzyjające okoliczności mogłyby najwyżej odwlec lub złagodzić koniec monarchii. Nie tyle znajomość przemian i konieczności historycznych, ile oczywistość mówiła nam o tym, widzieliśmy, jak się przeżył

ten ustrój, skompromitowany i zniechęcony, nie znalazło się bowiem nikogo, kto by chciał go podtrzymać, gdy się walił, i nie odważono się później mobilizować kontrrewolucji pod sztandarem monarchii. W lutym siedemnastego roku rewolucja rzeczywiście wyglądała prawidłowo według klasycznej definicji jako ostateczny moment krytyczny, punkt wrzenia od dawna zachodzących i nieodwracalnych procesów rewolucyjnych, ale w październiku? Stary klucz zupełnie tutaj nie pasował. Wszystko cośmy czytali i słyszeli, świadczyło o całkowitym zaskoczeniu historii, nie było żadnych przesłanek ekonomicznych, kulturowych, politycznych dla rewolucji socjalnej w Rosji, nie było człowieka, który by myślał poważnie o natychmiastowym skoku z wczesnego kapitalizmu w komunizm; kiedy Lenin zaproponował to w tezach kwietniowych, nawet niektórzy towarzysze z najbliższego otoczenia Lenina zaproponowali, jak wiadomo, zawahali się przed takim przedsięwzięciem w kraju niedojrzałym, opóźnionym w rozwoju, z partią słabszą od innych organizacji socjalistycznych, liczącą zaledwie 5000 członków. A stało się jak w baśni, przybył bohater i zrobił cud. Bo czymże według waszej definicji była rewolucja październikowa?

- W październiku nie było rewolucji, był przewrót!

- A poparcie mas, a ten autentyczny ruch rewolucyjny i wszystko, co się u nas działo na miarę wielkiej rewolucji francuskiej?

- To się rozwinęło później po październiku. Zrozumcie, w warunkach całkowitej demokracji i wolności, podczas wyborów do Konstytuanty, gdy głosowano przeważnie na socjalistów, dokonano zbrojnego zamachu stanu, rozwiązało to ręce reakcji tak samo do wystąpienia zbrojnego. Zaczęła się wojna domowa straszniejsza od wojny światowej, a zakończyło się zwycięstwem tego, co mamy teraz, kompletną klęską...

- Więc jakże to wytłumaczyć, jak określić?

- Gorki nazwał to okrutnym i niepoczytalnym eksperymentem.

- Tragiczny wypadek historyczny, tak to, zdaje się, widzi wasz Martow.

- A wasz Czernow widzi tylko niebywałą aferę polityczną.

Po tych słowach wasz Czernow, wasz Martow można było rozpoznać wyraźnie, którzy ze spierających się kolegów sympatyzują z eserami, a którzy z mieńszewikami. Łączyła ich ta sama oporna postawa wobec reżymu i zgodność prognozy, że się nie utrzyma, jednakże inaczej to sobie wyobrażali. Jedni spodziewali się żywiołowego ruchu mas pracujących, zawiedzione nadzieje zrewolucjonizują robotników i chłopów, przede wszystkim

chłopów, najbardziej zagrożonych w interesach klasowych, drudzy wierzyli nie tyle w żywioł, ile w historię, której prawa rozwoju społecznego są niezłomne, tak że wszelkie poczynania wbrew historii powodują straszliwe cierpienia i szkody i kończą się z reguły porażką... Podobne wywody prowokowały replikę ze strony temperamentów anarcho-woluntarystycznych, wasze akademickie spekulacje są nie do zniesienia, przestańcie bredzić o spiżowych prawach historii, skoro miewa eksperymenty, wypadki i afery! To bydłę można brać za łeb i pędzić, gdzie się chce, Lenin to pokazał, a Mussolini tak samo poczyna sobie teraz we Włoszech.

W tym dzikim klubie politycznym niepokornej młodzieży, tak bowiem można by nazwać luźny związek w drugiej fazie na zielonej trawce, koledzy orientacji mieńszewickiej wyróżniali się bardziej jednolitym uzbrojeniem ideologicznym, mieli starszych doradców i literaturę, przede wszystkim wydawany w Berlinie *Socialistический Вестник*. Coraz częściej podejmowali się zagajenia dyskusji, która biegła później wytyczonym torem według postawionych tez. Były to zazwyczaj konstrukcje proste i spoiste, powiedzmy partia, do dziś pamiętam. Jak wskazuje samo pochodzenie tego wyrazu z łaciny czy z francuskiego (*pars, la partie*), partia jest częścią zorganizowanych sił politycznych danego kraju, jedną z wielu reprezentacji rozmaitych programów i interesów. Po tak przystępnym i obiegowym sformułowaniu padało w zagajeniu pytanie, co się dzieje, gdy część staje się całością? Zmiana proporcji pociąga za sobą zmianę treści. Jak sektor rozszerzając się na cały obwód okazuje się w końcu czymś zupełnie innym, polem koła, tak społeczne ugrupowanie polityczne wypierając wszelkie inne przestaje być partią, staje się swoistą, niespotykaną dotąd monopolistyczną organizacją państwa. W warunkach dyktatury organizacja ta, będąca jedynym terenem legalnej działalności politycznej, wchłania różne temperamenty, dążenia, poglądy, które normalnie znalazłyby sobie ujście w rozmaitych partiach – istnienie zatem frakcji na tle rozbieżności taktycznych, a nawet i zasadniczych, jest tu zjawiskiem naturalnym czy też stałym złem koniecznym. Tak samo istnienie frakcji personalnych i walk wewnątrzpartyjnych o władzę. Wszechpotężna, nadrzędna organizacja ponad państwem, narodem i prawem, decydująca o wszystkich sprawach i o losie każdego obywatela, przyciąga rzecz jasna natury karierowiczowskie i drapieżne, przyciąga i akumuluje w większym stopniu aniżeli jakakolwiek partia ubiegająca się o władzę na oczach wszystkich w sytuacji jawności życia publi-

cznego i rywalizacji z innymi partiami, tam zresztą w grę wchodzi ambicje, interesy, majątek czy pragnienie sławy, kariera partyjna stanowi jedną z wielu dróg awansu i sukcesu, tu jest drogą jedyną i tu chodzi o życie. U nas jak u schyłku wielkiej rewolucji francuskiej rządzić znaczy żyć, im wyżej, tym łatwiej się rządzi i lepiej się żyje, ale upadek straszniejszy, odejść jednak niepodobna, można tylko piąć się wyżej i wyżej. A wszelka dyktatura idzie w szpic i szpicem wieńczy każdy szczebel, toteż w całym pionie, od góry do dołu, trwa zażarta walka o te wysokości, nieustający proces samopożerania się dyktatury.

Sam tok rozumowania i zasadnicze twierdzenia odtwarzam chyba wiernie, musiałem zapamiętać – dyskusja ta stała się momentem przełomowym w moich stosunkach z młodzieżą socjaldemokratyczną, wkrótce po tym otrzymując *Socjalistycznej Wiestnik* znajdowałem tam rozwinięcie tych myśli, między innymi o samopożeraniu się dyktatury, następnie w nielegalnej broszurze poświęconej problemom partii wyczytałem jota w jotę to, co mówił ów kolega w zagajeniu. W niedługim czasie odkryłem i drugie źródło jego inspiracji. Przed egzaminami z teorii prawa zaproponował spotkanie u niego w domu z ojcem, adwokatem, który miał nam pomóc. Spotkanie wypadło zajmująco, jakkolwiek niezupełnie na temat. Po wstępnym przeglądzie kierunków i szkół korepetytor nasz skupił uwagę głównie na kwestiach z pogranicza prawa i moralności, na Petrażyckim, którego znał osobiście, po czym przeszedł do praworządności w aspekcie historycznym i współczesnym, jak to wygląda obecnie, pytania i wypowiedzi słuchaczy jeszcze bardziej potem oddalały się od spraw z zakresu naszych zainteresowań egzaminacyjnych, zresztą tylko trzech nas było z wydziału prawa, pozostali z innych uczelni, między innymi Klenger, student medycyny, z którym zaprzyjaźniłem się później, słowem pod koniec tego dość interesującego dla mnie wieczoru zajmowano się już wyłącznie ostatnim sporem Róży Luksemburg z Leninem po październiku. Pierwszy raz uczestniczyłem w zebraniu młodych sympatyków socjaldemokracji. Następne odbywały się pod różnymi pretekstami z zachowaniem pozorów prywatnej zabawy młodzieżowej z okazji imienin bądź dnia urodzin, jakiegoś święta lub wydarzenia rodzinnego, Nowego Roku itp.

Nie będę tym razem próbował wyśledzić, jakie konkretne argumenty, zdania, wydarzenia kształtowały moje poglądy. Żmudne to i bo ja wiem, czy istotne. Do przekonań politycznych nie dochodzi się jak do wniosków przedmiotowych na podstawie

ściśłego rozumowania, wiedzy i elementów sprawdzalnych, decydują tu głównie temperamenty, wiara, sytuacja i aktualne impulsy. W szczęśliwym przypadku, gdy rzeczywistość zdaje się potwierdzać, a praca i walka zahartują, powzięte przekonania scalają się z osobowością kierując stylem życia. Co do mnie, to przede wszystkim byłem na to za młody, wypadaloby tu mówić nie tyle o poglądach dziewiętnastolatka, ile o postawie, a tą zawsze u mnie w chwilach wyboru kierowały raczej momenty emocjonalne, w danym wypadku uczucie rozczarowania i zawodu bliskie doznania osobistej klęski. W miarę zwycięstwa i utrwalania się nowego ustroju ideały rewolucyjne i obietnice przybierały kształty nie do przyjęcia, zacinalem się w niezgodzie, w oporze szukałem korzeni wypaczeń i sposobów naprawy. Literatura socjaldemokratyczna, szczególnie wypowiedzi Martowa w świetnie redagowanym organie partii miewszewików *Socjalistycznej Wiestnik* zdawały się wszystko wyjaśniać i trafiały do przekonania, miałem tu mowę podobną, tę samą gramatykę i składnię, powiedziałbym, ten sam marksizm, gdyby nie to, że więcej wiedzy, skrupułów i zasad czyniło go zupełnie innym. Gdybym był niewinnym ideologicznie, uległbym całkowicie fascynacji demaskatorskich i wieszczych słów, lecz przeżyłem już pierwszą miłość i wiarę, czasem odzywała się obawa, czy aby z jednego dogmatu nie wpadam w drugi, brakło jednak pewności, czy można bez dogmatu, zbyt słaby byłem, niedojrzały do samotności i dość mi się już ona sprzykrzyła, a wśród młodych esdeków dobrze się czułem, byli pełni zapału, ofiarni, sympatyczni nawet ze swym teoretyzowaniem i romantyką po ojcach-socjalistach z poprzedniej epoki. Tak więc wchodziłem angażując się coraz bardziej w ich dyskusje kółkowe, lekturę i konspirację. Przed wyjazdem do Kotowskiego musiałem już mieć poczucie solidarności i chyba uważano mnie za towarzysza, skoro uczestniczyłem w obchodzie Pierwszego Maja w podmiejskim lasku gdzieśmy się zeszli jak za caratu według sposobów klasycznej sztuki konspiracyjnej, by przeżyć niemalże mistyczne doznanie braterstwa i świadcząc swą wierność ideałom socjalizmu. Wszystko razem, całe nasze podziemie, było myśleniem i mówieniem w ścisłym gronie, działalność polityczna na zewnątrz, jeśli istniała, to poza mną i moją grupą. Co prawda na wiosnę 1923 roku zainicjowałem utworzenie klubu młodzieżowego w związku pracowników oświaty, do którego należałem wraz z sekcją stenografów, widziały mi się tu pewne możliwości założenia nielegalnego kółka, na razie jednak dbało się o imprezy klubowe, by wypadły jak najlepiej i ściągały

młodych oświatowców, dopiero później, gdy się dobrze pozna...

Myślę, że GPU wiedziało o naszym istnieniu i przyglądało się czekając aż młode oseski ździebko dojrzeją do wzięcia. Późniejsza błyskawicza i radykalna likwidacja świadczyła o dobrym rozeznaniu, co nie było rzeczą trudną dla zawodowych tropicieli. Jak się przekonałem we wspólnej celi, wszyscyśmy z wyjątkiem Miszy i dwóch starszych mieńszewików dopiero zaczęli nielegalne funkcje wegetatywne, takie zielone grono pierwszej konspiracji nie mogło się długo uchować. Powiedzmy dla przykładu własnej lekkomyślności, spotkałem na ulicy Bublaka, mego ucznia z Ługańska, jednego z tych, którzy obok „Elementarza komunizmu” przechodzić musieli elementarz zwykły. Mały, w sukienym hełmie Pierwszej Konnej przypominał Sormowicza, tylko bardziej pyzaty i mniej cwany. Ogromnie się ucieszył ze spotkania, odprowadzając do domu opowiedział, że jest w wojsku, że stracił ojca, mieszka przy macosze itp., wstąpił do nas, prosił też do siebie i kiedy go potem odwiedziłem, to tam na poddaszu w pokoiku po ojcu, poległym w walce z bandytami, ujrzałem ową macochę, ładną dziewczynę w naszym wieku, lat dziewiętnastu, zachowanie się obojga przeczyło animozji, jaka ponoć wywiązuje się zazwyczaj między pasierbem a macochą, wkrótce zresztą sami wyznali, że pragną zalegalizować swój związek, tylko na razie jeszcze nie mogą ze względu na wcale niezły *pajok*, wdowi *pajok* po zasłużonym towarzyszu bardzo im się przydaje. Było intymnie i trochę odświętnie, pierwszy raz, mówili, wprowadzamy tak kogoś w nasze sprawy i przyjmujemy u siebie jak małżeństwo. Czynili to z całą serdecznością, nie bez poczucia dystansu. Bublik traktował mnie po dawnemu, jak gdybym wciąż uczył go mądrości politycznych i gramatyki, a jej, tej pseudo macosze, musiał naopowiadać o mej wiedzy, słuchano mnie z ufnością i szacunkiem, co schlebiając próżności własnej jednak zobowiązywało, tak że kiedy Bublikowi zebrano się na wspominki i zacytował coś z moich ługańskich wykładów „Elementarza komunizmu” nie wypadało dłużej trzymać go w błędzie, wyjaśniłem, że nie jestem już w Komsomole i dlatego, jakie mam obecnie zapatrywania, co czuję i myślę itp. Pragnąłem uświadomić go od nowa, naprawić krzywdę, jaką wyrządziłem mu kiedyś wszczepiając szkodliwe mniemania i złudzenia. Bublik zdradzał dziwne jakieś roz-targnienie i niepokój, to są ciężkie sprawy, odezwał się w końcu, nie chcę tym się zajmować w taki wieczór, choźmy lepiej do świetlicy przy naszej jednostce, referat już się chyba kończy, zdążymy na część artystyczną i zabawę. Poszliśmy, to było

niedaleko, znalazłem się niebawem w jednostce wojsk GPU – tam właśnie, jak się okazało, Bublik służył. Mógłbym go później posądzić, że mnie sypanął, ale to był porządny chłopak, ten Bublik, zdemaskował się w porę i przerwał moje wynurzenia.

A i wobec Koli nie zawsze konsekwentnie grałem bezpartyjnego towarzysza, powiernika i wykonawcę niby to jego pomysłów, kto inny, dojrzałszy i bardziej przenikliwy, byłby mnie chyba przejrzał, w każdym razie nie dałby się tak prowadzić, lecz Kola w tym czasie, świeżo po wstąpieniu do Komsomołu, żył w świecie czystej doktryny, zgłębiał Marksa, Lenina, Bucharina, portrety przodków i zabytkowa broń porozwieszane na tureckim dywanie nad tapczanem przypominały pochodzenie z klasy ciemiężców i wyzyskiwaczy, dręczył się tym jak ja niegdyś, nie mógł sobie darować, że się spóźnił na rewolucję i wojnę domową, rwał się do czynu, zapału miał na miarę neofity, wyrobienia politycznego żadnego ani rutyny organizacyjnej. W klubie młodzieżowym związku oświatowców trudno byłoby o bardziej dogodnego firmanta naszej pracy z ramienia Komsomołu, pracy rozwijającej się najnormalniej w postaci zabaw, gier i zajęć towarzyskich, odczytów, żywej gazetki, dyskusji literackich na modłę przewodu sądowego itp. Wśród tej pospolitej *samodziejatielnosti* kulturalno-artystycznej, niejako w jej gąszczu i zgiełku, dobrało się pod koniec moich dni klubowych i utworzyło kółko niepokornych, jeszcze bez określonej platformy organizacyjnej, ale już ze świadomością wspólnej postawy krytycznej i tajemnicy, tak że kiedy mnie wzięto sprzed domu związkowego myślałem z początku, że coś się tam wydało, niepokoiłem się o los tych kolegów i Koli – kopiąc dołki pod nim, moim przeciwnikiem politycznym, zdążyłem go przecież polubić, doprawdy byłoby mi przykro, gdyby ucierpiał niewinnie, jedynie na skutek braku czujności. Obawy te na szczęście nie sprawdziły się. Cios został wymierzony z daleka i generalnie, gdzieś na szczycie postanowiono – zainscenizować kapitulację i kajanie się starych socjaldemokratów, a młodzież zamknąć.

Zbliżam się do jednego z tych momentów, ożywiających, być może usprawiedliwiających podobne pisanie, mianowicie kiedy człowiek sam się sobie dziwi i nie rozumie. Za pierwszym podmuchem niebezpieczeństwa, po owym fałszywym alarmie, co wypłoszył mnie z domu, zwaiałem szukając schronienia u Krasilnikowa, bałem się, rozważałem sumiennie czy moje zaangażowanie się w pracę konspiracyjnej jest aż tak poważne, że wycofać się niepodobna, czy jestem w pełni socjaldemokratą, znającym,

pojmującym, dzielającym całą istotę, teorię i praktykę mieniszewizmu, czy też jestem tylko sympatykiem, przygodnym towarzyszem? A po trzech miesiącach sam się pchałem do więzienia i gotów byłem samowolnie, bez żadnego mandatu, wystąpić w imieniu młodzieży socjaldemokratycznej. Co zaszło w ciągu tych trzech miesięcy, że mnie tak odmieniło, przywiodło od stanów zalęknienia i niepewności do zdecydowanej, desperackiej postawy? Otóż, nic nie zaszło. Ochłonąwszy gdy się okazało, że nie GPU, ale Wołosatow mnie poszukuje, i rozjeżdżawszy się wokoło, że wszyscy są na miejscu i wszystko jest po dawnemu, poza jednym tylko wypadkiem rewizji i aresztowania, wróciłem do pracy zarobkowej i zajęć kółkowych, i przez ten czas nie przeżyłem niczego nowego, co by mnie ideologicznie umacniało, mam na myśli wpływ jakiegoś wydarzenia, człowieka czy lektury.

Zaistniało natomiast coś, co powinno było podzielać demobilizująco, nadeszły bowiem listy od jednego i drugiego wuja z Polski. Od dłuższego czasu, kiedyśmy ugrzęźli w Kijowie, mama bezskutecznie próbowała odnaleźć wuja Stefana, by przysłał nam brakujące papiery, ale listy do niego nie docierały, on znowuż nie znał naszego adresu w Kijowie. Potem zjawił się u nas Jan Newerly, brat mamy, był nadleśniczym na Krymie, dom jego spalono, gospodarstwo zrabowano, sam z rodziną zdołał się uratować dzięki pomocy pewnego marynarza i uciekł do Symferopola, wykładał coś z nauk leśnych, zaproponowano mu katedrę, chciał jednak wrócić do Polski i po drodze zatrzymał się u nas. Teraz zawiadamiał, że jest inspektorem urządzania lasów w dyrekcji toruńskiej i wzywał do siebie. A wuj Stefan, otrzymawszy od niego nasz adres, pisał, że po zmianie kilku leśniczówek osiadł pod Pułtuskim i że wszystko pozostawione na przechowaniu w warszawskiej firmie spedycyjnej Pułaskiego ocalało, po sprzedaży i potrąceniu przez Pułaskiego zaległych należności zostanie nam pewna suma na pierwsze miesiące życia w kraju, nim się urządzimy. Sprawa repatriacji, będąca dotąd w sferze projektów i starań, nabrała zupełnie realnych kształtów. Wyjazd do Polski stawał się już tylko kwestią czasu, krótkiego czasu, jak powiedział konsul. W tej sytuacji głos mamy – siedź cicho, wyjeżdżamy! – pobrzmiwał całą wymową rozsądku i oczywistej racji, wszelkie poczynania i perspektywy kijowskie traciły sens, należało już tylko wytrwać ostrożnie uważając na siebie i byłem ostrożny, uważałem, w klubie pozwalałem sobie na szczerość jedynie w gronie tych kilku zaufanych kolegów, którzy mieli zostać po mnie, ale *Niedremluszczeje Oko* uniosło

powiekę, błysnęło czymś takim, że moja oględność trzasła w ogniu.

Po nocy, gdy powieka uniosła się i przymknęła, zostało nas tylko dwóch, ja i Klenger. Byliśmy pewni, że skoro wszystkich wzięli, to i nas wezmą. Nie mieliśmy papierów na inne nazwiska, by uciec, ani gotówki, ani kontaktów z organizacją. W myśl ułożonego planu obrony postanowiliśmy nie zmieniać trybu życia i czekać aż wyrwą do odpowiedzi, będziemy obstawali przy naszej niewinności, bo jakie są dowody, żeśmy cokolwiek robili? Jeśli zawiniliśmy, towarzyszu śledczy, to przez nieświadomość i lekkomyślność w zawieraniu znajomości i przez głupie gadanie... Nie zdawaliśmy sobie sprawy, co to za męka czekać, wiesz, wyznał Klenger, teraz rozumiem żydowskie przekleństwo, żebyś czekał! Dni i noce oczekiwania wyczerpując nerwowo osłabiały nas w samopoczuciu moralnym, a jeśli taktykę bierności stosujemy dlatego, że na nic innego nas nie stać? Mnożyły się pogłoski o masowych aresztowaniach w innych miastach, miało się wrażenie, iż przystąpiono do generalnej likwidacji, jak zapowiedział kiedyś Lenin, *a socjalistow my budiem bierieżno dierżat' w tiurmie*, z niepowtarzalnym, chytrawo-dobrodusznym akcentem okrucieństwa, *bierieżno dierżat' w tiurmie*... Jednocześnie w prasie poczęły ukazywać się listy pokutne i deklaracje starych mieńszewików, w Kijowie zawiązał się komitet organizacyjny zjazdu, by ogłosić rozwiązanie i upadłość socjaldemokracji, jej błędy i winy miał piętnować w referacie wstępny przybyły z Moskwy Wyszyński. Zanosilo się na widowisko skruchy i samobiczowania się tych, których udało się złamać i rzucić na kolana, anonsowało się ekstatyczne pienia nawróconych, fanfarę z wazeliną, w grobowej ciszy, na pustym placu, po zamknięciu niepokornych.

Ktoś, kto jest jeszcze na wolności, musi się teraz odezwać – powiedzieliśmy sobie i duch desperacji wstąpił w nas. Teraz u Klengera, w jego ciemnej, nigdy nie opalanej komórce, będącej kiedyś spiżarką bogatego domu, zabraliśmy się do układania tekstu ulotki, którą Klenger podejmował się odbić na powielaczu. Połowę nakładu zamierzaliśmy rozpowszechnić w mieście, w jaki sposób jeszcze nie obmyśliliśmy, wiedzieliśmy tylko, że należy to wykonać przed zjazdem, bo kiedy się przedostaniemy na zjazd dzięki skierowaniu z biura stenografów i rzucimy resztę ulotek, to rzecz jasna z sali obrad do domu już nie wrócimy. Konsekwencje podobnej manifestacji były dla nas tak samo oczywiste jak konieczność tego, że ja, w przededniu wyjazdu rodziny do Polski, że on, głodomór, abnegat i samotnik pozba-

wiony temperamentu politycznego, najcichszy z medyków, my dwaj, najmłodszy stażem, niewiele znaczący w tej grupie młodzieży socjaldemokratycznej, musimy jednak wystąpić w jej imieniu. Nie przypominam sobie i to nieważne, czyśmy w rozmowach między sobą naszą decyzję uzasadniali zagrzewając się nawzajem racjami natury ideologicznej i politycznej – główna siła motoryczna leżała gdzie indziej, w sferze emocjonalnej, gminnie mówiąc, cholera nas wzięła na tę ohydę i poderwaliśmy się do działania właściwie z nadmiaru obrzydzenia i odrazy, z poczucia solidarności, które każe dzielić losy towarzyszy w krytycznej sytuacji nie oglądając się na skutki i jakiegokolwiek sprawy osobiste. Gdybym jak Klenger nie miał matki ani sióstr, czułbym się zupełnie znośnie, to znaczy obojętnie, znieczulony na to, co się ze mną stanie po owej patetycznej chwili, którą już się w myślach przeżywało nie bez satysfakcji, że jak ginąć, to z trzaskiem, na oczach wszystkich w pełnej sali, z gestem pogardy i buntu, wznosząc okrzyk niech żyje - wolność! Niech żyje socjalizm!

Mimo tylu doświadczeń wciąż żyłem widać w minionej epoce, kiedy socjaliści mogli ginąć odświętnie. Wszystko odbyło się nad wyraz prozaicznie. Klenger odbijał ulotki, a ja udałem się do biura stenografów. Z nawyku wstąpiłem przedtem do ubikacji w podwórzu tego domu związkowego na rogu Kreszczatika. Wychodząc byłbym minął w ciemnej bramie jakiegoś wojskowego, ale przywołał mnie niegłośno po nazwisku, odwróciłem się, wtedy zbliżył się i poprowadził – zupełnie jak w Symbirsku przed laty, widocznie ten sposób, jeden z szablonów technicznych ujęcia mnie na ulicy, przeszedł z Czerezwyczałki do GPU. Przed bramą czekały już sanki, pojechaliśmy przytuleni do siebie. Nie mogłem stanąć ani zawołać, niech żyje socjalizm, dyskretny uścisk zakleszczał mi ramię i ostrzegawczy głos – tylko bez głupstw, bo trzepnę! – uświadamiał, że jestem w rękach GPU.

APARTAMENT

Cela pod nazwą Apartament w podręcznym więzieniu przy komendanturze GPU była niegdyś dwupokojowym mieszkaniem ogrodnika albo kamerdynera, kogoś ze służby gubernatora. Mimo założonych w oknach krat i żelaznych drzwi z judaszem zachowała coś z domowości, przytulny piec kaflowy, sporo przestrzeni, możliwość przechodzenia z jednej izby do drugiej, wieczorami przez poszerzony pusty otwór drzwiowy widziało się leżących na przeciwległych pryczach pod ścianą tamtej izby i prowadziło się długie międzysypialniane rozmowy.

Nie wiem jaka koncepcja więzienna kazała wyburzyć przeszło metr ściany działowej, by poszerzyć otwór drzwiowy zamiast go zamurować i uzyskać w ten sposób dwie cele – pierwotne przeznaczenie Apartamentu musiało zdezaktualizować się albo uległo niekonsekwencji pierwszych lat reorganizacji i docierania się technicznego GPU, pozostała tylko ranga celi szczególnie, w gestii różnych śledczych, tak że skład lokatorów Apartamentu nie zdradzał żadnego klucza doboru ani zasad stosowanej izolacji i selekcji. Jedni po wyrokach śmierci, jak sławny kasiarz Kondrapuło i bandyci z Perejesławia, czekali na wyprowadzenie stąd do wozowni w podwórzu, a dwóch świeżo aresztowanych, inżyniera Wołkowa i mnie czekających na pierwsze przesłuchanie, wtrącono tu chyba po to, byśmy skruszeli w tym autoklawie kaźni pod ciśnieniem męki przedśmiernej współwięźniów. Poza tym trzymano w Apartamencie komisarza straży granicznej za przemytnictwo, białogwardzistę za dawne winy z czasów wojny domowej, ociemniałego ministra oświaty niewyzwolonej Ukrainy i trzech sambenitów, delikwentów

nijkakich i nagich, których sprawy podobno zaginęły, a wszystko na nich zdążyło po więzieniach wystrzepić się do cna, zetlało, dano im parciane worki z otworami na głowę i ręce – szeleszcząc zgrzebnym płótnem i przebierając z zimna bosymi stopami snuli się niczym widma skazańców inkwizycji w całunie pokutnym, sambenito.

Apartament był całą najcichszą, wyróżniającą się schludnością i porządkiem. W pierwszej obszerniejszej części zwanej kajut-kompania, gdzie oprócz prycz stały taborki, stół i parasza czyli kibel, grano w patyczki i warcaby, jadano, wypróżniano się i chodzono z kąta w kąt. Drugą część o charakterze dzielnicy pryncypialnej, siedziby panującego, zajmował starosta celi Kondrapuło w dobranym towarzystwie – chciał mieć przy sobie ślepego Bucenko, którego ogromnie szanował i opiekował się nim i białogwardzistę o kapitalnym, niegasnącym w obliczu śmierci humorze, i nas nowych – Wołkowa ze względu na sambenitów, bo by go w tamtej izbie rozebrali, a mnie, bo się użalił nade mną po obiciu.

Moja naiwność i wolnościowa jeszcze świeżość musiały podziałać na celę drażniąco, a może wydałem się im podejrzanym, tak czy owak, po wstępnych i podstępnych indagacjach nie bez okazania życzliwości i współczucia, zbili mnie bestialsko, solidarnie i najniewinniej, niby to grając w cymbalskiego. Kiedy przyszła moja kolej wtulić głowę między cuchnące uda Miszki, herszta perejaślawców, i wypiąwszy tyłek zgadywać, kto uderzył, w żaden sposób nie mogłem rozpoznać ręki, aż zrozumiałem, że to zмова, że za każdym razem po odpowiedzi na pytanie kto? – usłyszę rechot i poczuję mocne uderzenie. A bili na przemian wszelkim stylem, całą dłonią na odlew, i pięścią jak młotem, i pstryknięciem palca niby kamyczkiem z procy, i szablistym cięciem samymi kostkami. Z dziką pasją, z rozwydrzoną zemstą za własne odczłowieczenie i losy, wybijali resztki miejskiego pozawięziennego powietrza, jakie miałem jeszcze w płucach, i wszystkie pozostałości tamtego życia we krwi, w sokach trawiennych, w dotychczasowych wyobrażeniach i nawykach, walili w dupę jak w motto Gorkiego, człowiek to brzmi dumnie... „Oni go wykończą”, zauważył nasłuchując ślepy. Dosyć, powiedział niegłośno Kondrapuło, a że nie mogli się powstrzymać, spuścił nogi z postania i powtórzył ciszej głosem pogromcy – dosyć! Zaczęli się przed nim cofać. Podniósł mnie z podłogi i umieścił na pryczy między sobą i niewidomym.

A w nocy, gdy obolały, leżąc na brzuchu zapadłem nareszcie w sen kamienny, zbudził mnie łoskot żelaza po zatrzaśnięciu

drzwi. W oparach snu ukazał mi się ogromny, bezwstydnie odziany milioner z lornetką na piersi obok bosych, uworkowanych pokurczów. Rażony zdumieniem rozglądał się po celi nie reagując na ruchy sambenitów, drepczących wokół niego, obmacujących nieprawdopodobny wprost majątek na nim, palto z sukna marengo podbite błamem jakimś puszystym, bobrowy kołnierz, czapka futrzana, rękawiczki skórkowe, szalik, garnitur kompletny, i spodnie, i kamizelka, i marynarka, skarpety wełniane, gacie chyba także ciepłe – oczy im się śliniły na tyle ciepła, na myśl o szczęśliwym losie, bo jak faceta rozebrać, wszystko ponumerować i rozegrać w loretijkę...

– Jak widzę, pięknie można żyć przy NEP-ie, elegancki panie – zagadnął go Kondrapuło.

– Mylicie się, wszystko na sobie mam jeszcze amerykańskie.

– To skądże pan tutaj?

– Z teatru. Powiedziałem coś, może krzyknąłem, nie pamiętam, byłem wzburzony.

– A co pana tak wzburzyło, jaka sztuka? – indagował dalej starosta.

– Opowieść o siedmiu powieszonych. Nie wytrzymałem, jak można wystawiać taką rzecz, musiałem coś takiego powiedzieć, przecież to protest, namiętny protest z czasów carskich przeciw karze śmierci, a w tej chwili nie siedmiu ale tysiące skazańców przeżywa tę mękę i czeka...

– Właśnie czekamy – potwierdził Kondrapuło i huknął na sambenitów: – Paszli won! Nie będzie loteryjki... A pan... Przepraszam, jak godność?

– Wołkow. Inżynier Wołkow.

– Niech się pan kładzie, panie Wołkow, tu oto na pryczy i zapomni o teatrze.

Wołkowi nieobce było więzienie, po rewolucji piątego roku siedział już z bratem w Charkowie na Zimnej Górze. Obydwo im, wtenczas studentom politechniki i terrorystom z partii eserów, groziła kara śmierci, zdołali jednak uciec i przedostać się do Szwajcarii. Tam kończyli studia. Z jego opowiadań o Szwajcarii wyniosłem wrażenie piękna i nudy, cudownych niebotycznych gór i nieciekawych małych ludzi. Twierdził, że absolutnie nie są zdolni do podziwiania, do współodczuwania natury, jaka ich otacza, mają ją za rentę specjalną Opatrzności dla nich, by mogli żyć z boskiej produkcji odsprzedając turystom, okropni, najbardziej mieszczańscy mieszczenie. Ilekroć udawało mu się wyrwać z bratem w Alpy, mijali skwerek miejski i tych gnuśnych filistrów na ławeczkach wokół fontanny

pośrodku sadzawki, gdzie telepały się dwie kaczki, a gdy wracali strudzeni, pełni podniebnych wrażeń, widzieli to samo stateczne towarzystwo, jak spoglądając z lubością na kaczuśki omawia interesy i plotki. Ten obrazek irytował ich i mierzył soczewkowo ostrym, jak się im zdawało, odbiciem wynaturzenia cywilizacji sytej, praworządnej i demokratycznej, o którą walczyli u siebie w Rosji i której pragnęli po obaleniu samodzierżawia. Otrzymanie dyplomów uczcili dłuższą wysokogóorską wędrówką. W dniach cudownych doznań i przygód wśród łąk alpejskich, na szczytach i przełęczach zapomnieli o wszystkim przyziemnym, zetknięcie się po powrocie ze strasznymi mieszczanami nad kałużą z kwakuchami wywołało paroksyzm zadawnionej obsesji – to nie była psota, mówił, rozpacz nas wzięła i furia, musieliśmy się zakraść w nocy do tej sadzawki i ukręcić łby obmierzłym kaczkom... Wybuchł skandal na miarę trzęsienia miasta. Mokra spodnie schnące na balkonie zdradziły sprawców, wykryto ich, świętokradców, nihilistów, lumpów poza wszelką moralnością, i wyrzucono z porządnej, naturę miłującej Szwajcarii. Wyjechali do Ameryki. W ciągu dziesięciu lat, jakie tam spędzili, udało im się dorobić majątku i nazwiska, tak że na wiosnę siedemnastego roku znaleźli się w rozterce. Zbyt wiele zdobyli, by tak od razu rzucić i zaryzykować wszystkim, tu mieli poważną firmę, a w ojczyźnie stan wrzenia i niepewności, poza tym trzymały zobowiązania i roboty, w które spółka ich zainwestowała cały swój kapitał, całą renomę. Czekali aż się rewolucja uciszy, wyklaruje, doczekali się w ten sposób końca wojny domowej, powstania związku republik sowieckich. Brat został a on wrócił, obywatel amerykański, ale Rosjanin przede wszystkim, dręczony nostalgią, morfiną i czymś jeszcze nie zapomnianym z lat socjalistycznej młodości. Powierzono mu budowę giganta, mniejsza o to jakiego, każdy duży nowoczesny zakład przemysłowy wydawał się wówczas gigantem i był w istocie jak na owe warunki przedsięwzięciem gigantycznym – na tej budowie gdzieś w barakach między wsią a lasem Wołkow przeżył rok pracy pioniera, miłość i straszliwą próbę charakteru. Kobieta, którą miał szczęście spotkać i pokochać, powiedziała tak, tylko albo ja albo ona, to znaczy morfina. Od pewnego czasu nie mógł się już obejść bez niej i morfinizował się dzień w dzień, rzucił jednak od razu. Wywołało to szok i zaburzenia, w szpitalu, do którego musiano go odstawić, doradzano leczenie odwykowe drogą stopniowego zmniejszania dawki. Odmówił. Co przechodzi morfinista, kiedy trawi go niezaspokojony głód narkotyczny, tego nie da się opowiedzieć, mówił, nie ma gorszej męki,

byłby zwariował albo się zabił, gdyby nie myśl o wielkiej szansie, nadzieja odzyskania tej kobiety, podobno tylko dzięki niej wszystko zniósł i wyzdrowiał.

- To wasz miodowy miesiąc, prawda? - zastanowił się Kondrapuło po wysłuchaniu tej historii któregoś wieczora, mógł to być drugi czy trzeci wieczór w celi. - Ma pan kochaną żonę, stanowisko i jakieś zasoby, toć musiało zostać jeszcze trochę tych dolarów czy złotych drobiazgów, chyba tak? - wpadliście do Kijowa, żeby się przewietrzyć kulturalnie, porobić zakupy.

- Owszem, skorzystaliśmy z okazji ukończenia pierwszego etapu robót. Wezwano mnie właśnie, by pogratulować.

- Po kiego więc licha zrobił pan antysowiecką demonstrację w teatrze?

- Nie robiłem żadnej demonstracji, po prostu nie wytrzymałem.

- Niech pan przestanie mówić po angielsku, nikt tego u nas nie zrozumie. Co to znaczy nie wytrzymać?! Wariat, powiedzą, a śledczy zacznie szukać centrum.

- Będę się modlił za pana - szepnął Bucenko unosząc w górę pod światło żarówki swe mroczne zapadnięte oczodoły i kredowo bladą uduchowioną twarz ślepego lirnika w obramowaniu płowej brody, po chwili dodał z pewnością jasnowidza: - Pan stąd wyjdzie.

- Możliwe - wtrącił białogwardzista, bo i on przysłuchiwał się rozmowie. - Morfina może pana uratować. Radzę tego się trzymać, byłem leczony w szpitalu, towarzyszu śledczy, niestety, nadal jestem narkomanem, nie pamiętam, co gadałem w teatrze, akurat przedtem sobie strzyknąłem, siódma wieczór to moja godzina.

- Jeśli będzie im potrzebny to uwierzą i wypuszczą z zawieszeniem - zawyrokował Kondrapuło. - Po tym, jak nas *szlopnut*, mogą go zwolnić, nie wcześniej.

Przybył mu drugi, jakby to powiedzieć, nie rozmówca, bo Kondrapuło rozmawiał chętnie z białogwardzistą, ten jednak przez swą ironię i chłód był naturą słabo przepuszczalną, gawędził Kondrapuło i ze mną i bez pobłażliwej sympatii, ale tylko z Bucenko mógł dotąd mówić poważnie, intymnie, z wewnętrznej potrzeby, teraz przybył mu drugi równorzędny partner w oglądaniu ludzi, których badał okiem naturalisty, i świata, z którym się żegnał, partner do wymiany poglądów i doświadczeń osobistych, człowiek bywały, wykształcony, z charakterem, taki, co na nic nie zważając, w dniach swego szczęścia i sukcesów potrafił zawołać, jak wam nie wstyd, towarzysze, pokazujecie w

teatrze siedmiu powieszonych za cara, tymczasem u was tylu skazańców czeka kiedy Krawczuk czy inny *szlopnik* zrobi im dziurkę w głowie... Obaj, Kondrapuło i Wołkow, przypadli sobie do gustu, wkrótce przyzwyczajono się widzieć ich razem, zdarzało się, że w rozmowach przechodzili na angielski. Za pierwszym razem Kondrapuło zrobił ten przeskok mówiąc o swym dziecku, kochanej córce, która regularnie przynosiła mu paczki. Prawdopodobnie, nie wykluczając możliwości wyjścia inżyniera na wolność, chciał przez niego coś poufnego jej przekazać. Ale później, gdy ni stąd ni zowąd zaczęli szwargotać po angielsku niczym nie mogłem sobie tego wytłumaczyć, chyba tylko stroną fonetyczną – sam dźwięk tej mowy, jak zapach, jak dalekie tchnienie, musiał im uzmysławiać najostrej, że istnieje gdzieś dobrze znany kraj wolnej mowy.

Raz po takiej konwersacji Wołkow przejęty, jakby nawet zbulwersowany tym, co usłyszał, zapytał Kondrapuło, czy mógłby mi powtórzyć, Kondrapuło odrzekł, proszę bardzo, to mu nie zaszkodzi, co było gestem pewnej dobroćliwości z podtekstem opiekuńczym.

– Młody człowieku – zaczął z emfazą Wołkow – niech to, czego się pan dowie za chwilę, umocni go w zdumieniu wobec życia, w pozornie naiwnym, a jednak słusznym oczekiwaniu rzeczy fantastycznych...

Do tej pory wiedziałem o naszym staroście tylko tyle, że to Grek z Odessy, mistrz kasiarski rangi międzynarodowej, z dłuższą praktyką za granicą, o czym świadczyły nalepki niemieckie i amerykańskie na jego walizce, oskarżony o udział w obrabowaniu Banku Podolskiego i skazany niewinnie, co do tego wszyscy w celi byli zgodni. Teraz, po wstępie dydaktycznym, Wołkow odślaniał przede mną psyche Kondrapuło, człowieka zwartego światopoglądu i swoistej moralności. Wszystko, co się rusza na ziemi, walczy o życie, o środki do życia, ludzie tak samo, tu także rządzi prawo silniejszego, tylko cywilizacja to ukrywa i maskuje, bo jest dziełem silniejszych, ich obroną i przystrojem – tę nagą prawdę Kondrapuło widzi i postępuje zgodnie z nią. Zdobywanie owych środków od tych, którzy mają je w nadmiarze, wydaje mu się sprawą spoza moralności, ani złą, ani dobrą, po prostu sprawą naturalną. Ma poczucie wartości własnej, potrafi dostać się do schowka w wężownicy z betonu i stali i otworzyć mechanizm sejfu unieruchamiając przedtem cały układ sygnalizacji i zabezpieczenia. W tej nierównej walce posiadacze mogą stracić coś z nagromadzonych bogactw, on natomiast ryzykuje wolnością i życiem, są przecież uzbrojeni po

zęby, oni i ich słudzy bronią złota, kamieni, papierów wartościowych, nie zawahają się go zabić, bezbronnego, z garniturkiem jedynie narzędzi pracy przy sobie. Nigdy nie wyruszał na robotę z pistoletem lub nożem, byłoby to wbrew jego zasadom. Wolno zabierać, nie wolno jednak zabijać dla złota i papierów, tak uważa, tego się trzymał przez trzydzieści lat swej praktyki i reputacji kasiarza suchej ręki. W Ameryce, gdzie, jak się okazało, przebywał w tych samych latach co Wołkow, przyjął raz ofertę otworzenia arcytrudnej szafy ogniotrwałej w domu pewnego bogacza. Na ogół sam organizował robotę dobierając sobie współpracowników, do żadnego gangu nie należał, ale podejmował się niekiedy pracy zleconej z zastrzeżeniem w umowie klauzuli suchego wykonania. Otóż kiedy majstrował przy szafie i wreszcie otworzył, dwaj gangsterzy, którzy wprowadzili go do domu i których propozycję przyjął z tym samym zastrzeżeniem, zamordowali jednak w sypialni właściciela domu i kasy. Dowiedziawszy się o tym Kondrapuło błyskawicznie, nie zdążyli zorientować się w tym co robi, zamknął skarbiec przed nimi. I nie pomogły groźby, że go zabiją, ani usprawiedliwienia się, że nie zdawali sobie sprawy z obecności tamtego w sypialni, musieli, trudno, stało się – Kondrapuło nie ustąpił. Umowa została złamana, więc wycofał się i nie otworzył zatrzaśniętych drzwi.

– To była głośna sprawa, pamiętam, głośna i niezrozumiała, w gazetach czytałem różne domysły na temat tej zagadki – zamordowano w celach rabunkowych – dobierali się do sejfu, sejf, jak wykazała ekspertyza, został otwarty i nic a nic nie ruszono, chociaż było tam pełno pieniędzy, klejnotów i akcji... I pomyśleć, gdzie ja się dowiedziałem prawdy i kogo tu spotkałem!

A na to Kondrapuło:

– Ba, musieliśmy obaj wrócić do ojczyzny i znaleźć się w Apartamencie... Pan przynajmniej coś zrobił, jakąś demonstrację, ale ja?

Wołkow chciał znów sprostować, że nie była to demonstracja, wtem za drzwiami zachrobotało, zgrzytnęło i wszedł Krawczuk, dozorca, tudzież kat, według nowej terminologii, nie ubliżającej godności ludzkiej, *ispolnitiel*, w gwarze więziennej *szlopnik*. Zapanowało grobowe milczenie. Krawczuk omiół wzrokiem Apartament, pobawił się chwilę kluczami napawając się znaczeniem swej osoby w tej niesamowitej ciszy, i wywołał białogwardzistę.

– Tak niezwykle w jasny dzień... – zdziwił się blednąc wywołany i zaczął zgarniać do plecaka swoje rzeczy.

- Bez rzeczy – oznajmił Krawczuk.
- Czyżby jeszcze na przesłuchanie?

Krawczuk nie odpowiedział. Nigdy nie wdawał się w rozmowy, nikomu nie patrzył w oczy, podobno czynił to tylko przed wykonaniem swego zadania – niepozorne widmo sprawiedliwości w rozkroku na krzywych kawaleryjskich nogach, blada twarz nie do zapamiętania, tak pospolita jakby bezosobowa, niskie, spotniałe zawsze czoło z kosmykiem wypływających włosów i ociążała obojętność w całej postaci.

Długo potem cela zgadywała, dokąd Krawczuk go powiódł – jak bez rzeczy, to chyba do komendantury GPU, ale po co skoro sprawę zakończono i pozostało tylko wykonanie wyroku? Do wozowni znowuż było za wcześnie, był dzień, a zawsze dotąd Krawczuk *szłopał* tylko w nocy (*szłopnut* znaczy klapnąć, dać klapsa, uderzyć w coś miękkiego, słowo rozstrzeliwać, zbyt długie i anachroniczne, kojarzy się z procedurą dawnych lat, z kazią nie bez jakiegoś dostojeństwa, ksiądz, spowiedź, mur lub pał na placu, prokurator, pluton egzekucyjny, odczytanie wyroku i temu podobne asocjacje, które nie oddają aktualnej treści – wyprowadzą lub wywloką skazańca chyłkiem gdzieś na beton boksu ze ściekiem i *szłopnik* czyli *ispolnitiel* jednym strzałem go przyklapnie). Roztrząsali sprawę białogwardzisty we wszystkich aspektach i możliwych wariantach, niewiele jednak wiedzieli. Nie był kadrowym oficerem, na wojnę czternastego roku poszedł z rezerwy, potem służył w białej armii, za to przestali już rozwalać. Ktoś dorzucił, że to dziedzic, miał winnice i robił koniaki – też za mało na karę najwyższą, szczególnie teraz przy NEP-ie. Osietrow imputował służbę w żandarmerii i wywiadzie Wrangla, wiarygodność tego podważało wszakże zacierzwienie Osietrowa, wiadzano, komisarz nie cierpi białogwardzisty, wszystko w nim jest dlań antypatyczne, jego humor, samoopanowanie, ogłada, nawet jego nonszalancja wobec śmierci wyglądała w oczach Osietrowa antypatycznie, wrogo, kontrrewolucyjnie, sam skazany za przemyt twierdził, że umiera za ideę, za przynależność do grupy, jeśli mnie pamięć nie myli, Miasnikowa. Kondrapuło mógłby, mam wrażenie, coś wyjaśnić w sprawie białogwardzisty i jego życiorysu, lecz nie uważał za stosowne ujawniać czegokolwiek pod jego nieobecność, ograniczył się do zdania, że prawdopodobnie chcą coś wycisnąć w związku z czymś nowym, może wykryto nieznane dotąd okoliczności i tropy.

Białogwardzista – nie pamiętam nazwiska, choć dobrze go widzę – białogwardzista wrócił odmieniony. Trudno byłoby

powiedzieć, co go tak odmieniło, na pozór był ten sam. Tym samym swobodnym krokiem, jak przed dwoma godzinami, gdy wychodził, przeszedł od drzwi do stołu, wokół którego skupiła się cała cela, wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów zę zwykłą sobie naturalną i nieco powściągliwą uprzejmością, a jednak wszyscy wyczuli w nim symptomy wolności, będzie żył!

- Proszę, częstujcie się, są dobre... Rozmowę miałem na wyższym szczeblu, w rzeczowej i przyjaznej atmosferze, przy koniaku.

- Łżesz! - krzyknął Osietrow, niezachwiana kpiąca pewność siebie białogwardzisty, jego pańskość doprowadzały go do szału, zdawały się tryumfować nad nim, byłym komisarzem, byłym czerwonarmiejcem, rzuconym na pryczę, złamanym, umierającym w zwierzęcym strachu.

- Pan pozwoli, że chuchnę - zwrócił się białogwardzista do Kondrapuła - nasz stróż granicy nie poznałby się, pijał tylko samogon i polską wódkę.

Chuchnął.

- Koniak - stwierdził Kondrapuła. - Więc jakże tam było?

- Zastałem u śledczego gościa z przemysłowych sfer. Słyszeliśmy o was, powiedział, chciałem się upewnić. Wyjął trzy flaszeczki aptecznej wielkości, bez nalepek. Nalał do kieliszka - co to jest? Skosztowałem - Szustow, mówię, rok 1910. Nalał z drugiej flaszeczki - co sądzicie o tym? Bracia Sogomonow, gdzieś w latach wojny... Nalał z trzeciej - a to? - A to ja sam w piątym roku produkcji i to jest najlepszy koniak, jaki kiedykolwiek wyprodukowano w Rosji, możecie mi wierzyć, towarzysze, to moje ostatnie słowo, *morituri te salutant* - gdyby nie wasza rewolucja to by Rosja miała koniak francuskiej sławy, a może i lepszy! Spokojnie, powiedzieli, możemy przecież rozważyć sprawę z obopólną korzyścią. Porozmawialiśmy spokojnie.

- No i?

- Żegnajcie, towarzysze niedoli. Wychodzę. Zgodziłem się poświęcić życie dla dobra, dla honoru radzieckiego koniaku.

Ilekróż zdarza mi się pić ten koniak, widzę owego konesera, co miał zginać z ręki Krawczuka, a rozpułnął się w bukiecie trunku, w znaku na etykietce, gwiazdek pięć.

Po jego odejściu zrobiło się w Apartamencie ciężej i duszniej, jakkolwiek wszystko szło normalnym trybem, to znaczy tak samo rozmawiano, jedzono, wypróżniano się, grano w patyczki, drzemano i spacerowano po celi, najcichszej celi, gdzie nie ma kłótni ani śpiewów, gdzie ludzie dożywają hermetycznie, każdy sam w sobie ze swym światem i zagładą, tu dźwięk głośniejszy

jest niebezpieczny dla nerwów nieco zluźowanych w samopoczuciu *pieredyszki* i odroczenia, jakie daje światło dnia i parę godzin jeszcze do wieczornego apelu. Potem, gdy noc zaczyna pulsować szumem tętna w skroniach, sekundami z wieczności, w Apartamencie tylko sambenici mogą spać. Kładą się czym prędzej nie obawiając się niczego i niczego się nie spodziewając, leżą nieruchomo na sposób owczy w ciągłym ścisisku, jeden przy drugim, trzy parciane worki gołych ciał i wyżętych egzystencji. Wszyscy inni czuwają. A milczenie jest nie do wytrzymania, ktoś musi mówić. Najczęściej, najswobodniej przegadują taką noc perejasławcy. Są wprawdzie po wyroku, ale jeszcze mają przed sobą jedną sesję nadzwyczajną GPU, jakąś nikłą nadzieję, w każdym razie pewność, że dziś nie zostaną wywołani do wozowni. Lubią opowieści nocne, durzące, o potwornych ochlajach, o wyprawach i łupach, wyczynach przebiegłości i gwałtu, o kobietach, jak je brali, jak one dawały, czym się która wyróżniała na ciele i w sposobie, czasem jednak miało się wrażenie iż nie ten stan rozognienia, do jakiego się doprowadzali, ale rozpamiętywanie rzeczy najzwyczajniejszych jeszcze bardziej wskrzesza im przeszłość. Potrafią mówić i słuchać wiele razy wciąż to samo, takie pospolite historie, jak bójka na weselu, spór rodzinny, łowienie ryb na włosek, dobrze uszyte buty, co byś teraz zjadł, święto w naszej parafii lub maść na zochwacenie konia, wszystko jedno co, nie sama historia lecz jej szczegóły, jej banalność i swojskość powodują przeżywanie – o wszystkim rozprawiają, nie słyszałem tylko, by kiedykolwiek mówili o dzieciństwie i o dzieciach... Tak z perejasławcami. Osietrow inaczej. Rozbiera się do bielizny chociaż w celi zimno, i wszystko zostawia w nieładzie. Nakrywszy się z głową udaje śpiącego, ale oddech ma świszczący, po każdym odgłosie z korytarza słysząc, jak przestaje oddychać, widać, że sztywnieje pod kocem, zapiera się, niech go budzą, to się przeciągnie z minutę, potem będzie musiał ubrać się, będzie szukał rzeczy, tu jeden but, gdzieś się zapodział drugi, tam bluza, nie wiadomo gdzie portki, w ten sposób wygra jeszcze parę minut życia... A Kondrapuło, którego również mogą wywołać w każdej chwili, panuje nad sobą i całą, odzywa się niekiedy ze swej starościnskiej pryczy do tamtych w kajut-kompanii i to są zdania umysłu trzeźwego, kpiące lub mitygujące, wdaje się w rozmowy z nami, których ma przy sobie, Bucenko, inżynierem i mną, rozmawia albo milczy z wyrazem znużonego zamyślenia, Sokrates Apartamentu, po stoicku oczekujący zadośćuczynienia woli bogów w brunatno-zielonych *gimnastiorkach*, artysta w swoim zawodzie,

dobry ojciec, dobry towarzysz, człowiek mądry i zaradny, leżący wygodnie przy piecu, na materacyku, pod panięską, od córki, kołderką w niebieskie kwiaty, z ukraińskim ręcznikiem nad głową i walizką obok, upstrzoną nalepkami w obcych językach, dowód tożsamości bogatego życia. Raz tylko wyrwały mu się słowa skargi i słabości:

– Za co oni mnie mordują?!

Nerwy puściły, rzecz zrozumiała, ale nie u Kondrapuła, to wszystkich zdumiało, że starosta tak się rozdygotał, zerwał się raptem z posłania i siadłszy w kucki na piętach drapie się pod rozchełstaną koszulą po kudłatej piersi jak rozwścieczona małpa – za co, kurwa wasza mać?!

Zrobiło się cicho. Osietrow wysadził głowę spod koca.

– Nie zgrywaj się, dobrze wiesz...

– A właśnie że nie wiem! Może ty mi wyjaśnisz. Skończyłem z robotą, miałem dosyć forsy na uczciwość...

Wrócił z Ameryki w pierwszym reklamowanym roku NEP-u, jak to wynikało z tego, co mówił drapiąc się i pryhajac sarkazmem, wrócił spragniony spokojnego dożywocia, zabrał córkę z Odessy, gdzie go nazbyt znano, przeniósł się do Kijowa, kupił mieszkanie i wiódł beztroski żywot rentiera, dopóki nie wydarzył się ten skok na bank podolski, o którym nie musiał opowiadać, wszyscy pamiętali, to był najbardziej bezczelny napad, przyszli w biały dzień w mundurach GPU, zamknęli bank wywieszką o kontroli i wybrali do czysta. Postawiono na nogi cały *ugołownyj rozysk*, tośmy wiedzieli, przetrząsano miasto od carskich wzgórz do Podola z przedmieściami, nie wiedzieliśmy jednak, że wtenczas na Kondrapuła natknął się Samonienko.

– Kręcił się kiedyś przy mnie, lat temu piętnaście, prosił żebym go uczył. Spróbowałem, ale był niezdolny. Nie masz inteligencji ani fantazji, powiedziałem mu otwarcie, idź do wojska albo do urzędu, na diaczka czy na belfra, trudno, musisz być uczciwy... A ten gówniarz wlaź w *rozysk*, inspektor! Mało się nie zesrał ze szczęścia, złapał Kondrapuła, oto sprawca, nikt inny tylko Kondrapuła! Już im tłumaczyłem, towarzysze, zabito milicjantą i kasjera czyli nie mogłem mieć z tym nic wspólnego, znacie moje zasady – nie rozumieli, jakbym mówił do nich po grecku. Ani tego nie wzięli pod uwagę, że w dniu napadu byłem na dacy w Światoszynie. Więc za co, pytam się ja ciebie, ty żeś komunista, za co wy mnie *szlopajecie*? Dlaczego? Żeby Samonienko dostał awans? Żeby GPU miało alibi i pokaz?

– Odczep się! – zirytował się Osietrow – może za wszystkie stare sprawy, za całokształt!

– To carskich długów ekskapitalistom nie płaciecie, a co ja mam u cara i u kapitalistów to uznajecie? Świnie wy, świnie, z taką moralnością do człowieka!

My dwaj, Wołkow i ja, byliśmy podobnie jak sambenici poza strefą wozowni. Wołkowowi w najgorszym razie mogli dać pięć lat, co do mnie to nie wiadomo, jakie zebrano poszlaki i dowody, jaką sżyto karę, w każdym razie nie najwyższą, może zesłanie, a może więzienie, socjalistów za samo czytanie i gadanie jeszcze nie likwidowano, obowiązywała jeszcze wytyczna Lenina „*bierieżno dierżat’ w tiurnie*”. Zdawaliśmy sobie z tego sprawę i domyślaliśmy się, że w Apartamencie mamy tylko skruszeć przed spożyciem w trybach śledztwa. Formalnie rzecz biorąc w aspekcie własnej skóry, moglibyśmy się odwrócić na drugi bok i życzyć sobie w miarę możliwości dobrej nocy, ale nie mogliśmy. Niepodobna wyłączyć się z otoczenia, z atmosfery celi śmierci, niepodobna zasnąć obok człowieka wijącego się jak robak na haczyku w męce nie do wysłowienia, to dręczy niby bliski obłęd czymś koszmarnym, czego nie można sobie uzmysłwić – nie ma słów ani pokrewnych jakichś wyobrażeń na taki stan, gdy głowa obiera się i płonie żywą ropą i na wszystko już się patrzy przez dziurkę w potylicy.

Jeden tylko w Apartamencie czuwał nie przeżywając tego stanu, Bucenko. Oparty o mur siedział na pryczy wyprostowany, martwą twarzą w stronę drzwi, nasłuchując, a słuch miał zrekompensowany na nieludzką miarę, zdawał się słyszeć szelst papieru w kancelarii i Krawczuka gdziekolwiek w gmachu, czuwał całą noc bez lęku, z nadzieją – on jeden pragnął śmierci. Gdyby to było możliwe, dałby w łapę Krawczukowi. Już go prosił, to twoja powinność, Krawczuk, jestem wrogiem władzy sowieckiej, *samostijnik*, paragraf kaer, musisz strzelać przy próbie ucieczki – Ślepy nie ucieka, odrzekł Krawczuk, ja bez rozkazu nie mogę. A rozkaz nie przychodził, agronom Hulaj-Bucenko, członek rady powstańczej, minister Oświecenia w przyszłym rządzie wyzwolonej Ukrainy musiał żyć, musiał na razie żyć osłaniając kogoś, kto przybył ze Lwowa, ktoś z nazwiskiem, nieposzlakowanej przeszłości, nie sposób było mu nie ufać, przyjął go i chował u siebie, pomagał w nawiązywaniu kontaktów, w całej akcji, potem emisariusz zniknął zabierając mu żonę, nastąpił pogrom, wszystko okazało się makabryczną farsą i Bucenko został w roli prowokatora. W ostatniej chwili, ścigany na Rynku Siennym, zdążył strzelić sobie w skroń, kula przebiła nerwy oczną nie pozbawiając życia. Śmierć byłaby już tylko aktem miłosierdzia i jakąś rehabilitacją – zamordowany w

więzieniu GPU mógłby podważyć posądzenia, odwrócić ich kierunek. Wyglądał wyzwolenia pustymi oczodołami zwróconymi w stronę drzwi, siedział na pryczy wyprostowany, gotowy i nasłuchiwał aż do brzasku dnia, kiedy wszyscy zapadali z wyczerpania w rozmajaczone półomdlenie i śnili swe apartamentowe sny. Gdyby rozpacz, bunt, strach obłądny i cierpienia miały zdolność transmucacji na zewnątrz w jakąś moc to by sny jednej naszej celi rozsadziły cały ten gmach.

Perejasławcy doczekali się sesji, tej ostatecznej. Odstawiono ich z powrotem do celi o drugiej nad ranem. Nikt nie zapytał z czym wracają, mieli to na twarzach.

- Bez - oznajmił głucho Miszka, co znaczyło wyrok zatwierdzono bez prawa apelacji.

Jeden wyrok dla wszystkich pięciu z pominięciem szóstego, o którym wiedzieliśmy że istnieje, że było ich szczęście w bandzie, ale tego trzymano osobno, bo sypał i teraz pogrążył do reszty. A był, jeśli wierzyć temu, co mówili między sobą, jak go oskarżali, był drugim obok Miszki przywódcą, inspiratorem wszystkich napadów i morderstw, słuchając ich miało się wrażenie, iż bez niego pozostałoby szajką koniokradów i wiejskich złodziei. Bluzgając klątwami kombinowali gorączkowo do czego by się jeszcze przyznać w taki sposób, żeby zdrajcę pociągnąć za sobą i zarazem spowodować wszczęcie nowej sprawy, co by odwlekło wykonanie wyroku, i jak dać cynk swoim, by wykończyli skurwysyna, jeśli mimo wszystko wyjdzie kiedyś na wolność. Żądza zemsty przyćmiła strach przed śmiercią, a czas czekania na nią skrócono im do jednej tylko doby.

Następnej nocy przyszedł komendant z żołnierzami Czonu, jednostki GPU, i wywołał wszystkich pięciu.

Miszka pierwszy poruszył się na pryczy - deski skrzyknęły, coś się ugięło, zadygotało w ciszy i w nas - zsunął nogi, stanął jak zwykle, wielki, mocny chłop, gotów na wszystko, aż komendant się cofnął, wtem Miszka z wolna postąpił nie bez wysiłku naprzód przestępując próg, nie ten w drzwiach celi, do którego miał jeszcze parę metrów, ale jakiś niewidzialny próg i w tym jednym kroku zmiękł, stracił całą swą drapieżną prężność i twarz, śmierć ścierała już z niej treść życia, rysy łagodniały, odrażający, dziobaty zbój był w tej chwili samą pokorą, z wyrazem zdumionej, niemalże dziecięcej rozpaczy patrzył gdzieś przed siebie bielmowatym wzrokiem gdzieś ponad głowami konwoju w mrok za lufami.

- Do cerkwi, chłopcy...

Nie wiem, co chciał przez to powiedzieć, nie wiem, czy oni

rozumieli, o co mu chodzi, czy w ogóle byli w stanie cokolwiek zrozumieć, jednakże trzech ruszyło za nim bezwiednie nie bardzo pewnym krokiem, jeden został na klęczkach chwytając żołnierzy za ręce, musieli go podnosić i wlec, tymczasem Miszka odwrócił się w drzwiach i powiedział celi, żegnajcie!

– Do widzenia – odszepnął Bucenko, on jeden wierzył w życie pozagrobowe i pobłogosławił ich znakiem krzyża.

Rzucono się potem do krat na oknach, gdzie farba była dyskretnie przetarta, ale takich prześwitujących wizjerków było tylko dwa, zaledwie dwóch widziało ich drogę, jak szli gęsiego przez podwórze do otwartej wozowni, pozostali mogli to sobie wyobrażać nasłuchując, idą, śnieg chrzęści pod krokami, cisza, są już chyba w środku, wierzeje jęknąwszy w zawiasach obracają się, zatrząskują za nimi.

Czas jakiś w celi nie mówiono, może i nie oddychano. Ktoś szepnął, rozbiegają się – Kondrapuło skarcił go spojrzeniem, po co gada, kiedy wszyscy to myślą i widzą.

Później w równych mniej więcej odstępach doszły nas przytłumione odgłosy pięciu strzałów. Odkorkowano pięć butelek.

– *Wsjó...*

Kondrapuło odwrócił się od krat pocierając o spodnie spoczone dłonie. Byłby się położył albo chodził po celi, ale w połowie drogi przystanął. Osietrow siedział na swoim miejscu przy oknie w dziwnej pozycji, podany do przodu, rozczapierzone palce unoszących się w górę rąk konwulsyjnie obmacywały coś, czego się chwyciły, jakby się chciał podciągnąć. Dolna szczeka mu opadła i oczy miał niewidzące jak Miszka, tylko bielmowatość Miszki była matowa, a u Osietrowa płonąca. Zaraz krzyknie albo rzuci się na kraty czy na mur, byłem tego pewien i czułem, że cokolwiek zrobi poszalejemy wraz z nim, będziemy krzyczyć, tłuc się o mury, dusić jeden drugiego, będziemy już tylko kłębowskiem furiatów – na szczęście Kondrapuło doskoczył i trzasnął go w twarz. Osietrow runął na wznak, podniósł się, zakręcił głową, Kondrapuło uderzył jeszcze raz i jeszcze, dopóki bity nie poddał się, nie zaczął łkać z bezradnym bełkotem skarg i wyzwisk.

– W porządku – oznajmił Kondrapuło stojąc nad nim z okrwawioną wciąż czujną pięścią.

Na korytarzu rozległy się nierówne, dobrze znane kroki. Krawczuk szedł do komendanta zameldować *ispolnienie*. Kondrapuło zawahał się:

– A może lepiej byłoby gdybym pozwolił mu zwariować...

Inżyniera wzięto po tym na przesłuchanie. Był już rozpracowany, zebrano o nim wszystkie dane, by rozpocząć indagację

dłaczego wybitny specjalista, któremu władza sowiecka powierzyła wielką budowę i dała dowody uznania, pozwala sobie na antysowieckie wystąpienia? Czy po to wrócił z Ameryki? Wołkow trzymał się linii obrony podsunętej przez białogwardzistę, nie było to wystąpienie, mówił, ale odezwane się, a jakie, nie pamięta, powiedział w zamroczeniu, jest morfinistą, leczyl się przecież w szpitalu, co można sprawdzić itd. Zapewniono go, że to się sprawdzi i odesłano z powrotem do Apartamentu. Kondrapuło wysnuł z tej relacji dobrą prognozę, powinni wypuścić, potrzebują speców i mają na pana haczyk... Istotnie po dwóch dniach Wołkow z nim się pożegnał zamieniwszy parę słów angielskich, prawdopodobnie w sprawie czegoś, co miał przekazać jego córce – nam nie wiedział co powiedzieć, nie znajdował słów na pożegnanie, odchodził chmurnie i śpiesznie, jak gdyby z poczuciem dezertji, kompletnie spustoszony po nocy z Osietrowem, któremu nie dano tych kilku nadliczbowych minut, co sobie rezerwował rozbierając się na wieczornym apelu i rozrzucając wszystkie rzeczy. Przeliczył się, znali się na takich sztuczkach, sami pozbierali co się dało z jego odzieży i wywlekli w bieliźnie. Bił się z żołnierzami wijąc się w ich rękach i krzycząc, na korytarzu już wył, z podwórza buchnęło na miasto tak potworne wycie, że czym prędzej ogłuszono go kolbą i dobito w wozowni.

Nie mówiono o nim później, starano się zapomnieć jego konwulsyjne ruchy i twarz, stłumić w sobie jego niesamowity głos jakby nie z ludzkiej gardzieli, głos obdzieranego na żywo stworzenia, wyjącego z bólu i zgrozy zagłady, oszczędzano się nie poruszając tego w rozmowach, tylko Bucenko raz się odezwał, chrześcijanin, musiał powiedzieć sprawiedliwe słowo pośmiertne – to był kiedyś dobry żołnierz, zauważył, nie brakło mu odwagi, ale czekał tu noc w noc trzy miesiące, każdy może stracić charakter.

Wołkow odszedł po Osietrowie w tym mętym dniu rozkojarzonej przytomności dla wszystkich w celi, gdy poczułem, że kruszeję.

Wywołano potem naszego starostę. Narzucił palto na ramiona, postął chwilę z walizką w rękę przypominając sobie, zdawało się, czy nie zapomniał czegoś, jak to przed drogą, wskazał na swe miejsce przy piecu, gdzie zostawiał przyobiecany mi spadek po sobie, kołderkę, materacyk i ręcznik.

– Ja mu to sprzedałem – oświadczył zwracając się do komendanta i do celi.

Obszedł wszystkich, pożegnał się z każdym za rękę, na

szczęście, po czym oddalił się naturalnie, nie zdradzając lęku ani manifestując swej odwagi i pogardy.

Płakałem po nim i czułem go wciąż przy sobie, i pragnąłem być mocny, jak on.

Na rannym apelu powiedziałem, że nie będę jadł ani pił, dopóki mnie stąd nie zabiorą. Trzy tygodnie już tu siedzę nie wiedząc za co. Żądam posłuchania i aktu oskarżenia.

NIE PODOBAŁO SIĘ WAM NAD MORZEM CZARNYM - PÓJEDZIECIE NAD BIAŁE

Głodowałem dwie godziny i kwadrans.

Śledczy, do którego mnie wezwano zaraz po ogłoszeniu głódówki, był w moim wieku. Nawiasem mówiąc wszyscy moi referenci i sędziowie, poza jednym w Odessie, byli młodzi, z nowych porewolucyjnych kadr GPU. Miało się wrażenie, i to poniekąd kłuło próżność własną, że starsi funkcjonariusze GPU, ze stażem Czeka, co się wyrobili na trudnych i ryzykownych operacjach w walce z kontrrewolucją i bandytyzmem, traktują nasze sprawy, młodzieży socjaldemokratycznej, zbyt lekko, poniżej jakoby ich rangi i godności, i oddają swej młodzieży resortowej w ramach praktyki.

Tak więc mój śledczy w moim wieku, po wyrażeniu ubolewania, że nawet pracy uniemożliwił mu rozmowę ze mną wcześniej, przeszedł do zdumienia i to było fugą jego inwokacji – zdumienie na mój widok w takim towarzystwie! Zdarzały się bowiem wypadki przechodzenia ze związku młodzieży socjaldemokratycznej do Komsomołu, przypadki wyjścia z pobłądzeń na właściwą drogę, ale po raz pierwszy widzi coś podobnego w odwrotnym kierunku! Jakże to się stało, że były komсомолец, były kierownik szkolenia ideologicznego, znalazł się wśród tych epigonów drobnomieszczańskiego reformizmu!

Dość biegle, niemal nie zaglądając do akt, wymienił daty zebrań konspiracyjnych, skład uczestników i niektóre wypowiedzi. Na to ja, broniąc się przed zarzutem konspiracji, zacząłem wyjaśniać, że tu przerabialiśmy materiał do egzaminu

z teorii prawa, a tam bawiliśmy się, to była wieczorynka z okazji dnia urodzin koleżanki itp.

W takim razie, powiedział, jeśli nie macie z nimi nic wspólnego, musicie odciąć się na piśmie i podsunął papier, gdzie stało dosadnie, ja się odcinam, potępiam i piętnuję, wszystko gotowe, tylko podpisać i iść do domu. Bronić się można było już tylko na linii oporu natury moralnej. Mianowicie – to brzmi jak donos, a ja przecież nie znam bliżej tej grupy ani tych ludzi, kolegowalem się z kilkoma z nich i tyle – poza tym podobna deklaracja ideologiczna w więzieniu nie ma żadnej wartości, nikogo nie przekona, ja natomiast będę się czuł paskudnie. Zaczekam, wcześniej czy później i tak mnie zwolnicie przekonawszy się o mojej niewinności, jestem tego pewien.

Rozmawialiśmy w podobny sposób raz i drugi wciąż dookoła Wojtek. Nie miał mnie czym pogryźć i nie miał na to czasu, całą grupę przekazywano GPU Ukrainy w Charkowie, musiał mnie w tym nijakim stanie dołączyć do transportu.

Wyszedłem z Apartamentu nie powiem, że innym człowiekiem, byłaby to oczywista przesada – wyszedłem z obciążeniem jak po ostrej chorobie, dojrzały o całą tę inicjację w poznanie niewoli i śmierci. Wszystkie późniejsze doznania podczas śledztwa w więzieniach Charkowa i Odessy wydają mi się mało ważne, mniej ostro to widzę i nie odczuwam potrzeby rozamiętywania.

W grupie ledwo ten i ów, co mnie znał, okrzyknął po ciemku, uściskał rękę, ledwo stanąłem w szeregu, poczułem się raźniej, odnajdując swe miejsce, poniekąd i godność, bo w Apartamencie już się zaczynałem zatracać. Teraz maszerując pod konwojem w szeregach więźniów politycznych byłem wśród towarzyszy wspólnej drogi, współbraci w oporze i dążeniu. Mroźną gwiezdą nocą schodziliśmy ku miastu na dole i potem przez puste wymarłe ulice w kierunku dworca. Zatrzymano nas pod murami *pieriesyłocznaj tiurmy*, gdzie mieliśmy przenocować. Gdy otworzono bramę i padła komenda, ktoś na czele kolumny, zdaje się Gofman, zarecytował zwolna, wszyscy podchwycili jednym głosem i przeszli na dziedziniec skandując krokami surowy rytm wieszczej strofy:

*Towariszcz, wier': wzojdiet ona,
zwiezda plenitielnowo szczastia,
Rossija wsprianiet oto sna
i na obłomkach samowłastija
napiszet naszi imiena!*

Przypomniało mi się przedwiośnie siedemnastego roku, jak staruszek na placu katedralnym oznajmiając upadek caratu odezwał się do mnie tą zwrotką o gwieździe upojnego szczęścia. I oto po sześciu latach, w bramie więzienia, powtarzam za towarzyszami te słowa, nostalgiczny wiersz Puszkina, co jak modlitwę zmagali dekabryści, pietraszewcy, socjaliści wszystkich odcieni i wszyscy ludzie dobrej woli. Technienie całego wieku walk i nadziei zdawało się owiewać mnie, przepływać przeze mnie, doznawałem czegoś z dawno zapomnianych wzruszeń mistycznych przy komunii i serce biło werblem na apel poległych, na przysięgę!

Staliśmy nazajutrz wyizolowaną gromadką na peronie, omiecioną wokoło pustą zoną lęku i współczucia tłumu poruszających się podróżnych. Czekaliśmy na wagon dla nas, dwudziestu paru więźniów, w tym dwóch starych mieńszewików, Gofman i jeszcze jeden, nazwiska nie pamiętam, przeważnie w wieku osiemnastu, dwudziestu lat z inteligenckich, zasymilowanych rodzin żydowskich, nas nacmenów, mniejszości narodowych, jakżeśmy sami z siebie pokpiwali, było tylko czterech: Szwaro, dobroduszny i ogromny, dwumetrowy student politechniki pochodzenia robotniczego, syn kowala Niemca, ja, Grinia z chemii i Jastrubieckij, początkujący publicysta w prasie związków zawodowych, starszy od nas, miał się właśnie żenić, narzeczona żegnała go dyskretnie z sąsiedniego peronu, nawiasem mówiąc Jastrubieckij dostał się do grupy zupełnie przypadkowo i w Charkowie po wykazaniu całkowitej niewinności został zwolniony.

Ze śpiewem starych pieśni rewolucyjnych ruszyliśmy wagonem aresztanckim z czasów Stołypina. Najniebezpieczniejszy, bo najmądrzejszy z carskich premier-ministrów wszystko co robił w myśl swej koncepcji zachowawczej starał się robić solidnie. Wagon był dobrze okratowany, ale wygodny, z ławkami w każdym przedziale, po udobruchaniu konwoju można było wysadzić głowę przez judasza na korytarz i widzieć głowy wychylone z innych przedziałów, dzięki czemu utrzymywano łączność z całym wagonem. Mogliśmy śpiewać, konwojenci żądali tylko bezwzględnej ciszy na postojach. Wygłaszano przemówienia, deklamowano, od judasza do judasza podawano sobie humoreski i anegdoty, najczęściej byli to Awarczenko, Czechow, Zoszczenko, Sasza Czornyj w swobodnej adaptacji, jak ich kto pamiętał – słowem jechaliśmy rześko, z młodzieńczą werwą i jak na transport więźniarski z niebywałym komfortem.

Za to w Charkowie wydało nam się, żeśmy trafili na katorgę,

ale Gofman zapewnił, iż czegoś podobnego carska katorka nie znała. Stare, ponurej sławy centralne więzienie w Charkowie nie mogło jeszcze przyjść do siebie po generalnym wyciu. Straszliwe przeludnienie, głód, chłód, złodziejstwa i bestialstwa administracji, potworne warunki śledztwa, kiedy setki więźniów trzymano tu miesiącami bez przesłuchania, bez aktu oskarżenia, wszystko to doprowadziło do stanu depresji. Zastrzelenie przez wartownika jednego z więźniów w oknie spowodowało eksplozję. Całe więzienie zaczęło wyć i wyło nieprzerwanie dzień i noc na dwie zmiany w każdej celi, jedna grupa odpoczywała, druga wyła, tłukła i łamała o mur czym się jeszcze dało tłuc, ten ryk paru tysięcy gardzieli i łomot niesamowitej, diabelskiej tłuczarki unosiły się ze wzgórza nad stolicą Ukrainy. Specjalna komisja z Moskwy zabrała się do badania przyczyn buntu, przeprowadziła dochodzenia, redukcje, reformy, udało się jej opanować sytuację, co nieco poprawiło się, jednakże kiedyś tam przybyli więzienie nadal było zatłoczone, nieopalone, haniebnie zawszone i brudne, wciąż miało podły wikt i bałagan. Na domiar złego przemieszano nas z kryminalnymi, zaczęły się kradzieże i scysje, grupa złożyła protest, w sprawę wdała się delegatura Czerwonego Krzyża i uzyskała zgodę na tymczasowe zwolnienie nas wszystkich z rozmieszczeniem po prywatnych kwaterach w mieście, poręczywszy, że każdy stawia się punktualnie na badanie w wyznaczonym terminie. Towarzysze wyszli, tylko ja po kłótni z dozorcą zostałem za karę w lodowni, pojedynczej celi, gdzie lodu było na dwa palce.

Po zwolnieniu musiałem usiąść na kuferek tuż przed bramą, w głowie mi się zakręciło od świeżego powietrza, od blasku słońca i zapachu nagrzonej ziemi, z której schodziły ostatnie lizsaje brudnego śniegu. Było wczesne popołudnie, a przed lokalem Czerwonego Krzyża w śródmieściu stanąłem o zmierzchu, tyle czasu wlokłem się odpoczywając i wypytując przechodniów o drogę. Nie zdawałem sobie dotąd sprawy, jak bardzo osłabiałem. Jakaś kobieta, pamiętam, wzięła ode mnie kuferek i niosła kawałek. Spytała na co chorowałem. Prosiłem, żeby mi oddała, bo jestem zdrów, nie przechodziłem żadnej choroby, w takim razie siedziałeś, odrzekła i nic już nie mówiła, tylko przy pożegnaniu – niech Pan Bóg prowadzi, żebyś tam nie wrócił.

Idąc do naszej matki miłosierdzia, działającej z mandatu zaufania żony Gorkiego, wspieranej autorytetem jej i być może samego Gorkiego, spodziewałem się, że znajdę się w mieszkaniu umeblowanym z surową prostotą, może jeden tylko, ale prześlizgnięty obrazek na ścianie, albo rzeźba, albo kwiat, coś z piękna

wpięte w powagę i ciszę tego azylu, którego prawa nawet GPU z jakichś tam względów uznaje i szanuje, będę mówił z osobą nawykłą do podobnych pojedynczych odwiedzin i rozmów sam na sam, z osobą nieco już chyba zmęczoną przeżywaniem mnóstwa cudzych spraw i losów apelujących do jej zaradności, dyskrekcji i mądrej dobroci. Tymczasem zastałem taki tłum i rozgwar, taką odświętność, że odruchowo chciałem się wycofać z przedpokoju, to nie to mieszkanie, pomyślałem, trafiłem do salonu na jakiś bankiet u nepmanów. Wrażenie – bo tylko o nim mogę mówić, nie mając rozeznania w działalności tej placówki bałbym się wnioskować na podstawie jednego przypadkowego kontaktu – ale wrażenie było szokujące. Raziło zbyt wystawne, niestosowne dla nas przyjęcie, a rozgardiasz i swoboda, z jaką tu rozprawiano między sobą i gośćmi, których osobiście mało kto z naszej grupy znał, to mi się wydało ogromną lekkomyślnością.

Otrzymałem przydział na kwatery u wdowy w drewnianym domku na peryferiach miasta, gdzie mieszkało już trzech towarzyszy. Pokój był duży i umeblowany, ale bez łóżek, spaliśmy na podłodze na siennikach, pamiętam kuchenkę, na której mogliśmy gotować i dziewczątka, uczennice, przejęte naszym losem, obie zdaje się chciały żebyśmy traktowali je poważnie, gotowe rzucić szkołę i pójść z nami na Sybir. Wiem, żeśmy wychodzili na miasto i że nas odwiedzano, był jakiś spór, a może kłótnia, ktoś się śmiertelnie obraził, była zbiórka wszystkich u fotografa i zdjęcie, było wezwanie do GPU, a przesłuchań chyba dwa, wiem, ale nie widzę lub widzę w sposób niewyraźny i oderwany, jakby się coś wynurzało z gęstej mgły – monotonia tych dni musiała potem wszystko omglic. Nawet twarze obydwóch charkowskich rozmówców zlewają mi się z twarzą pierwszego śledczego w Kijowie, tak samo młodzi, skrupulatni, uparci, przerażali na mnie wprawki z jego fugi zdumienia, perswazji, kuszenia wolnością, nic więcej nie umiając czy też nie mając do zagrania, tak że jedynym zaskoczeniem stała się w końcu decyzja, jedna z pierwszych w serii wyroków nad naszą grupą, najłżejsza kara, jaką dano mnie, Lowce i Beli, mianowicie wysłanie pod nadzór GPU nie do Taszkientu, nie do Komi ani Nowosybirsk, tylko do Odessy!

Wyjechałem z Lową, rówieśnikiem moim, w ogóle równym chłopcem pogodnego usposobienia i trochę capiej urody w rudawej karnacji. Od Czerwonego Krzyża otrzymaliśmy bilety i paczkę, a GPU dało nam towarzysza podróży. Z początku, kiedyśmy go rozpoznali, a niepodobna było nie rozpoznać, inwigilował nas bowiem w sposób nachalny i chodził za nami

jak po sznurku, nabijaliśmy się z niego, wetując sobie ten afront, że przydzielono nam tajniaka ostatniej kategorii. Lowa, który miał humor stosowany i lubił nie tyle opowiadać, co robić kawały, założył się, że tego *sieksota* oswoi, *siekretnyj sotrudnik* będzie z ręki jadł. Owszem, brał, póki było co w paczce, potem przymknął oczy, czknął, a teraz wracajcie do swego przedziału, powiedział, my się znów nie znamy... Nie ma na niego sposobu, oznajmił Lowa, to szpicel nowego typu. Odechciało nam się okazywać mu cokolwiek, pogardę czy kpinę, to do niego nie docierało, nic nie mogło go stropić, obrazić ani rozgniewać. Filer, agent ochrony, przynajmniej odczuwał swą plugawość, ale ten lumpen-funkcjonariusz, ostatni w aparacie, chwytacz denny, nabity dumą aparatu, był ponad wszystko i ponad wszystkich poza aparatu.

W Odessie prosto z dworca poszliśmy nad morze. Dzień wypadł chłodny i sztormowy, na plaży Lanžerona nikogo nie było prócz nas dwóch i naszego tajniaka, który stał na wietrze w pewnym oddaleniu i musiał patrzeć na wzburzone fale, póki myśmy stali zapatrzeni, zasluchani, zafascynowani. Udaliśmy się potem do GPU w ogromnym gmachu na wprost plaży i po godzinie wyszliśmy z podstemplowanym dokumentem, z perspektywą swobody ograniczonej w poniedziałki, o czym poinformowano nas zwracając papiery, możecie sobie mieszkać i żyć jak się wam podoba, tylko musicie meldować się u nas co poniedziałek o dziewiątej.

I bylibyśmy sobie żyli jak wszyscy w tym mieście otwartym na morze i stepy, i oddychali południowo-portową specyficzną odeską aurą z jej cwaniactwem i kpiną, humorem i liryzmem, i dziękowalibyśmy naszej charkowskiej opatrności za łaskawą zmianę klimatu, gdyby nie te poniedziałki! Czy ci stażyści z GPU, co dostali nas w swe ręce, nie mieli nic innego do roboty w owym czasie, czy tacy już się urodzili gorliwi i pedantyczni, mniejsza o to, zachowywali się jak szczeniaki na pierwszym tropie w pierwszym polu bez starych ogarów, rwali się do nas i obskakiwali na różne sposoby, pojedynczo, we dwójkę i całą sforą na jednego, raz groźnie, ze wszystkimi szykanami śledztwa, z protokołowaniem wszystkiego, przetrząsając sprawę od początku i klucząc z nami w gąszczu poszlak czyhali na dowód niezbity, to znów któryś z nich, zdradzając niby to rozstrój dostojewski w pracy śledczej, siadał nieoficjalnie na biurku lub na parapecie i odzywał się poufale, niemalże serdecznie, porozmawiajmy swobodnie, chcę was przecież zrozumieć – to było najgorsze, swobodna rozmowa w GPU czyli chodzenie po kru-

chym lodzie, godzina za godziną, z pozorną lekkością niby tak sobie, raz tu raz tam, albo w kółko aż do wyczerpania, cały czas z napiętą uwagą, żeby się nie zdemaskować jakąś repliką i nie wypaść z roli, jaką się obrato. Lowa grał ciemniaka z rzemieślniczej rodziny, a ja poetę, nie bez znajomości *politgramoty*, rozumującego jednakże w kategoriach estetycznych, moralnych i nastrojowych. Szczęściem, spośród tych kilku młodych, ciągle zmieniających się rozmówców naszych żaden nie wybijał się inteligencją ani rutyną zawodową, myśleliśmy, że wygramy z nimi, zwolnią nas w końcu z nadzoru, musimy tylko trzymać się naszej niewinności i poddawać się obróbce ideologicznej, ciągle czegoś nie rozumiejąc, coś kwestionując i to bynajmniej nie z pozycji socjaldemokracji, niech nas dalej przekonują, straszą, męczą, dręczą, zanudzają... I tak co poniedziałek od dziewiątej do trzynastej albo i do czternastej, jak nie badaniem to gadaniem, nie szczuciem to uczuciem maglowano nas do siódmego potu. Za każdym razem po wyjściu z GPU szliśmy czym prędzej nad morze, by się opłukać i odetchnąć do następnego poniedziałku.

Dzieci i żony aresztowanych mieńszewików tworzyły w Odessie dość liczną i zżytą rodzinę. Dzięki pomocy młodzieży z tego getta znaleźliśmy się w przyziemiu u pary starszków niedaleko Pieresypia w obszernym, ciężko umeblowanym i ciemnym pokoju z oknami na poziomie chodnika. Z początku mieszkaliśmy we dwójkę i zaczęliśmy zarabiać, Lowa jako trażarz, a ja jako stenograf. Potem przybyła Bela. Zrobiło się u nas schludnie, przyjemnie, domowo, odwiedzali nas przyjaciele, ta młodzież, Odessa z dnia na dzień stawała się bliższa i miłsza, wygnanie zapowiadało się ponętnie, wtem zarobki nam się urwały. Cokolwiek zdołaliśmy sobie wyszperać i gdziekolwiek przychodziliśmy, wszędzie mówiono niestety, jak gdyby złśliwe fatum szło przed nami i zdmuchiwało wszystkie możliwości pracy. Dla mnie jak i dla Lowy perspektywa głodnych dni nie była czymś nowym ani zatrważającym, ale komorne, ale Bela... Bela budziła w nas tkliwość i opiekuńcze instynkty, nie mogliśmy dopuścić do tego, by przy nas głodowała.

Dano nam znać, że mamy opiekuną w osobie doktora N., powinniśmy go odwiedzić w gabinecie pò przyjęciu pacjentów. Poszliśmy tam i Bela spiekła raka przeczytawszy na szyldziku dr N, specjalista chorób wenerycznych. I do tegoż jeszcze starsza pani na jej widok jęknęła, bo kiedyśmy tak stali na klatce schodowej przed tymi drzwiami o zapachu aptecznym, ja z Lową i Bela między nami, to jakieś niemłode przedrewolucyjne

małżeństwo schodząc w dół minęło nas z wyrazem niewymownej zgrozy i potem usłyszeliśmy oddalający się jęk tej pani, Boże, toż to jeszcze dziecko... Bela wprowadzi ukończyła osiemnaście lat, ale wyglądała na piętnaście, taka malutka i wzruszająca swą dziecięcophiligranową ślicznością.

Uśmiech na ładnej buzi fertycznej pokojówki, która nam otworzyła, całkiem nas speszył, z przedpokoju do gabinetu przeszliśmy wszyscy troje zaczerwienieni po uszy i rozdrażnieni.

Doktor, różowy brunet w pełni wieku męskiego, przyjął nas z wylewną serdecznością, wypytał o sprawy, o sytuację, potem gdy pokojówka w mieszkaniu za ścianą nakryła do stołu, zaprosił na kolację, jej obfitości i smakowi Lowa złożył dowody uznania, jadł za trzech, mnie i Beli wszystko tu się kojarzyło w kontekście wenerycznym, nie mogliśmy jeść myśląc o gonokokach i krętkach białych. Nasz opiekun zainteresował się tym, komu nas przekazano, kto z nami rozmawia w poniedziałki, ale dokładnie nie wiedzieliśmy, było ich kilku i nie przedstawiali się nam – szkoda, zauważył doktor, może mógłbym coś zrobić, znam wielu z GPU, to mój rezerwat wdzięcznych pacjentów... Z pewnością ich miał, mógłby, zdawało się, leczyć samą swą obecnością, siłą witalną, jaka z niego emanowała, zdrowy i apetyczny, jak łoś, reklamowy, prosperujący w optymizmie.

Bela po wyjściu na ulicę powiedziała, nie podoba mi się, więcej nie przyjdę i w ogóle nie powinniśmy przyjmować od niego pomocy. Lowa na to, czego fukasz? Był kiedyś w partii, wystąpił, uczciwie mówi, że nie nadaje się na męczennika, ale sercem jest z nami, zbiera składki i sam chyba najwięcej daje.

– Bo nie wie, co robić z forszą!

– Dobrze, ale nic go do tego nie zmusza, on jednak daje.

– Owszem, jak lichwiarz na klasztor... Wystąpił! Socjalizm to nie wojsko, to wiara i jakiś program życia, jakiś sposób życia, z tego nie można wystąpić, można tylko zdradzić!

– Wiesz, mnie się wydaje, że gdyby to był internista albo chirurg widziałabyś go łaskawszym okiem...

Tłumaczył Beli, jak bardzo jest drobnomieszczańska w swym osądzie chorób wenerycznych, tu nie ma co wybrzydzać ani potępiać, to żadne nurzanie się w rozpuście i nie skutki zadawania się z prostytutkami, po prostu nieszczęśliwy wypadek, choroba jako taka, można kochać najczystsza miłością i dostać trypra, można zarazić się zachowując niewinność, przecież nawet dzieci miewają lues itp., i ja się z Lową w zasadzie zgadzałem co do konieczności traktowania tych chorób jako takich, tylko ogromnie ich się brzydziłem i wenerolog w moim odczu-

ciu, wbrew uświadomieniu, wyglądał jednak mniej godnie, lekarz posledniejszej kategorii, a ten nasz razit zmyslowa afirmacja życia wraz ze swym „rezerwatem” i niepokoit pokojką, skąd wziął tak piękną, inteligentną i dobrze wychowaną dziewczynę? Czyżby ją kupił w dwudziestym drugim roku kiedy ludzie marli z głodu, mordowali się i sprzedawali, gdyby wtenczas istniał targ niewolników, to by po miastach tłumy, nie wyłączając inteligencji, ofiarowywały się w niewolę za chleb powszedni, za miskę soczewicy...

Słowem wracaliśmy z uczuciem niesmaku po tej wizycie, pierwszy raz poróżnieni, Bela zarzucała Lowce bezpryncypialność, Lowa Beli naiwność i skrajny dogmatyzm, ja przy próbach mediacji obrywałem od nich obojga, i tak idąc już po zmroku jedną z głównych ulic Odessy, Deribasowską, natknęliśmy się na *bezprizornego*. Spał pod drzewem, dokładnie między platanem a porzuconym kotłem smołowym. Powiedziałem coś z przekąsem o takim ustroju, w którym hasają samopas stada zdziczałych dzieci – Bela obruszyła się na mnie – skrytykowałeś i idziesz sobie dalej, a może byś się zajął tym dzieckiem?! Wtedy zawróciłem. Przebudzony chłopak zaczął się szarpać, trzymałem go jednak i uspokajałem, żeby się nie bał, pójdziemy nie na milicję, ale do nas, naje się tam do syta i wyśpi wygodnie w łóżku. Dał się w końcu przekonać, poszliśmy za Belą, głosem naszego sumienia, naszą malutką pryncypialistką, drobiażką szparko i zdecydowanie z lekuchnym potrząsaniem kasztanową grzywką przy każdym kroku.

Pożyczywszy od gospodarzy balię do prania wyszorowaliśmy naszego bradiazkę, nakarmiliśmy, zasnął czyściutki na sienniku pod kocem w czystej nocnej koszuli, którą nazajutrz musiał nosić cały dzień chodząc po pokoju, bośmy jego łachy wyrzucili, a jakieś ubranie dlań udało nam się skompletować w drodze zbiórki po przyjaznych domach dopiero pod wieczór.

Po paru dniach nabraliśmy przeświadczenia, że dobrze się u nas czuje, że się oswaja i zostanie z nami, jak tego pragniemy, nasz Wania, nasze dziecko. I może tak by się stało gdyby pewnego wieczora kiedyśmy wracali znad morza nie zobaczył go jakiś koleżka i nie gwizdnął. Smagnięty tym zbójnickim czy cygańskim gwizdem Wania skulił się i posmutniał – on chyba nie wytrzyma i pójdzie na ten zew – pomyślałem wtedy, i rzeczywiście w nocy wymknął się przez okno, odkroiwszy sobie przedtem pół chleba na drogę. Zegarka ani pieniędzy na komo-dzie nie ruszył.

Wkrótce potem Lowa zachorował na tyfus brzuszny, praw-

dopodobnie w wyniku nadmiernego oszczędzania. Nadeszła pora zbiorów, wolnych zbiorów dla bogatej Besarabii, rolnictwo nie było jeszcze wtenczas upaństwowione, chłopi nie byli jeszcze wywłaszczeni, zamknięci w kołchozach i sowchozach, wolno im było poruszać się, mogli sprzedawać swe plony. Z okolicznych basztanów i winnic wozami, trakcją konną i wołową przybywały do Odessy, potokowo rozchodziły się egzotyczne dla nas owoce i warzywa. Zafascynowani ich obfitością, ich taniością, ulegaliśmy łakomstwu, tym bardziej, że było finansowo jak najbardziej uzasadnione. Arbuz lub melon, funt winogron i pajda chleba dawały złudzenie poobiedniej sytości, a kosztowało to mniej niż obiad. Szczególnie Lowa oszczędzał w ten sposób i dlatego chyba poszedł do szpitala.

Czas jakiś mieszkaliśmy sami, Bela i ja, potem ojciec przysłał jej z Białej Cerkwi, a może z Humania, adres jakichś powinowatych w Odessie, otóż cały czas, zanim Bela przeniosła się do nich, gospodarowaliśmy razem i żyliśmy jak dobre rodzeństwo, tak jakoś powiedziałbym, naturalnie, gdyby to było czymś naturalnym.

Powiedzmy taki wieczór. Ja wracam z miasta, a ona się myje. Przechylony przez żelazną barierkę przy oknie widzę w dole, półtora metra niżej chodnika, oświetlony pokój i jej gołe plecy nad miską, głowę w mydlinach, ślepe, nieporadne, jak mi się wydaje, drapanie się po głowie, czekaj, wołam, zaraz ci pomogę... I włożę przez okno, wykorzystując jak zwykle w pilnych sprawach bezpośrednie połączenie pokoju z ulicą. Bela wyprostowuje się, stoi owinięta tylko ręcznikiem wokół bioder, bezradna, w postawie niewidomej, bo mydło dostało się do oczu i szczypie, a dłonie, zastaniające piersi, są zajęte, podaje mi twarz, żebym otarł oczy, ocieram, nachyla głowę, myję, widzisz, że potrafię, czasem wyręczałem mamę przy Tani, kiedy Tania była malutka... Jest nam dobrze z tym jak jest. Mógłbym ją wykąpać i tak samo siedziałbym potem przy niej, popatrując z przyjemnością na prześliczną różową mordkę w pościeli, na komiczny nosek, którym gdy węszy coś śmiesznego porusza, jak królik. Rozmawiałbym tak samo jak teraz, opowiadając zmyślane historie zamiast tego, by powiedzieć, gdzie byłem naprawdę, skąd wracam i co mi się wciąż jeszcze widzi – w przedpokoju u Niny zobaczyłem na wieszaku czapkę i szablę, usłyszałem obcy głos, cofnąłem się więc do kuchni ogromnie zaskoczony, Nina unika przecież ludzi, nikt u niej nie bywa, może GPU robi wywiad, po co tu przychodzę? Potem, gdy ten ktoś poszedł sobie, Nina powiedziała: wiesz, oświadczył mi się.

Kto? A ten żołnierz, mój kuchcik... Co za kuchcik? Otóż kiedyś, lat temu piętnaście, służył u nich w dragonach przy Kolei Wschodnio-Chińskiej, był ordynansem, teraz jest dowódcą brygady. Nie wiadomo w jaki sposób odnalazł Ninę, ale już dwa razy przychodził z kwiatami na wspominki o dawnych mądzkich czasach, a teraz wyznał, że zawsze szanował ją i podziwiał, i prosi, żeby wysłała za niego, tak to sobie uprościł, wdowa po rotmistrzu zostanie gienieralszą, awans można powiedzieć... Śmiała się, nie zdziwiłbym się jednak, gdyby się rozpląkała z upokorzenia.

- Kobiety należą do zwycięzców, a już na szwaczkę wystarczy tylko kiwnąć. Nie warto o tym mówić, chodźmy mój *malczyk*, mam chęć na Razdumje.

To taki skalisty cypelek nad morzem, jedzie się tam tramwajem do pętli, a potem jeszcze kawałek piechotą na przełaj, Nina zna to miejsce z dzieciństwa, tramwaj wtedy nie chodził, przyjeżdżała z rodzicami powozem na pikniki, piknikami nazywała te patriarchalne i szumne konwentykle rodzinne, ciekawe, że po wielu, wielu latach, gdy miastem rządzą nożowcy i złodzieje, a ona umierała na cholere, sama jedna w drewniaku, bo ludzie puciekali bojąc się zarazy, bali się zresztą wszystkiego, zarazy, głodu, ognia, każdego człowieka i wszelkiej władzy, w tych dniach opuszczenia i konania, między odpływem a przyływem czucia, na fali półprzytomności, widziała ich wszystkich, ojca, matkę, rodzeństwo, wujostwo i dziadków wokół ogniska na tym cyplu, bujał się i płynął w bryzgach piany jak legendarna brygantyna, którą jej dziadek przybył kiedyś z Grecji do otwartej, wolnościowej Odessy-Mamy, Odessy porto-franco – potem wszystko zapadło się na długo, aż poczuła piekielny ból w kostce, jacyś dwaj w maskach i skórzanych fartuchach ciągnęli ją za nogę na linie do platformy z trupami, jęknęła, a ocknęła się w szpitalu. Było po kryzysie i po wszystkim, epidemia cholery na mieście wygasła i nie było już białych ani czarnych, panowali czerwoni, rozstrzeliwano *urkanów*, reszta mętów z Mołdawanki poddawała się lub umykała, wtaczał się nowy ciężki porządek, ale porządek i ze wszystkich strachów został ludziom tylko jeden, bali się Czeka – to było jak szyderstwo, jak kara najwyższa, taki powrót do życia, którego nie pragnęła, w którym nie znajdowała śladu poprzedniej swej egzystencji ani sensu obecnej, poza pielęgnowaniem grobów męża i syna.

Pierwszy raz tyle mówiła o sobie, przegadaliśmy na tym wypalonym po ogniskach miejscu do wieczornej bryzy, stężałe morze dzwoniło o skały brązem zachodu i zmieniła się warta na

cyplu, już drugi pogranicznik pilnował brzegu przed dywersją od strony Konstancy i Bosforu, na bagnecie jego migotały jeszcze czerwone krople zorzy, kiedy przypomniał, że trzeba odejść, od zmroku przebywać tu nie wolno. Poszliśmy z powrotem do tramwaju, cieszyłem się z udanego dnia, Nina dobrze się czuła, młodniała, widziałem, jak wzrok ludzi w tramwaju przesunął się po mnie zatrzymuje się na niej, tak gustownie, niemal elegancko ubranej, chociaż wszystko, co ma na sobie, sama uszyła, skromna i pańska zarazem, o nie dającym się określić a jednak odczuwalnym powabie starannego wychowania, w całej dojrzałości swej nieprzeciętnej południowej urody, jedna z tych wspaniałych kobiet, co żyją we wspomnieniach starszych i na portretach w galeriach, spojrzenia współpasażerów mówiły, *eto dama, nastojaszczaja dama...*

W miarę zbliżania się do domu traciła werwę, jakby matowiała wpadając w łagodną melancholię, przy bramie jednak ożywiła się i dziękując mi za Razdumje ucałowała na dobranoc z czystego odruchu, ma się rozumieć, byłem jej najbliższy, może ostatni z rodziny, siostrzeniec męża, chłopiec trochę tylko starszy od syna, i nikim innym dla niej być nie mogłem, sam zresztą w zamęcie uczuć nie potrafiłbym określić, kim ona jest dla mnie, adorowana i nieosiągalna, pani serca, Beatrycze, śmiech powiedziec, w siódmym roku władzy robotniczo-chłopskiej, w dobie industrializacji, grubego materializmu, proletkultu i Kuźnicy, Beatrycze?! Lowa nazwałby to głupią historią i mógłby zwulgaryzować nazbyt już prostym pojmowaniem miłości, w oparciu o własne dość jednoznaczne przypadki. Więcej zrozumienia i współodczuwania spodziewać by się należało po Beli, wprawdzie nic się nie znała na tych sprawach, nie weszła w ich orbitę, ale miała intuicję i tajony romantyzm, mogłaby zarezonować. Tylko że z nikim, a tym bardziej z Belą nie potrafiłbym mówić o tym, co mnie spotkało, gdy pewnego dnia poszedłem na chybił trafił pod stary sprzed wielu lat adres wujostwa w Odessie i znalazłem jedną ucałatą z całej rodziny krewną...

Tak oto po owym mcyiu włosów rozmawiamy o wszystkim i o niczym, spoglądam na Belę ni to z żalem, ni to ze skrucą jak po zdradzie, taka miła, taka śliczna, mógłbym ją pokochać i gdybym się nawet kochał w niej nieszczęśliwie, bez wzajemności, byłoby mi lżej i prościej aniżeli teraz z tym jakimś wynaturzonym, niemal kazirodczym uczuciem do Niny, ściśle mówiąc do ciotki Niny, kobiety czterdziestoletniej, pamiętającej mnie jeszcze z Białowieży w króciutkich majtaskach, tak dobrej, pięknej, dumnej i tak okrutnie doświadczonej przez los, że nie

powiniennem wstydić się stanu oczarowania i adoracji, w jakim się znajduję, raczej braku pokory niekiedy wobec tego stanu łaski. Wyrwa mi się czasem jakiś melodyjnie bzdurny erotyk w stylu mego imiennika Siewierianina:

*Ja nyncze moriem pjan i wami,
ja waszej blizostju kak moriem opjanion...*

Tak więc żyliśmy w owej dobrotliwej zsyłce nad ciepłym morzem u dniestrowych limanów, co poniedziałek GPU, poza tym na wolności pod dozorem, z prawem pracy formalnie, ale realnie bez pracy, traktowani na równi z liszeńcami, pariasami pochodzenia szlacheckiego lub przez nieszczęście posiadania bogactwa w przeszłości. I może byśmy naznaczeni wygnaniem, wyobcowani tu, egzystowali w ten sposób długie lata z dnia na dzień, tymczasowo i hermetycznie w ciasnym kółku, i doczekali się kiedyś amnestii w nagrodę za karność, za rozsądek, gdybyśmy byli rozsądni i karni.

A nie byliśmy. Pierwszy podmuch poderwał nas i rzucił na płask, wszystko razem trwało niecałą dobę. Zaburzenia na Birży Truda zaczęły się gdzieś koło południa, wieczorem pisaliśmy już ulotkę, a nazajutrz rano rozebrani do bielizny siedzieliśmy pod kluczem.

Tylko strzały z przyrzutu naprawdę się liczą, mawiał wuj Stefan mając na myśli postępowanie i czyny z odruchu. Nie chcę przez to powiedzieć, że nasza bezwiedna natychmiastowa reakcja na wydarzenia przed Birżą była słuszna i celna, ale że była jak najbardziej właściwa i charakterystyczna dla nas w 1924 roku (mówię o sobie i Lowie, który akurat przed dwoma dniami wrócił ze szpitala, Bela mieszkająca już u krewnych przypadkowo nie była z nami w tłumie, potem uznaliśmy, że właściwie nie ma potrzeby wciągać do tego i narażać jeszcze Belę, zrobimy to bez niej). Otóż kiedyśmy podążając za wszystkimi stanęli na placyku przed budynkiem biura pośrednictwa pracy i dowiedzieli się we wzburzonym tłumie, co się stało, mianowicie jeden bezrobotny przemówił z balkonu i zabił się i teraz milicja chce zabrać trupa, a bezrobotni nie dają, to myśmy to przeżyli na miarę porażenia. Właściwie byliśmy rażeni, można tak powiedzieć, trudniej wytłumaczyć, a trzeba. Bez tego rodzaju przedziwnych zdarzeń i odruchów nie czuję się w czasie.

Nie czuję się na przykład w pierwszym roku NEP-u bez pewnej scenki w piwiarni. Cały ten okres bowiem otwiera mi się

w nastroju przygnębienia, przy pierwszym piwie sowieckim, które dla nas jest dowodem rzeczowym klęski i wstydu, pijemy w ponurym milczeniu gorzki smak zagryzając słonymi precelkami – oto ruszyły browary, lada dzień ruszą i gorzelnie pędząc alkohol socjalistyczny! Z oddalenia scenka ta wygląda zabawnie i wymaga komentarza dla widzów. To nie parodia stypy ani szczeniacka zabawa w demonstrację, ci młodzi, proszę państwa, naprawdę cierpią z powodu nowej polityki ekonomicznej, trochę wyrozumiałości dla ich wieku, mają dopiero osiemnaście lat i są wychowani ascetycznie w ideałach nowego ustroju, w nienawiści i pogardzie dla przeszłości. „Elementarz komunizmu” biorą dosłownie i pamiętają stronicę, gdzie się piętnuje haniebne praktyki caratu z wyzyskiem i rozpijanem mas ludowych. Proszę też zwrócić uwagę na moment, kiedy dokonują owej degustacji pierwszego piwa, jest to jednak moment krytyczny dla nich i dla historii – kończy się rewolucja, w której brali udział, zaczyna się polityka, której nie rozumieją i obawiają się instynktownie, jakąś młodzieńczą intuicją czy wrażliwością wyczuwając coś niedobrego, co się zresztą później sprawdzi, jeden z nich rozpije się, drugi zginie w łagrach, trzeci będzie siedział i umknie za granicę, a w ogóle jeśli chodzi o ideały i zasady, to będą się działy stokroć straszniejsze, mówiąc eufemicznie, wypaczenia i błędy, tu nie ma nic do śmiechu...

Jeśli tak przeżywaliliśmy inaugurację wyszynku, to cóż dopiero rozruchy pod Birzą Truda! Co prawda przez te trzy lata posunąłem się w procesie oporu i negacji, byłem wysiedlony, oddany pod nadzór GPU, już nie wierzyłem w drogę do komunizmu podług „Elementarza” Bucharina. Ustrój sowiecki w moim mniemaniu cierpiał na różne braki i schorzenia i w coraz mniejszym stopniu był władzą robotniczo-chłopską, ale w jakiejś mierze jeszcze był. Słyszałem o niejednym konflikcie między partią a rządzonymi chłopami i robotnikami i domyślałem się od dawna, że to wady organiczne, antagonizmy w samym systemie, a nie lokalne zatrucia mas propagandą i działalnością band kontrrewolucyjnych, według wersji drukowanej z wymyslaniami pod adresem wściekłych psów imperializmu. Co innego wszakże słyszeć lub wiedzieć, a co innego przeżywać osobiście (kara śmierci, rozstrzeliwania – czym to było dla mnie przed Apartamentem i po nim!). Gdybym się był dowiedział, że jakiś bezrobotny zabił się z rozpaczy i w Odessie doszło do zamieszek, do starcia tłumu z milicją, to by mnie to do głębi poruszyło, nie na tyle jednak, żebym się zapomniał i zaryzykował całą moją uszczuploną wprawdzie, nadzorowaną, ale bądź co bądź

spokojną egzystencję, tymczasem ja ten konflikt ujrzałem na własne oczy i byłem w tym tłumie oszalałym z gniewu, doprowadzonym do ostateczności, w tłumie ludzi oszukanych, wciąż cierpiących nędzę i głód, dotkniętych niesprawiedliwością i drażnionych czerwono-ckliwym frazesem, wraz z nimi nacierałem na urząd, na biurka, teki, kartoteki, papierowy ład, na cały zdiablony komunizm, wraz z nimi cofałem się potem, wyjął „*wstawaj proklatem zaklejcionnyj...*” i skandując wyzwiska, zgrzany, nieprzytomny, dławiony beznadziejnością i sarkazmem, że wszędzie tak się dzieje, ludzie znoszą biedę, wyzysk, bezrobocie, czasem są bici, niektórzy sami się zabijają, w Odesie jest prawie jak za granicą, tylko tam, gdzie biją, to wolno przynajmniej krzyżeć, a gdy krzywdzą i wyzyskują wolno stawiać opór, strajkować i straszyć pochodem z czerwonymi flagami...

Nie mogąc tego wykrzycheć zabraliśmy się do pisania i w ciągu paru godzin zdążyliśmy, omawiając tragiczne wypadki, wyłożyć tezę główną: w działaniu społecznym decyduje nie żywioł, ale organizacja, cytat z Marksa; teza druga, wspierająca, bez swobód obywatelskich, bez prawa do obrony swych interesów, do oporu w postaci strajków i demonstracji, w warunkach policyjnych, z dala od demokracji i kultury, proletariatu nie zdoła zwyciężyć w rewolucji, cytat z Plechanowa, potem aktualne przypomnienie, robotnicy i socjaliści wszystkich krajów zawsze walczyli o autentyczne, silne, niezależne związki zawodowe, nawet bolszewicy z Opozycji Robotniczej zrozumieli to po doświadczeniach pierwszych lat sowieckich i domagali się niezależności związków zawodowych od partii i rządu. Wszystko razem, z mobilizującą uczuciowo puentą w zakończeniu, na trzy czwarte stroniczki.

Wieczorem, po przyjęciu pacjentów przez naszego opiekuna, do późna w nocy przepisywaliśmy to przez kalkę na jego maszynie w kilkudziesięciu egzemplarzach. Z rana, ledwo ludzie zaczęli się schodzić na placu przed Birżą, jużśmy tam byli i zaczęli dyskretnie rozdawać. Przy tym zajęciu nas wzięto. Przywieziono do GPU, zrewidowano, rozebrano i zamknięto na ostatnim piętrze w ślepej celi o zabitych deskami oknach.

Leżeliśmy na gołej pryczy z poczuciem spełnionego obowiązku, przytomniejąc coraz bardziej po tym, co się stało, i wszystko mając za sobą, *praszczaj krasawica Odessa, stolica nieznajna poetów i worów* – biała cisza była przed nami, spokój tundry w feerycznym blasku zorzy podbiegunowej, a może długie lata w kamiennym pudle, Lowa mógłby się jeszcze bronić, nic

przy nim nie znaleziono. Ma się rozumieć nie stanowiło to dowodu niewinności, sama obecność na placu w tłumie zbuntowanych kompromitowała i obciążała, formalnie jednak, póki nie dojdzie do konfrontacji z kimś, komu dał choć jedną podburzającą bibułę, puste kieszenie pozwalały na jakieś ruchy uskoku w walce ze śledczym – ja takiej możliwości nie miałem, z moich kieszeni wyciągnięto kilka nierozdanych jeszcze ulotek, fakt niezbity i miażdżący, pozostawała mi tylko bezwzględna kapitulacja, nie wykręcać się, nie oponować, raczej wszystko brać na siebie, by złagodzić w ten sposób wyrok na Lowę i całkowicie wyłączyć Belę ze sprawy.

W ciągu tygodnia kiedy trzymano nas w tej celi penetrując nasz pokój, nasze znajomości, całe nasze odeskie życie z przyległościami, miałem dość czasu na trzeźwą ocenę sytuacji. Wypadła fatalnie. *Niedriemluszczeje Oko* nigdy już nie puści mnie na wolność, nie ma mowy, w łagrach czy w więzieniu będę miał zaszczytny i przedwczesny zgon. Nadziei, by się z tego wywinąć, nie było żadnej. Chyba że – to nie była nadzieja, ale takie sobie rozkoszne marzenie – chyba że znalazłbym się w domu, gdzie zaszyły okropnie sprzyjające zmiany i okoliczności, a w domu znalazłbym się dlatego, że *Niedriemluszczeje Oko* chciało mnie widzieć w Kijowie i byłoby przy tym absolutnie pewne, że jestem ruiną w i żaden sposób wymknąć się nie mogę itp., czyste fantazje, którym z początku pozwalałem nawiedzać i koić biedną wyobraźnię w pułapce, ale pewnego razu pomyślałem sobie, a może? Niczym przecież nie ryzykuję, i odtąd już w układanych scenkach spotkania ze śledczym zacząłem rozważać na serio ten wariant kapitulacji nastawiając się na ruinę.

Oddano mi w końcu ubranie i poprowadzono w dół na pierwsze piętro odeskiego GPU, tym razem nie do owego przechodniego pokoju, gdzie maglowano nas co poniedziałek, ale dalej labiryntem ciemnych korytarzy do nieznanego gabinetu. Na widok człowieka za biurkiem zrozumiałem, że awansuję, ten prędko mnie załatwi. Widziałem go dwa razy, przechodził obok nas podczas poniedziałkowych indagacji, raz przystanął, popatrzył jak młodzieź pracuje i poszedł do siebie – ktoś ważny, sam szef, albo któryś z kierowników, stary czekista, lat trzydziestu pięciu, wysoki, masywny i bardzo przystojny, inteligentną, wypielęgnowaną z aktorska twarzą przypominał Darjałowa, miał też podobne włosy na kształt lwiej grzywy, tylko Darjałow był lżejszej kondycji, artysta cyrkowy, a ten raczej dramatyczny, mógł grać z Kotowskim w dziewiętnastym roku, gdy Grigorij Iwanowicz był szefem bolszewickiej dywersji i wywiadu

w Odessie za Denikina, świetnie wypadłby w roli białego huzara albo konferansjera w cygańskim kabarecie, równie dobrze widziałem go w akcji oczyszczania miasta od bandytów rok później...

- Nie będziemy więcej dyskutowali nad rozbieżnościami drugiego zjazdu, nie odpowiadacie za zachowanie się mniejszewików na zjeździe, mieliście wtenczas cztery miesiące, odpowiadacie za to - pokazał moje biułki. - To wasz utwór?

- Mój. Sam ułożyłem, sam pisałem.

- A maszyna?

- Pożyczyłem.

- Od kogo?

- Nie mogę powiedzieć. Ci ludzie byli dla mnie dobrzy i nie wiedzieli, poprosiłem, by pożyczili dla zarobku, do przepisywania stenogramów.

- Nie wierzę... Czego właściwie spodziewaliście się po tej bezczelnej i głupio zrobionej proklamacji?

- Nie myślałem o celu. Byłem oburzony. Musiałem się wypowiedzieć. Gdybym mógł to zrobić w artykule albo w wierszu z nadzieją, że to zostanie wydrukowane, to bym nie pisał proklamacji.

- Dobrze, dobrze, ale kto wami kierował? Kto kazał?

- Sumienie.

- Przestańcie zgrywać idiotę. Pytam się, jak się nazywa wasze sumienie? Gdzie się znajduje?

- Tu - położyłem dłoń na sercu i po chwili zgaszonym głosem przypomniałem - mieliśmy nie dyskutować. Przyznaję się do wszystkiego, podpisuję, jest mi obojętne, co ze mną zrobicie.

Czułem, że nie wygram z nim, ta rozpacz odbiła się widocznie w głosie i na twarzy, bo się zastanowił.

- Czyżby izolacja tak podziałała? Przecież musieliście się liczyć z tym, że was złapiemy.

- To nie dlatego, ale ten tłum, ci ludzie... Ich nic już nie nauczy, nie zmieni, szkoda prób i ofiar. Zwyciężyliście. Wasze panowanie będzie jak lodowiec, ludzie będą wiedli jaskiniowe życie, a mądrzy i uczciwi kryli się po najgłębszych pieczarach, dziękuję za takie życie, możecie mnie rozstrzelać!

- Rozstrzelać nie, ale pilnować będziemy. Sami tego chcieliście. Nie podobało się wam nad Morzem Czarnym, pojedziecie nad Białe.

- Dla mnie bez różnicy - powtórzyłem z tępym uporem.

- No, nie powiedziałbym. Odessa a Sołowki to jednak nie to samo.

A więc tam chcą mnie uplasować, w poklasztornych murach na Wyspach Sołowieckich oblanych zewsząd Morzem Białym, gdzie pół roku noc, gdzie wichry śnieżne śpiewają panichidę żywcem pogrzebanym – mroźne zimno ozwało się w dołku podsercowym i przebiegło po krzyżu – czy to już wyrok ostateczny? Bo może tylko tak mnie straszą? Utrzymanie się w zobojętnieniu kosztowało mnie wysiłku.

– Daleko. Ale doniesiecie mnie chyba...

– Co to znaczy doniesiecie?

– Na noszach, to mam na myśli, słyszycie? – poruszyłem protezę, wydała obrzydliwy metaliczny chrobot, nad którym dość narobiłem się w celi. – Stopa ledwo się trzyma, a jak odleci, to...

– Można przecież naprawić. Gdzieście robili protezę?

– U Altszulera w Kijowie.

– Więc tam się i naprawi.

Jakbym go hipnotyzował najskrytszym marzeniem, sam pchał mnie do Kijowa! Nieprawdopodobnie wprost, chyba że w Kijowie działa jakaś niewykryta dotąd grupa, może Klenger i inni, i ja mam być podrzucony na wabia w charakterze *mannej pticy*. A może ten wspaniałomyślny gest to tylko podstęp obliczony na to, że się ucieszę i wypadnę z roli symulanta... Musiałem zaryzykować:

– A w Odessie nie można?

– Nie wiem, nie będziemy szukali ortopedy. Zresztą przed Sołowkami należy wam się widzenie z rodziną, niech zaopatrzy w kożuch i ciepłą bieliznę, no i zrobi tę reperację... Cóż to, nie chcecie zobaczyć się z matką?

– Bo ja wiem, wolałbym uniknąć tego pożegnania, tych łez...

– Trudno, nie będę was tu trzymał. Sprawa skończona. Pojeździecie do Charkowa i dalej, z przesiadką na cztery dni w Kijowie.

Z tym samym lumpowatym *sieksotem* odstawiono mnie do domu. Od tego ranka za cztery dni miałem się zameldować w komendanturze z rzeczami.

Gdy mama i siostra całowały mnie i tuliły, z sąsiedniego pokoju wyszedł półwojskowy drab w ryżawą brodą i trzepnął mnie siarczyście w tyłek. Po tym go poznałem – Włodek! – padliśmy sobie w objęcia.

Wuj Stefan odnalazł Włodka pod Moskwą – w jaki sposób długo by opowiadać, a chciałbym już skończyć zwięzłą relację – po wielu próbach i poszukiwaniach odnalazł syna pod Moskwą, niestety *komsostawa* Wyższej Szkoły *Krasnych Komandirów*, co

skomplikowało sprawę repatriacji. Wyreklamowanie z wojska gmatwało się i przeciągało, a Włodek wbrew swej woli i naturze był w wojsku siódmy już rok, najpierw u białych, potem u czerwonych, za Uralem, w stepach Kazachstanu i na Kaukazie, ostatnie dwa lata w oddziałach walczących z powstaniem Czeczni i Dagestanu, zbrzydło mu to wszystko nie do wytrzymania, nie mógł się doczekać zwolnienia i zbiegł do Kijowa, jak się tylko dowiedział naszego adresu.

– Jutro pryskam do ojca, dobrześ trafił, będziemy się razem przedzierać...

A owe zmiany i sprzyjające okoliczności, o których mama pisała niejasno w liście do Niny, dając do zrozumienia, że gdyby miała mnie teraz w domu, to by mogła uratować, okoliczności takie rzeczywiście zaistniały, mianowicie:

wszyscyśmy już otrzymali wizę polską, ale sowiecką wizę na wyjazd mogły dostać tylko mama, Helenka i Tania;

wuj Stefan sprzedał nasz ocalały w Warszawie majątek, uregulował za dziesięć lat składowego, resztę uzyskanej sumy przekazał mamie w dolarach przez konsulat polski;

pewien zaprzyjaźniony szewc, właściwie były sztabs-kapitan utrzymujący się z warsztatu szewskiego, powiedział raz w rozmowie z mamą na mój temat, że gdyby zaszła kiedyś konieczność ucieczki za granicę, to on mógłby pomóc, zna rodzinę chłopów-przemysłowców nad samą granicą, biorą uczciwe ceny i załatwiają uczciwie; przyjechał Włodek, mama ułatwiła mu drogę przez zieloną granicę i Włodek miał właśnie wyruszyć nazajutrz, wtem ja się zjawiłem w domu. *Sowsiem kak w kino.*

Zdaniem mamy i Włodki powinienem był wyjechać razem z nim. Co do mnie to właściwie nie miałem wyboru i z dwojga złego, konać powoli w podbiegunowym obozie albo ryzykować nagłą śmierć w razie nieudanej przeprawy granicznej, wolałem już to ostatnie. Tylko co z mamą? Obawiałem się represji ze strony GPU... A ja się tego wcale nie boję, zaoponowała mama, powiem im, że pożegnałeś się ze mną i poszedłeś z rzeczami do nich, do komendantury. Oczywiście nie uwierzą, ale jestem tylko matką, co mi zrobią? Najwyżej mogą mieć nieprzyjemności. Potem sprzedamy rzeczy i mieszkanie i wyjedziemy do Polski. A gdyby się mścili i nie dali wizy to przejdziemy granicę przy pomocy tych samych ludzi. Nie ma innej drogi, najpierw ty, potem my, nie zostawimy cię przecież tutaj, bez ciebie nie wyjedziemy...

– Dobrze mamo, ale nie w Włodkiem, to nie ma sensu.

Potrafię sporo przejść i znieść – przypomniałem im – ale biec

nie mogę, a jeśli zdarzy się taka sytuacja, że cały ratunek w ucieczce, w dobrych nogach? Włodek nic mi wtenczas nie poradzi, tylko sam wpadnie i to z obciążeniem, bo z kuzynem, zbiegiem politycznym. Niech więc jutro sam pojedzie, a ja zaraz po nim.

Mama wzięła moje buty do reperacji, proteza tego nie wymagała, sam z powrotem podokręcałem w stopie co trzeba, ale kamaszki były w opłakanym stanie, poszła więc do owego szewca. Wróciła przynosząc dyrektywy dla nas – Włodek miał jechać jutro po południu i udać się pod wskazany adres, mój wyjazd wyznaczono na następną noc i mnie szewc-kapitan chciał osobiście przekazać przemytnikom, godzinę odejścia pociągu i numer wagonu poda mi się później wraz z biletem; w Szepetówce wysiadam i podążam w pewnym oddaleniu za moim impresario aż wejdzie do domu; jeśli furtkę zostawi otwartą mam również wejść, jeżeli zamknie za sobą, to znak dla mnie, żebym szedł dalej na rynek do herbaciarni z pomarańczowymi firankami i czekał godzinę przy śniadaniu; gdyby się nikt nie zgłosił, iść na stację i wracać czym prędzej do Kijowa.

Pożegnaliśmy się z Włodkiem w nadziei, że się spotkamy w leśniczówce jego ojca pod Pułtuskim.

Noc przed opuszczeniem domu przespałem twardo i nic mi się nie śniło. Raz się zbudziłem. Ujrzawszy obok mamę wymamrotałem, czuwasz, jak przy umarłym i znów zasnąłem z głową na jej kolanach z upojną błogością, jaką daje dwadzieścia lat, w cudownej beczelności zaufania do swego istnienia, bez poczucia chwili, że może być ostatnia. A były to ostatnie chwile z matką, nie zobaczyliśmy się później.

Przyniosła od szewca pięknie podzielowane kamaszki i bilet na pociąg o północy. Zabrała się potem do żmudnej pracy zaszywając w mankietach, szwach i innych zakamarkach ubrania mój rodowód i majątek – metrykę urodzenia z Białowieży, zgodę konsulatu polskiego na wizę i kartę rejestracyjną z więzienia w Charkowie, karteczkę z adresami obydwóch wujów, dalszej rodziny i przyjaciół w Polsce, sto dolarów dla przemytników i sto dla mnie, drugie tyle zostawiając sobie na drogę, zwłaszcza na wypadek jeśli będzie musiała z córkami przechodzić granicę, bo chociaż przemycano i za czerwońce, jednakże z większym zaangażowaniem robiono to za dolary. Niewiele za to miała do spakowania, jechałem lekko z jedną tylko ceratową torbą w rękę na trochę suchego prowiantu, koszulę, ręcznik, mydło i ostatnią pamiątkę po ojcu, chińską ślicznie inkrustowaną w kości słoniowej brzytwą, którą spróbowałem raz się

golić i potem bałem się jej dotknąć, była więc dla mnie rzeczą bezużyteczną, wziąłem przez sentyment, co mogłem przyplącić życiem – komendant straży granicznej w Międzyrzeczu zabrał mi to cacko i jeszcze nałgał w raporcie jakoby złapał mnie w nocy podczas obchodu posterunków, dlatego mieli przerzucić mnie z powrotem na sowiecką stronę, dopiero w ostatnim momencie, gdy przybył wuj Jan Newerly, udało mi się przekonać starostę, że to nieprawda, bo sam się zgłosiłem na posterunek w jasny dzień.

Ale znów wybiegam w dalsze moje dzieje na tamtym brzegu Horynia... Kiedy zatem wszystko pozaszywano, włożyłem szare podniszczone spodnie, musztardową bluzę z pasem i czapkę kalininówkę. Mama obejrzawszy mnie orzekła, że wyglądam zupełnie pospolicie, ni to z miasta, ni to ze wsi, taki sobie pacan, muszę tylko pamiętać o binoklach, zdradzają inteligenta, powinienem trzymać je w kieszonce i wkładać gdy bez nich naprawdę nie można... Cały czas krzątała się żwawo, podniecona i pewna mej drogi, jakby wyprawiała mnie na studia albo do stryjostwa w Piotrogradzie, aż wzięło mnie zwątpienie, czy rzeczywiście jest tak ślepo przekonana, że wychodzę na wolność i nic mi się stać nie może, czy też tylko udaje taką pewność i radość? Teraz myślę, że gdybym szedł na śmierć, byłaby do ostatniej chwili ze mną tak samo dzielna, potrafiłaby udawać nadzieję i nie zdradzić rozpacz.

Rozmawialiśmy, pamiętam, czekając na zmrok i siedzieliśmy tak dłużej aniżeli zazwyczaj siedzi się przed drogą. Dom nasz, jeden z kilku stareńkich parterowych drewniaczków, jak to gdzieś już opisałem, stał nad głębokim zadrzewionym parowem w środku terenu, a teren był ogromny, w rodzaju zdziczałego parku i otwarty na wszystkie strony. Można było od ulicy Timofiejewskiej obserwować bramę pod ósmym, kto wchodzi i wychodzi, można było pilnować naszych drzwi i okien od podwórza, z sąsiedniego domku, gdzie mieszkał, jak mawiano, jeden *sukinkot-sieksot*, ale po zmroku każdy mógłby nieopstrzeżenie wymknąć się od nas, nie starczyłoby i mendla tajniaków by obstarwić wszystkie przejścia na sąsiednie podwórza i ulice.

Kiedy się więc ściemniło, poszedłem z Helenką dnem parowu i dalej przez sad, przez wyrwy zalatujące butwielą po parkanach, wzdłuż dobrze znanych murów, zarośli i śmietnisk na zapleczu dawnych posesji. Wynurzywszy się pod przyszczo mżące światło latarni ulicznej gdzieś dopiero w okolicy bazaru, pojechaliśmy tramwajem raz w jedną, raz w drugą

stronę, dla kontroli, a potem już do celu, którym była chyba Bojarka, stacja podmiejska w sosnowym lesie miejscowości letniskowej. Dworca głównego obawiałem się, zbyt dużo kręciło się tam funkcjonariuszy umundurowanych, którzy z nich mógł mnie sobie zapamiętać, jak stałem na peronie w grupie więźniów, wywożonych do Charkowa albo jak wracałem odstawiany ciupasem z Odessy, bezpieczniejsza wydawała mi się taka właśnie pierwsza stacja za Kijowem.

Kiedy więc dalekobieżny przystanął na chwilę, wsiałem do wagonu, którego numer podał mi przez mamę wraz z biletem szewc-kapitan zaznaczając, że będzie w tym właśnie wagonie. Rzeczywiście był, przechodząc korytarzem minąłem go w jednym z przedziałów i nieco dalej wychyliłem się do Helenki, pociąg już ruszał, zdążyła mnie tylko dojrzeć w oknie, uniosła dłoń z chusteczką, wspinając się na palce, wysmukła, strzelista, zakwitająca dziewczyna i taką została w pamięci – mieliśmy się spotkać niezadługo w Warszawie, a spotkaliśmy się po pięćdziesięciu latach w Ameryce (był początek października 1924 roku. Helenkę odnalazłem w Bostonie w 1973).

Po nieprzespanej nocy wyszedłem z przedziału. W pewnej chwili gdy stałem przy oknie na pustym korytarzu przepuszczając uciekające w tył widoki, słupy i podkłady kolejowe, wydało mi się, że jadę z powrotem, jak się to nieraz zdarza, pospolite złudzenie, zdziwiło mnie tylko, że krajobraz zmienił się i zmroczniał. Zamiast blasku poranka miało się późne i pochmurne popołudnie, zamiast widnych i dorodnych przestrzeni ukraińskich, przetykanych gdzieniegdzie sosnowym łożem biegnęły za pociągiem ziemie niskie, mszarne, dymiące oparami, z gołymi na zimę czy przed zimą brzoškami, w prześwicie między nimi jak za parkanem widziało się szare chatki w tłumnym ścisku, wiekowe płotki i zieloną cebulkę starowinki cerkiewki, i na to wszystko patrzył ktoś starszy i poważny, niby ja, co było absurdem, bo stałem obok i patrzyłem na niego. Ocknąwszy się z tego rozdwojenia nie mógłby powiedzieć, czy się zdrzemnąłem na stojąco trzymając się rzemiennego uchwyty do podnoszenia okna i sam się sobie przyśniłem na tle nieobecnego krajobrazu, czy też – jeśli wierzyć w rzeczy astralne – ujrzałem to wszystko oczyma duszy. Pokrzepiałem się myślą, że przyjadę szczęśliwie i będę długo żył, widziałem przecież siebie w starszym wieku, to dobry znak. Po pewnym czasie zapomniałem o dziwnym doznaniu. Dopiero po trzydziestu z górą latach, jadąc pierwszy raz do Moskwy z ramienia Związku Literatów Polskich na uroczystości ku czci Dostojewskiego, właściwie na uroczystą rehabilitację

Dostojewskiego, gdzieś za Brześciem poczułem się nieswojo, jak gdybym kiedyś w jakiejś zapomnianej podróży tak już stał na pustym korytarzu i patrzył na te uciekające na zachód niskie, mszarne ziemie, dymiące mgłami, na gołe brzoźki i tłumek szarych chat za nimi, na cebulkę zgrzybiałej cerkiewki w przeświacie, i w głowie mi się znowu zakręciło od tego rozdwojenia...

W Szepetówce zgodnie z instrukcją poszedłem dyskretnie za moim sztabs vel szewc-kapitanem. Na drugiej od stacji przecznicy zniknął za ogrodzeniem niedużego, ale schludnie utrzymanego sadu. Ponieważ zostawił furtkę otwartą podążyłem za nim do białego domku w głębi posesji, gdzie wszystko, domek i całe obejście, wyglądało dostatnio i z wiejska. Kiedy wszedłem, oboje gospodarstwo, starsi, rumiani i pulchni, rozmawiali w kuchni z moim przewodnikiem, poinformował mnie, że wszystko w porządku, jutro dzień targowy, przyjedzie kuzyn z Karlswardu i pojutrze, gdy koń wypocznie, odjedzie zabierając mnie z sobą na kolonię, która leży nad Horyniem. Przy posiłku dowiedziałem się reszty. Schowają mnie na strychu i nie wolno mi się tam zdradzić, bo akurat pode mną w odnajmowanym pokoiku mieszka zastępca szefa szepetowskiego GPU. Cały dzień go nie ma, wraca zwykle dopiero na noc i zaraz się kładzie, niekiedy wcale nie nocuje, zdarza się jednak, że siedzi w domu i pije dzień i noc, sam jeden, milcząc lub gadając. Otóż bez względu na to, czy będzie on pił, czy spał, mam się nie ruszyć na posłaniu, czujny jest jak gęś i słyszy lepiej od psa. Musiałem wyznać, co wiedziałem od towarzyszy wspólnego pokoju i celi, że śpię na oba uszy i chrapię. To ich zaniepokoiło, chrapać nie wolno, powiedzieli. Naradziwszy się postanowili, że w dzień będę spał, a w nocy czuwał, dadzą mi znać, gdy gepista przyjdzie. Omówiono następnie całą operację podawania mnie sobie z rąk do rąk przez granicę i ile się komu będzie należało. W żaden sposób nie chciało wypaść mniej niż owe sto dolarów, którą to kwotę szewc-kapitan wymienił był mamie orientacyjnie u siebie w warsztacie. Wyprułem z nogawki pięć banknotów dwudziestodolarowych i wręczyłem gospodarzowi w jego obecności, po czym on ruszył w drogę powrotną, a ja na stryszek, gdzie zaraz zasnąłem.

Gepista zjawił się przed zachodem słońca i wtedy mnie obudzono. Słyszałem, jak rozmawiał z gospodarzami, jadł kolację, chodził po pokoju, gwizdał, a gwizdał on koncertowo i tak wysoko, rzewliwie, jakby pikał na pikulinie, serce tajało od podobnego łkania duszy, póki się nie uprzytamniało, że to skuli ten gepard z GPU! W końcu położył się i zasnął, ale spał

niepokojnie, skrzywienie łóżka zdradzało przewracanie się z boku na bok, taka była akustyka, słyszało się każdy szmer, szczęście, że gospodarze mnie ostrzegli, przez chrapanie wpadłbym w ucho GPU. Bałem się poruszyć na sienniku, liczyłem gwiazdy w okienku, starałem się zająć rozpamiętywaniem, marzeniem, zmyślaniem rozmaitych historii, a gdy sen brał, wyciągałem ramiona pod ukośny dach i chwytałem się ramy okiennej, zaciskając dłonie na ostrych krawędziach. Słowem zmordowałem jakoś noc i ranek, aż drzwi trzasnęły za odchodzącym i gospodyni zawołała mnie na śniadanie, po którym mogłem sobie chrapać do obiadu, a po obiedzie do wieczora, gdy gepard wrócił. Tym razem było głośno. Pił i gadał. Zdawało się, że ma tam u siebie pełno petentów, wrogów i ludzi bliskich, rozmawia z nimi swobodnie bez obawy, że ktokolwiek zrozumie, gargotał w swym ojczystym języku – Łotysz, Węgier, Gruzin, a może Abchaz? – jednych jakby gromił i oskarżał, drugich prosił, innych znów próbował zjednać sobie i przekonać, miałem wrażenie, iż wszystkim w końcu powtarza to samo tylko innym tonem, jedno krótkie twardo brzmiące zdanie, niczym przerywnik lub zasadnicza fraza muzyczna w kompozycji, powracało ciągle oznajmiając zmianę tonacji i rozmówcy. Otóż tajemniczy sens tych kilku słów, klucz kodu, otwierający wnętrza czekisty, niezidentyfikowane osoby dramatu występujące w pijackich wspomnieniach, w halucynacyjnych rozmowach tam na dole, w nie wiadomo jakich powiązaniach z podmiotem, i niepoczytalny w zmienności głos, raz grzmiący, raz proszący, ordynarny, rozedrgany, łagodny, głos człowieka, który mógł być katem i ofiarą – wszystko to dręczyło mnie całą noc i pół roku jeszcze potem w leśniczówce Tocznabel, gdzie się mozoliłem z pierwszą moją opowieścią, podartą następnie w przyplynie złości na Erenburga za „Życie i śmierć Mikołaja Kurbowa”, przechwycił temat, i jak mi się zdawało, sknocił!

Nie zdążyłem już odespać w dzień tej nocy. Po śniadaniu musiałem czekać gotowy do drogi. Kuzyn gospodarzy, przybyły poprzedniego dnia z Karlswaldu na targ, poszedł po przepustki dla siebie i dla mnie, niby siostrzeńca. Z Szepetówki w stronę granicy wolno było iść lub jechać tylko za przepustką. Wrócił z jednym papierkiem, dla siebie, drugiego zaocznie nie wydano, powiedzieli, żeby siostrzeniec zgłosił się osobiście. To mu się wydało podejrzane, otrzymywał bowiem zwykle bez trudu dla siebie i kogoś z rodziny. Lepiej złęgo nie kusić, rzekł, jedźmy bez pieczętki. Siadłem obok niego na worku z sianem w wozie półkoszkowym i wyjechaliśmy za bramę. Mieliśmy przed sobą

dwadzieścia parę kilometrów drogi przez pola i zagaje, drogi wyjeżdżonej przez niego od dzieciństwa, obsadzonej kumami, przyjaciółmi, powinowatymi po chutorach i wsiach przydrożnych, informowali go o wszystkim, co się dzieje, co sływać w okolicy i świetnie ułożony, zmyślny kundel biegł pół kilometra przed nami – cywilów przepuszczał, ale każdego wojskowego, szczególnie na koniu sumiennie oszczekał. Dwukrotnie uratował nas w ten sposób. Raz postyszawszy ujadanie skręciliśmy czym prędzej w głąb przylasku i patrol przeszedł obok. A raz ledwo zdążyłem ująć w krzaki, ledwo karlswaldczyk zabrał się do markowania jakiejś naprawy przy chomacie, zza drzew wyjechało pięciu konnych Kotowskiego. Z mojej gęstwiny i bez binokli nie mogłem rozpoznać twarzy, lecz głos tego, który pytał o przepustkę, wydał mi się głosem plutonowego Kostika. Ciarki mnie przeszły na myśl, że mnie przyłapał, że stanę przed komisarzem dywizji Rusowem i przed samym Kriworuczka. Kriworuczka mnie nie lubił, być może dlatego, że lubił mnie Wołosatow, że przybyłem z dywizji Wołosatowa. „A jednak miałem czuja, powie, ot i schwytaliśmy polskiego szpiega!”... Jeszcze w półkoszku, kiedyśmy już ruszyli szczęśliwie, przeżywałem ten strach, karlswaldczyk natomiast nie obawiał się podjazdów, jeżdżą sobie bo jeżdżą, mówił, konie muszą mieć przebieg, a kawaleria musi się ruszać, ale krzywdy z tego nie mamy, co innego tajniak, nowy tajniak, ma się rozumieć, gdyż każdego starego po jakimś czasie da się rozpoznać i ująć, jak nie wódką to gotówką, jak nie polskimi butami, to babą... Po rosyjsku mówił tak samo jak po ukraińsku, co do niemieckiego to nie wiem. Z wyglądu, ze sposobu bycia kolonista ten niczym się nie różnił od miejscowych chłopów, był tylko bardziej fachowy w gospodarstwie i w szwarcu, którym trudnił się solidnie szanując dobry, uczciwy interes. Napomknąłem coś o ryzyku. Odparł, że większego ryzyka, jak żyć pod sowietami to już chyba nie ma... Nosił się, myślę, z zamiarem zrobienia pieniędzy i wydostania się z rodziną na polską stronę, jak starszy brat, który od roku już gospodarzył w Polsce.

Do kolonii w Karlswaldzie przybyliśmy za dnia i tu on, nakarmiwszy mnie, przekazał bratankowi, którego obejście leżało nad rzeczką, prosił tylko, żebym noc spędził z polskimi kobietami, matką i córką, noc nie jest całkiem pewna, na chutor przyjechał komisarz straży granicznej z żołnierzami, mogą chodzić od zagrody do zagrody, rewidować i sprawdzać obecnych. Dlatego na wszelki wypadek wyprowadzono te kobiety do lasu, są w ziemiance z czasów wojny, gdzie się mieścił sztab.

Do tego miejsca było może dwa kilometry, zrobiło się ciemno, Petrus, bratanek szefa, prowadząc mnie powiedział, że to nieszczęśliwe szlachcianki, starej zabrano piękny majątek pod Korosteniem, nie wyjechała do Polski z powodu córki, córka wyszła za Rosjanina, za uczonego, książki pisał, trzymano go w więzieniu i zwolniono dopiero przed śmiercią, teraz obie przedzierają się do swoich w Polsce nie mając, stryjek z dobrego serca karmi je i szwarcuje... Czas jakiś szliśmy skrajem lasu, potem przekroczywszy dawne okopy w głębi, ujrzelśmy pod drzewem dwie skulone postaci. Jedna wstała, druga nie ruszyła się z miejsca.

– A czemu to panie nie są w ziemiance? – zdziwił się Petrus.

– Tam są źmije! – zawołała siedząca.

– Przepraszam – obraził się nie wiadomo czemu Petrus – nie źmije tylko jeden stary wąż. Mój ojciec bardzo go lubił.

– Ale on syczy! I latają szczury!

– A skąd w lesie szczury? Mogą być myszki, króliki, borsuczek...

– Ale nie możemy mieszkać w norze!

– Generał tam mieszkał, saperzy wybudowali specjalnie dla niego ze wszystkimi wygodami, z telefonem, z wanną, z wygodką...

– Pan sobie kpi! Pan sobie pozwala dlatego, że jesteśmy w takim położeniu, że jesteśmy bezbronne...

Postać stojąca dotąd nieruchomo obok, zbliżyła się do Petrusa.

– Proszę darować, szepnęła, jest bardzo zdenerowana, wiecie, cośmy przeszły...

– Rozumiem – odrzekł Petrus i podał kobiałkę. – To od stryja. I jeszcze stryj przysłała pani tego pana do towarzystwa, żebyście się nie bały w nocy, też idzie do Polski.

Kiedy pożegnał się i odszedł, zapowiedziawszy że jutro przyjdzie po nie, starsza pani spróbowała nawiązać ze mną rozmowę po polsku. Tłumacząc w myśli każde zdanie z rosyjskiego na polski z trudem znajdowałem słowa, podpowiadała mi życzliwie i nie dość biegle, sama mocno zruszczona, jej polszczyzna nawet dla mnie wyglądała wyblakle i ubogo, daliśmy w końcu spokój uciążliwej konwersacji i z ulgą przeszliśmy na rosyjski. O sobie, kim jestem i o rodzinie powiedziałem mniej więcej prawdę, zataiłem tylko fakt aresztowania i ucieczki, a od niej dowiedziałem się, że stara się przedostać do syna, w ten sposób mogłaby się z córką uratować, to dobry syn i brat, i dzielny, był w korpucie Dowbór-Muśnickiego, odznaczył się

w powstaniu wielkopolskim, teraz jest przy wojewodzie w Nowogrodzku – słysząc to zrozumiałem bezinteresowność i dobre serce naszego szwarcownika, mieć dług wdzięczności u człowieka z otoczenia wojewody, to pewna lokata, to w razie potrzeby obywatelstwo polskie...

– Z pewnością zamierza pan studiować w Polsce?

– Tak, przede wszystkim chciałbym się uczyć.

– A czego?

– Nie wiem...

Tak mi się głupio wyrwało i w tejże chwili uświadomiłem sobie, że naprawdę nie wiem. Prawo przestało mnie interesować, nie wróć na prawo, medycyna mnie nie pociąga, politechnika odpada ze względu na niewydolność w matematyce...

– Z czegoś musi pan żyć, musi mieć jakiś zawód.

– Najchętniej, proszę pani, studiowałbym szeroko i bezinteresownie, poznawałbym świat, człowieka i kulturę dla samej przyjemności poznawania.

– Luksusowy program edukacji. Mój ojciec tak studiował, ale miał majątek i dwa tysiące poddanych... W Polsce jest wolność, ale za wszystko jednak trzeba płacić.

Rozmawialiśmy siedząc obok siebie pod sosną, z drugiej strony pnia usadowiła się ignorująca mnie córka, odzywała się tylko do matki i ostentacyjnie po francusku. Nie miałem do niej żalu o tę nieufność i wrogość, zbyt wiele przeszła, była tragiczna... Obecność tych udreńczonych istot, zmęczenie i przyszłość, o której dotąd nie myślałem, zdawała się nie istnieć, a oto ukazała mi się raptem w rozmowie z nieznaną, co na stare lata poznała świat realny i zwróciła uwagę na tę moją przyszłość jakże szarą i niepewną, wszystko razem zdeprymowało mnie. Rześkie w klimacie wielkiej przygody samopoczucie wyzwolenia, towarzyszące mi od Kijowa w drodze ku granicy, opadło, sfermentowało w gorzki nastrój przygnębienia.

Noc była chłodna i jasna przy pełni księżyca. O świcie od strony łąk nad Horyniem powaliła mgła gęstymi kłębami i zasnuła cały las. Z drzew kapało, nawilgła odzież lepiąc się ziębła. Dygotaliśmy z zimna i bezwiednie tuliliśmy się do siebie, ja i ta pani, matka. Potem przyszedł Petrus i zabrał je obie przynaglając, muszą przejść niepostrzeżenie kawał otwartego pola póki trwa na szczęście mgła, kiedy na parę kroków nic nie widać.

Powiedział, żebyśmy czekał, przyjdzie później po mnie. Oczy mi się kleiły z niewyspania po dwóch nocach, najlepiej byłoby wejść do schronu i tam się przespać, odstręczała obawa, że stary

wąż może zbudzić prześliznąwszy się po twarzy w mroku ziemianki albo króliki obwąchają ucho, czy to nie kapusta. Próbowałem zdrzemnąć się pod drzewem, ale zimno nie dało, chodziłem na rozgrzewkę, klepałem się po piersi i plecach, w pewnej chwili postyszałem za sobą kroki. Znieruchomiałem, by sprawdzić, czy mi się to wydało tylko. Nie, szelesty odzywały się to tu, to tam, przy samej ziemi, przerywane dziwnymi dźwiękami, jakby krążył posapując zasmarkany pędrak. Stałem w omgleniu niewidoczny i sam niewiele widząc. Ale oto poruszyła się dymna zasłona i jak spod kołdry wysunął się pstry w biało-czarny deseń łeb borsuka. Zadarłszy mordkę przyglądał mi się krótkowzrocznym okiem, póki nie ruszyłem nogą, wtenczas fuknął i dał nura w opary.

Prześwit między drzewami różował coraz intensywniejszą jasnością. Wyszedłem na skraj lasu. Październikowe słońce stygło w pół drogi od widnokregu nad siwym morzem mgły, widziało się tylko jej zwiewne falowanie, to wyglądało jakbym stał na niebotycznym szczycie, a dołem sunęły obłoki. W miarę, jak słońce szło w górę pokrywa ta zwolna opadała, ukazując zagrodę Petrusa na pierwszym planie i łąki w zgniłym kolorze z wężowato biegnącą rzeczką. Patrzyłem z mego wzniesienia na tę widną jak na dłoni granicę, drugi brzeg mego życia. Tu gdzieś mam się przeprawić i pójść przez puste, szeroko rozwierające się błonie, aż do niewyraźnych zabudowań i dymów Międzyrzecza na horyzoncie, gdzie jest, gdzie przebada mnie jakaś władza polskiej republiki burżuazyjnej... Na tamtym brzegu inna mowa, kultura, ustrój, obyczaje, stosunki, ubrania, papierosy i pieniądze, życie tak inne, że będę musiał wszystko zacząć od nowa, kto wie, może i duszę przeszczepiać do tego wszystkiego, a czy się przyjmie? Na tamtym brzegu wolność, nikt się do ciebie nie wtrąca, póki masz czym płacić. A kiedy wydam te dolary, co jeszcze zostały? Ma się rozumieć wujowie pomogą – jak długo? – sami mają rodziny i dorastające dzieci i ostatecznie utrzymują się tylko z państwowej posady. Dotychczas żyłem przyszłością, zdaje się nawet, że bardziej przejmowałem się przyszłością świata jak rodziny, w każdym razie miałem dążenie, ruch i cel, a to, co się z nami działo, wydawało się tymczasowe i mało ważne. Teraz muszę myśleć o mamie i o Helence, dosyć nacierpiałą się przeze mnie, jestem odpowiedzialny za nie. Liczą na mnie, została mi tylko ich wiara i miłość, na dobrą sprawę jestem bliski wykolejenia u tej granicy, bez drogowskazu, bez znajomości kraju, bez fachu, doprawdy nie wiem z czego i jak żyć, najprędzej mógłbym może zarabiać piórem stenografa. Jak się

okazuje żyć znaczy płacić, móc płacić uczciwie, potem może być fachowy albo luksusowy program edukacji i wszystko inne...

Petrus zjawił się dopiero koło południa. Prowadząc do siebie powiedział, że noc minęła spokojnie, nigdzie w okolicy nie było rewizji ani obławy, a teraz komisarz gdzieś się oddalił. Na wieczór należy spodziewać się takiej samej mgły. Pojadę furmanką z grupą, która się właśnie zbiera u niego w domu. Niedaleko stąd Horyń rozlewa się w szeroki bród, można przejechać, tym bardziej że droga osłonięta przez las.

Dom był nieduży, ale murowany i utrzymany z niemiecka, czystość, malowane podłogi, oleodruki na ścianach i robótki kobiece z wyhaftowanymi sentencjami. W izbie znajdowało się osiem osób, wśród nich kobieta z dwojgiem dzieci i okrągłogłowy rumiany brunecik w moim wieku o bardzo żywych oczach. Poznał mnie. Okazało się, że bywał w klubie związku zawodowego pracowników kultury na Kreszczatiku, kiedy organizowaliśmy wieczorynki.

Przysiadłem się do nich, kobieta nie odzywała się, ale on chcąc mnie przekonać, jak dobrze pamięta, referował, co się wtenczas mówiło i zgadzał się, że sztuki proletariackiej na razie nie ma, może powstać, ale nie od razu i nie przez odrzucenie wszystkich dotychczasowych osiągnięć i arcydzieł, ani przez żądanie, by utwór był przede wszystkim ideologicznie poprawny, autor zaś klasowo czysty, pochodzenia robotniczego bądź chłopskiego itp. niedorzeczności, które tu na granicy i w naszej sytuacji brzmiały szczególnie dziko. Sprawiał wrażenie człowieka, który długo milczał i chciałby się wygadać, ja odwrotnie, wołałbym się zdrzemnąć. Jestem odporny na głód, zimno, wysiłek fizyczny i wszelkie niewygody, ale brak snu mnie wyczerpuje. Ogromnie chciało mi się spać, z trudem podtrzymałem rozmowę, która tymczasem zeszała na sprawę wszystkim bliską, kiedy mianowicie ruszymy i jak się to przejście brodu odbędzie, i czy rzeczywiście mgła nam sprzyja, wprawdzie straż graniczna wtedy nic nie widzi, ale słyszy, a będziemy jechali furmanką, pogranicznicy mogą w tumanie posuwać się na człapanie konia, na odgłos kół...

Nie wiem, jak długo przesiedziałem z nimi w tej izbie, może dwie godziny, może trzy. Petrus, odwoławszy mnie na stronę zapytał, czy chcę teraz przejść? To mnie zaskoczyło – teraz, w jasny dzień? A tak, odrzekł, zeszał się właśnie popalić, pogadać, ja ich znam.

Pokazał przez okno: stali może sto kroków od domu, rozmawiając. Wszystko wyglądało ogromnie zwyczajnie, ta rzeczka

jako granica dwóch światów i warta *pogranotriadu*, takie sobie *czubaryki*.

– A czy to aby pewne?

– W tych sprawach nie ma nic pewnego, a ryzyko takie samo teraz czy w nocy furmanką.

– Ale jak przejść? Przecież zobaczą?

– Właśnie w tej chwili nie mogą zobaczyć. Z drugiej strony domu aż do rzeki mamy zapadlinę. Kiedy będzie pan tędy szedł, to choćby się odwrócili i spoglądali w tę stronę, nie zobaczą. Ujrzą dopiero na drugim brzegu. Musiałbym tylko przytrzymać ich w tym miejscu... No to jak?

Myszę, że gdybym nie miał piasku w oczach, a w głowie takiego rozbełtania, to bym się może zastanowił, czy iść za kordon jak w dym, na hałaj-bałaj, jak się mówi w tych stronach, a tak to się tylko spytałem, czy mógłbym z kimś jeszcze? Naturalnie, odrzekł Petrus. Zaproponowałem memu rozmówcy. Niestety, powiedział, przyrzekłem, nie mogę ich zostawić, rzucił okiem na kobietę z dziećmi, muszę razem z nimi... (po dziesięciu latach spotkał mnie w Warszawie na ulicy, Rozensztajn, imienia nie pamiętam, widywaliśmy się potem, był akwizytorem towarzystwa ubezpieczeniowego, bardzo rzutki, inteligentny i na swe nieszczęście uczciwy, walczył z prawdziwym gangiem o status agenta ubezpieczeniowego, o jego prawa, morale i związek zawodowy, zginął tragicznie).

Położyłem się na łące przy ognisku pastuszków, gotujących coś w saganku. Nadchodziła decydująca chwila. Włożyłem binokle. Z lewej strony miałem zabudowania Petrusa a przed sobą Horyń i nieco w prawo, na zakolu rzeki, plecy dwóch siedzących czubaryków z karabinami oraz stojącego nad nimi Petrusa. Przez łąkę biegło do Horynia wgłębienie, jakby prawdziwe starorzecze, stratowane kopytami była chodzącego tędy na wodopój, niegłębokie, wystarczające jednak, by zniknąć w nim z oczu tamtych i przejść niepostrzeżenie mniej więcej sto pięćdziesiąt kroków, jakie dzieliły mnie od wody.

Petrus, którego nie spuszczałem z oka, spojrzął za siebie czy jestem przy ognisku, po czym ręką z papierosem zaczął pokazywać coś na polskiej stronie słuchającym go żołnierzom. To był znak dla mnie. Uniosłem się by wstać, ale w tejże chwili dostrzegłem nad krzakiem daszek czapki wojskowej i usłyszałem krok konia. Zdmuchnąłem z nosa binokle, wpadły do saganka, pochyliłem się czym prędzej nad nim mieszając kartoflankę, a zza krzaka ukazał się kawalerzysta z idącym obok żołnierzem. Omiótł nas spojrzeniem i niemalże otarłszy się

o mnie pojechał dalej. „Komisarz” szepnęła patrząc za nim jeden z chłopców, „Ot, durny...” westchnął drugi z żalem, że nie zobaczył, jak człowieka biorą, ojej, może nawet wiązałiby i bili...

Wyłowiwszy łyżką binokle z saganka zacząłem je wycierać chusteczką, czując jeszcze podmuch pocisku, co przeleciał milimetr od skroni. Matka mnie uratowała. Ostrzegła, że binokle zdradzają inteligenta, prosiła, żebym się pilnował, cały czas pamiętałem o tym i teraz zdmuchnąłem z odruchu, całe szczęście, gdyby wzrok komisarza napotkał szkiełka na nosie wsiowego parobka przy ognisku, byłby niechybnie rozbłysnął czujnością i chęcią wylegitymowania. Oglądałem się za komisarzem. Zniknął jak zjawa i zjawił się tak samo. Musiał przejechać między lasem a obejściem Petrusa, skręcił do rzeki, tu się wyłonił zza krzaka i oddalił się w stronę chutora, gdzie kwateruje z żołnierzami. Czyżby pojechał po nich? Jeśli wróci i zacznie przetrząsać kolonię, koniec, nic mnie nie uratuje, muszę zaraz, nie ma chwili do stracenia...

Mimo nawału tych myśli i odczuwań nie traciłem z oczu Petrusa. Żołnierze wciąż siedzieli plecami do mnie, siedzieli spokojnie na brzegu zwiesiwszy nogi nad nurtem. Petrus wciąż stał przy nich, ale nie gestykulował. Może zauważył komisarza i dlatego opuścił rękę, a może czekał już, kiedy ukażą się na tamtym brzegu, w każdym razie stał nieruchomy. Nie wiedziałem, czy leżeć dalej przy ognisku, czy się chyłkiem wycofać i schronić w lesie. Ale Petrus znów spojrzął za siebie, czy jestem, znów przypalił i ruchem wskazującym podniósł rękę. Rzuciłem chłopcom resztę sowieckich pieniędzy i poczołgałem się ku zapadlinie – Boże, oby się udało, musi się udać, widziałem przecież siebie wyraźnie w starszym wieku! – potem wstałem osłonięty pagórem i poszedłem wiedząc, że działać muszę szybko, ale spokojnie, to kwestia trzech minut.

Woda była lodowata, a nurt ostry, poniół mnie ledwo wszedłem po pas. Do przebycia miałem dwadzieścia, trzydzieści metrów, machnąłem parę razy i byłem już przy polskim brzegu. Ale trafiłem na stromiznę i glinę, ręce mi się ślizgały, co się podciągnąłem to znów opadłem, opadałem ze świdrującą w potylicy świadomością, że ci dwaj na zakolu mogą już zobaczyć moją głowę za zakrętem pod tym brzegiem, mogą już mierzyć, łupną i popłynę z nurtem jak zdechły szczur... Nie wiem, jak się wykaraskałem, ale się wykaraskałem i ociekając wodą, z dyndałą u szyi ceratową torbą, poraczkowałem od rzeki na błonia, długo nie oglądając się za siebie. A kiedy to uczyniłem, ujrzałem

ten sam widok, pogranicznicy nadal siedzieli i Petrus unosił się nad nimi jak anioł stróż. Wtedy i oni zerwali się na nogi. Patrzyli spod dłoni na goły dotąd teren przed sobą, gdzie zjawił się nagle człowiek. Mogli strzelić i przeciągnąć trupa na swoją stronę, wokoło jak okiem sięgnąć nigdzie nie było żadnej warty polskiej. Patrzyliśmy na siebie z odległości stu metrów. Nie miałem już sił i tak stałem bezradny, wyprostowany, czekając na podrzut ich broni do oczu. Nie poruszyli się. Uniosłem rękę dziękując, pomachałem na pożegnanie i krokiem rozbitka, noga za nogą poczłapałem przez podmokłe łąki na odgłos szosy Międzyrzec-Ostróg.



Polska mnie przyjęła, po miesiącu więzienia w Ostrogu jechałem w głąb kraju rozpoczynając nowe życie. Różnie bywało, raz na wozie, raz pod wozem, ale nigdy mi się nie nudziło. Po pół roku pobytu u wuja w leśniczówce wyruszyłem na podbój Warszawy i tu mi się powiodło, grasowałem po Warszawie jako Eksperto, biuro obsługi stenograficznej, z szefem biura, stenografami, maszynistkami i inkasentem w jednej osobie. Zdążyłem jeszcze zastenografować odczyt marszałka Piłsudskiego w wielkiej sali „Colosseum”, gdy nastąpił przewrót majowy i cisza. Wszelkie instytucje i organizacje przycichły, wyczekując na dalszy bieg wypadków, odwołując zamierzone zjazdy i konferencje. Czekałem miesiąc, dwa, w trzecim miesiącu musiałem cichcem wynieść się z wynajętego mieszkania z teką pod pachą, w której miałem koszulę, krawat, aparat do golenia i inny ruchomy majątek.

Nastaly dni bezrobocia, głodu i noce bezdomne. Nocowałem w rurach pod mostem, na ławkach po skwerkach i w chaszczach bzu na brzegu Wisły, gdzie obecnie stoi pomnik Syrenki. Potem korekta i lekcja stenografii pozwoliły mi dostać pokój sublokatorski, a 2 października 1926 roku poznałem Janusza Korczaka, wydarzenie, które zaważyło na całym moim życiu. Zostałem sekretarzem i współpracownikiem Janusza Korczaka, uwielbiając tego człowieka, który nikomu nie życzył źle i był według mego przekonania nieduchownym świętym. Studiowałem na Wolnej Wszechnicy Polskiej, ożeniłem się, a mieszkałem w

Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, którą budowała i zamieszkiwała lewica społeczna, przeważnie z Polskiej Partii Socjalistycznej, tworząc dzielnicę samorządną i samowystarczalną z własnym przedszkolem, szkołą, gimnazjum, kinem, teatrem, z własnymi sklepami spółdzielczymi i domem klubowym, wzorowe osiedle, legendę porządku, uczciwości i kultury, doszczętnie potem zniszczoną – tylko nazwa została.

W ciągu tych piętnastu lat międzywojennych zżyłem się z Polską. Ułatwiła mi to w jakiejś mierze stenografia i kajak. Zjazdy, konferencje, odczyty, procesy sądowe i różne inne imprezy ukazywały rozmaite polskie sprawy w aspektach nieznanych, a kajak, którym włóczyłem się po kraju przez dwa miesiące wakacji letnich, dawał możliwość poznania gwary ludu różnych regionów, jego potrzeb i dążeń, zawierane znajomości na szlakach wodnych wzbogacały znajomość ludzkich zdarzeń i typów.

Miałem już syna, gdy wybuchła wojna. Po oblężeniu Warszawy musiałem przekwalifikować się z redaktora na rzemieślnika, zostałem szklarzem w Społecznym Przedsiębiorstwie Budowlanym. Ciąłem tafle lub chodziłem ze skrzynką szkła po domach, wstawiając szyby tej wyjątkowo mroźnej pierwszej zimy wojny, gdy ptaki marzły w locie. Po roku znów przekwalifikowałem się ze szklarza na stolarza. Trzeba było rozpoczynać tajne nauczanie w naszym gimnazjum spółdzielczym na Żoliborzu. Znalezione kilku nauczycieli robót ręcznych i majstrów, oni uczyli stolarki i mechaniki, a pod jazgot piły mechanicznej i stuk młotków odbywały się normalne zajęcia aż do matury, majstrom zaś tytułem rewanżu pozwolono korzystać z lokalu, maszyn i narzędzi, przyjmując prywatne zamówienia. Zorganizowano w ten sposób Spółdzielnię Pracy Stolarsko-Zabawkarskiej i mnie wybrano jej przewodniczącym.

5-ty sierpnia 1942 roku był dla nas strasznym ciosem: w tym dniu wywieziono Janusza Korczaka i 200 dzieci do Treblinki na zagazowanie.

W nocy z 7 na 8 stycznia 1943 roku Gestapo aresztowało mnie w moim mieszkaniu na Żoliborzu i po krótkim pobycie na Pawiaku wywiozło z transportem 2600 więźniów politycznych do obozu koncentracyjnego Majdanek, gdzie byłem do kwietnia 1944 roku, kiedy front zbliżał się do Majdanka i nas wywieźli do Oświęcimia. W październiku nastąpiła ewakuacja do Oranienburga, a z tego obozu w lutym 1945 roku do Bergen-Belsen i tu 15 kwietnia wyzwoliła nas dywizja kanadyjska. Chodziłem trzymając się ścian i ważyłem 38 kg.

W październiku 1945 powróciłem do Warszawy, żonę i syna zastałem w tym samym mieszkaniu na Żoliborzu i zacząłem pracować w Zarządzie Głównym Robotniczego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, budując zakłady przemysłowe RTPD. W 1946 roku wraz ze Stanisławem Żemisem założyłem Komitet im. Janusza Korczaka – organizację niezależną i samorządną, utrzymującą się ze składek członkowskich i pośmiertnych honorariów autorskich Korczaka na przestrzeni dwudziestu lat z górą, aż do dnia rozwiązania Komitetu w 1968 roku. Później wydałem Jego „Wybór pism” w czterech tomach i „Pamiętnik” pisany w getcie, następnie współpracowałem przy wydaniu „Selected Works of Janusz Korczak” w Ameryce i „Wie man ein Kind lieben soll” w Niemieckiej Republice Federalnej.

W 1948 roku powstała Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. Należałem do Polskiej Partii Socjalistycznej, wraz z nią wszedłem do Zjednoczonej Partii Robotniczej, i to był największy mój błąd. Nie byłem Francuzem, znałem rzeczywistość sowiecką z autopsji, a jednak dałem się zwieść, że w Polsce będzie inaczej. W partii nie chciałem być kimś, korzystać z władzy – nie brałem udziału w dyskusjach, nie napisałem żadnego artykułu politycznego, żadnej broszury. Jedynie w Związku Literatów Polskich byłem prezesem Oddziału Warszawskiego i członkiem Zarządu Głównego, a w ostatnich wyborach przed likwidacją Związku byłem wybrany przewodniczącym Sądu Głównego. W 1965 roku w związku z wydaleniem z partii Leszka Kołakowskiego zaprotestowałem i wystąpiłem z partii.

O mojej pracy pisarza nie piszę, zostawiam to czytelnikom. Napisałem dziesięć książek, w tym dwie o Korczaku. Tę rzecz „Zostało z uczyty bogów” zacząłem pisać w osamotnieniu na Mazurach pod koniec lat sześćdziesiątych, z przerwami, bez nadziei na wydrukowanie. Ale oto w 1980 roku Andrzej Mencwel odnalazł maszynopis w „Czytelniku” i wydrukował – wtedy wszystko się drukowało – w redagowanym przez siebie miesięczniku *Meritum*. „Czytelnik” zaraz wstawił to w plan. W prasie czasu wojennego na uspokojenie, na dowód liberalizacji cenzury, ukazały się dwukrotnie zapowiedzi, że „Miazga” Andrzejewskiego i „Zostało z uczyty bogów” Newerlego ukażą się drukiem. Istotnie, „Miazga” ukazała się, a „Zostało z uczyty bogów” zostało w w cenzurze.

Napisałem do Generała. Przystał kierownika kultury KC i dwóch z cenzury. O książce usłyszałem sporo superlatywów, ale co do druku, sam pan rozumie, nie można – godzi w nasze

sojusze... Wątle to sojusze, jeśli jedna książka może ugodzić.

Czekałem cierpliwie trzynaście lat, to chyba dosyć.

A wniosek ogólny na koniec życiorysu?

No cóż, mam 82 lata, syna, synową, wnuczki, książki, wspomnienia, rentę i chyba umrę w swoim domu, czy można więcej? Nie każdemu z naszego pokolenia trafiła się taka gratka, urodzony w czepku...

Tak, depresja, jaką miewam albo chandra, to nie z powodów osobistych, po prostu kac po uczcie bogów, mnóstwo ludzi w mniejszym lub większym stopniu to przechodzi. Emfaticzne słowa z ubiegłego wieku, wieku stabilności, progresu i literatury, adresowane jak gdyby bezpośrednio do naszego stulecia, pobrzmiwają sarkazmem, jakiego nikt nie przewidział, a już najmniej człowiek, który je napisał – ot, wykwintny liryk westchnął sobie z niedosytu wrażeń, z pragnienia burzy na odrnianę:

*Szczęśliwy, kto oglądał świat
W chwilach przemiany i przelomu:
Bogowie go do swego domu
Wezwali, by do uczy z nimi siadł.*

Ano, wezwano nas, mój wieku, wezwano, uczta była na miarę bogów i tytanów, aż glob nam dotąd trzeszczy.

Jakże to się zaczęło?

Cóż, byliśmy młodzi, taką rzewną nutką wspominkową można byłoby zagaić albo zamknąć, byliśmy młodzi i bardzo naiwni, ja i Wiek Dwudziesty: on miał wtedy osiemnaście lat, a ja piętnaście. Skończyła się właśnie wojna, pierwsza wojna światowa, a w Rosji od roku panował już rząd komunistyczny, władza, jakiej świat nigdy jeszcze nie oglądał. Otrząsał się z żałoby po poległych. Miliony grobów bratnich nad Marną i Sommą, pod Verdun i Lwowem, zwęglone trupy miast jak Reims i Kalisz, szatańskie maszyny i środki, owe drednauty, samoloty bombowe, czołgi, miny i gazy, wszystko to miał już za sobą i żegnał się z tym na zawsze – nigdy więcej wojny! – pamiętasz?

Jak gdyby w ramach repartycji, zmazania win i hańby, obalono despotyczne rządy cara, kajzera i cesarza, zmartwychwstawały pochowane w historii państwa Polska, Węgry, Czechy, Litwa, Łotwa, Estonia – świat wyraźnie demokratyzował się i pragnął odnowy. W literaturze robiło się gorąco od buntu i żarliwej wiary, szlachetne dążenia i zasady stawały się

powszechne, zgoda narodów, wyzwolenie ujarzmionych klas i narodów, emancypacja kobiet... Ludzie wyglądali Mesjasza, musi skądś wreszcie przyjść, nowa ewangelia, nowy humanizm, może z Moskwy? – politycy wzdrali się i spiskowali, ale intelektualiści jeździli do Moskwy, ale proletariusze wszystkich krajów spoglądali w tę stronę i zaczęli marzyć o czymś takim u siebie... Doprawdy jeśli na początku przydarzyła się kompromitacja z tą wojną światową, to potem wiele uczyniono dobrego i ludzie to odczuli, są wyrozumiali, mój Boże, młodość musi się wyszumieć... Nabrali zaufania, jakże by inaczej. Mój wieku, i co się z tobą zrobiło? W osiemdziesiątym szóstym roku niepodobna dłużej ludzić się i zwodzić, że to chwilowe, że to niedomagania wzrostu, więc co to było? Jak się załamała tak zwana kariera człowieka na ziemi?

Jeśli mierzyć życie jakąś godziwą dla każdej generacji normą percepcji, zdumienia, entuzjazmu i rozpacz, jakąś normą intensywności doznań i przemian, to przeżyłem wieki. Kiedy byłem dzieckiem, człowiek dopiero zaczął podfruwać. Pamiętam sensację w Warszawie, najście znajomych, wzburzone ich głosy, oszołomienie – słyszeliście, na Polu Mokotowskim Utoczkin wzbil się w powietrze i przeleciał całe trzy wiorsty! Kiedy byłem dzieckiem, żyli jeszcze ludzie źle i dobrze urodzeni, istniał władca z łaski Bożej, mężczyźni trzymali się w zasadzie Pisma, Adam zarabiał, Ewa rodziła. Gdzieniegdzie po większych miastach oglądano już ucieszne obrazki w pierwszych kinach, iluzjonach, zamożni chłopcy marzyli o rowerze, biedni o dobrym pracodawcy. Praca tchnęła straszną baśnią, czymś smoczym, jednych zżerała, drugich rozbestwiała do zdobywania coraz większego majątku i znaczenia. Socjalizm był utopią. Socjaliści przemawiali wieszczym głosem i mieli los proroków, wywożono ich na pustynię, do wsi syberyjskiej, dawano sześć rubli miesięcznie i przestrzeni życiowej mniej więcej sto dwadzieścia tysięcy arszynów kwadratowych tajgi, do granic powiatu. Dzieciństwo moje upłynęło w ciszy i pokoju, ani dziadkowie, ani rodzice nie znali wojny, ojciec wprawdzie walczył z Japończykami, ale krótko i bardzo daleko, na ziemi chińskiej, została po nim szabla i wraz z tą starą rycerską bronią przeświadczenie, że wojna to rycerska rzecz, czasem się zdarza, bębny biją, wojsko odchodzi, przychodzą listy i pamiątki jak chiński album dla mamy o pięknej rzeźbionej w kości słoniowej okładce, potem wojsko powraca i znów jest pogoda i słońce.

Przeżyłem dwie wojny światowe i jedną domową, zwycięstwo rewolucji, więzienia sowieckie, polskie, niemieckie, obozy

zagłady, dwa ustroje społeczne legły w gruzach na moich oczach; przeżyłem nadzieje, przemiany, dumę, hańbę i klęskę naszego wieku. Dożyłem dnia, w którym człowiek dotknął stopą księżyc, ale nie było u nas najścia znajomych jak niegdyś, kiedy awiator Utoczkin, przez nikogo nie uczony, wzbił się w powietrze na Polu Mokotowskim, nie było wstrząsu ani zdumienia. Od dawna wiedzieliśmy, że wcześniej czy później Amerykanie albo Rosjanie wylądują na księżycu, w ogóle zatraciliśmy zdolność zdumiewania się i podziwiania czegokolwiek. Ktoś zadzwonił – słyszałeś?! – słyszałem, mamy dzisiaj wielki dzień... Mówiąc to czułem całą doniosłość wydarzenia, oto człowiek sięgnął gwiazd, łbem dumnym dał bukisz o gwiazdy, mickiewiczowska metafora stawała się faktem i datą historyczną, cóż kiedy w uczuciu zachwytu i dumy wobec potęgi geniuszu ludzkiego bruździł krytycyzm – nie ma się czego cieszyć, geniusz ludzki tak długo manipulował przy bombach i maszynach zniszczenia, aż wyleciał w kosmos i upadł na księżyc. Niechby się raczej trzymał ziemi, niechby zamiast bukiszu *ad astra* dał pokój powszechny i życie godne człowieka, a ludzi lepszych i tyle ile trzeba na razie w danych warunkach, nie więcej...

Jeden po drugim znikali koronowani władcy z łaski Bożej, zjawiali się arcykapłani takiego bądź innego kultu. Mieli władzę bogów, mądrość bogów i żądzę sakralną unicestwienia ludzi w astronomicznych ilościach.

Po pierwszej wojnie światowej, po feerii Ligi Narodów i powszechnego rozbrojenia przyszła druga wojna światowa, wobec której pierwsza wyglądała jak jeden do dziesięciu w ilości pomordowanych i zupełnie dziecinnie pod względem zwyrodnienia i bestialstwa. Teraz oglądamy sejmikowanie narodów dookoła rozbrojenia jak za Wilsona i Chamberlaina, jak za Hitlera i Stalina, a jeszcze przed nimi, jak za Pokój Miłującego Cara Aleksandra Trzeciego, co przegrywając wyścig zbrojeń z Niemcami zawołał głosem pierwszej pacyfistki: „*Die Waffen nieder!*” i założył w Hadze międzynarodowy trybunał rozjemczy. Dziewięćdziesiąt lat temu można było jeszcze wierzyć w trybunały, dziś w myśl przysłowia „ty mów, a ja zdrów” liczy się tylko siła. Trwamy w nieustających małych wojnach i spodziewamy się grzyba na widnokręgu.

Dokonało się wyzwolenie ludów kolonialnych. Jeszcze trzydzieści lat temu mogłem się tym przejmować, pisałem „Leśne Morze”, żyłem w tajdze mandżurskiej losami gromadki zbiegów spod okupacji japońskiej, Chińczyków, Rosjan, Polaków

walczących o wolność dla tego nieszczęsnego kraju – teraz nie chcę czytać, nie chcę słuchać o tym, co się dzieje w Azji i Afryce na wyzwolonych terenach. Niesamowita kronika zamachów stanu, masowych rzezi i obłądów, rozkielzanie najdzikszych instynktów w opaskach europejskich szkół, dogmatów i modnej demagogii – jak gdyby niewolnicy z całej cywilizacji swoich panów wzięli tylko jej perwersję i wysoką technikę łajdactwa.

To wprawia w nastrój beznadziejności, przeraża myślą, że zło jest bardziej trwałe od dobra, że tradycje złego przechodzą z pokolenia na pokolenie, od narodu do narodu, z ustroju na ustrój, doskonaląc się w nieustających trybach postępu.

Socjalizm zapanował na ogromnych obszarach. Istnienie państw socjalistycznych jest dziś tak samo bezsporne w nomenklaturze i kontrowersyjne w treści, jak istnienie państw chrześcijańskich. Najbardziej chrześcijańska była Hiszpania XVI wieku, jakkolwiek najmniej miała z Chrystusa, z ducha Ewangelii, mniej niż pogański Rzym za Antoninów, albo wymordowani z chrześcijańską żarliwością Aztekowie. Otóż państwa socjalistyczne tak samo okrzepły kosztem swej ewangelii, pospolite państwa zdolne do wszystkiego dla interesu, dla korzyści, nie wyłączając walk i gwałtów o nie nawet między sobą – rzeczywistość jak straszny sen bojowników o socjalizm, jak klątwa jego wrogów i ofiar... A całe to wynaturzenie dokonało się nie po wiekach fanatyzmu i absolutnej władzy, kilkadziesiąt lat wystarczyło.

W tymże „Leśnym Morzu” wplotłem gdzieś bajkę, jak mistrz Jan-tsy wybrał się z uczniami na świętą Górę Pajtouszan by wykraść z gniazda młodego Huanga, ptaka podniebnego lotu i powszechnej szczęśliwości. Szedł i szedł pokonując straszliwe przeszkody, wdrapywał się coraz wyżej i wyżej, krwawym oblewał się potem, ale zdobył. Podał uczniom i ptak bezmiernej szczęśliwości przechodził z rąk uczniów Jan-tsy do jego domowników, do sąsiadów i dalej przez cały tłum. A nie wszystkie ręce były czyste, nie wszystkie były mądre, nie wszystkie były czułe. Ten mocniej przycisnął, tamten wyrwał piórko albo zagiął sobie na szczęście, inny wziął pod puch, żeby zostało na dłoni trochę księżycowej rosy, i tak kiedy doszło w końcu do ludzi z krainy Cz-u, ludzi głodnych i zgnębionych, cudowny ptak leżał martwy na ziemi, brudny i ze wszystkiego oskubany. Każdy wolałby zwykłą kurę w rosole.

Nawet kury w rosole nie zostało z górnych marzeń i dążeń dwudziestego wieku. Człowiek niszczy wszystko, w co wierzył, a po sobie zostawia tylko ziemię jałową, zatrutą wodę i powietrze. Ale podbił kosmos. I już się rozgląda za inną planetą...

SPIS TREŚCI

<i>Śladami Żelaznego Żubra</i>	7
<i>Ostatnie dni Pompei</i>	22
<i>Zwiewda plenitielnowo szcztja</i>	49
<i>Utylizator pierwszego sektora – wyprawa po srebrne runo</i> ...	92
<i>Wuj Stefan, Warejkis, Suworow i Puszkina w 1919 roku</i>	128
<i>Magister trojga druków i miłość</i>	164
<i>Spustoszenie</i>	193
<i>Prosta droga</i>	213
<i>Apartament</i>	266
<i>Nie podobalo się wam nad Morzem Czarnym – pojedziecie nad Białe</i>	282
* * *	314



**ACHEVE D'IMPRIMER
LE 24 OCTOBRE 1986
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).**

Dépôt légal : 4^e trim. 1986.

N° d'imprimeur 7989.

